

JACK W H Y T E

CHAOS
W
ZAKONIE

*Dedykuję mojej żonie Beverley, mentorce i opiekunce, która
zawsze wie, kiedy zostawić mnie samego, a kiedy
wyciągnąć mnie z mojej pustelni na światło dzienne... Dziękuję
Ci jeszcze raz.*

„Wydam w ręce ich nieprzyjaciół [...] miasta zaś judzkie uczynię bezludnym pustkowiem”.

Księga Jeremiasza 34,20-22

„Trudno jest rozróżnić między faktem a legendą [...] Nie znalazłem ostatecznej odpowiedzi na pytanie, czym jest fakt; zależy to od punktu widzenia. Co ciekawe, legenda — z definicji zniekształcona - dostarcza znacznie łatwiejszej do przyjęcia wersji wydarzeń. Wszyscy zgadzają się w kwestii treści legendy, lecz kłócą się o fakty”.

Michael Coney, *The Celestial Steam Locomotive*

FRANCJA

Kobieta u bram

Nawet ślepiec by pojął, że z przodu coś się wydarzyło, a Tam Sinclair miał świetny wzrok. Brakowało mu jednak cierpliwości. Zapadał już zmierzch, a on był unieruchomiony po trzech dniach forsownej jazdy, pół mili od celu. Lejce zaprzęgu wisiały mu bezużytecznie w rękach, a gęstniejący tłum napierał, zastępując mu drogę i tłocząc się przy zmęczonych koniach; zwierzęta parskwały, grzebały kopytami i rzucały nerwowo łbami. Tam czuł, że wzbiera w nim gniew. W ogóle nie lubił być otoczony ludźmi, lecz kiedy - tak jak teraz - tworzyli potężny tłum, smród niemytych ciał odbierał mu nawet prostą przyjemność zaczerpnięcia tchu.

- Ewan!

- Już! - Jeden z dwóch młodych mężczyzn, którzy rozsiedli się, rozmawiając, wśród przykrytych przedmiotów ułożonych z tyłu wozu, wyprostował się i oparł skrzyżowane ramiona o wysoki kozioł woźnicy.

- A niech to! Co się dzieje? Skąd nagle wzięli się ci ludzie?

- Gdybym wiedział, nie musiałbym przerywać debaty, którą żeś toczył ze swoim druhem. - Tam zerknął z ukosa na drugiego młodzieńca, wykrzywiając niemal zakryte szpakowatą brodą usta w minę, która mogła być uśmiechem lub grymasem niesmaku. - Idź do bram i dowiedz no się, o co chodzi i na jak długo tu utknęliśmy. Może ktoś miał jakiś atak albo padł martwy. Jeśli tak, z łaski swojej znajdź nam inną bramę, dość blisko, żebyśmy dotarli do niej, zanim ją zamkną na noc. Tyłek mnie boli, mam w nim pełno drzazg od tej cholernej ławki i już nie mogę się doczekać, żeby usłyszeć rumor, z jakim wysypimy te zardzewiałe śmieci przed warsztatem wytapiacza. I szybko! Nie chcę tej nocy spać za murami. No, w drogę.

- Dobra. - Ewan oparł się dłonią o wysoki bok wozu i przeskoczył nad nim, opadając bez wysiłku na brukowaną drogę, po czym zaczął się szybko przepychać przez tłum. Do La Rochelle, największego i najbardziej tętniącego życiem portu we Francji, i jego wysokiej, wąskiej południowej bramy, którą Tam widział przed sobą, prowadziła szeroka droga, zwężająca się raptownie przy rogatkach obstawionych przez strażników.

Tam odprowadził chłopca wzrokiem i też zeskoczył z wozu, choć nie tak zwinnie. Był sprawnym mężczyzną w sile wieku, lecz już dawno porzucił bez żalu myśl o naśladowaniu fizycznych wyczynów swoich czeladników. Teraz - spoglądając spode łba na stojących najbliżej ludzi - podszedł do małej dębowej beczki, mocno przywiązanej konopną liną do boku powozu. Chwycił przywieszony do niej czerpak, uniósł pokrywę, a potem zbliżył do ust pełną chłodnej wody chochlę. Pijąc, rozglądał się, lecz nie zauważył niczego niepokojącego ani żadnego powodu zatoru. Dostrzegł wielu strażników z kuszami na murach po obu stronach bramy, ale nie robili wrażenia szczególnie zainteresowanych tym, co dzieje się poniżej.

Tymczasem anonimowy wśród ciżby Ewan przeciskał się agresywnie do przodu. Szybko zdał sobie sprawę, że nie tylko on chce sprawdzić, co się dzieje, i w miarę jak zbliżał się do bramy, coraz trudniej było mu się przebić przez hałaśliwą, wyciągającą szyje tłuszcę. W końcu musiał się rozpychać się łokciami, uparcie torując sobie drogę i nie zważając na ogłuszający hałas przekrzykujących się ludzi. Kiedy był już prawie na miejscu - gdyby stanął na palcach, zobaczyłby ozdobiony grzebieniem hełm dowódcy straży - przed nim rozległy się głośniejsze, bardziej natarczywe głosy. W jego stronę przedzierało się trzech wyraźnie przerażonych mężczyzn; odpychali ludzi i usiłowali uciec. Jeden z nich potracił Ewana barkiem, kiedy go mijał, lecz młodzieniec z łatwością odzyskał równowagę i obrócił się, aby popatrzeć, jak mieszają się z ludźmi stojącymi za nim, klucząc i próbując się zgubić w tłumie.

A ciżba - niczym żywa istota wyczuwająca strach trzech mężczyzn - rozstała się szybko; ludzie ciągnęli za sobą sąsiadów, chcąc jak najbardziej oddalić się od uciekinierów, tym samym wystawiając ich na widok strażnikom stacjonującym dookoła bram.

Okrzyk dowódcy, aby uciekający się zatrzymali, nie odniósł skutku,

i zanim zdążył wybrzmieć, pierwszy bełt uderzył o bruk z łoskotem, który natychmiast uciszył zdumiony tłum. Wystrzelony zbyt pośpiesznie znad bramy stalowy pocisk odbił się od wytartych kocich łbów i przedziurawił beczkę, z której pił Tam Sinclair. Jej klepki roztrzaskały się i zalały go strumienie zimnej wody, która przemoczyła mu spodnie i rozlała się z głośnym pluskiem po bruku u jego stóp.

Klnąc, Tam opadł na czworaka na mokre kamienie i dla bezpieczeństwa schował się pod powóz, podczas gdy powietrze wypełnił przerażający syk bełtów i okropny odgłos ich uderzeń. Jego drugi czeladnik, Hamisz, zeskoczył z powozu i zanurkował za piastę koła, odpychając innych, którzy chcieli się schronić w tym samym miejscu.

Wszystkim uciekającym pisana była szybka śmierć. Pierwszego powaliły trzy bełty, które uderzyły jednocześnie w jego bark, szyję i prawe kolano. Okręcił się w powietrzu jak akrobata, a krew z poszarpanej rany na szyi zakreśliła nad nim łuk, po czym opadła dookoła niego, kiedy przewrócił się bezwładnie niecałe dziesięć kroków od miejsca, z którego zaczął uciekać. Drugi przestał biec niemal w pół kroku, chwytając się i wywijając ramionami dla równowagi, i odwrócił się w stronę bram miasta, unosząc dłonie wysoko nad głowę na znak, że się poddaje. Przez mgnienie oka stał w miejscu; bełt przebił mu mostek, a siła uderzenia pechnęła go do tyłu, aż stopy oderwały się od ziemi. Wylądował ciężko na siedzeniu, zanim jego martwe ciało przewróciło się na bok.

Trzeci mężczyzna padł na twarz u stóp wysokiego, zgarbionego mnicha, chwytając wyciągniętą w spazmach śmierci ręką sandał zakonnika, wystający spod poszarpanego rąbka zniszczonej czarnej szaty. Mnich stanął jak wryty, kiedy tylko poczuł dotyk, i patrzył oniemiały na zakrwawione bełty, które tak brutalnie odebrały życie uciekającemu. Nikt jednak nie zważał na to, jak był wstrząśnięty - wszyscy skupili się na martwym człowieku u jego stóp. Ledwie zauważyli mnicha; to tylko jeden z tysięcy anonimowych, wędrujących ludzi, których można było spotkać w całym chrześcijańskim świecie, gdy zebrali o wsparcie.

Cisza, jaka zapadła po tym wybuchu przemocy, była tak głęboka, że wyraźnie ze znacznej odległości dało się słyszeć skrzypienie żelaznych zawiasów. Drzwi się otworzyły, po czym rozległy się miarowe

kroki ciężkich butów, kiedy ktoś, kto najwyraźniej był przy władzy, podszedł od strony wejścia na wieżę stojącą po lewej od bram miasta. Tłum na drodze ani drgnął. Wyglądało na to, że zarówno podróżni, jak i strażnicy struchleli, przerażeni tym, jak szybko śmierć wkradła się w ten przyjemny wczesny wieczór.

- Czyście wszyscy pogłupieli?

Głos był ostry, chropowaty, a kiedy zabrzmiał, czar natychmiast prysł. Ludzie znów zaczęli się ruszać i rozległy się głosy, na początku pełne wahania, niepewne, jak mówić o tym, co się wydarzyło. Strażnicy także się ocknęli, a kilku podeszło do martwych ciał.

Tam Sinclair zdążył już wyczołgać się z kryjówki i oparł stopę o piastę koła, a dłoń o podpórkę na nogi, kiedy usłyszał za plecami szept.

- Wybacz, słyszałam, jak mówisz z tym młodzieńcem. Pochodzisz ze Szkocji.

Sinclair zamarł, a potem odwrócił się powoli z kamiennym wyrazem twarzy. Kobieta stała przy tylnej klapie wozu, ściskając z całej siły szeroki pasek sporego tobołka zawieszzonego na ramieniu. Jej sylwetkę maskowała długa szata z ciemnozielonej wełny, którą była całkowicie owinięta; jedną połą zakryła głowę niczym kapturem, tak że widać było tylko usta i podbródek. Oceniając na podstawie tego fragmentu jej twarzy, Tam uznał, że jest młoda, lecz ma już za sobą lata dziewczęce. Skórę miała jasną i czystą. Przyjrzał się jej ponownie, mierząc wzrokiem od stóp do głów powoli i rozmyślnie, lecz bez śladu lubieżności.

- Pochodzę ze Szkocji. I co z tego?

-Jestem twoją rodaczką. I bardzo potrzebuję pomocy. Mogę cię wynagrodzić.

Nie była wieśniaczką. Przestała szeptać i mówiła cicho, wyraźnie, a w jej słowach - mimo drżenia niskiego głosu - pobrzmiwała pewność właściwa wysokiemu pochodzeniu. Tam zacisnął usta, rozglądając się odruchowo, lecz nikt nie zwracał na nich uwagi; wszystkie oczy skierowane były w stronę rozgrywającego się niedaleko dramatu. Wyczuł - choć nie wiedział, jakim sposobem - że kobieta jest zamieszana w to, co się stało, i mimo swej nieufności był pod wrażeniem jej zachowania. Widział, że jest przerażona, a jednak zachowała dość przytomności umysłu, by na przypadkowym obserwatorkę zrobić wrażenie spokojnej. Odpowiedział cicho, lecz uprzejmie:

- Jakie masz kłopoty, pani? Czego chcesz ode mnie, prostego furmana?

- Muszę przekroczyć bramę. Oni... Szukają mnie pewni ludzie o wrogich zamiarach.

Sinclair przyglądał się jej uważnie, nie odrywając wzroku od pełnych ust, jedynej części ciała, którą widział.

- Naprawdę? - spytał, a jego szkocki akcent nagle zabrzmiał wyraźniej i szorstko w retorycznym pytaniu. - Co to za ludzie nękają i straszą dobrze urodzone kobiety?

Przygryzła wargę, a on widział, że zastanawia się, czy odpowiedzieć, ale po chwili jeszcze bardziej wyprostowała plecy.

- Ludzie króla. Sługusi Wilhelma de Nogareta.

Sinclair wciąż na nią patrzył, a jego twarz była niewzruszona, choć te słowa go zaskoczyły. Wilhelm de Nogaret, kanclerz króla Filipa IV Pięknego, był najbardziej znenawidzonym człowiekiem w całej Francji. Wyznanie kobiety, najwyraźniej spowodowane desperackim postanowieniem, aby zaufać Tamowi jedynie ze względu na wspólną ojczyznę, prowokowało do tego, aby natychmiast ją zdradził albo stał się jej współnikiem; współdziałal w czymkolwiek, co mogło pokrzyżować plany głównego poplecznika króla, musiał skończyć się torturami i śmiercią. Tam nie ruszał się jeszcze przez chwilę, a jego myśli gnały; w końcu pod krótką, schludnie przyciętą brodą pojawił się cień uśmiechu.

- Uciekasz przed de Nogaretem? Słodki Jezu! Dziewczyno, nie mogłaś podać lepszego powodu? Nie ruszaj się z miejsca. Muszę zobaczyć, co się dzieje.

Widać było, że jej napięcie trochę opadło. Cofnęła się nieco, chowając za wóz. Sinclair zaczął się podciągać na piastę przedniego koła. Wciąż myślał o kobiecie z niepewnością i zaciekawieniem, ale czuł, że postępuje właściwie. Stojąc jedną nogą na piaście, spojrzał ponad tłumem w stronę miejsca, gdzie zakonnik wciąż pochylał się nad martwym człowiekiem; po chwili Sinclair parsknął, podciągnął się i zajął swoje miejsce.

Siedząc na koźle, chwycił lejce, sięgnął po bat leżący u jego stóp i gwizdnął. Na to wezwanie nadbiegli jego dwaj chudzi, lecz silni czeladnicy i wskoczyli zwinnie na wóz. Ten, który miał na imię Ewan, usiadł obok Tama, a drugi znów rozparł się wygodnie wśród przy-

krytych przedmiotów ułożonych z tyłu. Lecz Tam Sinclair nie zrobił nic, aby zwierzęta ruszyły. Nie miał dokąd jechać. Tłum kłębił się i przepychał na skraju pustej przestrzeni otaczającej zabitych mężczyzn, lecz nie posuwał się do przodu. Strażnicy wciąż byli pochłonięci próbami ustalenia przyczyny incydentu i żadnemu z nich nie przyszło do głowy, aby zdyscyplinować czekających.

Wyglądało na to, że trzej mężczyźni ciągnęli ze sobą mały wózek, i z nieskładnych komentarzy stojących dookoła ludzi Tam wywnioskował, że kiedy strażnicy, w których z jakiegoś powodu obudziły się podejrzania, chcieli wózek przeszukać, a potem pojmać jednego z ludzi, cała trójka rzuciła się do ucieczki. Patrząc na strażników tłoczących się przy wyładowanym po brzegi wózku, Tam zachodził w głowę, co też mogło się w nim znajdować, za co warto było umierać. Nie dane mu było jednak się tego dowiedzieć, ponieważ dowódca straży rozkazał, aby zabrano wózek do wartowni i tam przeszukano. Gdy strażnicy wypełniali komendę, Sinclair odprowadzał ich wzrokiem, po czym spojrzał na pyszałkowatego rycerza o szorstkim głosie, który wczesniej wyłonił się z wieży, a teraz kroczył tam, gdzie leżeli trzej martwi mężczyźni.

Rycerz nie był wysoki, ale lśniącą zbroją, założoną na kolczugę i uzupełnioną metalowym hełmem, podkreślała jego posturę w świetle późnego popołudnia, a liberia straży królewskiej, którą miał na sobie - przybrudzona, biała opończa o wąskich połach i kobaltowej lamówce, z lilią królewskiego rodu Kapetyngów wyhaftowaną na piersi - nadawała mu władczy wygląd, wyróżniający go wśród pozostałych.

Nie zrobił wielkiego wrażenia na przyglądającym mu się obojętnie Sinclairze. Tam zbyt długo był żołnierzem, zbyt dużo się napodróżował i widział zbyt wielu ludzi w zagrażających życiu sytuacjach, aby imponowały mu powierzchowne ozdoby, które - jak zorientował się już wiele lat wcześniej - rzadko odzwierciedlają wartość tego, co zdobią. Człowiek, na którego patrzył, był rycerzem króla, lecz z punktu widzenia furmana nie świadczyło to o męstwie czy wartości. Lud nazywał króla Francji Filipem Pięknym, ponieważ twarz miał ładną, nawet nieskazitelną, lecz Tam wiedział równie dobrze jak każdy, że uroda nie sięga głęboko. Kto znał prawdę o potężnym monarsze, nawet nie pomyślałby o nazwaniu go sprawiedliwym czy choćby miło-

siernym. Filip z Kapetyngów, czwarty tego imienia, wnuk Ludwika IX Świętego, wielokrotnie okazał się egoistą, zimnym i kierowanym ambicją tyranem. Według Tama Sinclaira zbyt wielu rycerzy i popleczników otaczających króla było ulepionych z tej samej gliny. Ów konkretny okaz tej rasy właśnie powoli i ostentacyjnie dobył miecza i uderzając lekko klingą o swój prawy bark, podszedł do wysokiego zakonnika stojącego samotnie na skraju tłumu, wciąż pochylonego nad zmarłym.

- Ewan - rzekł Tam, nie podnosząc głosu i skupiając wzrok na ruchach rycerza. — Z tyłu wozu stoi kobieta. Pomóż jej wejść, póki wszyscy patrzą na dowódcę straży. Zrób to, jakby była jedną z nas, i po drugiej stronie, byście nie rzucali się w oczy. Hamisz, siadaj przy mnie i nie zwracaj uwagi na Ewana ani kobietę. - Ewan zeskokczył z wozu, a kiedy Hamisz zajął jego miejsce na koźle, Tam wskazał mu głową scenę po lewej. - Myślę, że ten mnich ma kłopoty.

Hamisz wychylił się i zaczął uważnie przyglądać.

Kiedy rycerz się zbliżał, mnich ukląkł powoli i położył dłoń na głowie zmarłego, po czym zamarł pochylony; oczywiście było, że modli się za duszę mężczyzny. Rycerz szedł dalej, aż znalazł się o dwa kroki od klęczącego zakonnika, i znów odezwał się nieprzyjemnym, ostrym głosem:

-Ten jest już głęboko w piekle, klecho, więc możesz przestać się za niego modlić.

Mnich nie zareagował, a rycerz zmarszczył brwi, nienawykły do tego, że się go ignoruje. Machnął prawą ręką, opuszczając długi, oparty dotychczas o bark miecz, i wyciągnął ramię, aż końcówka klingi dotknęła skraju kaptura mnicha i odsunęła go, odsłaniając czubek głowy z kwadratową tonsurą zakonu dominikanów wygoloną w gęstych, krótko przyciętych szpakowatych włosach. Rycerz wyciągał ramię coraz bardziej, odpychając kaptur coraz dalej, aż zakonnik musiał odchylić brodę do góry, ukazując gładko ogoloną, bladą twarz. Rycerz pochylił się tak, że ich twarze się zrównały, a jego głos był wciąż tak samo donośny i rozbrzmiewał ostro w absolutnej ciszy, jaka zapadła po jego pierwszych słowach.

- Uważaj, klecho, kiedy do ciebie mówię, i odpowiadaj, kiedy ci każę. Słyszysz? - Odsunął się i wyprostował, po czym oparł czubek miecza o ziemię. — Znam cię. - Mnich potrząsnął bez słowa głową,

a rycerz podniósł głos. - Nie kłam, klecho! Mam pamięć do twarzy i wiem, że cię znam. Gdzieś cię już widziałem. Gdzie? Odpowiadaj!

- Nie, panie rycerzu - zarzął.

Jak na tak wysokiego człowieka miał zaskakująco piskliwy głos, tak piskliwy, że Tam Sinclair, który chwilę wcześniej się obrócił, chcąc zobaczyć, jak młody Ewan radzi sobie ze swoim zadaniem, znów zmienił pozycję, aby popatrzeć na rozgrywkę między rycerzem a mnichem.

- Mylisz się - ciągnął. - Dopiero co tu przybyłem i po raz pierwszy jestem w tej części świata. Mój dom jest na dalekiej północy, w Alzacji, w klasztorze Świętego Dominika, więc jeśli go niedawno nie odwiedziłeś, nie możesz mnie znać. A poza tym... -Jego jaśniejące w gasnącym słońcu oczy miały kolor bladego, choć jaskrawego błęki tu i dość wyraźnie widać w nich było fanatyzm. - Nie zapomnielibym kogoś takiego jak ty.

Rycerz zmarszczył brwi, zawahał się, a potem ze zdegustowaną miną ponownie uniósł miecz i oparł go o bark.

- Dość! Ja z kolei nie zapomnielibym takiego głosu jak twój. Co cię sprowadza do La Rochelle?

- Sprawy Boga, panie rycerzu. Wiozę wiadomości przeorowi klasztoru Świętego Dominika.

Rycerz już odprawiał irytującego dominikanina ruchem ręki, a zmiana w jego zachowaniu wskazywała, że nie ma ochoty mieszać się do spraw związanych z zakonem świętego Dominika: zajadłymi i zawsze gorliwymi inkwizytorami papieża.

- No dobrze, w drogę, dokończ swoje zadanie. Wiesz, gdzie jest klasztor?

- Tak, panie rycerzu, mam pisemne wskazówki, jak do niego dotrzeć po przekroczeniu bram. Pozwól, pokażę ci.

Kiedy sięgnął za pazuchę, rycerz odsunął się i ponownie odegnał go ręką.

- Idź już. Nie muszę tego oglądać. No już, ruszaj w drogę.

- Dziękuję, panie rycerzu.

Wysoki mnich skłonił służalczo głowę i poszedł w stronę bram miasta, a to, że został wpuszczony, uznano chyba za sygnał, że wejść mogą wszyscy. Tłum ruszył przed siebie spokojnie, podczas gdy Ewan i tajemnicza kobieta wspięli się na wóz. Strażnicy przyglądali się cizbie od niechcenia. Sinclair zauważył jednak, że przesłuchują

każdą mijającą ich kobietę, przepuszczając mężczyzn bez pytania. Wyprostował plecy i wolną ręką pomasaował się w krzyżu.

- Chłopcy - odezwał się swobodnie, po szkocku - właśnie zo staliście szlachcicami. Na chwilę staniecie się moimi synami. Ewan, jak będziesz rozmawiał z którymś z tych błaznów, niech szkocki po brzmi w twojej francuskiej mowie, jakbyś znał ją mniej niż na prawdę. Hamisz, dziś mówisz tylko po szkocku. Dopiero co przybyłeś do Francji ze swoją matką, aby dołączyć do mnie i brata, i nie zdążyłeś jeszcze nauczyć się ani tutejszej mowy, ani zwyczajów. Teraz idź na tyły i daj matce usiąść tutaj. - Odwrócił się i odezwał do kobiety siedzącej za nim: - Mary, usiądź przy mnie i zdejmij kaptur, chyba że się boisz, iż cię rozpoznają.

Bez słowa zsunęła kaptur, ukazując urodziwą twarz o rzeźbionych rysach, wielkie, zaskakująco promienne, szaroniebieskie oczy i długie, dobrze rozczesane ciemne włosy. Sinclair kiwnął głową z aprobatą, kiedy zajęła miejsce obok niego, potrząsnął lejcami i wprowadził wózek w powolny ruch.

- Teraz trzymaj się mocno i bądź ostrożna. Jesteś moją żoną, Mary Sinclair, matką moich synów, Ewana i Hamisza. Jesteś dość piękna, żebym był z ciebie dumny i chciał chronić twoją cnotę. Nie znasz francuskiego. Jeśli zadadzą ci jakieś pytania, a tak się stanie, oczekuj, że ja odpowiem, i mów po szkocku. Spróbuj gadać jak służka, a nie dama, którą jesteś. Szukają damy, prawda?

Kobieta spojrzała mu prosto w oczy i kiwnęła głową.

- Hmm. No to postaraj się ją ukryć albo wszyscy zawiśniemy. Hamisz, stań za nią. Dzięki Bogu, macie podobne oczy, więc śmiało je pokazujcie. - Sinclair ściągnął lejce. - No dobra. Do dzieła. Nadchodzi ten fanfaron, który uważa się za rycerza. Zachowujcie się wszyscy swobodnie i pozwólcie mi mówić. - Zatrzymał wózek tuż przed strażnikami.

Rycerz przybył właśnie w chwili, kiedy dowódca straży podszedł, aby przepytać Tama, i przyglądał się całej sytuacji, nie wtrącając się, kiedy dwaj mężczyźni rozmawiali.

- Imię?

- Tam Sinclair - odparł wojowniczym tonem Tam. Wymówił swoje nazwisko na szkocki sposób: Singclir, a nie z francuska: San-Clerr.

- Coś ty za jeden? — Pytaniu towarzyszyło srogie zmarszczenie brwi, reakcja na obce nazwisko i dziwną wymowę.

Sinclair odpowiedział płynną, potoczną francuszczyzną, bogatą w szkocką intonację:

- O co ci chodzi? Jestem Szkotem, ze Szkocji. A także woźnicą, jak widzisz.

Strażnik jeszcze bardziej zmarszczył brwi.

- Znaczy, co tu robisz, człowieku, tutaj, we Francji?

Sinclair podrapał się lekko w zuchwę i przez długą chwilę gapił na strażnika, a potem wzruszył ramionami i odpowiedział powoli, cierpliwie i bardzo wyraźnie, jak zapóźnionemu dziecku:

- Nie wiem, gdzieś spędził życie, ale tam, skąd pochodzę, każdy wie, że jak chodzi o szlachtę, nie ma różnicy między Szkocją, Francją ani resztą świata. Pieniądze i władza nie znają granic. Te dwa królestwa wiąże prastare przymierze. Co tu robię? Robię to samo we Francji, co setki twoich ziomków robią w Szkocji: to, co każe mi mój pan, zajmuję się jego sprawami. Ród Saint-Clair posiada ziemie i interesy w obu krajach, a ja jestem jednym z jego rządców. Jadę, gdzie mnie wyślą. Robię, co mi każą. Dziś powożę.

Wyglądało na to, że odpowiedź udobruchała strażnika, lecz rzucił okiem na stojącego obok przełożonego.

- Co wieziesz?

- Stare żelazo dla miejskich wytapiaczy. Zardzewiałe łańcuchy i polamane miecze do stopienia.

- Pokaż.

- Ewan, pokaż mu.

Ewan poszedł na tył wozu, opuścił klapę i odrzucił starą płachtę płótna żaglowego przykrywającą ładunek. Dowódca zajrzał, z ciężkim, metalicznym brzękiem poprzesuwał kilka przedmiotów, a potem podszedł do czoła wozu, wycierając zabrudzone rdzą palce o oponę. Ewan stał przy nim, kiedy strażnik wskazał kobietę.

- A ona to kto?

- Moja żona, matka moich dwóch synów.

- Twoja żona. Skąd mam wiedzieć, że to prawda?

- Dlaczego miałbym kłamać? Czy wygląda na nierządnicę? Jeśli nie jesteś ślepy, zobaczysz jej oczy i oczy mojego syna, który przy niej stoi.

Strażnik wyglądał, jakby się miał obrazić za opryskliwy ton Sinclaira, lecz zerknął na potężne ramiona woźnicy i jego minę i tylko

podszedł bliżej, aby przyjrzeć się kobiecie i młodzieńcowi. Zmierzył oboje wzrokiem, porównując ich oczy.

- Hmm. A ten drugi? - Wskazał wciąż stojącego przy nim Ewana.
- Mój drugi syn. Spytaj go. Zna twoją mowę.
- A jeśli spytam... twoją żonę?
- Pytaj śmiało. Tylko na ciebie tępo spojrzę. Nie zrozumie ani słowa.

Strażnik popatrzył na kobietę.

- Podaj mi swoje imię.

Zapytana spojrzała na Tama szeroko otwartymi oczami, a ten rozparł się na oparciu kozła i powiedział po szkocku:

- Chce poznać twoje imię, żono.

Pochyliła się, aby spojrzeć na strażnika i przyglądającego się rycerza, zerkając niepewnie na Sinclaira.

- Powiedz mu, jak masz na imię - powtórzył.
- Mary. Mary Sinclair. - Jej głos był wysoki i niepewny; mówiła ze śpiewną intonacją szkockich chłopów.
- Skąd pochodzisz? - spytał strażnik.

Ponownie rzuciła bezradne spojrzenie Tamowi, który rzekł:

- To idiotyczne. Ten głupiec chce wiedzieć, skąd pochodzisz. Po wiedziałem mu, że nie znasz jego mowy, ale to się jeszcze nie przebiło przez jego grubą czaszkę. Powiedz mu, skąd jesteś.

Tam nie śmiał spojrzeć na przyglądającego się rycerza, lecz był pewien, że człowiek ten uważnie słucha i rozumie, co mówią.

- No już, powiedz mu, Mary, skąd jesteśmy. Zwróciła ponownie wzrok na strażnika i zamrugała.
- Z Inverness - powiedziała śpiewnie. - Z Inverness w Szkocji.

Strażnik gapił się na nią jeszcze przez chwilę, potem spojrzął bez słowa na rycerza w bieli i błękicie, który w końcu podszedł bliżej i podniósł wzrok na kobietę oraz stojącego przy niej młodzieńca. Zaciął usta, patrząc zmrużonymi oczami to na jedno, to na drugie, a potem zrobił krok w tył i machnął ręką, odprawiając ich.

- Jedźcie - powiedział. - W drogę.

Kiedy przejechali już bramy miasta i stracili je z oczu w szybko gęstniejącym zmroku, Tam zatrzymał wóz i odwrócił się do kobiety.

- Dokąd teraz zmierzasz, pani?
- Niedaleko. Jeśli twój młody pomocnik pomoże mi zejść, z łatwością dotrę tam piechotą. Mam tu rodzinę, która udzieli mi schronienia. Jak się naprawdę nazywasz? W dowód mojej wdzięczności wyślę nagrodę do tutejszej komturii templariuszy, koło portu. Możesz ją odebrać, stawiając się tam i podając im swoje imię.

Sinclair potrząsnął głową.

- Nie, pani, nie wezmę od ciebie pieniędzy. Dostateczną nagrodą dla mnie było to, że mogłem usłyszeć, jak mówisz po szkocku, bo dawno nie byłem w domu. Jak już słyszałaś, nazywam się Tam Sinclair. Idź teraz w pokoju, ale szybko, bo szpiedzy Wilhelma de Nogareta są wszędzie. I dziękuj Bogu, że obdarzył cię takimi oczami, pani, ponieważ one i oczy Hamisza ocaliły nam dzisiaj życie. Ewan, odprowadź ją. Zanieś tobolek i dopilnuj, żeby jej nikt nie skrzywdził, a potem idź tam, gdzie zmierzamy. Spotkamy się na miejscu.

Młoda kobieta postąpiła do przodu i położyła dłoń na ramieniu Tama.

- A zatem niech cię Bóg błogosławi, Tamie Sinclair, i niech zachowa cię w zdrowiu. Ja i cały mój ród jesteśmy ci wdzięczni.

Sinclair już miał zapytać, co to za ród, lecz coś podpowiedziało mu, żeby tego nie robił, więc zadowolił się skinieniem głową.

- I ciebie niech Bóg błogosławi, pani - mruknął.

Sądząc jedynie po fragmencie jej twarzy, który widział, była piękną kobietą, a teraz, kiedy z pomocą Ewana schodziła z wozu, Tam obserwował, jak jej ciało porusza się pod szatami, i próbował wyobrazić sobie, jak wyglądałaby bez derki, w którą była zakutana. Jednak kiedy tylko zorientował się, że to robi, przestał. Powiedział sobie, że poza urodą kobietę tę cechuje odwaga i bystry umysł, i cieszył się, że zrobił to, co zrobił.

Patrzył, jak odchodzi z Ewanem, aż zniknęli, a później mozolnie skręcił zaprzęgiem z głównej drogi w ciemniejszą i pustą boczną uliczkę. Przejechał wąski zaułek do połowy, a potem ściągnął lejce, kiedy zgarbiony dominikanin z Alzacji wyszedł z pobliskiej bramy. Hamisz zeskoczył na ziemię, gdzie dołączyli do niego trzej ludzie, którzy też byli świadkami zabójstw przy bramie miasta, i od tamtej pory szli za wozem w różnych odstępach od siebie. Zebrali się przy tylnej kłapie i zaczęli grzebać w ładunku, przesuwając metalowe przedmioty i sapiąc

ciężko. Sinclair wrzucił bat do pojemnika przy swojej prawej stopie, a mnich odezwał się do niego cicho, tak żeby pozostali nie słyszeli.

- Kim była ta kobieta, Tam, i coś sobie myślał? Widziałem, jak Ewan pomaga jej wsiąść na wóz, kiedy opuszczałem gościniec, i oczom nie mogłem uwierzyć. Wiesz, że nie należy robić takich rzeczy. - Teraz głos mnicha nie był ani trochę piskliwy, lecz niski i dźwięczny.

Rozległo się stęknienie, pełne zaskoczenia przekleństwo oraz szuranie nogami, kiedy długi, ciężki łańcuch ześlizgnął się z łośkotem z wozu na bruk. Sinclair zerknął w tamtą stronę, a potem znów się odwrócił, z błyskiem w oku i nieznacznym uśmiechem na ustach.

- O jakiej kobiecie mówisz? Ach, o tamtej. Po prostu potrzebowała pomocy. Szkocka dziewczyna, co mówiła jak ja, i dama, jeśli się nie mylę.

- Dama podróżująca samotnie? - Pytanie było pełne pogardy.

- Nie, nie sądzę. Nie wydaje mi się, żeby była sama. Myślę, że ci trzech biedni dranie, których zabito, mieli być jej strażą. Powiedziała mi, że ucieka przed ludźmi Nogareta, a ja jej uwierzyłem.

- Przed de Nogaretem? - powtórzył mnich. — To jeszcze gorzej. Naraziłeś nas wszystkich, człowieku.

- Nie, panie, wcale nie. - Tam opuścił ramiona i zacisnął szczęki. - Co miałem zrobić? Wydać ją temu pyszałkowatemu rycerzowi i patrzeć, jak wloką ją do więzienia, i Bóg wie co jeszcze?

Jego rozmówca westchnął i wyprostował się, prężąc szerokie ramiona, które zgarbiona pozycja skutecznie ukrywała.

- Nie, Tam, chyba nie. - Umilkł na chwilę, a potem powiedział: - Ciekawym, jakiego występku się dopuściła. Nie, żeby de No-garet potrzebował uzasadnienia. - Rozejrzał się. - Gdzie zatem jest teraz?

- W drodze do rodziny, która mieszka gdzieś tutaj. Posłałem z nią Ewana. Teraz już pewnie jest bezpieczna.

- Dobrze. Miejmy nadzieję, że tak jest. Ale pomaganie jej naprawdę było niebezpieczne, bez względu na to, dlaczego potrzebowała pomocy. Nasze sprawy nie zostawiają nam czasu na rycerskość, Tam, i mów co chcesz, ale głupio zaryzykowałeś.

Sinclair wzruszył ramionami.

- Może i tak, ale wtedy miałem wrażenie, że robię to, co należy. Kiedy ją zabrałem, ty już bezpiecznie przekroczyłeś bramę, a to do

ciebie należy wypełnienie zadania. My jesteśmy tylko twoją strażą. - Sinclair ściszył głos, aż mówił prawie szeptem. - Słuchaj no, Will, ta kobieta potrzebowała pomocy. Widziałem, że tobie się nic nie stanie, rozważyłem wszystkie inne kwestie i podjąłem taką decyzję, jakie ty podejmujesz cały czas. Jakiego to słowa używasz? Arbitralną decyzję. Jak na polu bitwy. Musiałem coś postanowić, a nie było przy mnie nikogo, kto by mi poradził, co zrobić. Mnich mruknął.

- No cóż, już po wszystkim i dzięki Bogu nie ucierpieliśmy na tym. Niech będzie. W drogę. Aha! Mój miecz. Dziękuję, Hamisz.

Hamisz i jego pomocnicy, którzy tak pilnie pracowali z tyłu wozu, wygrzebali spod sterty zardzewiałego złomu starannie zapakowany oręż i szybko odwinęli ochronne materiały, po czym Hamisz zaniósł mnichowi miecz, który ewidentnie należał do niego. Zakonnik natychmiast chwycił rękojeść, zdradzając całkowite z nią obeznanie, i płynnym ruchem wyciągnął klingę z wyposażonej w pas pochwy; potem uniósł lśniące ostrze pionowo, aby odbiły się w nim ostatnie promienie słońca. Kiedy to zrobił, usłyszeli odgłos biegnących stóp: dogonił ich ostatni członek grupy.

- Nadchodzą, sir Williamie - wysapał. - Rycerz przypomniał sobie ciebie. Chwilę mu to zajęło, ale jak się można było spodziewać, nagle się wyprostował, a stał tuż przede mną, i trzeba było widzieć jego twarz. Ryknął: „Templariusz!”, i ponownie przywołał strażników. Nawrzeszczał na nich i wysłał w pogoń za tobą. Jest ich co najmniej dziesięciu, tyłu zobaczyłem, zanim uciekłem, ale może być więcej. On myśli, że jesteś sam. Mają znaleźć ciebie, nikogo innego, więc nie będą się spodziewali oporu. Na początku pobiegli w złym kierunku, główną drogą.

- No tak, w stronę klasztoru, ponieważ szukają mnicha, a nie mnie. — Człowiek, którego nazwano sir Williamem, szybko zdejmował swój obdarty czarny habit. Ściągnął go przez głowę, zwinął w kłębek i rzucił na wóz. - Teraz pędem, Watt - zwrócił się do przybyłego. - Uzbrój się, ale szybko, i zmykajmy stąd. Tam, zostawimy tutaj wóz. W mieście już go nie będziemy potrzebowali.

Odwrócił się od nich, ze złością ciągnąc za tunikę, którą miał na sobie pod habitem. Wcześniej podwinął ją i upchnął w pasie, aby nie można było jej dostrzec przez dziury w wytartym habicie, i teraz

opasywała jego talię oraz lędźwie grubą warstwą. Wykrzywił usta i kłął pod nosem, wijąc się i wiercąc, aż w końcu rozprostował krępujące ruchy fałdy i ułożył materiał tak, aby zwisał wygodnie.

- Tam, moja kolczuga - powiedział. - Ale getrów mi nie podawaj. Nie ma czasu, żeby je teraz wkładać. Zrobię to później.

Zanim Tam zeskoczył z wozu na bruk, rzucił mu dłuższą sztukę odzienia, okrycie z barchanu sięgające połowy łydki, rozcięte z przodu i z tyłu do wysokości krocza, pokryte ciężkimi ogniwami.

- Co z końmi? - zapytał, zeskakując na ziemię z hełmem i kapturem od kolczugi w ręce.

- Zostaw tutaj. Ktoś je znajdzie, weźmie sobie i uzna, że Bóg mu je zesłał. Pomóż mi.

Rycerz błyskawicznie nałożył kolczugę, lecz brak cierpliwości utrudniał mu zapięcie skórzanych pasków, które utrzymywałyby ją na miejscu; jeden z ludzi zbliżył się, by mu pomóc, skupiając się na przepychaniu pasków przez sprzączki umieszczone pod pachami sir Williama. Kiedy rycerz poczuł, że zapięto ostatni, uniósł wysoko ramiona i poruszył barkami, sprawdzając, czy są przykryte i niezbyt skrepowane, aby mógł walczyć. Wziął kaptur od Tama i naciągnął go, rozkładając dolną część na ramionach, po czym zapiął paski pod brodą. Kiedy ułożył go już wygodnie, wziął płaski, sklepiony hełm i wsadził go na głowę.

- Dzięki, Tam. - Kiwnął głową drugiemu mężczyźnie, który mu pomógł. - I tobie, Iain. Teraz miecz, jeśli łaska.

Podniósł długi miecz o rękojeści w kształcie krzyża i chwycił go u góry skórzanej pochwy, po czym przerzucił pas przez pierś, tak że miecz wisiał wzdłuż jego pleców, a długa rękojeść wystawała mu nad barkiem.

- A teraz migiem, chłopcy. Już za długo tu jesteśmy. Tamci za czną deptać nam po piętach, kiedy odkryją, że nie idę przed nimi do dominikanów. Tam, weź torbę, a ty, Hamisz, opończe, i rozdaj je wszystkim po drodze. Reszta, trzymajcie się razem i nie ociągajcie, ale zachowajcie ciszę i bądźcie gotowi na wszystko. Nie dobywajcie mieczy i miejcie wolne ręce, lecz jeśli ktoś spróbuje nas zatrzymać, zgładźcie go, zanim podniesie alarm. Idziemy!

Ruszyli natychmiast. Były mnich i towarzyszący mu woźnica kroczyli na czele grupy, której członkowie dla ochrony ustawili *siq* za

nimi i dookoła nich. Po drodze wysoki czeladnik Hamisz niósł przed sobą dużą, otwartą skórzaną torbę, z której inny mężczyzna powyciągał ciasno zwinięte tłumoki z materiału i rozdał pozostałym; wszystkie poza jednym były jasnobrązowe. Po otrzymaniu swojego każdy chwycił płat materiału i potrząsał nim, aż tkanina się rozprostowała. Potem zakładał okrycie przez głowę, w mgnieniu oka przeobrażając się z nijakiego, choć solidnie uzbrojonego pieszego w natychmiast rozpoznawalnego serwienta Zakonu Świątyni, odzianego w sięgającą kostek brązową opończę z równoramiennym czerwonym krzyżem krzyżowców wyhaftowanym z przodu i z tyłu. Opończa ich dowódcy - jedyna biała - oznaczała, że jest on rycerzem Zakonu; teraz znów szedł na czele, a jego gołe kostki i blade, obute w sandały stopy wyraźnie było widać spod ciężkiego rąbka kolczugi, którą miał pod opończą. Tam Sinclair bez wysiłku zarzucił na ramię wyładowany toból.

- To co, sir Willie, powiesz mi, kim był ten pyszałkowaty rycerz? Widać było, że cię zna, ale skąd?

Po raz pierwszy sir William Sinclair się uśmiechnął.

- No cóż, i tak, i nie, Tam, ale jestem zaskoczony, że o to pytasz. Akurat jego najmniej się tu spodziewałem. Naprawdę go nie poznałeś?

- Nie, ale zorientowałem się, że coś jest nie tak, kiedy zaczęłeś ryczeć jak osioł. Skąd ci się to wzięło?

- Z potrzeby, Tomaszu, z konieczności. Nie mogę uwierzyć, że nie rozpoznałeś człowieka. Jak mogłeś zapomnieć jego zgrzytliwego, świńskiego kwiku? Niecały rok temu chciałeś go wybebeszyć, a ja musiałem się nieźle natrudzić, żeby cię od niego odciągnąć. To był Geoffrey Klawisz. Nasze drogi przecięły się, kiedy ostatnio podróżowaliśmy do Paryża. Był wtedy w Orleanie, zarządzał królewskim więzieniem.

Na te słowa twarz Tama się rozjaśniła.

- No jasne! Na siki świętej dziewicy, już sobie przypominam. Jego zbroja mnie zmyliła. To ten oprawca! Już wtedy, bez królewskiej opończy, był parszywym skurczybykiem. Zdecydowanie za bardzo lubił zadawać ból podwładnym. Ale mniejsza z tym, że chciałem wypruć mu flaki. Ty też raz chwyciłeś przez niego za sztylet. Myślałem, że przerobisz go na filety w jego własnym więzieniu.

-Tak, ten sam. Geoffrey de coś tam... Martinsville, tak się nazywał! Wiedziałem, że pamiętam. Ale to wielki pech, że się tu na niego

natknąłem. Nie poznał mnie, bo zgoliłem brodę i skróciłem włosy, ale faktycznie ma pamięć do twarzy, tak jak twierdził.

- Nadciągają — rozległo się z tylnego szeregu.
- Ilu i gdzie są? - Sir William nawet nie rzucił okiem do tyłu.

Odpowiedział mu spiętym głosem Tam:

- Sześciu. Może sto kroków za nami, może więcej. Na drugim końcu ulicy.

- Widzą nas?

- Nie, nie lepiej niż ja ich, a ledwo ich dostrzegam.

- Dobrze, idźmy więc dalej i nie odwracać się, chyba że usłyszycie, iż zaczęli biec. Pamiętajcie, szukają mnicha, jednego człowieka. Nie zwróć uwagi na drużynę w opończach, tak blisko komturii.

Siedmiu ludzi szło dalej swobodnie i - pozornie - niespiesznie, lecz udało im się szybko przebyć kręte uliczki starego miasta, kierując się w stronę położonego na nabrzeżu celu: grupy ufortyfikowanych budynków tworzących miejscową siedzibę templariuszy, zwaną po prostu komturią. Pięciu z nich nie znało miasta - tylko sir William i Tam byli tu wcześniej — więc po drodze rozglądali się, usiłując dojrzeć szare kamienne budynki w szybko zapadających ciemnościach, czujnie przy tym nastawiając ucha, czy nie słyszą tupotu biegnących stóp bądź podniesionych głosów. W domach, które mijali, nie zapalono jeszcze świateł i mieli wrażenie, że są jedynymi żywymi ludźmi na ulicach całego La Rochelle.

Odziany w biel rycerz się nie rozglądał. Kroczył z podniesioną głową, patrząc przed siebie. Jego sandały nie wydawały żadnego dźwięku na kocich łbach, a myśli o tamtej kobiecie, wielkookiej, wyjątkowej urody, doprowadzały go do szaleństwa. Nie spotkał jej wcześniej, ponieważ w dorosłym życiu nie zadawał się w ogóle z kobietami: był związany celibatem tak długo, że stało się to dla niego równie naturalne jak oddychanie. Kiedy chciał odtworzyć w myślach wyobrażenie jej twarzy, nie udawało mu się to. Widział tylko te niezwykle oczy.

Wściekły na siebie za marnowanie czasu na takie bzdury potrząsnął głową, jakby chciał się pozbyć owych zdradliwych rozważań, i przyspieszył kroku, zmuszając się do skupienia na czekającym go zadaniu. Znajdował się zaledwie kilka chwil drogi od komturii w La Rochelle i zaczął rozmyślać o tym, co ma do powiedzenia ludziom, z którymi niedługo miał się spotkać. Po raz setny chyba usiłował

przeformułować argumenty, które chciał przywołać. Wiedział, że bez względu na to, jak ostrożnie zabierze się do wyjaśniania, jak taktownie i umiejętnie wyłoży swoje wieści, sama treść doniesienia wywoła gniew, niedowierzanie i konsternację, a także poda w wątpliwość jego trzeźwość sądu.

Sir William Sinclair przez całe życie zdobywał reputację człowieka z poświęceniem służącego ideałom Zakonu Świątyni; zajmując się sprawami templariuszy, podróżował tak dużo i od tak dawna, że obecnie lepiej znał Francję i Italię niż swoją rodzimą Szkocję. Teraz - jako człowiek w sile wieku, przedwcześnie siwiejący, lecz wciąż krzepki i mocny - szczył się nowo zdobytą pozycją członka rady Zakonu. Ostatnie, czego teraz potrzebował, to choćby najdrobniejsza sugestia, że może mieć urojenia. Wiedział jednak, że sam nie uwierzyłby w te wieści, które miał przekazać, gdyby ktoś inny mu je przedstawił. Spodziewał się, że wzgląd na jego dotychczasową karierę powstrzyma innych przed wyśmianiem go, ale prawda była taka, że historii, którą miał opowiedzieć, trudno było dać wiarę, a jego braci rycerzy cechował przede wszystkim pragmatyzm: nie słynęli z łatwowierności. Dla nich wiadomości te na pewno będą trącić wymysłami i szaleństwem. Ich trzeźwy rozsądek i legendarna prawość przełożonych były solidnie zakorzenione w dwustuletniej tradycji uczciwości i służby Kościołowi oraz chrześcijaństwu.

Zadaniem sir Williama było powiadomienie rycerzy komturii w La Rochelle, że ich świat - absolutna władza i wpływy, którymi cieszyli się templariusze w całym świecie chrześcijańskim i poza jego granicami - przestanie istnieć w ciągu tygodnia.

Choć go to nie pocieszało, wiedział, że tak naprawdę nie musi przekonywać ich o tym, że owa zadziwiająca wiadomość jest prawdziwa. Miał uprawnienia, aby wymusić przestrzeganie swoich rozkazów i zażądać od komturii pełnej współpracy oraz pomocy w wypełnianiu jego oficjalnych obowiązków, które nadał mu osobiście wielki mistrz Zakonu, Jacques de Molay. Musiał jedynie rozkazać im, aby tymczasowo wycofali wszystkie swoje siły i cały dobytek za bramy i zostali za nimi, bezpieczni przed morderczymi, zdradzieckimi atakami króla Francji.

Zamyślony Sinclair był jednak świadom tego, co się dzieje dookoła niego, i poznał okolicę, kiedy skręcił za ostatni róg wąskiej uliczki i zobaczył falę światła, która oznaczała koniec jego podróży, a także

rozległy brukowany plac przed głównym wejściem do kompleksu budynków zakonnych.

Siedzibę komturii zbudowano przy porcie, wzdłuż nabrzeża, aby umożliwić przybijanie i odpływanie statkom oraz licznej załodze wielkiej floty galer Zakonu; większość z nich to były statki towarowe, kursujące po wodach, na których uprawiano handel. Jednak znaczna część *Roty* składała się z niezwykle skutecznych galer bojowych, obsługiwanych i dowodzonych przez braci Zakonu. Ta siła -flota bojowa - istniała wyłącznie po to, aby wykluczyć jakąkolwiek możliwość kradzieży majątku Zakonu na morzu.

Sir William poruszył ramionami i poluzował obiema rękami miecz w pochwie; był to zwyczaj tak głęboko zakorzeniony, że robił to nieświadomie. Teraz, kiedy widział przed sobą oświetlony plac, nie spodziewał się już jednak kłopotów. Strażnicy, którzy szli wcześniej za nimi, zniknęli, aby szukać gdzie indziej, nie zwracając na nich uwagi - najwyraźniej uznali ich prawdziwą tożsamość. Wygiął palce i mocniej chwycił pochwę miecza, prostując ramiona i wracając do rozważań o tym, co powie preceptorowi; zauważył po swojej lewej, ledwie kilka kroków przed sobą, ciemną, wąską przerwę między dwoma wysokimi budynkami i już miał przejść obok, prowadząc swoich towarzyszy, lecz usłyszał dobiegające stamtąd głosy.

- Nie zatrzymywać się - warknął. - Nie zważajcie na to.

- Stać! - rozległ się okrzyk z mroku zalegającego w zaułku. - Wy tam! Stać, w imię króla Filipa.

Usłyszeli tupot.

William szedł dalej, przyspieszając kroku i mówiąc przez ramię:

- Stawcie im czoło, Tam. Zatrzymajcie ich, ale nie walcie. Utrzymajcie tylko dość daleko ode mnie, żeby nie dostrzegli, co mam na sobie. Jeśli zobaczą, że nie mam getrów, tylko mnisze sandały, ktoś z nich może być dość bystry, by zgadnąć, że to mnie szukają, i skończy się rozlewem krwi. A są ludźmi króla, więc to nie byłoby rozsądne w obecnych okolicznościach.

Zmierzał w stronę wylotu ulicy leżącego mniej niż trzydzieści kroków od niego i wkrótce wszedł na pusty plac, który dzielił go od głównej bramy komturii. Obejrzał się i zobaczył, że jego sześciu ludzi ustawiło się w szereg w poprzek ulicy, plecami do niego, opierając czubki mieczy o bruk. Kiedy tak stali - każdy miał dość miejsca, aby

się swobodnie bronić - grupa rozlazłych żołnierzy garnizonowych wysypała się z alejki i zatrzymała raptownie; ich natarczywe okrzyki natychmiast ucichły. Było ich tylko dziesięciu i najwyraźniej nie spodziewali się ujrzeć sześciu templariuszy czekających na nich z wyciągniętymi mieczami.

Kiedy sir William obserwował rozwój sytuacji, usłyszał, że ktoś biegnie w jego stronę z komturii; rozpoznał młodego serwienta Ewana, który wcześniej odprowadzał damę.

- Sir Williamie!

Sinclair odwrócił się do młodego człowieka, uciszając go gwałtownym gestem, lecz Ewan już stał przy nim, pilnie chcąc przekazać mu jakąś wiadomość.

- Sir Williamie! Ja...

- Sza, chłopcze! Milcz. -

Ale...

- Milcz! I patrz tam. — Machnął ręką w stronę uliczki, z której się właśnie wyłonił.

Tam Sinclair nie dał straży królewskiej czasu na zwanie szyków, lecz od razu wszczął zatarg, zwracając się do gburą wyglądającego na ich dowódcę. Donośny, napastliwy głos, którym mówił w płynnej kolokwialnej francuszczyźnie bez żadnych obcych naleciałości, niósł się wyraźnie po uliczce i docierał do uszu sir Williama.

- No, szumowiny, czego od nas chcecie? Hę? No czego? Jakim wy myślonym prawem śmiecie rzucać wyzwanie bractwu Zakonu? Za czepiliście nas i kazaliście się nam zatrzymać w imię króla. Po co?

Żaden z wartowników mu nie odpowiedział; sposób, w jaki zerkali po sobie i unikali patrzenia na templariuszy, jednoznacznie wskazywał, że nie wiedzą, co począć.

Tam jeszcze bardziej podniósł głos.

- No już, to proste pytanie i wymaga prostej odpowiedzi. Dlaczego kazaliście się nam zatrzymać? Czy jesteśmy przestępcami? Wiecie, co zrobiliście, żądając czegokolwiek od członków Zakonu, nie mając odpowiedniej władzy? Z jakich głębin głupoty wziął się pomysł, żeby wtrącać się w sprawy Zakonu?

Mimo otwartej zniewagi w jego słowach wciąż nikt nie odpowiadał Tamowi, a on nie miał litości.

- Zaniemówiliście czy po prostu jesteście jeszcze głupszy, niż na to

wyglądacie? Jesteście ludźmi króla, a przynajmniej takie nosicie stroje, to musicie wiedzieć, z kim zadarliście. Na pewno wiecie też, że nie macie ani prawa, ani możliwości żądać od nas wyjaśnień na jakikolwiek temat. Jesteśmy serwientami Zakonu i odpowiadamy wyłącznie przed wielkim mistrzem, który z kolei odpowiada przez papieżem. Wasz król nie ma prawa nam rozkazywać. Żaden król w świecie chrześcijańskim go nie ma.

Urwał i mierzył wzrokiem swoich - teraz już skonsternowanych — przeciwników.

- To jak będzie? Chcecie przeszukać nas i zginąć czy tylko przesłuchać nas i zginąć, czy walczyć z nami i zginąć? Wasz wybór. Słucham.

Na to dowódca straży odzyskał głos.

- Nie możesz nam grozić - powiedział tonem bardziej przypominającym jęk niż oskarżenie. - Jesteśmy w służbie króla.

- Choć - kontynuował Tam Sinclair, jakby nie usłyszał ani słowa - macie jeszcze czwarte wyjście. Możecie bez awantur zostać tam, gdzie stoicie, i patrzeć, jak odchodzimy, nie rozlawszy waszej krwi. Potem będziecie mogli też pójść w swoją stronę i nikt nie szepnie ani słowa o tym spotkaniu. Zgoda? - zwrócił się do człowieka, który chwilę wcześniej się skarżył. Był zniecierpliwiony tym, jak długo musi czekać na odpowiedź. - To jak? Odchodzimy w swoją stronę czy walczymy? - Uniósł czubek miecza na wysokość pasa, nie groźnie, lecz wymownie.

Mężczyzna kiwnął głową.

- Odchodzimy.

- Świetnie. Stójcie zatem w miejscu, dopóki nie znikniemy.

Ludzie sir Williama odwrócili się plecami do swoich niedoszłych przeciwników i - wciąż z wyciągniętymi mieczami - przeszli ciemną już ulicę, aby do niego dołączyć. Dopiero wtedy odwrócił się do stojącego obok młodzieńca, a Ewan natychmiast zaczął mówić.

- Panie, mam...

- Cicho! Wiem, że masz coś do powiedzenia, ale to musi poczekać. Mam pilniejsze sprawy na głowie. Dołącz teraz do innych i włoż opończę.

Kiedy serwient odchodził z nosem na kwintę, sir William ponownie zwrócił się w stronę komturii, wiedząc, że kiedy tylko wszedł

na plac, dostrzeżono go z wartowni, i że pełniący służbę strażnik o najwyższej randze od razu wezwał dowódcę. Idąc ku bramie, sir William uśmiechnął się, kiedy zasłużony serwient wyszedł żwawym krokiem z wartowni; prowadził za sobą czterech ludzi, a potem stanął jak wryty, marszcząc brwi na widok nagich kostek nadchodzącego mężczyzny, pozbawionego brody i ubranego w białą opończę, któremu towarzyszyła własna eskorta. Podniósł nieco rękę, aby zatrzymać swoich ludzi, aż człowiek w rycerskiej opończy dotarł do drzwi.

- Witaj, Tescar. Masz nieufny wyraz twarzy. Nie poznajesz mnie? Czy masz zamiar zabronić mi wchodzić do komturii z powodu mojego ogolonego podbródka?

Zmarszczone czoło zdumionego serwienta wygładziło się.

- Sinclair? Sir Williamie, to ty? Na święte imię Boga, co ci się stało?

- To długa opowieść, stary druhu, a ja mam dla preceptora pilne wieści z Paryża. Czy jest na miejscu?

- Ty też? Tak, jest, ale chyba musisz poczekać w kolejce. Wygląda na to, że dziś kto pierwszy, ten lepszy, a ty jesteś trzecią osobą, która szukała go w ciągu ostatniej półgodziny.

- Muszę więc żądać pierwszeństwa, bracie. Jak mówiłem, mam pilne wieści z Paryża, od samego mistrza de Molaya. Czy admirał też tu jest?

Tescar wyszczerzył zęby.

- Tak, jest, a wieści od mistrza już przekazano. Twój brat-rycerz przybył nie dalej niż chwilę temu, od strony bramy południowej, bez wątplenia niosąc tę samą wiadomość.

- Jaki brat-rycerz? Przekroczyliśmy bramę południową, kiedy ją zamykano, i musieliśmy czekać. Nie było tam żadnego innego templariusza, dostrzegliśmy go. Jesteś pewien, iż powiedział, że przyjechał z południa? Co to za jeden?

Wartownik wzruszył szerokimi ramionami.

- Tak powiedział, od strony bramy południowej. Jeśli chodzi o to, kim jest, nie znam go. Nigdy wcześniej go nie widziałem. Ale przyjechał tu z jednym towarzyszem z Paryża, wioząc wiadomości od wielkiego mistrza dla preceptora i admirała.

Kiedy sir William zdał sobie sprawę, że to zapewne ta pilna wiadomość tak poruszyła młodego Ewana, jego dłonie sięgnęły do miecza;

jedną chwycił rękojęć, drugą pochwę. Odciągnął Tescara za rękaw z dala od innych, poza zasięg głosu, i powiedział cicho:

- Słuchaj, Tescar. Coś jest nie tak. Nie ma innego posłańca. De Molay wysłał tylko mnie do La Rochelle. Jak ten człowiek wygląda?

- Jak ty, ale jest lepiej odziany. - Tescar znów marszczył czoło, a na jego twarzy pojawił się gniew. - Biały płaszcz, biała opończa, bujna, rozwidlona broda. Powiedział, że przybywa z Paryża z pilną wieścią od wielkiego mistrza. Wpuściłem go. Dlaczego miałbym tego nie zrobić?

- Spytałeś go o nazwisko?

- Tak, jakieś angielskie. Godwinson czy Goodwinson, coś takiego. Ale na pewno jest templariuszem.

- W tych czasach nic nie jest pewne, Tescar. - Sinclair ruszył błyskawicznie w stronę wejścia, gestem nakazując Tamowi i innym serwientom, aby szli za nim. - Jak wyglądał?

- Już ci mówiłem. Jak ty, jak templariusz. - Tescar przyspieszył kroku, aby nadążyć za Sinclairem, prowadząc za sobą resztę. - Rosły człowiek, długa broda, ruda z białym pasmem po boku.

- Co? - Sinclair stanął raptownie, obracając się w stronę serwienta i zatrzymując go ręką. - Bujna broda z białym pasmem? Po lewej?

- Właśnie tak. - Tescar, pełniący funkcję serwienta od wielu lat, potrafił rozpoznać sprawę nie cierpiącą zwłoki i nie tracił czasu na zbędne pytania. - Natychmiast cię wprowadzę. Chodź. Twoi towarzysze mogą pójść do refektarza. Zdążą jeszcze na wieczerzę.

- Nie, pójdą ze mną. Sam wejdę. Zostań tutaj i zarygluj bramę. Natychmiast pozamykaj to miejsce. Nikt nie może go opuścić ani wejść bez mojego pozwolenia, jasne?

- Tak, ale...

- Nie czas na gadanie, Tescar. Odetnij dostęp do budynku i módl się, żebyśmy nie byli już spóźnieni. Tam, szybko, ze mną. I weź po pozostałych.

Ludzie dobrej woli

1

Sir William Sinclair przeszedł przez wieżę głównej bramy i dotarł do rozległego dziedzińca siedziby Zakonu, otoczonego czterema trzy-piętrowymi budynkami. Od razu skręcił w lewo, w stronę ciężkich drzwi prowadzących do głównego budynku administracyjnego. Urzędowali w nim i mieszkali starsi stopniem dowódcy garnizonu. Tam Sinclair musiał niemal biec, aby go dogonić. Chwycił kuzyna za rękaw i obrócił ku sobie.

- Poczekaj, do diabła, czekaj no! Zatrzymaj się na chwilę. Do czego się spieszymy? Co się dzieje? Dlaczego biegniesz?

- Bo to mi się nie podoba. Coś tu śmierdzi, Tam. Nie słyszałeś, co powiedział Tescar?

- Trochę tak, ale nie wszystko. Szeptaliście jak dwaj kochankowie. Kim jest ten drugi rycerz, ten Godwinson?

- Nie wiem, ale kimkolwiek jest, to kłamca. Żaden brat-rycerz nie ma nic do czynienia z wieściami od de Molaya. Sam wiesz, że wysłał tylko nas. A przy południowej bramie nie było żadnego innego templariusza. - Zatrzymali się u stóp schodów prowadzących do drzwi.

- Więc kim jest ten Godwinson i skąd przyjechał? Nie od strony bramy południowej, przecież wiesz. Pamiętasz, jak dwa tygodnie temu widzieliśmy w Paryżu de Nogareta? - Tam skinął zmartwiony, a sir William ciągnął, wchodząc po schodach: - Ale najwyraźniej nie tak dobrze jak ja. Przypominasz sobie, kto wtedy z nim był? Pomyśl no. Właśnie wyszli z rezydencji króla i czekali na powóz.

- Ano, pamiętam, że go widziałem, ale nie wiem kto to. Byłem zbyt zajęty patrzeniem na kanclerza, niech go piekło pochłonie. Ale ten drugi był rośły i rudobrody... Na Chrystusa!

- lak, olbrzym z rudą brodą, która ma białe pasmo. Czy był tem plariuszem? Wątpię. Nie był ubrany jak jeden z nas. Nie, Tam, jeśli de Nogaret jest w to zamieszany, nie ma to absolutnie nic wspólnego z Chrystusem.

Dotarli na szczyt schodów przed wejściem do głównego budynku. Sir William szeroko otworzył drzwi i wszedł, a podążający za nim ludzie rozeszli się półkolem i zaczęli rozglądać, wyraźnie nie wiedząc, czego szukają.

- Nie stracie głowy, chłopcy - powiedział sir William - i stąpajcie cicho. Nie wiem, co tu znajdziemy, ale przygotujcie się na najgorsze.

Poprowadził ich korytarzem, który odchodził w prawo od ogromnego wejścia, ale nagle stanął jak wryty. Tam wpadł na niego.

- O co chodzi? - spytał chrapliwym szeptem.

- Nie ma straży. - Przed nimi widniały kolejne zamknięte podwójne drzwi. Sir William wyciągnął miecz z cichym zgrzytem stali. - Byłem tu ze dwadzieścia razy, Tam, i nigdy nie widziałem, żeby te drzwi nie były strzeżone. Stać! Ktoś idzie.

Teraz już wyraźnie słyszeli coraz głośniejszy odgłos kroków zbliżających się z głębi korytarza; potem pojawił się odziany w białą pelerynę rycerz. Dostrzegł ich natychmiast i zachłysnął się ze strachu na widok miecza sir Williama, ale Sinclair już szedł w jego stronę, podnosząc palec do ust, aby go uciszyć.

- Admirale - wyszeptał natarczywym tonem - zostań tutaj. To ja, William Sinclair.

Admirał Karol de Saint Valery był najwyraźniej zdumiony, lecz nie ruszył się z miejsca.

- Gdzie jest de Thierry? - spytał go Sinclair.

Saint Valery zrobił minę, jakby chciał odpowiedzieć ze złością, lecz tylko wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Ostatnio widziałem go w pokoju dziennym, ale to było pół godziny temu. Od tamtej pory byłem na górze. Dla czego ty i twoi ludzie poruszacie się tutaj, po komturii, z obnażonym orężem, sir Williamie?

Sinclair rozejrzał się, lecz w korytarzu nie było nikogo poza jego drużyną. Saint Valery znów się odezwał; jego głos wciąż był cichy, lecz krył się w nim ostry ton:

- Nie zamierzasz mi odpowiedzieć, panie?

- Tak, odpowiem ci, admirale. - Sinclair zerknął na niego, a potem znów popatrzył w stronę zamkniętych drzwi do pokoju dziennego, gdzie załatwiano sprawy komturii. - Mam nadzieję, że za chwilę będę ci mógł powiedzieć, że nie potrzebujemy tu obnażonego oręża, lecz na razie nie jest to jasne. Gdzie twoi strażnicy?

- Moi...? - Saint Valery spojrzął w stronę, gdzie powinni stać jego dwaj ludzie. - No właśnie, gdzie oni są?

- A ten Godwinson, gdzie on jest?

- O czym ty mówisz? Kto to jest Godwinson?

- No tak. Mówisz, że od pół godziny byłeś na górze?

- Zgadza się.

- Zatem nie było cię, gdy przyjechał. Widzę też, że nie jesteś uzbrojony.

- Nie, nie jestem. Czy potrzebuję zbroi i broni we własnym domu?

- Chodź ze mną, admirale, i rób, co ci każe.

Sinclair odwrócił się na pięcie i zaprowadził admirała do czekającego Tama i serwientów.

- Tam, niech dwaj twoi ludzie strzegą tu admirała i dopilnują, aby był bezpieczny. - Kiedy Tam wzywał do siebie dwóch mężczyzn, sir William ponownie zwrócił się do Saint Valery'ego. - Mam powody przypuszczać, że po drugiej stronie tych drzwi czekają na ciebie wrogowie, admirale, i że ten, kto pierwszy przez nie przejdzie, powinien być dobrze uzbrojony. Może nie mam racji, ale obawiam się, że jednak się nie mylę. Zostań więc tu, pod ścianą, aż zbadamy, co się dzieje w środku. Tam!

-Tak, Will?

- Czterech twoich ludzi na zewnątrz, do Tescara przy bramie. Niech mu powiedzą, że potrzebują kusz. Szybko, ale bez zwracania na siebie uwagi.

- Tak jest.

Kiedy czekali na powrót czterech serwientów, admirał Saint Valery przyglądał się Sinclairowi, który z kolei patrzył w milczeniu na zamknięte wejście do komnaty.

- O czym myślisz, sir Williamie?

- O zbrojach, lordzie admirale. Czy masz zbroję w swojej kwaterze?

- Oczywiście.

- A metalowy kirys?
- Też.
- Idź więc, jeśli łaska, i jak najszybciej to włóż.

Admirał uśmiechnął się krzywo.

- Mam też dodatkową kolczugę, najświetniejszy wytwór wyznawców Allaha, najmocniejszą i najlżejszą zbroję na świecie. Czy ją też powinienem włożyć? - żartował, lecz Sinclair był całkowicie poważny.

- Tak, powinieneś. - Zobaczył, jak admirał wytrzeszcza oczy, i uniół rękę. - Pierwszy człowiek, który przejdzie przez te drzwi, sir Karolu, być może dostanie beltem z kuszy w klatkę piersiową, więc potrójna warstwa ochronna nie byłaby przesadą. Wziąłbym twoją pelerynę i udałbym ciebie, gdyby nie to, że nie mam dziś brody i jestem świeżo ogolony, podczas gdy ty... wyróżniasz się wyglądem. Powinieneś więc wejść pierwszy. Będę przy tobie razem z naszymi czterema kusznikami, celującymi w to, co kryje się w tej komnacie.

- Hmm. A właściwie kto tam jest? - Nikt nie mógłby oskarżyć Saint Valery'ego o nadmierną pobudliwość lub brak odwagi, a teraz w jego głosie pobrzmiwała jedynie ciekawość, bez śladu niepokoju.

Sir William potrząsnął głową.

- Nie wiem, lecz spodziewam się, że znajdziemy tam dwóch martwych strażników, a preceptora albo martwego, albo w niewoli. Wróg przeniknął na nasze terytorium, admirale. Dokonano wyłomu w umocnieniach. Jedyne, co wiem o naszym gościu, to że ostatnio widziałem go w Paryżu, w towarzystwie Wilhelma de Nogareta, kanclerza króla, niecałe dwa tygodnie temu. Nie znam jego imienia, lecz przy bramie podał Tescarowi angielskie nazwisko Godwinson i został wpuszczony. Jest odziany jak rycerz Zakonu, ale żaden z niego templariusz ani przyjaciel Zakonu.

- Rozpoznałeś go?

- Nie, nie widziałem, ale przypomniałem go sobie na podstawie opisu Tescara.

Saint Valery marszczył brwi.

- Skąd możesz wiedzieć, że to ten sam człowiek? Opisy zawsze są mało konkretne. Równie dobrze może to być brat, który przyjechał w gošcinę z Anglii.

- Gdzie zatem są twoi strażnicy, admirale? A może ten Godwinson po prostu uznał za stosowne ich odprawić? Opis Tescara nie pozosta-

wił wątpliwości. Rosły człowiek o bujnej, rudej brodzie z białym pasmem po lewej stronie. Może i są we Francji dwaj ludzie o tak nietypowym zaroście, ale dopóki nie dowiem się, że nie mam racji, dopóty będę działał tak, jakbym ją miał. Proszę, idź i uzbrój się. Poczekamy na ciebie. Cokolwiek zaszło w tej komnacie, już dawno się dokonało i najwyraźniej nikomu nie jest pilno stamtąd wyjść.

Czterej serwienci Tama wrócili zaledwie chwilę po tym, jak Saint Valery poszedł włożyć zbroję, więc sir William odciągnął ich na stronę i wyjaśnił, czego od nich oczekuje. Dwaj zajęli pozycje po obu stronach drzwi, plecami do ściany, pozostali dwaj zaś położyli się na brzuchach na ziemi, z ciałami ułożonymi pod kątem do wejścia i gotowymi do strzału kuszami wycelowanymi w stronę drzwi. Sir William wyjaśnił im, że wejdzie z admirałem i po przekroczeniu progu odepchnie go, by ocalić przed atakiem. Sam rzucił się w przeciwną stronę, co pozwoli kusznikom strzelać z podłogi w stronę pokoju. O ile wiedział, w środku są tylko dwaj ludzie, lecz nie mógł być tego pewien. Dodał też, że ostatnio zdrada szerzy się we Francji jak suchy murz i że Nogaret wszędzie ma szpiegów i zauszników. W każdym razie w komnacie najpewniej jest tylko jedna kusza i kiedy już padnie z niej strzał, trzeba ją będzie ponownie naładować. Jeśli ludzie na podłodze nie będą w stanie wykończyć tego, kto z niej będzie strzelał, nadejdzie kolej na stojących przy drzwiach. Natychmiast wbiegną do komnaty i zamienią się miejscami. Któryś z nich powinien poradzić sobie z kusznikiem. Rudobrodym oszustem miał się zająć sam Sinclair.

Wrócił admirał Saint Valery, sprawiając wrażenie znacznie roślejszego i poruszając się o wiele mniej swobodnie, z mieczem zawieszonym na ramieniu. Sir William przeciął powietrze własnym orężem i schował go za plecami.

- Jeśli łaska, admirale, stań po mojej lewej i dowiedzmy się, co nas czeka. Te drzwi otwierają się do wewnątrz, prawda?

- Tak. Gotowi? - Saint Valery ruszył cicho do przodu, aż stanęli obok siebie przy drzwiach. Chwycił klamki w kształcie pierścieni z czarnego żelaza, uniósł je nieco, po jednej w każdej dłoni, a potem nabrał głęboko powietrza, obrócił obie, otworzył szeroko drzwi i wszedł do środka.

Na początku Sinclair zupełnie nic nie widział. Wyglądało na to, że wielka komnata jest pusta. Lecz potem dostrzegł po swojej lewej

szeroką smugę krwi na podłodze - ktoś zapewne odciągnął zwłoki na bok - a jednocześnie po prawej coś mu mignęło. Zareagował natychmiast, mocno popychając bark admirała; ciało starszego mężczyzny było napięte, więc niespodziewany cios sprawił, że się zatoczył, na mgnienie oka przed tym, jak dosięgnął go wystrzelony z bliska bełt, którego siła cisnęła nim o podłogę pod ścianą. Sinclair odskoczył w przeciwną stronę, a kiedy grzmotnął plecami o otwarte drzwi, dostrzegł kolejny ruch po swojej lewej, po czym drugi bełt - dla którego to on był celem — wbił się do połowy w litą dębinę drzwi blisko jego głowy. Z dołu usłyszał brzęk cięciwy, a kiedy podniósł wzrok, dostrzegł swojego niedoszłego mordercę z kuszą wciąż opartą o ramię, przebitego bełtem wystrzelonym przez jednego z serwientów leżących na podłodze. Skierowany w górę pocisk przeszedł przez szyję napastnika na wylot, wbijając się pod podbródkiem, potem wystrzelił przez podstawę jego czaszki, a w końcu utkwiał w szparze między dwoma kamiennymi blokami w ścianie.

Sir William oderwał się od drzwi, obracając się wokół własnej osi z mieczem w ręku, podczas gdy reszta drużyny wpadła do komnaty.

Rudobrody mężczyzna w rycerskiej pelerynie stał pod ścianą, wciąż trzymając kuszę, z której bełt powalił Saint Valery'ego; patrząc na Sinclaira i wbiegających ludzi, upuścił bezużyteczną broń i podniósł dłonie, a potem rzucił na ziemię gruby płaszcz templariusza, dobył miecza i ugiął kolana. Wygiął usta we wrogim grymasie.

- Jest mój - powiedział Sinclair.

Rudobrody odsunął się od niego po linii okręgu, a Sinclair podążył za nim, czekając, aż zrobi jakiś ruch. Nagle rozległ się świst i donośny odgłos, jakby coś wbijało się w mięso, a nieznajomy padł na kolana i przewrócił się na twarz. Sztylet Tama uderzył o podłogę obok niego. Sir William powoli wyprostował nogi.

- Udało się, Tam?

- Ano, panie, idealny rzut. No, chyba że naprawdę chciałeś dać sukinsynowi drugą szansę.

- Nie zabiłby mnie, Tam.

- Pewnie nie. Ale ty zabiłbyś jego i byłoby po sprawie. A tak wciąż żyje, jak sądzę, i może się dowiemy, po co tu przyjechał.

- Wiem, po co tu przyjechał, i osiągnął swój cel. Chciał zabić admirała i preceptora.

- Psiakrew, no tak, ale dlaczego?
- Aby wywołać dziś chaos. Przed jutrem.
- No to nie dopiął swego. Admirał żyje. Bełt ino uderzył o jego kolczugę i go odrzucił, ale nie zranił. Będzie zdrów. Trochę poobijany, ale nawet nie krwawi.

Sir William odwrócił się szybko i zobaczył, jak dwaj ludzie podnoszą z podłogi bezwładne ciało admirała.

- Dzięki Bogu. Myślałem, że się spóźniłem. Poślijcie kogoś do infirmerii, niech przyprowadzi chirurga albo medyka, i zdejmijcie admirałowi zbroję. Gdzie jest preceptor?

- Tutaj, sir. - Męski głos dobiegł z drugiego końca pomieszczenia, gdzie inny serwient patrzył na podłogę za jednym z długich stołów. - On i dwaj strażnicy. Nie żyją.

- Ach, na Boga! - Sir William powoli przeszedł przez wielką komnatę i spojrzął na trzy ciała, które ukryto za stołem. Dwa należały do serwientów; ich brązowe opończe poczerniały od krwi. Trzeci mężczyzna był znacznie starszy, ubrany w białą opończę rycerza z wyhaftowanym na sercu krzyżem templariuszy. On też zginął od kuszy; postrzelono go z tak bliska, że śmiercionośny bełt przebił klatkę piersiową na wylot, tak że połowa wystawała z pleców. Poza samymi okolicami rany wylotowej krwi było niewiele, więc preceptor musiał zginąć natychmiast.

Sir William znał historię jego życia równie dobrze jak swoją własną. Arnold de Thierry wstąpił do Zakonu na Cyprze w wieku dwudziestu jeden lat, jako bezdzietny wdowiec. Było to trzydzieści jeden lat wcześniej, czwartego lipca 1276 roku, a w ciągu piętnastoletniej kampanii w Ziemi Świętej stał się jednym z najbardziej poważanych rycerzy Zakonu. Jego kariera w Zamorzu skończyła się, kiedy został ranny na wczesnym etapie ostatniego oblężenia Akki w 1291 roku; wysłano go statkiem na Rodos i tam powierzono opiece szpitalników. Spodziewano się, że umrze, lecz on walczył o życie; zasłynął z brawury, nie pozwalając medykom na odjęcie mu ramienia, które podobno toczyła gangrena. Okazało się, że rana była jedynie zainfekowana, i de Thierry z czasem odzyskał pełną władzę nad kończyną. Podczas gdy on powoli dochodził do siebie, jego towarzyszy w Akce pokonali i rozgromili mamelukowie seldżuckiego sułtana.

De Thierry - którego możliwości od tamtej pory ograniczało ka-

lekie ramię, sprawne, lecz zbyt słabe, aby mógł walczyć - w końcu wrócił do służby. Za lata wiernego pełnienia obowiązków wynagrodzono go stanowiskiem preceptora komturii w La Rochelle, a on sam słusznie uważał to za najwyższy honor, jakiego mógł dostąpić.

Ranga ta miała charakter wojskowy, w odróżnieniu od administracyjnego stopnia preceptora zwykłej siedziby Zakonu, którego pozycja była skrzyżowaniem funkcji opata i mera małego miasta. W całym świecie chrześcijańskim siedziby Zakonu były instytucjami cywilnymi, finansowymi i administracyjnymi, a ich członkowie — nominalnie templariusze — byli wszelkiego rodzaju rzemieślnikami i kupcami. Komturie natomiast były garnizonami obsadzonymi wojownikami Zakonu, rycerzami i serwientami, a ich cel był czysto militarny: sprawowały pieczę nad interesami Zakonu. Komtur był dowódcą odpowiedzialnym za wszelkie aspekty funkcjonowania jednostki, a odpowiedzialność ta nigdzie nie była tak wielka i zaszczytna jak w La Rochelle, najważniejszym frankońskim ośrodku handlowej działalności Zakonu.

Tutejsza komturia, zbudowana przy porcie wyposażonym w spore i łatwe do obrony nabrzeża dla okrętów wszelkich rozmiarów i rodzajów, była głównym garnizonem w kraju, niezbędnym dla powodzenia spraw Zakonu. Wszystkie przedsięwzięcia, które Zakon prowadził w świecie chrześcijańskim i poza jego granicami - manufaktury, plantacje, sady i gospodarstwa, magazyny i składy służące przy handlu różnymi towarami, kanały dystrybucyjne wszelkiego rodzaju dóbr, zarządzanie nieruchomościami i międzynarodową działalnością finansową - na którymś etapie przechodziły przez komturie w La Rochelle, nabrzeża wyładunkowe i pomosty miejscowego portu, magazyny towarowe lub hangary.

Teraz, kiedy Will patrzył na nieruchome ciało preceptora, przyszło mu do głowy, że będąc przy jego śmierci, stał się świadkiem końca pewnej epoki. Thierry odszedł, a wraz z nim dobiegła kresu epoka niezachwianej prawości, absolutnego honoru i czystości ideałów.

Koniec — pomyślał Sinclair. Koniec honoru w świetle prawa. Koniec nieulekłego i wiernego wypełniania obowiązków. Koniec wiary w honor królów ze strony ludzi dobrej woli. Żegnaj, stary druhu. Będzie nam ciebie ogromnie brakowało, lecz ty nic nie stracisz, nie widząc tego, co stanie się jutro.

Odwrócił się z westchnieniem i zerknął na Tama, który stał naprzeciw niego, po drugiej stronie ciał.

- Tam, wyślij kogoś po Tescara. Niech posłaniec nic mu nie mówi, tylko przyprowadzi go prosto do mnie.

- Co się tutaj stało, na Boga? - rozległ się donośny głos.

Sir William zerknął na człowieka w drzwiach, po czym wyciągnął rękę, aby zwrócić jego uwagę. Kiedy brat w białej opończy spojrział na niego z oburzeniem, rycerz uniósł palec, prosząc gestem, by poczekał, i zwrócił się znów do Tama.

- Pamiętaj, twój człowiek nie może nic powiedzieć Tescarowi.

- Tak jest, wyślę Ewana. Wie, jak trzymać język za zębami. Sir William podszedł do przybysza.

- Jak masz na imię, bracie?

Mężczyzna zamrugał zdziwiony, najwyraźniej zastanawiając się, kim jest jego rozmówca, błądy i gładko ogolony, lecz odziany w opończę templariusza.

- Jestem brat Tomasz - powiedział. - Prowadzę infirmerię. Co się stało?

- Jesteś chirurgiem czy medykiem, bracie Tomaszu?

-Jednym i drugim, ale...

- Świetnie. Teraz słuchaj uważnie. Nazywam się William Sinclair, jestem nowo mianowanym członkiem rady. Nie mam brody, po nieważ przybyłem tu dziś w przebraniu, wioząc rozkazy od naszego wielkiego mistrza dla preceptora i admirała. Zabójstwo: oto, co się tu stało. Preceptor został zamordowany, a admirał ledwie uszedł z ży ciem. Stracił przytomność, lecz chyba nie jest ranny. Słuchaj, czego od ciebie oczekuję, i przyjmij to w duchu swojego ślubu posłuszeństwa. W tej komnacie są czterej martwi ludzie. Ten pod ścianą był jednym z zabójców. Za stołem znajdziesz ciała dwóch żołnierzy z twojego gar nizonu, którzy tego wieczora pełnili tu straż, oraz samego preceptora. Natychmiast sprowadź tu swoich ludzi, nakazując im milczenie i po słuszeństwo, jak ja nakazałem je tobie, i zabierzcie ciała do infirmerii. Potem każesz im posprzątać to miejsce i usunąć plamy krwi. Kiedy tylko wydasz polecenia, masz ocucić admirała Saint Valery'ego. Mam dla niego rozkazy od wielkiego mistrza, a ich powaga nie pozwala na dalsze marnowanie czasu. Cały Zakon potrzebuje jego przytomności umysłu i czujności. Rozumiesz mnie, bracie Tomaszu?

Medyk kiwnął głową, lecz jego wzrok przyciągnął rudobrody mężczyzna leżący bez zmysłów na stole, pilnowany przez dwóch serwientów Tama.

- Kto to?

- Więzień. Drugi zabójca. Zajmiemy się nim. Jeszcze przez jakiś czas nie będzie potrzebował twojej pomocy.

-Nie?

- Spiesz się, bracie Tomaszu.

Tescar i medyk minęli się w drzwiach; serwient stanął jak wryty z otwartymi ustami, wlepiając wzrok w nieprzytomnego Godwinsona. Rycerz opowiedział mu pokrótce, co się stało, a potem poprosił o podanie imion zastępców admirała i preceptora. Wysłał Tescara, aby ich sprowadził, znowu prosząc o milczenie na temat ostatnich wydarzeń.

Godzinę później, kiedy sir William zrobił już wszystko, co mógł, aby naprawić spustoszenie poczynione przez Godwinsona i jego towarzysza zbrodni, w końcu znalazł się ponownie w komnacie. Mógł jedynie czekać na wydarzenia, nad którymi nie miał kontroli. Założył nogę na nogę i spróbował usadowić się wygodnie w drewnianym fotelu ustawionym przy kominku w wielkim, świeżo wyszorowanym pomieszczeniu pełniącym rolę ośrodka codziennych spraw komturii. Nie miał już na sobie kolczugi ani opończy - przebrał się w zwykły biały habit, a na wierzch włożył prostą, lecz bogato tkaną białą pelerynę templariusza z krzyżem wyhaftowanym na lewej polu. Nie odłożył jednak oręża; patrzył w płomienie, marszcząc brwi i opierając jedną rękę o rękojeść ustawionego pionowo, niczym laska, miecza. W pokoju czuć było ługiem i choć smród powoli zanikał, szczypały go oczy i bolała głowa, a większą część poprzedniej godziny spędził na zewnątrz, zajmując się sprawami garnizonu.

Jakkolwiek nazywał się człowiek, który przedstawił się jako Godwinson, zamknięto go już na cztery spusty w pilnie strzeżonej celi. W końcu odzyskał przytomność, lecz podczas przesłuchania nie powiedział ani słowa, a Sinclair, orientując się, że gniew niebezpiecznie w nim narasta, kazał go odprowadzić. Potem poinstruował dwóch zastępców dowódców na temat tego, jak uspokoić oburzony i upokorzony garnizon, choć nie wspomniał im o celu swojej misji w La Rochelle. Przyjęli jego listy upoważniające i posłusznie wypełnili rozkazy, uznając to za swój obowiązek.

Nie mógł jednak zdradzić im prawdy, dopóki nie poinformował Saint Valery'ego o powodach, dla których przybył do komturii.

Chwilę wcześniej wrócił z infirmerii, gdzie brat Tomasz zapewnił go, że admirał powoli odzyskuje zmysły i z ciężkiego upadku raczej nie wynikną komplikacje. Bełt minął ciało admirała o włos, odbijając się od kirysu, po czym utkwiał między metalowymi ogniwami kolczugi.

Do północy brakowało trzech godzin, a szkockiemu rycerzowi nie pozostało nic innego, jak tylko czekać i usiłować zachować cierpliwość, aż Saint Valery poczuje się na tyle dobrze, aby mógł z nim porozmawiać i przekazać mu wieści. Potem sir William mógłby przejąć dowodzenie, przynajmniej do czasu, gdy Saint Valery będzie mógł ponownie zająć stanowisko. Sinclair miał uprawnienia, aby tak zrobić w awaryjnej sytuacji, nadane mu osobiście przez wielkiego mistrza.

Tam stał pod ścianą naprzeciwko niego ze spuszczoneymi oczami i rękami splecionymi przed sobą. Obszernie omówili wydarzenia wieczoru, lecz sir William był nie w humorze i w pełni świadom, że kilka razy skrzywdził swojego cierpliwego towarzysza, wyładowując na nim gniew i frustrację. Teraz poczuł wyrzuty sumienia i próbował to naprawić.

- Jesteś jakiś milczący, Tomasz. Dlaczego?

Tam podniósł głowę i spojrzał na niego, unosząc czarną brew, a potem się odwrócił i pochylił, aby wrzucić do ognia trzy duże polana, które popchnął mocno butem, aż był pewien, że szybko się zajmą. Wyprostował się, wycierając dłonie o skraj opończy, i w końcu popatrzył na Willa.

- Wciąż się trapisz mną i tą kobietą?

Will wyprostował plecy i wlepił wzrok w kuzyna, który oparł się o gzyms nad paleniskiem i spoglądał na niego z góry.

- Trapię się tobą i kobietą? Mam nadzieję, że nie muszę się martwić o takie rzeczy, Tomasz.

- No nie, ale właśnie chyba dziesiąty raz nazwałeś mnie Tomaszem, a to zazwyczaj świadczy, że *jesteś* na mnie cięty. Kiedy wymawiasz słowa tak jak teraz, dokładnie i starannie, wiem, co to znaczy. Ale przejęczyłem się. Nie miałem na myśli siebie i tej kobiety, tak jak to zrozumiałeś, lecz to, że jej pomogłem.

- Wiem, co chciałeś powiedzieć, i faktycznie o tym myślałem. Źle postąpiłeś.

Tam błyskawicznie odwrócił głowę, jakby chciał splunąć w ogień, lecz potem równie szybko znów spojrzał na kuzyna, a jego głos był pełen irytacji.

- Co w tym złego, na Boga? Rzekłem ci wcześniej, pomogłem ino rodaczce uciec przed człowiekiem, którego nienawidzimy. To, że jest kobietą, jest nieważne. Potrzebowała pomocy, Will, ja ją zapewniłem i wszystko jest dobrze. Gdyby chodziło o mężczyznę, słowem byś się nie odezwał.

- Nieprawda. To i tak mogłoby zagrozić naszej misji, Tam.

- Och, Will, gadasz bzdury i świetnie o tym wiesz. Jesteś uparty, bo taki masz kaprys. Była w niebezpieczeństwie. Jakbyś tam był, widział jej niedolę i słyszał prośby, zrobiłbyś to samo.

- Nie. Zostawiłbym ją.

- Co? Zostawiłbyś ją? Dlaczego, w imię Boga? Bo to kobieta? Słodki Jezu! Will, a gdyby to była twoja matka albo jedna z sióstr? Nie chciałbyś, żeby ktoś jej pomógł?

- Ale to nie była moja matka, Tam, ani żadna z moich sióstr.

- Ale czyjąś matką albo siostrą na pewno jest, albo jednym i drugim.

- Otóż nie. Była samotną, podróżującą bez towarzystwa kobietą, okazją do grzechu czekającą na swoją szansę.

- Na miłość boską! - Głos Tama był pełen jawnego oburzenia. - Jak długo się znamy, Williamie Sinclair?

Will uniósł brew.

- Od trzydziestu lat?

- A może i dłużej. I przysięgam, że przez ten czas stałeś się innym człowiekiem.

Rycerz przechylił głowę.

- Nie rozumiem, co masz na myśli.

- Wiem, że nie rozumiesz. Wielka szkoda. Chłopak, którego wtedy znałem, nigdy by nie gadał takich świętoszkowatych, obłudnych bzdur. Ale od czasu, kiedy wróciłeś z Zamorza i zacząłeś się zadawać z radą, zmieniłeś się, chłopaku, i to nie na lepsze.

Will zeszywniał.

- To bezczelne.

Tam skrzyżował ramiona na piersi.

- Tak? Po trzydziestu latach zrobiłem się bezczelny? Trzydzieści lat zachęcałeś mnie, żebym mówił, co myślę, mówił ci prawdę, kiedy inni nie będą chcieli tego robić, żebym czuł się w twoim towarzystwie jak równy tobie... i nagle jestem bezczelny?

Uszy Willa poczerwieniały i opadł na krzesło.

- Masz rację - powiedział. - To było nie na miejscu. Wybacz mi.

- Z chęcią. Ale co cię gryzie, Will? To do ciebie niepodobne.

Will napiął mięśnie i pochylił *się*, mocniej chwytając rękojęść miecza i patrząc zmrużonymi oczami w płomienie.

- Nie wiem, Tam. Po prostu nie wiem. Myślę, że to, co się dziś stało... zła wola, czysta podłość. Urzędnik króla, jego kanclerz, zleca zabójstwa. To szaleństwo, to nie do pomyślenia. A jednak się stało... Przez ostatnie pół godziny zastanawiałem się też nad wolą Bożą. Czy sądzisz, że to z jej powodu znaleźliśmy się wtedy w Paryżu, właśnie w chwili, kiedy Nogaret i ten bydlak Godwinson wychodzili z rezydencji? Gdyby nas tam nie było i byśmy ich nie widzieli... tej rudej brody z białym pasmem, na pewno bym nie zareagował, kiedy Tescar powiedział nam o jego przyjeździe, a Saint Valery też by teraz nie żył.

- I tak byś zareagował, zaraz po tamtych andronach o tym, że przyjechał z Paryża z wieściami od de Molaya. Wiedziałeś, że to bezczelne kłamstwo, kiedyś je tylko usłyszał, i zrobiłbyś to samo, nawet gdybyś wcześniej nie widział tego sukinsyna i nie rozpoznał go po opisie. Żadna w tym wola Boża.

- A zatem czy wolą Bożą było, aby tej kreaturze udało się zabić Arnolda de Thierry? Ten człowiek w całym swoim życiu ani razu nie wystąpił przeciw Bogu.

- No, no. - Tam uniósł dłonie, jakby przyznawał się do porażki. - Poruszasz zbyt głębokie tematy jak na moją biedną głowę. Ani ja nic o tym nie wiem, ani ty. Oszalejesz od takich rozmyślań. Pan de Thierry zginął paskudną śmiercią, to przyznam, ale na posterunku, a to znaczy, że zmarł, służąc Bogu, więc teraz pewno dołączył do innych i cieszy się swoją nagrodą.

- Do jakich innych?

-Jakich innych? - Tam zamrugał zdziwiony. - Do tysięcy ludzi, którzy jak on zginęli bez winy, pełniąc swoje obowiązki. Chyba żeś nie myślał, że ino on tak zmarł? A twoja własna rodzina? Sinclairo-wie są związani z Zakonem od jego początku. Nie wiemy, ilu zginęło po próżnicy w służbie Bogu i Kościołowi, ale jednak ginęli. Nie tak dawno trzech twoich krewnych naraz, z Francji i Szkocji, wyzionęło ducha w Zamorzu pod wodzą tego sukinsyna Ryszarda Lwie Serce, tocząc świętą wojnę Boga przeciw Saracenowi Saladynowi i jego mu-

zułmanom... Myślisz może, że Bóg w swojej mądrości zarządził, coby zginęli za popieranie Plantageneta, dobrze znanego ze swojego zepsucia i podłych nawyków? - Tam potrząsnął głową. - Nie nam osądzać decyzje Boga, Will. On wie, że mamy dość swoich wad, z którymi musimy żyć...

- Naprawdę aż tak się zmieniłem? Czy naprawdę, jak mówisz, jestem zarozumiałcem, który nic, tylko gada bzdury?

- Ano, czasem potrafisz taki być. - Tam uśmiechnął się nagle, a cała jego twarz się rozjaśniła. - Ale nieczęsto, dzięki Bogu.

Will znów zagapił się w ogień, a kiedy Tam w końcu uznał, że jego kuzyn już nic nie powie, odezwał się:

- Myślałem o tej kobiecie, Tam.

- No, urodziwa była z niej kobita. Nic w tym złego.

- Ależ tak! - Will odwrócił błyskawicznie głowę, aby spojrzeć serwientowi w oczy. - Przysiągłem, że będę unikał kobiet.

- Daj spokój, Will, to nieprawda, a młody Will Saint Clair, którego znałem, też to wiedział.

- To najprawdziwsza prawda. Złożyłem ślub czystości.

- Ślub czystości! Przysiągłeś nie cudzołożyć, czy to z kobietami czy z mężczyznami. Świetnie, ślub to ślub i sam kilka złożyłem. Ale rzeknij no, czy cudzołożenie z mężczyzną jest gorsze niż z kobietą?

Will wyglądał na zgorzzonego.

- Chuć między mężczyznami jest nienaturalna, to najpodlejszy z grzechów śmiertelnych.

- Tak, to prawda. I obrzydzenie bierze choć o tym myśleć, ale i tak się to dzieje. Ale czy to gorsze niż cudzołożenie z kobietą?

- Dlaczego o tym rozmawiamy?

- To ty zacząłeś. Jest gorsze?

- Oczywiście, że tak.

- Bo jest nienaturalne?

-Tak.

- Dobra. Więc ten drugi sposób, z kobietą, czy on jest naturalny? Nie wściekaj się. Pytam tylko, bo zastanawiam się, czemu nigdy nie unikasz mężczyzn.

- Nie unikam mężczyzn? O czym ty mówisz?

- Myślałem, że jasno prawię. Jeśli cudzołośćwo między mężczyznami jest nienaturalne i gorsze niż ten drugi, naturalny sposób, dlaczego

nie unikasz zadawania się z mężczyznami? Ktoś z upodobaniem do takich rzeczy mógłby sprowadzić cię na drogę grzechu. Will cofnął się w krzesło.

- To śmieszne. Nikomu na dziesięć tysięcy ludzi coś takiego nawet nie przyszłoby do głowy. Sam ten pomysł jest absurdalny.

Tam skinął głową.

- Zgadzam się. Ale takie samo jest to, że wrzucasz wszystkie kobiety do jednego worka pełnego grzechu, jakby zagrażały twojej czystości.

- To coś zupełnie innego. Mężczyźni mnie nie pociągają. Ale mogłoby się zdarzyć, że kobieta by mi się spodobała, a to byłoby wbrew mojemu ślubowi.

- Jakiemu ślubowi? Ach tak, twoja czystość, jasne. Ale powiedz mi, kiedy przysięgałeś odmówić kobiecie prawa do życia, do wolności lub ucieczki przed wrogiem w rodzaju Nogareta i jego bydłaków? Kiedy przysięgałeś stronić od nich jako od ludzi?

- Nigdy nie zrobiłem czegoś takiego.

Tam odparł z poważnym wyrazem twarzy:

- Musiałeś to zrobić, Will, gdzieś w głębi duszy. I robisz to teraz. Całe to mamrotanie zaczęło się, dopiero kiedy zobaczyłeś tę kobietę z nami.

-To nieprawda. Nawet nie przyjrzałem jej się z bliska.

- A i tak od tamtej pory o niej myślisz?

Zapadła chwila ciszy, a Tam usiadł obok sir Williama.

- Czy kiedykolwiek naprawdę znałeś jakąś kobietę, Will?

- Co za durne pytanie? Oczywiście, że znam kobiety.

- Kogo? Podaj imię jednej.

- Moją matkę. Kilka ciotek. Siostry: Joan, Mary i Peggy.

Tam potrząsnął głową.

- To są krewne, Will. Pytałem o kobiety z krwi i kości, spoza twojej rodziny. To jak?

Sir William ponownie spojrzął w twarz przyjacielowi.

- Nie, i wiesz o tym. Od trzydziestu lat przecież jesteś ze mną bez przerwy.

- Bałem się, że to powiesz. Smutne jest, że ci wierzę, ale miałem nadzieję, że nie mam racji. Fakt, byłem z tobą przez te trzydzieści lat. Ale od czasu do czasu zaznałem kobiety, a ty nic o tym nie wiedzia-

leś. - Tam patrzył, jak jego młodszy kuzyn sztywnieje ze zgrozy. — Co mogę rzec, chłopaku? Grzesznik ze mnie. Jestem serwientem Zakonu, ale przede wszystkim mężczyzną. Kusiło mnie i czasem ulegałem pokusie. Nieczęsto, zważ, żaden ze mnie kozioł, ale miałem z tego za-zwyczaj uciechę. Potem szedłem do spowiedzi i dostawałem rozgrze-szenie. Wybaczał mi litościwy Bóg. Pamiętasz go, Boga miłosiernego?

- Pochylił się z niepokojem. - Ozwij się, człowieku, i odetchnij, bo wyglądasz, jakbyś się miał zadławić.

Will miał szeroko otwarte oczy, jego wargi ruszały się bezgłośnie, a Tam się roześmiał.

- O co chodzi? Mów no, na Boga.

To podziałało: rycerz zamknął usta i odzyskał głos, choć był to ledwie szept.

- Na Boga? Potrafisz w takiej sprawie wzywać imię Boga? Złożyłeś święte śluby, Tam.

Tam wykrzywił usta.

-Ano, wiem. I kilka razy je złamałem. Ale jak rzekłem, wyspo-wiadałem się, zostałem rozgrzeszony i odpokutowałem, jak wszyscy. Jesteśmy przecie ludźmi, Will, nie bogami.

- Jesteśmy mnichami Zakonu.

- Tak, ale wpierw ludźmi. I mamy kapłanów oraz biskupów Zako-nu, podobnych kapłanom i biskupom Boga wszędzie indziej, i każdy, którego znam, ma gdzieś jakąś dziwkę. Coś to za świat sobie zbudował, Will, w swojej głowie? Czyś ślepy i głuchy na takie rzeczy? Pewno tak, bo łatwo je dojrzeć i usłyszeć.

William Sinclair tak mocno ścisnął rękojeść miecza, że kostki jego dłoni zbieleły, a kiedy się odezwał, jego głos był lodowaty.

- Nie będziemy rozmawiać na ten temat.

I rzeczywiście: w tym momencie drzwi za nimi się otworzyły, a oni odwrócili się i ujrzeni, że z progu patrzy na nich sir Karol de Saint Yalery.

Sir William natychmiast zerwał się na nogi i podszedł do starszego mężczyzny, lecz admirał uniósł dłoń, sygnalizując, że nie potrzebuje pomocy. Pod spojrzzeniami dwóch pozostałych rozejrzał się powoli po komnacie, a jego wzrok spoczął na świeżej rysie na ścianie; belt, który zabił współnika Godwinsona, odłupał tam spory kawałek kamienia.

- Śmierdzi tu ługiem.

-Tak jest, admirale, to samo pomyślałem. Choć i tak jest już lepiej. Godzinę temu ledwie się tu dało oddychać.

Saint Valery kiwnął głową z roztargnieniem i ruszył w stronę paleńska, a sir William odsunął się, aby mógł przejść, lecz zamiast usiąść, admirał oparł się o jedno z wysokich krzeseł *stojących* przed ogniem. Wyglądał, jakby w ciągu kilku godzin, które minęły od ich poprzedniego spotkania, znacznie się postarzał. Jego twarz była blada, oczy zapadnięte, a skóra pod nimi sprawiała wrażenie niezdrowo purpurowej. Trzymał się jednak prosto, a jego postura miała w sobie coś buntowniczego.

- Widziałem Arnolda - powiedział spokojnym, bezbarwnym tonem. - Medycy powiedzieli mi, że krwi było niewiele i że zginął natychmiast, co oznacza, że nie czuł bólu. Prawdę mówiąc, może nawet nie dostrzegł, że zbliża się śmierć. Chciałbym wierzyć, że zmarł w taki sposób, nieświadom zdrady, ponieważ jeśli widział swoich morderców, na pewno uznał ich za braci Zakonu. Takie wiarołomstwo, a na wet jego pozory, sprawiłoby mu wielki ból. Będę opłakiwał jego odejście. Przyjaźniliśmy się od wielu lat... dłużej, niż większości ludzi dane jest żyć. Będzie mi go brakowało. - Wyprostował ramiona i nabrał głęboko tchu, a potem odwrócił się w stronę sir Williama, do szpiku

kości admirała floty, którego osobiste troski zawsze muszą ustępować wymogom jego stanowiska. - Obawiam się jednak, że muszę odłożyć żalobę na później. Słyszałem, że przybywasz z pilnymi wieściami, sir Williamie, od samego mistrza de Molaya.

- Tak jest, admirale.

Saint Valery machnął ręką, wskazując pomieszczenie, w którym stali.

- Czy mają cokolwiek wspólnego z tym potwornym wydarzeniem, które się tu rozegrało?

Sir William zerknął na Tama, który tylko skinął głową z zaciśniętymi ustami.

- I tak, i nie, admirale. Sądzę, że istnieje rzeczywisty związek między tym, co się stało, a moją wiadomością, lecz jeszcze nie jestem całkowicie pewien. Nie mam dowodu, jedynie podejrzenia. Tam zgadza się ze mną.

- Hmm... - Saint Valery chwycił oparcie krzesła i odciągnął je od buzującego ognia. - Lepiej zatem zajmijmy miejsca, abys mógł przekazać mi nowiny, siedząc wygodnie.

Pozostali dwaj usiedli po obu stronach admirała, choć w normalnych okolicznościach Tamowi coś takiego nawet nie przyszłoby do głowy. Jako zwykły serwient rzadko zadawał się z rycerzami, lecz znał Karola de Saint Valery'ego od tak dawna, że swoim sprawowaniem zasłużył zarówno na siedzenie, jak i odzywanie się w obecności admirała, na co on sam nalegał.

- Wygoda niewiele pomoże w obliczu tego, co mam dziś do powiedzenia, admirale - powiedział Will, siadając.

- No cóż, sir Williamie. Tej nocy trudno gdziekolwiek znaleźć pocieszenie. Mów. Domyślam się, że wiadomość jest na piśmie?

- Tak jest, admirale, we własnych słowach wielkiego mistrza. Tam?

Sinclair zdjął z ramienia ciężką skórzaną torbę. Trzymając ją na kolanach, rozpiął sprzączkę i wyciągnął dwie grube, zapakowane w pergamin paczki; jedną z nich podał Saint Valery'emu. Ten zważył ją w ręce, przyglądając się drugiemu pakietowi, który Tam chował z powrotem do torby.

- Wygląda na to, że mistrz miał wiele do powiedzenia. Dla kogo jest druga przesyłka, jeśli wolno mi spytać?

-Tak, admirale. - Sir William machnął ręką, a Tam podał Saint Valery'emu drugą paczkę. Ten spojrzał na inskrypcję, po czym uniósł brwi.

- Dla sir Williama Sinclaira. Otworzyć w święto Trzech Króli, anno Domini tysiąc trzysta osiem. Jacques de Molay, wielki mistrz Zakonu. - Saint Valery spojrzał na Williama. - Święto Trzech Króli?

Will wzruszył ramionami, rozkładając bezradnie ręce. Saint Valery stęknął, zwracając nieporęczną paczkę Tamowi, i ponownie chwycił swoją, lecz nie złamał pieczęci.

- Wiesz, co zawiera? - Gdy Will kiwnął głową, zapytał jeszcze: — A twoja?

- Nie mam pojęcia, panie. Mistrz nie raczył mi powiedzieć. Zwrócił jedynie moją uwagę na inskrypcję, więc dowiem się w święto Trzech Króli.

- To brzmi złowroźnie, a nawet przerażająco, biorąc pod uwagę, że jest październik. Musisz czekać trzy miesiące; przez ten czas może zdarzyć się wiele rzeczy, które będą miały wpływ na twoje rozkazy, jeżeli faktycznie są to rozkazy. Jeśli łaska, streść mi zawartość mojej przesyłki. Przeczytam ją później.

Sir William nabrał powietrza i wstał, po czym podszedł do kominaka, tak aby móc patrzeć prosto na admirała.

- Jak wiesz, ponad osiem miesięcy temu sam papież wezwał mi strza z Cypru do Francji, nie wyjaśniając monsieur de Molayowi, dla czego go wzywa i czego od niego oczekuje, poza tym że mistrz miał się spotkać z nim samym i królem w sprawach związanych z losami Zakonu oraz proponowanym połączeniem zakonów templariuszy i szpitalników, czemu mistrz de Molay z kilku powodów gwałtownie się sprzeciwiał.

Saint Valery mruknął pod nosem.

- Wiem o wątpliwościach wielkiego mistrza. Czy i ty jesteś temu przeciwny?

Sinclair kiwnął głową.

- Tak, admirale. Mistrz obawia się, że doprowadziłoby to do utraty naszej tożsamości. Do pewnego stopnia wszyscy się tego boimy.

- Zatem powiedz mi o tym coś więcej.

Młodszy rycerz splótł dłonie.

- No cóż, po pierwsze, zakon szpitalników jest znacznie większy

i ma bardziej złożoną strukturę niż nasz, jego działalność jest bardziej zróżnicowana i mniej rygorystycznie interpretuje swoją rolę i obowiązki. Szpitalnicy nigdy nie byli przede wszystkim wojownikami i mistrz obawia się, że w wyniku połączenia stracilibyśmy naszą główną potrzebę odzyskania Ziemi Świętej. Ze strachem myśli też o podwójnych załogach wojskowych w miastach: kto przetrwa ich połączenie, templariusze czy szpitalnicy? Które władze będą musiały ustąpić podczas konsolidacji? Wszystko to go trapi, a kilka spotkań z papieżem Klemensem w Poitiers i królem Filipem w Paryżu nie dostarczyło mu zbyt satysfakcjonujących odpowiedzi. Nie wynikło z nich nic konkretnego. Tak więc nasz mistrz czekał w Paryżu przez dwa miesiące, nie wiedząc, co się szykuje, lecz respektując wolę króla. Lecz niecały miesiąc temu mistrz de Molay otrzymał ostrzeżenie o spisku przeciwko Zakonowi, które potraktował niezwykle poważnie. Nie mam pojęcia, skąd nadeszło, lecz wnioskuje jedynie z tego, o czym się mówiło, a o czym nie, odniosłem wrażenie, że chodzi o zaufane źródło bliskie samemu królowi lub jego kanclerzowi, de Nogaretowi. Saint Valery kiwnął głową.

- Rozumiem. Jaki jest cel tego spisku? Pewnie nasze fundusze, i próba ich skonfiskowania, skoro sprawą rządzi de Nogaret. Na jaką skalę zakrojony jest spisek?

- Większą, niż potrafisz sobie wyobrazić, sir Karolu. Kiedy mistrz de Molay powierzył mi ten sekret, zasięg spisku przeraził mnie do tego stopnia, że uznałem, iż mistrz oszalał i wszędzie widzi demony. W rzeczywistości jednak wiedział wtedy o spisku już od dziesięciu dni i sam miał wątpliwości, kiedy o nim usłyszał. Powiedział, że źródło wiadomości jest całkowicie godne zaufania, co wzbudziło taką jego troskę, że zaczął czynić przygotowania, w razie gdyby zagrożenie okazało się prawdziwe. Ostrzeżenie potwierdziło się tego samego ranka, kiedy rozmawialiśmy, niecałe dwa tygodnie temu. Ten sam informator nadesłał drugi, bardziej szczegółowy raport. Kiedy mistrz wezwał mnie przed swoje oblicze, jego plany już weszły w życie, a ja pracuję nad nimi od tamtej pory.

Saint Valery zmarszczył czoło.

- Mówisz jak o końcu świata.

- Dla nas to jest koniec świata - odpowiedział sir William tonem właściwym dowódcy mówiącego do podwładnego, co nie umknęło

uwadze Saint Valery'ego. —To koniec naszego świata tutaj, we Francji. Filip z Kapetyngów, nasz umiłowany król, wystawił przeciwko nam swoją armię. Swoją armię, sir Karolu! A także swoich sługusów. Całe siły Francji zostały zebrane, aby wziąć udział w tym bezprecedensowym zamachu. Zausznik króla, Wilhelm de Nogaret, wydał w imieniu monarchy rozkazy, aby armia zaaresztowała każdego templariusza we Francji o świcie w piątek, trzynastego października.

Saint Valery zeszywniał.

-To... to wprost niewiarygodne!

- Tak, to prawda, a poza tym stanie się jutro.

- To niedorzeczne.

- Zgadzam się. Nie będę się kłócił. Ale taka jest prawda. Ludzie króla załomocą w te drzwi jutro o świcie.

Saint Yalery siedział oniemiały, a sir William domyślał się, co chodzi mu po głowie. Wszyscy templariusze we Francji - aresztowani i uwięzieni tego samego dnia? To faktycznie było niedorzeczne. W całym kraju przebywały tysiące braci, a bardzo niewielu z nich było żołnierzami. Od stu lat znakomita większość tak zwanych templariuszy nigdy nie miała w ręku oręża. Tak naprawdę byli honorowymi członkami Zakonu lub jego sprzymierzeńcami: kupcami i bankierami, duchownymi i sklepikarzami, handlarzami i rzemieślnikami, członkami cechów i miejscowymi rządcami, ludźmi, dzięki którym ogromne imperium Zakonu działało sprawnie. Zakon Świątyni był najzamożniejszą cywilną instytucją na świecie, a od dwóch wieków jego militarne ramię - jedyna armia zawodowa w całym świecie chrześcijańskim - pełniło rolę stałych sił zbrojnych Kościoła o nieposzlakowanej historii prawej służby. Obecnie jego rywalami byli wychwalani szpitalnicy, lecz w porównaniu z templariuszami, pierwszym rycerskim zakonem, ich dokonania nie robiły zbyt wielkiego wrażenia. Nic dziwnego, że admirał zaniemówił na samą myśl o tym, że strukturze Zakonu mógłby kiedykolwiek zagrozić jeden zachłanny król. Wykazał się jednak determinacją. Zamiast z niedowierzaniem ciskać gromy, skupił się na sytuacji, w której został postawiony. Spojrzał na sir Williama, zaciskając szczęki.

- Jakże zatem są rozkazy? Czy mam poddać flotę?

Will Sinclair aż się uśmiechnął.

- Nigdy! Masz przez całą noc przygotowywać się na **jutro, a potem**

wycofać załadowane okręty na bezpieczną odległość na morze, aby nie można było ich dosięgnąć. Mistrz wciąż wątpi, czy ostrzeżenie jest prawdziwe, lecz ja nie. Jeśli, jak się spodziewam, jutro nastąpi katastrofa, masz wyprowadzić flotę z Francji i czekać na rozwiązanie tej sprawy, ponieważ rozum podpowiada, iż musi ona w końcu zostać rozwiązana. Zanim to nastąpi i ustalona zostanie kwestia reparacji, zostaniesz, jeśli będzie trzeba, na morzu, oszczędnie gospodarując zapasami. Weźmiesz też ze sobą mnie jako eskortę skarbu naszego Zakonu. Admirał rozdziawił usta.

- Skarb jest tutaj? Skarb templariuszy?

- Nie w La Rochelle, lecz blisko.

- Jak wywiozłeś go z Paryża?

- Ostatni raz był w Paryżu dziesięć lat temu. Od tamtej pory był bezpiecznie zakopany w pieczarze w lesie w Fontainebleau. Mistrz rozkazał go wtedy przenieść w tajemnicy, aby go zabezpieczyć.

- Dziesięć lat temu? Zabezpieczyć przed czym, na Boga?

- Przed ludźmi, którzy teraz go szukają, sir Karolu. Przed Filipem z Kapetyngów i Wilhelmem de Nogaretem. Wtedy zagrożenia jeszcze nie było. Mistrz de Molay zachowywał się po prostu jak ostrożny zarządca, taki ma obowiązek.

- A zatem... - Saint Valery odchrząknął - mam rozumieć, że wy dwaj i mała grupa serwientów bez niczyjej pomocy przewieźliście przez pół Francji cały skarb Zakonu? Jak duży jest ten skarb? Czy powiększył się od czasu, kiedy widziałeś go ostatnio?

Sir William potrząsnął głową.

- Nie, admirale. Skarb templariuszy to nie dobra doczesne Zakonu. To dwie różne rzeczy. Widziałem te same cztery kufry, które wywieziono podczas oblężenia Akki, i z moich obliczeń wynika, że zawierają ten sam przygniatający ciężar co wcześniej.

Saint Valery spojrział na młodszego rycerza i zadał dręczące go pytanie.

- Ale co one zawierają? Czy kiedykolwiek się dowiedziałeś?

Sir William się uśmiechnął.

- Wiesz, że wiąże mnie przysięga, abym z nikim nie rozmawiał na ten temat, sir Karolu. I tak nie wiem więcej niż ty.

Saint Valery kiwnął głową.

- Oczywiście. A jednak ani ja, ani mój drogi przyjaciel Arnold,

świeć Panie nad jego duszą, nigdy, mimo pełnienia służby przez całe życie, nawet nie spojrzeliśmy na skarb. Tobie natomiast powierzono go już dwukrotnie.

- Nie do końca, admirale. Dwa razy towarzyszyłem skarbowi i przy obu okazjach widziałem kufry, w których się znajduje. Lecz za pierwszym razem odpowiedzialność za jego bezpieczeństwo spoczywała na barkach naszego świętej pamięci mistrza, Tibaulda Gaudina. To on miał zawieźć skarb na północ, w bezpieczne miejsce, z Akki do Sydonu. Ja jedynie popłynąłem z nim.

- Lecz tym razem ty otrzymałeś to zadanie. Jakim sposobem go tu przywieźliście?

- W towarzystwie silnej eskorty. Wspominałem, że mistrz planował to od chwili, kiedy dowiedział się o spisku. Kiedy tylko otrzymał pierwsze ostrzeżenie, wezwał mnie do Paryża, a jednocześnie zaczął zbierać spory oddział, który miał strzec skarbu.

Saint Valery pochylił się z przejęciem.

- Jak spory?

- Stu braci, w pełni wyposażonych: konie, zbroje, oręż, giermkowie, stajenni, kowale, wszystko.

- Stu rycerzy? Gdzie znaleźliście aż tylu naraz?

- Chcesz powiedzieć: w jednym miejscu? To niemożliwe. Czterdziestu z tej setki było rycerzami, admirale. Pozostała sześćdziesiątka to serwienci, a oddział ten zebrano w tajemnicy na terenie całego kraju. Mistrz de Molay wezwał ochotników miesiąc temu, aby zgłosili się natychmiast, lecz dyskretnie i w małych grupach, w kilku punktach, a stamtąd udali się do Fontainebleau, gdzie czekał na nich mój brat, Kenneth. Ja i Tam dołączyliśmy do Kennetha w lesie i odkopaliśmy skarb, a kiedy zgromadzili się już wszyscy, na których czekaliśmy, zawiedliśmy ich tutaj, na wybrzeże, drogami, na których byliśmy ukryci przed złowrogimi spojrzzeniami.

- Skarb jest teraz bezpieczny?

- Całkowicie, admirale. W przeciwnym razie nie byłoby mnie tutaj. Czuwa nad nim Kenneth i jego ludzie.

- A jeżeli ktoś ich zdradzi? Takie rzeczy się zdarzają.

Sir William kiwnął głową.

-To prawda. Dlatego rozważamy tu dzisiaj tak potworne wieści. Zdrada rodzi się z chciwości, lecz w tym wypadku jest prawie niemoż-

liwa. Złodziej musiałby wiedzieć, gdzie ukryty był skarb. Sami tego nie wiedzieliśmy aż do ostatniej chwili.

- Rozumiem. A co się stanie z tą setką braci, jeśli jutro wydarzy się to, co przewidujemy?

- Uciekną, aby w przyszłości walczyć.

- Na moich galerach - powiedział Saint Valery nieco drwiącym tonem. — Wystarczy ich, aby przewieźć stu zbrojnych i ich wierzchowce.

- Tak. I cały ich sprzęt, giernków i kowali, a także skarb templariuszy. Mistrz wydał w tej sprawie ściśle rozkazy.

Saint Valery mruknął, a potem uśmiechnął się szeroko.

- Oczywiście. Jeśli więc będziemy musieli wyjechać, weźmiemy ze sobą więcej niż jeden skarb...

- To prawda, sir Karolu. Lecz z każdego okrętu, który zostawimy tutaj, król Francji zrobi własny użytek, a to, jak sądzę, nie ucieszyłoby nikogo.

Admirał kiwnął głową, a potem potrząsnął paczką, którą wciąż trzymał.

- Gdybyś przyszedł do mnie wczoraj z tą opowieścią, uznałbym cię za równie szalonego, jak ty uznałeś de Molaya. Lecz w obliczu zamordowania mojego przyjaciela Arnolda i tego, że ktoś przysłał do komturii zabójców, wierzę w nią. A teraz muszę przeczytać te dokumenty.

- Nie ktoś, sir Karolu. Jeśli chodzi o tożsamość tego człowieka, nie ma wątpliwości. To sam Wilhelm de Nogaret. Tam i ja widzieliśmy, jak rozmawiał z Anglikiem Godwinsonem w Paryżu, niecałe dwa tygodnie temu.

- Niech więc Bóg przeklnie jego czarne, zachłanne serce. Ale to nie ma sensu. Dlaczego miałby zrobić coś takiego? Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, jutro i tak by aresztował de Thierry'ego i mnie.

Sir William wrócił do swojego krzesła.

- Może. Ale dla mnie to sensowne. A także ponure i przerażające, kiedy wezmę pod uwagę fakt, że La Rochelle to najsilniejsza komturia we Francji oraz siedziba floty. Żaden plan bitwy nigdy nie pozostał taki sam, po tym jak potyczka już się zaczęła. Zawsze coś może się nie udać. Jeśli ty i preceptor zginęlibyście dzisiaj, jakież chaos zapanował by w komturii! Dyscyplina zniknęłaby natychmiast, pojawiłoby się zamieszanie, strach i spekulacje, a jutrzejszy zamach nie spotkałby się z żadnym zorganizowanym oporem.

- Masz rację. Wybacz mi zatem na moment, przeczytam rozkazy.
Przez kolejny kwadrans w komnacie słychać było tylko ogień i szelest papieru, kiedy Saint Valery przewracał kartki. W końcu wyprostował się i pomachał papierami w powietrzu, patrząc na Willa z zamyślonym wyrazem twarzy.
- Wiesz dokładnie, co tu jest?
- Nie, panie. Mistrz powiedział mi tylko tyle, ile uważał, że powinienem wiedzieć.
- No cóż... może dowiesz się więcej jutro, lecz miejmy nadzieję, że to nie będzie konieczne. - Ponownie potrząsnął papierami. -W każdym razie muszą dowiedzieć się o tym moi zastępcy, de Beren-ger i Montrichard. Straż!
- Strażnik wszedł do pokoju, a admirał kazał mu natychmiast odnaleźć zastępców. Kiedy mężczyzna zamknął za sobą drzwi, sir Karol zawahał się i zwrócił ponownie w stronę Sinclaira.
- Co byś zrobił, gdybym dzisiaj zginął? Dostarczyłbyś rozkazy mi strza de Berengerowi?
- Sir William przytaknął.
- Oczywiście. I temu drugiemu, zastępcy sir Arnolda, Montrichardowi. Natychmiast przejęliby dowodzenie, a rozkazy odnosiłyby się do nich.
- Zachowujesz się bardzo taktownie, sir Williamie, ale jasne jest, że stałem się twoim podwładnym. Jedyne członek Rady mógłby mieć w swojej pieczy skarb.
- Sir William pochylił głowę. Saint Valery zacisnął usta.
- Czy dopóki czekamy na pozostałych, mogę być ciekawski? Gdzie masz zamiar się udać? Dokąd zabierzesz skarb? Czy masz rozkazy od mistrza de Molaya?
- Nie, sir Karolu. Jedyne, co teraz wiem, to że wypłyniemy na morze, i wbrew wszystkiemu wciąż mam nadzieję, że cała ta sytuacja to jakiś wymyślny dowcip. - Uniósł bezradnie dłonie. - Na morze. Tylko tyle wiem. Pierwotnie mistrz de Molay chciał, abym płynął do Anglii, na dwór Edwarda Plantageneta, lecz kiedy byłem w Paryżu, dotarła do nas wiadomość, że król Edward zmarł kilka miesięcy wcześniej, w drodze na kolejną inwazję na mój kraj. To zmieniło wszystko, ponieważ synowi Edwarda zdecydowanie nie można ufać.
- Królowi Anglii nie można ufać, i to jeszcze przed koronacją? Jak

to? I dlaczego nic o tym nie wiem? Czy tu, w La Rochelle, jestem tak odcięty od świata, że nie wiem, co się dzieje? - Głos Saint Valery'ego zdradzał prawdziwe zaskoczenie.

Sir William spojrział na starszego mężczyznę i wzruszył szerokimi ramionami.

- Zakon to twój świat, admirale. Nie miałeś czasu na rzeczy mniejszego formatu, a charakter nowego króla Anglii nie zainteresowałby cię nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach. Ten człowiek przeczy naturze, sir. To pederasta, który woli grać rolę kobiety niż mężczyzny. Obnosi się z ową dewiacją przed swoimi baronami, nie dbając, co o tym myślą, a w sprawach państwowych słynie z nietaktu. Bezwstydnie chwali się swoimi kochankami, obsypując ich prezentami i przywilejami, a także nadając im funkcje, którym nie są w stanie podobać. Baronowie nie darzą go ani szacunkiem, ani tolerancją, a jego otoczenie spodziewa się, że długo tak nie pociągnie, o ile nie zmieni zwyczajów. Tymczasem z pewnością jest dla nas bezużyteczny.

- Rozumiem. Równie szczerze odpowiedz więc na pytanie, dokąd chcesz popłynąć, jeśli zdarzy się to, co przewidujesz? Na pewno masz jakiś pomysł.

Sinclair ściągnął ramiona i wstał z krzesła, po czym wyprostował się, ukazując swoją imponującą posturę.

- Do Szkocji - rzekł, jakby rzucał wyzwanie.

Zapadła długa cisza, kiedy admirał przetrwał jego słowa, porównując je z tym, co Sinclair powiedział ledwie chwilę wcześniej o Anglii. W końcu Saint Valery wypuścił głośno powietrze, zamienił z Tammem pozbawione wyrazu spojrzenie i ponownie odwrócił głowę do Willa.

- Szkocja... Nasze bractwo jest silne w Szkocji. - W jego głosie nie było wyraźnego wahania czy niepewności, lecz jakimś sposobem wyraził obie te emocje.

- Tak, to prawda - powiedział sir William - i kwitnie od ostatnich dwustu lat. Nasz czarno-biały baucent stał się powszechnym widokiem na całych ziemiach; ostatnio walczył w imieniu ludu Szkocji z Anglikiem Plantagenetem. Będziemy tam mile widziani.

- Tak, przez braci w Zakonie z pewnością. Ale co z tym nowym królem, tym Robertem...?

- Robert Bruce, król Szkocji. Znam go. Nie odprawi nas.

- Znasz go? - Saint Valery zmarszczył brwi. - Jako przyjaciela czy jako króla?

- Czy musi być różnica?

Grymas admirała pogłębił się gniewnie.

- Nie, panie Sinclair, nie musi, lecz aż nazbyt często istnieje. Królowie nie są zwyczajnymi ludźmi, i nawet ja, uwięziony w okowach ignorancji, słyszałem, że ten nowy król Szkotów jest dziki, nierozważny i uparty, a do tego to świętokradczy morderca, który zabił kogoś na stopniach ołtarza.

- Tak, admirałe, większość z tego, co mówisz, choć nie wszystko, to prawda. Lecz wiem, co mówię. Najpodlej go sprowokowano i wątpię, czy Bruce w ogóle wtedy wiedział, gdzie się znajduje. Śmiem twierdzić, że zadał cios, zanim nawet zdał sobie sprawę z otoczenia. Nie był to jednak cios śmiertelny, i to nie Robert Bruce zabił lorda Badenoch z rodu Comynów. Dźgnął go sztyletem, to pewne, a potem uciekł z kościoła, wzburzony tym, co się stało. Lecz to jego ludzie, którzy usłyszeli, jak opowiada, co zrobił, wbiegli z powrotem do środka i zabili Comyna. Zabito go, temu nie da się zaprzeczyć, lecz zawahałbym się przed stwierdzeniem, że to sam Bruce był mordercą.

- Naprawdę? Mimo zabicia człowieka na stopniach ołtarza? Jak możesz tak mówić?

Sir William uniósł brew.

- Nie ja tak mówię, lordzie admirałe, lecz szkocki Kościół w osobie Roberta Wisharta, biskupa Glasgow, z pełnym poparciem Willia ma Lambertona, biskupa Saint Andrew's i prymasa królestwa, który oczyścił Roberta Bruce'a ze skazy morderstwa niecały tydzień po tym wydarzeniu, po czym kazał koronować go na króla Szkocji. Bruce miał wtedy niewiele dobytku, a z pewnością nie należały do niego ubrania. Został koronowany w ceremonialnych szatach biskupa Wisharta, osobiście pożyczonych mu przez niego na tę okazję. - Sinclair przerwał, pozwalając wybrzmieć tym wieściom. - Chciałbym poddać pod twoją rozagę, że żaden duchowny, nawet najbardziej sprzedajny i zepsuty, nie śmiałyby tak otwarcie i publicznie poprzeć człowieka, którego szczerze podejrzewałyby o morderstwo, czy to w kościele, czy gdziekolwiek indziej. - Sir William spojrział na Tama, jakby chcąc sprawdzić, czy ten słucha, a potem z powrotem usiadł na krześle. - Chciałbym przypomnieć ci twoje własne słowa, sir Karolu:

królowie nie są zwyczajnymi ludźmi... a to morderstwo też nie było zwyczajną sprawą. Nie mówimy o drobnej sprzeczce, nieporozumieniu, które wymknęło się spod kontroli. To była konfrontacja między dwoma silnymi, dumnymi, ambitnymi mężczyznami, dwoma lordami protektorami królestwa Szkocji, z których każdy uważał, że tak naprawdę korona należy się wyłącznie jemu. Gorzkie, gniewne słowa doprowadziły do nieoczekiwanych ciosów. Jeden z tych ludzi wyszedł z prezbiterium, a potem drugi z nich zmarł. To poplecznicy Johna Comyna, między innymi sam papież Klemens, nazwali ten rezultat morderstwem dokonany przez Bruce'a. Zastanawiam się, jak nazwaliby go, gdyby to Bruce zmarł na stopniach ołtarza? Czy John Comyn, lord Badenoch i faworyt papieża, byłby teraz potępiony? Pewno byłby królem, lecz czy papież też by go oskarżył i ekskomunikował? Pamiętaj, to ten sam papież, który teraz działa w zмовie z Filipem i de Nogaretem, aby zniszczyć nasze bractwo. Ciekawe, czy ów papież był mniej chciwy i uczciwszy w zeszłym roku niż dzisiaj? Saint Valery odchrząknął.

- Sam przyznajesz, że nie wiemy do końca, czy to prawda, czy nie, sir Williamie. Mam na myśli zniszczenie naszego bractwa. Wiemy tylko to, co nam powiedziano, i być może okaże się jeszcze, że to fałszywe informacje.

- No cóż, jutro dowiemy się ponad wszelką wątpliwość, lecz wiem, w co wierzę tej nocy. - Sir William znów zerwał się z krzesła, energicznie klaszcząc w dłonie. - Robert Bruce to uczciwy człowiek, sir Karolu. Przyznaję, jest młody, postępuje pochopnie i potrafi być porywczy, kiedy się go sprowokuje, co nie jest najlepszą cechą u króla. Ale uczy się szybko i nigdy nie popełnia dwa razy tego samego błędu. Zasadniczo ufam mu i wiąże z nim wielkie nadzieje. Stanowczo twierdzą, że możemy mu zawierzyć. Od tych dwustu lat mamy mocną pozycję w Szkocji, lecz ostatnio jesteśmy silniejsi niż kiedykolwiek, walcząc o sprawę szkocką u boku samego króla przeciwko Anglikom. Bruce uzna to i udzieli nam schronienia.

Saint Valery mruknął pod nosem.

- Czy Jacques de Molay wie, że masz zamiar udać się do Szkocji? Szkocki rycerz się zawahał.

- Nie wie, panie, choć szczerze mówiąc, podejrzewam, że być może się tego spodziewa. Nie rozmawialiśmy jednak o tym, a nazwa

tego kraju nigdy nie padła. Mistrz de Molay pozostawił mi kwestię wyboru azylu i nie próbował wpłynąć na moją decyzję. Wydaje mi się, że on sam nie jest do końca przekonany, czy wydarzenia, do których się przygotowujemy, faktycznie nastąpią. Ma nadzieję, że sygnały były fałszywe, lecz jako rozsądny opiekun podjął działania, aby uniknąć najgorszego. Powiedział mi, że jeśli jutrzejszy dzień okaże się tym, przed którym nas ostrzegano, w odpowiedniej chwili Bóg da mi znak, gdzie powinienem się udać, i kazał mi poprosić cię - jak to przed chwilą uczyniłem - abyś był przygotowany wraz ze swoją flotą chronić moją ucieczkę.

- Ale...? Słyszę w twoim tonie jakieś „ale”.

- I słusznie. Sądzę, że mistrz nie chciał znać mojego celu. Nie znając go, nie mógłby wyjawić go pod wpływem tortur.

-Tortur! Poddać wielkiego mistrza Zakonu Świątyni torturom? Nigdy nie odważyliby się na tak oburzający akt przemocy. Papież publicznie by ich potępił.

Wyraz twarzy sir Williama pozostał niezmienny.

- Klemens, sir Karolu, zrobi to, co każe mu Filip. To król nadał mu honor papieża i równie dobrze może mu go odebrać. Jeśli chodzi o akty przemocy i potępienie, de Nogaret już został obłożony ekskomuniką za porwanie poprzedniego papieża na rozkaz króla Filipa. Stary papież zmarł na skutek tego okrutnego wydarzenia, lecz wygląda na to, że w jego następstwie de Nogaret zbyt nie ucierpiał.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, a potem znów odezwał się sir William.

- Co zrobisz z Anglikiem, admirale? Z mordercą Godwinsonem?

- Co z nim zrobię? Oddam go w ręce sprawiedliwości, zostanie skazany za morderstwo.

- Kiedy? I przez kogo, panie? O świcie de Nogaret go uwolni, a Godwinson będzie się śmiał, kiedy nasi ludzie trafią do lochów, w których sam teraz siedzi. Wydaje mi się, że niezbyt to sprawiedliwe.

Admirał poblądł nieco. Zamrugał kilkakrotnie, a potem potrząsnął głową z konsternacją.

- Co zatem chcesz, żebyś zrobił? Zabił go na poczekaniu? To byłoby morderstwo.

- Nie, sir Karolu, chciałbym tylko przypomnieć ci o twoich własnych wcześniejszych słowach. Jako członek Rady mam wyższy sto-

pień niż ty. Dlatego też odpowiedzialność za takie decyzje spoczywa na mnie, nie na tobie.

- Co więc poczujesz?

- Uczynię zadość sprawiedliwości. I zrobię to teraz, dziś w nocy. Powinienem był zrobić to już wcześniej. Godwinson stracił prawo do życia, kiedy opuścił Paryż, planując ten czyn, i pozwolenie mu na uniknięcie kary byłoby absurdem. Tam, zbierz naszych ludzi, którzy widzieli, co się stało, i zaprowadź ich do lochów. Dołączę do was.

Tam kiwnął głową i wyszedł bez słowa, zostawiając wyższych rangą mężczyzn sam na sam.

- Naprawdę masz zamiar zabić tego człowieka? - spytał rzeczowo Saint Valery.

- Jaki mam wybór, sir Karolu? Pozwolić mu żyć, aby przechwalał się swoim tryumfem? Możesz tu poczekać, jeśli sobie życzysz. Nie musisz tego oglądać. Dość wielu ludzi może poświadczyć o zbrodniach tego człowieka.

Admirał wstał i ułożył starannie swoją pelerynę, potem podszedł do sir Williama i powtórzył czynność, wygładzając białą szatę, aby zwisała w idealnych fałdach, a emblemat Zakonu wyhaftowany na sercu wyglądał nieskazitelnie. Zrobił krok w tył i przyjrzał się krytycznie skutkom swoich wysiłków, po czym kiwnął głową.

- Dobrze. A teraz będę świadkiem wraz z resztą twojego trybu nału. Jestem to winien pamięci Arnolda i jego nieśmiertelnej duszy. Prowadź, sir Williamie.

Postępowanie sądowe nie trwało długo. Kiedy sir William i admirał przybyli na miejsce, Tam Sinclair i jego serwienci czekali przy wejściu do lochów. Tam siedł na czele korytarzem, po którego obu stronach znajdowały się pojedyncze cele: te po lewej wyposażono w solidne, wzmocnione żelazem drewniane drzwi z maleńkimi, zakratowanymi otworami, a po prawej widniały klatki z grubymi żelaznymi kratami z trzech boków i grubym kamiennym murem z tyłu. Godwinson był w jednej z klatek - siedział w głębokim cieniu na skraju wąskiej drewnianej pryczy, skuty kajdanami w kostkach i nadgarstkach. Jego dwaj strażnicy stanęli na baczność i odsunęli się, kiedy sir William, Saint Valery oraz ich drużyna weszli i zbrali się przy klatce więźnia, zaglądając do środka. Anglik wyszczerzył do nich zęby i splunął ponuro.

- Przyszliście tryumfować, co? No to tryumfujcie i bądźcie przekłeci. Spieszcie się jednak, bo długo tu już nie pobędę. - Mówił po francusku, lecz wyraźnie słychać było, że jest Anglikiem: jego silny akcent kaleczył słowa.

Sir William rzucił na niego okiem tylko raz, potem nie zwracał już uwagi, rozglądając się po przestrzeni między celami. Było to wąskie, ciemne, pozbawione okien miejsce przypominające trumnę; miało wysokie, spadziste sklepienie z czerwonych, glinianych dachówek ułożonych na gołych krokwiach. Szalały po nim chłodne przeciągi, przez które - jak sir William wiedział - w lochach było zimno i wilgotno nawet w środku lata. Mury zbudowano z nagich, chropowatych kamieni, a szpary między nimi wypełniono zaprawą lub błotem. Całe umeblowanie składało się z długiego, wąskiego drewnia-

nego stołu, trzech krzeseł i pełnego żarzących się węgla przenośnego piecyka, ustawionego na kamiennym bloku pod ścianą przy końcu stołu.

Podszedł do piecyka i przyjrzał mu się dokładnie, ignorując milczenie dwóch strażników. Węgiel już się dopalał, a tłące się popioły leżące poniżej przykrywała twarda, krucha warstwa żaru. Zza jego pleców wciąż dobiegało gadanie Godwinsona, którego chrapliwy głos brzmiał coraz bardziej gardłowo, w miarę jak Anglik coraz bardziej się wściekał. Sir William podniósł jeden z żelaznych pogrzebaczy stojących przy palenisku i wsadził go w węgle, krusząc skorupę i wzbudzając deszcz iskier. Mocno zamieszał w dogasającym żarze, wzniciając niemrawe płomienie, po czym zostawił pogrzebacz w ogniu i chwycił drugi, wypychając go w żar zaraz obok. W końcu podniósł kubel węgla i przechylił nad piecykiem, wypełniając go świeżym paliwem, a kiedy to zrobił, stanął obok niego Saint Valery.

- Co robisz, sir Williamie?

- Co robię, sir Karolu? Wzniciam ogień. Noc jest zimna i hulają tu przeciągi. Nie czujesz? - Odsunął się i stanął przed całą Godwinsona, skrzyżował ramiona na piersi, opuścił podbródek i w milczeniu patrzył na szalejącego człowieka po drugiej stronie krat.

Zdawało się, że długo zajęło Godwinsonowi pojęcie, iż jego gniew i pogarda nie robią wrażenia na wysokim rycerzu w białych szatach, który najwyraźniej przewodził tej drużynie, lecz w końcu bełkot Anglika ucichł, a sam mężczyzna uśmiechnął się szyderczo do sir Williama. Ten spoglądał na niego z kamienną twarzą. Potem, kiedy w wysokim, ciemnym pomieszczeniu zapadła niemal absolutna cisza, ponownie odszedł w stronę stołu.

- Przyrowadzić go tutaj.

Godwinson opierał się z całych sił, kiedy go chwycono, lecz był skuty kajdanami i jego szamotanina na nic się nie zdała: sześciu ludzi podniosło go z ziemi i zaniósło do tego końca stołu, przy którym usiadł sir William, położywszy dłonie na blacie.

- Posadźcie go tutaj - powiedział, wskazując krzesło po drugiej stronie stołu - i owińcie łańcuchy dookoła nóg krzesła, żeby nie próbował wstać.

Godwinson ponownie nie mógł stawić oporu i szybko pogodził się z sytuacją, kiedy dwaj serwienci uklękli przy jego stopach i wypełnili

rozkaz rycerza. Jednak kiedy tylko skończyli, Anglik odezwał się do sir Williama, a jego głęboki głos pełen był odrazy.

- Kim jesteś, sukinsynu? Obiecuję ci...

- Zakneblować go.

Tam stał niedaleko, trzymając brudną, pomiętą szmatę i czekając na ten rozkaz; rozdarł materiał na dwie części, jedną zwinął w kulę i wepchnął Anglikowi do ust, a drugą mu je zawiązał.

William Sinclair pochylił się do przodu, opierając łokcie o stół, a brodę o pięści.

- A teraz, Angliku, posłuchaj mnie. Tamten człowiek - wskazał na Saint Valery'ego - miał być twoją drugą ofiarą tej nocy. Sir Karol de Saint Valery, admirał floty Zakonu. Nie udało ci się go nawet zranić. Twój pan nie będzie z tego zadowolony. Udało ci się jednak zabić jego najstarszego przyjaciela, preceptora tej komturii, człowieka, który stukrotnie bardziej zasługiwał na życie niż ty. Zamordowałeś go, a każdy tu obecny może to zaświadczyć. Zastrześliłeś ponadto dwóch strażników, również członków Zakonu. Za każdy z tych czynów zasługujesz na śmierć, i gdybym był twoim jedynym sędzią, już byś szczeł. Jednak ze swoich własnych powodów admirał Saint Valery nie życzy sobie, abym cię zabijał.

Sinclair uważnie przyglądał się Godwinsonowi i dostrzegł, jak Anglik mimowolnie otwiera szeroko oczy, kiedy wezbrała w nim nadzieja, że przeżyje, ponieważ jeśli nie zostanie zabity tej nocy, wraz z nadejściem świtu będzie wolny. Sir William poczuł ponurą satysfakcję, tłamsząc tę nadzieję w zarodku. Rozsiadł się wygodniej i ponownie skrzyżował ramiona na piersi.

- Walczyłem z mamelukami tureckiego sultana, którzy wiedzą więcej o honorze niż ty, Angliku. Może i są poganami i nigdy nie dostąpią zbawienia, lecz przynajmniej walczą w obronie wiary w swojego Boga i jego fałszywego proroka. Tobą kieruje wyłącznie chciwość. - Zobaczył, że zabójca mruży oczy.

- Naprawdę myślisz, że de Nogaret spodziewał się, iż przeżyjesz ten dzień? Jeśli tak, to jesteś nie tylko mordercą, ale też głupcem. I czy sądzisz, że przywita cię z powrotem, wiedząc, że nie wypełniłeś swojego zadania? Wilhelm de Nogaret to surowy człowiek, Angliku. Nie ruszy teraz palcem, aby ci pomóc. Och, wiem... - Sinclair uniósł dłoń. - Wiem, że będzie tutaj jutro o świcie. Wiem to. - Zobaczył, że

w oczach Anglika pojawia się konsternacja, lecz mówił dalej, miarowo, pozwalając każdej części wypowiedzi dotrzeć do słuchacza. - Jak, twoim zdaniem, zareaguje, kiedy się dowie, że admirał wciąż żyje, a flota stoi na kotwicy poza zasięgiem jego szponów? Czy będzie z ciebie zadowolony? Oczywiście możesz mu powiedzieć, że przybyłem na czas, aby pokrzyżować twoje plany, że wiedziałem o przekłętym spisku, który uknuł z królem, że wyrwałem flotę z ich ohydnych łapsk. Lecz czy będzie tracił czas, aby słuchać, Godwinson? Czy da ci mówić? Jeśli tak, chciałbym, żebyś powiedział mu, iż ja, William Sinclair, rycerz Zakonu i członek jego rady, wywiodłem flotę z Francji, a wraz z nią legendarny skarb templariuszy, którego on i jego podły pan tak szaleńczo pragną. Chciałbym, żebyś mu to przekazał, a także chciałbym życzyć ci radości z nagrody, którą otrzymałbyś od niego za wierną służbę.

Sir William wstał świadom, że widoczne nad kneblem oczy Godwinsona mają teraz zupełnie inny wyraz, i odchylił jego krzesło, tak że oparcie spoczywało na skraju stołu.

- Oczywiście mógłbym sobie tego jedynie życzyć, gdybym sądził, że będziesz w stanie mu cokolwiek powiedzieć. Słuchaj mnie teraz, morderco, ponieważ jako starszy członek naszego szlachetnego Zakonu wydaję na ciebie wyrok za czyny, które mogą poświadczyć tutaj obecni. Zostajesz trzykrotnie skazany za podłe i tchórzliwe morderstwo, dokonane pod przykrywką szat tego Zakonu, co do listy twoich zbrodni dodaje bluźnierstwo. Na prośbę sir Karola de Saint Valery możesz żyć dalej, lecz nigdy nam za to nie podziękujesz. Już nigdy nikogo nie zabijesz, Godwinson, chyba że postanowisz sobie odebrać życie. Już nigdy też nie opowiesz nikomu o tym, co dziś zrobiłeś.

Odwrócił się do Tama.

-Trzymaj go nieruchomo. Wy dwaj chwycicie go za nadgarstki, użyjcie łańcuchów i wyciągnijcie mu ramiona w moją stronę. - Przyglądał się, gdy wypełniano jego komendy, a potem skinął głową. — Dobrze. Teraz owińcie łańcuchy o oparcie krzesła, ale mocno.

Po chwili Godwinson leżał bezbronny twarzą w dół na stole; jego ręce unieruchamiało krzesło po przeciwnej stronie, a stopy to, na którym siedział. Sinclair z kamienną twarzą odwrócił się do jednego ze swoich serwientów-weteranów, wskazując na ciężki berdysz wiszący, jak zawsze, u jego pasa.

Serwient pogmerał przy pasie i odpiął broń. Sinclair ją wziął, kiwnął głową i sprawdził krawędź klingi opuszką kciuka. Znad stołu zaczęło dobiegać stłumione kneblem jęczenie Godwinsona, sygnalizujące, że wie, na co się zanosi. Sinclair zacisnął usta, po czym wyrecytował:

- Za potrójne morderstwo stracisz dłonie, które zabiły. Za haniebny grzech uknućia tych mordów stracisz język, za pomocą którego przyjąłeś zadanie i tym samym przypieczętowałeś swój los. Niech tak się stanie.

Dwa ciężkie uderzenia ostrym jak brzytwa berdyszem uciszyły stłumione krzyki Godwinsona.

- W ogniu są pogrzebacze. Przypalić kikuty, szybko! Teraz wyjąć knebel. - Odłożył berdysz i wyciągnął z za pasa sztylet, po czym schylił się, otworzył nieprzytomnemu człowiekowi usta i wsadził do środka czubek noża.

Chwilę później wyprostował się, blady jak chusta i z zaciśniętymi wargami.

- Zabrać go do medyków. Zanieście go twarzą w dół, żeby się nie zadławił krwią. - Wrzucił sztylet w ogień paleniska i wytarł zakrwawione palce w szmatę, którą wcześniej zakneblowany był okaleczony mężczyzna.

- Niech tak się stanie - powtórzył bezgłośnie prastarą inwokację templariuszy, po czym odwrócił się i wyszedł z lochów.

Sir Williamie!

Sinclair zatrzymał się na progu pokoju dziennego i odwrócił do spieszącego w jego stronę admirała.

- Muszę z tobą porozmawiać. Wysłałem Tama, aby wezwał de Berengera i Montricharda, lecz kazałem mu się nie spieszyć, ponieważ chcę zamienić z tobą słowo, zanim przyjdą. Jeśli więc będziesz łaskaw poczekać na mnie w pokoju dziennym, będę tam za chwilę.

Sinclair skinął głową i patrzył, jak starszy człowiek odchodzi popiesznie korytarzem; wszedł do komnaty dopiero, kiedy Saint Valery zniknął za innymi drzwiami. Zanim jeszcze zdążył rozsiaść się wygodnie na krzesło przy ogniu, znów stał na nogach: admirał wrócił, niosąc zwykłą, czarną, lśniącą butelkę i dwa małe kubki. Postawił je na jednym ze stołów i nalał do nich po porcji płynu, zmrużonym okiem sprawdzając, czy jest równo.

- Masz, chcę, żebyś tego spróbował... Trzymam to w innej komnacie, tam gdzie spotykam się z dygnitarzami odwiedzającymi komturę. Wszyscy oni potrafią docenić nasze spartańskie życie, lecz po tem lubią też zażyć nieco wygod życiowych. To wspaniały eliksir, lecz muszę go skrzętnie ukrywać, aby nie kuśli moich braci... Bóg jeden wie, że kilkakrotnie kuśli on mnie samego, a Arnold, świeć Panie nad jego szlachetną duszą, bardzo w nim gustował. Siadaj sobie. Siadaj gdziekolwiek, lecz wybierz miękkie krzesło... Mamy ich bardzo nie wiele, podobno tamto jest bardzo wygodne. Przyciągnij je do ognia. A teraz daj mi chwilę, jeśli łaska.

Podniósł jeden z wypełnionych płynem kubków i podał go Sinclairowi.

- Masz, wypij. Zaciekawi cię to.

Sir William wziął kubek bez słowa i uniósł go do ust, lecz upiwszy pierwszy łyk, zaniósł się kaszlem. Admirał zachichotał.

- No tak. Uważaj, nie wylej! Ognisty trunek, prawda? Robią go be nedyktyni w swoim opactwie, położonym niedaleko stąd, na wschód. Wytrwaj jednak. Pałący smak ustępuje, i uważam, że esencja uspokaja w ciężkich chwilach. Niech mi Bóg będzie świadkiem, sir Williamie, rzadko widuję ludzi, którym bardziej trzeba uspokojenia niż tobie w tej chwili. Jesteś napięty jak struna. Pij, pij jeszcze.

Kiedy Sinclair ponownie, tym razem ostrożniej, zabrał się do sączenia trunku, admirał też zaczął pić, spoglądając na niego znad brzegu kubka. Młodszy rycerz był śmiertelnie blady, policzki miał zapadnięte, a bruzdy dookoła ust rysowały się wyraźnie. Widać było, że wymierzanie sprawiedliwości dużo go kosztowało, a Saint Valery'emu bardzo było go żal. Sprawowanie prawdziwego przywództwa przez dawanie przykładu nigdy łatwe nie było - nauczyło go tego doświadczenie całego życia - lecz w takich chwilach branie na swoje barki odpowiedzialności za decyzje właściwe zwierzchnikowi potrafiło być paraliżująco bolesne.

-Jeszcze, sir Williamie. Pij jeszcze. Będzie łatwiej, obiecuję.

Sinclair wychylił jeszcze jeden, tym razem głębszy łyk i zamknął oczy, na chwilę zatrzymując słodki, ognisty płyn w ustach, po czym pozwolił mu spłynąć do przełyku. Saint Valery pokiwał wolno głową, patrząc na niego.

- Powiedz zatem, jak się czujesz?

Sinclair otworzył oczy.

- Jak się czuję? A jak powinienem się czuć? Właśnie okaleczyłem człowieka. Własnymi rękami odciąłem mu dłoń i język. Jak ty byś się czuł, admirale, po tak chwalebnym wyczynie? Czuję się brudny i splugawiony, jakbym był równie nieludzki jak łajdak, którego zmasakrowałem.

- Wymierzyłeś sprawiedliwość, i to w niezwykle godny podziwu sposób, mój panie. Nie masz powodu czuć się splugawiony. Jak bardzo słusznie zauważyłeś, gdybyś nic nie zrobił, jutro człowiek ten odszedłby wolno, nietknięty, śmiejąc się z nas. Teraz będzie miał całe życie, aby odpokutować za swoje grzechy.

- Odpokutować? Hmm. On nie z tych, admirale. Wątpię, czy cze-

gokolwiek będzie żałował, poza tym, że nie zabił mnie, kiedy po raz pierwszy skrzyżowaliśmy miecze.

- Ależ on już nigdy nie chwyci miecza. Ani kuszy. A jednak został przy życiu.

- Być może. Może też umrzeć od ran.

- Nie, dopóki znajduje się w rękach naszych braci medyków. Świetnie wiedzą, co robią.

- Tak, lecz jutro zostaną aresztowani, a ich umiejętności mogą ich nie uratować.

To sprawiło, że admirał się zamyślił.

- Sir Williamie, nie wspomniałeś nic o tutejszym garnizonie i o tym, czego będziesz od niego oczekiwał.

- Zdaję sobie sprawę. Lecz czytałeś rozkazy mistrza, sir Karolu. Nie mają robić nic, tylko poddać się jutrzejszym wydarzeniom. Opór spowodowałby chaos, a także dałby de Nogaretowi pretekst do spustoszenia komturii. Uznałby to za powstanie i bunt; potoczyłyby się głowy. Twój garnizon ma się poddać na żądanie. Zostaną zabrani do aresztu, lecz poza tym nic im się nie stanie. Ich głównym zadaniem będzie stworzenie na początku pozorów normalnej sytuacji, co pozwoli uciec nam na morze bez przeszkód. Ich zwycięstwem będzie ocalenie floty i naszego skarbu, choć nie będą wiedzieli o tym drugim. — Ponownie uraczył się napitkiem. - Świetna mikstura. Jak się nazywa?

Admirał wzruszył ramionami.

- Nie znam jej nazwy. To po prostu trunek warzony przez benedyktynów, destylowany z wina i doprawiony pachnącymi, smaczными ziołami oraz przyprawami. Czy mogę zadać ci osobiste pytanie, sir Williamie?

- Tak, pytaj śmiało. - Na twarzy Sinclaira na powrót pojawił się ślad rumieńca, a zmarszczki koło ust były mniej widoczne niż wcześniej.

Saint Valery odchrząknął, czując w gardle smak trunku.

- Chodzi o tę sprawę ze Szkocją. Kiedy byłeś tam ostatnio?

Sinclair osuszył kubek, odstawił go na podłogę i wstał. Oparł swój nieodłączny miecz o krzesło i przesunął dłońmi po twarzy, jakby wycierał z niej zmęczenie.

- Obawiam się, że zbyt dawno, admirale. Moja stopa nie postąpiła w Szkocji od ponad dwunastu lat. Dlaczego pytasz?

- Spodziewałem się takiej odpowiedzi, a jednak dokładnie wiesz, co się tam dzieje, twoje wieści są aktualne. Jak ty to robisz?

- Mam tam siostrę, admirała. Młodszą siostrę, Margaret, która choć nie zna swojego brata zbyt dobrze, postanowiła zawiadamiać go o wszystkim, co dzieje się w rodzinie. Uważa to za swój święty obowiązek, a przez te pięć lat byłem jej za to wdzięczny, ponieważ jest inteligentna i dowcipna, jej listy łatwo się czyta i pełne są miłych memu sercu, wesołych opowieści o domowym życiu.

- Rozumiem. A jakim sposobem je otrzymujesz?

- Przez Zakon. Każę je regularnie wysyłać z Zakonu w Edynburgu do jego paryskiej siedziby. Najnowszy plik jedenastu listów dostałem, kiedy mistrz de Molay wezwał mnie do Paryża, aby poinformować o sytuacji obecnej. Ostatni napisano niecałe trzy miesiące temu.

-1 to jest twoje źródło wiadomości o królu Szkocji? Czy twoja siostra ma dostęp do takich informacji?

- Do pewnego stopnia. W części listów Peggy... tak ją nazywamy... pisała o królu Robercie i jego kłopotach, o tym, jak wpływają one na losy jej i Edwarda. Stąd wiem o wydarzeniach i plotkach towarzyszących zeszłorocznemu wstąpieniu króla na tron.

- Ten Edward jest więc twoim bratem?

- Nie, admirała, to mój szwagier, mąż mojej siostry. Nazywa się Edward Randolph. Sir Edward Randolph.

Saint Valery uniósł głowę zdumiony.

- Sir Edward Randolph? Czy jest spokrewniony z sir Tomaszem Randolphem?

- Tak, są braćmi.

- Na Boga! Zatem twoja... twoja siostra...

- To lady Margaret Randolph. Co w związku z tym?

- Musi być siostrą przez małżeństwo lady Jessiki Randolph.

Sinclair wzruszył ramionami.

- Nie znam lady Jessiki Randolph. Peggy nigdy o niej nie wspominała. Ale też nie znam sir Edwarda. Przyjaźniłem się z jego starszym bratem Tomem za lat chłopięcych, a właściwie dziecięcych, a jego drugi brat, James, był wtedy malutki; miał nie więcej niż siedem czy osiem lat. Edward urodził się po tym, jak opuściłem dom, więc możliwe, że jest też jakaś siostra lub dwie, których nigdy nie poznałem.

- Nie, nie mogłeś poznać lady Jessiki. Jak podejrzewam, nie zna jej

też twoja siostra, choć z pewnością słyszały o sobie. - Saint Valery mówił cicho i dziwnie marszczył czoło. - Tak jak powiadasz, lady Jessica jest znacznie młodsza i rzadko odwiedza Szkocję. To wdowa, która wiele życia spędziła tu, we Francji, a potem w Anglii, gdzie jej mąż był przedstawicielem króla Filipa. Nazywał się baron Etienne de Saint Valery. Był moim młodszym bratem. Lady Jessica to *la baronne* Jessica de Saint Valery. Oznaczałoby to, że jesteśmy w jakiś skomplikowany sposób skoligaceni.

Zaskoczony Sir William zamrugął, nie wiedząc, co na to rzec.

- A zatem z przyjemnością będę nazywał cię kuzynem, admirale. Czasami można odnieść wrażenie, że Bóg umieścił nas w maleńkim świecie, choć jest on tak ogromny. Mało więc prawdopodobne, abym spotkał lady Jessicę w Szkocji?

- Nie. Jest tutaj.

Zdumiony nielogiczną odpowiedzią Sinclair zapytał:

- Co masz na myśli, panie, mówiąc, że jest tutaj?

- To, co słyszałeś. Lady Jessica Randolph znajduje się tutaj.

- We Francji?

-W La Rochelle, w tej komturii, i jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Chroni się tu przed Wilhelmem de Nogaretem. Tam Sinclair uratował jej dzisiaj życie.

Widząc wyraz całkowitego zaskoczenia na twarzy towarzysza, Saint Valery kiwnął głową.

- Tak, dobrze usłyszałeś. Kobieta, którą Tam przewiózł dziś po południu przez bramy, to żona mojego brata... Wdowa po moim bracie. Tuż przed twoim przyjazdem poszła spać na górę. Była w drodze od wielu dni, ścigana, i to ją wyczerpało. Postanowiłem, że tej nocy bardziej przyda się jej sen niż czuwanie. Lecz od tamtej chwili wszystko się zmieniło i chciałem ci powiedzieć, że tu jest, oraz wyjaśnić dlaczego. Która godzina?

Sinclair wzruszył ramionami.

- Pewnie już prawie północ.

- Zapewne. A zatem dziś po raz pierwszy w historii tej komturii nie odśpiewano pod jej dachem niesporów. Jak rzekłem, wieści, które przyniosłeś, zmieniły wszystko, a lady Jessica nie ma o tym pojęcia. - Przerwał i zamyślił się głęboko.

Sinclair zadał pytanie, które go dręczyło:

- Dlaczego miałyby cokolwiek wiedzieć, admirale? To kobieta, a rozmawiamy o sprawach Zakonu. Od kiedy mają one jakiegokolwiek znaczenie dla kobiet?

Admirał rzucił mu ostre spojrzenie, jakby miał go zrugać.

-Ten szczególny aspekt naszej sytuacji oczywiście nie ma z nią związku, lecz istnieją inne kwestie, które jej dotyczą, i to bezpośrednio. Pokłada w Zakonie, który od dawna chroni jej interesy, zaufanie i oddała w jego ręce zarówno swoją misję, jak i samą siebie. - Zerknął w stronę drzwi, co przypomniało Sinclairowi, że wkrótce dołączą do nich dwaj zastępcy.

Admirał przechylił kubek, aby wysączyć ostatnie, cenne krople, a potem zajrzał do środka, mrużąc oczy i oblizując dokładnie usta. Po chwili podjął:

- Opowieść Jessiki jest długa, a choć niezwiązana bezpośrednio z naszą obecną niedolą, są pewne wspólne elementy... - Ponownie rzucił okiem w stronę drzwi, a potem znów odwrócił się do Williama, po raz drugi odpędzając jakąś myśl. - Na pewno już odpoczęła. Śpi od wielu godzin, a de Berenger i Montrichard wkrótce tu będą. Lecz czy miałbyś przedtem ochotę jeszcze na łyceczek?

Sir William zawahał się, a potem rzekł:

- Tak, chętnie.

- Świetnie. Dołączę do ciebie. Ale tylko odrobinę. Napój ten, choć pyszny, jest niewiarygodnie mocny. - Wrócił do stołu i nalał po małej porcji bursztynowego płynu. Potem zamknął dokładnie butelkę i dotknął swoim kubkiem naczynia Sinclaira. - Od kiedy odkryłem ten napój, sir Williamie, cieszę się, że nie wylewamy już z naszych kielichów libacji. Zaprawdę byłoby to marnowanie niebiańskiego nektaru. Wypijmy za jutro i potępienie dla de Nogareta.

- Z przyjemnością. Za potępienie dla de Nogareta. Lecz opowiedz mi więcej o twojej bratowej, ponieważ jej sytuacja mnie intryguje. Dlaczego w ogóle tu jest i dlaczego ściga ją de Nogaret? Mówiłeś chyba, że mieszka w Anglii.

- Tak było. A ponieważ jej historia wiąże się z de Nogaretem, jeśli twoje ostrzeżenie okaże się prawdziwe, będzie w śmiertelnym niebezpieczeństwie; ten diabeł podda ją torturom, aby dostać to, czego chce.

Sinclair nie miał złudzeń co do złych zamiarów kanclerza.

- Z pewnością tak zrobi, jeśli ją złapie. Nie ma co do tego wątpliwości. Ale czegoż on chce? I dlaczego lady Jessica w ogóle przebywa we Francji, skoro jest poszukiwana?

- Chce pieniędzy, sir Williamie. Doradca króla wyczuł pieniądze. Cóż innego, poza nienawiścią, kieruje tym człowiekiem? - Saint Valery westchnął. - Wspomniałem już, że mój brat Etienne był przedstawicielem króla. Wysłano go do Anglii, aby zarządzał sprawami Filipa na dworze Edwarda Plantageneta. - Admirał usiadł na krześle i odchylił się, splatając palce na brzuchu. - W Anglii znalazł dla siebie sposobności handlowe, wszystkie legalne i, jak uznał, nie stanowiące przedmiotu zainteresowania dla jego pana. Podczas krótkiej wizyty we Francji udał się na południe, do Langwedocji; jak się dowiedziałem, specjalnie po to, aby rozpocząć tam handlowe przedsięwzięcie z człowiekiem, z którym zaprzyjaźnił się lata wcześniej, żydowskim handlarzem, Jeszua Bar Symeonem, mieszkającym w nadbrzeżnym mieście Beziers. Etienne nikomu o tym wtedy nie wspomniał, nawet nam, rodzinie; swoim zwyczajem wolał utrzymać własne sprawy w tajemnicy i chronić je przed innymi. Potem wrócił do Anglii, zostawiając przedsięwzięcie w rękach tego Bar Symeona, i wszystko wskazywało na to, że kwitło ono przez prawie dwadzieścia lat, aż dwa lata temu Bar Symeon zachorował. Był już wtedy bardzo stary, ponad dwadzieścia lat starszy od Etienne'a. Wiedział, że umiera, a charakter jego umowy z moim bratem nie pozwalał mu na zlecenie pracy komuś innemu. Starzec spieniężył więc wszystkie zasoby, a cały dochód zdeponował u naszych braci w Marsylii. Ówczesny preceptor, wspaniały człowiek, Teodoryk de Champagne, wydał odpowiednie dokumenty dotyczące transakcji, lecz zamiast je wziąć, Bar Symeon poprosił o przesłanie ich, a przede wszystkim listu kredytowego, bezpośrednio mojemu bratu, do Londynu.

Saint Valery ostrożnie odstawił kubek na ziemię, wstał i zaczął chodzić po pokoju, splatając teraz dłonie za plecami i pochylając głowę tak, że jego długa, rozwidlona broda rozłożyła się na klatce piersiowej.

- Niestety próby tej nie można było spełnić, ponieważ naruszała ona nasze zasady... zasady naszego systemu.

Zatrzymał się i zerknął z ukosa na sir Williama.

- Jesteś człowiekiem czynu, sir Williamie, rycerzem i członkiem

Rady, lecz podejrzewam, że miałeś niewiele do czynienia z handlową stroną naszych poczynań, więc nie wiem, czy znasz sposób działania tego systemu. — Urwał, czekając na odpowiedź Sinclaira.

Sir William potrząsnął głową i ruchem dłoni poprosił, aby admirał kontynuował. Saint Valery ponownie jął spacerować po komnacie, gestykulując ręką dla podkreślenia swoich słów.

- Przede wszystkim, i to wiesz na pewno, jest on zasadniczo prosty. Człowiek, którego czeka długa i niebezpieczna podróż, zawozi swoje pieniądze do najbliższej siedziby Zakonu. Składamy je w skarbcu i wydajemy mu dokument, oficjalny list kredytowy świadczący o tym, jaką sumę nam powierzył; potem wiezie on go ze sobą i dotarłszy na miejsce, przedstawia go tamtejszym braciom. Tymczasem nasza flota dostarcza dokument potwierdzający transakcję oraz zawierający zaszyfrowane hasło do tej siedziby Zakonu, do której postanowił udać się ten człowiek. Na miejscu nasz podróżnik przedstawia list uwierzytelniający, dowodzi swojej tożsamości, co jest koniecznym zabezpieczeniem przed oszustwami, oraz podaje hasło, po czym otrzymuje sumę równą tej, która zawarta jest w liście kredytowym, pomniejszoną o drobną opłatę administracyjną. Jako system działa to bardzo dobrze, lecz ma swoje ograniczenia. Człowiek wymieniony w liście musi mieć go ze sobą i przedłożyć go osobiście. List nie może być nikomu odstępowany, żadnych przedstawicieli lub pełnomocników, ponieważ gdyby było to możliwe, cały system by się zawalił: nie można byłoby tak naprawdę zweryfikować niczyjego prawa do funduszy. W tym konkretnym przypadku sytuacja była patowa. Bar Symeon wiedział, że zbliża się jego koniec. W preceptorii doznał jakiegoś ostrego ataku i był przekonany, że zostało mu najwyżej kilka dni. Powiedział de Champagne'owi, że choruje od miesięcy, jego stan cały czas się pogarsza i nie spodziewa się, że ujrzy ponownie swój dom; z jego wyglądu i konwulsji, których sam był świadkiem, de Champagne wnioskował, że to prawda. Nie miałyby zatem sensu wypisywanie listu w imieniu starca, ponieważ wraz z jego śmiercią depozyt przepadłby na zawsze, uległby konfiskacie i zostałby wchłonięty przez nasz system. Z tego samego powodu nie był on w stanie ponownie wypłacić swoich funduszy z Marsylii i zabrać ich ze sobą. Teodoryk musiał uporać się z dylematem natury moralnej.

- Nic dziwnego. Co zatem zrobił?

Saint Valery zatrzymał się i patrzył w płomienie.

- Pomodlił się. A potem podjął decyzję, która ignorowała ograniczające go reguły, w tym wypadku uniemożliwiające mu podjęcie właściwego moralnie działania... Stary Bar Symeon opowiedział mi całą historię, zapewne z desperacji, kiedy zdał sobie sprawę, że nie chcący znalazł się w bardzo niezręcznej sytuacji, więc de Champagne wiedział, że fundusze słusznie należały się mojemu bratu. Dlatego też postąpił wedle własnego uznania, przecząc wszystkim naszym regułom, i wypisał list kredytowy na Etienne'a. Potem wysłał mi zapieczętowane dokumenty wraz z listem wyjaśniającym sytuację; napisał też, że Bar Symeon zapewnił go, iż Etienne będzie znał hasło, ponieważ od początku swojej współpracy używali tego samego. De Champagne i ja znamy się od wielu lat, więc zaufał mi, że zachowam tę sprawę dla siebie. Oczywiście Bar Symeon już wtedy nie żył. Zmarł dwa dni po zakończeniu transakcji.

- Hmm... - Sir William siedział pochylony, słuchając uważnie, a teraz nie mógł się doczekać tego, co było dalej. - Co zrobiłeś?

- Na początku nic. Byłem całkowicie zaskoczony, ponieważ nic o tym nie wiedziałem, nie podejrzewałem nawet, że Etienne prowadzi interesy z Żydem, którego najwyraźniej darzył wielkim szacunkiem; jak się okazało, słusznie. Lecz kiedy wszystko przemyślałem, naradziłem się z moim przyjacielem, sir Arnoldem de Thierry, rozmawiając z nim jako preceptorem komturii w La Rochelle, ponieważ choć wiedziałem, co muszę zrobić, wydawało mi się to aroganckim i dumnym sposobem postępowania, tak odbiegającym od ograniczeń nałożonych przez nasze zasady. Jednak Arnold uznał, że postępuję słusznie, i zachęcił mnie, abym ziścił swój plan.

- Wysłałeś więc list bratu do Anglii.

- Nie. Tego nie mogłem zrobić. To stanowiłoby jaskrawe naruszenie naszego prawa. Przechowałem list tutaj; musiał odebrać go osobiście. Zawiadomiłem go jednak listownie, że mam dla niego dokumenty. Zapewne mniej więcej na tym etapie wywąchał sprawę de Nogaret, choć wtedy o tym nie wiedzieliśmy. Lecz do chwili, kiedy nastąpiła transakcja i wysłano mi dokumenty, nikt, nawet ja i reszta rodziny, nie miał pojęcia ani o tym, co łączyło Etienne'a z Bar Symeonem, ani nawet o jego istnieniu. Zdradzić musiał zatem ktoś z nas, któryś z braci w Marsylii, przekupiony przez de Nogareta rycerz

lub serwient. Ledwie mogę w to uwierzyć; dręczy mnie to bardziej, niż potrafię wyrazić, lecz nie umiem znaleźć innego wyjaśnienia. W każdym razie wydało się: de Nogaret został o tym poinformowany, a reputacja naszego Zakonu zszargana.

- Skąd wiesz, że zdradził ktoś w Marsylii? Być może szpieg stacjonował tutaj i przeczytał twój list, zanim go wysłałeś.

- Niemożliwe, sir Williamie, ponieważ napisałem i zapieczętowałem go sam i tego samego dnia wysłałem na pokładzie jednej z naszych galer, zmierzającej do Londynu. Jednak zanim dotarła do celu, mój brat zdążył już wypłynąć do Francji na pilne wezwanie króla. I tak szykował się do przyjazdu tutaj wraz z lady Jessicą, aby odwiedzić naszą matkę, która bardzo kocha swoją synową, więc jedynie przyspieszył plany i wyjechał tuż po otrzymaniu wiadomości od króla. Na szczęście dla lady Jessiki z powodu pilności wezwania Etienne zostawił ją w siedzibie Zakonu w Hawrze i sam pojechał do Paryża. Dowiedzieliśmy się później, że po przybyciu został aresztowany i wtrącony do więzienia, gdzie poddano go długim torturom i gdzie w końcu zmarł.

Sir William siedział w milczeniu, analizując to, co usłyszał, a potem opadł ciężko na oparcie krzesła i, podparł podbródek na dłoni, a łokieć na poręcz.

- Dlaczego zatem de Nogaret wcześniej nie walił w nasze drzwi? Jeśli torturowali twój brata przez dłuższy czas, na pewno powie dział im wszystko.

- To prawda, ale nie wiedział nic... a przynajmniej nic, co przydałoby się de Nogaretowi. Etienne opuścił Anglię, zanim dotarł tam mój list. Nie dostał go i nie słyszał nawet o chorobie Bar Symeona, a co dopiero o jego śmierci. Na pewno nie orientował się, że cały jego majątek spieniężono i że dochód z tej sprzedaży znajduje się u nas. Mógł powiedzieć oprawcom jedynie to, co zgodnie z jego wiedzą stało się, zanim starzec zachorował. De Nogaret popełnił duży błąd: wykonał ruch zbyt wcześnie. Dzięki raportowi szpiega w Zakonie wiedział, że fundusze są w naszych rękach, lecz nie mógł nic zdziałać bez listu uprawniającego, a nie wiedział, gdzie on jest. Dzięki Bogu, nasze prawa są w takich kwestiach jasne. List kredytowy otrzymuje deponent, nie robi się kopii. Fundusze przechowujemy my, a żaden król czy zasznik króla nie ma władzy nad Zakonem. De Nogaretowi nigdy nie

przyszłoby do głowy, że jeden z preceptorów mógłby naruszyć nasze przepisy i zrobić to, co de Champagne faktycznie zrobił: wysłać dokumenty mnie. Dlatego też założył rzecz najbardziej oczywistą; uznał, że list wciąż istnieje i że Bar Symeon oddał go na przechowanie jakiemuś krajanowi.

- Czyli innemu Żydowi. Poczekaj no chwilę. - Sinclair marszczył brwi, a jego myśli gnały jak oszalałe. — Kiedy to wszystko się stało?

- Ponad rok temu, prawie dwa.

- Przed pogromem.

- Tuż przed nim. Plany tego wydarzenia musiały być już wtedy na zaawansowanym poziomie, ponieważ była to ogromna operacja.

- Fakt, i nie został dziś przy życiu we Francji ani jeden Żyd, który mógłby to potępić, nawet gdyby ktokolwiek chciał go wysłuchać. Uważano za słuszne i stosowne, aby skonfiskowane pieniądze Żydów, bogactwa zabójców Chrystusa, trafiły do skarbcza Francji.

- Mówisz tak, jakbyś się z tym nie zgadzał.

- Bo tak jest. Jesteś zaskoczony, choć znasz korzenie naszego prastarego Bractwa Syjonu. Nie chcę mieć nic wspólnego z nienawiścią do Żydów. Uważam, że jest podła i poniżająca, wiąże się z przeczeniem temu, że sam Jezus był Żydem.

- To prawda.

Saint Valery usiadł ponownie i podniósł kubek z podłogi.

- Lecz żaden z francuskich Żydów, oczywiście poza Bar Symeonem, nie miał nic wspólnego z pieniędzmi Etienne'a. Tylko my, bracia Zakonu, wiedzieliśmy cokolwiek na ich temat... - Upił łyk z kubka. - Czy przyszło ci do głowy, że właściwie można by nas uznać za lichwiarzy?

Sinclair zerknął na admirała z ukosa.

- Nie, ponieważ nimi nie jesteśmy. Pobieramy małą opłatę, aby pokryć koszty naszej działalności, ochrony i transportu dóbr, lecz da leko temu do lichwy.

-Tak twierdzimy, ale czy to prawda? Mamy tyle tajemnic, nieznanymi nawet dla nas samych, że obawiam się, iż prawda być może zaginęła od czasu, kiedy założono Zakon w Zamorzu. Czy możesz na przykład podać mi prawdziwe znaczenie pierwszej pieczęci Zakonu, na której widnieją dwaj rycerze na jednym koniu?

- *Sigillum Militum Christi* Przedstawia ona jedynie to, że

w najwcześniejszych dniach rycerze byli tak ubodzy, że dwaj ludzie często musieli jeździć na jednym koniu. Saint Valery wykrzywił usta z pogardą.

- I w tym przypadku tak się mówi. Lecz ja w to wątpię. Zastanów się, sir Williamie. Pierwszych dziewięciu członków drużyny Hugona de Paynsa należało do Zakonu Syjonu, wtedy zwanego Zakonem Odrodzenia w Syjonie. Po odkryciu, którego dokonali w ruinach Świątyni, ich liczebność wzrosła i narodził się Zakon Świątyni, pełen chrześcijańskiego ognia i zapału, podszyty bigoterią i żądzą krwi. Uważam, iż ich pierwszy symbol, pieczęć z dwoma rycerzami, był paradoksem, moim zdaniem wymyślonym przez samego de Paynsa, założyciela Zakonu Świątyni. Według mnie przedstawia on fundamentalną dwoistość przeobrażonej organizacji, nie dwóch ludzi na jednym koniu, lecz dwóch ludzi w każdym z założycieli; jednym z nich jest rycerz Zakonu Świątyni, a drugim członek znacznie starszego Bractwa Syjonu. Może to bzdura zrodzona ze zbyt wielu myśli i samotności, lecz znajduję w niej pocieszenie.

Jego rozmówca pokiwał wolno głową.

- Nigdy bym na to nie wpadł - powiedział w końcu cichym i pełnym podziwu głosem. - Nawet gdybym dożył stu lat. Lecz słysząc to z twoich ust, jestem skłonny uznać, że to prawda. - Uśmiechnął się, a potem pochylił, aby podnieść kubek. Wychylił zawartość i przez długą chwilę rozkoszował się jej ognistą mocą, a kiedy znów się odezwał, jego głos był jeszcze cichszy niż wcześniej. - Tak naprawdę niewiele rzeczy się w życiu uczymy, czyż nie? Większość z nas nie może się doczekać, aby zapomnieć wszystko, co wie. Ale o czym rozmawialiśmy wcześniej?

- O pogromie Żydów, o tym, jak bardzo się udał.

- Ach, tak. - Sinclair zerknął na pusty kubek, który trzymał, i podniósł go, potrząsając głową. — Ci benedyktyni chyba parają się magią. Nigdy wcześniej nie próbowałem czegoś podobnego... Kręci mi się w głowie. - Machnął ręką, oddalając ten temat. - A wszystko to stało się prawie dwa lata temu. Co potem spotkało baronową?

- Uratowali ją jej ludzie.

- Jacy ludzie? Jak?

- Ona i Etienne podróżowali zawsze ze szkocką strażą, przydzieloną im przez samego lorda Tomasza Randolpha. Ludzie ci byli lojalni

niczym wilczury i równie brutalni. Jadąc do Paryża, Etienne zabrał połowę z nich ze sobą. Byli przy nim podczas aresztowania, a straż królewska wycięła ich w pień, kiedy próbowali interweniować. Nie ufając jednak nikomu, wcześniej wystawili czujki przed bramą. Ci zobaczyli, co się stało, natychmiast wrócili do Hawru, zarekwirowali okręt i zawieźli swoją panią w bezpieczne miejsce, ale do ojczyzny, Szkocji, nie do Anglii. Jak mówiłem, byli nieufni, a Edward, król Anglii, od lat wojował ze Szkotami, więc strażnicy baronowej postanowili wrócić z nią do domu, a nie zdawać się na dobrą wolę Anglików. Wtedy nic o tym nie wiedziałem. Ostatecznie list, który wysłałem bratu, trafił z londyńskiej siedziby do Zakonu w Edynburgu, lecz zdążyło już upłynąć dobre sześć miesięcy. Wtedy, trochę ponad miesiąc temu, lady Jessica całkiem niespodziewanie przyплыnęła do La Rochelle, aby odzyskać skarb, który przechowywaliśmy dla niej jako wdowy po moim bracie.

- Zapewne to niemało pieniędzy. - Ton Sinclaira był ironiczny, lecz Saint Valery kiwnął głową.

- Tak. Sześć wielkich skrzyń sztabek złota oraz pięć srebra w sztabach i monetach. Dość dużo, aby zapłacić okup za króla... lub wesprzeć go w chwili desperackiej potrzeby... Lady Jessica mówi całkiem otwarcie o swoich zamiarach. Chce dać złoto Robertowi Bruce'owi, królowi Szkotów. Ma do tego oczywiście pełne prawo, lecz wiąże się to z innym problemem, którego nie przewidziałem. Potrzebowałem hasła, aby zgodnie z prawem udostępnić pieniądze, a tylko Etienne mógł je znać. Wysłałem więc kolejny list, do Teodoryka de Champagne, wyjaśniając mój dylemat i prosząc o hasło, ponieważ on posiadał jedyny duplikat listu. Podał mi je bez komentarza czy sprzeciwu. Tymczasem lady Jessica postanowiła odwiedzić moją matkę w Tours. Wdowa po moim bracie to kobieta o silnej woli i była przekonana, że nie spotka jej żadne niebezpieczeństwo, pod warunkiem że pojedzie sama, z towarzyszeniem jedynie nielicznej eskorty.

-I?

- Zdradzono ją. De Nogaret przekupił rządcę gospodarstwa mojej matki. Ten wysłał gońca do Paryża, lecz potem był na tyle głupi i arogancki, że zażądał, aby lady Jessica została na miejscu, kiedy przygotowywała się do wyjazdu. Mój najmłodszy brat, Gilbert, zabił go i zbiegł, zostawiając za sobą ślady i pozwalając lady Jessice uciec. -

Saint Valery przerwał, a potem ciągnął spokojnie: - Nie mieliśmy żadnych wieści od Gilberta od czasu, kiedy zniknął, lecz mamy nadzieję, że wciąż żyje. Tymczasem lady Jessicę ścigano po całej Francji i gdyby twój krewniak Tam Sinclair nie udzielił jej dzisiaj pomocy, zostałaby schwytana, kiedy usiłowała wjechać do La Rochelle. Towarzyszyli jej trzej mężczyźni, których mordu byłeś świadkiem. Wynajęła ich, aby przemycili ją do miasta, lecz oni się wystraszyli, kiedy strażnicy zaczęli drugi raz sprawdzać ich wózek, ponieważ wiedzieli, że zostali nakryci.

- Zatem teraz chcesz zapewne, abym odwiózł tę damę z powrotem do Szkocji.

Saint Valery spojrzął na Sinclaira.

- Tak, lecz nie sam. Pamiętaj, że jadę z tobą. Poza nią będziesz też wioził i chronił skarb dla króla Szkotów. Należy do mojej bratowej i ma niewyobrażalną wartość, a jeśli zostanie tutaj, de Nogaret przechwyci go i nawet jeśli nie powiedzie mu się nic innego, odniesie tym sposobem spore zwycięstwo. Skarb załadowano już na moją galeryę, wraz z naszymi, skromniejszymi zasobami.

- Skromniejszymi zasobami? Czy mogę spytać, jakie to zasoby?

- Tak, to żaden sekret. To nasza własna rezerwa, z której spłacamy listy kredytowe: złote i srebrne sztaby oraz monety. Jej też nie mogę zostawić w darze de Nogaretowi, ponieważ to ją zająłby najpierw w imieniu swojego pana, a Filip ma już aż nadto pieniędzy Zakonu.

- Oczywiście, zapomniałem o funduszach przechowywanych w każdej komturii. Ile tego jest?

- Mniej niż w kufach baronowej, lecz zdecydowanie zbyt dużo, aby to zostawić. Sześć wielkich skrzyń zawierających dwanaście tysięcy złotych bezantów.

Will gwizdnął.

- Będziemy najbardziej obciążoną skarbami flotą na wszystkich morzach.

- W istocie... Oczywiście pod warunkiem, że twoje ostrzeżenie jutro się spełni.

- Tak będzie, admirale. Przekonało mnie o tym to potworne wydarzenie z Godwinsonem.

- Zgadza się z tobą, lecz zaczynam się zastanawiać, co zatrzymało de Berengera i Montricharda. Pusty? - Sir William kiwnął głową,

odwracając kubek do góry dnem. - Dobrze, daj mi go zatem, a ja go schowam wraz z butelką.

Kiedy tylko Saint Valery ruszył, aby to zrobić, rozległo się pukanie, po czym jakiś młody mnich otworzył drzwi, aby wpuścić dwóch zastępców admirała. Ten powitał ich, a potem podszedł do wejścia, aby porozmawiać z młodym bratem, który pełnił tam straż. Nakazał mu iść na górę i obudzić kobietę, którą gościli, zachowywać się w sposób uprzejmy, dyskretny i spokojny, nie wspominać ani słowem o wydarzeniach tego wieczoru i poprosić ją, aby zechciała dołączyć do niego najszybciej, jak będzie to możliwe.

Sir William wpatrywał się w płomienie, czując dziwne zawroty głowy i rozmyślając o wielkookiej kobiecie u bram miasta.

Diabelska robota

1

Jessie Randolph ocknęła się błyskawicznie i kiedy zdała sobie sprawę, że nie ma pojęcia, gdzie jest, serce zaczęło jej walić ze strachu. Gdziekolwiek była, panowało tam zimno i absolutne ciemności; ani odrobina światła nie rozjaśniała mroku ani nie rzucała cienia, a powierzchnia, na której leżała, była twarda jak kamień. Szyję miała niewygodnie wygiętą, z czego wywnioskowała, że głowę ma uniesioną na jakimś podglówku, ale i on był sztywny.

Jestem na podłodze. W lochu. Znaleźli mnie. Ludzie de Nogareta.

Tłumiąc panikę i zaciskając zęby, aby nie ulec przemożnej potrzebie krzyku, wyciągnęła ostrożnie ręce na boki i niemal zaszlochała z ulgi, kiedy odkryła, że jej nadgarstki nie są skute kajdanami, a pod dłońmi leży szorstki materiał siennika. Sięgnęła dalej i wymacała skraj wąskiej pryczy.

Gdzie ja jestem?

Wtedy bardzo blisko niej rozległo się pukanie i zorientowała się, że to ją obudziło. Wciąż leżała nieruchomo, nie wiedząc, czego się spodziewać, i czuła, że strach, lodowato zimny i ciężki jak ołowiana kula, wypełnia jej brzuch.

- Pani? Czy śpisz, pani?

Pytający głos był cichy, lecz nagłący, jakby jego właściciel nie chciał narobić zbyt wiele hałasu. Nie brzmiał ani trochę groźnie. Dotknęła dłońmi ubrań, badając je, czując ciepło swojego ciała pod materiałem.

Jestem wciąż ubrana i nie czuję żadnego bólu.

- Pani? - Znów pukanie, tym razem głośniejsze.

Jessie nabrała tchu, chcąc, aby jej głos brzmiał pewnie.

- Słucham. O co chodzi?
- Admirał Saint Valery prosi, abyś dołączyła do niego na dole. Natychmiast, pani, jeśli łaska.

Karol! Oczywiście, jestem w komturii w La Rochelle.

Świadomość ta spłynęła na nią momentalnie, odpędzając całe przerażenie; usiadła i spuściła stopy na kamienną podłogę, ciesząc się dotykiem jej wstrząsająco zimnej powierzchni. Czuła tak wielką ulgę, że miała ochotę otworzyć drzwi i ucałować stojącego za nimi człowieka. Była w La Rochelle! Bezpieczna!

Poczuła, że uśmiecha się szeroko na myśl o wyrazie twarzy tego człowieka, gdyby naprawdę otworzyła drzwi i go pocałowała. To na pewno mnich. Pewnie padłby martwy u jej stóp. Spróbowała stłumić euforię i odpowiedzieć spokojnym głosem.

- Dziękuję. Powiedz admirałowi, że zaraz będę.

- Dobrze, pani. - U dołu niewidocznych drzwi jaśniała linia światła, która zniknęła, kiedy mężczyzna odwrócił się, aby odejść.

- Poczekaj! Proszę, poczekaj. - Podbiegła do drzwi, kierując się pasmem światła, i na oślep znalazła klamkę. Zatrzymała się, przebiegła dłońmi po stanie sukni i strzepnęła spódnice, upewniając się, czy jest przyzwoicie zakryta, po czym odciągnęła ciężkie skrzydło.

Mężczyzna stojący na zewnątrz był młody, a jego tonsura lśniła nawet w mroku oświetlonego pochodniami korytarza. Miał na sobie brązową opończę serwienta Zakonu i wlepił w nią wzrok, ściskając grubą świecę w lichtarzu. Wytrzeszczył oczy, a ona zdała sobie sprawę, że na pewno jest rozczochrana. Ten biedak zapewne widział niewiele kobiet w swoim życiu, a teraz stał twarzą w twarz z taką, której włosy pewnie były w skandalicznie nieprzyzwoitym nieładzie. Wyciągnęła do niego rękę.

- Wybacz, jeśli cię przestraszyłam, bracie, lecz czy możesz zostawić mi tę świecę? W mojej izbie nie ma światła, a ja muszę się przygotować do spotkania z admirałem.

Młodzieniec zbliżył się z powagą, podając jej świecę.

- Oczywiście, pani. Czy jedna wystarczy? Mogę przynieść więcej, jeśli będą ci potrzebne.

- Niech cię Bóg błogosławi, bracie. Tak, jeśli łaska. Światła nigdy za wiele. Przynieś, ile możesz, a będę ci wielce wdzięczna.

Młody człowiek skinął głową i odszedł pospiesznie, a Jessie wróciła

do środka, rozglądając się po raz pierwszy. Pomieszczenie było maleńkie; mieściła się tam tylko wąska prycza, drewniany krucyfiks zawieszony pod małym okienkiem i ustawiony poniżej klęcznik. Podeszła do posłania i pochyliła się, aby nacisnąć siennik palcami. Nie ustąpił, a ułożona na nim poduszka była zrobiona z drewna przykrytego płótnem żaglowym.

Boże! Myślałam, że jestem w lochu, a to mnisza cela. Oczywiście. Lecz nie różni się od siebie aż tak bardzo. Pamiętam jednak, że kiedy tu przybyłam, byłam z niej dość zadowolona. Ci ludzie są pozbawieni wygód, które znamy my, zwykli śmiertelnicy. Ich życie składa się z modlitwy i jeszcze raz modlitwy, trudów, niedostatków i wyrzeczeń. I od czasu do czasu walki. Och, dobry Boże, jak ja muszę wyglądać! Ani jednego lustra, nawet stołu. Gdzie moja torba?

Znalazła ją za pryczą i już wkrótce w niej szperała, w czym płomień pojedynczej świecy pomagał tylko trochę. Wyciągnęła małą skózaną sakiewkę, która była najcenniejszą częścią jej dobytku. Poluzowała ramię i wysypała jej zawartość na pryczę. Była tam szczotka, grzebienie, złożona w kwadrat gienza z siatkami na włosy, kolejny, większy kwadrat mieszczący małe, objijające się o siebie przedmioty, oraz zawiniątko z miękkiej wełny chroniące niewielkie, prostokątne lusterko z wypolerowanego srebra. Wzięła je, wyczyściła delikatnie wełną i obejrzała w nim twarz i włosy, w drugiej ręce trzymając świecę, a na jej ustach pojawił się grymas, gdy zobaczyła, jak wygląda po kilku dniach bez swojej służki. Potem jednak odłożyła na twarde posłanie lustro i świecę i zabrała się do naprawiania szkód, które tak szybko naliczyła.

Wsunęła obie dłonie w upięte włosy, znajdując i wyjmując spinki ujarzmiające jej gęste loki, a kiedy wyszukała już wszystkie, pochyliła głowę i potrząsnęła ciężkimi włosami, przeczesując je palcami i szukając kołtunów. Nie znalazła żadnego, z którym nie potrafiłaby się uporać, i zaraz podniosła szczotkę, przesuwając ją długimi, płynnymi ruchami, aby wygładzić sięgające talii włosy; jedną ręką chwyciła kolejne pasma, a drugą przeciągała szczotkę przez nieposłuszną płataninę przy końcach, zaciskając niecierpliwie zęby i szarpiąc bezlitośnie, kiedy tylko napotkała kołtun.

Gdy młody mnich znów zapukał, czesała już włosy bez problemów. Szybko otworzyła drzwi i skinęła na niego, aby wszedł, świadoma, że

automatycznie zatrzymał wzrok na jej rozpuszczonych kędziorach. W zgięciu jednego ramienia niósł pełno krótkich, grubych świec, a w wolnej ręce jeszcze jedną, świeżo zapaloną. Zatrzymał się w izbie, szukając wzrokiem miejsca, gdzie mógłby postawić to, co przyniósł. Jessie machnęła ręką, ogarniając pomieszczenie.

- Tu na nic nie ma miejsca. Może przypadkiem w pobliżu jest większa izba? Taka ze stołem?

Młody mnich zamrugnął, jego oczy przybrały nieobecny wyraz, kiedy się zastanawiał, a potem skinął głową.

- Cela brata preceptora jest większa, pani, i jest w niej stół. A także krzesło.

Czekała, lecz nie powiedział nic więcej, więc dopytała:

- A czy jest niedaleko? Myślisz, że mogłabym z niej skorzystać na chwilę?

Zmarszczył lekko brwi, najwyraźniej nie wiedząc, co sądzić o jej prośbie, więc znów go ponagliła.

- To nie potrwa długo. Mówiłeś przecież, że mój szwagier prosił, abym dołączyła do niego szybko, prawda?

-Tak, pani.

- No cóż, im szybciej doprowadzę się do porządku, tym szybciej będę mogła się z nim spotkać. Gdzie jest zatem cela brata preceptora?

- Tędy, pani. - Mnich wyszedł na korytarz i poczekał, podczas gdy ona wsadzała zawartość sakiewki do środka, aby zabrać wszystko ze sobą. Kiedy była gotowa, poprowadził ją korytarzem w lewo, po czym zatrzymał się przed uchylonymi drzwiami. -To tutaj, pani.

Uniosła wysoko świecę, rozglądając się po celi preceptora. Była tak samo spartańska jak ta, którą opuściła, i ledwie odrobinę większa, lecz pod przeciwległą ścianą, naprzeciw wąskiego posłania, stały dwa małe stoliki. Na jednym mieściła się tylko misa do mycia i wysoki dzban, lecz drugi był większy. Po jednej jego stronie schludnie ułożono mały, kunsztowny rozek na atrament i pasujący do niego kubek z rogu zawierający kilka gęsich piór, a przed nim stało zwykłe drewniane krzesło.

- Świetnie - powiedziała Jessie, podchodząc szybko do stolika z misą. - Och, jest pusta. - Odwróciła się do mnicha, który odstawił swoją świecę i ostrożnie ustawiał pozostałe na drugim stole. — Czy

byłoby możliwe, bracie, abyś znalazł mi trochę wody i ręcznik? Bardzo bym chciała umyć twarz.

Mnich najwyraźniej przyzwyczajał się do jej prośb, ponieważ tym razem tylko kiwnął głową i sięgnął po dzban. Zawahał się.

- Będę musiał iść po wodę do kuchni, pani. Czy mam kazać ją podgrzać dla ciebie?

-Jeśli mógłbyś to zrobić, będę przez miesiąc wspominać twoje imię w modlitwach.

- Dziękuję, pani. Nazywam się Giles. Zaraz wrócę.

Gdy zamknęły się za nim drzwi, Jessie zapaliła swoją świecę pozostałe i ustawiła je z tyłu blatu, po czym usiadła i rozłożyła na nim zawartość sakiewki. Ponownie zerknęła w lusterko, odchylając jego lśniąca powierzchnię na różne strony, aby w pełni wykorzystać zwiększoną jasność. Oparła zwierciadło o jedną ze świec, a szczotką zrobiła staranny przedziałek pośrodku głowy, szczesując włosy do przodu. Potem zaczęła je zaplatać; jej palce ruszały się szybko, z pewnością nabytą przez lata praktyki. Kiedy skończyła drugi warkocz, skontrolowała oba w lustrze i zwinęła je w płaskie zwoje, które upięła długimi szpilkami. W końcu przytwierdziła całość do boków głowy długimi, zakrzywionymi, wymyślnie rzeźbionymi grzebieniami z szylkretu. Spoglądając w lustro, potrząsnęła głową, najpierw lekko, potem mocniej. Kiedy upewniła się, że nic się nie rusza, przykryła fryzurę delikatną siateczką ze złotego drutu ozdobioną maleńkimi bursztynami i przypięła ją kolejnymi czterema małymi wsuwkami. Następne spojrzenie, które rzuciła w lustro, było bardzo krytyczne, lecz nie znalazła żadnych wad. Ani jeden niesforny kosmyk nie psuł efektu.

Wstała i wzięła się do niemal niewykonalnego zadania, jakim było sprawdzanie stanu sukni. Spała w niej i uznała, że nic nie poradzi na zagniecenia, więc zaczęła szukać plam, szorując tkaninę szczotką, kiedy tylko znalazła zabrudzenie, które wyglądało na możliwe do usunięcia. Tymczasem wrócił brat Giles z owiniętym ręcznikiem dzbanem parującej wody. Tym razem towarzyszył mu drugi brat, opasany fartuchem kucharza, niosący podobne naczynie i ze zrolowanym ręcznikiem pod pachą.

- Przyniosłem zarówno gorącą, jak i zimną, pani, co pozwoli ci wymieszać je wedle uznania.

- Niech cię Bóg błogosławi, bracie Gilesie, i ciebie, bracie kucha-

rze. I dwa ręczniki. I nawet mydło! We dwóch ocaliliście moje życie i zdrowe zmysły.

Obaj wyszczerzyli zęby, zadowoleni, lecz żaden ani się ruszył, żeby wyjść, a Jessie uśmiechnęła się do nich.

- Teraz chciałabym cię prosić już tylko o dwie rzeczy, bracie Gilesie: kilka chwil prywatności, abym mogła wymyć dłonie i twarz, a potem o twoje towarzystwo, kiedy pójdę do szlachetnego brata mojego męża, ponieważ wyznaję, nie mam najmniejszego pojęcia, gdzie mogę go znaleźć. Czy poczekaś na mnie i pójdziesz ze mną?

- Naturalnie, pani. - Brat Giles spojrział na swojego towarzysza i wskazał głową wyjście, po czym obaj opuścili pokój, zamykając za sobą drzwi.

Jessie wlała najpierw do misy gorącą wodę, a potem nieco zimnej. Namoczyła jeden z ręczników i wtarła w niego ostre, pachnące ługiem mydło, wykręciła go ponownie i obmyła nim twarz, ręce i ramiona, rozkoszując się uczuciem czystości, które dawały jej gorące, ściągające skórę mydliny i rozgrzany materiał ręcznika. Wysuszyła się drugim ręcznikiem, zawahała i szybko rozwiązała sznurówki stanu sukni, rozciągając je szeroko i wysuwając ramiona z rękawów, tak że górna część sukni wisiała jej u talii. Czubki jej piersi zamrowiły przyjemnie, kiedy ocierała je gorącym, namydlonym ręcznikiem, a gdy materiał musnął sutki, na jej ramionach pojawiła się gęsia skórka. Wtedy zdała sobie sprawę, gdzie jest i że czeka na nią szwagier; wyjęła więc mydło z gorącego ręcznika i owinęła nim szyję, z westchnieniem masując sobie kark pod ciasno upiętą grzywą włosów. Stała tak przez kilka chwil, z głową odchyłoną do tyłu i oczami zamkniętymi z zadowolenia.

Po chwili jeszcze raz przypomniała sobie, gdzie jest, i uśmiechając się lekko na myśl o tym, jakie to niewłaściwe, że stoi półnaga w mniszkiej celi, szybko wysuszyła skórę i się ubrała, dokładnie sznurując stan. Wyciągnęła z sakiewki okrągłe, czarne, płaskie puzderko, a z niego wyłowiła krótką, grubą gałązkę o postrzępionych końcach, leżącą na warstwie białoszarego proszku. Zmoczyła śliną poszarpany koniec, zanurzyła go w proszku i wyczyściła zęby oraz dziąsła. Wyplukała usta zimną wodą z dzbana i wypłuła ją do misy, po czym potarła język o zęby, usuwając z niego osad, i jeszcze raz wyplukała usta. Usiadła ostatni raz, aby spojrzeć w lusterko.

Wyglądam jak własna śmierć. Żadnych rumieńców. Na Boga, Ma-

rie, gdzie jesteś, kiedy cię potrzebuję? Modłę się, abyś była bezpieczna, ale nie ma cię tu, więc muszę sobie radzić sama. Teraz szybko, ale oszczędnie. Niedobrze byłoby wyglądać jak nierządnicą.

Z ostatniego zawiniątka wyjęła kilka ozdobnych drewnianych szkatulek o ciasno dopasowanych wieczkach. Otworzyła je wszystkie i ustawiła kolorowe maści przed sobą. Pracowała pospiesznie i zręcznie: przesunęła opuszką środkowego palca po powierzchni jednej z maści i nałożyła na powieki odrobinę błękitu, wcierając substancję, aby jedynym zauważalnym efektem było wzmocnienie koloru i blasku jej oczu. Wytarła palec o wilgotny ręcznik i z innego pudełka nałożyła na kości policzkowe czerwony barwnik i wklepała go, aż nie było po nim śladu poza leciutkim rumieńcem na jej policzkach. Maścią z trzeciego pudełka dodała głębszej czerwieni pełnym, szerokim wargom, a potem zacisnęła usta, przygryzając je lekko. W końcu sięgnęła po szklaną buteleczkę zawierającą największą gwarancję jej dobrego samopoczucia. Ostrożnie wyciągnęła małe naczynie, drewnianą zatyczkę z szyjki cennego flakoniku i odwróciła go do góry nogami, aż pojedyncza kropla gęstego płynu opadła na opuszkę jej palca. Uniosła dłoń do nosa, ochoczo wdychając esencję, świadoma, że kiedy już nałoży ją na skórę, przestanie czuć jej aromat. Była jednak gotowa na to poświęcenie, ponieważ wiedziała, że poczują go wszyscy w jej otoczeniu. Nałożyła po kropelce olejku za uszami, a resztę wtarła w gładką skórę u nasady szyi.

W końcu była gotowa. Wsunęła swoje drobiazgi do sakiewki, zdmuchnęła świece i - ściskając woreczek pod pachą - przeszła przez celę i otworzyła drzwi.

Młody brat Giles odruchowo podniósł świecę, aby rzucić na nią więcej światła, po czym rozdziawił usta i wytrzeszczył oczy.

- Pani... - Przełknął głośno ślinę. - Wyglądasz... Czy... Czy jesteś już gotowa?

Obdarzyła go swoim najśłodszym uśmiechem.

-Tak, bracie Gilesie, i kazałam ci czekać niewybaczalnie długo. Lecz dzięki twojej dobroci czuję się jak nowo narodzona. Nie wiem, co bym zrobiła bez twojej pomocy. Musisz wiedzieć, że my, kobiety, zasadniczo różnimy się od mężczyzn. Duże znaczenie przywiązujemy do powierzchowności, szczególnie własnej, więc muszę ponownie podziękować ci za to, że wykazałeś takie zrozumienie dla moich potrzeb.

Mam jeszcze tylko jedno pytanie: czy powinniśmy zostawić tam te sześć świec?

Młody mnich uśmiechnął się, lecz potem szybko spoważniał.

- Nie ma takiej potrzeby, pani. Brat preceptor byłby niezwykle zaniepokojony, widząc w swojej celi taki przepych. Mógłby pomyśleć, że nawiedziły go siły nadprzyrodzone. Lecz... - Spojrzał w stronę schodów i ciągnął pewniejszym głosem: - Zaprowadzę cię teraz do admirała, jeśli jesteś gotowa.

Kiedy ruszyli ramię w ramię korytarzem, Jessie zwróciła uwagę na panującą dookoła głęboką ciszę.

- Która to godzina, bracie? Wydaje się, jakby to był sam środek nocy.

- Tak jest, pani, prawie północ.

- I zostaniesz na służbie do rana?

- O nie, pani. W każdej chwili zostaną zluzowani. Być może już mnie ktoś zluzował. Zmiana warty jest o północy.

Jessie zatrzymała się u samego szczytu schodów i spojrzała na niego z troską.

- Och! Wybacz mi zatem, że cię zatrzymałam. Czy zostaniesz ukarany za to, że nie jesteś na stanowisku?

Mnich ponownie lekko się uśmiechnął i potrząsnął głową.

- Nie dzisiaj, pani. Sam admirał mnie po ciebie wysłał. Było to niezwykle miłe zadanie.

- Co za uroczy komplement. Jeszcze raz dziękuję, bracie Gilesie, lecz wciąż myślę o tych świecach. Czy mógłbyś zostawić je w tamtej celi, jedną zapaloną? Obawiam się, że będę musiała tam wrócić przed świtem.

Po twarzy młodego mnicha przebiegł wyraz zatroskania.

- Naprawdę nie ma potrzeby, pani. Nikt ich nie ruszy. - Poszedł w dół schodami przed nią, mówiąc przez ramię: - Preceptor nie uda się dziś na spoczynek. Dzieje się zbyt wiele nieoczekiwanych rzeczy. Czy wiesz, że opuściliśmy dzisiaj nieszpory? To się jeszcze nigdy nie zdarzyło.

- Wszyscy, całe bractwo? To ze wszech miar niezwykle. Wiesz dlaczego?

- Nie, pani. Jestem zwykłym bratem, niewtajemniczonym w ważne sprawy. Krążą plotki, kilka słyszałem, lecz ani jednej wiarygodnej

czy godnej powtórzenia. - Dotarli do najniższego stopnia. -Jesteśmy na miejscu. Proszę, poczekaj tutaj, jeśli łaska, a ja cię zapowiem.

Zostawił Jessie u podnóża długich schodów, w wysokim, wąskim korytarzu, który ciągnął się po obu stronach i oświetlony był migoczącymi, zawieszonymi na ścianach pochodniami. Zastukał do podwójnych, wielkich drzwi w przeciwnej ścianie i wszedł.

Jessie wyprostowała się jak struna i uporządkowała suknię, jeszcze raz upewniając się, że jest przyzwoicie odziana, a potem uniosła dłonie, aby poklepać upięte pod złotą siatką włosy. Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu była zdenerwowana; przypisała to zaniepokojeniu związanemu z uwagą brata Gilesa o nieodprawionych nieszporych. Był to zakon, a życiem jego członków kierowała wyłącznie reguła templariuszy, która nakazywała modły o niezmiennych godzinach, w równych odstępach czasu, z wyjątkiem stanu wojny. Nic poza wojną i koniecznością walki nie mogłoby zakłócić rozkładu codziennych modlitw, a jednak dziś wieczorem opuścili nieszpory. Musiało się szykować coś poważnego.

Karol Saint Valery osobiście wyszedł, aby ją powitać.

-Jessica... Droga siostrze, proszę, wejdź, wejdź. Mam nadzieję, że dobrze spałaś. - Chwył jej dłonie i kłaniając się, wprowadził do komnaty, a ona śmiało, z szerokim uśmiechem przekroczyła próg, po czym stanęła jak wryta, widząc, że kilku mężczyzn już tam jest. Naliczyła trzech odzianych w biel, poza admirałem, i jednego serwienta w brązowej opończy. Nie знаła żadnego z nich.

Dobry Boże, zgromadzenie rycerzy. Skostniała pompatyczność, niemyte ciała i śmierdząca świętoszkowatość. A co to za okropna woń? Z pewnością nie świętoszkowatość. Na Boga, chyba cały pokój wysmarowali ługiem! Nie trzeba mi tego, nie o północy.

Odwróciła się do admirała.

- Wybacz mi, Karolu, nie wiedziałam, że prowadzisz naradę. Zrozumiałam, że mnie wzywasz, lecz obawiam się, że powinnam była poczekać.

Nie mogła tego wiedzieć, lecz jednemu z obecnych mężczyzn jej głos przywiódł na myśl silny, głęboki, odrobinę wibrujący odgłos srebrnych saraceńskich czyneli; zadrżał zdumiony tą myślą, nie wiedząc, skąd przyszła mu do głowy.

Admirał Saint Valery się zaśmiał.

- Nie ma o czym mówić, droga siostrze. - Wciąż łagodnie trzymał ją za rękę, idąc z gracją po jej prawej stronie, a drugą dłonią wskazał pozostałych mężczyzn. - Pozwól, że przedstawię ci moich towarzyszy. Dwaj z nich dostarczyli powodu, dla którego mu się udało przeszkodzić ci w odpoczynku.

Jessie przyjrzała się zebrany. Zerknęła tylko na sir Williama, po

czym jej wzrok spoczął na odzianym w brąz serwencie stojącym przy nim. Zmrużyła na moment oczy, a potem otworzyła je szeroko, kiedy rozpoznała mężczyznę.

- Tam Sinclair! - Jej twarz rozjasnił promienny uśmiech. - To jest człowiek, o którym ci opowiadałam, Karolu... - Urwała i odwróciła się do Tama ze zmarszczonymi brwiami, przyglądając się jego opończy. - Ale wtedy byłeś furmanem... Nie miałam pojęcia, że należysz do Zakonu.

- Ani ty, ani nikt inny, moja droga - powiedział jej szwagier. - Tam przybył do nas w tajemnicy, eskortując sir Williama, który wiozł wiesz'ci od naszego wielkiego mistrza z Paryża. Bracia, oto wdowa po moim bracie, lady Jessica Randolph, baronowa Saint Valery.

Kobieta skinęła uprzejmie głową zebrany i dokładniej przyjrzała się sir Williamowi.

Na niebiosa, ależ on wielki. Jakie ramiona. I nie ma brody. Myślałam, że każdy templariusz musi mieć brodę. Jej brak uważają za grzech, choć Bóg jeden wie dlaczego. Dobra twarz, silne i czyste rysy, mocna żuchwa i dołek w podbródku. Niezwykle oczy o tak intensywnym kolorze, a jednak blade. I zagniewane. Czy gniewa się na mnie?

- Jeszcze nigdy nie widziałam podbródka templariusza - powiedziała i zobaczyła w jego oczach błysk irytacji. Ktoś się zaśmiał i szybko zamaskował to kaszlem. - Wybacz mi obcesowość, ale taka jest prawda. Wszyscy templariusze, których widziałam w życiu, mieli brody. - Ponownie zerknęła na Tama. - Tam jest z rodu Sinclair - wypowiedziała jego nazwisko ze szkocka, po czym spojrzała z powrotem na postawnego mężczyznę. - A zatem na pewno jesteś jego krewnym, poważanym sir Williamem Sinclairem, rycerzem Zakonu Świętyńi.

Sir William wciąż patrzył na nią piorunującym wzrokiem, choć miał całkowitą, niepożądaną pewność, że oczy w jego myślach już nigdy nie zmienią koloru i że niewyraźne rysy, z którymi do tej pory się zmagał, są już wryte w jego duszy.

Co zrobiłam, aby zasłużyć na jego gniew? A może po prostu to jeden z ludzi, którzy nienawidzą kobiet?

- Znasz sir Williama, moja droga? - spytał Saint Valery ze zdumieniem.

- Nie, miły bracie, lecz słyszałam o nim. Wyczyny sir Williama są

legendarne. - Uśmiechała się, a w jej niepokojących, szaroniebieskich oczach było nieco kpiny, kiedy ponownie spojrzała na sir Williama; zobaczyła, jak rumieniec zmieszania i upokorzenia wpływa na jego policzki, a nawet czubki uszu.

Na święte imię Boga, on wcale się na mnie nie gniewa. On się mnie boi. Ale dlaczego? Ponieważ jestem kobietą? Czy to może być tak proste i tak smutne? Nie potrafi nawet znaleźć słów. Nie, to musi być coś głębszego niż zwykły strach.

Sir William natomiast besztął się w myślach jak skrępowany parobek i usiłował znaleźć właściwą odpowiedź na jej żart, lecz udało mu się wydusić tylko krótkie, sztywne i opryskliwe zdanie, którym się niemal zadławił, kiedy padło z jego ust.

- Kpisz ze mnie, pani.

Jessie poczuła, że wytrzeszcza oczy, lecz jej uśmiech nie zniknął.

- Nie, panie, zaręczam, że tak nie jest. - Naprawdę, przysięgam, dodała w myśli. Zaraz spoważniała, aż zniknął zarówno uśmiech, jak i zaczepne spojrzenie, popatrzyła mu prosto w oczy i odezwała się w ich ojczystej mowie: - Znałam twoją siostrę Peggy, sir Williamie, kiedy byłam małą dziewczynką i mieszkałam w domu. Spędzałyśmy razem wiele czasu i byłyśmy sobie bardzo bliskie, a ona wciąż raczyła mnie opowieściami o tobie i twoich dokonaniach. - Przeszła bez wysiłku z powrotem na francuski. - Peggy bez przerwy cię wychwalała. Byłeś jej ideałem, odzianym w lśniącą kolczugę bratem, rycerzem Zakonu i obrońcą Świętego Krzyża. A jednak ledwie cię znała, ponieważ spotkaliście się tylko dwa razy, i to na krótko. Mimo to miała o tobie jak najwyższe mniemanie.

Rosły mężczyzna zmarszczył brwi, jego usta się rozchyliły, ale nie powiedział, więc spróbowała jeszcze raz, powiedziała to samo po szkocku.

- Była wtedy ledwie głupiutką dziewczynką - odparł.

Zasłużył sobie tym na szybką, ciętą ripostę po francusku:

- Czy dziewczynki zawsze są głupiutkie, sir Williamie? Peggy jest już kobietą, i założę się, że jej opinia o tobie się nie zmieniła. Czy wciąż nazwałbyś ją głupią?

- Nie wiem. - Przeklął siebie samego za jawne kłamstwo, ponieważ już zwierzył się admirałowi ze swego podziwu dla siostry, lecz parł dalej, czując się jak coraz większy głupiec; nie potrafił zrobić nic

innego, a jego słowa brzmiały jeszcze bardziej wrogo. - Nie wiem nic o kobietach, pani.

- To wyraźnie widać, sir Williamie. - Głos Jessie był zauważalnie chłodniejszy.

- No cóż, jestem tylko prostym żołnierzem...

- I skromnym mnichem. Oczywiście. Słyszałam to już, panie Sinclair. Lecz wydaje mi się, że jest w tobie niewiele prostoty, a jeszcze mniej skromności. - Przemyśl to sobie, panie gburze.

Odwróciła się od rycerza, zbywając go chłodno, i znów przeniosła uwagę na admirała, który wyglądał na skonsternowanego tym, co usłyszał. Położyła dłoń na jego ramieniu, z uśmiechem wskazując dwóch pozostałych mężczyzn.

- Myślałam, że może będzie tu komtur de Thierry. Czy zobaczę się z nim?

Saint Valery odchrząknął, a kiedy się odezwał, starannie unikał wzroku wszystkich.

- Niestety, siostrze, sir Arnolda nie ma już wśród nas. Zmarł całkiem niedawno. - Przerwał, pozwalając jej wyrazić smutek i troskę, lecz nie wyjaśnił, ile naprawdę czasu upłynęło. Uznał, że niewiele będzie korzyści z niepotrzebnego niepokojenia jej. Zmusił się do uśmiechu i dodał: - Jestem jednak pewien, że chciałby, abym przeprosił cię za to, iż nie może cię tu powitać. — Przerwał jeszcze raz, najwyraźniej z czymś się zmagając, po czym mówił dalej: - Zechciej poznać jego następcę, sir Ryszarda de Montricharda, oraz mojego wiceadmirała, sir Edwarda de Berengera.

Obaj ukłonili się, a Jessie obdarzyła ich swoim najbardziej ujmującym uśmiechem, nieświadoma, że Sinclair wciąż stoi nieruchomo, oniemiały z gniewu, patrząc na nią wilkiem i wijąc się w duchu ze wstydu, po tym jak go odprawiła. Jego umysł natomiast borykał się z jasną i przerażającą świadomością, że przyglądając się konturom i ruchom jej gibkiego ciała, patrzy na samą Pokusę, uosobioną diabelską robotę. Ta kobieta była po prostu najpiękniejszą, zdecydowanie najbardziej niepokojącą istotą, jaką spotkał w swoim trzydziestokilkuletnim życiu.

Jednak kiedy tak patrzył, dostrzegł jej umiejętność panowania nad mężczyznami. De Berenger, choć zaprawiony w bojach rycerz, sprawiał wrażenie oczarowanego jej promiennym uśmiechem i konwersa-

cją, spijając słowa z jej ust i szczerząc zęby jak głupiec, który nie powinien być wypuszczany w świat bez opiekuna. Nawet ponury zastępca preceptora, de Montrichard, uśmiechał się i przytakiwał jej słowom, patrząc to na nią, to na de Berengera i gorliwie przysłuchując się ich rozmowie. Will poczuł na sobie wzrok Tama i rzucił mu chmurne spojrzenie, lecz Tam odwrócił szybko głowę, zanim Will mógł odczytać wyraz jego oczu.

Will wciąż chciał coś powiedzieć, zająć pierwszy plan - aczkolwiek poniewczasie - i kilkoma dosadnymi słowami pokazać tej kobiecie, gdzie jej miejsce, zawiadomić ją, że jej sztuczki i podstępny, choćby nie wiadomo jak subtelny i spowite słodyczą, pójdą w tym towarzystwie na marne. Lecz nie przychodził mu do głowy żaden kąśliwy komentarz, żadna bystra uwaga; mógł jedynie stać bezsilnie z niewytłumaczalnym uczuciem wstydu i upokorzenia, gapiąc się na jej kark i ramiona, na to, jak suknia miękko opina jej ciało i dopasowuje się do każdego jej ruchu.

To admirał wyrwał go z tego dręczącego bezruchu, wzywając wszystkich, aby zebrali się przy ogniu. Odsunął krzesło dla lady Jessiki i spoczął po jej prawej, wskazując sir Williamowi miejsce po jej lewej ręce; pozostali też usiedli. Sinclair podszedł niechętnie i zajął wskazane krzesło - jedyne wciąż wolne - dość blisko kobiety, aby jej obecność dała się wyczuć jako słabutki ślad czegoś ciepłego, słodkiego i cudownie aromatycznego. Spędziwszy dzieciństwo w Szkocji, a resztę życia w zakonnych garnizonach w całym świecie chrześcijańskim i Ziemi Świętej, Sinclair nigdy wcześniej nie zetknął się z wonnościami, więc nie podejrzewał, że czuje cokolwiek poza naturalnym zapachem Jessie Randolph. Mimo swojej niechęci do niej zorientował się, że niepokój zasiany w jego duszy przez subtelny aromat sprawia mu przewrotną przyjemność.

Nic nie wskazywało na to, aby Jessie była świadoma jego obecności: odwróciła się od niego, rozmawiając cicho ze szwagrem. W końcu Saint Valery pokiwał głową i poklepał pokrzepiająco jej dłoń, po czym odchrząknął i poprosił o uwagę. Jednak natychmiast przerwało im głośne pukanie do drzwi, które uchylił zaniepokojony strażnik. Niepewnie, niemal kuląc się na widok gniewnej miny admirała, wartownik wyjaśnił, że wkrótce po zmroku do bram przyszły dwie kobiety szukające baronowej Saint Yalery.

Jessie zerwała się na równe nogi. Marie i Janette! Słodki Jezu, dzięki za wybawienie.

Strażnik wyjaśnił, że zakwaterowano je w jednej z cel w wartowni, ponieważ brat Tescar otrzymał rozkaz, żeby nie wpuszczać nikogo do komturii. Lecz kobiety coraz uporczywiej nalegały, by pozwolono im zobaczyć się z baronową, więc dowódca straży wysłał go po wskazówki.

Jessie odwróciła się do Saint Valery'ego, chwytając go za ramię.

- To moje służki, Karolu, Marie i Janette. Musiałyśmy rozstać się po drodze, kiedy ostrzeżono nas, że żołnierze de Nogareta szukają trzech kobiet. Posłałam je przodem, aby czekały tu na moje przybycie i przysły do mnie, kiedy wszystkie będziemy bezpieczne. Muszę do nich iść. Czy mi wybaczysz?

Sir William dostrzegł jej wyraźny zachwyt spowodowany wiadomością i wbrew sobie z przyjemnością patrzył na jej radosne oczy i rumieniec na wysokich kościach policzkowych, który sygnalizował szczerą troskę o służki, więc był zaskoczony, kiedy Saint Valery potrząsnęła głową.

- Nie, moja droga, nie mogę cię puścić. — Popatrzył na pozostałych mężczyzn. - Mam pilne wieści, które musisz usłyszeć teraz... Wieści nowe nawet dla moich zastępców. Wiele się dziś wydarzyło, a wydarzy jeszcze więcej, tylko czasu jest coraz mniej, więc nie mogę opowiadać tej historii dwukrotnie. — Zerknął na de Berengera i Montricharda, widząc na ich twarzach zdziwienie. - Twoje służki są bezpieczne, lady Jessico. Są w dobrych rękach i nie ucierpią, zostając tam, gdzie są, jeszcze trochę dłużej. Teraz, kiedy wiemy, kim są, sprawimy, aby było im ciepłej i wygodniej, lecz nie mogę pozwolić im wejść do komturii bez ciebie. To jest zakon. Nie mamy dla nich miejsca, a sama obecność dwóch samotnych kobiet mogłaby wywołać wśród braci konsternację. Błagam, poproś je, aby na ciebie poczekały.

Jessie patrzyła na niego spode łba zmrużonymi oczami, lecz zaciśnęła usta i kiwnęła głową.

- Te wieści naprawdę muszą być poważne, bracie, skoro zamknęliście wszystkie bramy i opuściliście nieszpory. Nie mogę się doczekać, aby je poznać. - Odwróciła się do strażnika. - Czy moje służki jadły coś tego wieczora?

Ten wzruszył ramionami.

- Nie wiem, pani. Były **już** na miejscu, kiedy zacząłem wartę. Może jadły wcześniej.

- Nakarm je teraz, jeśli łaska, i powiedz im, że cieszę się z ich przybycia. Wyjaśnij, że zatrzymano mnie tutaj na naradę, lecz że dołączę do nich, kiedy tylko będę mogła. I podziękuj dowódcy straży za opiekę nad nimi.

Kiedy tylko strażnik wyszedł, baronowa wróciła na miejsce.

- No dobrze, admirał - powiedziała z wielką godnością. - Przekaż nam te swoje niebywałe wieści.

Admirał wstał i odwrócił się twarzą do obecnych, plecami do ognia.

- W istocie są one niebywałe, przyjaciele. Niebywałe, doniosłe i prawie niewiarygodne. Nasz mistrz, Jacques de Molay, przysłał nam dziś ostrzeżenie i rozkazy za pośrednictwem sir Williama. Zawiadomiono go, że wczorajszy dzień mógł być naszym ostatnim dniem wolności we Francji. - Spojrzał po kolei na swoją szwagierkę, de Berengera i Montricharda. - Mistrz de Molay uważa, że król chce się nas pozbyć... Nas i naszego Zakonu. Nie można tego ująć prościej. Do komturii w Paryżu dotarła wiadomość ze źródła, któremu całkowicie ufa, że król Filip wydał rozkaz, aby jutro o świcie aresztowano i uwięziono każdego templariusza we Francji. Plan ułożył Wilhelm de Nogaret, kanclerz króla, na osobiste polecenie monarchy.

- Ależ to niedorzeczne! - Montrichard zerwał się na nogi. - Dlaczego król miałby robić coś takiego? Jak mógłby to zrobić? To niemożliwe. To nie ma sensu.

- Może miałyby, sir Ryszardzie, gdybyś był królem Filipem. - Wszyscy wlepili wzrok w Jessicę, zdumieni, że przemówiła tak odważnie i zaprzeczyła mężczyźnie w męskim gronie, lecz ona nie straciła pewności siebie i uniosła dłoń, nakazując, aby poczekali. - Filip z Kapetyngów rządzi z Bożego nadania, czyż nie? Oczywiście, że tak. Wszyscy to wiedzą, ponieważ nie taił swojego przekonania w tej kwestii. Rządzi we Francji od ilu, dwudziestu dwóch lat? - Pozwoliła ciszy się przeciągnąć, wiedząc, że przykuła ich uwagę. - Tak, koronowano go tak dawno temu. Dwadzieścia dwa lata. Ma teraz trzydzieści dziewięć lat, więc przez ponad pół życia rządzi Francją. Lecz co tak naprawdę o nim wiemy po tak długim czasie? - Urwała na chwilę, a potem znów spytała: - Co ludzie wiedzą o Filipie? Znają jego tytuł:

Filip Czwarty. - Rozejrzała się po zebranych. - Znają jego nieoficjalne imię: Filip Piękny. Lecz co jeszcze? Co wiedzą o nim kobiety? Jego żona, królowa Jeanne, zmarła dwa lata temu, po dwudziestu jeden latach małżeństwa, i jedyne, co miała o nim do powiedzenia na łożu śmierci, to wyznanie, że niegdyś chciała, aby się do niej przekonał. - Znów pozwoliła ciszy się przedłużyć, a potem dodała: - Niegdyś, panowie. Niegdyś tego chciała. Lecz potem już o to nie dbała. Sir William poruszył się, jakby chciał coś powiedzieć, lecz Jessie niemal nieświadomie uciszyła go gestem.

- Wiem, sądzicie, że jestem tylko niewiastą i nie powinnam rozprawać tu w taki sposób o męskich sprawach. No cóż, panowie, wiem, o czym mówię. Ten król nie zna umiaru, zawsze tak było i już tak pozostanie. Jeśli coś postanowi, nie zniesie sprzeciwu. Uważa, że jest królem z Bożego nadania i tylko przed Bogiem odpowiada. Ten monarcha bez duszy, król bez sumienia zgładził mego męża tylko dlatego, że był z niego niezadowolony. Filip Piękny... - Ponownie potoczyła po słuchających wzrokiem, wiedząc, że teraz nikt jej nie przerwie. — Widziałam go ledwie raz, jest piękny. Zdecydowanie piękniejszy niż mój świętej pamięci mąż. Piękny niczym posąg z najświetniejszego marmuru.

Podniosła się i stanęła przed ogniem, a wtedy Saint Valery odsunął się i usiadł. Przyjęła tę uprzejmość krótkim skinieniem, lecz jej przemowa nie miała się jeszcze ku końcowi.

- Posąg, moi panowie. Oto całość jego natury ludzkiej. Francją rządzi posąg... Może i piękny, lecz zimny jak głaz, bez krztyny życia. Wyniosły, całkowicie niedostępny i pełen rezerwy, pozbawiony ludzkich cech lub słabości. Ten człowiek otacza się chłodem i ciszą. Nigdy się nie uśmiecha, nie słucha ani nie czyni zwierzeń, nie pozwala na swobodne zachowanie w swojej obecności. Nikt nie wie, co myśli, w co wierzy, poza tym że uważa się za namaszczonego przez Boga króla z dynastii Kapetyngów, Bożego regenta na ziemi, ważniejsze go od papieża, Kościoła i każdej innej ludzkiej władzy. Z tych kilku przymiotów, jakie posiada, żaden nie jest chwalebny czy godny po dziwu. Król jest kapryśny, chciwy, przebiegły i ambitny. Cudze życie nic dla niego nie znaczy. Otacza się marionetkami, które wypełnią każdy jego rozkaz. Nad wszystkimi nimi panuje Wilhelm de Nogaret, ulubiony sługus króla, który nie cofnie się przed niczym, aby spełnić

życzenia monarchy. Być może pamiętacie, że cztery lata temu przejechał z bandą ludzi osiemset mil z Paryża do Rzymu, aby porwać ówczesnego papieża, Bonifacego Czwartego, w przeddzień obłożenia Francji ekskomuniką. Była to najbardziej rażąca zbrodnia, jaką kiedykolwiek popełniono przeciwko papieżowi, a on dokonał tego bezkarnie. Jak wszyscy wiemy, w ciągu miesiąca osiemdziesięcioletni papież już nie żył; był zbyt stary, aby przeżyć ten akt przemocy. A kiedy jego następca, papież Benedykt, śmiało publicznie potępił de Nogareta, a przez to także króla Francji, i on zmarł w ciągu miesiąca, na nieznośne bóle brzucha. Został otruty, moi panowie. Wszyscy to wiemy, lecz nie mówi się o tym, ponieważ nikt nie waży się zaprotestować i nic nie można udowodnić. Jednak dzięki pracy jego sługusa Filip miał osiemnaście miesięcy, aby zaaranżować wybór jego własnego, francuskiego papieża, Klemensa. I tak oto de Nogaret udowodnił Filipowi swoją śmiałość, pomysłowość i lojalność. W nagrodę został mianowany kanclerzem. To człowiek o wybitnym umyśle i umiejętnościach, tego nikt mu nie odmówi. Ale to też złodziej, morderca, bluźnierca i sprawca uprowadzenia papieża... Kanclerz Francji.

- Żydzi.

Głos - głuchy i dziwnie przytłumiony - należał do de Berengera, a wszystkie oczy zwróciły się w jego stronę.

— Żydzi — powtórzył, tym razem głośniejszym głosem. — W zeszłym roku, w lipcu. Mistrz de Molay mówi prawdę o jutrzejszym dniu.

Saint Valery nabrał głośno powietrza.

— Co z Żydami, człowieku? O czym ty mówisz?

De Berenger wzruszył ramionami.

- O tajnych spiskach, panie. W zeszłym roku, rankiem dwudzie stego pierwszego lipca, bez żadnego ostrzeżenia aresztowano i uwię ziono każdego Żyda we Francji. Potem w ciągu miesiąca wydano z kraju, a ich majątek i dobra skonfiskowała Korona dla dobra kraju. Przypomniałem sobie o tym dopiero teraz, a wtedy niewielu ludzi zwróciło na to uwagę, przecież aresztowani byli Żydami, a nasze puste chrześcijańskie szkatuły potrzebowały ich pieniędzy. Lecz czy myślisz, lordzie admirałe, że wtedy mogło być we Francji tylu Żydów, ilu dziś jest templariuszy? - Popatrzył na Jessicę, po czym obrzucił spojrzeniem każdego mężczyznę po kolei, przyciągając ich uwagę i mówiąc da lej. - Za zaplanowanie i wykonanie zamachu przeciwko Żydom, a tak-

że zachowanie go w sekrecie i organizację odpowiadał wyłącznie de Nogaret. Ten sam człowiek, muszę wam teraz przypomnieć, którego rodzice podobno spłonęli na stosie w Tuluzie jako katarscy heretycy pod baczynym okiem templariuszy, kiedy przez jakiś czas pełniliśmy tam funkcję nadzorców z polecenia inkwizytorów z zakonu dominikanów.

- Matko Boska! - Nikt nawet nie zerknął na Saint Valery'ego, kiedy szepnął te słowa.

- Teraz ma to sens, choć wtedy tak nie było... Uważam, że zeszló-roczne aresztowania Żydów były próbą przed tym, co ma wydarzyć się jutro. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. - De Berenger przerwał, kiwając głową powoli. - Ostrzeżenie wielkiego mistrza jest prawdziwe i nie wyolbrzymia on zagrożenia, w którym się znajdujemy. Tę rzecz planowano od dawna, lecz dokonano już wcześniej czegoś takiego. Myślę, że jutrzejszy dzień będzie dla nas pełen przerażenia i chaosu. - Wyprostował plecy. - Nie sugeruję, że będziemy świadkami rzezi na ulicach, ani nie przyznaję, że to będzie nasz koniec. Koniec końców jesteśmy zakonem rycerskim, nie grupą rozproszonych i bezbronnych Żydów, więc przetrwamy tę absurdalną sytuację z większym powodzeniem, niż im się to udało. Poza tym na naszą korzyść przemawia liczebność, może nie przytłaczająca, lecz chyba wystarczająca, oraz dzieje naszej przykładowej służby. Jutrzejsze wydarzenia mogą skończyć się ingerencją w nasze sprawy i przerwaniem ich, lecz szczerze wątpię, aby możliwy był całkowity rozpad Zakonu. Nawet papież Klemens, choć jest słaby, nie poparłby tak jawnej parodii sprawiedliwości.

Ponownie odezwała się baronowa, a jej głos był zimny.

- Papież Klemens poprze to, co mu się rozkaże. Jest marionetką króla do tego samego stopnia, co de Nogaret, lecz jest jeszcze gorszy, słabszy i bardziej niebezpieczny, ponieważ boi się o swoją pozycję. Dlatego nie możecie spodziewać się od niego pomocy. Zanim Filip osobiście nadał mu tytuł papieża, Klemens był zwykłym Bernardem de Bot, nieznaną nikomu miernotą, której jakimś sposobem udało się otrzymać nominację na arcybiskupa Bordeaux. Wtedy Filip go znalazł i promował, ponieważ de Bot już był znany jako zachłanny słabeusz, podatny na pochlebstwa i próżny, łatwy obiekt manipulacji. Zdecydowanie lubił doczesne honory i uznanie, a także słynął z kunktatorstwa; był tak tchórzliwy i słaby, że wolałby się przeczołgać sto mil na

brzuchu, niż podjąć stanowczą decyzję. Wiercie mi, nie zaoferuje wam ani pomocy, ani nadziei, ponieważ żyje w strachu, że Filip odbierze mu godność papieża.

De Berenger potrząsnął głową.

- Nawet gdybyśmy mieli w to wierzyć, pani, na dłuższą metę nie ma to większego znaczenia. A musimy być dalekowzroczni. Może i potrwa miesiące lub lata, zanim sprawa ta zostanie odpowiednio rozsządzona, a nasz skarbiec może na tym ucierpić, lecz święty Zakon przetrwa. Szaleństwem byłoby twierdzić inaczej. Ostatecznie znajdzie się... musi się znaleźć... jakieś rozwiązanie, jakieś reparacje, a kiedy...

- Reparacje? Oszczędź mi swojej aroganckiej i głupiej męskiej pewności, panie! - Twarz Jessie nagle przybrała gniewny wyraz, a de Berenger opadł na oparcie, tak jak inni rozdziawiając usta; jeszcze nigdy nie widzieli takiego zachowania u kobiety. - Czy nie usłyszałaś ani słowa z tego, co powiedziałam? Na święte imię Boga, kiedyż w końcu zrozumiecie, że w odróżnieniu od was nimi nie kieruje honor? Nazywacie siebie ludźmi dobrej woli i uważacie, że wszyscy są do was podobni. Ha! Ten król sądzi, że namaścił go sam Bóg, że nigdy się nie myli i nie popełnia błędów. On nie ma honoru w waszym pojęciu, nie ma też dobrej woli, ani jej nie potrzebuje. Niech nas Bóg uchowa przed ślepotą ludzi dobrej woli! Zrozumcie, ten człowiek jest zdesperowany! Zzera go i kieruje nim żądza pieniędzy. To jedyne, o czym myśli i do czego dąży. Tonie w długach, a jego skarbiec to studnia bez dna. Odbierze w podatkach, ukradnie, przechwyci i wyrwie fundusze każdego, kogo podejrzewa o ich posiadanie lub ukrywanie. Sądzi, że Bóg w pełni rozumie jego potrzeby i dał mu wolną rękę w ich spełnianiu w jakikolwiek sposób, który przyjdzie mu do głowy.

- Nader dobrze znasz króla, baronowo, jak na kogoś, kto spotkał go tylko raz - odezwał się Montrichard, pogardliwie cedząc słowa.

Odwróciła się do niego jak lwica, a jej oczy ciskały gromy.

- Powiedziałam, że widziałam go raz, panie rycerzu. Nigdy go nie spotkałam, więc oszczędź mi swojej pogardy. Mój mąż przez lata był pełnomocnikiem króla na dworze angielskim, pracując bez końca, aby w jakikolwiek sposób zebrać fundusze, które mogłyby trafić do skarbcza Filipa, i nigdy nie spotkał się z wdzięcznością. Skutki jego pracy nie zadowolili króla, więc kazał go zabić. Wierz mi, panie. Nie przemawia przeze mnie ignorancja.

De Montrichard robił wrażenie niezrażonego, lecz zarumienił się, a jego głos był mniej pewny, kiedy odparł:

- Twój mąż omawiał z tobą sprawy króla, madame?

- Mój mąż mi ufał, monsieur. Zdecydowanie bardziej, niż jego wyniosły monarcha ufał jemu. Król otrzymał donosy, że baron posiada własne fundusze, i wysłał de Nogareta, aby je przechwycił. Nie udało się to, lecz po drodze Filip Piękny zabił mego męża.

Odwróciła się, jakby miała wyjść z pokoju, lecz potem ponownie okręciła się na pięcie. Jej suknia zawirowała, oczy błysnęły gniewem, a dłonią przecięła powietrze z rezygnacją, po czym wskazała prosto na de Berengera.

- I jeśli uzna to za stosowne, zabije was wszystkich, aby położyć swoje chciwe łapy na majątku Zakonu. Czy naprawdę myślisz, że otrzymacie jakieś reparacje? Za co? Królewską konfiskatę waszych dóbr w imię Boga? Czy naprawdę myślisz, że Filip odda, co zabrał, lub zadowoli się tylko częścią łupu, kiedy sprawa się już dokona? Jeśli tak, panie, jesteś głupcem bez względu na to, czy jesteś wiceadmirałem, czy nie. Mnie zdumiewa wyłącznie, że nie dobrał się do was wcześniej.

Od czasu, kiedy zaczęła mówić, Sinclair siedział oniemiały, z otwartymi ustami, nieświadom, że się na nią gapi. Nigdy nie spotkał kogoś takiego i był zafascynowany, zahipnotyzowany jej wyglądem i ruchami, falującym dekoltem, skrzącymi się oczami oraz gorączkowo zarumienionymi policzkami, mniej czerwonymi jednak niż jej pełne, wyraziste usta.

Dopiero kiedy nazwała wiceadmirala głupcem, odzyskał panowanie nad sobą; zamknął usta i wyprostował plecy, ponownie zalewając się rumieńcem na myśl o tym, czemu się przyglądał i co sobie myślał. Jej ostatnie słowa wciąż pobrzmiwały mu w głowie, gdy nagle zorientował się, że zaczął mówić.

- Mnie nie.

Odezwał się po raz pierwszy od czasu, gdy upokorzył swoją siostrę, i natychmiast poczuł na sobie spojrzenia wszystkich zebranych, lecz tym razem czuł się pewnie. Baronowa wtrąciła się do rozmowy między mężczyznami i udowodniła swoją wyższość nad nimi wszystkimi, lecz tutaj, wśród ludzi równych mu rangą, głos Sinclaira był nadrzędny. Jako kobieta lady Jessica Randolph budziła jego niepokój.

Jednak jako baronowa wtargnęła na jego teren i można się było z nią błyskawicznie uporać, jak z każdym podwładnym.

- Co ciebie nie, sir Williamie? - spytał Saint Valery.

- Mnie to nie dziwi, admirale. Baronowa powiedziała, że zdumiewa ją, iż król nie wykonał jeszcze ruchu przeciwko nam. Przyszło mi wtedy do głowy, że ja się wcale nie dziwię. Tyle czasu zajęło mu zorganizowanie odpowiedniej reakcji.

Nastąpiła długa chwila ciszy, po czym Saint Valery odparł:

- Odpowiedniej reakcji na co? Wybacz, sir Williamie, nie rozumiem twoich słów.

- I nic dziwnego. - Sinclair rozsiadł się na krześle, chwytając mocno poręczę i wciskając plecy w drewno oparcia. Na jego twarzy pojawił się grymas, lecz potem zorientował się, jak absurdalne jest w obecnych okolicznościach martwienie się o poufną naturę tego, co miał powiedzieć. - Półtora roku temu, po śmierci królowej Jeanne, król Filip zgłosił chęć wstąpienia do naszego Zakonu.

Saint Valery uniósł brwi ze zdziwienia.

- Doprawdy? Nic o tym nie wiedziałem.

- Niewielu wiedziało, sir Karolu. Nie rozpowiadano o tym powszechnie. Ze względu na swoją pozycję raczej nie mógłby zabrać się do tego tak jak wszyscy, lecz zwrócił się bezpośrednio do Rady.

- I co się stało?

- Rozpatrzyliśmy jego zgłoszenie zgodnie z naszymi prawami i zwyczajami, a sprawę poddano tajnemu głosowaniu.

Admirał kiwnął głową.

- To na porządku dziennym, nawet, jak sądzę, na poziomie Rady.

- Tak, lecz odrzucono go.

Saint Valery i inni rycerze aż się zachłysłi.

- Odrzucono? - Powtórzył admirał. - Ktoś zagłosował czarną kulą?

Sinclair potrząsnął głową.

- Nie, admirale. Głosowało nas wtedy jedenastu. Czarnych kul było osiem.

- Co to znaczy? O co chodzi z tymi czarnymi kulami? - Baronowa stała nad nimi, marszcząc brwi.

Saint Valery podniósł na nią oczy.

- Podczas głosowań w ważnych kwestiach używamy dwóch kul,

czarnej i białej. Każdy w tajemnicy przed innymi umieszcza jedną z nich w worku, który podczas głosowania przechodzi z ręki do ręki. Biała kula oznacza głos za, czarna - przeciw. Już jedna czarna kula oznacza veto.

Teraz to baronowa wyglądała na zbitą z tropu. Zamrugła, patrząc na Sinclaira.

- Jesteś członkiem Rady?

- Tak. - Skinął głową.

- I nie przyjęliście króla w swoje szeregi? Odmówiliście Filipowi? Sinclair ponownie potaknął.

- Zgadza się. Ośmiu członków Rady uważało wtedy, jak ustaliliśmy podczas wstępnych dyskusji, że król chce do nas dołączyć z niewłaściwych powodów: nie po to, aby służyć bractwu, lecz aby skorzystać z możliwości zyskania dostępu do majątku Zakonu i przejęcia nad nim kontroli.

Och, ty prawy, oszukujący samego siebie głupcze. Nie masz pojęcia, co zrobiliście, prawda? - pomyślała.

- Odmówiliście królowi Francji, choć wiedzieliście, kim jest i jaki jest, i nie przewidzieliście tego, co nastąpi jutro? - Potrząsnęła głową, a jej twarz była bez wyrazu. - No cóż, zarówno wasza ocena, jak i honorowe zachowanie były słuszne, lecz to śmiertelna zniewaga. Tego dnia Zakon Świątyni zniszczyło osiem czarnych kul. Przeszła istnieć w chwili, kiedy Filip dowiedział się, że go nie przyjęliście. Tyle czasu zajęło jedynie dotarcie tej wiadomości do was.

Sinclair kiwnął głową bez słowa, przyjmując prawdę jej słów, a ona zwróciła się do Saint Valery'ego.

- Co zatem zrobisz teraz, panie?

Admirał uśmiechnął się do niej, choć jego twarz była zmęczona i napięta.

- Niech cię Bóg błogosławi, droga siostrze. Jak zwykle nie myślisz o sobie, choć de Nogaret zbliża się do naszych bram. - Wzruszył ramionami i rozejrzał się po pozostałych mężczyznach. - Zrobimy niejedno, wiele już zrobiliśmy. Od ponad pięciu godzin flota zbiera zapasy na podróż morską, rzekomo przygotowując się do zaplanowanych na jutro rano ćwiczeń. Twój majątek jest bezpieczny, podliczono go i załadowano już na moją galerę. Popłyniesz ze mną i dopilnujemy, abyś wraz ze swoim złotem bezpiecznie trafiła do Szkocji. Idź teraz

do swoich kobiet, jeśli łaska. Tam Sinclair cię odprowadzi i zadba o to, abyście spokojnie rozgościły się na pokładzie. Wasze kwatery nie będą zbyt przestronne, ponieważ galery zbudowano z myślą o toczeniu wojen, a nie wygodzie, lecz solidne i bezpieczne, a także cieplejsze niż lochy de Nogareta. Na pokładzie powinnyście się przespać, choć z powodu dzisiejszego zamieszania może się to okazać trudne. Ruszemy wraz z porannym odpływem, a potem, jeśli pogoda, czas i los pozwolą, być może przeniesiemy was na jeden z większych okrętów towarowych, w zależności od tego, jak bardzo będą załadowane. Tam, zaprowadzisz lady Jessicę do jej służek?

Zadziwiło mnie, że sir William się ze mną zgodził - odezwała się Jessie po szkocku, a idący przed nią Tam, zaskoczony tymi słowami, obejrzał się przez ramię

- Dlaczego, pani?

- Dlaczego? Ponieważ mnie nie lubi. Czy tak samo niegrzecznie i opryskliwie zachowuje się przy innych kobietach?

Tam zatrzymał się i odwrócił, a ona też stanęła, czekając, aż coś powie. Lecz tylko uśmiechnął się i kiwnął głową.

- Ano, można tak rzec. Podczas każdej rozmowy z kobietami, jaką słyszałem w ciągu ostatnich dwudziestu lat, zachowywał się dokładnie tak samo. Niegrzecznie i opryskliwie.

- Czy zatem nienawidzi kobiet? Nie przyszłoby mi to do głowy.

Tam wyszczerzył zęby jeszcze bardziej.

- Nie, lady Jessico, to nie jest nienawiść do kobiet.

- W takim razie o co mu chodzi? Powiedziałeś, że przy wszystkich taki jest.

- Po prostu nie ma wprawy, pani. Rzekłem, że był taki w towarzystwie każdej kobiety, z którą rozmawiał przy mnie w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Ty jesteś pierwsza.

- Pier... W ciągu dwudziestu lat? To niemożliwe.

- Tak się może wydawać, ale to wcale nie jest niemożliwe. To szczerą prawdą. Ostatnią niewiastą, z którą rozmawiał, była jego matka, lady Helena, w dniu, kiedy na dobre opuścił dom, już wtedy marząc o wstąpieniu do Zakonu... Prawie dwadzieścia lat temu. Will unika kobiet. Robi to fanatycznie, a jego życie templariusza mu to ułatwia. To skutek ślubu czystości. A on jest bardzo sumienny.

Wciąż stali w długim korytarzu przed komnatą. Jessie rozejrzała się w obie strony, tylko po to, aby dać sobie czas na przywyknięcie do tej zadziwiającej informacji. Tam ruszył dalej, a ona podążyła za nim.

- Jest mnichem. Rozumiem to. Ale nie mieszka w klasztorze. Jest też rycerzem, więc jeździ po świecie.

- Ano wciąż, szczególnie od czasu tej sprawy z Radą. Ale w ten sposób zachowuje swoją czystość. Ciągłe pracuje, a jak nie, to się modli.

- A zatem jest świętym... albo pustelnikiem.

- Nie, pani, jest zwykłym człowiekiem. Żaden z niego złotousty trubadur, przyznaję. Jeśli szukasz czaru i dworskich manier, nie znajdziesz ich u Willa Sinclaira. Lecz to najlepszy człowiek, jakiego znam, a towarzyszę mu od początku. Opuścił Szkocję jako szesnastoletni chłystek i pojechał prosto do Ziemi Świętej. Walczył tam długie lata i jako jeden z niewielu przeżył oblężenie Akki.

:*s - Był w Akce? Nie wiedziałam. Byłeś tam z nim?

-Ano. ki - Jak się stamtąd

wydostałeś?

- Z Willem. Byłem jego serwientem. Nigdzie się beze mnie nie ruszał.

- Ale udało mu się uciec, a tobie razem z nim. Jak to się stało? Pozostali zginęli, czyż nie?

Tam westchnął ciężko.

- Tak, pani, prawda to... Nie dokładnie wszyscy, ale prawie.

- Dlaczego więc ty i on nie? Jakim sposobem uniknęliście śmierci?

- Rozkazano mu wyjechać wraz z Tibauldem Gaudinem, ówczesnym komturem Zakonu, tamtejszym zastępcą marszałka, Piotra z Sevre. Marszałek, rozumiesz, to wojskowy głównodowodzący Zakonu w czasie wojny.

- To nieważne, Tam. Dlaczego Williama Sinclaira wybrano, aby go ocalić?

Tam wzruszył barczystymi ramionami.

- Bo tak się stało. Wybrali go. To proste. Komtur Gaudin go lubił. Will kilka razy uratował mu życie podczas potyczek z niewiernymi. Poza tym bardzo dobrze pełnił swoją rolę: dowodzenie szło mu ła two, walczył też niezgorzej. Kiedy powierzono Gaudinowi skarb Zakonu i rozkazano przewieźć go z Akki do Sydonu na pokładzie jednej

z galer wojennych Zakonu, chciał mieć koło siebie ludzi, którym mógł zaufać. Will pierwszy mu przyszedł do głowy. -I zabraliście skarb do Sydonu?

- Ano, do Azji.

-I co potem? Gdzie potem pojechaliście?

Tam znów wzruszył ramionami.

- Wróciliśmy do świata chrześcijańskiego, a Willa zaczęli przenosić z jednego garnizonu do drugiego, z coraz wyższym stopniem i coraz większą odpowiedzialnością. Najpierw był w Szkocji, potem we Francji, Hiszpanii, Italii, na Cyprze, znów w Hiszpanii i z powrotem we Francji. A potem, kilka lat temu, zaczął się przygotowywać do wstąpienia do Rady. Jeśli honor, lojalność, odpowiedzialność i odwaga coś dla ciebie znaczą, nigdzie nie znajdziesz ich więcej niż u tego jednego człowieka.

Baronowa ponownie się zatrzymała i odwróciła do Tama.

- Słyszałeś moją opinię o honorze i odwadze. To męskie cnoty, więc z punktu widzenia kobiety są bezużyteczne i próżne. Znajdź mi kobietę, która chce mieć za męża martwego bohatera, a pokażę ci nie szczęśliwą żonę. Martwy mężczyzna nie da pociechy ani miłości podczas mroźnej zimy czy kiedykolwiek indziej. - Przerwała na chwilę.

- Są żywi mężczyźni, którzy dają tego niewiele więcej, i wydaje mi się, że twój Will Sinclair jest jednym z nich... Mogę się tylko modlić, by kiedy wsiądziemy na pokład, poprawiły mu się maniery. Do Szkocji długa droga, a nie chciałabym całego tego czasu spędzić z gburem.

Jej głos stracił poufny, natarczywy ton, a w odpowiedzi na tę zmianę i Tam zaczął mówić bardziej oficjalnie.

- Nie będziecie na tym samym okręcie, pani. Popłyniesz z admirałem, a Will, jeśli się nie mylę, z wiceadmirałem de Berengerem.

Jessica kiwnęła głową.

- Tak, to rozsądne. Jak powiedział Karol, galery to okręty bitewne, nie wyposażone w wygody próżnujących pasażerów, więc zapewne masz rację. A teraz zaprowadź mnie do moich służek, Tam, jeśli łaska. Już dość długo na mnie czekają.

- Prawie jesteśmy na miejscu, pani.

4

Kiedy Jessie i Tam opuścili komnatę, William siedział przez chwilę bez ruchu, patrząc na drzwi, za którymi zniknęli, a potem zwrócił się do Berengera:

- Wybacz mi, admirale. Musiałem cię wcześniej nieco oszukać na temat jutrzejszych ćwiczeń morskich, lecz nie miałem wtedy wyboru. Sir Karol nie przeczytał jeszcze rozkazów od wielkiego mistrza.

De Berenger skinął dość przyjaźnie głową i zagadnął Saint Valeryego:

- Co z innymi częściami floty, admirale? Czy jest dla nich nadzieja?

- Poniekąd tak. Mistrz de Molay zawiadomił komturów Brestu i Hawru, że mają zebrać wszystkie dostępne galery i wypłynąć na morze, na te same ćwiczenia, do których ty miałeś dołączyć. Kapitan floty w Marsylii otrzymał podobny rozkaz tydzień temu: jego galery miały przepłynąć Cieśninę Gibraltarską, a potem udać się na przylądek Finisterre w północnej Hiszpanii. Tam wszyscy się spotkamy i poześlujemy, dokąd będzie trzeba.

- Ile w sumie okrętów, admirale?

Saint Yalery potrząsnął głową.

- Nie mamy pojęcia, Edwardzie. To zależy wyłącznie od tego, kto był w porcie, kiedy dotarły rozkazy. Może w każdym miejscu cumowało po dwadzieścia okrętów, może ani jeden. Lecz tylko w skład naszej floty wchodzić będą okręty towarowe. Inne jednostki floty, skądkolwiek przyplyną, składać się będą wyłącznie z galer. Musimy zadbać o jeszcze jedno zadanie, zanim popłyniemy do Finisterre, lecz wyjaśnię ci to jutro. Idź i zajmij się przygotowaniami. To wszystko.

- A co z moimi ludźmi, sir? - zapytał po wyjściu Berengera de Montrichard, obecny preceptor komturii w La Rochelle, który do tej pory stał przy Sinclairze i przysłuchiwał się w milczeniu.

Admirał zerknął na Willa.

- Rozkazy mistrza były ściśle. Macie zostać w komturii i poddać się na żądanie, nie stawiając oporu nawet w razie najbardziej skrajnej prowokacji. Nie możecie przeciwstawiać się aresztowaniom. Konsekwencje mogłyby być katastrofalne.

De Montrichard skinął głową z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- Poinstruuje moich ludzi, panie.

- Zrób to, lecz poczekaj jeszcze chwilę. Sir Williamie, potrzebuję twojej rady. Instrukcje mistrza de Molaya są niezwykle szczegółowe.

- Tak. - Wznosząca intonacja odpowiedzi Sinclaira zamieniła ją w pytanie.

- Jednak nie był pewien, że wydarzenia, do których się przygotowywał, faktycznie nastąpią, prawda?

- Zgadza się.

- Gdyby był tutaj z nami i uczestniczył w dyskusji, czy myślisz, że wierzyłby, iż ostrzeżenie było prawdziwe?

- Nie wątpię. Dlaczego pytasz?

- Ponieważ martwi mnie konieczność niestawiania oporu ze strony garnizonu. Ilu masz ludzi pod bronią, sir Ryszardzie?

- Stu czterech, admirale, włącznie z medykami.

- Ponad stu... Wydaje mi się, sir Williamie, że wśród tylu ludzi pokusa sprzeciwienia się byłaby ogromna.

- Byłaby, gdyby nie chodziło o templariuszy. Do czego zmierzasz, admirale?

- No cóż, do tego, że możemy wyeliminować tę pokusę i tym samym wypełnić rozkazy mistrza. Stu czterech nieobecnych ludzi nie mogłoby stawić oporu...

Sinclair zamknął oczy i odchylił głowę do tyłu, wciągając powietrze nosem i wypuszczając je przez ściągnięte wargi.

- Masz dla nich miejsce?

- Znajdzie się.

Sinclair kiwnął głową.

- Niech tak się stanie. Zostawimy de Nogaretowi pustą skorupę.

- Dziękuję, przyjacielu - powiedział z uśmiechem Saint Yalery. -

Sir Ryszardzie, złuzuj wszystkich wartowników, pozamykaj bramy i każ zebrać się swoim ludziom. Niech nie biorą więcej, niż mogą unieść na plecach. Od razu wprowadź ich na pokład.

Preceptor zasalutował i odmaszerował żwawo, prężąc ramiona z nową energią.

- A teraz, Will, przyjacielu - rzekł admirał - pozostaje mi jedynie ochronić mój własny bezcenny skarb, o którym niemal zapomniałem. Ale ta wielka, czarna flaszką jest bardzo ciężka, a ja coraz słabszy. Po możesz mi ją odciążyć, zanim wyjdziemy?

Niedługo później - dogłębnie wzmocnieni trzecią porcją wspaniałego trunku benedyktynów - wyłonili się razem z budynku i poszli na nabrzeże, zalane migoczącym światłem setek smolnych pochodni; Will jeszcze nigdy nie widział tylu w jednym miejscu. Światła o blasku intensywnym niczym latarnie morskie zawieszono w koszach na wysokich, solidnych drewnianych słupach ustawionych w ścieżki i uliczki, które jasno wyznaczały trasy z magazynów i arsenałów do trapów galer przycumowanych wzdłuż nabrzeży. Zaskoczony Will gwizdnął cicho.

- Skąd wzięły się te wszystkie pochodnie?

Admirał rzucił na niego okiem, a potem ponownie przeniósł wzrok na port.

- Z magazynów. Czasami nie mamy wyboru w kwestii pory wylądunku lub załadunku okrętu, więc trzymamy te pochodnie na podorędziu w razie nocnej pracy. Niedaleko stąd jest dobre źródło smoły, otwarta jama koło Touchemarin, najbliższej wioski przy drodze na południowy wschód. Przywozimy ją wozami, w beczkach, i przechowujemy w wielkiej kadzi, która jest tu dłużej niż ja, więc nigdy nie brakuje nam paliwa.

- Jestem pod wrażeniem. Jeszcze nigdy nie widziałem czegoś podobnego. - Odwrócił się plecami do ruchliwego nabrzeża i rozejrzał po budynkach, które ciągnęły się po obu stronach za komturią; ich szeregi ginęły w ciemnościach. Jedyne światła paliły się w komturii, co nie dziwiło o tej porze.

- Kto jest właścicielem budynków po obu stronach komturii?

- My. Wzdłuż całego nabrzeża po tej stronie portu ciągną się placówki Zakonu, prowadzone przez braci świeckich: kupców, handlarzy, rzemieślników i tym podobnych. Należą do Zakonu, lecz raczej nie są to templariusze w naszym rozumieniu.

Sinclair przytaknął. Dla niego, jak i dla wszystkich braci walczących, słowo „templariusze” odnosiło się tylko do wojujących mnichów Zakonu. Wszyscy inni, a były ich tysiące, stanowili jedynie dodatek. Głównym celem tych świeckich funkcjonariuszy było zarządzanie ogromnym handlowym imperium Zakonu, niezwiązanym z jego wojskową działalnością. Jak większość jego braci sir William myślał o nich z ambiwalencją graniczącą czasem ze wstrętem. Potrafił przyznać - choć niechętnie - że są niezbędni, lecz ich roszczenia do tytułu prawdziwych templariuszy budziły jego głęboką urazę, ponieważ sądził, iż to nadużywanie owej nazwy, nie mówiąc już o związanych z nią przywilejach, było główną przyczyną spadku uznania względem Zakonu. Chciwy i pozbawiony skrupułów kupiec zawsze spotka się z pogardą, lecz jeśli taką niczemność popełniano w imię Zakonu, bractwo nieodmiennie na tym cierpiało; uważano, że popiera ono arogancję i wykroczenia łajdaka.

Sinclair i podobni mu ludzie zmagali się z tym problemem od dziesięcioleci i uznali, że nie da się go rozwiązać, więc teraz Will ponownie wyrzucił go ze swoich myśli, wiedząc, że jest bezsilny.

- Ciekawe, co stanie się z nimi jutro.

Nie oczekując odpowiedzi, ponownie zaczął się przyglądać otaczającej ich krzątaninie. Całe nabrzeże tętniło zdyscyplinowanym i uporządkowanym ruchem: wszyscy szli zdecydowanie i niemal bezgłośnie, skupieni na swoich zadaniach. Niektórzy ustawili się w łańcuchy i podawali sobie worki ziarna, paszy i innych zapasów, układane potem w sterty na skraju nabrzeża; ludzie zajmujący się załadunkiem wrzucali je do sieci, które wciągano na pokłady. Inni szli gęsiego z towarami, które były zbyt nieporęczne, kruche, ciężkie lub cenne na podawanie ich z ręki do ręki. Jeszcze inni obsługiwali podnośniki ustawione wzdłuż nabrzeża, przekazując ładunek brygadam na pokładach, które wyjmowały dobra z sieci i sztautowały je pod pokładem. Między wszystkimi krążyły zaprzężone w konie wozy z towarami zbyt wielkimi, aby można było je przetransportować w inny sposób. Sinclair obserwował nieustanną bieganinę i nie był świadom, że Saint Vałery mu się przygląda, a kiedy admirał dostrzegł na twarzy młodszego mężczyzny cień uśmiechu, rzekł:

- Uśmiechasz się, sir Williamie... Podoba ci się ten widok?

- Czy mi się podoba? Na Boga, nie, a przynajmniej nie w sensie,

który chyba masz na myśli, panie. Nie znajduję w nim rozrywki. - Nikły uśmiech nie zniknął z jego twarzy. - Lecz zawsze miło popatrzeć na zdyscyplinowanych ludzi dobrze spełniających swoje zadania... Mój uśmiech wziął się z wdzięczności, że ci, którzy tu pracują, to prawdziwi templariusze, a nie bracia świeccy. W przeciwnym razie nawet nie chcę myśleć, jaki panowałby tu chaos. Przejdę się między nimi; niech wiedzą, że ich pracę się docenia. Dołączysz do mnie?

Niewiele ponad godzinę później, czując ruch pokładu pod stopami, kiedy galera wypływała z portu w stronę kotwiczowiska, William ułokował miecz w rogu, aby oręż się nie przewrócił, zdjął pelerynę, zawiesił ją na haczyku i padł twarzą na wąską koję, która przez kolejne tygodnie lub miesiące miała być jego jedynym miejscem na odpoczynek, a ostatnią myślą było wspomnienie lśniących gniewem oczu Jessiki Randolph i słowa: „Zakon Świątyni zniszczyło osiem czarnych kul”.

Misja wiary

1

Dlaczego tutaj czekamy? Przecież wiemy, że przybędą.

Will zerknął z ukosa na mówiącego, wiceadmirala sir Edwarda de Berengera, który ścisnął reling na wąskim pokładzie rufowym galery tak mocno, że zbieleły mu kostki, i wlepił wzrok w spowite rzadką mgłą nabrzeże.

- Wiedzieć coś a być tego świadkiem to dwie różne rzeczy, Edwar dzie - odparł. - Jeśli nie zobaczymy tego na własne oczy, zanim od płyniemy, nigdy nie będziemy pewni, czy stało się to, czego oczeki waliśmy.

Odwrócił głowę w stronę zacumowanej niedaleko galery admirała Saint Valery'ego. Była to większa wersja jego własnej, największy okręt floty. Czterdzieści wiosł - każde obsługiwało dwóch ludzi, a rozmieszczone były w dwóch rzędach po dziesięć na obu burtach — spoczywało na chlupoczącej o kadłub wodzie. Will nie dostrzegał samego admirała, ponieważ zasłaniała go grupa ludzi zebranych na wysokim pokładzie rufowym, lecz widział, że wszyscy patrzą w stronę komturii z takim samym napięciem jak de Berenger.

- Czekamy zatem - dodał. - Podoba mi się to nie bardziej... - Wy prostował się. - Oto i oni.

Sinclair wiedział, że każdy przyglądający się dojrzał to samo: postaci ruszające się we mgle na brzegu, biegających wszędzie ludzi. Dały się także słyszeć krzyki, odbijające się dziwnym echem w pustce. Biegący zbliżyli się - widać ich było wyraźniej za smugami mgły -aż zatrzymali się nabrzeżu, krzycząc jeszcze głośniejsze.

- Chyba są skonsternowani - mruknął Will, przyglądając się gęst niejącemu tłumowi.

Za galerami admirała i wiceadmirała widniał port La Rochelle, po raz pierwszy od dawna pusty poza dwunastoma okrętami zacumowanymi grubymi linami koło południowego falochronu. Wszystkie inne okręty stojące tam na kotwicy poprzedniej nocy wycofały się poza granice portu i czekały na głębokiej wodzie na to, co przyniesie ranek. Zgodnie z przewidywaniami przyniósł de Nogareta. Teraz Sinclair odwrócił się w samą porę, aby ujrzeć, jak bandera floty - biała czaszka i skrzyżowane kości udowe na czarnym polu - wciągnięto na maszt galery admirała; był to umówiony znak. Nawet żołnierze tłoczący się na brzegu umilkli, obserwując powolne wznoszenie się trzepoczącej bandery i zastanawiając się, co to oznacza, lecz cisza się przedłużała i nie wyglądało na to, aby coś miało się wydarzyć. Galera admirała była nieruchoma.

Ciszę przerwał podekscytowany okrzyk: ktoś na brzegu dostrzegł to, na co Will już spoglądał, a zgiełk rozniósł się, kiedy część tłumu w porcie zaczęła biec w stronę południowego falochronu, lecz było już za późno. Ogień na pokładach dwunastu zacumowanych okrętów — podsycony oliwą i starannie przygotowany - już szalał, rozprzestrzeniając się z zadziwiającą prędkością, a ludzie zmykali ze skazanym na zniszczenie jednostek do łodzi czekających poniżej.

- Odebrać ich - powiedział cicho Will, a de Berenger zaczął wydać rozkazy, aby galera przejęła zbliżające się łodzie.

Biegący na czele ludzie de Nogareta zatrzymali się przy falochronie, osłaniając twarze przed żarem bijącym od strony płonących okrętów. Wszystkie były jednostkami towarowymi, najstarszymi i najmniej sprawnymi z całej floty, i Saint Valery postanowił nie oddawać ich, lecz spalić na miejscu; tym samym odebrał je Filipowi i jego zausznikowi jednym wyraźnym aktem buntu. Kiedy pokład ruszył się pod stopami Sinclaira w reakcji na pierwsze pociągnięcie wiosła z prawej burty, Will dostrzegł na nabrzeżu nowe zamieszanie. Wlepił wzrok w postać mężczyzny, który wyróżniał się wśród otaczających go ludzi: lśniąca zbroja i czerwona peleryna jasno mówiły o jego wysokiej pozycji.

- Czy to de Nogaret? Przyjechał tu osobiście? - Świadom, że de Berenger nie słucha, sam odpowiedział sobie na pytanie. - No tak, przyjechał, ten zawszony kundel. Chciał sam zająć La Rochelle. Teraz żałuję, że zacumowaliśmy poza zasięgiem kuszy. Mógłbym go stąd zastrzelić.

Uderzenia o kadłub dały znak, że przybyły łodzie podpalaczy, i kiedy tylko znaleźli się na pokładzie, de Berenger nakazał zwrot i wypłynięcie na morze. Kiedy dziób galery zaczął się odwracać, Sinclair okręcił się w przeciwną stronę, nie odrywając wzroku od odległej sylwetki de Nogareta. Między nimi grad bezużytecznych beltów spadał do wód portowych, a Will miał przyjemność zobaczyć, jak kanclerz króla wymierza cios stojącemu obok człowiekowi, po czym znika w tłumie, najwyraźniej zmierzając do pustej komturii.

Wtedy Will odwrócił się plecami do nabrzeża, czując klębiący się w jego duszy gniew i usiłując oczyścić głowę z myśli o tym, co się dokonało. Nie miał czasu na płonne złożeń; musiał teraz myśleć o przyszłości. Przed nim obramowana ujściem portu potężna galera admirała cięła ostatni odcinek spokojnych wód, a jej wiosła wyrzucały w powietrze krople wody, lśniące niczym diamenty w słońcu, które już wschodziło za nimi, nad murami i wieżami La Rochelle, podczas gdy elegancki, szybki okręt unosił podwójny ładunek - skarb i zbiegów - z dala od króla Francji. Na jego rufie Will widział patrzącą w tył, na ląd, postać owiniętej w pelerynę z kapturem kobiety, baronowej de Saint Yalery.

2

Sześć godzin później ponownie stali na kotwicy, tym razem w maleńkim porcie bezimiennej wioski rybackiej; przepłynęli cztery mile na południe, wzdłuż wybrzeża. Ludzi w wiosce mieszkało niewiele, lecz było tam solidne kamienne nabrzeże i spory fragment płaskiego łądu pod górującymi nad nią klifami, więc pomieściłaby się tam siła nawet większa niż mała armia, która dotarła tam wraz ze światłem poranka.

Will opierał się z założonymi na piersi rękami o niski reling na rufie galery i przyglądał tętniącej dookoła krzątaninie, poznając różnice między flotą i armią. Obie wymagały rozporządzania samymi zbrojnymi, a także ich karmienia i transportu, lecz Will wiedział, że ani on, ani jego brat Kenneth nigdy by nie zorganizowali tak gładkiego i łatwego zejścia na łąd. Kenneth mignął mu wcześniej na nabrzeżu, ale szybko zniknął; nie zaskoczyło to Williama, który wiedział, że jego młodszy o trzy lata brat ma dość rozsądku, aby nie plątać się pod nogami i pozwolić marynarzom robić to, na czym znali się najlepiej.

Poprzedniej nocy, przed opuszczeniem La Rochelle, Saint Valery i de Berenger zaplanowali do pewnego stopnia to popołudnie, lecz nie znali wsi, do której mieli zawinąć; wiedzieli, że rozmiar i warunki nieznanego portu w jakiś sposób ich ograniczą. Sinclair mógł im o nim opowiedzieć, ponieważ to on go wybrał - odwiedził to miejsce lata wcześniej i wciąż je pamiętał - ale tej nocy miał własne obowiązki, a im nie przyszło do głowy, aby go odszukać. Okazało się, że mimo solidnego kotwiczowiska nabrzeże jest bardzo małe i mieści naraz tylko dwa okręty, za to wyposażone było w dźwigi i podnośniki służące do opuszczania łodzi rybackich na fale i podnoszenia ich, więc de Berenger znajdował się teraz na łądzie i nadzorował pracę.

Will patrzył, jak na śródokręcie jednego ze statków towarowych opuszczano parę koni. Był pod coraz większym wrażeniem zarówno zaradności brygad załadunkowych, jak i szybkości, z jaką okręty zajmowały po kolei miejsce w porcie: nowa para szykowała się do podholowania za cumę do brzegu, kiedy odbijały od niego załadowane już okręty. Statki towarowe Zakonu bardzo różniły się od galer admirała, zarówno pod względem wyglądu, jak i funkcji. Zbudowano je z myślą o jak największej pojemności i stabilności; większość miała dwa maszty, a trzy z nich były trzymasztowe. Wszystkie były szerokie i miały spore zanurzenie, kiedy je załadowano, więc robiły wrażenie masywnych i niezgrabnych w porównaniu z chroniącymi je jednostkami bojowymi. Przyglądając się ich załadunkowi, Sinclair uznał jednak, że są na swój sposób piękne, i poczuł podziw dla zręczności, z jaką ich doświadczone załogi, składające się w całości z braci świeckich Zakonu, manewrowały nimi w małym porcie.

Wiedział, że załogi galer są równie umiejętnie, lecz pod innymi względami, i znacznie bardziej /dyscyplinowane. Załogi statków towarowych tworzyli zawodowi marynarze, zatrudniani przez Zakon lub należący do niego; na galerach pływali walczący żeglarze, serwienci Zakonu, którzy woleli służyć na morzu niż na lądzie. Ta druga grupa żyła, żeglowała i walczyła zgodnie z wojskowym i zakonnym drylem; ich życiem kierowała morska wersja reguły Zakonu, więc każdego dnia modlili się i wypełniali zakonne obowiązki, choć załozde nie będącej na służbie pozwalano spać całą noc i odzyskać siły. Ich głównym obowiązkiem była ochrona potężnej noty handlowej Zakonu.

Sinclair spojrzął w stronę śródokręcia galery, na rzędy wioślarzy usadowionych na ławkach, z których najbliższy znajdował się dobre dwanaście stóp pod pokładem rufowym. Na burtach było po osiemnaście wiosł, wszystkie takie same: długie, ciężkie, eleganckie. Potrafiły rozpędzić okręty do zadziwiającej prędkości nawet bez pomocy ogromnego kwadratowego żagla.

Sinclair usłyszał, że ktoś go woła, i wyjrzał za reling; tuż pod nim zatrzymała się długa, wąska łódź z ośmioma wioślarzami. Z rufy patrzył na niego admirał, który machnął ręką w stronę wioski i krzyknął:

- Dołącz do mnie na brzegu. Będę rozmawiał z de Berengerem.

Will ponownie uświadomił sobie różnicę między ruszaniem się po

wodzie i po lądzie. Jego galera - okręt wiceadmirała - była przycumowana mniej niż jedną dziesiątą mili od krańca nabrzeża, co na lądzie równałoby się może dwustu krokom, odległości, którą Will mógłby pokonać w kilka chwil, nawet gdyby wcześniej musiał osiodłać konia. Tym razem jednak musiał wezwać łódź i wiosłarzy, przejść z galery na łódź z wyjątkową ostrożnością szczura lądowego, który nie ufa zachowaniu wody i unoszących się na niej jednostek, oraz dać się przewieźć na koniec nabrzeża. Spotkał się z Saint Valerym dopiero po trzech kwadransach.

Kiedy Will wyostał się z łodzi na falochron, powitał go niedźwiedzim uściskiem brat Kenneth. Wyplątawszy się z szerokim uśmiechem, Will dotknął koleczugi Kennetha.

- Dobrze cię widzieć, bracie. Z braku łoż i zgrzytania zębami wnioskuję, że wszystko poszło jak należy. Towary są bezpieczne?

- Wszystkie dotarły całkiem bezpiecznie, Will.

- Mówisz, jakby było tego więcej, niż się spodziewałeś.

- Bo to prawda! Zapełniliśmy pięć czterokołowych wozów i jeden mały wózek. Było tego znacznie więcej, niż sądziliśmy, lecz udało się wszystko przewieźć. Były oczywiście cztery główne, duże kufry, które zgodnie z planem załadowaliśmy na dwa wozy, a także wspaniała kolekcja złotych i srebrnych sztab oraz monet, której się nie spodziewałem, i aż siedem skrzyń klejnotów, dwie małe i pięć niemal tak dużych jak główne kufry. Są zamknięte na skórzane pasy, więc łatwo było kilka uchylić i zobaczyć, co taszczy. Pełne są wysadzanych kielichów, krucyfiksów i naczyń kościelnych. Najwyraźniej mistrz nie chciał, aby wpadły w łapy de Nogareta. Musieliśmy przewrócić okolicę do góry nogami, aby znaleźć więcej wozów.

- Mam nadzieję, że nie zasialiście zbyt dużego zamętu.

- Uważasz mnie za głupca, bracie? Wysłałem po parze ludzi w każdym kierunku, dałem im po srebrnej monecie i kazałem kupić to, co znajdą w ciągu dnia, lecz nie więcej niż jeden wóz z zaprzęgiem w każdym miejscu... I zanim spytasz: żaden nie miał na sobie nic, z czego obcy mogliby wywnioskować, że jest templariuszem.

- Hmm... - Sinclair roztrząsał to przez chwilę, a potem kiwnął zdecydowanie głową. - Świetnie. Dobrze się spisałeś, Kenneth. Szybko załadujemy wszystko na pokład i zadbamy, aby skarb bezpiecznie zasztauowano. Tymczasem obiecuj mi, że zdejmiesz tę zbroję, zanim

będziesz chciał wejść na okręt, i każ swoim ludziom zrobić to samo. Jak widzisz, najcięższą rzeczą, którą mam przy sobie, jest ten sztylet. Kilka razy niemal się unurzałem, tylko wchodząc do łodzi i wychodząc z nich. Jeśli wpadniesz tak uzbrojony, zatoniesz jak kamień. A przy okazji, gdzie twoi ludzie?

Kenneth wskazał kciukiem za siebie, a Will wspiął się na pobliski głąz, spojrział ponad rojącym się dookoła tłumem i zobaczył stu rycerzy oraz serwientów stojących na baczność w porządnym szeregu u podnóża wysokiego klifu. Ubrani w brąz i czerń serwienci tworzyli zwartą, zdyscyplinowaną falangę, a czterdziestu rycerzy - głównie w kolczugach okrytych białymi opończami z czerwonymi krzyżami - zebrało się po ich lewej. Will od razu zobaczył, że ludzie czekają cierpliwie, i zeskoczył z głązu.

- Dobrze się prezentują. Ich konie właśnie są ładowane na okręt. Każę wiceadmirałowi wysłać ci rozkazy dotyczące tego, gdzie i kiedy twój oddział ma wejść na pokład... A oto on we własnej osobie.

Zbliżył się sir Edward de Berenger, a Sinclair przedstawił go bratu, po czym spytał, gdzie podział się admirał. De Berenger z uśmiechem machnął ręką w stronę odległego o sto kroków wielkiego namiotu, przed którym William zauważył ciasno zbitą grupkę ubranych po wiejsku ludzi, stojącą z dala od krzątaniny na nabrzeżu. Kiwnął w ich stronę głową.

- Co z tymi wieśniakami? Miałeś jakieś kłopoty?

- Ależ nie. - Kenneth potrząsnął głową. - Byli przerażeni, kiedy zesłaliśmy z klifów w ich stronę, lecz gdy zrozumieli, że nie chcemy ich skrzywdzić i jesteśmy zainteresowani tylko ich nabrzeżem, zostawili je nam do dyspozycji. Przewodzi im człowiek o imieniu Pierre. Uspokoił ich. Powiedziałem mu, aby nie wchodził nam w drogę, i dałem za fatygę sakiewkę srebra. Zrobiłem to przy wszystkich, żeby nie zachował jej dla siebie. Od tamtej pory nie odezwali się słowem. Aha, i powiedziałem mu też, że jeśli ktoś przyjedzie i zacznie zadawać pytania, niech opisz, co widzieli. Dla nas to już wtedy będzie bez znaczenia.

Jego brat mruknął i wykrzywił gorzko usta.

- Jeśli ktoś będzie nas tutaj szukał, nie będzie miało znaczenia to, co ci ludzie powiedzą. I tak zostaną zgładzeni. Jestem pewien, że i oni to wiedzą. - Odwrócił się do Berengera. - No cóż, sir Edwardzie,

powinniśmy dołączyć do admirała, skoro osobiście nas tutaj wezwał. Kenneth, wracaj do swoich ludzi.

Kenneth skinął im głową i odszedł, a de Berenger uniósł palec.

- Nie mogę ci jeszcze towarzyszyć. Mam sprawę niecierpiącą zwłoki: problem z jednym dźwigiem. Przeprós sir Karola, jeśli łaska, dotrę do was jak najszybciej.

Zbliżając się do namiotu, Sinclair zauważył z niezadowoleniem, że na kamienistym brzegu siedzi już w towarzystwie swojego szwagra baronowa Saint Valery; miał wrażenie, że serce podchodzi mu do gardła. Zaczął się zastanawiać, czy ona ma zamiar uczestniczyć w każdej dyskusji, i myśl ta natychmiast go zdenerwowała. Dostrzegł, że admirał zauważył jego przybycie, lecz natychmiast się odwrócił, ponieważ podszedł do niego jakiś posłaniec.

Saint Valery podniósł się i powiedział coś baronowej, zasalutował docierającemu już na miejsce Sinclairowi i podążył za gońcem, znikając szybko w tłumie. Sinclaira dzieliło teraz mniej niż sto kroków od przyglądającej się załadunkowi kobiety; próbując iść szybko po usuwającej się spod stóp żwirowej plaży, opuścił wzrok, unikając patrzenia na nią. Mimo wyczerpania - a może właśnie z jego powodu - poprzedniej nocy nie mógł zasnąć i długo myślał o baronowej, uznawszy w końcu, że nie jest w stanie przestać.

Lady Jessica Randolph głęboko go niepokoiła; leżąc przed świtem na swojej kołyszącej się koi, zrozumiał, że jest dla niego uosobieniem czegoś zupełnie obcego, esencją wszystkiego, co z własnej woli porzucił, wstępując do Zakonu i składając uroczyste śluby. Jako mnich, żołnierz i krzyżowiec pędził życie całkowicie wypełnione męskimi sprawami: walką, ćwiczeniami i prowadzeniem kampanii w czasie wojny oraz obowiązkami garnizonowymi, nieubłaganą dyscypliną i nieustannymi modłami w czasie pokoju. Nawet w ostatnich latach, kiedy intensywnie przygotowywał się do swojej przyszłej roli członka Rady, z dala od spraw wykraczających poza Zakon trzymało go niewiarygodnie złożone zadanie zgłębienia ezoterycznych sekretów znanych jedynie uprzywilejowanej elicie najbardziej wtajemniczonych templariuszy, wiedzy zwanej - choć nieczęsto i nigdy publicznie - „wyższymi tajemnicami prastarego Bractwa Syjonu”. Zadanie to całkowicie go pochłonęło, a w miarę jak coraz lepiej pojmował jego ogrom, czasem nawet przerażało, zmuszając do zrewidowania całej

wiedzy i przekonań zdobytych w latach poprzedzających poznanie tajemnic.

A teraz pojawiła się ona, aby rozproszyć go swoim głosem, ciałem, zapachem i kobiecością.

Dostrzegła go, kiedy dzieliło ich nie więcej niż dwadzieścia kroków, a jej twarz się wygładziła; zniknął z niej wyraz zamyślenia, a pojawił... jaki? Obojętny? Nie - poprawił sam siebie Sinclair. Jej twarz wyrażała całkowitą pustkę. Jakby nawet nie zasługiwał na jej uwagę. No cóż - pomyślał - nie będzie się na nią za to gniewał. Jeśli chciała się zachowywać tak, jak według jej uznania zachowują się mężczyźni, zostanie potraktowana jak mężczyzna... niższej rangi, oczywiście. Podwładny. Sinclair zorientował się, że zgrzyta zębami, i postarał się rozluźnić.

Podniosła na niego oczy, kiedy podszedł, a on skinął sztywno głową, witając ją milcząco i niedbale.

- Dzień dobry, sir Williamie. - Choć jej głos nie był serdeczny, nie sły chać było w nim wrogości. — Sir Karol zaraz do nas wróci. Proszę, usiądź.

Być może rozzłościło go to „do nas”, sugestia, że będzie przysłuchiwała się jego rozmowie z admirałem, a może chłodna maniera niezachwianego spokoju, z jaką zaprosiła go, aby usiadł, i najwyraźniej oczekiwała, że posłucha. W każdym razie poczuł, że wzbiera w nim gniew, a uraza i upokorzenie walczą o to, co go zgubi - wiedział bowiem ponad wszelką wątpliwość, że cokolwiek powie lub zrobi, zachowa się niewłaściwie; stał więc bez słowa przez długą chwilę, nie mogąc się ruszyć. Na szczęście dla niego kobieta źle zinterpretowała jego beczynność i spojrzała na niego nieco cieplej.

- Proszę, usiądź, jeśli łaska. Karol widział, że nadchodzisz, lecz musiał odejść. Chodziło o coś związanego z załadunkiem zwierząt. Muszę przyznać, że jestem zdumiona liczebnością oddziału twojego brata. Spodziewałam się może dwudziestu ludzi, a jest ich na pewno ponad stu. Proszę, spocznij tutaj. Moje służki poszły szukać drewna na opał, niedługo powinny wrócić, więc ogrzejemy się przy ogniu.

Zakłopotany jej otwartością i brakiem chytryści Sinclair ruszył, aby spełnić jej życzenie, choć wciąż nie miał najmniejszego pojęcia, o czym z nią rozmawiać. Lecz kiedy przysiadł na głazie naprzeciwko niej, po prostu mówiła dalej, a on słuchał i wbrew sobie przygotowywał się do odpowiedzi.

- Przyznaję, gdyby nie moje panie, zamarzałabym, ponieważ nie wiem, jak rozpalić ogień na otwartym powietrzu. A ty? Czy biegle posługujesz się krzesiwem? Zapewne tak, w końcu jesteś templa-riuszem. Słyszałam, że znacie się na wszystkich praktycznych sprawa-
wach.

- Nie, to bzdury. - Sinclair niemal się skrzywił, gdy usłyszał, jak obcesowy jest jego głos. - Mam pudełko na hubkę z krzesiwem, lecz, na Boga, pani, nie pamiętam, kiedym go ostatnio używał. Tam robi to wszystko i wdzięczny mu jestem za to. Rozpala nasze ogniska i dokłada do nich, a także karmi mnie, bo inaczej najpewniej bym się zagłodził. Nie mam głowy do takich spraw.

No, jednak potrafisz mówić jak normalny człowiek. Po tym, czego się dotychczas o tobie dowiedziałam, to wielki postęp w twoim zachowa-
waniu wobec kobiet...

Sinclair już zrywał się na nogi.

- Oto idą twoje służki, pani. Zostawię cię z nimi. - Skinął głową w stronę jedynych poza nią kobiet na plaży, niosących polana; za nimi szła grupa serwientów z kolejnymi kłodami.

Kiedy naręcza drewna spadły z łoskotem na kamienistą plażę, Jessi-
ca również wstała i zawołała Sinclaira, który już miał odejść.

- Poczekaj, sir Williamie, jeśli łaska. Przejdę się z tobą, aż nie za-
płonie ognisko.

Skonsternowany Sinclair czekał z wahaniem, aż się zbliżyła, i udało
mu się nie wzdrygnąć, kiedy położyła dłoń na jego ramieniu.

- O, dziękuję - powiedziała. - Chodzenie po tych kamykach jest
niezwykle trudne i niebezpieczne.

Nie odpowiedział, lecz ugiął sztywno ramię i ruszył przesadnie
wolno, najwyraźniej szykując się, aby zapobiec jej upadkowi. Po-
wstrzymała uśmiech, który już-już wypełzał jej na twarz, i zmusiła się,
aby iść u jego boku powoli i z godnością, wyobrażając sobie jego szok,
gdyby ruszyła w jakiś tan z ręką na jego ramieniu. Miała taką ochotę
zachichotać, że musiała podnieść dłoń do ust i udać, że kaszle. Stała,
zmuszając go, aby zrobił to samo i czekał, kiedy ona teatralnie
przyglądała się wiosce rybackiej i klifom.

- Cóż za świetne miejsce na zadanie, które musisz wykonać, sir
Williamie. Ten zakątek jest z pewnością całkowicie ukryty przed kim
kolwiek, kto stoi na klifach. Zaręczam, iż nie dałoby się go też do-

strzec z przepływającego okrętu, gdyby jego załoga nie wiedziała, że tu jest. Jakim sposobem je znalazłeś?

Sinclair podążył za jej wzrokiem i spojrzął na klify.

- Przypadkiem, pani - rzekł, nie patrząc na nią. - Zupełnym przypadkiem, ponad dwadzieścia lat temu.

- Co to za przypadek cię tutaj sprowadził? Linia brzegowa nie jest gościnna.

- Wiatr i woda. Byłem na okręcie, który zatonął, kiedy zimowa nawałnica zwała nas na mieliznę na południe stąd. Tam i ja byliśmy jednym z nielicznych, którzy przeżyli: on trafił na łódkę z trzema innymi, a ja chwyciłem się drzewca wraz z innym człowiekiem, który nie żył, kiedy prąd wyrzucił nas na brzeg w tej zatoczce. Tam dotarł do brzegu jakąś milę dalej na północ i następnego dnia przez przypadek się odnaleźliśmy.

- Czy wtedy ta wioska już tu była?

Zerknął na nią z ukosa, jakby zaskoczony naiwnością jej pytania.

- Tak. To naturalny port. Jestem pewien, że rybacy mieszkają tu od dawna.

- A ty to zapamiętałeś.

- Ano tak. Zawsze staram się pamiętać i dobre rzeczy, i złe. Głupotą jest nie pamiętać obu stron wydarzeń. Większość rzeczy codziennych nie jest warta pamiętania... lecz znajomość bezpiecznego portu lub miejsca dającego przewagę w potyczce może być czasem bezcenna.

Przyglądała mu się z przechyloną głową, a teraz znów ruszyła przed siebie, wciąż opierając dłoń na jego ramieniu.

- Przyznaję, sir Williamie, że rzadko rozmyślam o właściwych terenach na potyczki, lecz pojmuję, co mówisz, i zgadzam się z twoim rozumowaniem.

Potem zamilkła na jakiś czas, idąc przed siebie z opuszczonym wzrokiem, zostawiając jemu czas na uporanie się z tym, że zwykła kobieta zadeklarowała zrozumienie jakiegoś konceptu. Chciał kontynuować tę myśl, lecz nie miał pojęcia, jak się do tego zabrać, więc po prostu czekał z nadzieją, że sama powie więcej na ten temat. Szła jednak dalej bez słowa, po czym, kiedy uznał, że już się nie odezwie, ciągnęła jakby nigdy nic.

- Czy nie sądzisz, że byłoby zabawne - rzuciła mu szybki uśmiech - zobaczyć, jak twoje poglądy mogą się odtąd zmienić, bio-

rać pod uwagę czekające cię w **twoim nowym** życiu bezpieczne porty i potyczki?

- W moim nowym życiu? - Jego głos natychmiast nabrał chłodu, kiedy Will wyczuł, że baronowa porusza tematy, do których nie ma prawa. - Nie mam nowego życia, pani, nigdy nie będę go miał.

- Lecz ja... - Jessie była wzburzona nagłą niechęcią w jego słowach i odezwała się bez namysłu. - Miałam na myśli wyłącznie wydarzenia dzisiejszego poranka... Ewidentną wrogość króla i dwulicowość de Nogareta. To zmieniło...

- Nic się nie zmieniło, baronowo — oznajmił Sinclair surowym, nie znoszącym sprzeciwu głosem. - Nastąpiło jakiegoś rodzaju nieporozumienie, lecz zapewniam cię, wkrótce zostanie wyjaśnione. Templariusze są najsilniejszym zakonem na świecie, znacznie potężniejszym od każdego pojedynczego człowieka. Nie mogą mu poważnie zaszkodzić chciwe intrygi ludzi mniejszego formatu, nawet jeśli są oni królami lub kanclerzami. W moim życiu nie będzie więc trwałych zmian.

Patrzyła na niego szeroko rozwartymi oczami prawie od początku jego wypowiedzi, jej policzki już nabierały rumieńców, a teraz zaatakowała.

- Nieporozumienie? Wkrótce wyjaśnione? Chyba byłeś wczoraj w tej samej komnacie, kiedy mówiłam na ten właśnie temat? Czy nie słyszałeś, co powiedziałam? Czy po prostu zlekceważyłeś mnie jako kobietę i postanowiłeś, że moja opinia jest bezwartościowa i bezpodstawna?

Patrzyli na siebie wilkiem, a Jessie czekała na jego odpowiedź, która, kiedy się pojawiła, nie wymagała słów. Jego twarz po prostu zastygła w złowrogą maskę dezaprobaty, a on odwrócił się na pięcie, sztywny z urażonej godności, zostawiając ją samą na brzegu. Właśnie podszedł jej szwagier, a jego twarz wyraźnie zdradzała zdumienie tym, co widział.

- Na Boga, co się stało, siostrze? Czym tak uraziłaś sir Williama? Nigdy nie widziałem go tak zagniewanego.

Nawet na niego nie zerknęła, wlepiając oczy w znikającego w tłumie Sinclaira. Potem odwróciła się do admirała.

- Bóg mi świadkiem, że nie powiedziałam nic, co obraziłoby rozsądnego człowieka. Lecz twój uparty sir William wykazuje mało oznak rozsądnego zachowania wobec każdego, kogo nie może zdominować

i zastraszyć. To nie ja sprowokowałam jego urazę i gniew. Poszukaj ich źródeł w nim samym, ponieważ ja nie mam ochoty mieć z nim nic wspólnego. To po prostu źle wychowany prostak.

Wyraziwszy tę opinię, i ona odeszła zamaszystym krokiem, a zmieszany admirał odprowadził ją wzrokiem, pokręcił głową i szybko podążył za Sinclairem.

Kiedy go dogonił, Will stał na skraju kei, przyglądając się załadunkowi z zaciśniętymi ustami i czołem zmarszczonym w zamyśleniu i przerzucając gładki kamyk z ręki do ręki.

- Sir Williamie. Muszę zająć ci nieco czasu, abyśmy mogli omówić kilka ważnych spraw. Czy możemy wrócić do mego namiotu na plaży?

Sinclair kiwnął głową bez słowa.

- Wspaniale. - Saint Valery zawahał się, po czym ciągnął: - Sir Williamie, nie wiem, co zaszło między tobą a moją bratową, lecz widzę, że wzbudziło twój gniew, a nie mogę ci teraz pozwolić na złość. Jeśli możesz, wyrzuć więc z myśli to, co cię drażni, i porozmawiajmy o najważniejszych sprawach czekających nas w związku z tym przedsięwzięciem. Czy możesz to zrobić?

- Oczywiście, sir Karolu. Martwi mnie, że nawet musisz o to pytać. Prowadź, jeśli łaska. Masz moją niepodzielną uwagę.

- To świetnie, mamy wiele do omówienia, przede wszystkim rozmieszczenie skarbu przywiezionego przez twojego brata: jest znacznie większy, niż przypuszczaliśmy. Nasze dwa największe i najbardziej żeglowne okręty to galery dowódców, moja i de Berengera, i nie podoba mi się myśl o umieszczaniu skarbugdziekolwiek indziej, choć na statkach towarowych jest więcej miejsca. Uważam, że bylibyśmy głupcami, gdybyśmy załadowali skrzynie tak, aby nie mieć ich na oku... Nie dlatego, że nie ufam naszym ludziom, lecz dlatego, że nie ufam pogodzie. W każdej chwili mogą się zacząć zimowe burze, rozproszyć naszą flotę po krańcach mórz i uzależnić ją od kaprysów i siły wiatrów. Proponuję więc podzielenie skarbu między moją galerę,

i woja i de Berengera. Macie już na pokładzie złoto lady Jessiki, a ty ponosisz osobistą odpowiedzialność za ochronę skarbu templariuszy. Każę więc załadować te cztery skrzynie na twoją galerę, a mniejszy skarb wezmę na moją. Co o tym sądzisz?

Sinclair zgodził się, z ulgą myśląc o tym, że nie będzie musiał rozstawać się z główną częścią skarbu, której ochrona była najważniejszym obowiązkiem nałożonym na niego przez mistrza de Molaya. Przez kolejne pół godziny dowódcy chodzili po plaży, obserwując postępy w pracy i omawiając szczegóły planów na kilka następnych dni.

Tuż po bezpiecznym załadowaniu skarbu mieli zamiar popłynąć na południe, między stałym lądem a wyspą Oleron, mijając po bakburcie szerokie ujście Żyromy, aby podążać wzdłuż francuskiej linii brzegowej i Zatoki Biskajskiej, aż dotrą do Półwyspu Iberyjskiego. Stamtąd czekała ich droga na zachód wzdłuż wybrzeża zatoki aż do okolic La (Oruña, skąd mieli udać się znów na południe, zbierając po drodze wszystkie jednostki zakonnej floty, które zgromadzą się przy przylądku Finisterre. Nie mieli pojęcia, ile jednostek mogło uciec z innych francuskich portów i przypląć do punktu zbornego ani jak będą punktualne, lecz kontyngent z La Rochelle miał cierpliwie czekać na miejscu przez siedem dni, stojąc na kotwicach w bezpiecznej odległości od lądu, zapewniając innym okrętom możliwość dołączenia do niego. Potem mieli razem pozełgować tam, gdzie rozkaże im William Sinclair, najstarszy stopniem przedstawiciel Zakonu Świętyńi.

W końcu Saint Valery'emu zabrakło tematów do omówienia. Znów zbliżali się do nabrzeża, a sterty dobytku leżące na plaży zdążyły znacznie zmaleć.

- Wygląda na to, że prawie skończyli - powiedział Will, wskazując głową krzątanicę na kei. Cztery wielkie skrzynie ze skarbem wraz z resztą zawartości wozów Kennetha wciąż leżały na nabrzeżu, lecz same wozy już rozmontowano i zasztauowano, ludzi Kennetha przewieziono na okręty, a większość ich koni, wraz z rzędami i orężem, już umieszczono na pokładach.

- Czy jesteś całkowicie zdecydowany, aby popłynąć do Szkocji, sir Williamie? - spytał Saint Valery, prawie nie podnosząc oczu.

Sinclair spojrzał na niego zaskoczony.

- Czy jestem zdecydowany? Tak, chyba tak... Lecz wnioskuję, że

ty nie. Czy masz coś innego na myśli? Jeśli tak, wyduś to z siebie i porozmawiamy o tym. Mam posłać po de Berengera?

—Nie! To nie będzie konieczne. Mam na myśli... No cóż, to coś, co mam na myśli już od dawna... Coś bardziej związanego z naszą rolą i tym, gdzie powinniśmy być, niż z tym, kim jesteśmy i dokąd powinniśmy się udać... Jeśli wiesz, co chcę powiedzieć.

—Nie, sir Karolu, nie wiem. - Sinclair pokręcił głową z lekkim uśmiechem. - I prawdę mówiąc, po raz pierwszy słyszę, żebyś wyrażał się niejasno, więc niezwykle mnie to ciekawi. - Rozejrzał się szybko, aby sprawdzić, czy ktokolwiek jest w pobliżu, lecz stali poza zasięgiem głosu od najbliższej grupy pracujących. - Przejdźmy się zatem jeszcze kawałek, aby nikt nas nie usłyszał, ponieważ mam przeczucie, że nie chcesz zdradzić swoich myśli nikomu poza mną, nawet wiceadmirałowi de Berengerowi. Wyjaw mi to więc jako przyjaciel, nie jako admirał.

Ruszył dalej, a Saint Valery zrównał się z nim, pochylając głowę. Sinclair milczał; pamiętał własne problemy z wypowiedzeniem wieści, które musiał dostarczyć poprzedniego dnia, zadowolił się więc czekaniem, aż starszy mężczyzna znajdzie właściwe słowa. W końcu Saint Valery westchnął i wyprostował ramiona.

—Sir Williamie, zanim zacznę, czy mogę spytać, co poróżniło ciebie i moją bratową? Widać było wyraźnie, że zbiło cię to z tropu.

—Tak było, choć myślę, że być może się myliłem. — Urwał, przygryzając wąsa. - Zapytała mnie, co zamierzam w moim nowym życiu, po tym, jak Zakon został zdradzony.

—I to cię rozgniewało?

-Tak, ponieważ kazało mi pomyśleć... na chwilę, lecz wbrew mojej woli... o świecie, w którym nasz Zakon już nie istnieje. A to jest dla mnie niepojęte. Pod przewodnictwem naszego prastarego Zakonu Syjonu templariusze stali się najpotężniejszym bractwem na świecie. W taki czy inny sposób więc różnice zostaną wyjaśnione, a kompromisy zawarte, lecz co najważniejsze, nasz Zakon przetrwa. Rozwścieczyła mnie nagła myśl o zmianie w moim życiu, na którą nie miałbym żadnego wpływu. Nie byłem na nią przygotowany i nie miałem zamiaru omawiać jej z twoją bratową, to wszystko. Tak jak powiedziałem, zapewne moja reakcja była niewłaściwa.

— No cóż, sir Williamie, nie mnie sądzić, czy tak czy nie, lecz

zgadzam się z tobą, że nasz prastary Zakon przetrwa, niezależnie od wszystkich prób unicestwienia go. Jego zewnętrzna forma może ulec niewiarygodnym przemianom, może nawet całkiem zniknąć ze świadomości ludzi i wrócić do tego, czym był, zanim Hugon de Payns i jego towarzysze podążyli do Zomorza w poszukiwaniu tego, co udało im się znaleźć. Lecz Zakon Syjonu przetrwa dopóty, dopóki ktokolwiek z nas, ludzi, którzy przysięgali kultywować jego zasady, będzie mógł je przekazać następnemu pokoleniu. U swego sedna nasz Zakon jest ideą, sir Williamie, systemem wierzeń, a wierzenia są nieśmiertelne i niezniszczalne...

Głos Saint Valery'ego zamarł, lecz Sinclair czuł, że admirał jeszcze nie skończył, i faktycznie, po chwili znów się odezwał:

- To właśnie ten tok myślowy naprowadził mnie na tę drugą sprawę. - Admirał chwycił nagle Sinclaira za ramię i skrzył ostro w lewo, w stronę ładu, aby wyminąć grupę marynarzy ładujących broń do sieci dźwigu. - Wydaje mi się, że fundamentalnej zasadzie stanowiącej podwaliny naszego Zakonu mogłaby w przyszłości przysłużyć się jakaś praktyczna demonstracja prawdziwości naszej wiedzy.

Sinclair zmarszczył brwi.

- Praktyczna demonstracja? Co masz na myśli? Ona już nastąpiła prawie dwieście lat temu, kiedy Zakon odrodził się w tunelach Świątyni, a prawdziwość jego nauk udowodniono ponad wszelką wątpliwość. Cóż by mogło być bardziej praktyczne? Zmieniliśmy wtedy nazwę z Zakonu Odrodzenia w Syjonie na zwykły Zakon Syjonu. Tam i wtedy wydarzyło się odrodzenie. Zakon Świątyni powstał dopiero potem.

- Wiem to, sir Williamie, równie dobrze jak ty, lecz zwykli członkowie dzisiejszego Zakonu Świątyni, którzy nie mają pojęcia o naszym bractwie, nie są tego świadomi. Pozbawieni tego dowodu mogą stracić nadzieję i wpaść w rozpacz z powodu zejść we Francji.

-Więc?

- Więc nie przyjmuję do wiadomości, że powinniśmy po prostu pozwolić Zakonowi Świątyni umrzeć.

- Dlaczego nie miałyby się tak stać? - odparł Sinclair bez wahania. - To nasz Zakon się tu liczy, sir Karolu, Zakon Syjonu, a nie Świątyni. Od czasu, kiedy ponad dziesięć lat temu upadła Akka i straciliśmy Zomorze, wygląda na to, że Zakon Świątyni nie cieszy się już

poważaniem u ludzi, którzy kiedyś je żywili. Owa strata jest prawdziwa, lecz ta pomniejsza... utrata Akki... nie może być jej przyczyną; była tragiczna, lecz honorowa. Przebywający tam rycerze i serwienci Zakonu zostali zgładzeni wraz z upadkiem miasta, nikt nie przeżył. Wraz z innymi obrońcami wiary w Zamorzu spełnili oni swój obowiązek i zmarli męczeńską śmiercią w obliczu niemożliwych do pokonania przeciwności. niesprawiedliwe jest zatem obwinianie zmarłych za upadek Zakonu. Przez lata sam zasłużył on sobie na niełaskę, i to w pełni, począwszy od dnia, kiedy obniżył wymagania i zarządził, że bycie mnichem nie jest koniecznym warunkiem członkostwa. Oto, kiedy wdała się zgnilizna: w dniu, kiedy Zakon pozwolił osobom świeckim i kupcom wstąpić w jego szeregi i dał im przywilej nazywania się templariuszami. Od tamtej pory przez ich zachowanie Zakon, który widzą codziennie zwykli ludzie, kurczowo chwytą się swojej arogancji i przywilejów i robi wszystko, aby zrazić do siebie ludzi, z którymi ma do czynienia.

Urwał i zacisnął usta, patrząc na Saint Valery'ego niemal buntowniczo, jakby rzucał mu wyzwanie.

- No już, sir Karolu, odrzućmy powierzchowną lojalność i przyznajmy, że w Zakonie od początku można było znaleźć gburów, pyszałków i upartych głupców. Lecz byli to walczący rycerze i nawet ich najgorsze wybryki stanowiły rajemnicę strzeżoną przez braci. Nie tego rodzaju zachowanie potępiam. Dzisiejszy Zakon Świątyni Salomona w niczym nie przypomina bractwa, jakim było kiedyś, poza tymi nielicznymi z nas, którzy służą w jego wojskowym ramieniu. Stał się gildią handlarzy, pełną fanfaronów, oszustów, samochwałów i innych żenujących kreatur; żaden z nich nie płaci podatków, a wszyscy, radując się swoimi przywilejami i pozycją, uosabiają całą arogancję, dumę, głupotę i słabość, które odziedziczyła ludzkość. A jednak w ramach struktury Zakonu starannie ukrywają się nasi towarzysze z Bractwa Syjonu, żywe ścięgna, które poruszają mięśniami korpusu i czuwają, by ciało działało sprawnie. Usuń tych braci i wiedzę, którą pielęgnowują, a sam Zakon upadnie i przejdzie do historii, czego nikt nie będzie bardzo żałował, a Bractwo Syjonu będzie trwać dalej.

Saint Valery marszczył czoło, skubiąc brodę, a potem skinął głową.

- Tak, masz rację. Choć przyznaję to z oporami, nie będę się z tobą spierał. Zakon Świątyni jest zepsuty i jeśli upadnie lub zostanie w jakiś sposób przekształcony, nasze Bractwo przetrwa. Lecz jakim kosztem, sir Williamie? Znow będziemy zmuszeni żyć i pracować w tajemnicy, ze szkodą dla planów naszego Bractwa. Sądzę, że samo to powinno skłonić nas do zastanowienia. Bracia Zakonu Świątyni, jak i sama jego struktura, zapewniają nam niewidzialność. Wierzę, że powinniśmy zrobić wszystko, co w naszej mocy, aby zachować tę przykrywkę, i w tym celu musimy dać szeregowym templariuszom coś, w co mogliby wierzyć, jakiś element ich własnej wiedzy, który pomoże im wytrwać w obliczu obecnych trudności.

Po plaży przemknął zimny podmuch wiatru, uderzając w nich. A Saint Valery podniósł wzrok na poszarpane chmury, które zaczęły się zbierać, gdy wylądowali, a teraz zaciemniały niebo.

- Szkwały - rzekł, owijając się szczelniej lekką peleryną. - Miejmy nadzieję, że szybko miną. Jeśli pogoda się pogorszy, możemy tu utknąć. - Obejrzał się na poprawiającego odzienie Sinclaira.

- Zakon nie ma własnej wiedzy, admirale - powiedział szkocki rycerz, jakby Saint Valery nie wspomniał o pogodzie. - Nie zdążył jej sobie jeszcze wykształcić.

- Tak, wiem. - Saint Valery znow przyglądał się kłębowi chmur. - Wątpię, żeby pogoda bardzo się pogorszyła, lecz jeśli będzie trzeba, możemy za pomocą wiosel wyprowadzić statki towarowe na głęboką wodę. Tak jak powiedziałem, jeśli rozszaleje się sztorm, może będziemy musieli tu zostać na jakiś czas.

- Jak na mój gust za blisko La Rochelle - odparł Sinclair. - Droga jest to ledwie trzydzieści mil. Ludzie de Nogareta mogą nas tu dopaść, a my będziemy bezbronni.

- Mogliby, gdyby wiedzieli, gdzie szukać, a tak nie jest. Ta myśl powinna napawać nas wdzięcznością, przyjacielu. - Saint Valery jeszcze raz zerknął w niebo, po czym przyjrzał się krzątaniu w małym porcie. - Wygląda na to, że wszystko idzie gładko, a odpływ będzie dopiero za kilka godzin. Załadowane okręty już czekają z dala od lądu i na zawietrznej od wyspy Oleron, a zostało ich już niewiele. Cały skarb i większość żywego inwentarza jest już na pokładzie. Został do załadowania już tylko sprzęt, bez którego moglibyśmy się obejść. A jeśli chodzi o nauki Zakonu lub ich brak... Jest jedna rzecz, część

prastarej wiedzy Zakonu Syjonu, która w jakiś sposób umknęła i dawno temu przejął ją Zakon Świątyni.

- Sprawa Meryki.

- Tak. Nigdy nie odkryto, kto zdradził ani w jaki sposób, lecz była to jedyna taka sytuacja w dziejach. Osobiście zacząłem kilka lat temu podejrzewać, że Hugon de Payns sam rozmyślnie wyjawiał tę wiadomość na wczesnym etapie rozwoju Zakonu Świątyni, sądząc, że jest nieszkodliwa, lecz cenna jako dowód potrzeby dyskrecji w nowo założonym Zakonie. Być może było to ziarno, z którego miała zakiełkować tradycja. Uważasz to za wyssane z palca?

Sinclair wysunął żuchwę.

- Nie, absolutnie. Teraz, kiedy o tym mówisz, ma to sens. Pogłoska o Meryce zawsze była raczej pozbawiona podstaw i nie miała znaczenia dla naszych celów. Wszyscy, którzy o niej słyszeli[^] uważali ją za błąhą. Jej wyjawienie z pewnością nie zagroziłoby naszemu Bractwu. Tak, myślę, że Hugon de Payns mógł ją pożyczyć, będąc w potrzebie.

- Meryka to nie pogłoska, sir Williamie. To przyjęta i ratyfikowana część naszych prastarych nauk i wierzeń.

- Tak, znam jej założenia, admirale: za Zachodnim Morzem istnieje wielka, legendarna kraina obfitości, nad którą pieczę sprawuje jasna gwiazda wieczorna, nazywana przez mieszkańców Meryką. Zapoznałem się nawet z wiedzą na jej temat, choć jest ona bardzo ograniczona. Lecz bez względu na to, w co chcielibyśmy wierzyć, pozostaje ona niczym więcej niż bajką, zakorzoną, jak mówisz, w naszej wiedzy. Możemy spekulować na jej temat, lecz nie mamy dowodu na jej istnienie.

- Zgadza się, lecz to o niej myślałem...

- Sir Karolu, twoje słowa nie mają sensu.

- Przeciwnie, sir Williamie, sądzę, że mają. Jak myślisz, ile okrętów liczy nasza flota?

Kolejny powiew wiatru chlusnął im lodowatymi kroplami deszczu w twarze, a Sinclair uniósł dłoń, aby wytrzeć policzek, zaskoczony tym, jak zimna jest jego skóra.

- Wiesz to lepiej niż ja, admirale. To twoja flota. Nie próbowałem ich liczyć, lecz myślę, że dwadzieścia.

Saint Valery kiwnął głową.

-To niedaleka od prawdy ocenn. Mnmy siedem galer i C7ternas'cie

statków towarowych, razem dwadzieścia jeden jednostek. Ponadto w ciągu tygodnia może dołączyć do nas jeszcze około połowy tej liczby, w zależności od tego, kogo zastaniemy przy Finisterre.

- Ale nie będą to statki towarowe.

- Nie, to mało prawdopodobne. Jeśli ktokolwiek pojawi się w punkcie zbornym, będzie na pokładzie galery.

- Ilu zbrojnych masz do dyspozycji? - spytał sir William.

- Ilu ja mam do dyspozycji w przeciwieństwie do ciebie?

- Tak, marynarzy i żołnierzy.

- Hmm... Żołnierzy, nie licząc oddziału twojego brata, stu pięćdziesięciu czterech z garnizonu w La Rochelle, z czego trzydziestu sześciu to świeccy serwienci, którzy nie walczą... - Saint Valery skrzywił się, licząc w głowie. - A zatem stu osiemnastu walczących o różnych stopniach, pod wodzą de Montricharda. Marynarzy? Załogi statków towarowych, ogółem około czterystu ludzi, nie walczą, w odróżnieniu od załóg galer; na każdej jest od dwudziestu do czterdziestu wiosł. Po dwóch ludzi na wiosło, do tego załoga wymienna, jeden lub dwaj dodatkowi ludzie na każde wiosło... Mogłoby to oznaczać siedmuset ludzi, lecz ten rachunek jest mylący, ponieważ na każdej galerze mamy inną liczbę wymiennych wiosłarzy, niezależnie od tego, jak bardzo próbujemy zatrzymać ich przy sobie. - Wzruszył ramionami. - No i proszę. Na pozór wielka siła. Mogłaby budzić grozę.

- Mogłaby. I tak będzie. Skąd zatem wziął się temat Meryki i co ma ona wspólnego z naszą flotą?

Saint Valery zatrzymał się i spojrzał na niego.

- Czy potrzebowałbyś aż tylu okrętów w Szkocji? Od siedmiu do dwudziestu galer i wielu statków towarowych? Jeśli nie, chciałbym wziąć kilka z nich, zebrać załogę ochotników i popłynąć w poszukiwaniu tego miejsca.

- Meryki?

Saint Valery nie zareagował na niedowierzanie w głosie Sinclaira; dwaj mężczyźni stali, mierząc się wzrokiem.

- To nie wygłup - powiedział w końcu Sinclair bezbarwnym tonem. - Ty mówisz poważnie.

Admirał wzruszył lekko ramionami.

- Nie zajmuję się wygłupami. To nawyk całego życia. Zawsze uważam, aby mówić, co myślę.../i mówić poważnie.

Znów na chwilę zapadła cisza, po czym odezwał się Sinclair:

- Zakładam, że jesteś świadom, jak absurdalnie to brzmi. Masz zamiar przemierzyć z częścią naszej floty wielkie odległości po nie znanych wodach w nadziei, że znajdziesz miejsce, którego nikt nie szukał od ponad tysiąclecia, które być może nigdy nawet nie istniało. I zabierzesz ze sobą ochotników na niemal pewną śmierć.

Saint Valery znów wzruszył ramionami.

- Zasadniczo tak. Ale nie nazwałbym tego szaleństwem.
- Oczywiście że nie, to twój pomysł. — Sinclair wyszczerzył zęby.
- Wiesz, naturalnie, że nazwa naszego punktu zbornego, Finis-terre, oznacza koniec świata, koniec lądu?

Saint Valery się uśmiechnął.

-Tak. Lecz podejrzewam, że nazwę temu miejscu nadali ludzie, którzy nie znaleźli dalszego lądu... ponieważ nigdy nie popłynęli dość daleko na zachód. Starożytni nie wiedzieli nic na temat nawigacji poza zasięgiem wzroku. - Admirał przechylił głowę, oceniając niepokój towarzysza. - Słuchaj no - ciągnął - wysłuchaj mnie, choćby tylko jako człowieka, a potem zastanów się nad moimi słowami, zanim podejmiesz decyzję. Mamy co najmniej dziesięć dni, zanim będziemy musieli coś postanowić. Jeśli odrzucisz moją prośbę, będę posłuszny, jak każe mi moja przysięga. Niechętnie, ale będę posłuszny...

- Mów dalej.

- Pomyśl najpierw, co powiedziałem o potrzebie jakiegoś znaku dla ludzi zamieszanych w obecne wydarzenia we Francji. Jeśli sprawy faktycznie mają się tak źle, jak się zdaje, a wszyscy bracia o wysokiej randze zostali uwięzieni, zwykli członkowie, którzy przetrwali pierwszą czystkę, atak czy cokolwiek to jest, będą się czuli porzuceni i zagubieni, jak pozbawiony steru statek na wzburzonym morzu... A jeśli tak jest, będzie jeszcze gorzej.

Sinclair zmarszczył brwi na tę myśl, a potem potrząsnął głową.

-Nie przyjmuję tego, admirale... Tego, że będzie jeszcze gorzej. Muszę wierzyć, że cokolwiek przydarzyło się naszym braciom we Francji, jest tymczasowe, choćby nie wiem, jak było bolesne. Uważam, że sam mistrz de Molay tak sądził, kiedy ostatnio z nim rozmawiałem, a wymaga tego sama logika, choćby z powodu rozmiarów Zakonu...

- Święty katolicki Kościół apostołski jest większy - przerwał Saint

Valery sardonicznie, na co Sinclair umilkł, mrugając. - Z pewnością nie zaprzeczysz.

- No cóż, nie, nie pod względem liczebności. Nie można odmówić im tej siły, lecz...

- Lecz musimy podejrzewać, iż Kościół aktywnie uczestniczył w tym, co przydarzyło się naszemu Zakonowi, sir Williamie. Mimo całej swojej arogancji Filip Piękny nie ważyłby się wystąpić przeciwko nam w ten sposób bez pozwolenia papieża. Takie działanie wymagałoby papieskiego poparcia, ponieważ jesteśmy mnichami. I czy muszę ci przypominać, że papieża Klemensa powszechnie uważa się za marionetkę Filipa, która zawdzięcza królowi swoją pozycję?

Rysy Sinclaira zastygły w głębokim grymasie.

- Dlaczego nie wspomniałeś o tym wczoraj wieczorem?

- Ponieważ przyszło mi to do głowy dopiero potem, choć od tamtej chwili nie myślę prawie o niczym innym. Poza tym wczoraj wieczorem nie było czasu. Mieliśmy zbyt wiele do zrobienia. Lecz dziś, nie przespawszy ani chwili z powodu dręczących mnie myśli, znajduję w sobie poważne i uzasadnione wątpliwości co do przyszłości naszego Zakonu we Francji. Być może, jak mówisz, nastąpią kompromisy i ugody, lecz obawiam się, że Zakon już nigdy nie będzie cieszył się we Francji takimi wpływami, jakie miał choćby tydzień temu. Jest przestarzały, a w ostatnich latach wywołał powszechne rozżalenie, chociażby z tego powodu, iż sądzi się, że obrasta w bogactwa i nie płaci podatków. Kiedy padła forteca w Akce i utracono Królestwo Jerozolimskie w Zamorzu, Zakon Świątyni stracił *raison d'etre*... A niemało ludzi we Francji i w innych krajach zrzuca winę za tę stratę na Zakon, niezależnie od tego, jak niesprawiedliwy i bezpodstawny jest ten zarzut. I dlatego boję się, że nasze miejsce we Francji przypadło. Król Filip to twardy i bezduszny człowiek, a jego ambicje nie znają granic poza tymi, które nakłada brak funduszy. Nie odda ani jednej srebrnej marki z tego, co odbiorą nam jego prawnicy.

Czoło Sinclaira powoli się wygładziło, a na jego twarzy pojawił się wyraz zamyślenia.

- Mówiłeś o pozbawionym steru okręcie. Lecz jeśli masz rację, okrętu wcale nie będzie... Nie będzie Zakonu. Jak zatem sprawy mogłyby jeszcze bardziej się pogorszyć?

Saint Yalery machnął ręką, jakby to było oczywiste.

- No cóż, przypuśćmy na chwilę, że Filipowi i de Nogaretowi się uda i wyrwą nam z rąk kontrolę nad majątkiem Zakonu... Mam na myśli majątek, który pozostał we Francji. To przyniesie natychmiastowe, wielkie korzyści ich skarbcowi: uwolnienie od długów i prawdziwe fundusze, którymi będzie można operować. To najważniejszy powód, dla którego sądzę, że sprawa ta nie zakończy się dla nas pomyślnie. Lecz jeśli tak się stanie i nikt, nawet Kościół, się temu nie sprzeciwi, czy myślisz, że inni chrześcijańscy monarchowie powstrzymają się przed postąpieniem w podobny sposób względem templariuszy w swoich krajach? Wątpię.

Szkocki rycerz odwrócił się plecami do zimnego deszczu, który zaciął w stronę łądu.

- Przynajmniej w tej kwestii się z tobą zgadzam. To samo przyszło mi wcześniej do głowy. A jednak... opisujesz ponurą perspektywę, admirał. Jakkolwiek niechętnie jestem skłonny to przyznać, obawiam się, że masz rację. Lecz co to ma wspólnego z twoją Meryką?

- Wszystko, Williamie, i nic. Sądzę, że inni chrześcijańscy królowie zlecą się jak sępy do ścierwa, kiedy już Filip pokaże im drogę. A ja postanawiam, że nie będę żył w takim świecie. Nagle i niespodziewanie stałem się starym człowiekiem, a koniec mojej użyteczności zbliża się właśnie wtedy, kiedy najbardziej chcę dokonać wielkich rzeczy, i napawa mnie to goryczą. Wiem, że nadszedł czas, aby przekazać obowiązki, stopień i odznakę admirała młodszemu człowiekowi, wiem też, że de Berenger będzie świetnym następcą... Pod warunkiem że zostanie cokolwiek, nad czym będzie mógł sprawować władzę. - Przerwał, po czym pokręcił głową. - Zmarniałbym w tej twojej Szkocji, przyjacielu. To dom twój i lady Jessiki, ale nie mój. A poza tym jesteś człowiekiem ziemi, wyszkolonym do jazdy konnej. Ja jestem żeglarzem, nauczonym nawigacji. Wolę zginąć na morzu podczas wartych zachodu poszukiwań czegoś, w co wierzę, niż szczeznąć w obcym, zimnym kraju, wśród ludzi, z którymi nie potrafię nawet porozmawiać. W każdym razie masz tu dość okrętów dla swoich celów i moich, a kto wie, może ten twój szkocki król uzna więcej niż dwadzieścia okrętów za zagrożenie? Ja... - Admirał przechylił głowę. - Ktoś cię woła. - Rozejrzał się i pokazał palcem. - Tam, na nabrzeżu.

- Masz lepszy słuch niż ja, sir Karolu. - Sinclair zobaczył, że ktoś

do niego macha. - To Tam Sinclair, mój serwient. Niedobrze, nie przerwałby naszej rozmowy bez powodu.

- Idź zatem do niego. Lecz zostawię cię z tą myślą: być może po płynę i umrę setki mil od lądu, i, jak rzekłem, będę zadowolony. Ludzie, którzy ze mną będą, dokonają wyboru z własnej woli. Pomyśl, sir Williamie... A jeśli wiedza o Meryce okaże się tak prawdziwa, jak podania o Jerozolimie i ukrytym tam skarbie? Jeśli znajdę to miejsce? A gdybym miał wrócić, wioząc ci dowody na to, co odkryłem? Czyż to by nie zmobilizowało wszystkich naszych braci, zarówno z Bractwa Syjonu, jak i Zakonu Świątyni? - Rozłożył dłonie. - Nie jest to dziwniejsze niż szukanie ruin Świątyni, o których nikt nie wiedział, prawda?

Sinclair uniósł rękę w stronę Tama na znak, aby ten poczekał.

- Nie, admirale, jeśli ująć to w ten sposób. Niech będzie. Będę nad tym rozmyślał do czasu, aż przybijemy do Finisterre. Lecz teraz, jeśli pozwolisz, muszę sprawdzić, czemu Tam mnie wzywa.

Karol Saint Valery odprowadził go wzrokiem, a potem podrapał się leniwie w brodę. Z zaskoczeniem dostrzegł, że jego młody przełożony zatrzymał się i zawrócił.

- Zdaje się, że Tam chce, abyś poszedł ze mną! - krzyknął. - Jeśli ma ważne wieści, ciebie pewnie też będą dotyczyły.

Saint Valery ruszył, z nową energią wbijając grube podeszwy butów w żwir.

O co chodzi, Tam?

- Nie jestem pewien. - Serwient nie tracił czasu na formalności: skinął głową Saint Valery'emu i zwrócił się bezpośrednio do niego. - Właśnie przybył jeden z twoich kapitanów, admirale. Jeden z dwóch, których zawróciłeś dziś rano. Mam przekazać ci jego wyrazy uszanowania i poprosić, abyś udał się na pokład jego galery i porozmawiał z nim.

Saint Valery i sir William wymienili pytające spojrzenia, a potem admirał rzucił okiem w stronę ujścia portu, gdzie stała na kotwicy elegancka galera; była bliżej niż inne okręty bojowe, choć zasłaniał ją masywny statek towarowy stojący przy nabrzeżu.

- To Parmaison. A gdzie de Lisie? I dlaczego nie przyszedł bezpośrednio do mnie?

- Sprawa jest bardzo pilna - powiedział Sinclair. - Popatrz na wiosła. Kiedy tylko się z tobą naradzi, jest gotów natychmiast wrócić na morze.

- Hmm... Znajdź nam łódź.

- Już czeka, admirale, na końcu nabrzeża.

Opuściwszy tego ranka La Rochelle, Saint Valery - za zgodą Sinclaira - wysłał z powrotem dwie najszybsze galery, aby patrolowały redy w okolicach portu i zostały tam do końca dnia, obserwując rozwój wydarzeń. Ten środek zapobiegawczy nie należał do ich pierwotnego planu: byli w drodze już od dwóch godzin, zanim przyszło im to do głowy, i choć sądzili, że jest mało prawdopodobne, aby stało się coś nieprzewidzianego - spalili przecież wszystkie okręty, które zostały w porcie — uznali, że dobrze będzie pilnować fortu i otaczających go

cypli. Lecz teraz jeden z oddelegowanych okrętów dogonił ich, znacznie wyprzedzając plan.

Kapitan owej galery, sir Geoffrey Parmaison, przyglądał się, kiedy ich łódź zbliżyła się od strony wąskiego kubryku, a potem osobiście pomógł dowódcom wejść na pokład i zaprowadził ich do małego składanego stolika i trzech krzeseł, które rozstawił pod płóciennym dachem na górnym pokładzie dziobowym. Odprawił pełniącego tam wachtę marynarza i we trzech usiedli.

- Mów, sir Geoffreju - rzekł Saint Valery bez zbędnych wstępów.

Parmaison skinął głową i odpowiedział lakonicznie:

- Zgodnie z rozkazami wróciliśmy do La Rochelle, admirale, i znaleźliśmy się w zasięgu wzroku w samą porę, aby zobaczyć, jak do portu wpływają trzy nasze galery. Widzieliśmy je, lecz byliśmy zbyt daleko, aby zwrócić ich uwagę, i nie mogliśmy zrobić nic, aby je powstrzymać.

- Wiesz, kto to był?

- Tak, admirale. De Lisie był bliżej i zarzeka się, że rozpoznał galeryę Antoine de l'Armentiere'a.

- De l'Armentiere'a? Przecież on ma być na Cyprze.

- To samo pomyślałem, panie, ale de Lisie to jego kuzyn, przysięga, że to galera Antoine'a prowadziła tę flotyllę. Podobno różni się ona od wszystkich innych.

- W rzeczy samej. To mauretański przyz, statek piracki zajęty u wybrzeży Gibraltaru kilka lat temu. De Lisie był pewien?

- Tak pewien, jak mógł być, widząc ją z dużej odległości, lecz któkolwiek to był, wpłynął z trzema zakonnymi galerami do La Rochelle i został tam.

- Hmm. Gdzie jest teraz kapitan de Lisie?

- Na miejscu, admirale, czeka, co się stanie. Wysłał mnie z wiadomością.

- I nie widziałeś nic poza tym, co opisałeś?

- Nic, panie. Wpłynęli i nie wypłynęli.

- No dobrze. Dziękuję, kapitanie Parmaison. Wróć na stanowisko, dołącz do kapitana de Lisle'a i każ mu tam zostać, aż zdobędzie więcej informacji. - Uniósł dłoń, aby go powstrzymać jeszcze na chwilę, i zwrócił się do Sinclaira: - Czy masz coś do dodania, sir Williamie?

- Nie, admirale, ponieważ myślę, że rozważamy tę samą ewentu-

alność. Gdybyśmy byli na miejscu de Nogareta, skonfiskowalibyśmy wszystkie trzy okręty, uwięzilibyśmy dowódców i załogę, po czym wypłynęli nimi z własną załogą, aby udać się w pościg. Czy tak?

- Nie inaczej. Kapitanie Parmaison, sam widzisz, że nie ma czasu do stracenia. Dołącz do de Lisle'a najszybciej, jak możesz, i każ mu sprawdzić, pozostając w bezpiecznej odległości, czy te galery ponownie wypłyną z La Rochelle. Jeśli tak, od razu wracajcie tutaj i zawiadomcie nas. Zrozumiano? - Parmaison skinął głową, a Saint Valery wstał. - A zatem niech Bóg będzie z tobą i da ci szybką podróż. Na żaglach i wiosłach, sir Geoffreyu, na żaglach i wiosłach. Sir Williamie, musimy natychmiast donieść o tym admirałowi de Berengerowi.

Parmaison zaczął wykrzykiwać rozkazy, zanim jeszcze dotarli do bramki w burcie, pod którą czekał w łodzi Tam, a kiedy przybili z powrotem do nabrzeża, jego galera już odpłynęła.

Administracyjne i organizacyjne umiejętności wiceadmirała de Berengera były niewątpliwe: jego załogi uporządkowały, w razie konieczności rozmontowały i zasztauowały na okrętach każdy element konwoju sir Kennetha Sinclaira - wozy, żywy inwentarz oraz ładunkowość szybko, aby odpłynąć wraz z wieczornym pływem, przez co wioska nabrała wyglądu opuszczonej. Sir William, który nie spodziewał się, że naprawdę uda im się zdążyć przed pływem, dołożył starań, aby przed powrotem na własną galerę odnaleźć admirała i pogratulować mu szybkiej i sprawnej operacji. De Berenger, wciąż skupiony na ostatnich szczegółach demontażu sprzętu załadunkowego i sprzątaniu małego nabrzeża, podziękował mu z lekko roztargnionym uśmiechem i powiedział, że spotkają się na pokładzie w ciągu godziny. Sir William zostawił go z jego zadaniami i wrócił do łodzi przycumowanej na końcu kei, w której czekał na niego cierpliwie Tam. Kiedy tylko wsiadł, Tam rozkazał czterem wioślarzom, aby zabrali ich na galerę stojącą około stu kroków dalej.

Dopiero po drodze Sinclair zdał sobie sprawę, że nie widział, aby baronowa opuszczała plażę, i że nie myślał o niej od kilku godzin. Skupienie na innych sprawach najwyraźniej na jakiś czas wyparło ją z jego świadomości i rycerz postanowił stosować tę technikę w przyszłości. Widział, jak galera admirała Saint Valery'ego znika już na horyzoncie, a nieliczne okręty, które zostały jeszcze w zatoczce, były już prawie gotowe do wypłynięcia. Galera Williama pod dowództwem de Berengera miała odbić ostatnia, a Will miał nadzieję, że mieszkańcy wioski bezzwłocznie zatrą wszelkie ślady ich wizyty.

Kiedy znalazł się na pokładzie, ludzie de Berengera już wchodzili

do dwóch łodzi zacumowanych przy kei, którą starannie zamieciono, nie pozostawiwszy nic, co mogłoby świadczyć o ich obecności. Zobaczywszy, że wiosła łodzi tną wodę, Sinclair odwrócił się i ruszył w stronę swojej ciasnej kajuty na dziobie. Tam zrzucił wierzchnie ubranie i padł na wąską koję, podczas gdy okręt kołysał się, zanim w końcu ruszył na morze. Ponieważ nie miał nic pilnego do roboty, zdrzemnął się, świadom, że tuż przed zaśnięciem oczami duszy patrzy na lady Jessicę Randolph, która odwzajemnia spojrzenie; jej oczy były szeroko otwarte, lecz pozbawione wyrazu, obojętne, i ukrywały jej myśli.

Siedem dni później, wśród wyjącego sztormu, Sinclair kurczowo trzymał się naprężonej liny w śródkręciu i znów o niej myślał. Wyteżył oczy, aby dojrzeć po bakburcie galerę admirała, gdzie była ostatnio kilka dni wcześniej, lecz jej nie dostrzegł. Świat zasłaniały wzburzone fale, chłostana wiatrem piana i niesione poziomo strugi deszczu, kłującego nieosłoniętą skórę niczym lodowe igły. Pierwszego dnia po opuszczeniu wioski rybackiej dwukrotnie widział postać lady Jessiki, kiedy patrzyła ponad relingiem galery, raz na dziobie i raz na rufie, lecz od kiedy drugiego dnia podróży pogoda się pogorszyła, baronowa przestała się pojawiać, co go nie zdziwiło. Zatoka Biskajska słynęła ze srogich sztormów, szczególnie o tej porze roku, podczas nieuchronnego zbliżania się zimy. Sinclair był tego w pełni świadom, tak samo jak tego, że okręt, którym płynie, stworzono do radzenia sobie z takimi warunkami i że będą bezpieczni dopóki, dopóty utrzymają się dość daleko od lądu, aby wykluczyć możliwość uderzenia o skalisty brzeg. Wiedział to jego umysł, wiedziało to jego serce, lecz jakaś inna część jego istoty nie dawała się przekonać. Ta część podpowiadała mu już od kilku dni, że nie powinien przebywać na kołyszącym się okręcie na środku morza, stawiając czoło kolejnym sztormom i szkwałom; powinien być gdzieś na lądzie, na twardej ziemi, z mocnym koniem pod sobą i stopami w strzemionach.

Kiedy myślał o tym kolejny raz, usłyszał, że ktoś go woła; wciąż ścisnąc linę, odwrócił się i zobaczył za sobą Tama. Puścił się jedną ręką, uświadamiając sobie nagle, jak ciężka jest jego przemoczona peleryna, po czym zamknął palce na nadgarstku Tama i przyciągnął go bliżej, aby on też mógł chwycić się olinowania i odwrócić zgarbionymi plecami do wichury.

- De Berenger kazał mi cię przyprowadzić - krzyknął Tam do ucha Willowi przez zwiniętą w trąbkę dłoń. - Jest w swojej kabinie.

Na to wezwanie sir William poczuł, że ma duszę na ramieniu. Stał na głównym pokładzie galery z jednego powodu: przeżył pierwszy napad choroby morskiej kilka dni wcześniej i choć wciąż ledwo wierzył, że udało mu się przetrwać tę straszną udrękę, ta odrobina odporności na chybotliwe, gwałtowne przechyły okrętu, której nabrał, nie utrzymałaby się w smrodzie, ciemnościach i nieprzewidywalnych ruchach pod pokładem. Wyglądało na to, że marynarzom rzeczy te wcale nie przeszkadzają; znali rozkład okrętu tak dobrze, iż potrafili poruszać się w zupełnym mroku. Will wiedział jednak, że nigdy nie posiadzie tej umiejętności, i sama myśl o pozostaniu na okręcie dość długo, aby ją wykształcić, przerażała go. Teraz, wiedząc, że nie ma wyboru, obejrzał się w stronę wysokiej rufy, gdzie widać było dwóch sterników zmagających się z rumplem i usiłujących utrzymać okręt na kursie pod wiatr, a także niekończące się bałwany, zmierzające w ich stronę z północnego zachodu. Poniżej, w śródokręciu, nieszczęśni wioślarze kulili się na ławkach, czekając cierpliwie na rozkazy; ich wiosła były wciągnięte i umocowane pionowo.

- Wiesz, o co chodzi?

- Nie. Wszedł na pokład i zobaczył mnie na rufie. Wezwał i kazał cię sprowadzić. Coś się dzieje, ale wiem tyle *co ty*.

- No, to się dowiedzmy. Z chęcią stąd zniknę.

- Ano, ja też. Zejść z tego pieprzonego pudła i wrócić na suchy ląd. Im szybciej, tym lepiej.

Razem ostrożnie przedarli się z powrotem na rufę, gdzie Tam kucnął, chowając się przed wiatrem za burtą, a sir William podszedł do jednych z trojga drzwi umiejscowionych pod pokładem rufowym, na którym stali sternicy. Zapukał, nie czekając na odpowiedź uchylił drzwi i wsadził głowę do środka. De Berenger siedział twarzą do burty, przed małym, składanym blatem umocowanym do belek na zawiasach. Wcześniej musiał coś pisać: palce miał zaplamione atramentem.

- Posyłałeś po mnie, sir Edwardzie?

- Tak, sir Williamie. Wejdz, jeśli łaska, i zamknij drzwi.

Sinclair spełnił polecenie, z ulgą zauważając, że w kajucie jest przy najmniej jasno. Trzy grube świece paliły się w ciężkich lichtarzach,

zawieszonych zmyślnie - nie do końca widział jak - u sufitu, i choć rzucane przez nie cienie huśtały się niepokojąco, ich dające iluzję ciepła światło było bardzo przyjemne.

- Usiądź na koi, jeśli chcesz, lub na stołku. - De Berenger zerknął na Willa ze współczuciem, zauważając bruzdy dookoła jego oczu i ust. - Jak się czujesz? Myślisz, że wytrzymasz? - Na jego twarzy wi dać było ślad uśmiechu.

Sinclair przycupnął ostrożnie na stołku, plecami do drzwi, zapierając się szeroko rozstawionymi stopami o pokład i jedną ręką ściskając żelazny wspornik umocowany w deskach.

- Tak, wytrzymam. Wiem to po pięciu dniach takich warunków. Ale uprzedzam cię, mogę nagle zwymiotować. Ledwie potrafię się opadować na świeżym powietrzu, ale nie mogę przebywać w zamkniętych przestrzeniach zbyt długo, nie widząc horyzontu.

De Berenger uśmiechnął się szerzej.

-To częste przy chorobie morskiej. Ale nie przejmuj się. Nie sądzę, żebyś po pięciu dniach miał w sobie dużo do wyrzycania. I nie brakuje słonej wody, która to spłucze. - Wskazał kciukiem papiery wysypujące się z otwartego skórzanego pokrowca leżącego na stoliku. - Chciałem z tobą o nich porozmawiać. Nie miałem zbyt wiele czasu, od kiedy trafiły na pokład, i zacząłem je czytać dopiero dziś przed południem... Ale dają mi do myślenia, a admirał najwyraźniej zadał sobie wiele trudu, aby wyrazić to, co chciał powiedzieć. Trafiły do mnie, oczywiście, od admirała do wiceadmirała, od jednego kapitana okrętu do drugiego. Lecz ty masz wyższy stopień w Zakonie niż my obaj, więc wiem, że treść tych dokumentów dotyczy głównie ciebie. Admirał sugerował, że trzeba będzie podjąć poważne decyzje, a także podpowiada, z czym mogą być związane... Przeczytałem jego słowa z wielkim zainteresowaniem i cieszę się, że decyzje te nie należą do mnie.

Sinclair kiwnął głową, zerkając z ukosa na pokrowiec i jego zawartość. Widział, jak trafia on na pokład pierwszego dnia złej pogody, podczas chwili spokoju między jednym sztormem a następnym. Galera Saint Valery'ego podpłynęła na zdradzieckich wodach dość blisko, aby można było z jej pokładu bezpiecznie wystrzelić belt, który wbiłby się w ich burtę blisko bramki. Trzeba było kilku prób, lecz w końcu się udało. Przywiązana do niego była linka do łowienia ryb,

a do jej drugiego końca z kolei - grubszy sznur, do którego umocowano pokryty smołą koszyk, coś na kształt małej łódki, zawierający owinięty mocno nawoskowanym materiałem pokrowiec z meldunkami. Sinclair z zainteresowaniem przyglądał się przekazywaniu przesyłki; niemal zapomniał o własnej przypadłości, podziwiając małą zrzętność marynarzy, którzy się tym zajmowali. Zakładał, że chodziło o coś związanego wyłącznie z flotą, ponieważ znajdowali się wtedy z dala od lądu już od kilku dni, podczas których nie stało się nic, co mogłoby wymagać jego udziału w roli członka Rady Zakonu. Teraz spojrzał na de Berengera z uniesioną brwią.

- Chcesz, żebym je przeczytał?

-Tak, sir Williamie. Podejrzewam jednak, że z powodu choroby morskiej będzie to dla ciebie niemożliwe. Musiałbyś siedzieć tutaj ze spuszczoną głową i koncentrować się na czytaniu, podczas gdy wszystko dookoła ciebie by się kołysało. Czy mogę zatem coś zaproponować?

- Oczywiście. Słucham.

De Berenger ponownie machnął ręką w stronę stolika.

- Przeczytałem już wszystkie te papiery i od kilku godzin rozmyślałem nad ich treścią. Mogę powiedzieć ci, co zawierają, i nakreślić su gestie admirała. Potem, jeśli sobie zażyczysz, będziesz mógł przeczytać wybrane fragmenty dokładniej, nie musząc brnąć przez wszystko.

- Świetny pomysł. Zróbmy tak. Streść mi je.

Wiceadmirał podniósł sporą stertę papierów.

-Jak można się spodziewać, duża ich część to zwykłe protokoły morskie: kopie konosamentów, listy ładunków, raporty dyscyplinarne i tak dalej. To nas na razie nie interesuje. - Wyrównał krawędzie pliku i ułożył go starannie pod grodzią. Potem wziął drugi, znacznie mniejszy stosik, który odłożył wcześniej. - Interesuje nas to. Te papiery zajmują się dwiema głównymi kwestiami, które martwią admirała. Pierwsza to sprawa trzech galer, które wpłynęły do La Rochelle po naszym wyjeździe. Co się z nimi stało i gdzie są teraz?

- Czy wiemy coś na ten temat? Nie słyszałem o tym nic od chwili, kiedy admirał oddelegował dwie galery, aby miały je na oku.

- Admirał Saint Valery wysłał kolejne dwa okręty, aby zostały z tyłu, i umiejscowiły się osobno między nami a galerami Parmaisona i de Lisle'a. Było to pięć dni temu, przed sztormami.

- Osobno od siebie nawzajem czy osobno od statków de Lisle'a?

-I tak, i tak. Druga para, dowiedziona przez Andrzeja du Bois i Karola Vitriera, miała ustawić się w zasięgu wzroku od siebie nawzajem, lecz dość daleko od pierwszej pary, aby móc nas szybko zawiadomić, gdyby pojawiły się jakieś trudności.

-I?

- Pogoda zbyt się pogorszyła; nie wiemy, co się tam dzieje.

- Twój ton sugeruje, że to nie wszystko.

- To fakt. Admirał sądził, że trzy galery przechwycono i że puszczą się w pogoń za nami.

- Takie było nasze pierwsze założenie. Pozostaje ono zasadne, dopóki nie dowiemy się czegoś więcej. Co zatem proponuje admirał?

Między brwiami de Berengera pojawiła się zmarszczka.

-To tutaj jego logika umyka mi... Nie rozumiem jej... I dlatego postanowiłem porozmawiać z tobą. Czy admirał Saint Valery rozmawiał z tobą o tym, co ma zamiar zrobić, kiedy odbijemy już od przylądka Finisterre i ruszymy w drogę?

Sinclair uniósł brew.

- Tak. Ma pomysł, aby popłynąć na zachód, przez wielkie morze, w poszukiwaniu czegoś, co jego zdaniem tam jest.

- Chodzi o legendę o Meryce.

- Ach... Rozmawiał z tobą o tym?

- Nie, nie do końca. - De Berenger wyglądał na stroskanego, jakby zdradzał jakiś sekret. - Wspominał o tym, kiedy ostatnio rozmawialiśmy w cztery oczy. Zasugerował, że może zechce udać się na jej poszukiwanie, kiedy ustąpi ze stanowiska admirała. Powiedział, że od lat marzy o odnalezieniu jej i teraz nic go nie powstrzyma, jeśli znajdzie załogę ochotników...

Sinclair mruknął pod nosem.

- Mniej więcej to samo usłyszałem. Poprosił mnie, abym rozważył pozwolenie mu na tę podróż. Nie chce płynąć z nami do Szkocji. Wyraził się w tej kwestii jasno... Co ty o tym myślisz?

To, jak de Berenger zamrugał oczami, zdradziło jego dezorientację, zanim spytał:

- O czym, o Meryce? Czy o płynięciu do Szkocji?

- O Meryce.

Przez twarz wiceadmirała przemknęło kilka różnych uczuć, a w końcu wzruszył ramionami.

- Szczerze mówiąc, nie wiem, co o tym myśleć, ponieważ Zakon nigdy tak naprawdę nie powiedział nam, co myśleć, prawda? W tak wielu sprawach nauki są dokładne: to wiemy, to kłamstwo rozpo wszechniane przez Rzym, to jest prawda, to głupi przesąd. Zawsze wiemy, jaka jest nasza pozycja względem większości wiedzy Zakonu, a jeśli z czymś się nie zgadzaliśmy lub czegoś nie rozumieliśmy, mogliśmy zapytać lub wdać się w debatę. Lecz ta legenda... Nigdy nie wskazano nam odpowiedniej reakcji na nią.

Sinclair nabrał głęboko tchu i wstrzymał oddech, walcząc z napadem nudności. Kiedy mu przeszło, odparł:

- Nie było żadnej, którą można byłoby wskazać. Nic o niej nie wiadomo, nawet w naszym Bractwie Syjonu, nie wspominając na wet o Zakonie Świątyni. Jedyne, co wiemy, to że legenda istnieje i jest oparta jest na kilku niejasnych wzmiankach w najwcześniejszych zapisach. Pytałem o nią moich opiekunów i mentorów, każdego po kolei, lecz żaden nie zwrócił na nią uwagi, lekceważąc ją jako zwykły mit, niewart rozmyślań. Jednak później, kiedy wysłano mnie do Car cassonne po nauki, jeden z moich nauczycieli kazał mi tam wyszukać niejakiego brata Anzelma. Był wtedy najstarszym żyjącym członkiem Zakonu, niewyczerpanym źródłem wiadomości na temat mniej znanych aspektów naszej wiedzy. Zmarł zaledwie w zeszłym roku. - Urwał i przechylił głowę, jakby nasłuchiwał, a kurczowy uścisk, jakim chwycił się żelaznego wspornika, nieco zelżał. - Wydaje mi się, czy kołysanie nieco zmalało?

De Berenger kiwnął głową.

- Może sztorm ustał, a może to cisza przed kolejnym atakiem. Czego się zatem dowiedziałeś od tego brata Anzelma?

- Przedstawił mi inny sposób myślenia o takich rzeczach, inne podejście do mało znanej wiedzy. - Znów urwał, nasłuchując. - Sądzę, że wiatr też cichnie. Miałbyś coś przeciwko, żebyśmy wyszli na zewnątrz i tam porozmawiali? Wybacz, ale ta kajuta jest dla mnie tak samo nieznośnie duszna jak ładownie pod pokładem.

De Berenger całkowicie swobodnie zerwał się na nogi.

- Oczywiście, sir Williamie. Przepraszam, nie zdawałem sobie sprawy, jak ci trudno. - Otworzył drzwi kajuty i odsunął się.

Sinclair minął go chwiejnym krokiem i na oślep chwycił się relingu. Stanął przy nim na szeroko rozstawionych nogach, odchylając

głowę i nabierając wielkimi haustami zimnego morskiego powietrza. Naprawdę wyglądało na to, że sztorm minął: wiatr osłabł i nie zrywał już piany z grzbietów bałwanów, z których zniknęły białe grzebienie. Morze było wciąż wzburzone, a fale kołysały mocno okrętem, lecz zauważalnie straciły na sile, a po ich długich i gładkich zboczach przesuwały się pozostałości piany, która unosiła się w powietrzu tak niedawno. De Berenger zajął się obserwacją chmur i stanu pogody, czekając, aż jego przełożony poczuje się lepiej, a po krótkiej chwili Sinclair odwrócił się do niego, wyraźnie w lepszym stanie.

- No, czuję się znacznie lepiej. Doceniam twoją troskę, sir Edwar-dzie, zarówno o mój brzuch, jak i samopoczucie... Co też mówiłem, zanim zakręciło mi się w głowie?

- O bracie Anzelmie, który przedstawił ci inny sposób patrzenia na świat.

-Tak było... - Sinclair zamyślił się na chwilę, po czym ciągnął: - Wbił mi do głowy, że nigdy nie powinienem ignorować czegoś tylko dlatego, że tego od razu nie rozumiem. Brzmi to jak rzecz oczywista, lecz tak naprawdę większość ludzi postępuje najczęściej dokładnie odwrotnie. Podobnie jak wszyscy, którzy zechcieli zbadać sprawę, Anzelm odkrył, że w dostępnych nam wzmiankach nie ma dowodów na poparcie legendy o Meryce. Lecz poszedł o krok dalej niż inni. Poszukał źródeł źródeł, jeśli rozumiesz, co chcę powiedzieć.

De Berenger zmarszczył czoło.

- Nie. To chyba niemożliwe. Źródło to źródło. Nie ma nic przed nim.

-Hmm... - William spojrział na falujące morze i odezwał się w przestrzeń: - Niemal to samo mu powiedziałem i pamiętam, jak się uśmiechnął, zanim poprawił błąd w moim rozumowaniu. - Spojrział na Berengera i pochylił głowę lekko, niemal przepaszajaco. - Mówiłem o naszych źródłach, z których prekursorzy Bractwa pierwotnie wykształcili jego wiedzę. To małe słówko, „nasz” od wieków wpływa na postrzeganie świata przez Zakon. Przy okazji, jeśli już mówimy o postrzeganiu, czy byłeś zaskoczony, kiedy wymieniłem z tobą uścisk dłoni tamtej nocy w La Rochelle?

- Tak, bardzo. Dawno nie spotkałem starszego od siebie stopniem templariusza, który należałby jednocześnie do naszego Bractwa.

- Chcesz przez to powiedzieć, że uważałeś mnie raczej za knura

Zakonu niż brata Zakonu Syjonu? — Sinclair uśmiechnął się szeroko i podniósł dłoń na widok upokorzenia malującego się na twarzy de Berengera. - Nie przejmuj się, człowieku, żartowałem tylko, aby pokazać ci, że to, co widzimy, lub wydaje nam się, że widzimy, wpływa na nasze myśli. Brat Anzelm zapewnił mnie, że właśnie to stało się z legendą o Meryce.

De Berengera najwyraźniej to zaciekało, więc Sinclair mówił dalej.

- Wiemy, że skrytość ma kapitalne znaczenie we wszystkich dokonaniach istniejącego od ponad tysiąca lat Bractwa. Lecz ci nieliczni z nas, którzy dziś myślą o takich rzeczach, sądzą, że skrytość ta wynikała pierwotnie z konieczności ukrycia naszych żydowskich korzeni przed Rzymem. — Zakwestionował własne słowa drobnym ruchem głowy. - Było inaczej. Rzym nie stanowił dla nas zagrożenia od czasu, kiedy osiedliliśmy się w południowej Galii, ukryliśmy nasze prawdziwe pochodzenie i wtopiliśmy się w miejscową wspólnotę, ostatecznie przechodząc na chrześcijaństwo. Nie, nasza potrzeba skrytości była znacznie większa i starsza. Wiemy z własnych zapisów, że kapłani w Judei tworzyli tajemne, zamknięte stowarzyszenie, na długo zanim Rzym ruszył poza swoje siedem wzgórz. Jego korzenie sięgały aż do Egiptu u zarania dziejów, do ery wczesnych faraonów, kiedy Izraelici byli niewolnikami przez setki lat, aż Mojżesz wyprowadził ich w poszukiwaniu Ziemi Obiecanej. Jestem świadom, że wiesz to wszystko, więc wybacz, jeśli przemawiam jak kaznodzieja, lecz następna część jest ważna: nasi dalecy przodkowie wynieśli swe nauki z Egiptu, a znaczna ich część była po tylu pokoleniach głęboko zakorzeniona w religii Egiptu i kulcie Izydy oraz Ozyrysa. Wiedzę tę zabrali do Jerozolimy, gdzie Salomon zbudował świątynię, a kapłani byli świętymi strażnikami jej tajemnic. Nasi przodkowie mieli własne nauki, jak my mamy nasze, lecz ich źródła były egipskie, niewymownie stare.

Sinclair przerwał, aby obrzucić wzrokiem młodego marynarza z wiadrem, który zszedł po drabinie z platformy sterowej nad ich głowami, a kiedy młodzieniec zniknął, mówił dalej:

- Anzelm uświadomił mi wtedy coś, co inaczej nigdy nie przyszłoby mi do głowy: nasi nowsi przodkowie, kapłani, którzy zbiegli z niszczonej Jerozolimy, nie byli w stanie zabrać tego wszystkiego ze sobą. Wzięli tylko to, co mogli unieść, a resztę ukryli, mając nadzieję,

że wrócą później. W końcu odnalazł ją Hugo de Payns i jego towarzysze, lecz zdążyło upłynąć tysiąc dwieście lat, a w tym czasie nasze Bractwo utworzyło się na podstawie wiedzy wyniesionej z Palestyny... Oczywiście z racji ludzkiej natury i ich oddania idei ostatecznego powrotu do prawdziwej ojczyzny najwcześniejsi jego członkowie poświęcili najwięcej uwagi tym elementom nauk, które oferowały najwięcej w tym zakresie. Inne, pozornie mniej ważne części zaniedbali i pozwolili popaść im w niepamięć, tak że zapomniano o ich pochodzeniu i pozostały jedynie pierwotne wzmianki na ich temat. Najznaczącą i najbardziej zagadkową z nich była, jak zresztą i dziś, część znana nam jako legenda o Meryce.

Słuchając Sinclaira, de Berenger oparł się o burtę statku, skąd teraz wlepił bez słowa wzrok w swojego młodego przełożonego. Sinclair uśmiechnął się do niego.

—Trudno ci w to uwierzyć?

—Skąd! Myślę, że to ma sens. Mój wyraz twarzy, który uważasz za powątpiewanie, to zwykle zdumienie: nie wierzę, że nikt, ze mną włącznie, wcześniej na to nie wpadł.

- Dlaczego ty lub ktoś inny miałby na to wpaść? To mało znane podanie, zapomniane prawie przez wszystkich. O prastarych egipskich korzeniach dowiedziałem się przez zupełny przypadek. Gdyby nie brat Anzelm, gdyby nie było go wtedy w Carcassonne, nigdy nie potrafiłbym wyobrazić sobie tak zamierzchłych czasów. - Wyprostował plecy i ponownie odwrócił się w stronę morza. Oparty o reling, patrzył na południowy zachód, gdzie między chmurami pojawiła się szczelina. Zaświecił przez nią promień słońca, rozświetlając fragment powierzchni morza.

- Spójrz na to. Jeden promień słońca zmienia na naszych oczach świat. Jakimi mało znaczącymi, bezsilnymi stworzeniami jesteśmy my, ludzie. Przechwalamy się naszą mocą i władzą, chcemy przekształcać świat, budując imperia i zakony tylko po to, aby patrzeć, jak niszczą je rzeczy, których nigdy nie będziemy w stanie kontrolować... Trzy dni temu mieliśmy do dyspozycji flotę, prawie trzydzieści okrętów. Miesiąc wcześniej mieliśmy przedsięwzięcie: potężny Zakon, który uważaliśmy za niepokonany. A teraz co mamy? - Rozejrzył się po otaczających ich wodach. - Potrafię naliczyć trzy okręty, z których chyba ani jeden nie należy do admirała. — Uśmiechnął się krzywo do

de Berengera. - W moim sercu czai się lęk, Edwardzie, że być może jesteśmy zgubieni i bezsilnie przyglądamy się końcowi epoki, końcowi znanego nam świata.

- Ależ nie, sir Williamie, na Boga. Kiedy wiatr ucichnie, nasze okręty zbiorą się ponownie, zaręczam ci.

- Ach, jestem pewien, że tak się stanie. Lecz czy nasze losy zrobią to samo? Filip i de Nogaret dokonali przez ostatnie kilka dni wielkich rzeczy, oczywiście z naszego punktu widzenia niegodziwych, lecz jednak im się udało. Nie sądzę, aby oddali to, co zyskali. Przejęli władzę nad La Rochelle, głównym bastionem Zakonu, ośrodkiem naszej władzy na morzach świata, i obawiam się, że ta flota to jedyne, co zostało z Zakonu we Francji. Mówię, że się tego obawiam, lecz tak naprawdę myślę, że tak jest, ponieważ kiedy de Nogaret zajmował La Rochelle, Zakon w Paryżu zdążył już paść, a wszystkich jego zwolenników zabrano do lochów króla.

De Berenger nie mógł nic na to rzec, a po przerwie Sinclair ciągnął:

- Do chwili, kiedy wpadliśmy do tamtej komnaty w komturii i zastaliśmy czekających na admirała morderców, uważałem, że to nie do pomyślenia, że to jakieś potworne nieporozumienie. Lecz to rzeczywistość tego dnia była potworna, a nasze naiwne niedowierzenie nie do pomyślenia. Francja stała się lochem, więzieniem nie tylko dla ciał braci, lecz też dla ideałów i wartości, które reprezentowaliśmy. Tak uważam. Z tego powodu rozważam zezwolenie admirałowi Saint Valery'emu na wypłynięcie na misję, której chce się podjąć.

Wiceadmirał drgnął, przestąpił z nogi na nogę, a na jego twarzy pojawiło się zdziwienie. Ciszę przerywały jedynie odgłosy wydawane przez okręt i fale.

- No, co myślisz? - spytał Sinclair. - Twarz ci pociemniała od myśli, więc wyrzuć je z siebie. Mów.

Tam, który wcześniej skulił się w kącie pod relingiem, zniknął, a Will uznał, że pewnie znów zszedł pod pokład. Zamknął oczy, skupiając się na świeżym powietrzu owiewającym mu twarz. De Berenger potrząsnął głową.

- Nie wiem, co powiedzieć, sir Williamie. Na pierwszy rzut oka ten pomysł wydaje się szaleństwem... Jednak wysłuchawszy tego, co powiedziałeś o legendzie, nie jestem już taki pewien. Lecz nigdy nie

pojawił się zapis o tym, żeby ktokolwiek poza naszymi braćmi słyszał o takim miejscu. Przecież Morze Zachodnie jest bezgraniczne. Pozwolenie sir Karolowi na wypłynięcie równałoby się wysłaniu go na pewną śmierć.

Will uśmiechnął się szeroko, po raz pierwszy od wielu dni ciesząc się dobrym samopoczuciem, ponieważ wiatr już ustał, a morze było spokojniejsze.

-To niemożliwe, aby było bezgraniczne, Edwardzie. Pomyśl, co by to oznaczało. Gdzieś musi mieć jakiś brzeg, w innym razie bowiem jego wody wylewałyby się do otchłani, a morza by wyschły. To logiczne, prawda? Choć pewnie trudno w to uwierzyć.

Jego towarzysz tylko zamrugął niepewnie, a Sinclair wybuchnął śmiechem.

- Nie rozpaczaj, sir Edwardzie, nie powiedziałem, że puszcę admirała, ponieważ twoje argumenty są zdecydowanie prawdziwe. Równałoby się to wysłaniu go na śmierć. - Spoważniał równie szybko. -A jednak czuję, że gestem dobroci byłoby pobłażać w tej kwestii Saint Valery emu, kiedy najbardziej potrzebuje pobłażania. W ciągu kilku dni bez żadnego ostrzeżenia stracił wszystko, co dla niego najważniejsze: zamordowano jego najstarszego przyjaciela i towarzysza, odebrano mu władzę, a przedsięwzięcie, któremu poświęcił całe życie, być może zniszczyły siły, wobec których sam jest bezsilny. Teraz, pozbawiony przywództwa przelożonych, stoi w obliczu życia, które na pewno uważa za jałowe, na wygnaniu, w obcym kraju, o którym nic nie wie. Na co on, admirał bez celu, może mieć jeszcze nadzieję w takich okolicznościach? Ma swoje okręty i te, które być może dołączą do nas przy Finisterre, lecz co to da? Nie ma dokąd popłynąć.

- Z całym szacunkiem, sir Williamie, nie jest tak do końca. Admirała z radością przyjęto by w każdym innym kraju. Mamy siedziby i komturie w całym świecie chrześcijańskim i nie tylko. Jesteśmy nękani tylko we Francji.

Sinclair spojrzął na niego bez emocji.

- Teraz to prawda. Ale jak sądzisz, ile potrwa, zanim inni królowie pójdą w ślady Filipa? Ma on po swojej stronie uległego papieża, co oznacza, że jego błogosławieństwo obejmie wszystkich, którzy zechcą zaatakować Zakon i przejąć jego majątek. Wszyscy królowie, Edwardzie, z jednym znanym mi wyjątkiem, są zachłanni. Jedynie Robert

Bruce, król Szkotów, został ekskomunikowany, i głównie z tego powodu jest jedynym człowiekiem, jedynym królem, którego byłbym skłonny uznać za godnego zaufania w tej kwestii, ponieważ podobno szkoccy templariusze zaliczają się do jego najzagorzalszych zwolenników. Zapamiętaj moje słowa, przyjacielu. To nastąpi, i to szybko, a wtedy my wszyscy, włącznie z admirałem, nie będziemy mieli gdzie się schronić, poza wątpliwym azylem, który mogłaby dać nam Szkocja.

- Odmalowujesz ponury obraz, sir Williamie.

- Nie bardziej ponury niż rzeczywistość, Edwardzie. - Sinclair znów się rozejrzył, zauważając, że niebieski skrawek nieba znacznie się powiększył. - Naprawdę wygląda na to, że chyba się wypogadza. Jeśli ponownie spotkamy się z admirałem, omówię z nim szerzej tę kwestię. Być może przekona mnie, abym pozwolił mu na podjęcie misji, lecz będzie musiał znaleźć solidniejsze argumenty.

Otruci

1

Kilka mil od rozmawiających i obserwujących horyzont rycerzy Jessie jako jedna z pierwszych pasażerów floty zauważyła, że sztorm się uspokaja, choć od jakiegoś czasu nie zwracała na niego większej uwagi, zajęta ważniejszymi sprawami. Dokończyła swoje obecne zajęcie i wyprostowała się nad s'piącą służką Marie, nadgarstkiem jednej ręki odgarniając włosy z oczu, a palcami drugiej rozmasowując uporczywy ból w krzyżu, spowodowany zbyt długim pochylaniem się nad obiema kobietami, których obowiązkiem była jakoby opieka nad nią. Na tę myśl mimo zmęczenia uśmiechnęła się i ponownie spojrzała na dwie wyczerpane, poczciwe dusze śpiące u jej stóp. Ich okrycie pozwalało na dostęp powietrza, lecz od góry osłaniało je wiele mocno naciągniętych i umiejętnie związanych skórzanych osłon. Ich posłania - niewiele więcej niż sterty skór i koców - ułożone były w rogu grodzi rufowej, tak ciasnym, że Jessie niemal nie miała miejsca, aby między nimi przejść.

Podobnie jak większość załogi obie kobiety powaliła choroba morska, na którą cierpiały od pięciu dni, kiedy to po raz pierwszy uderzyła nawałnica. Jessie, zdumiona tym, jak dobrze znosi gwałtowne ruchy zarówno pokładu, jak i morza, cierpliwie pielęgnowała je podczas tej gehenny, świadoma, że obie służki byłyby przerażone na samą myśl o takiej sytuacji. Lecz były zbyt chore, aby zdawać sobie z tego sprawę, a Jessie zbyt wdzięczna, że nie podziela ich cierpień, aby tracić czas na rozmyślanie o tym, jak odwróciły się ich role.

Nie miała pojęcia, w jaki sposób przetrwała sztormy bez szkody i z całkowitym spokojem, lecz wiedziała, że jest jedną z bardzo niewielu osób, którym się to udało. Nawet jej szwagier, weteran z doświad-

zeniem wielu dziesięcioleci, wcześniej uległ furii nieprzerwanych szkwałów i szalejących wód, podobnie jak jego kapitanowie i inni podwładni: nie byli w stanie dowodzić okrętem czy choćby zachować pozorów dyscypliny i porządku, ponieważ w takich warunkach i tak nic dałoby się kontrolować okrętu. Wiosła — z wyjątkiem potężnego wiosła sterowego tworzącego rumpel - nie dotknęły wody od czasu pierwszego sztormu, a obsługujący je ludzie niezbyt nadawali się do czegokolwiek innego, więc tymczasowe dowodzenie objął serwient leszar, który zawiadywał strażą w komturii w La Rochelle, kiedy przybyła tam lady Randolph.

W odróżnieniu od Jessie, która odbyła już kilka morskich podróży - krótkich i przy dobrej pogodzie - Tescar jeszcze nigdy nie był na morzu i też nie pojmował, dlaczego znosi szal żywołów, podczas gdy doświadczeni marynarze padają jak muchy. Ponieważ jednak był przyzwyczajony do radzenia sobie z każdymi okolicznościami najlepiej, jak się dało, znalazł sposób na wykarmienie siebie, Jessie i innych: przeszukał zasoby statku i znalazł spore zapasy jedzenia i napitku. Tak wzmocnieni mogli wraz z pozostałymi kilkunastoma odpornymi na sytuację ludźmi choćby w podstawowy sposób zająć się chorymi. Nie wszyscy z cierpiących byli całkowicie unieruchomieni - wielu z nich wciąż funkcjonowało do jakiegoś stopnia normalnie - lecz byli niewątpliwie wyczerpani chorobą, więc często można było ich ujrzyć, jak stoją, chwiejąc się i patrząc przed siebie pustym wzrokiem, jakby czekając na rozkaz, co robić dalej.

Teraz Jessie spojrzała właśnie na jednego z nich, człowieka o pustym wzroku i twarzy koloru serwatki, który brnął w stronę dziobu, zapierając się o burty. Widziała go już po raz czwarty, jak przechodzi od dziobu po rufę i z powrotem, i choć nie miała pojęcia po co, wiedziała, że nie robi tego bezcelowo. Tym razem jednak zwróciła na niego większą uwagę, uświadamiając sobie nagle, że idąc, nie chwytął się już olinowania, i dotarło do niej, że chaotyczny impet okrętu zmniejszył się nieco i nurkując w dół fali oraz przed siebie, porusza się on raczej ślizgiem niż niekontrolowanymi zrywami. Przyciągnął jej uwagę jakiś błysk; podniosła oczy i zobaczyła lśniący niedaleko pojedynczy promień słońca, który przebił się przez szczelinę w chmurach. Zniknął niemal od razu, lecz niedaleko pojawił się drugi i jeszcze jeden, nieco dalej, a ona poczuła, że po raz pierwszy od wielu dni poprawia

się jej nastrój. Była zachwycona tym, że być może zbliża się kres cyklu nawalnych i sztormów, które tak długo nimi targały.

Schyliła się i wyciągnęła spomiędzy śpiących kobiet skórzaną sakwę. Otworzyła ją i wydobyla złożony koc, który przyłożyła do twarzy, aby sprawdzić, czy jest suchy, a potem owinęła się nim, okrywając głowę i ramiona. Następnie bardzo ostrożnie, aby nie przeszkodzić swoim podopiecznym, usadowiła się między nimi, wtulając plecy w załomek grodzi i szczelniej okrywając się tkaniną. Chwilę później już spała z odchyloną głową i uśmiechem na ustach, spowodowanym jakąś myślą, która przybliżała się jej do głowy, gdy zapadała w sen.

2

Śniło się jej, że ktoś woła ją z wielkiej odległości, kiedy się ocknęła i ujrzała nad sobą brata Tomasza, zakrystiana, wlepiającego w nią pełne dezaprobaty spojrzenie bladych, szeroko rozstawionych oczu. Zamrugła z niedowierzaniem, próbując unieść dłonie i przetrzeć powieki, lecz przeszkodził jej otulający ją koc; zanim wyplątała z niego ramiona, zdążyła w pełni zdać sobie sprawę z otoczenia i przypomnieć sobie, że siedzi między Marie i Janette. Obie wciąż spały; przykładając palec do ust i marszcząc wściekle brwi, Jessie dała bratu Tomaszowi do zrozumienia, aby był cicho i ich nie obudził.

Brat wzdrygnął się nieco na ten gest, a na jego twarzy pojawił się cień wstrętu, lecz ona nie zwracała już na niego uwagi i zaczęła podnosić się na nogi, z całych sił próbując zachować godność pod jego pogardliwym spojrzeniem. Wiedziała, że ów człowiek wcale jej nie szanuje; od czasu ich pierwszego spotkania jasne było, że drażni go jej obecność wśród bractwa, które uważał za uświęcone. Nie czuła większej urazy, ponieważ wiedziała, że nie odnosi się to do niej osobiście i że, gwoli sprawiedliwości, tak samo zareagowałby na każdą inną kobietę. Jej antypatia wobec niego była jednak równie spontaniczna i uporczywa. Wyczuwając jego wrogość i nietolerancję w spojrzeniu, jakim ją obrzucał, nawet zanim ich sobie przedstawiono, od początku uznała go za zarobaczoną, świętoszkowatą miernotę obdarzoną kwaśnym, ostrym odorem dzikiej kozy, i od tamtej pory zupełnie go ignorowała.

Na nieszczęście okazało się, że nie mogą się unikać, ponieważ po śmierci jego byłego pana, preceptora, zgodnie ze swoim miejscem w hierarchii komturii w La Rochelle brat Tomasz musiał przenieść

swoje obowiązki i lojalność na służbę admirałowi Saint Valéry'emu, następnemu stopniem po byłym preceptorze, i pełnił swoje nowe obowiązki równie sumiennie jak stare.

To oznaczało, że na niewielkiej przestrzeni galery nigdy nie znajdował się poza zasięgiem wzroku lub słuchu swojego głównego podopiecznego, a ponieważ uważał Jessie - jak wszystkie inne kobiety - za narzędzie Szatana do kuszenia przyzwoitych mężczyzn, nie pozwalał jej wchodzić do małej kajuty admirała, od kiedy ten zachorował. Jessie buntowała się w duszy przeciwko aroganckiej bezczelności zakrystiana, lecz starannie ukrywała gniew, ponieważ nie mogła zrobić nic, aby mu się sprzeciwić, a także nie chciała dać mu satysfakcji, pokazując, że udało mu się wyprowadzić ją z równowagi.

Upewniwszy się, że jej suknia nie jest w nieładzie, Jessie odwróciła się do brata Tomasza

— Czego chcesz?

Zakonnik zaczerwienił się nieco.

—Brat admirał chce z tobą porozmawiać.

—Brat admirał, co? - Jessie przyjrzała się otwarcie zakrystianowi, nie ukrywając swojej niechęci. - Ciekawe, czy w głębi duszy sir Karol jest zadowolony z tak wielkiej zażyłości? Mój świętej pamięci ukochany mąż mawiał, że możemy wybierać przyjaciół, lecz krewnych narzuca nam urodzenie. - Urwała, patrząc na niego uważnie, i z przyjemnością dostrzegła, jak jego rumieniec jeszcze się pogłębia, kiedy obelga do niego dotarła. Nie dała mu jednak szansy na rewanż, mijając go i idąc w stronę położonej na rufie kajuty admirała. - Mam teraz czas. Udam się do niego.

Poszła na rufę, bez wysiłku dostosowując krok do kołysania pokładu i ciesząc się nagłą, narastającą jasnością popołudnia, coraz większymi skrawkami błękitu nad głową oraz pospiesznym tupotem stóp zakrystiana, który ruszył truchtem, aby za nią nadążyć. Kiedy znalazła się pod ciemną, małą kajutą admirała, Tomasz był kilka kroków za nią, a ona zapukała i otworzyła niewielkie drzwi, zanim zdążył się wtrącić.

W pełni ubrany Karol Saint Valery siedział wśród skłębionej poscieli, mrużąc boleśnie oczy i podnosząc rękę, aby osłonić twarz przed zalewającym go teraz oślepiającym blaskiem dnia. Był rozczochrany i zaniedbany, miał zapadnięte oczy i porytą bruzdami twarz, a Jessie

skrzywiła się na jego widok ze współczuciem. Na szczęście nie widział jej grymasu, oślepiiony światłem. Koło jej ramienia pojawił się brat Tomasz i zaczął mówić podniesionym buntowniczo głosem, lecz lessie przerwała mu srogim gestem i sama odezwała się do szwagra, uśmiechając się i usiłując nasycić głos przyjacielskim rozbawieniem.

- Bracie Karolu, cieszę się, że przetrwałeś sztorm, choć nie wiem, jak tego dokonałeś, gnieźdząc się w tej ciemnej klitce. Czy mogę cię namówić do wyjścia na zewnątrz i odetchnięcia świeżym powietrzem? Zapewniam cię, dobrze ci to zrobi.

Admirał powoli opuścił dłoń, mrugając w świetle popołudnia, a potem zacisnął powieki i chwycił się u nasady nosa kciukiem i palcem wskazującym, masując tak mocno, jakby chciał ją oderwać. W końcu potrząsnął głową jak pies po wyjściu z wody, otworzył szeroko oczy i znów zamrugał, po czym spytał:

- Jaki mamy dzień?

- Piątek, admirale. Sztormy nękały nas przez pięć dni. - A ty wyglądasz, jakbyś przez cztery z nich nie żył, dodała w myślach; jeszcze nigdy wcześniej nie widziała go bez nieskazitelnej fryzury.

Przyglądał się jej uważnie, ruszając ustami, jakby coś żuł, a na jego twarzy narastał wyraz obrzydzenia.

- Czuję w ustach smak samej śmierci. - Zerknął na zakrystiana wciąż sterczącego za plecami Jessie. - Tomaszu, przynieś mi trochę wody.

Baronowa poczuła, że zakrystian się oddalił, ponieważ powietrze od razu zaczęło pachnieć bardziej świeżo.

- Admirał z chorobą morską - wymamrotał Saint Valery. - To nie zwykle, nawet jak na mnie, z wszystkimi moimi ludzkimi słabościami. Nie przywykłem do choroby morskiej, a prawdę mówiąc, do żadnej choroby. Od lat się tak nie czułem i niech Bóg da mi wiele kolejnych, zanim znów się tak poczuję. - Uderzył dłonią w mostek, odkasłując, nabrał z sykiem powietrza i ciągnął: - Piątek, powiadasz? Już tydzień minął, odkąd wypłynęliśmy z La Rochelle? Gdzie jesteśmy teraz?

-Wciąż na powierzchni wody, Bogu dzięki, lecz więcej nie potrafię ci powiedzieć. Choć na to nie zasługujemy, serwient Tescar i ja jesteśmy najzdrowsi na całym pokładzie. Może i jesteśmy szczurami lądowymi, lecz sztormy nam nie zaszkodziły, brzuchy mamy spokojne, a nogi niosą nas pewnie... To dziwne, lecz po jakimś czasie zapach

wymiocin słabnie. Jeszcze piętnastu ludzi czuje się dobrze, lecz ani jeden nie wie o morzu więcej niż my. Jesteśmy na wodzie, a nie pod nią, i przynajmniej za to jesteśmy wdzięczni.

- Co też mówisz, siostrze? Co to za bzdury? Gdzie moi dowódcy?

- W kojach, panie, równie chorzy jak ty.

- Lecz to... to nie do pomyślenia. A co z moimi ludźmi?

- Też chorzy. A Tescar powiedział mi, że trzech zmarło podczas sztormu.

- Z jakiego powodu, na Boga?

- Z powodu choroby morskiej.

Saint Valery pokręcił głową.

- Choroba morska nie jest śmiertelna, Jessie. Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś na nią umarł, choć każdy, kto na nią cierpi, spodziewa się, że umrze, a może nawet ma taką nadzieję. Pamiętasz, czy wszyscy po chorowali się jednocześnie?

Jessie zmarszczyła czoło.

- Wydaje mi się, że tak, choć sama chorowałam przez pół dnia i całą noc pierwszego dnia sztormu, a kiedy zaczęłam dochodzić do siebie, wszyscy, włącznie z tobą, już cierpieli.

Saint Valery odchylił nieco głowę i zapatrzył się w dal.

- Dzieje się tu coś więcej, coś złowrogiego. Wygląda mi to na zatrucie. Kiedyś już coś takiego mnie spotkało, u granic Arabii... To mięso pierwszego wieczora po wypłynięciu. Wydawało mi się wtedy, że jest nieco zepsute. - Jego wzrok znów się wyostriął i spoczął na Jessie. - Powiedz mi, czy jadłaś coś pierwszej nocy, po tym jak załadowaliśmy skarb? A Tescar?

- Nie. - Jessie pokręciła powoli głową. — Straciłam apetyt, kiedy tylko fale zaczęły rosnać, i następne godziny spędziłam targana chorobą, więc nie mogę mówić w imieniu Tescara, choć wiem, że i on zachorował tego pierwszego popołudnia, i to wcześniej niż ja.

- To zatem musi być przyczyna tego, co dolega całej reszcie. Jedliśmy soloną wieprzowinę. Chleb był świeżo upieczony w La Rochelle, poprzedniego dnia. Gdybyż mięso było równie świeże! - Rozejrzył się po kajucie, oceniając jej stan. - Lepiej, żebym się ruszył. - Podniósł się powoli na nogi, choć nie mógł się wyprostować pod niskim sufitem. Ponownie wykrzywił twarz i poruszył ostrożnie ramionami w ciasnej przestrzeni. - A co z resztą floty? Widać ich?

Jessie wzruszyła ramionami, a wtedy wrócił truchtem brat Tomasz, niosąc rogowy kubek i bukłak wody.

- Nie rozglądałam się teraz, lecz kiedy patrzyłam ostatnio, a musiał (o być dzisiejszy ranek, bo było jasno, dookoła nikogo nie było widać, /waż, że wtedy wciąż mocno nami rzucało, więc nie widziałam na dużą odległość.

- Dzięki - powiedział do brata Tomasza Saint Valery, wychodząc na pokład i trzymając kubek, do którego zakrystian nalał wody. - Powiedz mi, bracie Tomaszu, czy chorowałeś tak jak inni?

- Nie, bracie admirale, Bogu niech będą dzięki.

- Jadłeś mięso w dniu, kiedy dopadł nas sztorm?

- Nie jadłem nic, bracie. To była rocznica śmierci mojej matki, pościłem cały dzień.

-Hmm... — Saint Valery jednym haustem wypił zawartość kubka i wyciągnął go ponownie, rozglądając się, kiedy nalewano mu wody. - Skończył się — rzekł, najwyraźniej nawiązując do sztormu. - Widoczność na cztery mile. - Wyprostował się jak struna, wlepiając oczy w horyzont, i wezwał Jessie gestem. - Popatrz, tam widać jeden maszt, a gdzie jest jeden, będą i kolejne. - Potoczył wzrokiem po okręcie, zauważając rozrzucone zwoje lin, złamane drzewce i inne śmieci nagromadzone w szpigatach po obu stronach pokładu. - Lecz po kolei. Muszę zebrać załogę i doprowadzić okręt do stanu gotowości. Tomaszu, znajdź kapitana de Narremata. Nie dbam, w jakim jest stanie, ważne, żeby oddychał. Jeśli tak, przyprowadź go... I znajdź też innych dowódców. Jeśli, jak podejrzewam, otruli się, powinno im już przechodzić i szybciej dojdą do siebie, pracując, niż leżąc i użalając się nad sobą. Wiem, że w moim przypadku tak będzie.

Admirał i jego czcigodny gość, lady Jessica, zjedli na wieczerze posiłek bardzo podobny do tego, jaki jadł najniższy stopniem wioślarz na okręcie: cienki plaster suszonej solonej wieprzowiny, tym razem uważnie sprawdzonej pod kątem świeżości, wędzoną suszoną kiełbasę, twarde kozi ser i tyle sucharów, na ile miało się ochotę, osłodzonych garścią rodzynek. Ale przynajmniej on i jego bratowa mogli cieszyć się przywilejem jedzenia na małym pokładzie rufowym, gdzie mieli choć złudzenie prywatności, a ponieważ wysoki stopień jak zawsze ma swoje przywileje, mogli wypić po kubku wina z zapasów admirała. Postawiono już nad ich głowami wielki żagiel, który niósł okręt miarowo na zachód, wzdłuż północnego wybrzeża Hiszpanii.

Jessica przełknęła ostatni, dokładnie przeżuty kęs pozbawionego smaku suchara i pozwoliła sobie przez chwilę pomyśleć o chrupkim chlebie, który tak kochała, kiedy mieszkała we Francji. Jednak bardziej martwiła się o swojego gospodarza, ponieważ Saint Valery milczał od prawie pół godziny i patrzył pustym wzrokiem w morze, a jego twarz była pobrużdżona i zmęczona na sposób, który - jak przyszło jej teraz do głowy - miał niewiele wspólnego z chorobą.

- Bardzo ci go brakuje - przemówiła we własnym języku, lecz Saint Valery zrozumiał i odpowiedział zniekształconą wyraźnym akcentem angielszczyzną:

- Hmm? - Spojrzał na nią z nieco uniesioną brwią. — Kogo mi brakuje?

Wróciła do francuskiego.

-Wybacz. Myślałam... Przez moment byłam przekonana, że my-

ślisz o swoim przyjacielu, de Thierrym. Lecz odezwałam się bez zastanowienia i nie chciałam się wtrącać...

Uśmiechnął się, a oczy zasnuło mu uczucie, które odczytała jako żal.

- Nie trzeba. Masz rację. Myślałem o Arnoldzie. Tak okrutny koniec tak szlachetnego życia...

- Opowiedz mi o nim, bo nie znałam go dobrze. To, co wiedziałam, było godne podziwu, lecz wy przyjaźniliście się od lat, czyż nie?

Uśmiech admirała nie zniknął.

-Tak, to prawda, od bardzo wielu lat... - Myślała, że admirał nie powie już nic, lecz on mówił dalej, jakby głośno myślał. - Nazywali nas bliźniakami, *les jumeaux*, wiedziałaś o tym?

Otworzyła szeroko oczy.

- Nie. Dlaczego?

Zwrócił dłonie do wewnątrz w typowo galijskim geście oznaczającym zarówno zakłopotanie, jak i niewiedzę.

- Może dlatego, że przez tyle lat wyglądaliśmy podobnie. Jako komturowie Zakonu nosiliśmy identyczne peleryny, a pod nimi te same zbroje. Nasze osobiste insygnia różniły się, lecz nieznacznie, i wielokrotnie słyszałem, że z dużej odległości trudno nas odróżnić /. powodu tego samego wzrostu, budowy i postury, wyniku wieloletnich ćwiczeń i dyscypliny zakonnej. Obaj mieliśmy też tonsury i od ponad dziesięciu lat siwe brody... Oczywiście mieliśmy nie wie dzieć, jak mówią o nas bracia. Żaden z nich nigdy nie śmiałyby na zwać nas bliźniakami w naszej obecności, więc udawaliśmy, że nie wiemy o przezwisku. Wiesz, wstąpiliśmy do Zakonu razem, tego samego dnia. Na Cyprze, czwartego lipca tysiąc dwieście siedemdziesiątego szóstego roku, trzydzieści jeden lat temu... Poznaliśmy się ledwie kilka dni wcześniej, na galerze, na którą trafiliśmy jako zwykli postulanci. Weszliśmy na pokład na Rodos i popłynęliśmy do Limassolu, a od pierwszej chwili blisko się zaprzyjaźniliśmy, i już tak zostało. - Odwrócił się i wyciągnął nogi po swojej stronie stołu, prostując plecy i owijając się ciężkimi fałdami peleryny. - Arnold miał wtedy dwadzieścia jeden lat, a ja dwadzieścia pięć. On już był wdowcem: przy porodzie zmarła i jego żona, i syn. Był jednak pełen ognia i zapału dla naszego Zakonu i jego misji; stał się jednym z najbardziej poważanych rycerzy Świątyni. Spędził pięć-

naście lat w Ziemi Świętej i brał udział w ostatnim oblężeniu Akki w tysiąc dwieście dziewięćdziesiątym pierwszym roku.

- Był pod Akką i przeżył?

- Odnosił poważną ranę na wczesnym etapie walk i przewieziono go na Rodos, gdzie po czasie wyzdrowiał pod opieką szpitalników. Lecz tymczasem Akka padła i nasza obecność w Ziemi Świętej dobiegła końca.

- A ty, admirale? Gdzie wtedy byłeś?

- Na morzu, gdzieżby indziej? Całe życie spędziłem na morzu, zanim osiadłem w La Rochelle. Urodziłem się we wpływowej rodzinie kupieckiej... jak dobrze wiesz, ponieważ przez zamążpójście stałaś się jej częścią... A zatem kiedy wstąpiłem do Zakonu, przydzielono mnie do floty. I tam już pozostałem.

- Jak trafiłeś do La Rochelle?

- Z powodu mojej przyjaźni z Arnoldem. A jeśli już rozmawiamy szczerze, była to też kwestia zdrowego rozsądku naszych przełożonych. Zasadniczo chodziło o zgodność. La Rochelle podlega dwóm panom *in situ*, dwóm dowódcom, którzy muszą codziennie mieć ze sobą kontakt: preceptorowi, sprawującemu władzę na lądzie, i jego odpowiednikowi na morzu. Idealnie byłoby, gdyby ci dwaj się znali, lubili, szanowali i podziwiali nawzajem, a przede wszystkim byli jednakowo oddani Zakonowi. Niestety nie zawsze można to osiągnąć, taka już ludzka natura. Wygląda na to, że jest bardzo niewiele ludzi o jednakowo wysokich rangach, którzy naprawdę lubią się i szanują do tego stopnia, że mogą dzielić się przywództwem bez zazdrości. Osobista ambicja potrafi zepsuć takie układy. - Ponownie wzruszył ramionami. - Dlatego też nasza długa przyjaźń, i oczywiście reputacja zdobyta przez każdego z osobna, zwróciła uwagę przełożonych. Nie było między nami zawiści i z radością wspólnie dowodziliśmy La Rochelle ponad dziesięć lat. Dziesięć wspaniałych lat.

Zerknął w stronę śródokręcia i wezwał kogoś z załogi, aby posprzątał po ich posiłku; oboje przyglądali się, jak jeden człowiek zbiera resztki, a drugi składa stolik i odnosi go.

Kiedy znów zostali sami, spojrzeli na siebie, a Jessica spytała:

- Co teraz zrobisz?

Admirał przez chwilę najwyraźniej zastanawiał się nad odpowiedzią, po czym rzekł:

- Rozważam pewną misję.
- Misję? Już mamy misję: bezpiecznie dostarczyć skarb Zakonu do Szkocji oraz mój skarb królowi Szkocji.

Kąciki jego ust drgnęły, lecz pokręcił głową.

- Mówisz o zadaniu, nie o misji, a to konkretne zadanie mogą skutecznie wykonać inni, bez mojego udziału.

Zawiesił głos, pozwalając tym słowom rozbudzić ciekawość Jessie, która zmarszczyła brwi, usiłując go zrozumieć.

-To... tajemnicze.

Admirał patrzył na nią, nie mrugając, a jego inteligentne niebieskie oczy nie zdradzały niczego. Milczała chwilę, chcąc sprawdzić, czy odpowie, a potem uznała, że admirał czeka, aby mówiła dalej. Odchrząknęła i odwróciła wzrok na chwilę, patrząc na horyzont, aby dać sobie czas na dobranie odpowiednich słów.

-Misja, o której mówisz, dopiero cię zatem czeka, w Szkocji... Ifyleś tam wcześniej?

Saint Valery uśmiechnął się powoli, czego jedynym znakiem były kurze łapki, które pojawiły się pod jego oczami, ponieważ wiatr szarpał jego brodę i wąsy, zasłaniając usta.

- Nigdy nie byłem w Szkocji i nie mam zamiaru płynąć tam teraz. Dwukrotnie byłem w Anglii, ale tam też nie mam ochoty wracać. Moja angielszczyzna jest bardzo kiepska, jak wiesz, lecz szkocka mowa to dla mnie niezrozumiały bełkot.

Wiedziała, że się z nią drażni, ponieważ lata wcześniej słyszała, jak to samo mówi jej mężowi, lecz postanowiła mu ustąpić.

- Nie jest to nietypowa reakcja. Język wielu ludzi w Szkocji jest bełkotem dla innych. Mamy kilka narzeczy i kilka grup tak zwanych Szkotów: górali z północy, tych, którzy mówią po gaelicku, tych, którzy pochodzą z Norwegii, oraz tę najstarszą, którą Rzymianie nazywali Piktami, Malowanymi.

- Czy te różniące się od siebie grupy kontaktują się ze sobą?

- Cały czas, admirale, lecz obawiam się, że rzadko w przyjazny sposób. Król Robert usiłuje to zmienić i zjednoczyć kraj przeciwko Anglii Edwarda i jego pragnieniu przejęcia naszej ziemi.

- Edward nie żyje, Jessie. Słyszałaś, co mówił Sinclair.

- On może i zmarł, lecz baronowie żyją, a jego żelazny uścisk był jedyną rzeczą, która ich powstrzymywała. Syn, który obejmie po nim

tron, będzie najgorszą rzeczą, jaka może przydarzyć się Szkocji, ponieważ jest słabeuszem, a moiżni wzgardzą jego życzeniami i zaspokoją własne. A jednym z nich jest najazd na Szkocję. - Pohaowała się i zacisnęła szczęki. - Lecz dla ciebie to nie ma znaczenia, prawda? Jeśli zatem nie chcesz zostać w Szkocji, gdzie się potem udasz? Chyba że chcesz wrócić prosto do Francji.

- Serce podpowiada mi, że to chciałbym uczynić najbardziej, lecz rozum sądzi, że może potrwać lata, zanim nasz Zakon ponownie ujrzy światło dnia we Francji, jeśli w ogóle to nastąpi. Nie, nie wrócę tam. - Zamilkł, spojrział w prawo, nad dziobem, po czym wstał i przeciął mały pokład, aby zlustrować cały horyzont.

- Popatrz - rzekł, wzywając ją gestem. - Czyż nie mówiłem, że tam, gdzie jest jeden, będą kolejne? Teraz jest ich jedenaście, widzisz? I trzy kolejne w zasięgu wzroku. Kiedy widzimy tylko maszt, tak jak teraz, nazywamy to pozycją z ukrytym kadłubem. Nasza flota wciąż istnieje.

Jessica stała przy nim przez chwilę, jak on przyglądając się horyzontowi i licząc maszty. Niebo było teraz niemal bezchmurne, a słońce chyliło się ku zachodowi. Jessie zwróciła też uwagę na uporządkowany spokój panujący na pokładzie oraz dyscyplinę znów wyraźnie widoczną w posturze stojącego za nią sternika. Zadowolona z tego, co zobaczyła, wróciła na swoje miejsce oraz do przerwanej rozmowy.

- Co to zatem za misja? - spytała, mówiąc do jego pleców. - Do kąd cię zawiedzie? — Zawahała się, kiedy się do niej odwrócił, po czym mówiła dalej: - Wiem, że pewnie jestem nieznośnie wścibska, lecz nie wydaje mi się, abyś wspomniał o tej sprawie, gdybyś nie chciał, żebym była jej świadoma.

Saint Valery pokiwał wolno głową, a ona ujrzała, że wyraz jego oczu się zmienił: teraz wyglądał na zmartwionego.

- Wiesz, że poza tobą nie mam już żadnej rodziny? — Zobaczył, jak unosi brwi, i machnął ręką, aby ją uciszyć, zanim zacznie protestować. - Och, wiem, że są inni, kuzynowie i dalecy ziomkowie, lecz mam na myśli bliską rodzinę, ludzi, którzy są dla mnie ważni. Jestem najstarszym i ostatnim z czterech braci, z których dwóch znałem i kochałem, oraz całej grupki sióstr, których nigdy nie poznałem zbyt dobrze. - Jego zęby błysnęły nagle w gęstwinie brody, a ona po raz kolejny zwróciła uwagę, jakie są białe i mocne. -Ty, droga siostrze, sta-

nowisz całość mojego zaznajomienia ze światem kobiet, a po naszym poznaniu przez jakiś czas bardzo się ciebie bałem...

- Bałeś się mnie? Dlaczego, w imię Boga?

- Ponieważ, jak prawidłowo sugerujesz, w imię Boga jestem mnichem, który ślubował czystość i samotność, a jako żona mojego brała sprawiłaś, że zdałem sobie sprawę, jak lichy jest mur czystości, za którym kryję się wraz z towarzyszkami. Dokonałaś tego nieświadomie i w żaden sposób nie można cię za to winić. Byłaś i wciąż jesteś bardzo piękną istotą, Jessico, a twoje piękno wytrąciło mnie z równowagi, ponieważ nie nawykłem do obcowania z kobietami w jakikolwiek sposób. Nie próbuję ci pochlebiać; nie mam potrzeby ani nie chcę tego robić. Mówię prawdę. Twoja uroda przeraziła mnie, tak jak przeraża sir Williama.

Jessica nie dosłyszała, co potem powiedział jej szwagier, ponieważ jej myśli natychmiast wypełniło to, co powiedział o Sinclairze. Zaskoczyło ją, że Will może się jej bać. Nie była ani trochę naiwna, lecz jakież miała doświadczenie w kontaktach z rycerzami Zakonu? Tych kilku templariuszy, których znała w dzieciństwie, było krewnymi lub przyjaciółmi rodziny; traktowali ją, jak traktuje się małe dziewczynki, ignorując lub klepiąc po głowie. Kiedy stała się kobietą, rzadko ich widywała, a jako mężatce, mieszkającej we Francji i w Anglii, migali jej tylko z daleka - rozpoznawała ich po ubraniu i insygniach. Sprawy jej męża jako przedstawiciela króla toczyły się na dworze Filipa, gdzie szybko nauczyła się, jak stawiać czoło lubieżnym awansom bezczelnych dworzan i natręctwu ludzi o różnych pozycjach i rangach. Jednak z wyjątkiem swojego szwagra nigdy tak naprawdę nie miała do czynienia z rycerzami Zakonu. Przyjmowała za pewnik, że są pełni dystansu i pogardy, uważając to za konsekwencję ich tajemniczej aury, lecz nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że mogą się bać jej i wszystkich kobiet. Więc o to chodziło: William Sinclair bał się jej, i to wyłącznie dlatego, że jest atrakcyjną kobietą.

- ...więc nie znajduję większej przyjemności w rozmyślaniu o nowych początkach w moim wieku.

- Wybacz, drogi Karolu — wtrąciła, szczerza jak zawsze. - Na chwilę się rozproszyłam i nie dosłyszałam, co mówiłeś. Jakie nowe początki masz na myśli?

Spojrzał na nią z miną, która mogła być wyrozumiałym uśmiechem, lecz Jessie nie była pewna.

-Wszystkie - powiedział cicho. - Stoję teraz w obliczu kilku, a wszystkich poza jednym chciałbym uniknąć. - Ruch jej brwi powiedział mu, że Jessie czeka, co powie dalej, i nie będzie mu przerywać. - Przede wszystkim, droga siostrze, jestem za stary, aby cieszyła mnie perspektywa zaczynania nowego życia w nowym kraju. Przerwano mi pobyt we Francji i nie miałem kontroli nad wydarzeniami, które sprowadziły nas tutaj. Wolałbym jednak mieć jakąś kontrolę nad tym, co będzie się działo od tej pory.

- Możesz to zrobić? Przejąć kontrolę nad własną przyszłością?

Powtórzył znajomy galijski gest.

- Z łatwością, jeśli Bóg da i jeśli otrzymam pozwolenie od sir Williama, który, jak się wydaje, jest teraz moim jedynym przełożonym. Lecz wątpię, aby zechciał mi pozwolić, choćby dlatego, że zostało nas na wolności tak niewiele.

Odwrócił się do niej plecami, patrząc przez jakiś czas w gęstniejący mrok, po czym ponownie na nią spojrzął, opierając się o reling.

- Jeśli postanowi odrzucić moją prośbę, przyjmę jego decyzję, nauczę się żyć z moim żalem i będę jak najlepiej pełnił swoje obowiązki, czy to w Szkocji, czy gdziekolwiek indziej, zgodnie z potrzebą. Jeśli jednak pozwoli mi popłynąć, znów będę w swoim żywiole, robiąc to, po co się urodziłem, i od tej chwili będę miał swoje życie pod kontrolą.

- Od tej chwili? To znaczy na zawsze?

- Dopóki potrwa.

- Mówisz, że ta misja oznaczałaby dla ciebie koniec zwierzchnictwa twoich przełożonych. Jak to możliwe? Gdzie musiałbyś się udać, aby to osiągnąć?

- Poza oceany.

- To znaczy do Zamorza? Przecież utraciliśmy Zamorze. W Ziemi Świętej nie ma dziś chrześcijan. Powrót tam byłby samobójstwem.

- Nie mówię o Zamorzu...

- O czym zatem? Gdzie jeszcze można popłynąć?

Spojrzał jej prosto w oczy, a w jego wzroku nie było ani śladu rozbawienia.

- Nigdzie - odparł. - A w każdym razie nie w znanym nam świecie.

- Sugerujesz, że są na świecie nieznanne miejsca? - Jessie była szczerze zdumiona.

- Tak. - Przyglądał się, jak bratowa usiłuje pojąć jego słowa; wyraźnie widział, jak myśli odbijają się na jej twarzy. - Być może takie miejsca istnieją. Moją misją będzie ich odnalezienie.

-Ale... Jak? Gdzie?

- Daleko na zachodzie. Czy słyszałaś kiedyś słowo „Meryka”?

- Nie, nigdy. Powinam była?

- Absolutnie nie. Nie przychodzi mi do głowy żaden powód, dla którego miałabyś je znać, i kilka świetnych powodów, dla których nie możesz go znać. To tajemnicze, legendarne miejsce, i mówiąc ci o nim, pewnie łamię jakiś ślub, choć nie wiem, dlaczego miałyby być w tym coś złego.

Zamilkł, a Jessie czekała w napięciu, nie ruszając się, aby go nie rozproszyć. W końcu odchrząknął i znów usiadł u jej boku.

- Jak wspomniałem, nie mam poza tobą bliskiej rodziny, więc po wiem ci coś, czego może nie powinienem. Nasz święty Zakon jest pełen tajemnic. Wiem, że zdajesz sobie z tego sprawę, jak i reszta świata, lecz prawda jest jeszcze ogromniejsza niż pozór skrytości. Zakon Świątyni opiera się na niezbędnej tajemnicy, której istota - uśmiechnął się do niej olśniewająco - jest oczywiście tajemnicą. Co do pewnych aspektów naszej reguły i wierzeń przysięgliśmy całkowite milczenie, którego złamanie grozi niezwykle surową karą. Jednak inne elementy są obłożone mniejszymi obostrzeniami. Czy rozumiesz tę różnicę? - Kiedy kiwnęła głową, mówił dalej. - Świetnie... W naszej prastarej, ogromnej wiedzy jest kilka kwestii, którym brakuje spójności i dowodów... jak się to mówi? Autentyczności. A jedną z tych kwestii jest doniesienie, najmniejszy cień opowieści, może legenda, o miejscu leżącym za Morzem Zachodnim, oceanem, który zwiemy Atlantykiem. Według fragmentarycznych zapisów, jakie posiadamy, to wielka kraina, a patronuje jej świetlista gwiazda wieczorna, którą tubylcy nazywają Meryką. Lecz nigdzie nie ma dowodu jej istnienia. Jak mówiłem, to tylko podanie.

-Jak stare? - Jessie zobaczyła, jak admirał unosi brwi, i brnęła dalej.

- Mówiłeś o prastarej wiedzy, lecz twój Zakon założono niecałe dwieście lat temu, kiedy krzyżowcy zajęli Jerozolimę. To nie dość dawno temu, aby uzasadnić przekonanie, z którym mówiłeś o prastarej wiedzy.

- Brawo, droga siostrze. - Powoli pochylił głowę, wyrażając tym ge-

stem podziw i szacunek. - Niewielu znam mężczyzn, którym starczyłoby wnikliwości, aby uczynić tę obserwację, a kobiety podobno nie są zdolne do tak obiektywnego myślenia... Zaczynam podejrzewać, że założenie to pozwala mężczyznom kurczowo trzymać się złudzeń wyższości. Jestem pod wrażeniem, masz rację. Nasz Zakon jest dość stary, lecz nauki, na których podstawie założono jego rdzeń, są prastare. Nie mogę powiedzieć więcej, aby nie złamać mojej przysięgi.

Jessica skinęła głową, choć na jej twarzy wciąż widać było zamyślenie.

—A zatem... Prastary zapis, niczym nie poparte stwierdzenie, najdrobniejszy fragment opowieści, która, jak sam przyznajesz, może nie mieć podstawy w rzeczywistości... I masz zamiar poświęcić resztę życia na szukanie tego miejsca? Wybacz, lecz wydaje mi się to szaleństwem. Gdzie zaczniesz? I jak? Kto popłynie z tobą?

—Może się okazać, że nikt. W takim razie nie udałbym się w moją misję... Lecz mam nadzieję i wierzę, że wśród moich ludzi znajdzie się dość nieustraszonych dusz, aby stworzyć wystarczająco dużą załogę do podjęcia tego wyzwania.

—Czyli popłynięcia z tobą na niemal pewną śmierć?

—Jeśli chcesz to tak ująć. Lecz śmierć nie jest tak pewna, jak sugeruje ton twojego głosu. Nasze Bractwo opiera się na wierze... Wierze w Boga, w nas samych i naszą misję. Sam wielki skarb, który płynie z sir Williamem, jest dowodem na prawdziwość naszych nauk. Zanim odkryto go w trzewiach Wzgórza Świątynnego w Jerozolimie, jego istnienie było niepotwierdzone, a odkrycie uzależnione od wiary ludzi, którzy szukali go latami. Nasz założyciel, Hugo de Payns, nie miał innych wskazówek poza informacjami zawartymi w prastarych dokumentach, jednak jego wiara i pewność pozwoliły jemu i jego ośmiu towarzyszom kopać w skale Wzgórza Świątynnego przez dziewięć długich lat. Wbrew temu, co podpowiadałyby logika i rozum, skarb leżał tam przez cały ten czas.

—Co to za skarb? Co zawiera? Najwyraźniej jest niezwykle cenny.

—Tak, to prawda, a jego potęga równa się wartości. Lecz przede wszystkim osnuty jest tajemnicą i mogę ci szczerze powiedzieć, że nawet ja, admirał floty Zakonu, nie mam pojęcia, z czego się składa. Tydzień temu, kiedy czekał na załadunek na nabrzeżu wioski rybackiej, widziałem go po raz pierwszy, i o ile wiem, nikt ze znanych mi braci nigdy nie był świadkiem otwarcia skrzyń. Słyszałem o skarbie

ostatnio, kiedy wywieziono go z Akki, tuż zanim władzę nad miastem przejęli Saraceni. To było prawie dwadzieścia lat temu.

- Hmm. Słyszałam tę niezwykłą opowieść. Lecz skarb jest ustalonym faktem, drogi Karolu, a o jego istnieniu wiadomo od dawna, jednak misja, o której mówisz, to coś zupełnie innego. Nawet gdybyś znalazł załogę równie lojalną jak towarzysze założyciela twego Zakonu, byłabym zdumiona, gdyby chcieli oni wyrzec się wszystkiego, aby opuścić znany sobie świat i popłynąć z tobą na Morze Zachodnie w nadziei, że znajdą jego drugi brzeg. Ryzykowaliby spotkanie z otchłanią.

- Wszyscy to ryzykujemy, siostrze, tylko dlatego, że żyjemy na tym świecie. Nie wątpię, że jeśli znajdę odpowiednich ludzi, a wierzę, że już są na pokładzie mojej galery, popłyną ze mną.

- A co z twoim przełożonym? Dlaczego sir William miałby pozwolić ci odpłynąć z częścią niewielkiej grupy ludzi, jaka mu pozostała, na misję, którą wielu uznałoby za straceńczą?

Admirał wzruszył ramionami.

- Z pozoru nie ma powodu, lecz sądzę, że mógłbym mu w zamian zaferować coś cennego... Jak wiesz, ścigają nas nasze własne okręty, trzy galery, które, jak sądzimy, przejęli w La Rochelle ludzie de Nogareta. Są o kilka dni za nami, ponieważ wątpię, aby mogły dogonić nas podczas sztormu, i ten odstęp pozwoliłby nam zrobić to, co konieczne. Potrzebowałbym jednego dnia, aby rozładować moją porcję skarbu i umieścić go na innym okręcie. Potem, gdy reszta floty ukryłaby się wśród zwróconej na zachód części wybrzeża Portugalii, ja zostałbym z tyłu i poczekał na owe trzy okręty, a potem poprowadził je w radosną pogoń po Atlantyku.

- Dlaczego myślisz, że podążyliby za tobą, pojedynczym okrętem?

- Ponieważ nie będą wiedzieli, co innego zrobić. Kiedy przybędą, zobaczą tylko, jak mój okręt, być może w towarzystwie jeszcze jednego, znika na horyzoncie. Uznają, że jestem strażą tylną, która płynęła przed nimi od chwili, kiedy opuścili port, i że reszta floty znajduje się przede mną, za horyzontem. Do czasu, kiedy poznają się na podstępnie, sir William zniknie na morzach północnych, uda się do Szkocji i nikt nie będzie o tym wiedział.

Jessica milczała przez długą chwilę, patrząc na swojego szwagra zmrużonymi oczami i rozmyślając nad jego słowami.

-Ty naprawdę wierzysz, że znajdziesz tę Merykę, prawda?
-Jeśli istnieje, sądzę, że ją znajdę. A uważam, że istnieje. Oczywiście nie wiem, ile to potrwa, więc będziemy musieli zabrać zapasy dla całej załogi na... zapewne dwa, trzy miesiące.

- Czy to możliwe?

- Z ledwością, ale tak. Jednak łatwiej byłoby z dwoma okrętami. Początkowo prosiłem o kilka, lecz teraz rozumiem, że trzy to zbyt wiele, biorąc pod uwagę konieczność obsadzenia ich załogą.

Jessica wyprostowała plecy i sapnęła głośno.

- Musisz więc poprosić sir Williama o dwa okręty i być gotowym na to, że obsługiwać je będzie tylko jedna kompletna załoga. Czy to by ci wystarczyło?

Saint Valery uśmiechnął się szeroko.

- Tak, w zupełności. Ale dlaczego jesteś nagle przekonana, że Sinclair mnie puści?

- Ponieważ to ma sens. Możesz uwolnić go od zagrożenia, że ktoś popłynie za nim do Szkocji. A poza tym, jeśli ci się uda i znajdziesz to miejsce...

- I uda mi się wrócić...

Rzuciła mu niemal karcące spojrzenie.

- Och, jeśli je znajdziesz, wrócisz, aby się tym pochwalić, nie mam co do tego wątpliwości. A kiedy to zrobisz, dostarczysz sir Williamowi i jego Zakonowi schronienia, które w razie potrzeby okazałoby się niemożliwym do zdobycia bastionem... miejscem nie znanym nikomu, położonym na końcu świata. Musisz jak najprędzej z nim porozmawiać, i to z największym przekonaniem, na jakie cię stać.

Admirał skłonił głowę, a jego broda ponownie ukryła uśmiech.

- Niech tak się stanie - mruknął. - Bądź pewna, że to zrobię. Wy daje mi się jednak, że zadanie przekonania go będzie dla mnie znacz nie łatwiejsze, jeśli sprawisz wrażenie, że nie wiesz nic o mojej propo zycji i popieranie mnie w tej kwestii cię nie interesuje.

Wlepiała w niego wzrok.

- Chcesz powiedzieć, że mam udawać, iż nic o tym wszystkim nie wiem.

-Tak. Sir William instynktownie nie ufa kobietom... wszystkim kobietom. To część tego, jak został wyszkolony, i nie nauczył się jesz cze radzić sobie z innymi... sytuacjami.

Twarz Jessiki stężała. Potem baronowa skinęła głową;).

- To prawda. Nie pochwalam tego i uważam go z tego powodu za niemądrego i upartego, lecz nie powiem ani słowa i będę trzymać się z daleka podczas waszej rozmowy.

- Dziękuję, droga siostrze. Jestem twoim dłużnikiem.

Ku sporemu zdumieniu obojga spiskowców, wysłuchawszy propozycji admirała, sir William nie wyraził wobec niej zdecydowanego sprzeciwu. Choć nie powiedział o tym Saint Valery'emu, rozważał jego pomysł od kilku dni i nie dostrzegł w nim nic, co wzbudzałoby jego wątpliwości. Przyznał, że jakiś duchowny mógłby nie zgodzić się z tą opinią ze względów moralnych, twierdząc, że sir Karol być może świadomie ryzykuje własną śmierć, lecz Will był realistą i postanowił, iż w zamian za jego długoletnią wierną i wybitną służbę Zakon jest winien sir Karolowi szansę na poświęcenie ostatnich dni misji, którą uważał za ważną. Jednak dopiero kiedy Saint Valery wspomniał o wyrażonej przez baronową myśli, że sukces oznaczałby dla niedobitków Zakonu nowy azyl, Sinclair przekonał się o tym, jak rozsądny jest plan admirała. Oszukanie ścigających ich galer i wywiedzenie ich na ocean też mu się podobało, ponieważ chciał utrzymać miejsce pobytu floty w tajemnicy przed de Nogaretem i jego złowrogim panem, lecz kwestia ta straciła znaczenie przy potencjalnych korzyściach nakreślonych przez admirała. Karol Saint Valery nie był głupi i Sinclair ufał jego instynktom i osądom jak własnym. Jeśli sądził, że ta Me-ryka jest w ich zasięgu, uznał tak na podstawie długich i poważnych przemyśleń, a poza tym w naturze admirała nie leżało prowadzenie podkomendnych na pewną śmierć. To bardziej niż cokolwiek innego doprowadziło Willa do konkluzji, że powinien przychylić się do prośby Saint Valery'ego. Kiedy to postanowiono, przygotowano plany zrealizowania przedsięwzięcia.

Od czasu ustąpienia sztormu pogoda była idealna, a flota płynęła szybko i bez problemów wzdłuż północnego wybrzeża Nawarry

w stronę La Corufia, gdzie w ciągu dwóch następnych dni miała opłynąć ląd, po czym ponownie udać się na południowy zachód, w kierunku przylądka Finisterre. Flota zebrała się ponownie na drugi dzień po zakończeniu nawałnicy; nie przepadł ani jeden okręt, co zakrystian brat Tomasz uznał za cud, admirał zaś przypisał umiejętnościom kapitanów i żeglowności okrętów.

Sir William zagonił swoich ludzi do ciężkiej pracy, aby plan Saint Valery'ego miał choć cień szansy. Następnego ranka wysłano piątą galerę, żeby skontaktowała się z czterema, które osłaniały flotę przed goniącymi ją okrętami z La Rochelle. Jej kapitan otrzymał rozkazy, by /orientował się w obecnej sytuacji, dowiedział, jak daleko od głównej floty znajdują się podejrzane galery, i wrócił z tymi wiadomościami najszybciej, jak to możliwe. Miał też poinstruować najstarszego stopniem dowódcę na czterech galerach, sir Karola de Lisie, aby porzucił strategię trzymania się na dystans i ustalił raz na zawsze, czy trzy galery z La Rochelle to przyjaciele czy wrogowie. Upewniwszy się, miał natychmiast powiadomić Saint Valery'ego.

Tymczasem admirał wykorzystał ładną pogodę i wysłał łódź z wiadomością, aby osobiście się u niego zgłosił każdy, kto dobrze zna wody przybrzeżne między przylądkami La Coruña i Finisterre. Na wezwanie odpowiedzieli trzech mężczyźni z innych okrętów, którzy dołączyli do niego. Czekał na nich na małym pokładzie dziobowym wraz z de Berengerem, Willem i de Narrematem, swoim kapitanem. Dwaj *i*. nowo przybyłych byli serwientami i marynarzami o wielkim doświadczeniu, a trzeci rycerzem, który urodził się i wychował na tym nieprzyjaznym wybrzeżu. Admirał polecił im wskazać osłonięte miejsce -jeśli takie w ogóle istniało w tej wychłostanej falami oceanu okolicy - gdzie mógłby bezpiecznie wysłać na ląd choć część swojej floty.

Powiedzieli mu, że jest jedno takie miejsce: naturalny port około czterdziestu mil na południe od przylądka La Coruña. Rycerz wychował się niedaleko stamtąd; teren ten był niezamieszkały, ponieważ otaczające go klify były wysokie i niebezpieczne, podmywane od tysięcy lat przez bezlitosne ataki fal, tak że teraz wisiały nad plażą, zagrażając lekkomyślnym okrętom zatrzymującym się w leżącej poniżej zatoce. Wszyscy trzech uznali, że zatoka jest dość duża, by z łatwością niepostrzeżenie pomieścić całą flotę dopóty, dopóki zechce tam zostać, lecz zaznaczyli też, że istnieje tam zagrożenie spadających ka-

mieni. Rycerz, który nazywał się Escobar, był pewien, że jeśli goniący ich faktycznie są Francuzami, ludźmi de Nogareta, nie będą wiedzieli o owej zatoce, ponieważ o ile zdawał sobie sprawę - a potwierdził to jeden z marynarzy - używano jej tylko od czasu do czasu do wyciągnięcia okrętów na brzeg i usuwania pąkli z ich kadłubów. Saint Valery spojrzął na Sinclaira, który skinął głową.

- Wygląda na to, że nadawałaby się do naszych celów, ale to ty jesteś marynarzem. Co o tym myślisz? Ile potrzebujesz czasu?

Saint Valery zerknął na de Berengera, którego mina była nieodgadniona.

- Kilka godzin na przeniesienie reszty skarbu z mojej ładowni na pokład okrętu, który wskażesz, i czas na przeładowanie koniecznych zapasów z innych okrętów. Najwyżej pół dnia.

Admirał spytał o dystans dzielący ich od zatoki, a marynarze znów się naradzili i oszacowali, że w zależności od wiatrów i prądów być może udałoby się tam dotrzeć w trzy, cztery dni. Nie wiedzieli jeszcze, gdzie dokładnie znajduje się flota względem wybrzeża, lecz oceniali, że za dwa lub trzy dni dopłyną do przylądka La Coruña, a następnego dnia do zatoki.

Sinclair wciąż zastanawiał się nad długością ich postoju.

- Ile okrętów chcesz ze sobą zabrać, admirale? Wiele będzie od tego zależeć. Myślę o twoim szacunku, że trzeba ci będzie pół dnia. - Sinclair dostrzegł wahanie w oczach admirała. - Nie martwi mnie, że to zbyt długi czas; zastanawiam się, czy to wystarczy. Myślę, że potrzebujemy całego dnia, aby zadbać o prawidłowe wykonanie zadania. Możliwe, że będziesz na morzu przez wiele miesięcy, i byłoby irytujące, gdyby zabrakło ci czegoś tylko dlatego, że nie poświęciliśmy dość czasu na załadowanie odpowiedniej ilości zapasów. Skoro już podjęliśmy decyzję o tej misji, chcę, żebyś zrobił to porządnie.

Saint Valery wzruszył ramionami i podniósł oczy na żagiel, na którym widniał wielki czarny krzyż.

- Statki byłyby lepsze niż galery, bardziej wytrzymałe... Mielibyśmy na nich więcej miejsca. Galery byłyby bezużyteczne podczas wielomiesięcznej podróży przez ocean... Statki towarowe, sir Williamie, cztery, jeśli możesz pozbyć się tak wielu.

- Mogę. Już teraz zgodnie z twoimi obliczeniami mamy cztery wolne, więc możesz je wziąć... Pod warunkiem, że znajdziesz ochotni-

ków, którzy stworzą ich załogi. Czy sądzisz, że wystarczyłoby to, aby zapewnić powodzenie twojej misji, o ile cokolwiek związanego z nią jest pewne? - Był świadom, że trzech goście stoją blisko i z zaciekawionymi twarzami śledzą rozmowę. Podniósł dłoń w stronę admirała. — Poczekaj, jeśli łaska. Czy wszyscy słyszeliście legendę o Meryce, zawartą w naukach Zakonu?

Trzej mężczyźni skinęli głowami, lecz wciąż wyglądało na to, że nie rozumieją.

- Admirał Saint Valery postanowił udać się na jej poszukiwanie, aby raz na zawsze ustalić, czy leży za Morzem Zachodnim, czy nie, a ja pobłogosławiłem to przedsięwzięcie w imieniu naszego mistrza, sir Jacques'a de Molaya. Jeśli ją znajdzie, on i jego załoga udowodnią prawdziwość kolejnego wielkiego fragmentu naszej prastarej wiedzy, jak zrobił Hugon de Payns, odkrywając wraz z towarzyszami skarb Zakonu. Będzie potrzebował ochotników, którzy popłyną z nim w nieznane na wielką i straszną wyprawę. Co sądzicie, jak przyjmą tę prośbę wasi kompani?

Trzej mężczyźni przez chwilę patrzyli po sobie - wyglądało to tak, jakby zapomnieli o swoich stopniach - a potem odezwał się rycerz:

- Nie mogę mówić za nikogo innego, admirale, lecz niczego nie pragnę bardziej, niż popłynąć z tobą.

Saint Valery skłonił głowę uprzejmie, choć bez słowa, na co wtrącił się Sinclair:

-Jak się nazywasz, panie? Nie spotkaliśmy się wcześniej, prawda?

- Antonio Escobar, sir Williamie. Nie, widzimy się po raz pierwszy.

-A zatem, panie, zapamiętam cię jako pierwszego rycerza Zakonu, który dołączył do sir Karola. A wy dwaj?

Starszy z dwóch serwientów rzekł natychmiast, że zastanowi się nad tym, ponieważ nie ma rodziny, lecz drugi pokręcił głową z żalem i odmówił.

- No cóż, sir Karolu, dwóch na trzech za pierwszym podejściem. Jeśli tak dalej pójdzie, odbierzesz mi dwie trzecie całej załogi.

- To się nie stanie, sir Williamie. Chcę ludzi tylko na cztery statki. Jeśli zgłosi się ich więcej, wybiorę tych, którzy mi się przydadzą, a reszcie będę życzył jak najlepiej w służbie u ciebie.

- Co z wodą? Będziesz potrzebował tyle, ile tylko uda ci się za brać.

Rycerz Escobar uniósł rękę, a kiedy Sinclair na niego spojrział, rzekł:

-W zatoce, o której mówiliśmy, jest świeża, słodka woda, sir. Do plaży dopływa strumień ze szczytów klifów.

- Świetnie. Dziękuję, panowie. Który z was najlepiej zna wybrzeże? Potrzebujemy tylko jednego przewodnika; pozostali mogą wracać na własne okręty.

- Powinien to być jeden z marynarzy, panie, ponieważ ja nim nie jestem - powiedział Escobar i stanął na baczność. Pozostali dwaj porozmawiali chwilę cicho, po czym młodszy z nich odwrócił się do Saint Valery'ego. - Ja zostanę, admirale.

Saint Valery podziękował wszystkim trzem i odprawił ich, wysyłając młodego serwienta na rufę wraz z kapitanem galery. Kiedy czterej dowódcy zostali sami, Sinclair wrócił do meritum.

- No dobrze. Mamy pół dnia na przeładunek, może więcej, w zależności od tego, jak blisko są nasi prześladowcy. Teraz mamy dużo do zaplanowania i musimy zawiadomić wszystkie okręty o tym, co robimy. Czy możesz się tego podjąć, sir Karolu? Powinniśmy uporać się z tym szybko i zająć innymi rzeczami, jak choćby ulokowaniem twojej pasażerki i jej bagażu. Zakładam, że baronowa nie będzie towarzyszyć ci w twojej misji... Co zatem mamy z nią zrobić?

- Zostanie na mojej galerze, na której dowodzenie przejmie de Berenger. Kapitan de Narremat przejmie rangę wiceadmirała i obecne obowiązki sir Edwarda. - Zerknął na de Narremata, zarumienionego z zaskoczenia i radości. - Lecz wcześniej, kapitanie, wyznaczysz kogoś ze swoich wysokich stopniem podwładnych na własne miejsce. - Urwał i odwrócił się do Sinclaira. - Chyba że masz coś przeciwko temu, sir Williamie?

Sposób, w jaki admirał wypowiedział ostatnie zdanie, sprawił, że zabrzmiało jak pytanie, lecz Sinclair pokręcił głową.

- Wciąż jesteś admirałem, sir Karolu, i znasz swoich ludzi znacznie lepiej niż ja. To ty dobierasz kapitanów. Zostanę na razie na galerze wiceadmirała, jeśli jego następcą nie zgłasza sprzeciwu. A teraz, panowie, mamy inne rzeczy do załatwienia. Zaczynamy?

Wtedy okrzyk z bocianiego gniazda zawiadomił ich, że obserwator

zauważył zbliżający się do nich inny okręt, a kiedy przetrawiali tę wiadomość, usłyszeli, jak głośno liczy nowe, bardziej odległe żagle, które pojawiły się daleko za nimi, na północnym wschodzie.

- Pięć galer! - krzyknął obserwator. - Jedna z przodu! I... kolejne za nimi... Kolejne dwie, nie, trzy, gonią je.

Saint Valery spojrział na Willa Sinclaira.

- Pięć galer Zakonu, które uciekają przed trzema? To niemożliwe. Musi być inne wyjaśnienie... Trzy galery na tyłach na pewno są nasze, umknęły z La Rochelle, zanim zostały przejęte.

Dwie godziny później Will stał na górnym pokładzie rufowym galery admirała, patrząc, jak zbliżają się trzy nieznajome okręty; dostrzegł już wyraźnie, dlaczego dowódcy floty mówili o galerze de l'Armentiere'a, która teraz prowadziła, że nie da się jej pomylić z innymi. Bez względu na rozmiar galery templariuszy były wzorowane na potężnych biremach z czasów rzymskich i budowane w stoczniach koło Genui, gdzie kolejne pokolenia od wieków wytwarzały takie same okręty. Były one wielkie i solidne, miały podwójne rzędy wiosel i wydłużony taran pod dziobem; różniły się od swoich rzymskich poprzedniczek tylko tym, że ich żagle szyto teraz z ciężkiego płótna, nie ze skóry. Okręt de l'Armentiere'a był inny: dłuższy, smuklejszy i o niższych burtach. Sinclair dostrzegł, że ma trzydzieści sześć wiosel, ale w dwóch pojedynczych rzędach po osiemnaście. Maszt też się różnił, był niższy i nie tak gruby, jak w galerach Zakonu, lecz było widać wyraźnie, że okręt ten zaprojektowano z myślą o szybkości i udziale w bitwach. Jego długi, pokryty miedzianą blachą taran sterczał niczym róg jakiejś dzikiej bestii.

Dwie towarzyszące mu galery były zwykłymi statkami zakonnymi z podwójnymi rzędami osiemnastu wiosel na każdej burcie, więc Sinclair uznał, że na każdej z nich jest od osiemdziesięciu do stu wojowników, w zależności od liczebności załóg wymiennych; sądził, że nie wypłynęłyby z Cypru bez pełnej załogi. Do ich sił dołączyło zatem kolejnych dwustu lub trzystu ludzi pod bronią, i wyglądało na to, że są weteranami Zakonu.

Zobaczył, jak z osobliwej dowodzącej galery opuszczane są na wodę łodzie, a kiedy się odwrócił, dostrzegł, że baronowa Saint Valery

również przygląda się nowo przybyłym ze strony kabiny dziobowej. Niewytłumaczalnie wzburzony na jej widok i nieco napięty — choć wiedział, że zapewne zobaczy ją podczas swojej wizyty - odwrócił wzrok i z rozmysłem zszedł pod pokład, aby czekać w głównej kabinie okrętu.

Dowódca osobliwej galery, sir Antoine de l'Armentiere, całkowicie potwierdził oczekiwania Willa co do jego osoby - był tego rodzaju templariuszem, którego nazywano knurem Świątyni: walczącym mnichem, prawie pozbawionym poczucia humoru i całkowicie poświęconym sprawom Zakonu. Nie, żeby było w tym coś złego, pomyślał Will przyglądając się kapitanowi po jego przybyciu. Tacy ludzie pełnili konieczną funkcję, a ich lojalność względem Zakonu była niepodważalna. De rArmentiere wkroczył do kabiny, jakby była jego własnością, i stanął na baczność przed admirałem, ignorując wszystkich innych.

Saint Valery przywitał go uprzejmie, po czym przedstawił go obecnym, z których większość de rArmentiere już znał. W końcu podprowadził go do Willa.

- Sir Antoine, pozwól, że przedstawię ci sir Williama Sinclaira. Należy do Rady i jest tutaj z osobistego polecenia samego mistrza de Molaya w związku z niedawnymi wydarzeniami, o których możesz nie wiedzieć. Sir Antoine jest z Burgundii, sir Williamie. Członkowie jego rodu wstępowali do Zakonu od czasów jego zarania w Jerozolimie. - Zawiadomiwszy tym samym Willa, że de l'Armentiere nie należy do Zakonu Syjonu, admirał poprosił wszystkich gestem, aby usiedli. - Zaczniemy, panowie?

Sinclair i de rArmentiere kiwnęli sobie głowami, a potem zebrani zajęli miejsca przy długim, wąskim stole, który zajmował większość kabiny.

Kiedy tylko spoczęli, Saint Valery zwrócił się do de rArmentiere'a:

- Proszę o raport, jeśli laska, sir Antoine. Wiemy, że przybyłeś do

La Rochelle zaledwie kilka godzin po naszej ucieczce, lecz nasi obserwatorzy byli zbyt daleko, aby cię powstrzymać przed wpłynięciem do portu. Myśleliśmy, że skonfiskowano twoje galery, i kiedy znów się pojawiły, musieliśmy założyć, iż ich załogę stanowią siły wroga. Najwyraźniej się myliliśmy. Proszę, opowiedz nam, co się stało.

De l'Armentiere wiedział, jak rozkoszować się skupioną na nim uwagą. Przez jakiś czas siedział ze zmarszczonym czołem, nie patrząc na nikogo, teatralnie zbierając myśli, po czym powoli rozejrzał się po zgromadzonych dookoła stołu ludziach.

- Kto jest wrogiem? - spytał w końcu. - Przybyliśmy prosto z Cypru, po dziesięciu dniach na morzu, i zobaczyliśmy barwy króla wśród ludzi na nabrzeżu. Wcześniej dostrzeżliśmy płonące okręty i port, w którym nie było floty Zakonu. Jego sztandary zniknęły także z blank, czego nigdy wcześniej nie widziałem. Wydałem więc rozkaz, abyśmy stanęli na kotwicy poza zasięgiem strzału z kuszy z nabrzeża. Mimo to kiedy tamci ujrzeli, że nie podpłyniemy bliżej, i tak zaczęli bezskutecznie strzelać w naszą stronę. Chciałem sprawdzić, czy ktoś się zbliży, lecz nie ruszyła w naszą stronę ani jedna łódź, i wkrótce stało się jasne, że tłum na nabrzeżu nie ma dowódcy i nikt nie chce wziąć na siebie odpowiedzialności za rozprawienie się z nami. Zostaliśmy zatem na kotwicy, aby zobaczyć, czy wróci ktoś, kto obejmie dowodzenie, lecz tak się nie stało. Czekałem przez trzy godziny, aż do najgłębszego odpływu, a potem wyprowadziłem stamtąd moje okręty. Szczerze mówiąc, nie miałem pojęcia, co począć.

- Co zatem zrobiłeś, kapitanie? — spytał go sir William.

De l'Armentiere obdarzył go półuśmiechem.

- Kiedy tylko wypłynęliśmy poza ujście portu, moi obserwatorzy donieśli o masztach na południu, więc wybrałem taki kurs, aby za nimi podążyć. Nie wiedziałem, kto zajął La Rochelle, lecz jeśli owe okręty przybywały im na pomoc, miałem zamiar stawić im czoło. Jak się jednak okazało, płynęły one w przeciwnym kierunku i utrzymywały stałą odległość.

Saint Valery odchrząknął uprzejmie.

- I nie podejrzewałeś, że okręty, za którymi udałeś się w pościg, mogły być galerami Zakonu?

Kapitan znów się uśmiechnął, tym razem szerzej.

- Miałem wiele podejrzeń, admirale, lecz nie to. Myśl o tym, że ga-

Iery Zakonu mogłyby umykać przed potyczką, po prostu nie przyszła mi do głowy. Poza tym przez większość czasu ich kadłuby były ukryte za horyzontem, bez względu na to, jak bardzo staraliśmy się je dogonić... Co podpowiedziało mi, że w rzeczy samej są to jakiegoś rodzaju galery. Nie wszystkie są identyczne, co widać po mojej. - Ponownie rozejrzałem się po zebranych, patrząc każdemu w oczy. - Uznałem, że nie mają ochoty się do nas zbliżyć, lecz i ja nie zamierzałem przerwać pościgu. Wróciliśmy z długiej podróży, niemal już bez zapasów, aby odkryć, że nasz port jest dla nas zamknięty, więc nie miałem zamiaru się poddać i zawrócić. I tak ich ucieczka stała się naszą pogonią... Oczywiście do chwili, kiedy wczoraj rano zbliżyły się i umożliwiły nam identyfikację. Od tamtej pory zebrałem nieco wiadomości, dość dużo, aby mieć jakieś pojęcie o ostatnich wydarzeniach, lecz moimi /rodłami byli głównie dowódcy i serwienci, którzy wiedzieli niewiele lub nic o tym, co naprawdę się działo. A zatem, jeśli wolno mi spytać i nie być uznanym za impertynenta, czy ktoś może mi powiedzieć, co działo się pod moją nieobecność?

Pytanie wzbudziło ogólną wrzawę, którą admirał uciszył, uderzając w stół, a kiedy znów zrobiło się cicho, sam odparł kapitanowi głuchym głosem:

- Oblęd, chaos i zdrada. Dość rzec na razie, iż główny doradca króla, Wilhelm de Nogaret, zaatakował nasz Zakon z pełnym poparciem samego króla i, jak się wydaje, papieża. Ta potworność dokonała się rankiem, kiedy przybyłeś, i z tego, co wiemy, popełniono ją na wielką skalę, w całej Francji. Dowiesz się wszystkiego później. Na razie mamy inne rzeczy do omówienia. Ostrzegł nas sir William, który przybył z pisemnym pełnomocnictwem od mistrza de Molaya; to mistrz otrzymał pierwsze wiadomości na temat spisku przeciwko nam. Rozkazał, abyśmy nocą dwunastego dnia miesiąca weszli na pokłady okrętów i czekali na to, co zdarzy się następnego ranka, ponieważ nawet on nie był pewien, czy ostrzeżenie było prawdziwe. Zgodnie z przewidywaniami pojawili się ludzie de Nogareta. Teraz szukamy schronienia gdzie indziej, z dala od Francji.

- Gdzie, na Boga?

Saint Valery zerknął na Sinclaira, który odpowiedział:

- W Szkocji, której króla obłożono ekskomuniką, więc raczej **nie** jest pod wpływem papieża.

- Chyba że - odparł de TArmentiere - papież zaoferuje, iż odwoła ekskomunikę w zamian za schwytanie nas. Pomyśleliście o rym?

Ta niemal zuchwała odpowiedź zabrzmiała stanowczo; prawda była taka, że Will w ogóle o tym nie pomyślał. Zmełł w ustach ciętą ripostę i odchylił się w krzesło, rozciągając mięśnie, aby dać sobie czas do namysłu.

- Przyszło mi to do głowy - rzekł, przeciągając samogłoski i czując, że powinien skłamać. - Lecz odrzuciłem tę hipotezę jako nieistotną, szczególnie skoro wiemy już, że nie jesteście ścigającymi nas szpiegami de Nogareta. Wiemy też, że nikt nie ma pojęcia, gdzie zniknęliśmy. Gdybyście faktycznie stanowili część floty wroga, wywiedlibyśmy was na ocean za Finisterre i zgubili lub zniszczyli. Ponieważ nie musimy marnować czasu ani na jedno, ani na drugie, możemy udać się teraz prosto do Szkocji, gdzie w imieniu jednego z najwierniejszych poddanych króla wręczymy mu skarb składający się ze złotych i srebrnych sztab oraz monet. To powinno zyskać nam jego wdzięczność na tak długo, jak będziemy jej potrzebowali. Zakon ma w Szkocji silną pozycję, więc tym cieplej będziemy tam przyjęci. Jeśli de Nogaret w końcu nas tam namierzy, nie będzie to już miało znaczenia, ponieważ do tej pory cała ta nieprzyjemna sytuacja rozejdzie się po kościach, a wszelkie nieporozumienia będą zażegnane.

Rycerz z Burgundii przez chwilę nad tym rozmyślał, a potem pochylił głowę i uśmiechnął się.

- Niech tak się stanie. Jestem zatem usatysfakcjonowany i do twoich usług, sir Williamie. - Urwał i rozejrzał się dookoła stołu, znów z uniesioną brwią, lecz już bez zuchwałości. - Chyba słusznie zakładam, że jesteś tu najwyższy stopniem, czyż nie?

- Właściwie tak. Jednak w rzeczywistości admirał wciąż jest Bogiem na morzu, a ja jedynie zwykłym pasażerem na pokładzie jego okrętu. To rzekłszy, panowie, zostawiam was, ponieważ macie jeszcze wiele do zrobienia. Admirale, jeśli będziesz mnie potrzebował, możesz mnie znaleźć w mojej kajucie. Pozostaje mi udzielić ci pochwały, kapitanie de l'Armentiere, za twoje postępowanie w La Rochelle. Dobrze się spisales. A teraz do widzenia wszystkim.

6

Wychodząc z kabiny, Will już rozglądał się za Tamem. Dostrzegł go szybko, przy bramce statku; był pogrążony w rozmowie z baronową Saint Valery. Miała na sobie ciemnozieloną pelerynę z kapturem, którego wysoki czubek sprawiał wrażenie, że jest wyższa niż Tam. Krew zaszumiała Willowi w uszach, a żołądek skręcił się z... czego? Poczł drgnienie przyjemnos'ci, a potem nieokreślone wyrzuty sumienia szybko stłumione narastającym gniewem.

Pierwsza konkretna myśl, jaka przyszła mu do głowy, brzmiała: Czemu, na Boga, rozmawiasz z tą kobietą? Potem nabrał głęboko powietrza, zmuszając się do powściągnięcia gniewu - dobrze wiedział, że jest on całkowicie nieuzasadniony - oraz do zastanowienia się, jak uczynić nieuniknione spotkanie z kobietą zarówno uprzejmym, jak i nieszkodliwym. Podszedł do rozmawiających, a oni zauważyli go dopiero, kiedy wydał rozkaz.

-Tam, moja łódź, jeśli łaska. Dzień dobry, baronowo.

Kiedy Tam odszedł, mrucząc coś pod nosem w stronę rufy, Jessica uśmiechnęła się do Willa.

- Sir Williamie - powiedziała spokojnym tonem - spodziewali śmy się, że cała ta dzisiejsza bieganina zatrzyma cię na dłużej. Czy źle się poczułeś?

Will zmusił się do uprzejmej odpowiedzi.

- Nie, pani, czuję się bardzo dobrze. Muszę po prostu dogłębnieć pewnych własnych spraw, a sir Karol i jego dowódcy wiedzą więcej o tym, czym się zajmują, niż ja kiedykolwiek będę wiedział. Zostawiłem ich więc samych. Ty i Tam byliście pochłonięci rozmową.

- Tam to dobry człowiek... Czy to prawda, że pozwoliłeś Karolowi odpłynąć w poszukiwaniu jakiejś ukrytej krainy?

Niech ją diabli!

- Widzę, że Tam mówił nie tylko swoje pacierze.

- Nieprawda, panie. Mój szwagier sam wyjawiał mi, że będzie cię prosił o pozwolenie. Tam jedynie odpowiedział, kiedy go o to zapytałam.

Will poczuł ulgę, słysząc, że Tam nie powiedział nic niewłaściwego, ponieważ omówił z nim tę kwestię przed podjęciem decyzji. O ile wiedział, Tam nigdy nie zdradził powierzonej mu tajemnicy, i potwierdzenie, że to się nie zmieniło, wzbudziło w nim falę serdeczności wobec krewnego. Lecz potem zdał sobie sprawę, że baronowa patrzy na niego wyczekująco.

- Tak - odparł, pochrząkując - no cóż, admirał złożył swoją prośbę, a ja na nią zareagowałem. Niedługo odpływa.

- W poszukiwaniu tego nieznanego miejsca, tej Meryki. - Fakt, że nie było to pytanie, skonsternował Willa.

- Wspominał ci o tym?

- Tak. Czy nie powinien?

- Nie, jestem po prostu zaskoczony.

- Dlatego, że podzielił się taką tajemnicą ze **zwykłą kobietą**, czy że w ogóle o tym mówi?

Sinclair pokręcił głową.

- Z żadnego z tych powodów, pani. Nie chciałem cię urazić.

Spojrzała na niego zmrużonymi oczami, lecz wtedy rozległo się uderzenie o kadłub, które oznaczało, że przybyła łódź wezwana przez Tama. Will zerknął za burtę, aby się upewnić, że tak faktycznie jest, a potem uklonił się lekko baronowej.

- To moja łódź, pani, więc musisz mi wybaczyć. Mam wiele spraw do załatwienia.

- Jestem tego pewna, panie.

Baronowa skinęła uprzejmie głową i się odwróciła, a on zmusił się, aby nie odprowadzić jej wzrokiem, choć słyszał, jak załoga wita ją, gdy szła po pokładzie. Zamiast tego zebrał się w sobie i podszedł do bramki, przyglądając się drabince sznurowej, po której miał zejść. Kiedy siedział już bezpiecznie w łodzi, owinął się peleryną i podniósł oczy, aby zobaczyć, że Tam mierzy go wzrokiem z nieodgadnioną miną.

- Co? Co znaczy to spojrzenie? - warknął po szkocku, aby żaden / wioślarzy nie zrozumiał ich rozmowy. Tam odwrócił wzrok bez słowa, ale Will nie miał ochoty tak tego zostawiać. - Zauważyłem, że mieliście sobie sporo do powiedzenia. Co jeszcze jej rzekłeś poza tym, że przychyliłem się do prośby admirała?

- Gawędziliśmy po prostu. Spytała mnie otwarcie, a ja odpowiedziałem, ale nie bez namysłu. Dowiedziałyby się za dzień lub dwa, kiedy nadszedłby czas jego odpłynięcia, więc pomyślałem, że to w niczym nie zaszkodzi. — Uniósł brew. - Zły jesteś na mnie?

Will patrzył, jak mięśnie wioślarzy napinają się i rozluźniają, kiedy umiejętnie kierowali łódź w stronę jego własnej galery. W końcu westchnął.

- Nie, nie jestem zły, Tam. Po prostu ta kobieta... wyprowadza mnie z równowagi.

Tam nie skomentował tych słów, a zamiast tego zapytał:

- Co myślisz o typie z tą wymyślną galerą? Jak się nazywa? De l'Armentiere? - wypowiedział jego nazwisko ze szkocka. - Knur Zakonu, jakich mało.

- Prawda to, ale myślę, że dobrze go będzie mieć przy sobie. Ma bystry umysł, a jak uda nam się zapewnić mu wiele potyczek, sądzę, że będzie zadowolony. Okręty ma wspaniałe, a na ich pokładach pewnie z dwustu albo trzystu ludzi. To dobrze, jeśli wdamy się w potyczkę na morzu, ale jak wylądujemy, trza ich będzie wykarmić i dać im dach nad głową.

- Ano, prawda - zgodził się cicho Tam.

Kadłub okrętu już nad nimi górował. Główny wioślarz wstał i sięgnął bosakiem po linę, dzięki której mogli podciągnąć się do drabinki prowadzącej do bramki w burcie i wiszącej nieco za ostatnimi wiosłami galery.

Tymczasem Tam myślał głośno, wciąż po szkocku:

- A mówiąc o dwóch, trzech dodatkowych setkach ludzi, sądziłeś, że admirał zastanawiał się, czy król Szkotów będzie zadowolony, widząc, jak do jego portu wpływa flota... Nie myślisz, że może mieć rację?

Will mruknął, szykując się, aby wstać, kiedy łódź będzie już bezpiecznie uwiązana pod burką.

- Może i tak. Nigdy nie wiadomo. Lecz z tego, co słyszałem, król

Robert ma problemy raczej na lądzie. Widzi mi się, że galery niezbyt mu się przydadzą, lecz będzie potrzebował wojowników. To mi coś przypomina: miałem cię zapytać, czy w naszej flocie są jeszcze jacyś Szkoci.

— Mogę popytać. Ale kogo szukasz?

Will wstał i zaparł się, aby nie przewrócił go ruch unoszącej się na falach łodzi.

—Kogoś, kto wie cokolwiek na temat wyspy Arran, bo ja nie wiem nic. Często ją widywałem, ale tylko ze stałego lądu. Przyszło mi do głowy, że w naszej flocie może być choć jeden człowiek, co zna to miejsce.

—Ano, spróbuję się dowiedzieć. Uważaj no teraz, nie wpadnij. Nie mam ochoty godzinami czyścić twojego oręża z soli i rdzy.

Odsuń no się od skraju tego klifu. Tyś mi pokazał, że jest od spodu nadkruszony. Wszystko, czego nam teraz trzeba, to żebyś spadł razem z połową góry prosto na nasze okręty.

Will wybuchnął śmiechem, odrzucając głowę do tyłu, lecz jednocześnie zrobił to, o co prosił Tam. Wrócił na solidniejsze podłoże, usiadł obok krewnego na kępie trawy i popatrzył na zachód, na rozciągający się przed nimi Atlantyk.

- Patrz, Tam. Widziałeś w życiu coś takiego? Ano nie, boś nigdy nie widział tak ogromnej wody, ja też. W przeszłości sporo żeśmy podróżowali, ale jak o tym pomyślisz, wątpię, żebyśmy kiedykolwiek byli poza zasięgiem wzroku od lądu; zawsze był albo za nami, albo przed nami, albo z boku, ale blisko. Ale tam, gdzie jutro popłynie admirał, nie ma nic. My podążymy w tamtą stronę, bardziej na północ, w kierunku Irlandii i Szkocji, i znowu będziemy cały czas mieli ląd na oku. - Wskazał na zachód. - Ale tam, za horyzontem, nie ma nic oprócz wody, a w ciągu dnia lub dwóch żeglugi on i jego ludzie zagubią się na oceanie tak wielkim, że jedyną nadzieją na dotarcie do lądu będzie pożeglowanie z powrotem.

- Już nie jest admirałem, tylko zwykłym sir Karolem.

To była prawda. W ciągu dwóch dni, które upłynęły od czasu pojawienia się de l'Armentiere'a i jego galer, okręty Zakonu pokonały drogę od przylądka La Coruña do osłoniętej, bezimiennej zatoki, którą wcześniej wybrano. Kiedy tylko flota stanęła bezpiecznie na kotwicy i zaczął się załadunek czterech okrętów sir Karola, ten zrzekł się tytułu admirała i nadał go Edwardowi de Berengerowi. Świadkiem przekazania władzy był sir William Sinclair, który to zatwierdził. Krótka,

skromna ceremonia odbyła się na plaży zatoki podczas pospiesznej mszy odprawionej przez czterech kapłanów, którzy przyплыли z nimi z La Rochelle, a tuż po zakończeniu rytuałów wszyscy rozeszli się, aby zadbać o przeładunek towarów.

Drużyna sir Karola nie brała ze sobą koni; wiadomość o tym zdumiała sir Williama, choć natychmiast zdał sobie sprawę, że to rozsądna decyzja. Nikt nie wiedział, ile potrwa podróż i czy zakończy się sukcesem, lecz Saint Valery sądził, iż żeglowanie może zająć im do trzech miesięcy, więc zabieranie koni byłoby niepraktyczne, ponieważ nie sposób wziąć dostatecznej ilości paszy. Ponadto każdy wiedział, że konie źle znoszą morskie podróże; po zaledwie kilkutygodniowej żegludze trzeba było co najmniej dnia, a często i dwóch, aby zwierzęta znów przyzwyczyły się do lądu. Nikt nie chciał się dowiadywać, jak wpłynąłby na nie wielomiesięczny rejs. Tak więc ludzie Saint Valery'ego mieli poruszać się po nowym lądzie pieszo, chyba że uda im się znaleźć jakieś wierzchowce na miejscu.

- Jak długo sir Karol z nami zostanie, zanim wyruszy?

- Niedługo. Najprawdopodobniej odprawi nas, zanim stracimy ląd z oczu.

- Mówisz bardzo pewnie jak na szczura lądowego...

-Jestem tego tak pewny, jak to możliwe. Tymczasem na plaży wszystko idzie dobrze, a nam nie pozostaje nic innego, jak tylko czekać.

Tam nie odpowiedział. Na plaży leżącej poniżej przeładowywano towary z różnych okrętów, aby ludzie Saint Valery'ego mogli wyruszyć wyposażeni w jak największe zapasy wszystkiego, co mogłoby się im przydać. Will i Tam nie mieli nic do roboty, więc wykorzystali okazję, aby rozprostować nogi; skończyło się na tym, że wspięli się na wysokie klify okrężną trasą omijającą niebezpieczny występ skalny, a teraz odpoczywali. Will uśmiechnął się i położył na trawie, z zamkniętymi oczami, rozkoszując się słońcem, lecz Tam miał jeszcze kilka pytań.

- A co z okrętami czekającymi na nas przy Finisterre?

- Załatwione. De Lisie już popłynął, żeby się z nimi spotkać, jeśli ktokolwiek tam jest. Popłyną za nami, blisko linii brzegowej, aż dotrą do La Coruña, po czym skierują się na północny zachód, do Szkocji. Poczekamy na nie przy Muli of Kintyre. - Odwrócił głowę. - Dowiedziałeś się, czy we flocie są inni Szkoci?

- Ano, dopiero dziś rano. Jest dwóch, jeden z nich to siwobrody z Galloway, Mungo MacDowal. Nie widziałem go ani z nim nie gadałem, ale ma do mnie przyjść, kiedy skończy dziś pracę. Jak jest z Galloway, najpewniej dorastał, patrząc na Arran. Pewnie już będzie czekał, jak zejdziemy... Powiedz no, czemuś wymyślił, żebyśmy zmienili okręt? Jużem się zaczął do tamtego przyzwyczajać.

Jego towarzysz otworzył jedno oko, mrużąc je w świetle, i spojrzął na niego jak na obłąkanego.

- Nie zmieniliśmy.

- Nie, ale mogliśmy to zrobić. Zmieniliśmy kapitanów, a lubiłem de Berengera.

- Nie miałem wyboru. Tylko galera admirała jest dość duża dla baronowej i jej służek. Miałem je wyrzucić? Przeniesienie de Berengera na pokład nic nie zmieniło, skoro sir Karola już nie ma, lecz gdybyśmy i my się przenieśli, zrobiłby się tłok, więc zostaliśmy. Poza tym nie wytrzymałbym na jednym okręcie z tymi wszystkimi kobietami.

Tam już miał coś odpowiedzieć, lecz tylko położył się w trawie z dłońmi splecionymi za głową.

- Nie - mruknął - nie wytrzymałbyś, co? To byłoby zbyt ludzkie.

Will nie zaszczyił go odpowiedzią, lecz mimo swego szkockiego sarkazmu Tam miał rację. Will faktycznie nie zniósłby obecności kobiet i z tego powodu postanowił nie zmieniać miejsca; była galera de Berengera absolutnie mu wystarczała. Fakt, że skarb Zakonu już znajdował się w niewielkiej ładowni okrętu, był dostatecznie dobrą wymówką do uniknięcia towarzystwa i zbyt dużej bliskości irytującej baronowej Saint Valery w drodze do Szkocji.

Niezaskoczony jego milczeniem Tam leżał przez długą chwilę cicho, czując na twarzy ciepłe promienie słońca, a potem spytał:

- Co chcesz zrobić, jak już dotrzemy do Szkocji? Pójdiesz prosto do króla?

Tego ranka sir Karol zadał Willowi niemal identyczne pytania, i choć wtedy Sinclair odparł otwarcie, od tamtej pory zastanawiał się nad tym. Teraz udzielił nieco innej odpowiedzi.

- Nie do końca to wiem, Tam. Wiele będzie zależało od tego, co zastaniemy na miejscu. Powiedziałem dziś rano sir Karolowi, że najpierw poszukam bezpiecznego kotwicowiska, bo nie mogę być pewien, czy Arran jest bezpieczne, a potem zacznę rozpytywać o króla,

przede wszystkim o to, gdzie jest. Lecz od tamtej pory przyszło mi do głowy, że oba te zadania mogą nie być takie proste... Po pierwsze, wątpię, żeby udało mi się natychmiast ruszyć do króla. Zbyt wiele będzie trzeba wcześniej zrobić wśród naszych ludzi. Załoga jest zbyt wielka, a wielu rycerzy zbyt dumnych i krnąbrnych, aby można było nagle zostawić ich samym sobie. Chyba będę musiał najpierw przez jakiś czas ustalać zasady i zaznaczać swój autorytet, zanim wyjadę. Poza tym jest jeszcze sprawa samego króla. Ostatnie wieści były takie, że tonie w kłopotach, a jego lordowie i baronowie są równie przeciwko niemu, co Anglicy, szczególnie ród Comynów z północy. Uważają, że korona należy się im i że Bruce to uzurpator, więc kraj trawi wojna domowa. Do tego dochodzi zagrożenie ze strony Anglii. Edward Plantagenet zmarł, lecz jego hrabiowie i baronowie wciąż tak samo pragną podporządkować sobie Szkotów. Może Bruce już nie żyje, choć modłę się, aby tak nie było. Trzeba to jednak wziąć pod uwagę i zrobić plany na tę ewentualność. Muszę zatem pomyśleć o zwróceniu się do sir Tomasza Randolpha i innych tamtejszych braci Zakonu. Wiem, że mnie wysłuchają, lecz dopiero się okaże, czy będą mogli pomóc.

- Gdzie będziesz szukał bezpiecznego kotwicowiska?

- Najpierw chyba na Arran. Musi należeć do Szkocji, do Bruce'a, od kiedy król Aleksander rozgromił Norwegów podczas bitwy pod Largs. Udamy się tam i zobaczymy, jaka jest sytuacja. Wyspa leży w zatoce Firth of Clyde, ale dość daleko, abyśmy mogli się na niej ukryć. Nie sądzę, żeby teraz była gęsto zaludniona, bo z tego, co pamiętam, to nieurodzajne miejsce, choć nadaje się do naszych celów.

- Ale będą tam jacyś ludzie.

- Ano, pewnie tak, ale porozmawiamy z nimi. Nie mamy wrogich zamiarów.

- Może i nie, ale oni tego nie będą wiedzieli. Zobaczą flotę obcych okrętów i schowają się wśród wzgórz... Szkoci, a wyspiarze tym bardziej, niezbyt ufają cudzoziemcom.

Will milczał przez chwilę, a potem wzruszył ramionami.

- No cóż, z tym trza sobie poradzić, kiedy nadejdzie pora...

Żaden z nich nie miał nic więcej do powiedzenia. Leżeli w ciszy, ciesząc się bezczynnością i przebywaniem na łądzie, przysypiając w trawie. Tam Sinclair miał wrażenie, że ledwie zamknął oczy, kiedy Will go obudził, klepiąc po udzie.

- Chodź no. Ten Mungo pewnie już na nas czeka. (./cka też Szkocja, a przytyw niedługo.

Tam odwrócił się na brzuch i wstał, lecz zanim ruszyli krętą ścieżką, którą mieli pokonać długą i trudną trasę z powrotem na plażę, ponownie popatrzył na bezkresną wodę.

- Myślisz, że sir Karol znajdzie swoją Merykę?

- Nie, Tam. Nie jestem bardziej przekonany niż o tym, że król Robert Bruce nie żyje. Módl się, aby ani jedno, ani drugie się nie sprawdziło.

Tam bez słowa okręcił się nieco i spojrzał na północ, gdzie morze sprawiało wrażenie równie bezkresnego, lecz on wiedział, że leży tam jego ojczyzna, którą - jeśli pogoda pozwoli - odnajdą zaledwie za kilka dni.

WYSPA ARRAN

Święta wyspa 1

U góry są ludzie, patrzą na nas.

Tam Sinclair odezwał się ledwie półgłosem, lecz wszyscy trzej stojący przy nim mężczyźni podnieśli oczy we wskazanym przez niego kierunku. Brodaty, krzepki serwient Mungo MacDowal splunął na burzę.

- Jesteśmy na Eilean Molaise - powiedział, a zabrzmiało to właściwie jak jeden długi pomruk. — Ludkowie powiadają, że to święte miejsce, więc to najpewniej są mnisi. Zawsze jest ich tam trzech czy czterech, żyją w grotach jak dzikie bestie. Nie będą się nam naprzykrzać.

- Nawet jeśli wylądujemy? - spytał Will, a Mungo ledwie na niego zerknął.

- Nawet jeśli ich pozabijamy - warknął, podchodząc do relingu i nie odrywając wzroku od przyglądających się im ludzi.

Will odwrócił się z krzywym uśmiechem do admirała de Berenge-ra, który stał nieco z tyłu.

- Zrozumiałeś?

De Berenger przewrócił oczami.

- Usłyszałem pochrząkiwanie knura. Powinienem być zrozumieć?

Sinclair wyszczerzył zęby jeszcze bardziej.

- Mungo mówi, że ci tam to mnisi, pustelnicy. Wysepka nazywa się Eilean Molaise, Wyspa Świętego Molaise, ku czci celtyckiego świętego, który niegdyś tu mieszkał. Mówi, że żyją tam u góry w grotach jak dzikie zwierzęta, lecz nie zrobią nam krzywdy.

Admirał odchrząknął.

- Przyjmę tę... rekomendację jednego dzikiego zwierzęcia w kwe-

stii innego. Trudno mi uwierzyć, że ten człowiek to jeden z naszych serwientów.

- No cóż, jest nim, i to od dwóch dekad; zasłużył sobie na takie zaufanie admirała, że od ponad dwunastu lat szczyli się stopniem bosmana. Zna się na swojej robocie, a także na tych wyspach oraz ich ludności. Ja nie. Mówi po szkocku z wyboru, bowiem jest dziś ze Szkotami, a nie miał okazji używać tej mowy od wielu lat. — Will znów się uśmiechnął, aby złagodzić swoje słowa. - Okaż mu nieco zrozumienia, Edwardzie, i spróbuj nie patrzeć na niego z taką pogardą. To dobry człowiek, tylko nieokrzesany według twoich norm.

De Berenger skinął głową.

- Lubisz go. No dobrze, uwierzę ci na słowo i będę bardziej tolerancyjny. Kiedy chcesz płynąć dalej?

Na twarzy Willa pojawił się wyraz zamyślenia.

- Myślę, że jeszcze nie. - Skierował wzrok w górę, gdzie wciąż stali ludzie, wyraźnie widoczni w świetle wschodzącego słońca. Jednak między jego okrętem a nimi, bliżej brzegu, nad wodą wciąż unosiła się gęsta mgła, zasłaniająca ląd. - Moglibyśmy być tam za godzinę lub dwie, gdybyśmy znaleźli miejsce do cumowania. Stamtąd mielibyśmy widok na to, co jest po drugiej stronie zatoki. - Podniósł głos. - Mungo, czy z góry byłoby widać Arran?

- Ano, można byłoby policzyć na niej jelenie. To mniej niż mila.

- Świetnie, a zatem tam się udamy. Jest przed nami jakaś plaża, gdzie moglibyśmy przybić do brzegu?

- Nie, to pionowy klif, ale plaża była trochę wcześniej, minęliśmy ją po drodze.

- Edwardzie, możesz znaleźć miejsce do lądowania, w którym nie byłoby nas widać z wyspy?

- Nie, ale mój kapitan może. - De Berenger wezwał swojego nowo awansowanego podwładnego i zaczął wydawać rozkazy, aby galera zawinęła na ląd.

Will zerknął na Tama i Mungo, rozmawiających w mieszance szkockiego i gaelickiego, a w kąciku jego ust ponownie pojawił się uśmiech.

Mungo MacDowal okazał się skarbem, ponieważ Tam mylił się, twierdząc, iż pochodzi on z terytoriów MacDowalów w okolicy Galloway. Spędził tam część dzieciństwa, lecz był rodowitym wyspiarzem,

urodzonym na samej Arran. Przed śmiercią ojca wiele podróżował po wyspach, a po niej, w wieku czternastu lat, przeniósł się z wujem na ląd. Jego szorstki, opryskliwy sposób bycia był jedynie maską, a kiedy już uznał Willa za wartościowego towarzysza - doczesne tytuły nie miały dla niego znaczenia — chętnie przyłączył się do ich przedsięwzięcia, natychmiast okazując się nieocenionym pomocnikiem.

To on zasugerował, aby cała flota ukryła się na południowo-wschodnim wybrzeżu maleńkiej wysepki o nazwie Sanda, leżącej u południowo-wschodniego krańca cypla Muli of Kintyre; okręty mogły tam zostać tygodniami, a nawet miesiącami, i nikt nie zauważyłby ich z Arran, choć byli o niecały dzień żeglugi od wyspy. Will uznał tę propozycję za rozsądną i rozkazał de Berengerowi płynąć na północ, a potem na wschód, dookoła irlandzkiego wybrzeża - mieli trzymać się z dala od Rathlin, wyspy na północ od Irlandii — po czym zakotwiczyć u brzegu Sandy. W ciągu tygodnia dołączył tam do nich kapitan de Lisie i kolejne trzy średnie galery, każda z trzydziestoma dwoma wiosłami, przypląnęły do Finisterre z Marsylii. Były to jedyne okręty floty Zakonu z tej części Francji, które przetrwały.

Tuż po ich przybyciu Will chciał popłynąć z małą drużyną na Arran, lecz Mungo znów doradził mu najlepiej: aby zabrał ze sobą tylko jedną galerę, tę największą. Wzbudziłoby to szacunek i zniechęciło do buntu, lecz też nie spowodowałoby paniki u miejscowych i przekonania, że właśnie dokonuje się inwazja. Dodał, że na południowo-wschodnim krańcu Arran jest osłonięte kotwicowisko, zatoka Lamlash, a niecałą milę dalej jeszcze jedna wyspa, która mogłaby pełnić dla niego taką samą funkcję jak Sanda dla floty: mógłby się tam ukryć, aż warunki sprzyjałyby popłynięciu na Arran. Will dokładnie zastosował się do jego porad, dziwiąc się własnej uległości, lecz instynktownie mu ufając.

Jednak przed opuszczeniem Sandy - i zapewne ku wielkiemu niezadowoleniu lady - baronowa i jej służki przeniosły się na czas podróży na Arran do kajuty zajmowanej wcześniej przez Willa i Tama na większej galerze admirała, podczas gdy dwaj mężczyźni przeładowali ich dobytek. Skarby rozmieszczone były teraz na odwrót: Will czuwał nad funduszami baronowej, a skarb Zakonu został na okręcie Jessiki. Jak na razie Will nie mógł jednak nic w tej sprawie zdziałać.

Tam i Mungo patrzyli teraz na niego, oczekując, że coś powie. Wskazał szczyt wzgórza.

- Admirał zabierze galerę z powrotem na plażę, o której mówiłeś, Mungo, a ja chyba się tam przejdę i zobaczę, co jest do zobaczenia. Mam nadzieję, że obaj czujecie się dość dobrze, żeby pójść ze mną. Jak myślicie, ile czasu zajmie nam wspięcie się na szczyt?

Tam odchylił głowę, patrząc na zbocze wzgórza, a galera zaczęła okręcać się wokół własnej osi dzięki umiejętnej pracy wiosłarzy. Tam obracał się w przeciwną stronę, nie odrywając wzroku od wzniesienia. Wiosła po obu burtach wbiły się w wodę, zatrzymując okręt, a potem popychając go do przodu, najpierw wolno, lecz z każdym ruchem coraz szybciej. Tam zerknął na Willa.

-Jeśli wylądujemy i ruszymy, nie tracąc czasu, powinniśmy tam być późnym rankiem. Mogłoby to pójść szybciej, ale pamiętam, jakie się musiał namęczyć, żeby wejść na ten klif nad zatoką w dniu, kiedy sir Karol zmieniał okręty. Ledwie potrafiłeś wtedy złapać oddech, a tamta wspinaczka to nic w porównaniu z tym małym spacerkiem.

Will pilnował się, aby jego twarz pozostała bez wyrazu, choć miał ochotę się roześmiać, słysząc tę znajomą zuchwałość; spojrział na MacDowala, wskazując krewnego głową.

- Posłuchaj no bredzenia tego człowieka. Prawiem go wtedy mu siał wnosić, takie miał słabe nogi i mało tchu. Za długo był na morzu i za mało miał musztry. Idę się przygotować. Sprawdźcie, czy możecie znaleźć dla nas jakieś jedzenie na drogę. Spotkajmy się potem tutaj.

Kiedy tylko odwrócił się plecami, uśmiechnął się szeroko, a odchodząc, słyszał, jak Tam mruczy coś pod nosem.

Wkrótce potem stał na pokładzie w długiej, ciężkiej pelerynie z ciemnozielonej wełny, włożonej na prostą pikowaną tunikę do kolan i skórzany kaftan. Jego jedynym orężem był sztylet u pasa. Nogi owinął grubymi, dzierganymi nogawicami; miał też na sobie ciężkie buty, ciasno zasznurowane do połowy łydki. Pozostali dwaj czekali na niego, podobnie ubrani i uzbrojeni, ponieważ raczej nie spodziewali się kłopotów na świętej wyspie i nie chcieli robić wrażenia wojowniczych — nawet na mnichach przyglądających im się ze szczytu. Tam przerzucił przez ramię wytartą skórzaną torbę.

- Jedzenie - powiedział, kiedy zobaczył, że Will na nią zerka.

- Świetnie. Będziemy głodni, kiedy dotrzemy na górę. Znalazłeś nam łódź?

Z miejsca, gdzie stali - najwyższego punktu wysepki - widać było po drugiej stronie zatoki Lamlash całą wschodnią stronę Arran. Ranek był rześki, ale bezwietrzny, więc nad zatoką wciąż unosiły się gdzieś niedzie strzępy mgły przypominające chmury, które opadły na ziemię. Niebo było pochmurne, lecz na razie nie wyglądało na to, żeby groził im deszcz. Niezliczone mewy pikowały i nurkowały dookoła, a ich skrzekliwe krzyki zagłuszały wszystkie inne odgłosy.

- Dość tam spokojnie.

- Ano, ale to nie znaczy, że nikogo tam nie ma. Jest ładny poranek, przedzej czy później ktoś się pojawi. Niezgorszy widok, co?

- Tak, Mungo, faktycznie. Kiedyś tu był ostatnio?

- Na Boga! Dawno temu... Byłem wtedy chłopaczkiem, nawet żem nie miał brody. To będzie ponad dwadzieścia lat temu. Zważ, nie sądzę, żebym kiedyś już postawił stopę na Eilean Molaise. Ale patrząc na ten widok, nie pojmuję dlaczego.

Sinclair nie mógł się sprzeciwić. Wiedział, że Arran ma kształt mniej więcej jajowaty; węższy kraniec jej łagodnie opadającego do morza wybrzeża widniał teraz po lewej. Dokładnie przed nimi, po drugiej stronie zatoki, spadziste plaże prowadziły do płaskowyżu w kształcie półksiężyca, który rozciągał się w głąb wyspy na szerokość - na oko - kilku mil; wznosił się on ku północnemu zachodowi, gdzie leżały tereny wyglądające na wrzosowiska. Jeszcze dalej na północ, po ich prawej, teren wznosił się ostrzej, aż łagodne wzgórza przechodziły w wysokie, odległe góry, z których kilka miało na szczytach czapy śniegu po wczesnozimowych sztormach.

Will odwrócił się w lewo, patrząc na najbardziej wysunięty na po-

ładnie cypel i usiłując dojrzeć fortyfikację, którą widzieli po drodze poprzedniego dnia. Zbliżyli się do wyspy w ciemnościach, za pomocy wiosel, trzymając się z dala od brzegu; wielki żagiel był zreflowany, aby nie odbiło się od niego żadne światło, co mogłoby zdradzić ich obecność. Mijając wybrzeże, dostrzegli kilka ognisk migoczących w ciemnościach. Mungo powiedział, że płoną one w Kildonan, naturalnej twierdzy na szczycie klifu zasiedlonej nieprzerwanie od czasu pojawienia się na Arran ludzi. Dodał też, że trwa tam budowa kamiennej wieży, zaczęta przez Norwegów wiele dziesięcioleci wcześniej, zanim król Aleksander pokonał ich pod Largs i zakończył panowanie Norwegii na zachodzie Szkocji, miejsce to jednak od zawsze pełniło rolę punktu obronnego. Patrząc w tamtą stronę, Will nie dostrzegł nic i uznał, że wieża, czy istniejąca jej część, leży po drugiej stronie cypla. Kiedy spojrział ponownie w tę stronę, pomyślał o tym, jak spokojne robi wrażenie; zastanawiał się, ilu kryje się tam ludzi.

—Widzicie jakieś ślady życia? - spytał, choć wiedział, że gdyby tak było, już by coś powiedzieli. Był zaskoczony, kiedy Tam się odezwał.

—Ano, i to blisko. Jeden z tych świętych dzikusów tu idzie.

Will zdławił stęknienie, ponieważ faktycznie z odległości nie większej niż pięćdziesiąt kroków przyglądał im się jeden z obserwujących ich wcześniej ludzi; znajdował się w zagłębieniu terenu i widać było tylko jego głowę i pierś.

— A mówiłeś, że nie będą się nam naprzykrzać.

Mungo mruknął.

— Nie zwracaj na niego uwagi, to se pójdzie. Jak mówi Tam, to tylko dzikus, pewnie jest na wpół szalony, jeśli nie całkiem... Trzeba być niespełna rozumu, żeby tu mieszkać.

Mnich - jeśli faktycznie nim był - przyglądał się im nieruchomo, a Willowi przyszło do głowy, że może Mungo ma rację, nazywając go dzikusiem. Sinclair zastanawiał się, czy go zignorować, czy do niego podejść. Niezależnie od tego, czy człowiek ten był obłąkany, czy nie, być może miał jakieś użyteczne informacje, a jeśli tak, warto byłoby je poznać.

Wyprostował się i stanął twarzą do nieznanego, patrząc mu bez słowa w oczy. Ten lekko przechylił głowę pytającym gestem. Will przytaknął i wezwał go ruchem ręki, a potem z rosnącym zdumieniem przyglądał się podchodzącemu. Kiedy wyszedł zza ukrywającego go

wzniesienia, okazało się, że jest niezwykle wysoki i bardzo wiekowy. Był też obszarpany i nieopisanie brudny - jego włosy i broda stanowiły osobliwy, zmatowiały kołtun, który od lat nie zaznał ani wody, ani grzebienia - a miał na sobie wyłącznie czarną szatę do kostek, tak podartą, że przez dziury widać było spore fragmenty jego nóg i klatki piersiowej. Niósł długą laskę z tarniny, której grubszy koniec górował mu nad głową, a przy postrzępionym, starym sznurze służącym mu za pas wisiała skórzana sakwa, sprawiająca wrażenie pustej. Jego niebotycznie długie nogi były gołe i chude, a stopy chroniły podniszczone płaty czegoś, co kiedyś mogło być kozią skórą, uwiązane rzemieniami.

Nieznajomy podszedł powoli i zatrzymał się dwa kroki od Willa, patrząc mu w oczy. Nie zwrócił uwagi na zagapionych na niego serwientów. Will skinął mu głową.

- Ładny poranek - powiedział po szkocku, nie wiedząc, czego się spodziewać.

Widmowy gość odpowiedział tym samym gestem, a potem spojrzał ponad ramieniem Willa, gdzie unosiła się na wodzie zakonna galera. Odpowiedział bezbłędą francuszczyzną:

-W rzeczy samej, ładny. Co sprowadza admirała Zakonu na Eilean Molaise?

Will osłupiał, zdumiony zarówno czystością płynnej francuskiej mowy używanej przez ten wrak człowieka, jak i pytaniem, które zadał. Powiedział pierwsze, co przyszło mu do głowy:

- Jesteś zaznajomiony z Zakonem?

Starzec ponownie zwrócił w jego stronę zapadnięte, ciemne i dziwnie błyszczące oczy ukryte pod krzaczastymi brwiami.

- Kiedyś byłem... Dość zaznajomiony, aby rozpoznać sztandar admirała. Lecz to było dawno temu.

- A jak... Skąd wzięła się ta znajomość?

Starzec kiwnął głową i wzruszył ramionami jednocześnie.

- Z zaangażowania. Należałem kiedyś do niego, dopóki nie spostrzegłem, czym jest naprawdę.

- Spostrzegłeś... czym Zakon... jest naprawdę. - Will zorientował się, że powtarza jego słowa, i spróbował wziąć się w garść. - A co takiego, panie, spostrzegłeś?

- Pełną hipokryzji, gnijącą od środka organizację.

Na takie *dictum* nie było rozsądnej odpowiedzi, lecz Will nabral głęboko powietrza, szukając słów do kontynuowania tej przedziwnej rozmowy.

- Powiadasz, że... należałeś. Jako kto?
- Byłem rycerzem. Lecz, jak wspominałem, to było dawno temu.
- Rycerzem Zakonu? Jak się nazywałeś, panie?

Starcze rysy wykrzywiły się w uśmiechu, ukazując bezzębne dziąsła pod nieokiełznanymi włosami przykrywającymi większość wychudłej twarzy.

- Moi bracia nazywają mnie Gaspard.
- Nie, miałem na myśli twoje imię, kiedy służyłeś w Zakonie.
- To nie ma znaczenia. To życie już się skończyło; porzuciłem je.
- Porzuciłeś Zakon... to znaczy złamałeś śluby? Jesteś apostata? Jak zatem...?

- Nie złamałem żadnych ślubów. Po prostu odszedłem. Przysiągłem ubóstwo, czystość i posłuszeństwo i dalej kieruję się tymi zasadami. Żyję w ubóstwie, jak przystoi poszukiwaczowi Drogi, w czystości, od zawsze niezachwianej, oraz posłuszeństwie mojemu przełożonemu, opatowi naszej małej wspólnoty.

Sinclair zmarszczył brwi.

- Jesteś poszukiwaczem drogi. Co to za droga?

Starzec spojrział na niego, unosząc brew.

- Istnieje tylko jedna Droga.

Will zadrzał. Nie miał ochoty rozważać bulwersującej koncepcji, która pojawiła się w jego umyśle, lecz kiedy już się to stało, nie miał innego wyboru, niż ją zweryfikować, niezależnie od tego, jak wydawała mu się dziwna czy niewiarygodna. Zerknął na towarzyszy i ruchem głowy nakazał im się odsunąć. Kiedy wypełnili jego życzenie ze zdumionymi minami, wyciągnął do starca prawą dłoń, a ten uścisnął ją w charakterystyczny sposób, z siłą i pewnością, która zdumiała Willa. To niesamowite, obszarpane widmo należało do Bractwa Syjonu. Will patrzył na rozmówcę, nie puszczać jego dłoni i kręcąc głową z uśmiechem.

- Co za spotkanie, bracie - powiedział w końcu. - Nigdy bym nie uwierzył, że w takim miejscu znajdę jednego ze swoich braci... Mam teraz nadzieję, że wspominając o pełnych hipokryzji organizacjach, nie miałeś na myśli naszego Bractwa.

- Jednego z twoich starszych braci - poprawił drwiąco starzec. -Nie, mówiłem o Zakonie Świątyni, który jest czymś zupełnie innym. To struktura zbudowana na chwałę Bożą, która nie tylko zapomniała o własnych korzeniach, lecz też przeczy temu Bogu swoją codzienną kupiecką działalnością. Zakon Świątyni został stworzony przez ludzi w niestosownym pośpiechu i po to, aby gromadzić dobra doczesne i władzę. Nic dziwnego, że jego członkowie równie łatwo ulegają korupcji jak prowadzony przez nich handel... Lecz wciąż nie powiedziałeś mi, co sprowadza Zakon na Eilean Molaise.

- Powiem ci, lecz najpierw wyjaw mi swoje imię i powód, dla którego przyszedłeś z nami porozmawiać.

- A ile ty masz lat, bracie, i jak się nazywasz?

- Jestem William Sinclair z Roślin, mam czterdzieści sześć lat.

- No cóż, Williamie Sinclair z Roślin, człowiek, którym ongiś byłem, zmarł, kiedyś jeszcze nie pojmował, co się dookoła ciebie dzieje, a jego imię zmarło wraz z nim. Nawet gdybym miał ci powiedzieć, kim on był, nic by to dla ciebie nie znaczyło. Dość rzec, że potem przez lata wędrowałem, aż ponad trzydzieści lat temu znalazłem tę wysepkę. Jestem tu od tamtej pory i tutaj któregoś dnia umrę. - Przechylił głowę.

- Zacząłeś podejrzewać, kim jestem, kiedy wspomniałem o Drodze, prawda?

- Tak. Ale co skłoniło cię, aby podejść? Mam wrażenie, że ostatnio niewiele rozmawiasz z innymi.

Starzec znów się uśmiechnął.

- Ciekawość. Po wszystkich tych latach wciąż nie mogę jej powściągnąć. Jesteś admirałem?

- Nie, bracie.

- Lecz myślę, że masz jakąś władzę. Żaden z ciebie zwykły rycerz. Dlaczego tu jesteś?

- Z potrzeby - odparł Will. - Jak na pewno zgadłeś, moi towarzysze nie należą do Bractwa, lecz słyszeli, jak mówisz, że byłeś rycerzem Zakonu, więc jeśli chciałbyś przełamać się z nami chlebem, możemy porozmawiać o sprawach nie osnutych tajemnicą. Zjesz z nami?

Gaspard ponownie przechylił głowę; Will uznał, że gest ten jest nieświadomy.

- Chętnie. Po trzydziestu latach można się znudzić kozim mlekiem i mielonym owsem. Mam nadzieję, że przynieśliście mięso?

Willa kusiło, aby spytać, jak będzie je żuł, skoro nie ma zębów, lecz zamiast tego odwrócił się i machnął ręką na Tama i Mungo, po czym ich przedstawił.

- Brat Gaspard zje z nami południowy posiłek, ponieważ sądzę, że jest wiele do omówienia. Co mamy do jedzenia?

- Niewiele - odparł Tam. — Trochę sucharów, suszoną dziczyznę, kęs sera.

Will zerknął na starca, który kiwnął głową z zapalem, a Tam zaczął rozpakowywać jedzenie ze skórzanej sakwy, podczas gdy Mungo ułożył dla nich kilka głazów, na których mogli usiąść.

Bezzębny starzec nie miał problemów z jedzeniem suszonego mięsa - żuł je z upodobaniem stwardniałymi dziąsłami i od czasu do czasu pomrukiwał z przyjemności — a Will opowiedział mu o wydarzeniach poprzedniego miesiąca. Gaspard nie wyglądał na zaskoczonego; pokiwiał tylko głową. Z jego punktu widzenia był to naturalny, nieunikniony koniec owej gnijącej struktury, który można było odwlekać, lecz nie bez końca. Chciał wiedzieć, co zatem Will i jego przyjaciele mieli zamiar osiągnąć w Szkocji.

Kiedy Will powiedział mu, że osobiście odpowiada za skarb Zakonu, starzec unióśł brwi, szczerze zaskoczony. Nie skomentował tego jednak, ponieważ wiedział - lecz nie mógł mówić o tym przy pozostałych - że skarb tak naprawdę należał do ich Bractwa; Zakon Świątyni chronił go, lecz nie był jego właścicielem.

- Co planujecie teraz? - zagadnął, kiedy skończyli jeść. - Kogo szukacie?

Will pociągnął nosem.

- Szukamy króla Szkotów.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Starzec wlepił wzrok w Willa, rozejrzał się powoli po innych, a potem spytał:

- Szukacie króla Szkotów na Eilean Molaise?

Will się roześmiał.

- No cóż, nie. Nie tutaj. Mamy nadzieję, że zakotwiczymy bezpiecznie u wybrzeży Arran. Stamtąd udamy się na ląd, aby znaleźć króla.

- Zostawicie galerę tutaj? Jak więc dostaniecie się na ląd?

- Weźmiemy tę galerę, lecz mamy ze sobą i inne okręty. Obecnie czekają na wiadomość od nas przy Muli of Kintyre, koło wyspy Sanda.

- Rozumiem. Chcecie wiedzieć, kto jest na Arran i jaką ma ze sobą siłę?
- Nie inaczej. Możesz nam pomóc? Byłeś tam ostatnio?
- Na Arran? Dwa lata temu.
- Dwa lata temu? Starzec rozłożył dłonie.
- Nie mam wielkiej potrzeby podróżowania.
- Lecz z pewnością musisz stamtąd przywozić jedzenie i inne zapasy?
- Dlaczego z pewnością? Bóg zapewnia nam tutaj wszystko, czego trzeba. Mamy owce, kozy, ptaki i ich jaja, dużo pitnej wody, owies na poletku i morze pełne ryb. Czegóż więcej moglibyśmy chcieć?
- Nie mogą znaleźć na to odpowiedzi, Will wzruszył ramionami.
- A zatem nie macie dla nas żadnych wiadomości?
- Tego nie powiedziałem. Dwa lata temu byli tam angielscy wojowie, którzy budowali umocnienia nieco dalej na wybrzeżu. Widzisz tamtą drugą zatokę, na północy? - Wszyscy trzej słuchający spojrzeli tam, gdzie wskazywał, i zobaczyli wcinający się w morze cypel, kryjący za sobą kolejną, głębszą zatokę. - Uwijali się tam jak mrówki, pracując przy nasypie i rowach obronnych. Właściwie nasyp już istniał, kiedy się pojawili: był to płasko zwieńczony skalny pagórek na szczycie klifu. Lecz oni go umocnili, wzniesli palisady i wykopali rowy obronne w miękkiej ziemi leżącej przed nim, nad plażą. Uznałem, że kiedy skończą, będzie to mocna forteca.
- Ilu ich było? Czy wciąż tam są?
- Było ich stu, może więcej. Nie policzyłem ich i z żadnym nie rozmawiałem. Lecz teraz ich tam nie ma. Ponad rok temu zaatakowała ich flota galer, która spaliła ich okręty. To było późnym latem albo wczesną wiosną. Widzieliśmy, jak galery przyplwają o świcie, a potem wiatr przyniósł odgłosy wielkiej potyczki. Zobaczyliśmy dużo dymu, a z zatoki nie wypłynął żaden angielski okręt, więc pomyśleliśmy, że dym wziął się z płonących okrętów.
- Ile widzieliście galer?
- Stary mnich zamyślił się na chwilę.
- Wpłynęło siedem. Wypłynęło pięć.
- Więc mogą tam być jeszcze dwie galery wraz z załogą? Czy rozpoznałeś, do kogo należą?

- Skąd miałbym wiedzieć? Nic dla nas nie znaczący. Ale jeśli w tej części świata pojawiają się galery, znaczy, że przyplłynęły z wysp, z północnego zachodu. Nie wiem, czy wciąż tam są. Mogły w którejkolwiek chwili odpłynąć bez naszej wiedzy. Lecz dwa okręty, może te same, wpłynęły do zatoki jakiś tydzień temu i jeszcze nie wypłynęły. Zrozum, rzadko przyglądamy się takim rzeczom, i zwracamy uwagę tylko na to, co dzieje się wokół nas. Poza tym zajmujemy się wyłącznie opieką nad naszymi zwierzętami i modlitwą.

- Ano, oczywiście. - Will siedział cicho przez chwilę, a potem westchnął. - No cóż, bracie, dziękujemy za informacje. Chyba będziemy musieli się tam udać i przekonać, czy jeszcze są.

-Tak... Kim jest ten nowy król Szkotów? Wiem, że Aleksander zmarł dawno temu, i raz słyszeliśmy o nowym królu, który nazywał się Bailleul, jakoś z francuska, lecz było to kilka lat wcześniej, i chyba już wtedy nie rządził. A może dalej jest przy władzy?

- Król Jan Balliol. Jego nazwisko kiedyś było francuskie, tak jak moje i wiele innych. Nie, nie sprawuje już władzy. Jest na wygnaniu we Francji, praktycznie jako więzień króla Filipa. Abdykował, kiedy nie udało mu się przeciwstawić dominacji króla Anglii, Edwarda, który zmarł w tym roku.

- Edward Plantagenet nie żyje? Był wielkim człowiekiem.

Will uniósł brew.

-Tak, słyszałem to o nim, kiedy był młody. Ludzie wymieniali go wśród najświetniejszych rycerzy w świecie chrześcijańskim. Lecz z wiekiem stał się podobno bezwzględny; żądał praw do Szkocji jako jej pan lenny. Niewielu Szkotów dobrze o nim mówi.

- Chcesz chyba powiedzieć: niewielu prostych Szkotów?

- Naprawdę? Zdaje się, że w tej kwestii z tobą się nie zgadzam. Co masz na myśli, bracie?

Starzec podrapał porośniętą gęstymi włosami skórę z tyłu głowy.

-A co mam mieć na myśli? - spytał, drapiąc mocniej. - Wielu sądziło, że żądania Edwarda w sprawie tronu Szkocji są sprawiedliwe i obiektywne. Żądał posłuszeństwa od szkockich możnych, z których większość była normańskiego pochodzenia, a tytuły i ziemie dostała od angielskiej Korony. Co w tym złego? Winni byli lojalność jemu, królowi Anglii, i tak było od czasu pierwszych normańskich nadań ziemi. Do niedawna, przed śmiercią Aleksandra, król bez przeszkód

otrzymywał dowody owej lojalności. Tak to już jest na świecie, bracie Williamie. Kodeks feudalny jest najważniejszy, a szkoccy możni od zawsze są nim związani. Jeśli teraz z nim walczą, robią to z własnych, niecnym powodów: żądzy władzy i hipokryzji. Will odchrząknął.

- Mam nadzieję, że wybaczysz mi te słowa, bracie Gaspardzie, lecz jak na człowieka, który twierdzi, iż wyrzekł się świata doczesnego, jesteś niezwykle dobrze poinformowany.

Starzec zarechotał radośnie.

- Zrzuć to na karb tej mojej ciekawości. Może to grzech dumy, ale nie potrafię się powstrzymać od dociekliwości, więc kiedy spotkam kogoś, z kim mogę wymienić więcej niż ciąg pomruków, słucham i uczę się. - Znów zarechotał. - A czasem i mówię, jak te raz!

Mungo, którego francuszczyzna była mniej płynna niż starca, lecz całkowicie wystarczająca, aby rozumiał rozmowę, nie mógł dłużej usiedzieć cicho.

- No dobra - warknął po szkocku - mów, co chcesz, o angielskich żądaniach, ale mieliśmy tu królów, kiedy Anglicy wciąż czcili cesarzy w Rzymie. Tak było wtedy i tak jest teraz. Szkocki lud nie chce obcych Angoli w Szkocji.

-Ach, szkocki lud... - Stary mnich spoważniał i zwrócił się do Mungo, włączając Tama do rozmowy uniesieniem krzaczastej brwi. — To zupełnie inna sprawa. Szkoci to ludzie tacy jak inni. Jeśli nie mają własnej ziemi, nie mają głosu: stanowią część majątku panów, od których zależy całe ich życie. Ta grupa nie ma tożsamości i jest niespójna, a więc słaba i pozbawiona możliwości protestu. Tak długo, jak nie będą mogli się zjednoczyć, będzie grozić im niebezpieczeństwo ze strony ludzi, od których są uzależnieni. - Wyprostował się i nabrał głęboko powietrza; żaden z obecnych nie nazwałby go wtedy starym lub zniedołężniałym. — Dopóki lud się nie zjednoczy, dopóty nie będzie się liczył w sprawach królów i możnych. — Przerwał, aby słowa te dotarły do wszystkich, a potem mówił dalej. — Był kiedyś człowiek o nazwisku Wallace, o którym słyszeliśmy nawet na Eilean Molaise. On i inni jemu podobni zebrali Szkotów jak nigdy wcześniej i po raz pierwszy za ludzkiej pamięci zjednoczyli ich przeciwko ciemężycielom. Lecz on i jego ludzie sądzili, że ciemężycielami są nie tylko An-

glicy, ale też szkoccy możni. Ci natomiast uważali go za szumowinę, nazywając go zbójcą i banitą.

- Skąd tyle o nim wiesz? - spytał Will.

- Trzech jego towarzyszy schroniło się tutaj jakies' sześć, może siedem lat temu. To wtedy się dowiedzieliśmy o królu Balliolu. W pogoń za nimi udali się zarówno ich panowie, jak i Anglicy. Jeden z nich, rycerz o imieniu Menteith, który, jak sądzę, zbuntował się przeciwko sobie podobnym, był wymowny i miał bystry umysł. Przez miesiąc, kiedy tu byli, często z nim rozmawiałem, lecz nie wiem, co stało się z nim później... Ani z Wallace'em.

- Wallace zginął - mruknął Mungo. - Osiem lat temu. Sprzedano go w zamian za angielskie poparcie. Zabrali go do Londynu i tam powiesili ku uciesze tłumu. Odcięli go, kiedy jeszcze żył, potem wybebeszyli i na jego oczach spalili jego flaki. Potem odcięli mu głowę, ręce i nogi.

Will patrzył na niego z ciekawością.

- A skąd ty tyle o nim wiesz, panie marynarzu?

Serwient wzruszył ramionami.

- Byliśmy jakiś czas temu w Leith, w sprawach Zakonu. Nie mogliśmy wyjść za port, bo wszędzie była angielska armia, ale słyszałem, jak gadają o tym ludkowie w szynkach. Mówili, że to Bruce... młody hrabia, nie ten stary... pasował Wallace'a na rycerza, lecz zrobił to raczej na złość Comynom, niż aby oddać cześć Wallaceowi. Tak przy najmniej ludzie mawiali. To Bruce'owie, Comynowie i im podobni, ci, co nazywają się szlachetnymi rodami, doprowadzili Szkocję do upadku i zmusili Wallace'a, żeby zrobił to, co zrobił. Oni i ich kłótnie i naporzanki, zmienianie stron z dnia na dzień: raz za Edwardem, raz przeciwko niemu, ale zawsze we własnym interesie... Ano, zawsze dbają o własne interesy.

Splunął wymownie, a tknięty nagłą myślą Will dodał:

- To Bruce rządzi teraz w Szkocji, wiedziałeś? - Widząc, jak w oczach jego rozmówcy rozblyska niedowierzanie, mówił dalej: -To prawda. Młody Bruce, były hrabia Carrick. Przejął tron w zeszłym roku, w imię królestwa Szkocji. Jest teraz królem Robertem, pierwszym tego imienia.

Mungo wlepił w niego wzrok, ale po jego kamiennej twarzy widać było, że nie jest pod wrażeniem.

- Ach tak - powiedział, a zabrzmiało to jak pytanie. - To pewno ucieszyło Comynów. A wiesz, czy dalej tam panuje?

Will pokręcił głową.

- Nie, nie wiem nawet, czy dalej żyje. Tego właśnie muszę się do wiedzieć.

Mungo złożył nóż, którym ciął mięso, i wsunął go za pazuchę, po czym wytarł dłonie o getry i wstał.

- Niech tak się stanie - rzekł. - Niczego się nie dowiesz, jak tu będziesz siedział. W drogę?

Stary mnich już podniósł się żwawo na nogi, a razem z nim wstali Will i Tam.

- Na to wygląda - powiedział Will. - Uda nam się znaleźć w zatoce przed wieczorem?

- Uda nam się i po południu, jak teraz ruszymy.

Will podziękował Gaspardowi za wiadomości i wyraził nadzieję, że jeszcze się zobaczą, a starzec uśmiechnął się i kiwnął głową.

- Niech Bóg nad wami czuwa po drugiej stronie zatoki - rzekł. - Będę się przyglądał, lecz nie będę mógł wam pomóc. Ale jeśli kogoś tam spotkacie, będą to Szkoci, a oni może potrafią powiedzieć wam to, co chcecie wiedzieć o królu. Zegnajcie i idźcie Bożą drogą.

A zatem, admirale, jak myślisz? Czy ktoś nas widział?

Admirał Edward de Berenger mruknął, zerkając na wydęty żagiel z ogromnym czarnym krzyżem templariuszy.

- Jeśli tak, nie robi to różnicy: opłyniemy cypel, zanim zdążą ko gokolwiek ostrzec.

Wykorzystując fakt, że żagiel jest pełen wiatru, wiosłarze pracowali bez wytchnienia, pędząc wielką galerę po falach z prędkością, której żaden inny okręt we flocie Zakonu nie mógł dorównać. Przemknęli przez całą zatokę Lamlash, gdzie wcześniej chcieli zakotwiczyć, a teraz zmierzali w stronę rysującego się przed nimi cypla, który dzielił ich od nowego celu. Will Sinclair zwrócił uwagę na prędkość, z jaką się do niego zbliżali, i mruknął pod nosem:

- Kiedy tylko opłyniemy cypel, będziesz musiał podjąć kilka szybkich decyzji, Edwardzie. Jak duża jest ta zatoka i jak głęboka? A jeśli, zgodnie z tym, co powiedział starzec, są tam jakieś galery, dwie czy cztery, jak daleko od nich powinniśmy się zatrzymać, aby nie być zbyt daleko od lądu ani na wystawionej na atak pozycji? Dzięki Bogu, to ty jesteś marynarzem, bo ja nawet nie wiedziałbym, do czego się najpierw zabrać.

Na zazwyczaj surowej twarzy de Berengera pojawił się uśmiech.

- Uspokój się zatem. Nie zrobię nic, co postawiłoby nas w groźnej sytuacji. W końcu to mój okręt. Nie mam zamiaru ryzykować jego bezpieczeństwa. A teraz... Przygotować się! - krzyknął do kapitana, powściągliwego lecz godnego zaufania Normana, Boulanguera.

Wielka galera śmignęła o rzut kamieniem od skał na czubku cy-

pla, a wtedy de Berenger dał Boulangerowi i jego czekającej załodze znak, aby obniżyli żagiel. Kiedy marynarze zręcznie opuszczali i uwiązali fałdy ciężkiego materiału, wiosłarze utrzymywali stały rytm, popychając ich w stronę cypla, skąd rozciągała się przed nimi cała zatoka. Rozmiary zbiornika przekroczyły oczekiwania Willa — wcinał się on w łód dalej niż poprzednia zatoka, a wnioskując z koloru, był też głębszy — lecz o ponad połowę węższy niż Lamlash, a także miał bardziej stromą linię brzegową. Blisko brzegu stały na kotwicach dwie galery o sklarowanych żaglach i uwiązanych pod kątem drzewcach; na pokładzie nie było widać żywej duszy. Około stu stóp nad lustrem wody, na płaskim, naturalnym kamiennym wypiętrzeniu, majaczył nad kotwicowiskiem ukryty za palisadą ufortyfikowany gród. Nie był wielki, ale budził respekt, a widniejący przed nim nieukończony szaniec - który odsłaniał nowo skutą skałę, a nawet żyły świeżej gliny - wskazywał na to, że zbudowano go niedawno.

Wszędzie roiło się od ludzi: na plaży i ścieżkach do niej, na rozkopanym szańcu, a także na murach i gzymsach samej fortecy, a kiedy Will zaczął się przyzwyczajać do ich widoku, ujrzał, że i oni uświadamiają sobie pojawienie się okrętu. Tam, gdzie wcześniej wrzała praca, teraz panował bezruch; ludzie prostowali się i odwracali, aby spojrzeć na zjawę, która znalazła się w ich spokojnej zatoce. Potem, w mgnieniu oka, kolejna zmiana: rozległ się zbiorowy ryk, a ludzie rzucili się w poszukiwaniu oręża.

De Berenger wydał rozkaz, aby wciągnąć wiosła na pokład. Galera natychmiast straciła rozpęd, kiedy uniosły się jednocześnie, aby okręt mógł się zatrzymać. Kolejny rozkaz sprawił, że wiosła ponownie zanurzono w wodę, lecz tym razem po to, aby utrzymać okręt w miejscu i by nie znosił go prąd.

Admirał podszedł do Willa.

- No cóż, przyjacielu, wiedzą, że przyplłynęliśmy. Co teraz?

- Czekamy, Edwardzie. Ujawniliśmy się i wygląda na to, że udało nam się ich zaskoczyć. Teraz musimy po prostu zobaczyć, jak postanowią na nas zareagować. Sama ich reakcja pozwoli nam oszacować wartość tego, kto okaże się ich przywódcą. Ilu ludzi naliczyłeś?

- Przynajmniej stu, pewnie raczej dwustu... Byli zbyt rozproszeni, abym mógł ocenić.

-Tak mi się też wydawało, bardziej dwustu. Lecz w głębi wy-

spy, poza zasięgiem wzroku, mogą być inni. A zatem czekamy. Będę w kajucie. Wezwij mnie, kiedy coś się zacznie dziać.

Ledwie miał czas zrzucić zieloną wełnianą pelerynę, kiedy Tam zapukał do drzwi i wetknął głowę do środka.

- Wzywają cię na pokład, Will. Wyszło trzech ludzi z białą flagą.

Wróciwszy na pokład, Will od razu dołączył do de Berengera i Boulangerera, którzy stali obok siebie i obserwowali wydarzenia na lądzie. Na wąskim nabrzeżu tłoczyli się uzbrojeni ludzie, którzy przyglądali się, jak mała łódź walczy z falami, płynąc w stronę galery; sześciu wiosłarzy mocowało się z prądem. Na rufie łodzi stało trzech mężczyzn, z których jeden trzymał pionowo coś, co wyglądało na włócznię, zakończoną białą chustą.

- Chcą pertraktować - mruknął Will do admirała. - No cóż, przy najmniej wiemy, że ich przywódca nie jest zapalczywym głupcem...

Potem przyglądali się nadpływającej łodzi w milczeniu, podchodząc do bramki w burcie dopiero wtedy, kiedy łódka zniknęła im z oczu. Wciągnięto wiosła na pokład, a człowiek na dziobie chwycił bosakiem opuszczoną z galery linę; wszystkie oczy uniosły się i spoczęły na Willu oraz jego towarzyszach. W końcu jeden ze stojących na burcie, rudobrody, podobny do koguta mężczyzna owinięty obszerną szatą, którą Szkoci nazywali plemem, odchylił głowę do tyłu i krzyknął okropną francuszczyzną:

- Czy to galera Zakonu?

Will wychylił się za reling.

- Tak. A kto pyta?

- Jestem Aleksander Menteith z Lochranzy, wódz na Arran. Przy noszę pozdrowienia i zapraszam, abyście w pokoju zeszli na ląd.

Will zawahał się przez moment, a potem krzyknął:

- Pozdrowienia od kogo, panie Menteith? Powiedziałeś, że przy nosisz pozdrowienia, a nie oferujesz własnego, więc w czyim imieniu mówisz?

Menteith wzruszył ramionami i wskazał za siebie kciukiem.

- Przysłała mnie sir James Douglas, pełnomocnik króla Roberta na Arran.

Will pohamował się przed zerknięciem na de Berengera, aby nie zdradzić, że nazwisko to nic mu nie mówi. Słyszał o jakimś sir Williamie Douglasie, rycerzu słynącym z męstwa i porywczosci, lecz nie

o Jamesie Douglassie. Może to jego syn? Ale William Douglas nie był starym człowiekiem, więc jego syn z pewnością byłby zbyt młody, aby pełnić rolę przedstawiciela króla.

Czekając na odpowiedź, Menteith rzucił okiem na swoich ludzi i znów krzyknął:

- Przypłyniecie?

Will nie miał wyboru: na to właśnie czekał. Pełnomocnik króla na pewno będzie wiedział, gdzie znaleźć monarchę. Kiwnął głową.

- Tak. Powiedz sir Jamesowi, że popłyniemy za wami. Ilu ludzi możemy zabrać?

Pytanie wyraźnie zaskoczyło Szkota.

- Ilu chcecie — odkrzyknął, po czym wydał rozkaz marynarzowi na dziobie, który puścił bosak, zajął miejsce przy swoim wiosle i odepchnął nim mocno łódź od burty galery, aby jego towarzysze mogli ponownie wsunąć wiosła do wody.

Will odwrócił się do de Berengera.

- Udasz się z nami?

- Jeśli chcesz. Czy to ważna sprawa?

Will pociągnął nosem i wierzchem ręki wytarł z niego kroplę wilgoci.

- Być może... Możliwe. Powiedz, czy twoi serwienci mają opończe?

- Tak, lecz na morzu trzymamy je w ładowni, w skrzyniach.

- Możecie je bez kłopotu wyciągnąć? Chcę, żeby twoi wiosłarze wyglądali jak templariusze, kiedy zabiorą nas na ląd, więc każ się im jednakowo ubrać, nieważne, czy na czarno, czy na brązowo, byle identycznie. - Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się do przysłuchującego się Tama. - Ty też. Włóż opończę i weź ze sobą Mungo, też tak ubranego. Lecz najpierw poproś kapitana Boulangera, aby przygotował do wodowania łódź admirała.

Kiedy Tam odszedł, aby wypełnić rozkaz, Will ponownie odezwał się do de Berengera:

- Edwardzie, dla nas peleryny. Pełen rynsztunek i wszystkie insygnia: opończe, pasy, miecze, tarcze... Lecz chyba nie kolczugi. Mogą nas poprosić, abyśmy odłożyli oręż, ale wolałbym nie być skutym kolczugą podczas pobytu tutaj. I uczesz brodę, na Boga. Masz wyglądać jak templariusz, admirał, a nie marynarz-pustelnik.

Przytłaczającą ciszę przerywał jedynie odgłos fal omywających brzeg i odległe krzyki mew. Przyglądając się tłumowi na plaży w ostatnich chwilach przed wylądowaniem, Will zdał sobie sprawę, że słyszy, jak woda kapie z uniesionych wiosel, i zastanawiał się, jak to możliwe, aby tylu ludzi zachowało absolutne milczenie tak długo. Przez chwilę myślał również z podziwem o tym, jak wyróżnia się załoga łodzi, w której płynął. Siedząca przodem do niego - stał na rufie wraz z de Berengerem, Tamem i Mungo — dwunastka wioślarzy sprawiała imponujące wrażenie: byli to weterani, świetnie zdyscyplinowani serwienci Zakonu w czarnych opońcach ze szkarłatnymi krzyżami, które lśniły przepysznie w popołudniowym słońcu. Tam i Mungo mieli na sobie te same opończe, pożyczone od ludzi de Berengera wyłącznie dla efektu, lecz z odznakami rangi równymi ich własnym. Obaj mieli na sobie hełmy i byli w pełni uzbrojeni, a na ich białych tarczach widniał czarny, równoramienny krzyż Zakonu o rozszerzających się ramionach. Jednak wszyscy na zatłoczonej plaży wlepiali wzrok w samego Willa i de Berengera; grube, śnieżnobiałe opończe z wełny identyfikowały ich jako rycerzy Zakonu.

Kiedy łódź wsunęła się z chrzęstem na żwir wybrzeża, czterej wioślarze z przodu przeskoczyli zwinnie ponad burtami, poczekali na następną nadpływającą falę, a potem wciągnęli łódź na plażę. Pozostali wioślarze odchyłili się na bok, aby pozwolić Willowi i jego drużynie na podejście i zeskoczenie na kamyki bez moczenia stóp. Will prowadził, a kiedy stanął na ziemi, tłum rozstał się przed nim, tworząc przejście w stronę miejsca, gdzie czekał na nich Menteith wraz z trzema innymi ludźmi; jeden z nich, wysoki i barczysty, miał na sobie

ten sam ubiór co wódz, pojedynczy fragment kraciastego materiału, którym był owinięty od szyi do kolan.

Pozostali dwaj członkowie grupy - mężczyzna i chłopiec — wyglądali zupełnie inaczej: byli ubrani w tuniki i getry, a starszy miał zniszczoną kolczugę pod prostą, brązową peleryną, której poły zarzucił na plecy, aby mieć wolne ręce. Przyglądał się nadejściu Willa z nieodgadnionym wyrazem twarzy, nieświadomie poruszając palcami prawej dłoni, spoczywającej na trzonku krótkiego, ciężkiego topora bojowego, który zwieszał się u jego pasa. Uwagi Willa nie umknął żaden szczegół, a jego myśli gnały jak szalone, kiedy usiłował zidentyfikować i odgadnąć rangę mężczyzn przed zrównaniem się z nimi.

Spowity pędem człowiek po prawej ręce wodza górował nad nim, co tylko podkreślało drobną budowę Menteitha; był okazem barbarzyńskiego majestatu, więc Will od razu uznał, że może to być pełnomocnik króla, Douglas. Jego pled miał kolor świeżego miodu, a właściciel upiął go w plisy jak tunikę, tak że sięgał mu nad kolana, po czym okrywał jego tors i zwieszał się na plecy przez lewe ramię. W talii podtrzymywał go ciężki pas z kunsztownych srebrnych ogniwi, a na ramieniu - ogromna brosza w kształcie pierścienia z kutego srebra. Na głowie miał ułożoną na bakier, miękką czapkę, a na jego lewej skroni lśniła kolejna srebrna brosza, podtrzymująca wielkie, ozdobne orle pióro. Na nogach miał ciężkie skórzane buty z krzyżującymi się rzemieniami opasującymi długie, gołe nogi. Spod obszytego skórą skraju czapki wyglądały lśniące oczy o zaczepnym wyrazie i jasnym, żółtobrązowym kolorze, który podkreślała barwa jego odzienia. Długie włosy, spływające spod jego czapki na lewe ramię, były rudo-złote, tak samo jak jego brwi i krótko przycięta broda, a w twarzy dominowały wysokie, rzeźbione kości policzkowe. Najwyraźniej to przywódca i człowiek, z którym trzeba się liczyć, pomyślał Will i przyjrzał się ostatniemu z czterech czekających.

Widział teraz, że to też mężczyzna, a nie chłopiec, jak mu się wcześniej wydawało. Jego też wyróżniało odzienie i postura, lecz przede wszystkim młody wiek. Miał na sobie prostą, lecz kosztowną tunikę z pikowanego, jaskrawoniebieskiego materiału i ciężki skórzany pas, u którego wisiał niezdobiony sztylet. Na lewej pole tuniki wyhaftowano na biało jakiś emblemat, którego Will nie widział jeszcze wyraźnie. Jego muskularne nogi okryte były grubymi, dzianymi getrami w ja-

śniejszym odcieniu błękitu niż tunika i owinięte czarnymi skórzanymi wiązaniem wystającymi z solidnych butów o grubej podeszwie. Nie miał na sobie peleryny i stał swobodnie na rozstawionych nogach; sięgające łokci rękawy tuniki ukazywały muskularne ramiona, a jego dłonie luźno spoczywały na rękojeści wielkiego miecza w wymyślnie zdobionej pochwie.

Drużyna Zakonu zatrzymała się tuż przed nimi, a Sinclair skłonił głowę uprzejmie, gestem człowieka równego swoim rozmówcom, w którym nie było ani cienia służalczości.

- Dzień dobry, panowie - powiedział, pozwalając swojemu głosowi zabrzmieć donośnie. - Jestem William Sinclair, rycerz Zakonu Świątyni we Francji. Mój towarzysz to sir Edward de Berenger, admirał floty Zakonu.

Menteith skinął mu głową, dość uprzejmie.

- Witajcie na Arran, jeśli przybywacie w pokoju. - Mówił po francusku tak słabo, że ledwo dało się zrozumieć słowa, więc jego następne pytanie było prawie nieuniknione. - Sinclair, powiadasz? Mówisz zatem po szkocku?

Will się uśmiechnął.

- Ja tak, sir Edward nie.

Młody mężczyzna w błękitnej tunice wtrącił się, zanim Mentelth zdążył odpowiedzieć.

- A zatem ci z nas, którzy potrafia, będą rozmawiali po francusku, przez zwykłą kurtuazję, aby nie zawstydzić naszego czcigodnego gościa. Sir Edwardzie, jesteś mile widziany w Szkocji, choć bardziej jako rycerz niż admirał. Czy możemy wiedzieć, co cię tu sprowadza? Wybac. Przepraszam. To nie miejsce na zadawanie takich pytań. Udasz się z nami do fortu? Nie możemy jeszcze nazywać go zamkiem, ponieważ jest nieukończony. Lecz tam będzie nam przynajmniej wygodnie, a na pewno cieplej, i będziemy mogli porozmawiać na osobności. Wzbiera nieprzyjemny wiatr i wygląda na to, że zaraz zaczną padać.

De Berenger zerknął na Willa, który kiwnął głową, a potem obaj podnieśli wzrok na chmury: ich gęste, ciemne masy kłębiły się niżej i wyglądały groźnie.

- Tak, panie, chętnie - rzekł admirał.

- A co z twoimi ludźmi? Chcesz, abyśmy odesłali ich na galerę? Mogą wrócić później.

Admirał ledwie się zawahał, a potem zawołał serwieiua dowodzącego łodzią, która wciąż leżała na żwirze mniej niż piętnaście kroków za nimi. Kiedy mężczyzna podbiegł i zasalutował żwawo, de Berenger rozkazał mu wrócić z załogą na galerę i czekać na wezwanie, a potem odwrócił się do gospodarzy.

- Dzięki - powiedział, uśmiechając się w niewymuszony sposób. - Moim ludziom będzie znacznie wygodniej na pokładzie.

- Mogą tu zostać - powiedział młodzieniec w niebieskiej tunice. - Mogliby zjeść coś wraz z naszymi ludźmi.

- To prawda, panie, lecz żadna strona chyba nie czułaby się swobodnie... Moi ludzie nie znają waszej mowy.

Jego rozmówca kiwnął głową.

-To prawda. Nie przyszło mi to do głowy. - Wskazał swoich trzech towarzyszy. - Przedstawię nas, panowie. Menteitha już znacie. Ten drugi, rosły i dziki, w ogóle nie mówi po francusku. To Colin, syn Malcolma MacGregora z Glenorchy, wodza klanu Alpine, i lubi twierdzić, że jego ród ma królewskie korzenie i wywodzi się w prostej linii od Kennetha MacAlpina, pierwszego króla Alby. - Powiedział to z uśmiechem, a kiedy MacGregor usłyszał własne nazwisko, skłonił głowę z nieodgadnionym wyrazem twarzy. - Obok mnie stoi sir Robert Boyd z Noddsdale, który towarzyszy mi tutaj w sprawach króla, a ja jestem James Douglas, syn sir Williama Douglasa z Douglasdale. Nominalnie jestem pełnomocnikiem króla na Arran, lecz przez ostatni rok z radością powierzyłem rządzenie tym miejscem sir Aleksandrowi, który jest dziedzicznym wodzem Menteithów na Arran. - Kiedy umilkł, uderzył w nich powiew chłodnego wiatru, a Douglas spojrzął na chmury. - Tak jak sądziłem, i właśnie, kiedy się tego spodziewałem. Chodźmy stąd, przyjaciele, jeśli łaska. Innych poznacie później.

Odwrócił się i ruszył przed siebie już bez słowa, unosząc swój miecz i opierając go na prawym barku. Podążyli za nim czterej templariusze, którym z jednej strony towarzyszyli MacGregor i Menteith, a z drugiej sir Robert Boyd oraz reszta zebranych, około dwustu mężczyzn; szli teraz w rozproszonej gromadzie, choć hałaśliwej i rozgadanej, ponieważ wydawało się, że oficjalna część spotkania już się skończyła.

Will siedł w milczeniu, patrząc na człowieka przed sobą; drugi raz tego dnia zaskoczyło go, że znalazł kogoś, kto mówił płynną, piękną francuszczyzną w miejscu, gdzie najmniej można by się tego

spodziewać. James Douglas był faktycznie młody - Will dawał mu najwyżej dwadzieścia lat - lecz zdumiewająco pewny siebie, i nic poza jego wiekiem nie robiło na Willu wrażenia że nie jest godny stanowiska pełnomocnika króla. Teraz, kiedy szedł za nim po stromych schodach prowadzących do fortu, patrząc na zwinny, swobodny sposób poruszania się Douglasa — tak podobny do jego własnego w tym wieku - zaczął się zastanawiać, jak młody szlachcic nauczył się tak bezbłędnej francuszczyzny: nie było w niej ani śladu gardłowego normańskiego akcentu, właściwego większości angielskich i szkockich potomków Wilhelma Zdobywcy.

Nasyp zwieńczał wielki, prostokątny budynek; potężne mury jego parteru zbudowano z ciężkich głazów. Jedynym celem tej pozbawionej okien i zabezpieczonej przed ogniem konstrukcji była obrona i przechowywanie zapasów. Można było się do niej dostać wyłącznie przez podobne do tunelu wejście, głębokie na ponad dwa kroki, które wycięto w samym murze. Chroniła je ciężka spuszczana krata z żelaznych sztab grubości nadgarstka. Kratę kontrolowano ze znajdującego się powyżej pomieszczenia, w którym umieszczony był kołowrót. Po obu stronach wejścia z kratownicą ciągnęły się solidne, praktyczne drewniane schody prowadzące do głównej sali, która wyglądała, jakby zbudowano ją z ułożonych na przemian warstw kamienia i ciężkich kłód. Ściany szczytowe na obu końcach były jednak z litego kamienia; stanowiły przedłużenie ścian magazynów znajdujących się poniżej i wyposażone były w przewody wentylacyjne. Chwilę później, kiedy Will wspiał się po drewnianych schodach i ujrzał grupę ludzi czekających na nich za otwartymi drzwiami sali, zrozumiał, że część oficjalna nawet się jeszcze nie zaczęła.

Mimo że wizyta nastąpiła w środku dnia i była niezapowiedziana, sir James Douglas przyjął swoich gości szczerze, choć prosto. Otwarto wielkie beczki wina i piwa - Will podejrzewał, że pochodziły z zapasów byłego angielskiego garnizonu - a na stołach ustawionych pod jedną ze ścian ułożono świeży chleb i ser. Mężczyźni pokrzepiali się do woli, a ich głosy stawały się coraz głośniejsze, w miarę jak pili coraz więcej. Nie podano ciepłego jedzenia, ponieważ do pory wieczery było jeszcze daleko, lecz rytuały powitalne trwały ponad dwie godziny, a przewijała się przez nie nieustanna procesja ludzi, którzy byli bardzo ciekawi rycerzy Zakonu i chcieli ich poznać. Ten ciąg imion i twarzy, głównie górali i wyspiarzy w oszałamiająco jaskrawych ubraniach, podzielał na Willa ogłupiająco, i choć nie zamienił z de Beren-gerem ani słowa, wiedział, że admirał czuje się tak samo. Tam Sinclair i Mungo MacDowal stali osobno, plecami do ściany przy wejściu, i nie uczestniczyli w przyjęciu.

Zostawiając de Berengera pogrążonego w rozmowie z dwoma mówiącymi po francusku Szkotami, którzy zapewne cieszyli się z szansy na użycie tej mowy, Will wykorzystał chwilę spokoju, aby dokładniej rozejrzeć się po sali i zlustrować zgromadzonych jako grupę, a nie ciąg nieznajomych twarzy. Kilku ludzi obecnych wśród tłumu zrobiło nam nim wrażenie - niektórzy z nich dobre - i teraz przyglądał się dwóm z nich, stojącym po drugiej stronie komnaty. Jeden był góralem, wodzem klanu Campbell z Argyll, którego imię umknęło Willowi; rozmawiał z jednym z dowódców Douglasa, wysokim, barczystym mężczyzną z krótką brodą, najwyraźniej kuzynem rycerza Boyda, ponieważ nosił to samo nazwisko. Ten Robert Boyd, którego poznali na

plaży, był z Noddsdale, a rozmówca Campbella, też Robert - z Anandale. Will poznał go na początku spotkania powitalnego i utkwili mu w pamięci jego oczy: ich niezwykła świetlistość, srebrnoszary kolor i świdrujące spojrzenie. Nie rozmawiali wtedy długo, lecz Will uwierzył, kiedy Boyd powiedział mu, że ma nadzieję porozmawiać z nim później, w spokojniejszej chwili.

— Zamyśliłeś się, sir Williamie. Czy mam wszystkich wyrzucić?

Zaskoczony Will odwrócił się i zobaczył u swojego boku Jamesa Douglasa. Poczł, że się rumieni, ponieważ nie wiedział, od jak dawna młody rycerz stoi obok i mu się przygląda.

—Wybacz, sir Jamesie, rozmarzyłem się... To nawyk, którego powinienem się pozbyć.

—Och, nie robiłbym tego na twoim miejscu. - Uśmiech Douglasa był otwarty i szczery. — Umiejętność zagubienia się w swoich myślach wśród tylu kłapiących języków jest nieczęsta... i cenna. Myślę, że gdybym posiadał taki dar, uważałbym go za skarb. - Przechylił głowę, przyglądając się Willowi zmrużonymi oczami. - O co chodzi? Przejdźmy się do drzwi. Może przestało już padać, a świeże powietrze będzie chłodne i przyjemne.

Kiedy powoli przedzierali się przez tłum w stronę wejścia, szkocki rycerz zerknął z ukosa na wisior na szyi Willa.

— Ładna błyskotka - powiedział. - I najwyraźniej znacząca, wnioskując z jej wyglądu i ciężaru. Co przedstawia?

Will dotknął medalu, spoglądając na niego.

-To symbol mojego stopnia, zapewne najlepiej znany, lecz najrzadziej widywany znak w Zakonie. Niektórzy templariusze mogą w całym swoim życiu ani razu go nie ujrzyć. - Chwycił go w palce, czując, jak jest gruby, solidny i dokładnie wypolerowany. - To odznaczenie noszone przez członków Rady Zakonu. W rzeczywistości nie ma żadnej funkcji poza odróżnieniem noszącego od innych i naznaczeniem go jako przedstawiciela oraz zastępcy wielkiego mistrza.

Przystanęli, a Douglas pochylił się, spoglądając na medalion. Will wiedział, że jest na co patrzeć. Wisiał on na grubym łańcuchu ze srebrnych ogniw w kształcie litery S, z których każde było rozmiarów kciuka i wymyślnie rzeźbione, tak aby wyglądało jak gruba lina. Sam medalion, gruby i pokryty lśniącą emalią, był umieszczony na ciężkim rombie ze srebra, który zwieszał się z dwóch najniższych ogniw

i przedstawiał równoramienny krzyż Zakonu na białym, kwadratowym polu, otoczonym jaskrawą czerwienią, kolorem krwi Zbawiciela od tak dawna noszonym przez templariuszy. Will czekał cierpliwie, pozwalając Douglasowi napatrzeć się do woli, a młody rycerz uniósł rękę, jakby chciał dotknąć medalionu, lecz w ostatniej chwili opuszczył ją i kiwnął głową szybko, z podziwem.

- Piękna ozdoba - powiedział tylko.

- Dziwiłem się, sir Jamesie, temu, jak mówisz. Twój francuski jest bez zarzutu, idealny, i zastanawiałem się, gdzie się go nauczyłeś.

Douglas się zasłmiał.

- We Francji, oczywiście. Znasz lepsze miejsce? Będąc chłopcem, spędziłem pięć lat w Paryżu.

Will miał na końcu języka uwagę, że rycerz prawie jeszcze nie wyrósł z lat chłopięcych, lecz pohamował się i pozwolił, aby Douglas otworzył mu drzwi, jednocześnie odprawiając ruchem ręki strażników, którzy podeszli, chcąc mu pomóc.

- Pójdziemy tam w dół, do muru - wskazał i poprowadził Willa po szerokich drewnianych schodach, po czym zatrzymał się w połowie i rozejrzał.

Deszcz dawno już ustał, choć z północnego zachodu wiał nieregularnymi zrywami wiatr. Mimo to reszta chmur rozproszyła się po niebie i lśniła na różowo i złoto w świetle późnego popołudnia, a obaj mężczyźni nabrali do płuc czystego, słonego powietrza.

Młody rycerz podjął poprzedni wątek.

- Wróciłem do domu trzy lata temu, tuż przed moimi osiemnastymi urodzinami.

- Czy mogę spytać, co cię tam zawiodło?

- Nie co, sir Williamie, ale kto. Edward Plantagenet. Lubił nazywać się *Malleus Scottorum*, Młotem na Szkotów. Nie podobała mu się myśl o tym, że miałbym żyć dalej po śmierci mojego ojca. — Zerknął z ukosa na Sinclaira i wykrzywił usta w ponurym uśmiechu. - Mój ojciec też miał na imię William i był zagorzałym buntownikiem. Sir William Douglas nie był niczyją marionetką. Zmarł w Tower w Londynie; niektórzy mówią, że ze zgryzoty spowodowanej uwięzieniem. Inni powiadają, że postradał w więzieniu zmysły. A jeszcze inni, dobrze poinformowani i prawego charakteru, powiedzieli mi, że Edward kazał go zamordować. Może nigdy nie dowiem się

prawdy. Lecz ówczesna sytuacja sprawiła, że rodzina wysłała mnie do Francji, abym odebrał tam wykształcenie i był bezpieczny, i tam spędziłem pięć ważnych lat w domu Williama Lambertona, arcybiskupa Saint Andrews i prymasa Szkocji. Znasz go? Will pokręcił głową.

— Słyszałem o nim, lecz nigdy się nie poznaliśmy.

Douglas skinął i ruszył dalej po schodach na dziedziniec z ubitej ziemi, aż dotarł do glinianego murku zbudowanego po tylnej stronie palisady z niedawno ociosanych kłód. Byli tam inni, którzy rozmawiali w dwójkach i trójkach, lecz nie zwrócili na nowo przybyłych uwagi. Douglas szedł dalej, aż stanęli sami u szczytu muru obronnego, skąd mieli wspaniały widok na zatokę. Will położył dłoń na zaostrozonym końcu jednej z potężnych kłód palisady, a potem odwrócił wzrok od morza i rozejrzał się dookoła.

- Skąd wzięły się te drzewa?

— Anglicy ścięli je i przyciągnęli tutaj z wyżyny leżącej ponad wrzosowiskiem na zachodnim krańcu wyspy. Tam, na zboczach, jest las, a przynajmniej był, zanim ścięli wszystkie największe drzewa. Pewnie przewieźli je okrętami wzdłuż południowego wybrzeża. - Douglas zamilkł, krzyżując ramiona na piersi, a potem spojrzął z namysłem na Willa. — Powiedz mi zatem, sir Williamie, w jaki sposób rycerz staje się przełożonym admirała Zakonu?

Will się uśmiechnął.

- To wszystko kwestia rangi, sir Jamesie. Należę do Rady Zakonu i przysłał mnie tu nasz wielki mistrz, sam sir Jacques de Molay.

— Co oznacza, że mistrz darzy cię estymą, choć nie znaczy dla mnie wiele więcej. - Douglas pochylił głowę, a potem zapytał: - Dlaczego, sir Williamie, jesteś w Szkocji króla Roberta w towarzystwie admirała floty Zakonu? Możesz mówić otwarcie, ponieważ jesteśmy tu sami, a ja dowodzę na Arran.

Will spojrzął na młodzieńca, ważąc swoje następne słowa, i wyglądało na to, że sir James jest gotów dać mu czas.

- Powiem ci - rzekł w końcu. - Lecz najpierw będę ci wdzięczny, jeśli zechcesz odpowiedzieć na kilka pytań, które możesz uznać za zu chwałę. - Młody człowiek ruchem głowy pokazał, że słuca i czeka na pytania. - Jak to się stało, że sprawujesz władzę na Arran?

Douglas uniósł brew.

- Rządę całym południowym zachodem z łaski króla Roberta. Lecz jeśli chodzi o Arran, zarówno władzę na wyspie, jak i tytuł przejąłem w styczniu tego roku. Przybyliśmy, aby ukraść zapasy, ale garnizon Angoli zajęty był budowaniem fortu. Wyrzuciliśmy ich, a potem zdobyliśmy okręty, które przybyły, aby dostarczyć im prowiant, i ogłosiliśmy, że Arran jest nasza, że stanowi część królestwa Szkocji. Jedynie podkreśliliśmy fakt... Arran stanowi własność rodu Bruce od czasu, kiedy czterdzieści lat temu król Aleksander pokonał Haakona i jego Norwegów pod Largs. Może i Anglicy wrócą, lecz będziemy na to gotowi, a oni mniej pewni siebie niż wcześniej. W ciągu ostatnich kilku miesięcy król poczynił znaczne postępy, zarówno tutaj na południu, jak i w innych częściach wyspy.

- Gdzie zatem trzymacie więźniów?

-Jakich więźniów? Nie mamy żadnych.

- Ale... - Will ugryzł się w język. Uważnie dobierał słowa. - Posłałście ich do domu, do Anglii?

- Nie. Nie było żadnych jeńców. - Zobaczył w oczach Willa niedowierzanie i dodał: - Nikogo nie pojмалиśmy.

- Nikogo... nie pojmalıście. - Willowi przez chwilę nic więcej nie przyszło do głowy, lecz potem odchrząknął. - To może cię obrazić, sir Jamesie, lecz wydaje mi się, że jesteś bardzo młody na taki...

- Cynizm?

- Chciałem powiedzieć „brak miłosierdzia”.

- Ach. Brak miłosierdzia. - Młody człowiek znów wyszczerzył zęby w tym samym ponurym uśmiechu, z którym mówił o buntowniczości swojego ojca. - Jak długo nie było cię w Szkocji, sir Williamie?

- Od wielu lat, ponad dwudziestu.

-A we Francji?

- Byłem tam całkiem niedawno. Przedtem służyłem na całym świecie... zanim straciliśmy Ziemię Świętą.

- A jak dokładnie informowano cię w tym czasie o sytuacji w Szkocji? Will wzruszył ramionami.

- Prawie wcale. Moje obowiązki i troski związane były wyłącznie z Zakonem, zgodnie ze ślubami. Jedynym moim źródłem informacji była młodsza siostra. Píše do mnie czasem i obawiam się, że zawartość tych listów stanowi całą moją wiedzę na temat Szkocji, a ich treść przedstawiona jest z punktu widzenia kobiety.

- Rozumiem... No cóż, panie, uwierz mi, kiedy powiem ci, że przez te lata w Szkocji panowało okrucieństwo, które rzadko widywano w Ziemi Świętej, nawet podczas upadku Jerozolimy. Tutaj, w tym małym królestwie, niewybaczalne okrucieństwo wymierza bezsilnym ludziom człowiek, którego kiedyś nazywano wiodącym rycerzem świata chrześcijańskiego. Edward, król Anglii, nauczył mnie i moich ziomków wszystkiego na temat miłosierdzia i jego zastosowań, a jego baronowie i ich armie dopełniły mojego wykształcenia. Nas, Szkotów, jest niewielu; jesteśmy na łasce Anglików, kiedy postanawiają nas zaatakować, tak jak w ciągu ostatnich dziesięciu lat i wcześniej. A w przyszłości, mimo śmierci Plantageneta, nacierać będą znów, z coraz większymi siłami i coraz zajadlej. Uważasz, że jestem bezlitosny. No cóż, przyznaję: teraz tak jest. Nauczyłem się bowiem w trudny i gorzki sposób, że jedynym skutkiem okazywania litości tym wrogom jest pogarda, a ostatecznie śmierć. Anglik, czy jest królem, baronem czy hrabią, nie szanuje nas jako ludzi, a już na pewno nie jako ludu. Dla nich jesteśmy szumowinami i tak nas traktują, pałac, gwałcą, wieszając i rabując, wyrzynając nas masowo i nie dbając ani o swoje człowieczeństwo, ani o nasze.

Uniósł dłoń, choć Sinclair ani myślał przerywać.

- Wiem, co myślisz, ponieważ ja też tak kiedyś myślałem... dawno temu, jako osiemnastolatek. Sądzisz, że brukam kodeks rycerski. No cóż, i ja kiedyś stawałem w szranki, lubiłem wielkie gesty, żyłem według kodeksu. Lecz kiedy wróciłem do Szkocji, Anglia i jej zauszniczy szybko pokazali mi, że się mylę. W Szkocji nie ma rycerskiego kodeksu, przyjacielu. Z pewnością nie wśród Anglików. Och, wszyscy oni oddają mu cześć czczymi słowami i podsycą on ogień ich oburzenia względem tego, co nazywają naszymi zbrodniami. - Ponownie machnął ręką, tym razem przerywając samemu sobie. - Ach! Nie ma sensu mówić o tych rzeczach. Tylko bardziej się od tego złoścę.

Milczał przez chwilę, a jego młoda twarz pociemniała z gniewu. Potem ciągnął:

- Powiem jeszcze jedno i zakończę ten temat. W przeszłości wypuszczaliśmy na wolność angielskich jeńców, ludzi z dobrych rodów i o świetnej reputacji, i widziałem, jak ci sami ludzie wracają i wyzywają się na bezsilnych i niewinnych: kobietach, dzieciach i starcach zbyt zmęczonych na walkę. I wiem, że całe miasta, jak Berwick, zrów-

nano z ziemią i zabito wszystkich mieszkańców; wiciu z nich spalono żywcem lub zamurowano w kościele, gdzie szukali schronienia. A wszystko za to, że sztydził z Plantageneta, kiedy podprowadził swoje armie pod ich mury. Jeśli łaska, nie mów mi już zatem o miłosierdziu lub jego braku.

Odwrócił się na pięcie i obrzucił piorunującym wzrokiem grupkę ciekawskich, których przyciągnął jego podniesiony głos, choć nie rozumieeli ani słowa z jego przemowy. Zmieszani jego gniewem umknęli z minami winowajców, a on w końcu spojrział ponownie na Sinclaira, który prawie się nie ruszył. Do tego momentu Douglas zdążył się już jednak opanować i uśmiech, którym teraz obdarzył rozmówcę, był szczery, choć smutny.

- Wiem, co ci chodzi po głowie, panie, i przyznaję: jestem młody. - Mówił teraz po szkocku, jakby ten język lepiej pasował do ła godniejszego nastroju. — Król Robert mówi, że zapalczywy. Lecz zaręczam, sir Williamie, mam zamiar się poprawić. - Wyprostował nagle ramiona i uniół głowę, jakby zbywał tak poufne tematy. - No dobrze, sądzę, że mamy pewne sprawy do załatwienia, a ja tu marnuję twój czas. Pytałem, dlaczego przybyłeś do Szkocji, z admirałem na własne rozkazy?

Will odwrócił się plecami do morza i oparł o palisadę, krzyżując ramiona. On też przemówił po szkocku, cicho.

- Przybyłem, szukając twójgo króla, w nadziei, że znajdę schronienie.

Douglas rozdziawił usta i jasne było, że żadne słowa Sinclaira nie zdziwiłyby go bardziej. Lecz zanim zdążył odpowiedzieć, otworzyły się nad nimi drzwi wielkiej sali i wysypali się przez nie rozgadani mężczyźni, wśród nich rycerz Robert Boyd z Noddsdale. Will stał twarzą do nich i od razu dostrzegł, że choć pozostali są mocno podchmieleni, szkocki rycerz jest trzeźwy. Natychmiast odnalazł wzrokiem Douglasa.

- Sir Jamesie! - zawołał. - Chcę zamienić z tobą słowo.

Douglas przywołał go gestem, a Boyd zszedł po schodach. Kiedy podszedł, skinął głową Willowi. Powiedział im, że sądzi, iż polecenia dla kucharzy należy wydać teraz, skoro - jak podejrzewał - sir James będzie miał gości na wieczery. Douglas się zgodził i wydał kilka zwięzłych rozkazów, odprawiając stojących powyżej ludzi i zapraszając ich, aby przyszli zjeść tego wieczora jak zwykle. Przekazał też przeprosiny

dla admirała i kazał wyjaśnić mu, że on i sir William wrócą już niedługo. Poleciał również Boydowi, aby spytał admirała, czy zechce zaprosić swoich ludzi na łód, aby mogli ucztować razem z resztą. Odprowadził Boyda wzrokiem, a potem znów odwrócił się do Willa. Grupa ludzi, która wraz z Boydem opuściła salę, zbliżała się teraz do miejsca, gdzie stali, a dalej podążali następni, przekomarzając się dobrodusznie podniesionymi głosami. Douglas nie zwrócił na nich uwagi, pewien, że nie przerwą im rozmowy.

- Schronienie. Szukasz w Szkocji schronienia. Podczas wojny domowej. Oszalałeś? A przed czym Zakon miałby się chronić?

- To długa historia, opowiem ją pokrótce, kiedy dołączymy do sir Edwarda, a tłum się rozejdzie. Czy wiesz, gdzie mogę znaleźć króla?

Douglas pokręcił głową, zerkając na tłum.

- Tego nie wiem. Król znajduje niewiele otuchy we własnym kraju. Wyznaczono nagrodę za jego głowę i wydaje się, że ma więcej wrogów wśród Szkotów niż wśród Anglików. W ciągu ostatnich kilku miesięcy prowadził kampanię na północy, wschodzie i zachodzie.

- Przeciwno Comynom.

- I tak, i nie. Jeszcze nie przeciwko nim samym, choć nadejdzie także ich pora. Przeciwno Comynom i im podobnym, między innymi Janowi MacDougallowi z Lorne i MacDowalom z Galloway. MacDowalowie są na razie zastraszeni, ale sprawa z nimi jeszcze się nie skończyła. Ich ziemia w Galloway to dymiąca ruina, lecz mogą się jeszcze zebrać do walki. Do moich obowiązków należy między innymi upewnienie się, że tak się nie stanie. Jego Miłość spędził dużo czasu, unikając ich, a jednocześnie usiłując zebrać przeciwko nim armię, lecz jak zawsze brakuje mu funduszy, a zwykłymi obietnicami wielu dobrych ludzi nie kupisz. Ostatniej jesieni ziemie MacDowalów zapłaciły cenę za zdradę.

Will podjął szybką decyzję.

- No cóż, może mu w tym pomogę, jeśli tylko uda mi się go znaleźć.

Douglas natychmiast wzmógł czujność.

- Co masz na myśli? Pomóc mu w czym, w walkach w Galloway?

- Nie, w sprawie funduszy. Na pokładzie jednego z moich okrętów jest skarb dla niego.

- Jednego z twoich...? — Myśli Douglasa już przeskoczyły do sedna tego, co usłyszał. -Jakiego rodzaju to skarb?

- Spory. Król będzie mógł kupić za niego ludzi i oręż. Sześć skrzyń złota w sztabach i monetach oraz pięć podobnie podzielonego srebra, przywiezionych mu przez jedną z jego najbardziej lojalnych poddanych: baronową Saint Valery, najmłodszą siostrę sir Tomasza Randolpha.

- Bratanka króla? To niemożliwe. Sir Tomasz jest w Anglii, pojmano go w zeszłym roku podczas bitwy pod Methven... - Pokręcił głową. - Lecz on nie ma młodszej siostry, która byłaby dość dorosła, aby być baronową.

- Nie, panie, mylisz się. Sir Tomasz jest w moim wieku, może o pięć lat starszy. Nie jest bratankiem Bruce'a i ma wiele sióstr.

- Ach! To dwaj różni ludzie. Obawiam się, że tamten sir Tomasz nie żyje. Teraz jego syn jest sir Tomaszem Randolphem.

- Jego syn? A zatem jest pewnie niewiele starszy od ciebie.

Po ustach Douglasa przemknął uśmiech.

- Wydaje mi się, że jest młodszy. Nigdy go nie poznałem, ale słyszałem, że to młodzieniec, w którym płonie czysty duch rycerski. On nigdy nie odmówiłby łaski wrogowi.

Will nie był pewien, co na to odrzec, więc zamiast tego zapytał:

- Starszy sir Tomasz miał młodszego brata, Edwarda. Znałeś go?

Douglas spojrział na niego z uniesionymi brwiami.

- Ano. On też nie żyje. Zabity pod Methven.

- Ach! - W cichym westchnieniu słychać było ból. — A zatem Peggy jest sama... Moja siostra. Była żoną sir Edwarda.

-A więc znów przekazuję złe wieści, choć nieumyślnie... - Jego smutny wyraz twarzy wyraźnie mówił o tym, że myśli o wielu innych okazjach, kiedy niósł podobne wiadomości kobietom czekającym na swoich mężczyzn.

Will odchrząknął i zmienił temat.

- Mówisz o tej bitwie pod Metlwen, jakbym powinien o niej wiedzieć. Lecz nie wiem nic. Co się tam wydarzyło?

Douglas spojrział mu prosto w oczy, a Willowi przyszło do głowy, że ma przed sobą niezwykle szczerego młodego człowieka, który potrafił zaakceptować własne niedostatki i wbrew nim dopiąć swego.

- Nie wiesz nic o Methven? Wybacz niedowierzanie, lecz wydaje mi się niebywałe, że może istnieć rycerz, i to szkocki, który nic nie wie o tej bitwie. Najwyraźniej się mylę... No cóż, otrzymaliśmy tam lekcję angielskiego honoru i rycerskości. Znasz to miejsce?

-Nie.

- Leży blisko Perth, pierwszej kontrolowanej przez Anglików twierdzy, której król Robert rzucił wyzwanie po swojej koronacji. Mam nadzieję, że słyszałeś o Perth? - Will kiwnął głową, lecz młodzieniec tylko zartował i nie czekał na odpowiedź. - Miasto okupował Aymer de Valence, hrabia Pembroke i głównodowodzący Anglików w Szkocji; nasz najazd go zaskoczył. Prowadził wtedy odwetową kampanię na wsi, pustosząc ją, i zatrzymał się w Perth jedynie przejazdem, więc nie był w stanie odeprzeć oblężenia. Przybyliśmy przed bramy miasta w niedzielę po południu i okazało się, że są zabarykadowane; król wyjechał sam do przodu i w duchu rycerskiego kodeksu rzucił de Valence'owi wyzwanie, aby wyszedł i walczył. De Valence odmówił, ponieważ był Dzień Pański, lecz zapowiedział, że spotka się z nami następnego dnia. Ta odpowiedź była rozsądna, więc wycofaliśmy się aż do leżącego jakieś pięć mil dalej Methven, aby rozbić obóz na noc... A kiedy już się kładliśmy, nasze konie były rozsiodłane i przywiązane do palików, angielska kawaleria przypuściła na nas w ciemnościach atak. Nastąpił pogrom, a atak ten był łajdacki, pozbawiony śladu honorowego zachowania czy rycerskości. Straciliśmy setki dobrych ludzi, a ciężko ranny król Robert ledwie uszedł z życiem; wyniosło go stamtąd kilku ludzi, w tym ja.

- Dokąd poszliście, skoro król był ranny?

- Uciekliśmy do lasu. Kiedy już się upewniliśmy, że król przeżyje, przez kolejne trzy tygodnie przedzieraliśmy się po kryjomu na północny wschód, w stronę Inverness.

- Dlaczego tam? To daleko od Perth.

- Tak, ale też daleko od Aymera de Valence'a. Król miał tam umówione spotkanie ze swoimi kobietami.

- Swoimi kobietami?

-Ano. Była tam królowa, córka króla, Marjory, a także jego siostry, Mary i Isobel, hrabina Buchan. Koronowała ona króla, kiedy jej brat, hrabia, na którym spoczywał ten obowiązek, odmówił. Należy oczywiście do rodu Comynów... Hrabina pochodzi z MacDuffów, prastarego rodu, który koronował królów Szkocji od czasów Kennetha MacAlpine'a. Tak, od tamtego dnia mieliśmy w orszaku tuzin kobiet.

-To mnie dziwi... Mam na myśli to, że król brał ze sobą kobiety.

Douglas wytrzeszczył na niego oczy.

- A co innego mógł zrobić? Gdzie miałby je zostawić, skoro cała południowa część królestwa była albo w rękach Anglików, albo Comynów? Jedyne miejsce, w którym mogły czuć się naprawdę bezpiecznie, było u jego boku.

Will skinął głową, zaczynając rozumieć, co Douglas mówił wcześniej o sytuacji w Szkocji.

- Rozumiem. Co więc stało się potem?

- Głupota, zdrada i kolejne łajdactwa. Niecałe dwa tygodnie po dotarciu do Inverness wjechaliśmy w pułapkę w dolinie Glenfillan, koło Glen Dochart na ziemiach Macnaba, w miejscu zwanym Dal Righ. Aleksander MacDougall z Argyll, szwagier Comynów, posłał tam tysiąc ludzi z własnych ziem, aby nas wybebeszyli, z błogosławieństwem Macnaba. Ale udało nam się stamtąd wydostać, choć straciliśmy cztery piąte naszej siły. Dość rzec, że potem rozdzieliliśmy tę resztkę naszej drużyny, która przeżyła. Król poszedł wraz z tuzinem innych ludzi pieszo przez wrzosowiska, a znacznie większa i silniejsza grupa królowej pojechała konno schronić się na północnym wschodzie, w Kildrummy w hrabstwie Mar, pod opieką brata króla, sir Ni-gela Brucea. Pojechał z nimi Dawid, biskup Moray, John de Strath-bogie, hrabia Atholl, sir Robert Boyd i wielu innych.

- Jak dawno to było?

- Ponad rok temu, w lipcu.

- A czym zajmował się król od tamtej pory?

- Zeszłej zimy żył niczym dzikus na wyspach, zyskując sobie poparcie miejscowych, żywiąc się tym, co upolował, i walcząc o zjednoczenie królestwa. Przez ten cały czas usiłował też nie ugiąć się pod swoim brzemieniem, które codziennie staje się cięższe.

- Co to za brzemień?

Douglas odwrócił wzrok, krzyżując ramiona, a Will spodziewał się, że nie odpowie, lecz ledwie to pomyślał, młodzieniec odezwał się:

- Och, na przykład utrata trzech z jego czterech braci, Nigela, Aleca i Tomasza, zdradzonych przez szkockich możnych i wysłanych do Edwarda, do Anglii, gdzie powieszono ich i rozerwano koźmi niczym bandytów. Pojmanie jego żony, królowej Elżbiety, córki Marjory oraz sióstr Mary, Christiny, hrabiny Mar oraz hrabiny Buchan. Wszystkie również wysłano do Anglii, tym razem za sprawą Johna Comyna, hra-

biego Ross. Podobno królowa jest przetrzymywana gdzieś na północy Anglii. Trzynastoletnia księżniczka Marjory jest zamknięta w klatce zawieszanej na zewnętrznej ścianie Tower w Londynie; wszyscy mają zakaz rozmawiania z nią. Lady Mary Bruce, siostra króla, wisi w podobnej klatce na murach zamku Roxburgh. Lady Christine z Mar, kolejną jego siostrę, uwięziono w klasztorze. A Isobel, hrabina Buchan, siedzi w klatce na murach Berwick.

- Dobry Boże! I wszystko to robota Edwarda? Ale z pewnością teraz, po jego śmierci...

- Nic się nie zmieniło. I już się nie zmieni. Edward z Caernarvon nie jest taki jak jego ojciec, lecz nienawidzi równie mocno. Opuścił tę krainę w zeszłym roku, w sierpniu, z liczącą prawie dwieście tysięcy ludzi świtą. Przez jakiś czas myśleliśmy, że pomaszeruje na północ, szukając nas, a to oznaczałoby kres wszystkiego, lecz dzięki Bogu jego koronacja miała odbyć się we wrześniu w Londynie. Zmarudził zbyt długo, nie atakując nas, i odszedł, a my wiedzieliśmy już, jak wielką siłę zebrał. Dwieście tysięcy ludzi przeciwko naszym trzem tysiącom. Przyszli i poszli, lecz kiedyś wrócą, choć zaufane źródło w Anglii zawiadomiło nas, że król ma na razie dość problemów z własnymi baronami, aby zapomnieć o nas na chwilę. To dało królowi Robertowi szansę na oczyszczenie swego królestwa ze zdrajców. Najpierw zajął się MacDowalami z Galloway i dał im poznać smak zdrady. Potem nadeszła kolej MacDougallów z Argyll; wymusił rozejm na synu ich wodza, Kulawym Janie MacDougallu z Lorne. Jego ojciec, stary Aleksander, nie może już ani maszerować, ani walczyć, więc tak naprawdę rządzi tam Kulawy Jan. Warunkiem rozejmu jest brak aktów wrogości do czerwca przyszłego roku. Obawiam się, że król powinien był zakończyć to wtedy, lecz nie chciał stracić zbyt wielu ludzi w otwartej walce. Nie jesteśmy jeszcze na to dość silni. Potem pomaszerował na północny wschód, wzdłuż Glen More, i zajął zamek w Inverness. To było pierwsze zwycięstwo od czasu jego koronacji. Wszystkie inne zamki w królestwie wciąż są w rękach Anglików.

Po tych słowach nastąpiła długa przerwa, a Sinclair usiłował pojąć to, co usłyszał; próbował wyobrazić sobie efekt, jaki ów ciąg rodzinnych katastrof musiał wyrzucić na królu. Jakim sposobem po tym wszystkim nie utracił możliwości funkcjonowania jako człowiek, a co dopiero jako monarcha? Will potrząsnął głową, jakby chciał ją

oczyścić, a Douglas znów cicho przemówił, jakby czytał mu w myślach.

- Straty w rodzinie bardzo go dotknęły, ale też wzmocniły. Człowieka mniejszego formatu rzuciłyby one na kolana; wiem, że w moim przypadku by tak było. Lecz nie w jego... Mimo to zastanawiam się czasem, jak potrafi powstrzymać się przed wysłaniem swoich wrogów po kolei i zabiciem każdego osobiście. On jednak tego nie zrobi. Przede wszystkim uważa się za monarchę, odpowiedzialnego za swój lud, a dopiero w drugiej kolejności, kiedy spełni już swe obowiązki, za głowę rodziny, człowieka odpowiedzialnego za krewnych i przyjaciół. Jednak w ciągu ostatnich kilku miesięcy pojawiły się znaki, iż los się odmienia. Jeszcze nie dość, ale zawsze. Jest nadzieja, która cały czas rośnie. Wygraliśmy kilka potyczek i coraz więcej ludzi jest po naszej stronie, i choć to nie można, tylko proste chłopstwo, jesteśmy silniejsi niż kiedykolwiek od czasu Metlwen. Ale król Robert nie chce słyszeć o otwartych bitwach, bowiem jest w stanie wystawić tylko niecałe trzy tysiące wojów przeciwko dziesiętkom tysięcy Anglików i Comynów... To się zmieni, kiedy już przejmie inicjatywę w walkach z Comynami.

- Dlaczego zatem jesteś tu, na Arran, sir Jamesie? Myślałem, że twoje miejsce jest u boku króla.

- Nie, moje miejsce jest tutaj. Mam strzec południowego zachodu do czasu powrotu króla. Na razie utrzymuję tu spokój, lecz każdy zamek w kraju wciąż jest obsadzony angielskimi garnizonami. Ponad nami, na północy i wschodzie, MacDougallowie i MacDowalowie wciąż roją się niczym robactwo w Lorne i Galloway, pielęgnując swoją nienawiść. Na Arran jest teraz bezpiecznie, ale to może się zmienić razem z następnym żaglem, który pojawi się na horyzoncie... Jeśli o tym mowa - dodał, zmieniając temat - mówiłeś o swoich okrętach, kiedy wspominałeś o skarbie. Widzę tylko jeden, więc najwyraźniej masz też inne. - Will skinął głową z zaciśniętymi ustami, a Douglas zmrużył oczy. — Ile i gdzie?

- Są niedaleko, czekają na moje rozkazy. Powiedziałem ci, że szukamy schronienia, lecz nie wiedziałem, jak zostaną przyjęte i co tu znajdzie. Zostawiłem okręty na bezpiecznym kotwicowisku, skąd mogłyby wypłynąć bez przeszkód niezależnie od tego, co byśmy znaleźli.

Douglas przygryzał górną wargę w zamyśleniu, podczas gdy ota-

czający ich hałas i brewerie przybierały na sile. Potem wyprostował się i nabrał głęboko powietrza.

- Chodź ze mną, jeśli łaska. Są ludzie, którzy powinni wysłuchać tego, co masz do powiedzenia... i wielu innych, którzy nie powinni. Trzymaj zatem odtąd język za zębami, aż dam ci znak. Zgadzasz się?

Will uśmiechnął się szeroko, nie mogąc oprzeć się instynktownej sympatii do tego smagłego młodzieńca o lśniących i wyrazistych niebieskich oczach.

- Z przyjemnością - powiedział, a potem podążył za Douglasem, przecinając szeroki dziedziniec i wspinając się po drewnianych schodach do sali zamkowej.

Potężna komnata była teraz niemal pusta, a Will zatrzymał się tuż za progiem i z zaskoczeniem ujrzał, że wygląda inaczej, niż kiedy widział ją po raz pierwszy. Gdy wypełniał ją tłum ludzi, uznał, że to jedno duże pomieszczenie z wysokim sklepieniem opartym na filarach i potężnych dźwigarach. Teraz jednak dostrzegł, że po obu końcach są drzwi do dwóch kolejnych wielkich komnat, a szerokie schody pnące się od strony ściany naprzeciwko głównego wejścia prowadzą do podzielonych przepierzeniami pomieszczeń znajdujących się powyżej. Na platformie po jego lewej mieściło się kilka izb z zasłonami zamiast drzwi, połączonych wspólnym korytarzem. Platforma po prawej - zapewne o podobnym układzie - wyposażona była w drewnianą ścianę od strony sali, zapewniając mieszkańcom prywatność. Will zakładał, że rezyduje tam dowódca. Całość była nowa i prosto, lecz solidnie zbudowana, a na drewnianych belkach wciąż widać było świeże ślady siekiery i ciosła. Dostrzegł jednak, że cieśle wygładzili już i wykończyli największe powierzchnie, szczególnie ścianę półpiętra zarezerwowanego dla dowódcy. W tylnej ścianie, między dwiema kondygnacjami schodów, znajdował się wielki kamienny kominek, w którym buzował ogień; jedynie patrząc na niego i czując zapach unoszących się lekko w powietrzu smug dymu, Will poznał, że rozpalono go niedawno. Pod ścianami po bokach mała armia ludzi zaczynała przygotowywać stoły i ławy do zbliżającej się uczy, wynosząc je ze stert, w które były ułożone w kątach, i ustawiając w rzędach na środku komnaty.

Wszystko to Will ogarnął wzrokiem w mgnieniu oka. Zauważył też, że w sali roiło się teraz od wielkich psów, żylastych, długonogich, szorstkowłosych wilczarzy, które pamiętał z dzieciństwa, lecz rzadko

widywał we Francji. W różnych częściach sali - dość daleko od siebie, aby być poza zasięgiem głosu — rozmawiały cicho trzy grupki mężczyzn, z których największa liczyła czterech. Był wśród nich de Berenger. Stał jakieś dziesięć kroków od Willa i właśnie się odwrócił, aby na niego spojrzeć. Wcześniej rozmawiał z jednym ze szkockich rycerzy, którego Will poznał tego dnia, lecz jego imię dawno już zapomniał. Przyglądając się nieznajomemu, Will poczuł, jak Douglas bierze go za łokieć.

- Chodź, widzę, że twój admirał poznał biskupa Moraya. Za twoim pozwoleniem zostawię cię z nimi na chwilę, ponieważ przed dalszym ciągiem naszej rozmowy muszę załatwić kilka spraw.

Ruszył przed siebie, lecz Will powstrzymał go, kładąc mu rękę na ramieniu i pytając:

- Biskup Moray? Czy to ten sam, który jechał na północ z królową i jej damami?

- Ten sam.

- Czy on należy do ludzi, którym ufasz?

Douglas wyszczerzył zęby, a jego uśmiech na chwilę rozjaśnił półmrok.

- Dawidowi można ufać, wierz mi.

Zaprowadził Willa do dwóch mężczyzn i ponownie przedstawił go Morayowi, który wcale nie wyglądał na biskupa. Był niewysoki, lecz niezwykle szeroki w ramionach i klatce piersiowej, a o tym, że jest praktykującym członkiem Kościoła wojującego, świadczyło jego pełne uzbrojenie. Na rozchylonych połach sięgającej do łydek i rdzewiejącej, lecz wciąż giętkiej kolczugi wyraźnie widać było trzy rozcięcia, ślady po zadanych niedawno ciosach. Pod kolczugą miał getry z tych samych ogniw, a na nogach - solidne, znoszone buty o grubych podszewkach. Głowę przykrył luźnym kapturem ze sfilcowanej wełny o niezapiętych pod brodą paskach, a kaptur od kolczugi, który powinien go przykrywać, wisiał mu na plecach. Biskup przypasał długi sztylet o nieozdobionej rękojeści, a szeroki pas przecinający jego pierś podtrzymywał ciężki miecz w poobijanej pochwie.

- Cieszę się, że tu jesteś, Dawidzie - powiedział Douglas znów po francusku, kiwając głową admirałowi. - Sir William pytał mnie o obecną sytuację w naszym królestwie. Pomyślałem jednak, że lepiej będzie, jeśli porozmawia z tobą i usłyszy racjonalną opinię Kościo-

ła, a nie moje krewkie poglądy na to, co się dzieje i kto zasługuje na śmierć. Sir Williamie, Dawid od początku jest jednym z najzagralszych stronników króla. Może powiedzieć ci wszystko, co chcesz wiedzieć... rzeczy, o których ja nie wiem. To bardziej wojownik niż kapłan, o czym świadczą wgniecenia w jego kolczudze, ale jednak jest księdzem, rozsądniejszym i bardziej przenikliwym niż ja, więc zostawię cię z nim. - Wskazał na szczególnie jasne, srebrne rozcięcie na porzewiałej kolczudze biskupa. - Miałeś szczęście, Dawidzie. Ten cios mógł pozbawić cię nogi.

— Prawie tak się stało - rzekł z uśmiechem Moray. - Ale choć ja wtedy nie uważałem, Bóg czuwał.

—Oczywiście, że tak. Wrócę, kiedy tylko będę mógł.

Moray odwrócił się do Willa.

—No cóż, panie, co myślisz o naszym młodym Jamesie?

Will patrzył, jak Douglas wbiega po schodach prowadzących na półpiętro, przeskakując po dwa stopnie naraz.

-To niezwykle młodziwiec... Bardzo młody jak na pokładane w nim najwyraźniej zaufanie.

Biskup się zaśmiał.

—Faktycznie, jest młody, lecz to paladyn. Mimo swojego wieku jest jednym z naszych najlepszych dowódców, a jeśli przeżyje, stanie się najlepszym. Prędko się uczy i nigdy nie powtarza tego samego błędu. Dorósł przerażająco szybko, co widzą ci z nas, którzy go znają. Stał się też jednym z najbliższych i najbardziej zaufanych przyjaciół i doradców króla, choć żaden z nas nie znał go do zeszłego roku. Po ich spotkaniu król Robert osobiście pasował go na rycerza, dzień przed własną koronacją w Scone. - Jego dłoń opadła bezwiednie i zaczął bawić się sztyletem wiszącym u pasa. - Masz jakieś pytania. Pytaj zatem, a ja odpowiem w miarę swoich możliwości.

—Dziękuję, księże biskupie. Nie wiem, od czego zacząć.

—Zacznij od zwracania się do mnie po imieniu. Jak powiedział Jamie, od dwóch lat jestem bardziej wojem niż biskupem, a poza prezbiterium, z dala od kapy i mitry, wolę swoje imię od tytułu... Zważ, Jamiego Douglasa miesiącami musiałem przekonywać, żeby mówił mi po imieniu. Czego najbardziej chcesz się dowiedzieć?

—Czegoś o królu i jego pozycji. Słyszałem, że jest ekskomunikowany.

- Hm... "Według niektórych tak. Lecz w tym twierdzeniu jest więcej polityki niż religii. Dzięki Bogu, w szkockim Kościele są ludzie, którzy widzą sprawy z innej perspektywy; do najważniejszych należy nasz prymas, arcybiskup Lamberton, oraz biskup Wishart z Glasgow, drugi po arcybiskupie pod względem rangi i wpływów. Ci dwaj z czystym sumieniem i dla dobra królestwa Szkocji szczerze wierzą, iż Ojciec Święty otrzymał błędne informacje na temat tego, co owego dnia wydarzyło się między dwoma protektorami w kaplicy w Dumfries. Sądzą, że jego zrozumienie sytuacji zostało wypaczone przez doradców chcących krzewić własne wersje wydarzeń. Papież Klemens wydał swój osąd *in absentia*, z dala od Szkocji i jej problemów, i arcybiskup żywi pobożną nadzieję, że pewnego dnia Ojciec Święty pozna prawdę i anuluje swój interdykt. Tymczasem prymas, też z czystym sumieniem, postanowił nie egzekwować ekskomuniki... Co z kolei pozwala królowi rządzić państwem w czasie, kiedy ono najbardziej go potrzebuje.

Will zmarszczył czoło.

- Myślisz zatem, że arcybiskup Lamberton może wiedzieć, gdzie znaleźć króla?

- Nie. Tego jestem pewien. Arcybiskup jest więziony w Anglii, tak samo jak Wishart z Glasgow. Także ich zdradzili i sprzedali krajanie. Podobno Anglicy dość dobrze ich traktują, jak przystoi randze, jednak trzymają w zamknięciu.

- Rozumiem. A co z innymi biskupami w królestwie? Czy cały Kościół szkocki jest zjednoczony pod przywództwem arcybiskupa?

Moray prychnął z odrazą.

- Nie. Jak wspominałem, bardziej tu chodzi o politykę niż religię. Biskupi, którzy popierają Comynów, przeciwstawiają się królowi, zjednoczeni w zdradzie. Wciąż mają nadzieję, że zostanie on zdeponowany, a jego miejsce zajmie ich własny kandydat.

Will pokiwał głową, przyjmując wyjaśnienie biskupa.

- Powiedziałem to już sir Jamesowi, lecz nikomu innemu: należę do Rady Zakonu, a moim obecnym zadaniem obarczył mnie nasz wielki mistrz. Powierzono mi wielką sumę w srebrze i złocie, choć nie pochodzi ona ze skarbców zakonnych, i ma być ona przekazana królowi Robertowi. Czy znałeś sir Tomasza Randolpha, dawnego sir Tomasza?

- Toma? Znałem go dobrze. Czemu pytasz?
- Znałeś zatem jego najmłodszą siostrę, lady Jessicę?
- Tak, choć słabo. Spotkałem ją tylko raz, dawno temu. Wyszła za mąż za Francuza... Barona, jak sądzę.

- Barona Etienne'a de Saint Valery'ego. On też nie żyje, lecz przed śmiercią zgromadził spore bogactwo, które poprzez długi ciąg zdarzeń trafiło pod opiekę Zakonu. Wdowa po nim, baronowa, jest na pokładzie jednego z moich okrętów, stojących na kotwicy u brzegu Sandy, i chce przekazać ten skarb królowi Szkocji. Jeśli uda nam się go odnaleźć.

Biskup podrapał się w brodę.

- Ile tego jest?

- Dość dużo, aby kupić armię. Sześć skrzyń słota i pięć srebra.

-To wielki skarb... - Oczy Moraya zwięziły się chytrze. - Oczywiście w zależności od rozmiarów skrzyń. Jednak zastanawiam się, czy jest na tyle duży, aby konieczna była eskorta rycerza komandora i admirała floty zakonnej?

Will instynktownie zaufał Douglasowi, a teraz postanowił zaufać także biskupowi.

-Nie usłyszałeś jeszcze wszystkiego... nawet jednej dziesiątej. Ledwie udało nam się wywieźć skarb z Francji, aby nie przechwycił go zachłanny król Filip. Zrobiliśmy to dzięki ostrzeżeniu, które otrzymaliśmy na czas.

- Ostrzeżono was, że król Francji przybywa po złoto baronowej?

- Nie. Złoto baronowej było już w La Rochelle. To, że je uratowaliśmy, było jedynie łutem szczęścia. Ostrzeżono nas, że główny doradca króla, Wilhelm de Nogaret, planuje atak na Zakon we Francji rankiem trzynastego października.

Nastąpiła cisza, która zdawała się przeciągać, a na twarzy Moraya widać było, że zmagą się z tym, co usłyszał. W końcu pokręcił głową.

- Powtórz to. Co dokładnie powiedziałaś?

- O świcie trzynastego października, ledwie kilka tygodni temu, francuska armia zaatakowała jednocześnie każdą komturę i siedzibę Zakonu w kraju na rozkaz Wilhelma de Nogareta. Wszystkich tam obecnych, rycerzy, serwientów i braci świeckich, pojmano i uwięziono. Wszystkich naraz.

Biskup rozdziawił usta.

-To... niepojęte. Jak zatem tu przybyłeś?

- Jak powiedziałem: uprzedzono nas. Naszego mistrza powiadomiono o tym na miesiąc przed atakiem. Prawie nie uwierzył, lecz podjął kroki w celu zabezpieczenia floty przed taką zdradą, gdyby ostrzeżenie okazało się prawdziwe. W ostatniej chwili, żywiąc coraz większe przekonanie, że tak jest, wysłał mnie do La Rochelle, abym zawiadomił garnizon, przygotował flotę i bezpiecznie wyprowadził ją na morze w nocy poprzedzającej atak.

- Czy nastąpił?

- Byliśmy jego świadkami. Z tego, co wiemy, Zakon we Francji już nie istnieje.

-To niewiarygodne. Zakon już nie istnieje?

- Nie we Francji, przynajmniej w chwili obecnej. Tak sądzimy. Nie czekaliśmy dość długo, aby sprawdzić, na jaką skalę dokonano ataku, lecz widzieliśmy swoje w La Rochelle, a był to główny ośrodek Zakonu we Francji. Omówiliśmy wszelkie wyjaśnienia, jakie przysły nam do głowy: że może to jakieś nieporozumienie, że może to tylko podstęp króla mający na celu zastraszenie Zakonu, aby udostępnił mu swoje fundusze, że niezależnie od przyczyny nastąpią negocjacje i wszystko jakoś się rozwiąże...

- Lecz nie wierzysz w żadne z nich.

Will pokręcił głową prawie niedostrzegalnie.

- Nie. Sądzę, że król Filip zrobił to z rozmysłem i premedytacją, z zamiarem przechwycenia majątku Zakonu. Nie wydaje mi się, aby zrezygnował z tego planu. Tak naprawdę nie może tego zrobić. Był winien Zakonowi zbyt dużo pieniędzy, był bankrutem. Jeśli Zakon zniknie, on znów stanie się wypłacalny, pozbawiony długów i będzie miał fundusze na spełnienie wszystkich swoich życzeń. Zakon we Francji jest skończony. - Will zerknął na de Berengera, którego twarz miała nieodgadniony wyraz. - Wybacz obcesowość, Edwardzie, ale właśnie zdałem sobie z tego sprawę.

De Berenger skinął głową.

- Nie prosz o wybaczenie, przyjacielu. Zgadzam się z tobą. Musimy zatem postawić pytanie: co teraz?

Moray wciąż myślał o ostatnich słowach Willa, marszcząc czoło.

- Tak rażący akt przemocy wymagałby co najmniej zatwierdzenia przez papieża, jeśli nie jego otwartego poparcia.

- To prawda - rzekł Will. - I tak jak powiedziałeś, papież Klemens nie należy do najsilniejszych. Jest chwiejny i słynie ze słabości, a we Francji, pod rządami Filipa Papieżoróbcy, jest jedynie marionetką w rękach króla.

Moray nabrał z sykiem powietrza i wyprostował się jak struna, lecz zanim zdążył coś powiedzieć, koło de Berengera pojawił się sir Robert Boyd z Noddsdale, którego Will widział chwilę wcześniej, kiedy szedł po schodach.

- Księżę biskupie, sir James cię prosi. Masz pójść ze mną i tymi dwoma panami.

Moray spojrzał na de Berengera i Willa.

- Gdybym nie był biskupem, gotów byłbym się założyć, że będziecie musieli zapracować na swój chleb.

O lojalności i przyjaciołach

1

W komnacie ukrytej za drewnianą ścianą oddzielającą półpiętro od głównej sali czekało sześciu mężczyzn. Pomieszczenie było jasno oświetlone świecami i miało wysoki sufit; jego prawa, wyłożona drewnem ściana była wysokości rosnącego człowieka, a potem, pod dachem, opadała mocno nachyloną linią. W kącie po jednej stronie drzwi leżała sterta oręża: tarcze i miecze, topory i sztylety. W ścianę szczytową wbudowano kamienny kominek, a dwa małe okna, umieszczone wysoko po obu jego stronach, wpuszczały do środka gasnące światło wieczora.

Większość komnaty zajmował długi, wąski stół, na którym nie było nic poza trzema świecami w lichtarzach. Obecni siedzieli dookoła niego w różnych pozach i wszyscy podnieśli wzrok na wchodzących. Douglas siedział u szczytu stołu, twarzą do drzwi, a po jego obu bokach Will zauważył wodza klanu Campbell - przypomniał sobie teraz, że to sir Neil Campbell z Lochawe - oraz sir Roberta Boyda z Annandale. Młody naczelnik MacGregor z Glenorchy siedział przy Boydzie, a naprzeciwko niego był surowy z wyglądu człowiek, de Hay. Przy nim stało puste krzesło, a dalej, mniej więcej w połowie stołu, rozparł się kolejny, jeszcze bardziej posępny człowiek. Will ocenił go na dwadzieścia kilka lat; był więc młodszy od nich wszystkich z wyjątkiem Douglasa i MacGregora. Miał chudą twarz, czarną brodę i srogie wejrzenie. Will nie przypominał sobie, żeby go wcześniej poznał. Jako szósty miejsce przy stole zajmował Menteith z Arran, który przy tyłu rosnących kompanach wyglądał na jeszcze drobniejszego.

Kiedy Dawid Moray zatrzymał się przy drugim końcu stołu, Will i de Berenger stanęli przy nim, podczas gdy Boyd z Noddsdale zajął

swoje krzesło. Douglas przywitał dwóch odzianych w białe peleryny rycerzy szerokim uśmiechem ukazującym jego mocne zęby.

- Witajcie, panowie - zaczął, a potem odezwał się do de Berengera po francusku: - Obyś wybaczył mi to na pozór nieuprzejme wezwanie, admirale, lecz podczas rozmowy z sir Williamem postanowiłem, że inni tu obecni, jako *szkoccy* możni, powinni usłyszeć, co ma do powiedzenia, szczególnie w kwestii złota, które przywozicie naszemu królowi. Na pierwszy rzut oka to zaiste dobre wieści, lecz wymagają nieco... ostrożności. Siadajcie, jeśli łaska, i mam nadzieję, sir Williamie, iż nie masz nic przeciwko temu, że powtórzyłem im twoje słowa. Wszyscy tu obecni cieszą się zaufaniem króla.

Will ruszył w stronę najbliższego krzesła, lecz biskup powstrzymał go, kładąc mu rękę na ramieniu.

- Zanim zaczniemy, sir Jamesie, myślę, że powinienes wiedzieć, iż za wizytą sir Williama kryje się coś więcej niż to, o czym już słyszałeś.

Will poczuł, że zebranych od razu to zaciekało.

- Jak to? - Douglas pochylił się nieco, a Moray spojrział na Willa.

- Chcesz mówić, czy ja mam spróbować to wyjaśnić?

Will poczuł, jak wzbiera w nim całkowity spokój, i uśmiechnął się swobodnie.

- Jak sobie życzysz, księże biskupie. Ale jeśli ty opowiesz tę historię, będę przynajmniej wiedział, jak uważnie słuchałeś.

Moray kiwnął głową z cieniem uśmiechu na ustach, a potem spoważniał i popatrzył na de Berengera.

- Wybacz mi, admirale, będę teraz mówił po szkocku, ponieważ kilku z nas nie zna twego języka. Wiesz wszystko o tym, o czym będziemy rozmawiać, a sir William przetłumaczy ci wszelkie nowe kwestie, które powinienes znać. - Moray odwrócił się do pozostałych. - Sir William mówi mi, że poza naszym królestwem rozgrywają się do niesłe sprawy, które mogą mieć na nas szkodliwy wpływ. Będę mówił jasno, bowiem nie ma czasu na czcze gadanie. To, co powiem, wzbudzi wasze zdumienie, będą się wam cisnęły na usta pytania, lecz muszę was prosić, abyście po prostu przyjęli moje słowa. Są prawdziwe, więc to ani miejsce, ani czas na debatowanie nad nimi. - Przerwał, potoczył wzrokiem po mężczyznach siedzących przy stole, a potem pokrótce opisał atak króla na Zakon. - Obaj stojący przed wami rycerze, sir William z Rady Zakonu i sir Edward, admirał floty, sądzą,

że są jedynymi braćmi francuskiej gałęzi Zakonu, którzy nie zostali pojmani przez króla Filipa i jego ludzi.

Mimo ostrzeżenia biskupa w izbie rozległ się szmer komentarzy, a Moray umilkł, aby pozwolić mu ucichnąć. Kiedy znów się odezwał, od razu zapadła cisza.

- Żaden z nas nawet nie mógłby sobie czegoś takiego wyobrazić, znając Zakon, lecz nikt nie powinien choćby na chwilę uznać, że to nie nasza sprawa, że to nas nie dotyczy. Dotyczy nas wielce, i to na wiele sposobów, a pierwszym z nich jest ten, że ci ludzie szukają tu schronienia... może i tymczasowego, ale jednak. Nie wiedzą zaś, bowiem nie mogą tego wiedzieć, że... - Zawahał się przez moment, a potem mówił dalej: - Król Robert toczy właśnie rozmowy z królem Francji, chcąc sprzymierzyć się z nim przeciwko Anglii. Ich prośba może to wszystko udaremnić.

Moray znów urwał, aby jego słowa do wszystkich dotarły, świadom, że Will szeptem tłumaczy wszystko de Berengerowi.

- Ponadto - ciągnął - król Filip nie śmiałby zrobić tego, co zrobił, bez poparcia papieża, bowiem bez względu na to, co o nim myślisz, Zakon jest organizacją religijną. Z pewnością nie muszę nikomu przypominać, że papież jest tylko jeden, ten sam, którego arcybiskup Lambertton usiłuje przekonać, aby zdjął ekskomunikę z króla Roberta. Tu zatem mamy dwa twarde orzechy do zgryzienia, a to dopiero początek.

Czarnobrody mężczyzna przy stole mruknął pod nosem.

- No to wyślijmy ich do domu - powiedział przeciągle. — Tam, skąd przybyli. Mamy zbyt dużo na głowie, żeby szukać dalszych kłopotów.

- Ach tak? I wcześniej zabrać im skarb, czy to chcesz powiedzieć? Po prostu pozbawić ich złota, które przywożą nam, kiedy tak go potrzebujemy, i pomachać im na pożegnanie? - Głos biskupa był zimny, pełen antypatii pod adresem człowieka, do którego mówił. Obaj mężczyźni patrzyli na siebie wilkiem, aż sir Robert Boyd z Annandale pochylił się do przodu i uniósł rękę.

-Jeśli można... - Podrapał się powoli w swoją krótką brodę. -Nasz czarnobrody przyjaciel przybył tu niedawno, z wyspy Raithlin, więc nie bardzo wie, kim jesteście. Nosi też niefortunne angielskie imię, Edward, i brzemię to sprawia, że czasami brakuje mu ogłady.

Lecz jest zastępcą wodza swojego klanu i bratem samego wodza. Sir Williamie, czy wiedziałeś o tym, o czym wspomniał biskup, zanim tu przybyłeś?

Will pokręcił głową.

- Pierwsze słyszę o układzie z Filipem. Jestem zaskoczony, ponie-
waż wiem, jakim człowiekiem jest król Francji, lecz rozumiem, skąd
wzięła się potrzeba takiego postępowania. O ekskomunice wiedzia-
łem. - Wzruszył ramionami. - Przyznaję, że nie dostrzegłem zwią-
ku między przypadkiem króla Roberta a naszym. A właściwie to nie
do końca prawda: dostrzegłem go, ale sądziłem, że będzie on dla nas
wspólną płaszczyzną, czymś, co może skłonić króla do przychylenia
się do naszej prośby. Nie przyszło mi do głowy, że są już plany uzy-
skania dyspensy lub że z tego powodu moglibyśmy sprawić ambaras
królowi.

Boyd zacisnął usta i pociągnął nosem.

- Sir James powiedział, że dawno nie było cię w Szkocji. Powiedz
nam zatem, co wiesz o naszym królu, jeśli wiesz o nim cokolwiek.

Will znów się uśmiechnął, choć doskonale zdawał sobie sprawę, że
właśnie poddawany jest próbie. Przechylił nieco głowę na bok, szcze-
rząc zęby jeszcze bardziej.

- Myślę, że łatwiej byłoby mi odpowiedzieć, gdybyś poprosił mnie
o wyjawienie tajemnic Rady Zakonu, sir Robercie. - Nikt nie od-
powiedział mu uśmiechem, a Will mówił dalej. - Prawdę mówiąc,
niewiele wiem o waszym królu, a większość z tego, czego dowiedzia-
łem się przed dniem dzisiejszym, pochodzi z dwóch źródeł: od dwóch
kobiet. Przez ostatnie dziesięciolecia poświęciłem życie i służbę Zako-
nowi, związany z nim ślubami, obowiązkiem i lojalnością. Urodziłem
się w Roślin i spędziłem tam dzieciństwo, a kiedy jako młodzieniec
opuściłem Szkocję, nie toczyła ona walk z Anglią. Potem żyłem nie
świadom tego, co się tu działo, i nie czuję z tego powodu wyrzutów
sumienia, bowiem wyrzekłem się świata, wstępując do Zakonu, który
nie podlega żadnemu doczesnemu władcy poza papieżem. Długo po
tym, jak opuściłem dom, moja siostra Margaret poślubiona została
sir Edwardowi Randolphowi; była ona głównym źródłem moich wia-
domości na temat niesnasek w Szkocji i trudów króla Roberta, kie-
dy był jeszcze młodym hrabią Carrick. W swoich listach wyrażała się
o nim z wielkim szacunkiem, pisała też o czci i oddaniu, jakim darzył

jego samego i jego starania jej mąż. A ponieważ zawsze była rozsądną dziewczyną, uznałem jej ocenę za prawdziwą. Drugą kobietą, o której wspomniałem, była lady Jessica Randolph, baronowa de Saint Valery. Nie znam dobrze tej damy, lecz jej determinacja, aby oddać majątek jej zmarłego męża Robertowi Bruce'owi, a także jej wiara w jego prawość i to, że przeznaczone mu jest zostać królem Szkotów, stanowiły przekonujący argument, który przystawał do opinii mojej siostry. I oto jestem.

- Hmm. Co jeszcze o nim wiesz? O człowieku, nie o królu?

- Niewiele. Nigdy go nie widziałem na własne oczy. Lecz z tego, co zdażył opowiedzieć mi sir James, udało mi się wyrobić... własne zdanie na jego temat. Musi posiadać niezwykłą siłę charakteru i honor, aby jego przyjaciele mówili o nim z taką czcią.

- Może i tak. Lecz co z jego wrogami? Czyżbyś nie słyszał, że król ma niewielu sprzymierzeńców, mniej, niż trzeba byłoby do zapełnienia obu stron stołu?

Sir James Douglas wtrącił się z uśmiechem:

- Ani że jego wrogowie roją się niczym pchły na jeżu, przeskakując przez siebie nawzajem, aby go dopaść?

Zmieszany Will wlepił wzrok najpierw w jednego z nich, potem w drugiego, świadom, że wszyscy siedzący dookoła stołu patrzą na niego; nagle zaczął się zastanawiać, w czym tak naprawdę bierze udział. Nie wiedząc, co powiedzieć, uległ instynktowi i wzruszył ramionami.

- Nie wątpię, że tak ludzie mawiają, jeśli, jak twierdzicie, moż na takie rzeczy usłyszeć... Lecz chyba nie muszę wam przypominać, że ludzie często kłamią. Przybyłem tu niedawno i nie słyszałem nic takiego; to znaczy nic od ludu, który ma tyle opinii. Ja sam myślę co innego. Jeśli wasz król ma, jak mawiają, tak niewielu przyjaciół, przynieśliście mu zaszczyt, dodając słowo „wciąż”, ponieważ wy daje mi się, że blisko trzyma swoich przyjaciół. Lecz co więcej, to chyba człowiek, a może i monarcha, który uwydatnia najlepsze cechy u ludzi, którzy go kochają. Zatem jego przyjaciele albo giną z własnej woli, walcząc o jego sprawę, lub łatwo ich zidentyfikować, znaleźć i zabić. Może i faktycznie zostało mu niewielu przyjaciół, ale jestem pewien, że nie zapomina o tych, których stracił. Musi go to smucić dzień i noc, a znosząc to i cierpiąc ten ból, na pewno stał się niczym ostrze zahartowane ogniem i krwią, a przy tym królem wartym tego

tytułu. - Kończąc, znów uświadomił sobie, że dookoła panuje cisza. - Oto moja opinia o waszym królu, panowie, bez względu na to, czy odeślicie mnie z powrotem, czy nie. Osąd ten sformułowałem niedawno, lecz płynie on z mego serca i gdybym kiedykolwiek spotkał go osobiście, będę to sobie poczytywał za zaszczyt.

Myśląc o tym później, Will zrozumiał, że było to zdumiewające stwierdzenie; nie wiedział, że je wypowie, aż słowa wysypały się z jego ust, wywołane głębokim, bezkształtnym, niespodziewanym gniewem, z którego drżał, kiedy skończył mówić. Czuł, że nawet de Berenger, który nie mógł zrozumieć ani słowa, patrzy na niego z zaskoczeniem. Pomyślał, że to zapewne z powodu czegoś, co kryło się w tonie jego głosu.

Nabrał głęboko powietrza i wstrzymał oddech, patrząc prosto przed siebie i czekając na reakcję ze strony ludzi siedzących nieruchomo przy stole, z których trzech nawet się nie odezwało od czasu, kiedy wszedł z towarzyszami do komnaty; gdy jednak reakcja nastąpiła, Will ledwie mógł uwierzyć własnym oczom. Był to drobny błysk światła, który drżał na granicy jego pola widzenia. Kiedy poszukał jego źródła, pojawiło się ono wyraźnie: w oku de Haya, rycerza o surowej twarzy, wezbrała łza, odbijająca płomień jednej ze stojących na stole świec. Mężczyzna siedział sztywno, lecz nie był zawstydzony. Nie otarł łzy, a ona spłynęła po jego policzku. Dopiero wtedy mrugnął i zerknął na Willa zwilgotniałymi oczami, potem na sir Roberta Boyda z Noddsdale, a w końcu na drugiego Boyda, który już mu się przyglądał.

Wyraz twarzy Annandale'a trudno było odczytać, lecz nie było w nim ani trochę litości czy drwiny, kiedy patrzył na odzianego w koczującą weterana, po którego twarzy spływały łzy. Patrzył mu w oczy jeszcze chwilę, a potem odwrócił twarz w stronę czekających rycerzy Zakonu.

- No cóż, sir Williamie, twoje odczucia zyskały sobie przychyłność sir Gilberta. - Szuranie jego krzesła, kiedy je odsunął, aby wstać, rozległo się głośno w cichym pomieszczeniu, a gdzieś z dołu dobiegło ich coś jak echo, głośny łoskot, który brzmiał, jakby ktoś upuścił ciężki stół. — Niech tak będzie: koniec z podstępami. Jestem Robert Bruce, król Szkotów, i przepraszam za tę komedię. Dość jednak rzec, że była ona konieczna. O mojej obecności tutaj nie wiadomo powszechnie i niewiele, nawet wśród ludzi na dole, wie, kim jestem.

Will stał nieruchomo, oszołomiony, czując, jak wiruje mu w głowie z powodu tych niespodziewanych wieści, lecz król mówił dalej:

- Jamie powiedział mi, że mogę ci ufać. Ma nosa do takich spraw, ale musiałem sam się przekonać. Być może jest to największe przekleństwo życia, które pędzę, lecz zawsze muszę sam oceniać sytuację. - Wyprostował się jeszcze bardziej; wyglądał, jakby zbierał myśli. - Ale to nie ma teraz znaczenia. Kości zostały rzucone i mamy wiele do zrobienia... Poza tym, z jakiego powodu się tu zebraliśmy. — Zwrócił się w stronę de Berengera, kiwnął na niego dłonią i przemówił niezłą francuszczyzną: - Milordzie admirałe, jesteś tu mile widziany. Zdejmij pelerynę, jeśli łaska, i usiądź z nami. Musimy wiele omówić, choć obawiam się, że większość rozmów toczyć się będzie po szkocku. Sir William będzie pełnił rolę tłumacza dla nas obu, jeśli zajdzie potrzeba.

Kiedy rycerze zaczęli zdejmować ciężkie okrycia, odezwał się do Willa:

- Twoje okręty, sir Williamie... Gdzie są teraz i ile ich jest?

Will znieruchomiał.

- To okręty sir Edwarda, Wasza Królewska Mość, nie moje... Przy najmniej jeśli chodzi o galery.

Bruce spojrział mu prosto w oczy, unosząc brew.

- Nieważne, czy są twoje czy jego. To okręty Zakonu i są na moich wodach. I zachowaj „Królewską Mość” dla króla Anglii, jeśli kiedyś będziesz miał nieszczęście go spotkać. Tu, w Szkocji, mówimy o miłości króla.

- Oczywiście. Wybacz, panie, zapomniałem.

Bruce skinął głową.

- Zdejmuj więc pelerynę i siadaj. - Sięgnął po oparcie własnego krzesła, nakazując Douglasowi gestem, aby nie wstawał, choć młody człowiek już się zrywał, a kiedy dwaj rycerze i biskup Moray zajmowali miejsca przy stole, wskazał kciukiem srogiego brodacza. - To mój brat, Edward Bruce, hrabia Carrick. Myślę, że pozostałych znacie, lecz na wszelki wypadek: oto sir Neil Campbell z Lochawe, wódz klanu Campbell, oraz Colin, syn Malcolma MacGregora z Glenorchy. Człowiek, którego skłoniłeś do płaczu, to sir Gilbert de Hay, mój chorąży, a sir Robert Boyd z Noddsdale jest ze mną od czasów Dumfries i w chwilach potrzeby udziela mi poparcia. A teraz, jeśli chodzi o te okręty...

Will odchrząknął i przetłumaczył wszystko na francuski admirałowi, po czym odezwał się po szkocku:

- Mamy mieszaną flotę, Wasza Miłość, złożoną z okrętów, które były w La Rochelle w dniu... ataku, oraz trzech okrętów z Marsylii. W sumie dwadzieścia: połowę stanowią galery, a połowę statki towarowe.

Sir Neil Campbell gwizdnął cicho, a Bruce odchylił się na oparcie krzesła.

- Domyślam się, że to galery przeznaczone do podróży morskich. Jak są duże?

- Mają różne rozmiary, Wasza Miłość. Trzy największe, w tym galera admirała, mają po dwadzieścia wiosł na burcie; każde obsługuje dwóch ludzi, a ułożone są na starożytny sposób, w dwóch rzędach.

- To biremy.

- Tak, panie, biremy, wszystkie poza jedną, zbudowaną w Arabii i przechwyconą przez człowieka, który dziś nią zawiaduje. Ma po osiemnaście wiosł na burcie, w pojedynczych rzędach. Reasumując, mamy cztery galery o trzydziestu dwóch wiosłach, trzy o czterdziestu i trzy o trzydziestu sześciu.

- Imponujące. Ilu ogółem ludzi?

- Około pięciuset. Nie dokonaliśmy dokładnych obliczeń.

Bruce wyglądał, jakby był pod wrażeniem.

- To silny oddział - rzekł cicho.

- Tak, panie, lecz to oddział żeglarzy.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nic poza tym, że to marynarze, nie zbrojni wojownicy. Lecz to nie wszystko. Przywieźliśmy z La Rochelle cały garnizon, który wykradliśmy de Nogaretowi sprzed nosa.

- Masz na myśli sługusa króla?

- Tak, to dobre słowo.

- Widzi mi się, że nie lubisz tego człowieka.

- Panie, moją antypatię do niego trudno ogarnąć.

- Ilu zatem ludzi w tym oddziale?

- Stu pięćdziesięciu czterech, z czego trzydziestu sześciu to bracia świeccy. Rycerzy i serwientów jest więc stu osiemnastu.

Monarcha zmrużył swoje srebrnoszare, przenikliwe oczy.

- I miałeś nadzieję, że pozwolę ci na ulokowanie tylu ludzi w moim królestwie?

-To nie koniec, Wasza Miłość. Mam też ze sobą drużynę rycerzy i serwientów Zakonu pod wodzą mojego brata, sir Kennetha Sinclaira. Dwudziestu rycerzy i osiemdziesięciu serwientów.

Sir Edward Bruce poruszył się w krześle; wszyscy inni siedzieli nieruchomo, podczas gdy król kiwnął powoli głową z zaciśniętymi ustami.

- A statki towarowe?

-Wszystkie to statki handlowe. Na siedmiu znajdują się ludzie mojego brata i ich konie oraz ekwipunek. Na dwóch kolejnych płynie garnizon z La Rochelle i jego wyposażenie. Ostatni mieści wszelkiego rodzaju zapasy.

- Konie, powiadasz? Wieziecie ze sobą konie?

- Tak. Nie mogliśmy przecież zostawić ich, aby przysłużyły się Filipowi i de Nogaretowi.

- Więc przywieźliście je tutaj. Na statkach. Gdzie chcesz je trzymać?

Will wzruszył ramionami i pochylił głowę.

- Wyznaję, panie, nie zastanawiałem się nad tym. Wiedziałem po prostu, że nie chcę zostawiać ich na łaskę losu we Francji, i założyłem, iż może doradzisz mi, gdzie je przechować. Niektóre z nich, konie rycerzy, to rumaki bojowe. Reszta to zwykłe konie, krzepkie i wszechstronne.

Król oparł łokieć na nadgarstku drugiej ręki, skubiąc palcami dolną wargę.

- Będziemy musieli porozmawiać o lojalności i *quid pro quo*, sir Williamie. Jednak póki co mamy problem, który trzeba natychmiast rozwiązać. Jamie powiada, że zostawiłeś okręty u wybrzeży Sandy, koło Muli of Kintyre. To tereny MacDonaldów; kiedy dostrzegą twoją flotę, zaraz tu przybiegną, a to mi się na nic nie zda. Chcę, żebyś jak najszybciej sprowadził okręty na Arran. Mogą się schronić w szerokiej zatoce na południe od nas, w Lamlash Bay. Możesz to zrobić?

- Tak, natychmiast. Ale czy nie zwrócą bardziej uwagi, przyplływając tutaj, niż zostając tam?

- Może i tak, ale jeśli popłyną w nocy, wszystko powinno być w porządku. Przy Kintyre mogą zaatakować je MacDonaldowie, na Arran będą bezpieczne. Kogo wyślesz?

- Sir Edwarda, oczywiście. - Will odwrócił się do admirała i zrela-

cjonował mu całą rozmowę z królem, a de Berenger natychmiast wstał i sięgnął po pelerynę.

- Popłynę od razu - rzekł. -To czterogodzinna podróż...

Bruce uniósł dłoń.

- Poczekaj! Nie musisz się tak spieszyć. Nie teraz. Zaprosiliśmy twoją załogę na ląd, sir Edwardzie. Niech najpierw zjedzą, odpoczną godzinę, a potem zagoń ich do roboty. Co za różnica, czy wypłyniesz o zmroku czy o północy? Podróż i tak odbędzie się w ciemnościach, a zleci szybciej na pełen brzuch niż na pusty. Poczekaj zatem do północy. Tymczasem zejdziemy na dół i zjemy. Lecz pamiętajcie, dzisiaj nazywam się po prostu Rob, jestem zwykłym Robertem Boydem z Annandale. Po wieczery i my wrócimy do pracy.

Dla Willa uczta - posiłek sprawiał wrażenie bardziej wymyślnego niż zwykły, codzienny - upłynęła pod znakiem mglistych wspomnień o podniesionych męskich głosach, bowiem nie było wśród nich w ogóle kobiet, pieczonych mięsach, w tym dziczyźnie i baraninie, lejących się strumieniach napitku i przenikliwej muzyce ze szkockich wyżyn i wysp, harfach, dudach i pozornie niekończącym się ciągu bardów i pieśniarzy, posługujących się niezrozumiałym językiem gae-lickim. Will siedział z Douglasem i de Berengerem przy głównym stole, lecz niewielu ludzi zwracało na to uwagę, a po głównym posiłku inni zajmujący tam miejsca rozproszyli się, aby usiąść przy swoich przyjaciółach, zostawiając wysokie podium trzem rozmawiającym po francusku mężczyznom. Will wciąż czuł zawrót głowy na myśl o niewypowiedzianych konsekwencjach obecności Bruce'a; wydawało mu się niepojęte, że monarcha może siedzieć między własnymi zwolennikami i nie zostać rozpoznany. Powiedział to Douglasowi, a młodzieniec się uśmiechnął.

- Przyznaję, z pewnością musi ci się to wydawać dziwne, skoro przyjeżdżasz z Francji, gdzie wszystko jest takie cywilizowane. Lecz prawda jest prosta. Każdy człowiek w Szkocji zna Bruce'a z imienia i reputacji. Lecz kiedy myślą o nim, przychodzi im do głowy dawny hrabia Carrick, który w młodości był... jak to się mówi? Utracjuszem. Tak, to będzie najlepsze słowo. Słynął z rozrzutności: najnowsze, najbardziej wystawne fasony ubrań i uzbrojenia, najświetniejsze konie, najpiękniejsze damy i oczywiście błyskotliwy dowcip. Wydawał góry pieniędzy. Choć jego ojciec, lord Annandale, nigdy nie dawał mu wielu funduszy, za lat chłopięcych hrabia był faworytem Edwarda Planta-

geneta. Większość ludzi uważała go za niewartego uwagi marnotrawcę; nie dostrzegali w nim niczego poza młodością, rozpustą i brakiem odpowiedzialności. Zważ, nie pamiętam tego, ponieważ byłem ledwie dzieckiem, kiedy hrabia Carrick osiągał swoje wyżyny... albo niziny. Lecz taki przedstawiał obraz, zanim król Edward nauczył go nienawidzić smyczy.

- Nienawidzić smyczy?

-Tak, więzów, które łączyły go z Plantagenetem. Kiedy plany Edwarda, aby włączyć Szkocję do swojego królestwa, spaliły na panewce, chciał zrobić z hrabiego Carrick swojego chłopca do bicia.

- W jaki sposób?

- Każąc mu popełniać uczynki, które by go napiętnowały jako sługusa Edwarda... sługusa Anglii. Uczynił jego życie nieznośnym.

- Co to były za uczynki? Choć byłeś chłopcem, na pewno coś o tym słyszałeś.

- Słyszałem? Byłem świadkiem jednego z nich, pierwszego sprzeciwu hrabiego Carrick. Jak ci mówiłem, mój ojciec był buntownikiem, jednym z bardziej krnąbrnych ludzi, z którymi musiał zmagać się Edward. Był zaangażowany w powstanie, a dziesięć lat temu Edward skazał go na banicję. Miałem wtedy dwanaście lat. Edward wysłał angielskich wojowników, aby spalili nasz zamek i pojмали mnie i moją matkę, lecz ona zabarykadowała przed nimi bramę i nie poddała się. Wśród Anglików był hrabia Carrick, lecz tylko dla zachowania pozorów. W tamtej drużynie miał najwyższy stopień, lecz żadnej władzy i nie darzono go szacunkiem; był zwykłym figurantem, szkockim paniczykiem, który miał nadać angielskiej jednostce znamiona prawości. Ich dowódca, którego imię dawno zapomniałem, sprowadził kilkoro dzieci, w tym mojego przyjaciela, i zagroził, że natychmiast je powiesi na oczach mojej matki, uważając, że jest zbyt słaba, aby znieść taką potworność.

Will nie mógł się powstrzymać przez zapytaniem:

- Czy tak było?

Douglas zachichotał.

- Nie dowiedzieliśmy się. Hrabia Carrick sprzeciwił się dowódcy i odpędził jego samego i jego ludzi. Potem uwolnił trójkę dzieci i błagał moją matkę o przebaczenie. Następnie zaprowadził nas do mego ojca na północy i dołączył do jego rebelii, deklarując, że jest Szkotem,

i przysięgając, że zwycięży lub zginie ze swoim ludem. To był jego pierwszy krok na drodze do Scone i szkockiej korony. - Uśmiechnął się. - Był to też mój pierwszy krok na drodze do stanu rycerskiego, ponieważ człowiek, którego wtedy zobaczyłem, stał się moim wzorem honoru i rycerskości. Chciałem być taki jak Robert Bruce, hrabia Carrick.

Przerwał na chwilę, a potem uniósł dłonie.

- Co oznacza, że wróciliśmy do punktu wyjścia. Oto człowiek, rycerz w zbroi, walczący król, którego obraz wciąż przychodzi ludziom na myśl, kiedy wspominają Roberta Bruce'a. Ten, którego teraz widzisz, jak siedzi wśród nich, nierozpoznany, to człowiek, którym się stał - dzikus z wyżyn, który się zahartował i żyje jak szkocki członek klanu na wrzosowiskach, bez względu na pogodę, śpi w jaskiniach owinięty mokrym, brudnym pledem i ze sztyletem w ręce, często boi się rozpalić ogień, aby dym go nie zdradził, łapie w sidła zające i chwytą gołymi rękami ryby, żebrze o chleb u wieśniaków i płaci zań, jeśli może. Bez zbroi, ostróg, miecza czy rycerskich szat. I jeszcze jedno utrudnia rozpoznanie go... Broda. Król Robert Bruce zawsze jest gładko ogolony, wszyscy to wiedzą. Lecz przez ostatni rok nie miał ani czasu, ani okazji, żeby się ogolić. Kiedy więc postanowił wrócić na Arran, przyciął brodę, lecz jej nie zgolił. Król Szkotów żyje teraz wśród swoich poddanych, jak żaden w historii, a kiedy z nimi rozmawia, nie poznają go.

- Hmm. - Will pokręcił głową. - Dziwne, jak to się plecie... Edward, król Anglii, nie miał żadnych planów przejęcia Szkocji, kiedy byłem chłopcem. Co się stało?

- Kto wie? Coś się zmieniło. Niektórzy myślą, że to z powodu sukcesu jego kampanii w Walii. Pokonał Llewellyna, podporządkował sobie Walijszyków, a by upamiętnić podbój, uczynił nawet swojego syna księciem Walii. Zajęło mu to dziesięć lat, lecz bardzo powiększył swoje królestwo. Potem podobno zaczął myśleć o Szkocji, chcąc zjednoczyć całą wyspę Brytanię pod swoją koroną... Ale nie docenił temperamentu Szkotów.

Po raz pierwszy od rozpoczęcia rozmowy zabrał głos de Be-renger:

- Lecz wszyscy szkoccy możni to normańscy Francuzi, prawda? Wszyscy winni mu byli lojalność i z tego, co powiedział mi sir Wil-

liam, uznawali tę powinność. Czy to nie wystarczyło? Dlaczego chciał ich podbić?

- To nie tak, admirale. Nie wszyscy szkoccy możni to normańscy Francuzi. Wielkie tereny poszczególnych hrabiów Szkocji wywodzą się z celtyckich królestw mówiących po gaelicku klanów, które żyły tu przed przybyciem Normanów. A poza tym, jak długo ród musi mieszkać na danej ziemi, aby do niej przynależeć? Ród Bruce żyje tu od czasów Wilhelma Zdobywcy. Rodzina sir Williama nazywała się kiedyś Saint-Clair, lecz od wielu lat są Sinclairami. Rzekłbym, że jeśli twoi pradziadowie urodzili się i wychowali w Szkocji, możesz uważać się za Szkota.

W głównej części sali słyhać było jakieś zamieszanie, a Will zerknął w tamtą stronę i zobaczył, że ludzie odsuwają stoły. Dwóch mężczyzn wyszło z tłumu i przyglądało się sobie wrogo, rozbierając się i szykując do walki. Przyjmowano zakłady i obierano strony, a wśród wszystkich tych przepychanek stał z szerokim uśmiechem Robert Bruce, błyskając zębami zza krótkiej brody kryjącej jego twarz.

- Popatrz na króla - mruknął de Berenger. - Jest zachwycony każdą taką chwilą.

- Ano, oczywiście, że tak. W ciągu ostatniego roku gusta mu się zmieniły.

- Powiedziałeś mi, że król toczy kampanię na północnym wschodzie.

- I nie kłamałem. Jego wizyta tutaj jest krótka, lecz konieczna.

- Dlaczego tu jest? - spytał Will.

- Aby omówić strategię - powiedział Douglas, uśmiechając się. - Dopiero się dowiesz, w jakiej sprawie. Mam przeczucie, że zostaniesz w nią zaangażowany... do pewnego stopnia. Słyszałem, jak król Robert mówi coś o *quidpro quo*, lecz nie mnie zgadywać, co miał przez to na myśli. Będziesz po prostu musiał poczekać, aż sam o tym wspomni.

De Berenger wstał.

- Powiniennem sprawdzić, jak moi ludzie się zachowują. Wydałem rozkaz, aby nie dawano im napitku poza jednym kubkiem wina do wieczery. Teraz chciałbym się upewnić, że wszystko jest w porządku i że są gotowi do powrotu na pokład, jeśli mamy wyruszyć z nocnym pływem. Przepraszam.

Will powstrzymał go gestem.

- Zanim pójdziesz, Edwardzie, coś jeszcze przyszło mi do głowy. Kiedy sprowadzisz tu flotę, zabierzesz ją do Lamlash. - De Berenger kiwnął głową. - Wciąż będę tutaj, a stąd do Lamlash nie ma drogi. Kiedy więc dotrzesz na miejsce, chcę, żebyś zostawił tam okręty na kotwicy, ze stanowczymi rozkazami, aby nikt nie schodził na ląd bez mojego osobistego polecenia. Potem przybędziesz od razu tutaj, aby mnie odebrać. Będę na ciebie czekał. Czy to jasne?

- Całkowicie, sir Williamie. Stanie się, jak mówisz. Jeszcze raz przepraszam, panowie. - Skłonił się Douglasowi w pas, ruchem ręki włączając Willa w to pozdrowienie.

- To dobry człowiek, lecz jak może się spodziewać, że tego dokona? - spytał Douglas, kiedy admirał odszedł. - Nie śmiałbym zostawić swoich ludzi w zasięgu alkoholu, gdybym miał dla nich jakieś zadanie. Jakiego rodzaju władzę nad nimi sprawuje?

- Bożą władzę, przyjacielu. Nie zapominaj, że wszystko to templariusze. Walczą jak demony, lecz żyją jak pustelnicy i modlą się jak księża.

Mówiąc to, patrzył, jak de Berenger idzie prosto w stronę stołu, przy którym siedzieli czterej rycerze dowodzący galerą wraz z sześcioma serwientami o wysokich rangach, którzy zawiadywali załogą okrętu. Różnice między rycerzami a serwientami były wyraźne, nawet jeśli nie wzięło się pod uwagę tego, że pierwsi mieli na sobie białe opończe, a drudzy - czarne. Wszyscy rycerze mieli charakterystyczne dla templariuszy rozwidłone brody; była to maniera, która czasem bawiła Willa, lecz częściej drażniła go, ponieważ odnosił wrażenie, że uosabia ona wyniosłą arogancję rycerzy, która tak raziła ludzi z zewnątrz. Serwienci prezentowali się bardziej powściągliwie, choć ich jednakowe, krótko przycięte brody również stanowiły znak przynależności do Zakonu.

Na środku sali wciąż trwał pojedynek zapaśniczy. Jeden człowiek już znajdował się na podłodze, a dookoła obu kotłował się krąg gapiów, krzyczących to przekleństwa, to słowa dopingu. Bruce zniknął, choć być może ukrył go napierający tłum.

Patrząc na odzienie zebranych w pomieszczeniu, Will pomyślał, że może widział już kiedyś we Francji bardziej chaotyczną feerię barw, lecz wątpił w to. Większość obecnych była Szkotami z wyżyn, owiniętymi w pledy i z długimi brodami oraz włosami, często zaplecionymi

nawet w warkocze; ich stroju dopełniała barbarzyńska biżuteria i rozmaite ozdoby, od orlich piór począwszy, a skończywszy na tkanych szarfach o niebywale intensywnych kolorach.

Will nie wiedział, co przykuło jego uwagę, lecz kiedy już dostrzegł pewnego człowieka, zaczął go uważnie obserwować. Był on zbyt zajęty przyglądaniem się innym, aby myśleć o tym, że jego samego ktoś może zauważyć. Poza tym, że jako jeden z niewielu ludzi w zgromadzonym tłumie nie miał na sobie szkockiego stroju, wyglądał dość pospolicie. Will nie widział, co ma na sobie poniżej pasa, lecz powyżej był ubrany w zwykłą, grubą tunikę i znoszoną skórzaną kamizelę, a na głowie nie miał nakrycia, więc widać było jego łysiejącą czaszkę i wiszące w strąkach na karku brązowe włosy. Jego broda i wąsy były rzadkie, jakby brakowało mu męskości. Bardzo jednak interesował się de Berengerem i tym, co admirał mówi swoim ludziom, do tego stopnia, że wychylił się z krzesła, aby usłyszeć, starając się sprawić wrażenie, że tego nie robi.

Will trącił łokciem Douglasa, aby odwrócić jego uwagę od bójki.

- Popatrz no dyskretnie tam, gdzie de Berenger rozmawia ze swoimi ludźmi. Widzisz człowieka, który się nachyla, aby ich usłyszeć? Tego łysiejącego, w skórzanym kaftanie. Znasz go?

Douglas zmrużył oczy, koncentrując się.

- Nie, ale to jeden z naszych. Mam na myśli, że sądząc po jego odzieniu, jest ze stałego łądu. Pewnie przyjechał z Robem Boydem lub kimś innym. Czemu o niego pytasz?

- Coś w nim działa mi na nerwy... To, jak z całej siły stara się usłyszeć wszystko, o czym tam rozmawiają. De Berenger pewnie mówi swoim ludziom, czego będzie od nich oczekiwał, kiedy wypłyną dziś w nocy, i wyraźnie widać, że nie widział powodu, aby zachowywać się skrycie, lecz przywiodło mi to na myśl opinię naszego przyjaciela z Annandale, że szpiegzy, zdrajcy i informatorzy są w tym kraju wszędzie. Gdyby ktoś wymknął się stąd z informacjami, co dzieje się na Arran, mógłby zarobić całkiem sporo angielskiego srebra.

- Ano, jak Judasz. Popytam o tego człowieka, a tymczasem będę mu się przyglądał jak jastrząb. Mówią po francusku, czyż nie?

- A jakże, to wszystko Francuzi.

-Ano... Jak to zatem możliwe, że obszarpany rabuś z pogranicza rozumie ich rozmowę? Dougald!

Potężny mężczyzna wstał zza stołu ustawionego przed podium i pochylił głowę, aby przyjąć polecenie Douglasa. Wysłuchawszy jego wyszeptanego monologu, odwrócił się swobodnie, zerknął na opisanego przez sir Jamesa mężczyznę i skinął głową, po czym odszedł spacerowym krokiem.

Douglas ponownie odwrócił się do Willa.

- Masz dobre oko, sir Williamie. Do jutra rana będziemy wiedzieli wszystko o naszym wścibskim przyjacielu. Chłopcy Dougalda będą liczyć jego oddechy. - Skupił wzrok nad ramieniem Willa. - Chyba zaraz zostaniemy wezwani.

Wezwano tylko Willa, więc zostawił Douglasa na podium i poszedł za człowiekiem, którego po niego przysłano. Weszli na półpiętro, mijając po drodze dwóch krzepkich osobników, którzy rozpierali się na drewnianych schodach, jeden nad drugim, i odsunęli kolana, aby mogli przejść.

Król Robert czekał na niego sam w komnacie, w której spotkali się wcześniej, siedząc przy stole, blisko buzującego na nowo ognia w żelaznym palenisku. Wlepił wzrok w płomienie, drapiąc łeb wielkiego, siwego wilczarza. Kiedy Will wszedł, król odepchnął łeb psa z cichym rozkazem, a zwierzę ułożyło się u jego stóp. Monarcha wstał i odwrócił się do niego, a Willa natychmiast uderzyło to, na jak wyczerpanego wygląda; jednak po chwili król się wyprostował, odrzucając znużenie niczym pelerynę, tak że nawet bruzdy na jego twarzy wyglądały na płytsze.

Robert zwrócił się do człowieka, który przyprowadził Willa:

- Zadbaj, aby nam nie przeszkadzano. Nikt nie może wejść tu na górę poza Dawidem Morayem, a i on dopiero za przynajmniej pół godziny. - Poczekał, aż drzwi zamknęły się za posłańcem i rzekł: - Moray to mężny wojownik, lecz myśli ma jeszcze ostrzejsze niż miecz, więc przydadzą nam się jego rady.

Król przyciągnął swoje ciężkie krzesło do kominka.

- Rzuć pelerynę na stół i usiądź ze mną, sir Williamie. Przysuń sobie krzesło do ognia. Nocami robi się zimno, bo wieje wiatr znad wody, i wdzięczny jestem Anglikom, że zbudowali solidne kominy, potrzebne przy dużym ogniu. Gdyby to zależało od moich Szkotów, kucalibyśmy teraz na otwartym powietrzu, żałując, że nie mamy

drewna na opał. Na szafce jest nieco wina. Poczęstuj się i siadaj. Czy admirał już wypłynął?

- Przygotowuje się, panie. Kiedy go zostawiłem, właśnie popędzał swoich ludzi. Będzie na morzu w ciągu godziny. - Will nie skorzystał z wina, ułożył natomiast złożoną pelerynę na stole i przysunął krzesło do paleniska.

- Dobrze, cieszę się - powiedział król. - Lubię tego człowieka. A teraz, zanim przejdziemy do innych tematów, opowiedz mi o tym skarbie, który przywozisz. Jamie aż kipiał z podniecenia, lecz nie chciałem mi powiedzieć, ile tego jest, pewnie bojąc się, że ktoś podsłuchuje. Zawsze jest bardzo przebiegły. Przysłał skarb zatem lady Jessica Randolph?

- Tak, panie, baronowa Saint Valery. Lecz skarb nie został przysłany, lecz przywieziony.

- Co? Więc ona jest w Szkocji?

- Na pokładzie jednej z naszych galer. Rozumiesz, nie spodziewaliśmy się, że znajdziemy cię na Arran. Przybyłem tu jedynie w poszukiwaniu bezpiecznego kotwicowiska i miałem nadzieję, że zostaniemy przyjaźnie przyjęci. Kiedy już byśmy się zorientowali w sytuacji, ruszylibym w głąb łądu poszukać ciebie, a baronowa udałaby się do domu.

- Szczęściem zatem się tu znalazłem, ponieważ w Szkocji raczej nie czekałoby was serdeczne przyjęcie. Wszystkie porty i zamki poza Inverness są w rękach Anglików, lecz jeśli Bóg da, fundusze, które przywieźliście, może pozwolą mi to zmienić. Ile tego jest?

- Jedenaście ciężkich skrzyń kruszcu w sztabach i monetach, panie, sześć złota i pięć srebra.

- Bogu niech będą dzięki!

- Powinno to chociaż na jakiś czas zaspokoić twoje potrzeby.

- I pojawiło się w najlepszej chwili. Muszę kupić miecze, a także wojów, którzy ich użyją. Ale porozmawiamy o tym później. Teraz mamy do omówienia inne sprawy... - Urwał i przez jakiś czas wpatrywał się w płomienie. - Davie Moray miał rację, mówiąc, że twoja obecność sprawi mi kłopoty, lecz tonę w nich od chwili, kiedy objąłem koronę, i najczęściej da się je rozwiązać, choć zawsze brakuje mi czasu. Jeśli dobrze pamiętam, masz ze sobą około tysiąca ludzi: załogi galer, marynarzy, garnizon z La Rochelle i drużynę twojego brata? -

Will kiwnął głową, a Bruce zrobił to samo. - No dobrze. Powiedz mi zatem: jeśli miałbym powściągnąć obawy i pozwolić ci zostać na Arran, co zrobiłbyś potem? - Może po to, aby dać Willowi czas do namysłu, pochylił się, wrzucił do ognia świeżą kłodę, wepchnął ją głębiej butem i znów rozsiadł się na krześle. — Pytam nie bez powodu, ponieważ pierwszą rzeczą, jakiej się dowiedziałem, dowodząc ludźmi podczas wojny, było to, że choć zebrać armię może być łatwo, zadanie wykarmienia jej przez dłuższy czas złamie ci serce i wykończy. Myślałeś o tym? Wiedz bowiem, że mógłbyś na Arran schować swoich ludzi przed całym światem, ale bardzo mało tu jedzenia. Są drzewa i kamienie, z których można zbudować chaty, turzyca do krycia ich strzechą i torf do palenia w paleniskach, lecz brakuje ziemi zdatnej do uprawy, nie mówiąc nawet o wygodach życiowych. Jak wykarmiłbyś ludzi, gdybyś mógł tu zostać?

Will myślał właściwie tylko o tym od czasu opuszczenia La Rochelle i kiwnął głową.

- Długo o tym rozmyślałem, Wasza Miłość, i sędzę, że mając okręty, mogę sobie z tym poradzić. - Zobaczył, jak Bruce unosi brwi, i niemal się uśmiechnął. — Nie chodzi mi o galery. Nie mam zamiaru łupić okolicy. Mam na myśli statki handlowe. Mamy ich dziesięć, i chciałbym wysłać je, aby robiły swoje, nabywając pożywienie i potrzebne do życia artykuły... narzędzia, nie oręż. Mamy dość oręża. Lecz kiedy już rozładujemy konie i bydło, będziemy mogli kupić więcej zwierząt i przywieźć je tutaj: krowy, owce, świnie, kozy i tak dalej.

- Gdzie chcesz je kupić i za co?

- Gdziekolwiek uda się je znaleźć. Myślę, że najpierw będziemy szukać w Irlandii, a potem w Anglii, a nawet we Francji. Moje statki handlowe mogą popłynąć wszędzie, gdzie będzie dostępny towar. Nie mają żadnych oznak związanych z Zakonem, choć ich załogi składają się z templariuszy. Płacilibyśmy złotem. Odkryłem, że to potężna pomoc w handlu.

- Tak, i jest rzadkie. Skąd by się wzięło?

Will uśmiechnął się szeroko, wyczuwając, że monarcha obawia się o swoje fundusze.

- Z majątku Zakonu, który przechowuję w ładowniach okrętów. Opuszczając La Rochelle, zabraliśmy cały kruszec należący do Zakonu, bowiem jak na pewno wiesz, każda komturia ma własny skarbiec,

gdzie znajdują się pieniądze, których wymaga nasz system handlowy. Jeśli mogę pozwolić sobie na dygresję, przypomina mi on o moich tujszych obowiązkach. Możesz mi powiedzieć, kto jest teraz mistrzem Zakonu w Szkocji?

Król Szkotów obrócił się na krześle, aby spojrzeć prosto na Willa spokojnym wzrokiem.

- Mistrz Zakonu zmarł tuż po mojej koronacji. Był stary i nikt go nie zastąpił. Znajdziesz komturę w Edynburgu, lecz jest pusta. - Zerknął w dół, na swoje dłonie, świadom, że przekazuje rozmówcy złe wieści. - W Szkocji nie ma już Zakonu. Nie mógł zachować neutralności podczas wojny domowej. - Popatrzył na Willa otwarcie, niemal zaczepnie. - Oczywiście żyją tu templariusze, lecz są to przede wszystkim Szkoci z prastarych rodów, i popierają mnie jako Szkoci. Inni są w Anglii, dokąd odwołał ich tamtejszy Zakon.

Zobaczył, jak Will marszczy czoło, i też wykrzywił twarz.

- Polityka, sir Williamie... Wygląda na to, że potrzeba politykowania jest silniejsza niż potrzeba modlitwy, a ludzie Boga zawsze potrafią znaleźć sposób na ukształtowanie potrzeb Boga tak, aby odzwierciedlały ich własne. Templariusze w Szkocji byli głównie Francuzami i Normanami, a lojalność byli winni głównie londyńskiemu i francuskiemu Zakonowi. Sądziłem, że mniej kłopotu będzie, jeśli udobruchają Edwarda Plantageneta, niż kiedy sprzeciwią się mu lub go urażą. Długonogiego zawsze było łatwo urazić. Tak więc Zakon opuścił Szkocję. Czy to utrudnia twoją sytuację?

Will wypuścił z sykiem wstrzymane wcześniej powietrze.

- Nie, Wasza Miłość. To dla mnie rozczarowanie, ale nic więcej, a twoje wytłumaczenie ma sens. Masz rację w kwestii polityki i modlitw. Tylko...

- Tylko co?

- Chodzi o lojalność, panie, i to, jak się przenosi... Zaczynam się zastanawiać, czy samo życie ma jakikolwiek sens, czy jest w nim jakaś logika, kiedy wyjdziemy poza własne, drobne sprawy. Na przykład oto nazywam cię teraz panem, przez co niemal łamię własne śluby jako templariusz, ponieważ przyrzekłem, że będę wierny wyłącznie mistrzowi Zakonu.

- I papieżowi, czyż nie? Nie zapominaj o papieżu.

Will odruchowo pomyślał o tym, jak zaledwie kilka tygodni wcze-

śniej rozmawiał z byłym admirałem Saint Valérym o dwoistości ich roli jako członków zarówno Zakonu Świątyni, jak i Bractwa Syjonu, oraz o tym, że w gruncie rzeczy żyją w kłamstwie, nawet pozorując wierność papieżowi.

-Tak - zgodził się niechętnie - i papieżowi... choć do mniejszego stopnia. Nasz mistrz ma pierwszeństwo.

- A wasz mistrz jest teraz w więzieniu, zdradzony przez tego samego papieża, przez człowieka zajmującego tron Piotrowy, jeśli nie przez sam urząd. - Król zamilkł na chwilę, a potem znów się odezwał: - No cóż, możemy cię po części uspokoić, przynajmniej w kwestii pana. Kiedy będziemy sami, mów mi Robert. Ja będę nazywał cię Willem, ponieważ słyszałem, że twój krewny, Sinclair, tak cię nazywa. Przy innych dodaj przed imieniem „sir”, ponieważ na Arran jestem zwykłym sir Robertem Boydem z Annandale. Jednak teraz powiedz mi, i mów tak otwarcie, jak pozwoli ci sumienie: co masz zamiar zrobić ze swoimi galerami, kiedy będziesz tu gościem króla Szkotów?

Will wyszczerzył zęby.

- *Quidpro quo*

Bruce rozłożył dłonie.

- A co? Kwestia ta na pewno pojawi się prędzej czy później; sądzę, że prędzej.

- Bez wątplenia masz rację. Oto, nad czym zastanawiam się od chwili opuszczenia Francji. Z tego, co wydobyłem od Douglasa, słuchając równie pilnie tego, o czym mówił, jak i tego, o czym nie wspominał, szukałeś wsparcia u klanów na zachodzie, na wyżynach i wyspach, jak dotąd z pewnym powodzeniem, ale nie takim, jakiego byś sobie życzył. Domyślam się też, że wielu wodzów, z którymi pertraktowałeś, uważa się za królów swoich własnych małych królestw. Mam rację?

-Ano, masz. - Bruce pociągnął nosem i założył nogę na nogę, odwracając się od ognia, który teraz buzował wściekle. - Angus Og MacDonald to najbardziej czynny wódz na południowym zachodzie. Jego terytorium to głównie Kintyre, lecz rozciąga się też na północ, a ostatnimi czasy MacDonald bazuje na Islay. Lubi nazywać się Panem Wysp i ciężko pracuje nad tym, aby stać się uznaną głową związku pobliskich klanów, głównie MacNeillów, MacCruary'ów i MacNaughtonów. Jak na razie dobrze mu idzie. - Uśmiechnął się szeroko-

ko. - Podobno nazywa się też Królem Wysp i choć to znacznie wykracza poza jego prawdziwą pozycję, tak właśnie siebie postrzega. Nazywa mnie królem Bruce i uważa mnie za kogoś równego sobie, kto nie może wymagać od niego żadnej lojalności poza tą, którą sam postanowi mi oddać, lub tą, którą kupię pod postacią najemników. W tej okolicy nazywa się ich „galloglass”.

- Zaliczasz go do swoich wrogów?

—Nie. Lecz nie uważam go też za przyjaciela, choć w przeszłości dużo mi pomógł. To dzięki niemu i Campbellowi z Lochawe mogłem w zeszłym roku wycofać się na wyspy, kiedy polowano na mnie jak na zwierzę. Chronił też moje siły od strony morza, kiedy maszerowałem niedawno na północny zachód, do Argyll, aby pertraktować z Kulawym Janem MacDougalem z Lorne. Ekspedycja ta zakończyła się nie najlepiej dla MacDonalda: rozejmem, a nie rozlewem krwi, na który miał nadzieję. Angus Og jest... inny niż wszyscy. Ambitny, ale jak przystało na samozwańczego króla, dotrzymuje słowa, i jest dla mnie bardzo użyteczny, ponieważ wie, że ja mogę być dla niego równie, jeśli nie bardziej użyteczny.

—Sprawuje zatem władzę na wyspach?

- Nie, ale chciałby. Rządzi teraz Aleksander MacDougall z Argyll, z którym zawarłem wspomniany rozejm. MacDougall jest już stary i nie kocha ani mnie, ani moich ludzi, lecz to jego syn, Kulawy Jan MacDougall, jest ostatnio tak naprawdę przy władzy. Są spowinowa ceni z Comynami. Rudy Jan Comyn, którego zabiłem w Dumfries, był szwagrem Kulawego Jana. Angus Og pała do nich obu niepojętą nienawiścią, a ponieważ wie, że wciąż mam zamiar ich zniszczyć, jest gotów mi pomóc.

— Czy mogę spytać, dlaczego chcesz ich zniszczyć?

Bruce zatarł mocno rękę.

- Z tego samego powodu, z jakiego zniszczyłem MacDowalów w Galloway: ponieważ nie pozostawili mi innego wyjścia. Ich wrogość mógłbym przezwyciężyć bez urazy, to zadanie króla. Lecz zdrada Kulawego Jana kosztowała nas życie setek dobrych ludzi, w tym kilku moich oddanych przyjaciół, którzy byli dla mnie jak bracia. To pod ły człowiek, już nie do uratowania. MacDowalowie z Galloway byli podobni, choć mniej niegodziwi. Przez nich straciłem dwóch braci, Tomasza i Aleksandra, których pojmano podczas wojny i wysłano do

Anglii na śmierć odpowiednią dla złoczyńców, tylko dlatego że byli moimi braćmi. MacDougall knuł wraz z MacDowalami, wiedział, jak skończą, jeszcze zanim ich odesłano. Zrobiono to z premedytacją. Tego nie mogę wybaczyć. Możesz to nazwać długiem krwi. Nie obchodzi mnie, co ludzie będą o mnie potem myśleć lub mówić, lecz władza MacDougallów w Szkocji nie potrwa już długo. Dziś mamy z nimi bezterminowy rozejm, co jest wygodne dla obu stron. Lecz kiedy dobiegnie on kresu, Kulawy Jan z Lorne będzie musiał uregulować swoje długi, a spląta tych, które winien jest mnie i temu królestwu, go wykończy.

- Dlaczego w ogóle zaoferowałeś rozejm? Douglas mówił, że miałeś ze sobą znaczną siłę, a MacDonald zagrażał MacDougallowi od strony morza. Czemu nie wykorzystałeś tej przewagi?

- Zrobiłem to. Wykorzystałem ją do osiągnięcia rozejmu, którego bardzo potrzebowałem. Lorne miał ze sobą ponad tysiąc ludzi uzbrojonych w miecze, a na jego wezwanie czekał kolejny tysiąc. Ze mną było sześciuset. Zamiast więc walczyć, poprowadziłem moją armię przez Glen Morę do Inverness, po drodze zbierając kolejnych ludzi. Zająłem tamtejszy zamek, a potem udałem się znów na północny zachód, na terytorium Comynów, spustoszyłem je i wymusiłem kolejny pożądaný rozejm, tym razem na dziewięć miesięcy, na hrabim Ross, który jest jednym z moich największych wrogów. On też ma dużo na sumieniu i w czerwcu pożałuje dnia, w którym postanowił porwać i sprzedać królową Szkotów... - Zamilkł, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem, lecz szybko otrząsnął się z zamyślenia, tak jak pies otrząsa się z wody.

- Ponadto potyczka pod Argyll byłaby otwartą bitwą, a ja ich sobie nie życzę. Władzy nad Szkocją nie da się przejąć w ten sposób, nie po tym, jak Anglicy i wojny domowe przez dziesięć lat odebrały nam najlepszych ludzi. Wallace dowiódł tego ponad wszelką wątpliwość. Nawet pod Stirling, gdzie zniszczył angielskie zastępy, walczył według własnych zasad, zdaniem gardzących nim możnych, jak bandyta. Mimo to wygrał. Poza tym zaangażował się w bezpośrednią walkę tylko pod Falkirk, a tam zdradzili go szkoccy rycerze, którzy wywiedli jego kawalerię poza pole walki przed rozpoczęciem potyczki, i było już za późno, aby Wallace mógł zareagować. Falkirk wiele Wallace'a kosztowało i już nigdy potem nie stosował się do rycerskich zasad.

Jednak zjednoczył Szkocję tak, jak jeszcze nikt przed nim, a ja poszedłem w jego ślady. Wolałbym walczyć podstępem i przez zastraszenie, niż zostać powieszonym i poćwiartowanym za to, że walczyłem zgodnie z angielskimi zasadami... - Zmarszczył lekko brwi. - Ale dlaczego o to pytasz? To nie ma z tobą wiele wspólnego.

-Wiem, chciałem zapytać o coś innego, lecz twoje odpowiedzi mnie zaciekały i zapomniałem o swoim pytaniu... Czy którykolwiek z władców na wyspach ma galery?

- Oczywiście, wszyscy je mają. To wypiarze, wszędzie poruszają się łodziami. MacDonald ma największą flotę.

- Jak wielką?

Bruce pokręcił głową.

- Nie wiem. Raz widziałem, jak na Islay zbiera ponad sto okrętów naraz, z pełną załogą. O czym myślisz?

- Myślałem, że moje galery nikomu się nie przysłużą w Lamlash. Będą tylko porastać pąklami, a moi ludzie się rozleniwiają. Dlatego też przyszło mi do głowy, że utrzymam je w dobrym stanie, używając ich tobie. Pożyczka ta będzie wyłącznie dla zachowania pozorów, rozumiesz. Żadnych bitew morskich, jedynie widok niezbyt odległej siły. Możemy usunąć krzyże z żagli bądź wymienić je na nowe, ale wciąż to będą galery Zakonu. Miałbyś z nich użytek?

Król zmrużył oczy, rozważając ofertę.

- Przydałaby mi się jedna, która przewoziłaby mnie od czasu do czasu, kiedy musiałbym udać się na wyspy lub poruszać między nimi. Lecz jeśli nie mogą walczyć...

- Och, ta mogłaby, to znaczy jej załoga mogłaby walczyć, gdybyś był na pokładzie. Stanowiłaby wtedy w razie potrzeby straż królewską na twoje osobiste usługi. Pozostałe byłyby w innej sytuacji.

- Nie potrzebowałbym innych. Wystarczyłby mi jeden okręt, rzadko podróżuję drogą morską.

- Może dlatego, że nigdy wcześniej nie miałeś tej możliwości?

Bruce się uśmiechnął.

- Może, ale i tak rzadko bym jej używał. Zawsze najbardziej martwię się o stały ląd, gdzie roją się Anglicy, o prawdziwe królestwo Szkocji.

- To znaczy, że mam pięć beczynnych galer... Myślisz, że ten Angus Og znalazłby dla nich użytek, gdybyś mu je ofiarował? — Will

uniósł rękę, zanim Bruce zdążył odpowiedzieć. - Pomyśl przez chwilę z punktu widzenia swoich królewskich potrzeb. Ile byś zyskał, ofiarowując Angusowi Ogowi możliwość korzystania z pięciu świetnych galer. Mógłbyś postawić warunek: niech używa ich na pokaz; na każdej mieści się prawie pięciuset ludzi. Sądzę, że tak ambitny człowiek jak on ucieszyłby się z szansy na podrażnienie silniejszych oddziałów MacDougallów i wykorzystanie choćby pozorów siły większej, niż ma naprawdę.

Król mruknął, skubiąc wąsa i zastanawiając się nad słowami Willa, lecz kiedy już miał się odezwać, rozległo się pukanie, a do pokoju wszedł biskup Dawid Moray.

- Chciałeś mnie widzieć, panie.

Bruce wstał, aby przywitać biskupa, zerkając jednocześnie ze zdumieniem na Willa.

-Tak, Davie, wydałem rozkaz, aby posłano cię na górę za pół godziny, ale mam wrażenie, że upłynęło ledwie kilka chwil. Wejdz. Nalej sobie wina i siadaj. Pan Sinclair i ja nie dokończyliśmy jeszcze rozmowy, lecz możesz zostać i posłuchać. Potem ci zrelacjonuję, co omówiliśmy do tej pory.

Ponownie usiadł i zwrócił się do Willa.

- Ofiarować je Angusowi Ogowi, powiadasz... To wspaniały pomysł. Chwyci go jak pstrąg muchę. Lecz dlaczego tylko pięć galer? Mówiłeś, że masz ich dziesięć.

-Jedna jest moja, jedna twoja, a czułbym się bezpieczniej, mając do własnego użytku jeszcze trzy w odwodzie. Zostaje pięć.

- Oczywiście, zapomniałem o pierwszych dwóch. - Król uśmiechnął się, a jego twarz nabrała zupełnie innego wyrazu i sprawiała wrażenie o wiele młodszej. Wkrótce jednak uśmiech zniknął. -Teraz więc będziesz miał do wykarmienia i zakwaterowania ledwie połowę swojej drużyny, ponieważ Angus Og zajmie się twoimi wioślarzami. Co z resztą ludzi?

- To będzie jednostka Kennetha i garnizon z La Rochelle; razem dwustu trzydziestu, nie licząc załóg galer. To samo odnosi się do nich: jeśli będą siedzieć na Arran miesiącami, zmiękną. A ty potrzebujesz dobrych ludzi. Mogę ci ich użyczyć... Zważ, nie jednocześnie, lecz w zmieniających się kolejno grupach, składających się zarówno z rycerzy, jak i serwentów. Powiedzmy, trzy grupy po siedemdziesięciu

pięciu wojów z końmi i ekwipunkiem, zmieniające się co cztery miesiące.

- Byłbyś gotów to zrobić?

Will wzruszył ramionami.

- Bez wahania. Lecz pod pewnymi warunkami.

Król uniósł dłoń.

- Zanim powiesz jeszcze słowo, uprzedzam, że nie mogę przyrzec, iż nie będą walczyć...

- Nie mam zamiaru cię o to prosić. Wojna to wojna. W przypadku galer robię wyjątek, ponieważ to teraz wszystko, co zostało z floty Zakonu, i jestem za nie odpowiedzialny. Żołnierze to co innego. Wezwę ochotników, a potem wybiorę z nich pierwszych siedemdziesięciu pięciu. Nie ma wątpliwości, że każdy mój człowiek zgłosi się na ochotnika. Ale będą walczyć jako serwienci Zakonu, pod własnymi dowódcami. To mój jedyny warunek. Co powiesz?

- Powiem tak. Lecz co chcesz dzięki temu uzyskać?

- Błogosławieństwo króla w sprawie korzystania z Arran. Oczekujemy też, że dasz nam tutaj wolną rękę oraz że obdarzysz nas hojnie dobrą wolą podczas rozmów z sąsiadami w Kintyre i na wyspach, jeśli nie na lądzie, aby nasze okręty mogły swobodnie poruszać się po tych wodach, dopóki stąd nie wyjedziemy. Mam nadzieję, że nastąpi to wkrótce i że w niedalekiej przyszłości wrócimy do Francji, a tymczasem chodzi o miejsce, w którym moglibyśmy mieszkać i uważać je za własne.

Bruce kiwnął głową i uderzył dłońmi w uda, po czym odwrócił się do nasłuchującego pilnie Moraya.

- No, załatwione. Teraz twoja kolej, Dawidzie, jako przedstawiciela Kościoła. Chcesz zostać z tyłu, czy mamy zrobić ci miejsce przy ogniu?

Moray od jakiegoś czasu zmagał się z zapięciem swojej koleczugi, a teraz wstał, zdjął ją i rzucił na stół, na który spadła z ciężkim chrzęstem ogniów.

- Podejdę do ognia, Wasza Miłość. - Postawił kubek wina na krańcu stołu, a cała trójka usadowiła się dookoła żelaznego paleniska.

Król zrelacjonował biskupowi ich rozmowę.

- A zatem - powiedział w końcu Moray, patrząc w ogień, a nie na króla - rozważyłeś wszystko, co miałem na ten temat do powiedzenia, i postanowiłeś to zignorować.

- Niczego nie zignorowałem, po prostu udało mi się to obejść. Poza tym za pierwszym razem stwierdzałeś jedynie fakty.

- Nie, panie. Faktem jest to, że postanowiłeś postępować wbrew moim ostrzeżeniom. Teraz musimy sobie z tym jakoś poradzić. - Dawid Moray, książę Kościoła, nie miał oporów przed ryzykowaniem niezadowolenia monarchy. Nie wyglądało jednak na to, aby Bruce był zły. Siedział jedynie z opuszczoną brodą, zerkając z ukosa na biskupa, a potem odezwał się kątem ust do siedzącego po jego prawej Willa:

- Nasz Davie potrafi być drażliwy, kiedy ktoś mu się sprzeciwi, lecz to solidny człowiek. No dobrze, księżę biskupie, wytłumacz zatem, z czym musimy sobie poradzić...

Moray sapnął z irytacją, a Will był pewien, że robi to nie po raz pierwszy w kontaktach z królem.

- W takich chwilach dałby Bóg, aby był tu arcybiskup Lambert.

- Ja też bym tego chciał, Davie. - Teraz Bruce mówił całkowicie poważnie. - Bardzo brakuje nam naszego przełożonego w Chrystusie, Williamie, nam i wielu innym ludziom. Lecz nic na to nie poradzimy. Z własnych powodów Bóg sprawił, że arcybiskup spędza te dni w Anglii, i dopóki Anglicy nie wypuszczą go, aby wrócił do swej trzody, nic nie możemy zrobić... przynajmniej na razie. Lecz póki co, wiesz równie dobrze jak ja, że on sądzi, iż dobrze troszczysz się o mój doczesny i duchowy dobrobyt, więc dość zrzędzenia. Potrzebuję twojej rady, nie narzekań.

- Miałem na ten temat myśl czy dwie. - Moray przyjrzał się dokładnie swoim dłoniom, a potem pochylił, aby popatrzeć na Williama siedzącego po drugiej ręce króla. - Sir Williamie, nie masz brody.

Will podrapał się w pokryty szczecina podbródek.

-Już niedługo znów będę ją miał. Musiałem ją zgolić kilka tygodni temu.

- Dlaczego? Myślałem, że broda jest dla templariusza rzeczą świętą.

Will niemal się uśmiechnął; jego usta wykrzywił gorzki wyraz zgody.

- Większość ludzi tak myśli, panie, lecz to jedynie maniera. Ton-sura jest święta, ale rozwidlona broda to jedynie tradycja zrodzo-na podczas pustynnych wojen w Zamorzu, której ja postanowiłem nie przestrzegać. Noszę zwykłą brodę, nie przyciętą i nie rozwidlo-

nę. Zgoliłem ją bez chwili namysłu, kiedy wymagała tego konieczność.

- Konieczność?

- Musiałem się ukryć przed ludźmi de Nogareta.

- Ach! - Moray ponownie rozparł się na krześle, na pozór usatysfakcjonowany, lecz Bruce wciąż był ciekaw.

- O co w tym wszystkim chodziło? — Popatrzył srogo na obu mężczyzn.

Moray ledwie na niego zerknął.

- Nie słyszałeś? Pytałem sir Williama o jego brodę.

- Słyszałem, człowieku, ale po co?

Biskup uniósł brwi.

- Ponieważ musiałem się zastanowić i pomodlić nad swoimi myślami. Jutro ci wszystko opowiem. — Ponownie nachylił się do Willa. - Wiesz, to, co wcześniej powiedziałem na temat papieża i króla Francji... mówiłem poważnie. Obaj nie będą zadowoleni, kiedy się dowiedzą, że tu jesteś i że król Robert udzielił ci schronienia. Jeśli twoje słowa są prawdą, Filip będzie niezwykle rozsierdzony, może nawet bardziej niż papież.

- Dlaczego tak mówisz, panie?

- Ponieważ jeśli wymierzony w Zakon spisek jego i de Nogareta odbył się z tak wielkim powodzeniem, jak mówisz, najprawdopodobniej to, że uciekłeś wraz z flotą, było ich największym błędem tego dnia. Filip nie lubi porażek, szczególnie publicznych, o których wyraźnie zaświadcza dowód znajdujący się w innym kraju. Nie spodoba mu się, że król Szkotów, który ubiega się o jego pomoc, udziela jakiegokolwiek łaski jego ofiarom.

- Nie łaski, księżo biskupie, schronienia.

- Myślisz, że król Filip dostrzeże różnicę? - Moray uniósł brwi jeszcze wyżej ze zdumienia.

Will wyglądał na przygnębionego.

- Nie, panie, raczej nie. - Zawahał się, patrząc na Moraya. - Spotkałeś go kiedyś?

- Ano, trzy razy. Wciąż uważam go bardziej za posąg niż człowieka z krwi i kości. Lecz to nie ma znaczenia. Schronienie, które zyskałeś, może drogo kosztować króla Roberta.

- Niech król Robert się o to martwi - powiedział monarcha. -

Opowiedz nam o papieżu. Mówiłeś, że będzie tą sprawą bardzo rozsierdzony. Dlaczego?

Moray obrócił się, aby spojrzeć na swojego przyjaciela.

— Naprawdę musisz pytać? Obłożył cię ekskomuniką, Robercie, a z tobą wszystkich mieszkańców tego królestwa. To oznacza, że jesteście przeklęci i wykluczeni ze spraw chrześcijan oraz świętych sakramentów. Żadnej Eucharystii. Żadnej pokuty, rozgrzeszenia czy zbawienia. Żadnych ślubów czy pogrzbów w poświęconej ziemi. Przy tym całkowity brak nadziei. - Spojrzał na Willa. - Jedyne, co stoi między Jego Miłością a tą klątwą, to interwencja samego Kościoła szkockiego. My, biskupi tego królestwa, stanowimy jego jedyną tarczę, a sami jesteśmy podzieleni: część z nas jest za, a część przeciwko temu, aby Bruce zasiadł na tronie. Zważ, że dysputa na ten temat jest bezbożna, ponieważ Jego Miłość został namaszczony przez Boga oraz należycie koronowany w Scone przez najwyższych rangą dostojników kościelnych pod przewodnictwem samego prymasa, arcybiskupa Saint Andrews. - Odwrócił się do Bruce'a, który pocierał palcem koniec nosa. - Nie dostrzegasz tego, panie? Jeśli papież Klemens zgodził się na popełnienie tego aktu przemocy wobec zakonu Kościoła, pewnie czuje wyrzuty sumienia, lecz ponieważ jest słaby, nie zrobi nic, aby powstrzymać ten absurd. Nie śmie sprzeciwić się królowi, o ile Filip nie zrobi czegoś, co będzie nawet ponad jego wytrzymałość. Klemens może nawet wtedy się podporządkuje. Ale my, szkoccy biskupi, jesteśmy niezwykle dogodnym celem dla jego pełnego poczucia winy gniewu. Do tej pory udawało nam się go udobruchać i uspokoić rozsądnymi argumentami, podpowiadając, że być może wprowadzono go w błąd, a twoi wrogowie celowo zniekształcili wydarzenia dla politycznych korzyści. Udało się nam, ponieważ Lamberton, Wishart, ja i inni popierający nas biskupi wierzymy w to, co mówimy. Lecz jeśli Klemens usłyszy o tym azylu, uzna to za jawny opór wobec jego władzy. Wtedy będzie go bardzo kusiło, aby przykładowie nas ukarać, twierdząc, że jesteśmy nieposłuszni jego papieskiej woli. Użyje jako dowodów tego azylu oraz naszych wcześniejszych argumentów na twoją korzyść. Nasz głos i nasza władza staną się nieważne... a możesz być pewien, że król Francji zadba o to, aby Klemens wyładował na nas swój gniew. A kiedy już, niech Bóg broni, to się stanie, całe twoje królestwo będzie przeklęte, skazane na piekło za życia. — Przerwał,

pozwalając wybrzmieć swoim słowom, a potem zakończył: -I dlatego właśnie mówiłem, że musimy sobie z tym jakoś poradzić.

Wyprostował się raptownie i wstał, wziął z kąta miecz, zarzucił pas na ramię i zabrał ze stołu swoją kolczugę. Układając ją na przedramieniu, odezwał się:

- Mam zamiar się trochę pomodlić, a potem udać na spoczynek. Zróbcie to samo. Jutro, w jasnym świetle bożego dnia, powiem wam, co musimy zrobić i co, jeśli Bóg da, może się okazać możliwe. Tymczasem życzę wam obu spokojnej nocy.

- Poczekaj no, Davie. - Moray zdążył otworzyć już drzwi, lecz odwrócił się na progu, patrząc na monarchę, który mówił dalej. - Byłbym ci bardzo wdzięczny, gdybyś mógł na chwilę odłożyć modlitwę. Jeszcze dużo musimy sobie powiedzieć tej nocy, a nie chciałbym stracić wątku. Zostań choć trochę, jeśli łaska. - Moray zamknął drzwi, uciszając przytłumione odgłosy muzyki i podniesionych głosów, które napływały z dołu; posłyszawszy je, Bruce uniósł brwi, nieco zaskoczony.

- O! Na dole wciąż im niezłe idzie. Musi być wcześniej, niż mi się wydawało... — Ponownie zwrócił się do Willa, kiedy Moray wracał na miejsce. - No cóż, sir Williamie, co myślisz o naszym biskupie-wojowniku? Czyż nie mówiłem, że tęgą ma głowę?

Will wzruszył ramionami, a na jego twarzy malowała się lekka konsternacja.

- Tak, Wasza Miłość. Wybacz, księżu biskupie, lecz twoje ostatnie słowa były dla mnie niezrozumiałe. O czym mówiłeś, jeśli wolno spytać?

Bruce uśmiechnął się szeroko i pochylił, a choć patrzył na Moraya, odezwał się do Willa:

- Mówił o tym, co będzie konieczne. Davie jest mądry. - Uśmiechnął się jeszcze szerzej na widok zmarszczonych brwi Moraya. -I szczerze mówiąc, Davie, sam nie bardzo wiem, co miałeś na myśli. - Mrugnął do Willa. - Ale jeśli nie omówimy tego dzisiaj, powie nam wtedy, kiedy uzna za stosowne. Twoja flota przybędzie tu rankiem pojutrze, tymczasem ja wyjadę. Inna przybędzie jutro z północy.

- Inna flota?

- Ano, Angusa Oga. W naszym rozumieniu rozsądek nakazywałby mu przybyć samemu lub z niewielką eskortą, lecz Angus Og nie zagra

w tę grę. Przyplynie z flotą, wspomnicie moje słowa. Jego góralska duma nie pozwoli mu zrobić nic innego. Nie zniży się do tego, aby ktoś mógł uznać, że przemyka się z obawą po własnych włościach. Niech Bóg się zlituje nad jego rozsądkiem. W każdym razie jest w drodze tutaj, aby mnie odebrać i udać się dookoła południowego krańca Kintyre, a potem w górę Firth of Lorne i Loch Linnhe, aż do granic Glen Morę. Jest ono teraz pod naszym panowaniem i czekają tam wojowie Moraya oraz Neila Campbella, a także oddział MacGregorów. Dzięki Daviemu mam poparcie ludzi z całych terenów Morayów, a jest ich więcej, niż mógłbym zebrać na całych moich spustoszonych ziemiach w okolicach Annandale i Ayr. Przekroczymy więc znów Glen, idąc do Inverness, gdzie dołączą do nas ludzie z Mar i Atholl, a jeśli Bóg da, i członkowie klanu Fraser. Stamtąd ruszymy na wschód, do Buchan, terytorium Comynów. Hrabia Buchan to dumny, nieustępliwy człowiek, lecz odda mi hołd albo zginie dla dobrej sprawy.

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Jutro, najwcześniej jak się uda. - Przelotny uśmiech na twarzy ponownie odjął mu lat, kiedy król wskazywał głową milczącego Moraya. - Lecz przedtem Davie musi nam powiedzieć, co jest konieczne. Mam ostatnio mało czasu i nie mogę go marnować. Przybyłem tutaj, aby poprzeć Jamesa Douglasa na stanowisku strażnika południowego zachodu i dać mu kolejne rozkazy na nadchodzące tygodnie. To już załatwione. Dowodzi teraz całymi ośmioma setkami ludzi; dwie są tutaj, a reszta czeka na niego koło Turnberry, na lądzie. Kolejnych zbierze, idąc w głąb lądu przez moje ziemie; wieści o naszych ostatnich zwycięstwach zdążyły się już roznieść. Jego głównym zadaniem będzie zachowanie pokoju, głównie poprzez trzymanie MacDowalów w ryzach, choć będzie również nękał angielski garnizon.

- Zostawi na Arran jakiś oddział?

-Tak.

- Nie musi tego robić, skoro my tu jesteśmy. Mógłby **wziąć ze sobą** wszystkich ludzi.

- Gdyby miał dla nich miejsce.

- Niech weźmie dwa moje okręty.

- To jest jakieś wyjście. - Bruce urwał zamyślony. - Czy bierzesz pod uwagę to, że mogę ci odmówić? Jeśli Davie wymyśli jakąś niemożliwą do pokonania przeszkodę, może będę musiał go posłuchać.

Will kiwnął głową.

- Rozumiem.

Moray zacisnął usta, lecz król zignorował zarówno jego samego, jak i jego grymas.

- Przypuśćmy, że tego nie zrobi. Zawiadomię wtedy sir Jamesa, że masz moje pozwolenie na schronienie się na Arran. Co wtedy poczniesz?

- Będę miał ręce pełne roboty, panie. Moi ludzie tłoczą się na okrętach od tygodni. Kiedy zejdą na ląd, będą krnąbrni i gotowi do rozrabiania. Moim pierwszym zadaniem będzie opanowanie ich. Podlega mi ponad dwudziestu rycerzy Zakonu, a to niemała odpowiedzialność i poważna sprawa. Serwientom da się szybko narzucić dyscyplinę, lecz rycerze potrafią być... trudni. Mają skłonność do arogancji i dumy. Nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach są kłótlivi i butni; część z nich może uznać, że niedawne wydarzenia we Francji i zachwianie władzy przełożonych, choć tymczasowe, zwalnia ich z wszelkiej odpowiedzialności. Będę musiał przypomnieć im o ślubach, a potem od nowa narzucić dyscyplinę według reguły zakonnej. Mamy też dwudziestu pięciu braci świeckich. Ich również muszę czymś zająć: zbudują dla nas dom i ustanowią fundament dla dyscypliny zakonnej.

- Możesz na razie korzystać z tego miejsca. Są tu kuchnie i śpi już większość ludzi Jamiego; zrobi się miejsce, kiedy odjadą. Masz ze sobą budowniczych?

- Budowniczych domów i kamieniarzy? Nie, ale mamy cieśli okrętowych, chętnych robotników i ludzi, którzy wiedzą, jak zbudować schronienie. Poradzimy sobie.

- Pamiętaj, żeby najpierw zbudować stajnie. Będziesz musiał chronić swoje konie przed zimowymi burzami. Przechowasz tu dla mnie mój skarb?

Zaskoczony Will podniósł wzrok.

- Oczywiście. Nie będzie cię, kiedy tu trafi.

-Tak, ale mimo wszystko nie chciałbym zabierać go ze sobą na galery MacDonaldów. Byłaby to zbyt widoczna pokusa. Ponadto najpierw będę płynął, a potem szedł pieszo przez tereny wroga na wojnę... Zły czas i miejsce na noszenie ciężkiego skarbu.

- Będę nad nim czuwał w twoim imieniu, królu.

- Dobry z ciebie człowiek. Każę Jamiemu go odebrać, kiedy będę

mógł poświęcić mu tyle uwagi, na ile zasługuje. - Ziewnął i przeciągnął się, po czym zerknął na dogasający ogień. - Muszę się przespać, przyjacielu, ty też. Obok czeka na ciebie komnata, choć będziesz musiał ją dzielić z Jamesem Douglasem. - Uśmiechnął się ponownie. - Ale są tam dwa posłania. A teraz życzę ci dobrej nocy, ponieważ muszę omówić z księdzem biskupem pewne trudne kwestie. Jutro we trzech poradzimy sobie z tym, co według niego jest konieczne. Spij dobrze, sir Williamie.

Will wygrzebał się z posłania na długo przed świtem. Ujrzał, że w lichtarzu płonie świeca, a po Douglasie nie ma śladu. Ochlapał twarz lodowatą wodą ze stojącego na stole dzbana, a potem zdał sobie sprawę, że nie ma czym się wytrzeć. Pohamował irytację i wytarł dłonie i twarz w pościel, dziwiąc się, że nie słyszał, aby Douglas wstawał i wychodził. Kiedy wsunął dłoń pod pościel młodego rycerza, nie znalazł odrobiny ciepła. Zdziwiony ubrał się i poszedł na dół, spodziewając się, że tam znajdzie Douglasa. Nie było nikogo poza robotnikami, a przebywający wcześniej ludzie już się rozeszli do swoich codziennych zadań.

W wielkiej sali - oświetlonej migoczącymi pochodniami i bużującym na nowo ogniem - uprzątnięto już wszystko, co mogłoby świadczyć, że tej nocy służyła za dormitorium. Główne drzwi były otwarte na oścież, aby wpuścić zimne powietrze przedświtu, a stoły i ławy podsuwano i ustawiono jedne na drugich. Z podłogi jacyś ludzie usuwali warstwę starego, uschniętego tataraku, wzbijając kłęby kurzu, a za ich plecami inna grupa rozkładała już świeży, zielony tatarak. Komnata po lewej stronie od wejścia zastawiona była stołami i widać było, że wielu ludzi już zjadło tam śniadanie. Will z radością zauważył, że wciąż jeszcze jest jedzenie, i nałożył sobie miskę gęstej, gorącej owsianki, którą ochłodził, obficie polewając świeżym kozim mlekiem.

Potem, o świcie, ponieważ nie dostrzegł nikogo znajomego i poczuł się niewytłumaczalnie zagubiony i samotny jako jedyny templariusz wśród tylu obcych, wyszedł na zewnątrz i zbliżył się do murku z widokiem na zatokę. Zobaczył przy nim jednego z poznanych poprzedniego wieczora wodzów z rodu Campbell, który odezwał się do

niego po szkocku, a nie w mowie gaelickiej. Mężczyzna wpatrywał się w morze i mruczał coś pod nosem, a kiedy Sinclair skierował tam wzrok, chcąc sprawdzić, co ten zauważył w świetle wstającego słońca, z niepokojem dostrzegł w odległości pół mili dwie łodzie, które tańczyły niebezpiecznie na wysokich falach, zdecydowanie zbyt blisko skał leżących u podnóża opadającego do morza klifu.

- Na Boga, co oni tam robią? - spytał.

Mężczyzna spojrzął na niego z ukosa.

- Ach, to ty. Łowią ryby.

- Na takich falach? Zginą.

- Nie, już skończyli i wracają. Znaleźli ławicę. Najemy się dzisiaj.

- Jaką ławicę?

- Ryb! - Rozmówca spojrzął na niego, jakby miał nie po kolei w głowie, a potem odwrócił się, żeby krzyknąć coś do ludzi w łodziach, jak się okazało, jego podwładnych; Will odniósł wrażenie, że krzyki i tak na nic się nie zdadzą.

Sinclair długo patrzył wraz z nim, jak łodzie walczyły z falami, aby wrócić na plażę, nurzając się ciężko w spienionym morzu. Potem obaj zeszedli przez bramę w murach, a Will przyglądał się w osłupieniu tysiącom srebrnych ryb długości stopy, które wioślarze wyładowywali, wypychali i wysypywali spomiędzy swoich stóp na żwirową plażę. Rybie łuski pokrywały wnętrze obu łodzi lśniąca, metaliczną skorupą. Połów niezwykle się udał; Will poznał to po tym, jak podekscytowani byli ludzie gorączkowo brodzący po kolana w wodzie, aby nie pozwolić rybom uciec z powrotem do morza. Rzucali wijące się i wyrywające stworzenia wysoko na plażę, na bardziej suche podłoże, podczas gdy inni - krzycząc dziko - łapali je i pakowali do solidnych koszy zniesionych pospiesznie z kuchni. Will zauważył, że ekscytacja mu się udziela, i powstrzymywał się, aby nie wskoczyć między ryby jak mały chłopiec i nie dołączyć do szaleństwa.

Kiedy zabrano już ostatni kosz, został sam na posrebrzonej plaży, zagubiony w gonitwie myśli gnających przez jego głowę bez ładu i składu. Wspomnienia z dzieciństwa wzbudzone przez rybaków ustąpiły wspomnieniom o tym, jak pod koniec wieku chłopięcego, jako osiemnastolatek, dołączył do Bractwa Syjonu, jak wysłano go do Zakonu Świątyni i jak zmagał się z naukami i tajemnicami bractwa, jednocześnie awansując w hierarchii Zakonu. Przez chwilę nie mógł się

opędzić od myśli o trudach, jakie towarzyszyły ich płonnym próbom powstrzymania islamu przed przedarciem się z północnej Afryki na Półwysep Iberyjski. Kiedy morze obmyło jego buty, poruszając kamkami, na których stał, przyszło mu do głowy, że było to podobne wysiłkom starego duńskiego króla Kanuta Wielkiego, który próbował zatrzymać fale głosem.

Will odszedł znad wody i wrócił po plaży w stronę palisady, a kiedy przeszedł przez bramę i zaczął się wspinać po kamiennych schodach prowadzących na dziedziniec, usłyszał przed sobą odgłosy kolejnego zamieszania. Przedarły się one przez jego snujące się myśli i sprowadziły go z powrotem do chwili obecnej. Przyspieszył kroku i wbiegł po schodach, obawiając się tego, co zastanie na górze. Okazało się, że słusznie: milę dalej za miejscem, gdzie zobaczył łodzie rybackie, horyzont zasłaniała nieregularna masa kanciastych kształtów masztów i wydętych wiatrem żagli. Na tych ostatnich widać było emblemat, który Bruce opisał poprzedniej nocy: czarną galerę, symbol Angusa Og MacDonalda, rysującą się wyraźnie na tle białego płótna.

Dookoła Willa robił się coraz większy tłum. Mężczyźni zasłaniaли mu widok, tłocząc się i przepychając, aby zerknąć na flotę w oddali, a wśród nich pojawił się Tam Sinclair. Will poczekał, aż krewny na niego spojrzy, a potem wezwał go machnięciem ręki.

- Dzień dobry - mruknął, kiedy Tam podszedł do niego. - Wyglądasz... rzeško. Co porabiałeś zeszłej nocy?

Tam wyszczerzył zęby w stronę tłumu miejscowych.

- W towarzystwie tych tutaj? Jak myślisz? Zjadłem sutą wieczerzę, kilka razy przegrałem w kości i wyspałem się najlepiej od czasu opuszczenia La Rochelle, na stole na podłodze, która przez całą noc ani razu się nie poruszyła ani nie huśtała. Czyje to okręty?

- Wyspiarzy. Spodziewaliśmy się ich. Gdzie Mungo?

Tam wzruszył ramionami.

- Gdzieś tutaj. Widziałem go przed chwilą. Czemu pytasz?

- Opowiem ci wszystko później. Na razie muszę zobaczyć, o co tam chodzi.

Kiedy rozmawiali, tłum otoczył ich kołem, a Will zaczął przeciskać się między ludźmi, aby samemu coś dostrzec, lecz ktoś pociągnął go za rękaw i wypowiedział jego imię. Był to Dawid Moray, za którym majaczyła wyższa sylwetka Bruce'a.

- Na słowo, jeśli pozwolisz - powiedział biskup i gestem zaprosił go, aby im towarzyszył.

Przeszli przez zatłoczony dziedziniec i weszli po schodach do sali, przeciskając się między wyciągającymi szyje ludźmi. W środku było pusto, a Bruce poprowadził ich spiesznie na górę, do komnaty, w której rozmawiali poprzedniej nocy. Wspinając się po stopniach, Will ze zdumieniem zdał sobie sprawę, że na kilka godzin udało mu się uciec od napięcia i niepewności, które uniemożliwiały mu sen przez większość nocy. Teraz znów niepokój wypełnił mu pierś, a on nie odezwał się jeszcze słowem od chwili wezwania. Biskup zamknął za nimi drzwi.

W komnacie panował półmrok rozświetlony jedynie promieniami słabego listopadowego słońca wpadającymi przez małe okno umieszczone wysoko na ścianie szczytowej. Król już zdążył usadowić się przy dawno wygasłym ogniu. Wskazał Willowi krzesło naprzeciw siebie, a kiedy rycerz usłuchał milczącego rozkazu, Moray ostrożnie zajął miejsce u boku króla. Monarcha spojrzał na Willa i podrapał się w podbródek.

- Davie modlił się cały ranek - rzekł.

- Rozmyślał i się modlił - poprawił go biskup. - I mam pewne sugestie... pewne warunki.

Na zewnątrz rozległ się niski ryk, a Bruce zerknął w okna.

- Angus Og jakoś ich sprowokował - powiedział cicho. - Żarliwie wierzy w robienie widowisk. Ale - wyprostował plecy, a jego twarz nabrała zupełnie innego wyrazu - mamy godzinę, nim zbliży się do plaży, więc możemy porozmawiać... - Przerwał, unosząc lekko brwi, i zapytał: - O co chodzi?

Will machnął ręką, aby pokazać, że to, co ma do powiedzenia, jest nieważne.

- Wybacz, Wasza Miłość, lecz przyszło mi do głowy, że twój gość może po przybyciu przy wszystkich nazwać cię królem... a wiem, że jesteś tu w tajemnicy. To wszystko.

Bruce kiwnął głową.

-Trafna uwaga, lecz Angus nie zejdzie na ląd. Wyśle tylko łódź po Daviego, Boyda, de Haya i mnie. Rozmawialiśmy o tym ledwie kilka dni temu i wie, że jestem tu tylko Boydem z Annandale. A teraz posłuchajmy, co ma do powiedzenia ksiądz biskup. Davie?

Biskup rozsiadł się wygodnie i obdarzył Willa spojrzeniem swych bystrych, orzechowych oczu.

- Dobrze — powiedział, posługując się starannym szkockim. - Dobrze. Nie będę cię zanudzał tym, co już wiesz, sir Williamie, i przejdę do meritum. Mamy pewne... trudności. Króla Roberta i jego królestwo czekają poważne kłopoty i znaczny ambaras, jeśli wieści o waszej obecności tutaj się rozniosą, a biorąc pod uwagę przybycie floty, której się jutro spodziewasz, trudno będzie temu zapobiec. Jednak z drugiej strony, dzięki wam mogą istnieć... istnieją... równie ważne korzyści dla Korony i kraju, z których być może najważniejszą jest skarb dla króla, schowany w twojej ładowni. Lecz trzeba też rozważyć sprawę galer, które mogłyby się nam przysłużyć. Ponadto rzeczywistość i znaczną wartość mają wyszkoleni, zdyscyplinowani i w pełni wyposażeni ludzie, których obiecałeś nam w zamian za azyl na Arran. Pod wieloma względami te argumenty za i przeciw się równoważą. Kłopot leży w tym, aby znaleźć jakiś praktyczny i zasadny sposób na to, abyśmy my, szkocki Kościół oraz wojskowi i cywilni doradcy króla, mogli udzielić wam schronienia, a jednocześnie nie pozwolić na to, aby niebezpieczeństwo stało się zbyt duże. Nie należy lekceważyć strat, które groziłyby nam, gdybyśmy przychyłili się do waszej prośby. Chodzi między innymi o ekskomunikę i wieczne potępienie całego ludu, a także o stratę potężnego sprzymierzeńca. Trzeba obawiać się nawet możliwej utraty jego neutralności, ponieważ brak neutralności oznacza, że opowie się on za Anglią podczas czekających nas wojen.

Biskup odchrząknął, zerkając w stronę dalekiego rogu pokoju, a potem ciągnął:

- Zeszłej nocy modliłem się długo i żarliwie, szukając jakiejś wskazówki, jakiejś przepowiedni dotyczącej tego, co mogliby rzec na to arcybiskup Lambertton i biskup Wishart, gdyby tu byli. Ale oczywiście nie ma ich tutaj, a ja muszę za swoje grzechy ich zastępować. Przewracałem się więc z boku na bok przez większość nocy i myślałem... zastanawiałem się nad pewnym pomysłem, ledwie jego zaczątku, który przemknął mi przez głowę. Rozmawialiśmy krótko o brodach.

- Pamiętam.

- Powiedziałeś nam, że bujne, rozwidlone brody to maniera. Takiego użyłeś słowa.

- Tak jest. Zwyczaj ten zaczął się w Ziemi Świętej, podczas wojen.

Tam wszyscy nosili brody, i muzułmanie, i chrześcijanie. Na pewnym etapie, teraz nikt już nie wie kiedy, templariusze zaczęli nosić rozwidlone brody, aby odróżnić się od pozostałych.

- Skąd wiesz? Mówisz, jakbyś był tego pewien.

Will zmarszczył brwi, zastanawiając się, do czego to prowadzi. Bruce milczał, skubiąc palcami kępkę włosów pod dolną wargą i przypatrując się biskupowi zmrużonymi oczami.

- Jestem tego pewien. Mówią o tym... - ugryzł się w język - pewne dokumenty, które czytałem... przygotowując się do awansu w hierarchii Zakonu. Nie miało to znaczenia, lecz z jakiegoś powodu utkwiło mi w pamięci. - Wzruszył ramionami. - Czasami moja głowa zatrzymuje niepotrzebne wiadomości. Czemu pytasz? Czy to ważne?

- Tak myślę. Po czym można rozpoznać templariusza?

Will jeszcze bardziej zmarszczył czoło, co odzwierciedlało jego rosnącą konsternację.

- Na kilka sposobów. Po ubraniach i insygniach, krzyżu i oznaczeniach stopnia.

-1 brodzie?

- Ano, z pewnością, jeśli to rycerz, a nie serwient. Ci noszą zwykłe brody... i oczywiście tonsury.

- Oczywiście. - Biskup pokiwał głową. - Wszyscy oni noszą tonsurę najbardziej uprzywilejowanego zakonu Kościoła. - Przerwał na chwilę, a potem zmienił temat. - Wspominałeś, że twoim pierwszym zadaniem będzie przypomnienie twoim ludziom, kim są i co reprezentują, czy tak?

Całkowicie już zmieszany Will zerknął na króla, szukając jakiejś wskazówki. Lecz stalowoszare oczy monarchy patrzyły na niego bez emocji i bez wyrazu, więc odwrócił się ponownie do Moraya tylko po to, aby ujrzeć to samo obojętne spojrzenie. Machnął ręką niecierpliwie i kiwnął głową.

- Tak mówiłem, zgadza się. I mówiłem poważnie.

- Wiem, ponieważ wymieniłeś powody dla takiego działania i kierujące tobą obawy: że ich morale mogło podupać po wydarzeniach we Francji, że po wielotygodniowym tłoczeniu się na okrętach mogą czuć potrzebę buntu, gniew i żal, a zatem mieć skłonność do nieprzewidywalnych zachowań. Coś pominąłem?

- Nie, biskupie, pilnie słuchałeś. - W kąciку ust Willa na chwilę

pojawiło się coś na kształt drobnego, twardego uśmiešku. - Może nieco zbyt ostro postawiłeś sprawę, lecz sedno się zgadza.

- Powiedziałeś, że musisz przypomnieć im o ślubach ubóstwa, czystości i posłuszeństwa oraz uświadomić obowiązki, których się podjęli, wstępując do Zakonu. - Moray się uśmiechnął. - Wydaje mi się, że ubóstwo nigdy nie stanowiło problemu dla twoich braci, prawda? A czystość staje się sposobem na życie w zakonie, wolne od cielesnych pokus nękających zwykłych ludzi. Lecz posłuszeństwo to zupełnie inna sprawa, a w obecnym przypadku środek wymuszający posłuszeństwo, czyli strach przed karą, zniknął, ponieważ uwięziono przywódców Zakonu. Sądzę, że to musi być twój priorytet: ponownie ustanowić posłuszeństwo jako normę i zaznaczyć swoją władzę. Jeśli zajdzie potrzeba, jak tego dokonasz?

Will wlepił wzrok w blat stołu, w słoje długich desek, z których był zrobiony. Jego dwaj słuchacze czekali cierpliwie. Czuł na sobie ich wzrok.

-Ten... ta możliwość buntu, jak to ująłeś, mogłaby postawić nas w nowej sytuacji - powiedział w końcu, niemal sam do siebie, tak że pozostali nachylili się w jego stronę. - To raczej nie nastąpi, lecz jeśli tak się stanie, będę musiał się z tym jakoś uporać. - Przyjrzał się obu mężczyznom, a potem ciągnął donośniejszym głosem: - Musicie zrozumieć, że kwestia karania braci łamiących regułę jest otoczona ścisłą tajemnicą. Nie jest i nigdy nie będzie omawiana poza zgromadzeniami kapituły. Ale rozumiem, dlaczego pytasz... Kiedy zejdziemy na ląd, znów staniemy się wspólnotą: pojedynczą, samowystarczalną kapitułą. Jako przedstawiciel Rady w tej wspólnotcie będę musiał przede wszystkim zwołać zebranie braci i odprawić modły w podzięce za wybawienie od niebezpieczeństw, na które skazali nas król Filip i de Noga-ret. - Uśmiechnął się przelotnie. - Oczywiście nie ja będę prowadził nabożeństwo. Z łaski Bożej mamy ze sobą trzech księży Zakonu. Potem, kiedy wypełnimy obowiązki Zakonu wobec jego świętej reguły w tym nowym, wspólnym domu... nieważne bowiem, jak tymczasowy będzie nasz pobyt tutaj, wymagania się nie zmienią... pozostanie mi nadzorowanie wyboru dowódców, z którymi określe obowiązuje tutaj braci zadania. Kiedy już ponownie będziemy bractwem i dyscyplina znów się umocni, zagrożenie buntem będzie niewielkie. Właściwie w ogóle nie powinno istnieć, ale... będzie niewielkie.

Will westchnął, a potem pokręcił głową, rozluźniając napiętą ze skupienia szyję.

-A jeśli stanie się inaczej, będę musiał zbudować jakieś więzienie, gdzie będzie można oddzielić złoczyńców od innych dla dobra wspólnoty oraz ich własnych dusz. Trudno przecenić wartość miesiąca przymusowego odosobnienia o chlebie i wodzie.

Nastąpiła chwila ciszy, a potem odezwał się Bruce:

- Na parterze są magazyny z kamiennymi ścianami i solidnymi żelaznymi kratami. W razie potrzeby mogą służyć jako lochy.

Will spojrział na niego i kiwnął głową.

- Dziękuję. Przydałyby się na krótką metę... A tylko rozwiązań na krótką metę powinniśmy potrzebować. Lecz na czas naszego pobytu musielibyśmy zbudować własny kapitularz. Społeczność zakonników nie może mieszkać z ludźmi świeckimi. Ufam, że to rozumiesz.

Król przytaknął powoli i zwrócił się do biskupa:

- Davie, to na pewno nie wszystko.

- Nie, Wasza Miłość. - Moray przesunął dłońmi po twarzy, po czym nachylił się do Willa. - Oto, sir Williamie, sedno moich rozważań. Zanim je przedstawię, muszę zrobić pewną uwagę, nie po to, aby kogokolwiek urazić czy poniżyć, lecz by się jasno wyrazić. Gdybyś miał wejść teraz do tej komnaty i spojrzeć na mnie po raz pierwszy, za kogo byś mnie uznał? — Dostrzegł wyraz niezrozumienia na twarzy Willa, wstał od stołu, odsunął krzesło i stanął tak, aby było go widać całego. - No, za kogo byś mnie wziął?

Will wzruszył ramionami, przyglądając mu się: krótkie włosy, niezwykle silne ramiona, solidna, pewna siebie postura, wielkie, sprawne dłonie, podniszczona i nieco zardzewiała kolczuga oraz sztylet wiszący u pasa.

- Za rycerza - powiedział. - Dobrze urodzonego rycerza, któremu przydałaby się nowa kolczuga.

- Aha! A gdybym wyszedł i wrócił w mitrze i ornacie? Co wtedy?

- Zobaczyłbym biskupa.

- Nie inaczej, i choć oba opisy są prawdziwe, trudno byłoby dostrzec rycerza w biskupie i na odwrót, mam rację?

- Masz.

- I mam też rację w sprawie bród, ponieważ u jej podstaw leży potrzebne nam rozwiązanie. Jeśli potrafisz sprawić, aby twoi ludzie byli

ci posłuszni w kwestii ubioru i wyglądu, możecie tu zostać. - Uniósł szybko dłoń, aby Will nie zdążył zareagować, i mówił dalej: - Zdejmij zewnętrzne oznaki tego, kim jesteś, a uznają cię za kogoś innego. Każ swoim rycerzom ściąć rozwidlone brody i nie golić tonsur, a także ubierz ich jak pospolitych ludzi. Usuń krzyże i inne widoczne symbole z ich ubrań i ekwipunku, zbroi, tarcz i opończ, a przede wszystkim uważaj na konie. Trzymaj je z dala od swoich ludzi, ukryte przed spojrzzeniami, i nie pozwól na żadne rycerskie popisy, którym beczynni miejscowi mogliby się przyglądać, a potem o nich paplać. Stańcie się zwykłymi ludźmi, choćby na pozór, nawet uprawiajcie te skrawki ziemi, które się do tego nadają, a będziecie mogli czuć się tu bezpiecznie, tak jak my się będziemy czuć, wiedząc, że jesteście niewidoczni.

- Niewidoczni? Przecież będziemy widoczni. Bóg jeden wie, że jest nas dość wielu, a wyspa mała. Jak możesz sądzić, że będziemy niewidoczni?

-Tego nie twierdzę. Nie mówię o czarach. Będziecie widoczni, ale jako zwykli ludzie, wojowie. W Szkocji toczy się wojna. Wszędzie w królestwie są tysiące zbrojnych i nikt nie zwraca na nich uwagi do chwili, kiedy trzeba walczyć. Lecz spory oddział zdyscyplinowanych, religijnych, jeżdżących konno wojowników z czerwonymi krzyżami i czarnym równoramiennym krzyżem Wzgórza Świątynnego na Ar-ran? Nie wydaje ci się, że ktoś by to zauważył i stałoby się to tematem dyskusji w całym królestwie?

Myśli Willa gnały, kiedy zmagał się z sugestią Moraya. Oto, jak mu się wydawało, z ust biskupa padło bluźnierstwo. Jego instynkt kazał mu się wobec niego buntować. A jednak, kiedy to rozważał, szukając słów na odrzucenie tego pomysłu, jego oburzenie złagodniało i zaczął myśleć bardziej logicznie, zauważając, że być może zgorszenie to dotyczy wyłącznie jego odczuć.

- To niemożliwe - powiedział, nie poznając własnego głosu. - To zbyt wiele...

- Zbyt wiele czego? - spytał Moray. - Sam mówiłeś, że brody to tylko maniera.

-To prawda. Brody to nic. Lecz tonsura...

- Czy wiesz, skąd się wzięła, sir Williamie?

- Skąd...? Nie, nie wiem.

Biskup się uśmiechnął, jakby się świetnie bawił.

-A ja wiem. Mój umysł, podobnie jak twój, zapamiętuje takie trywialne, pozbawione znaczenia wiadomości. Osiemset lat temu, u zmięzchu imperium rzymskiego, ogolona głowa symbolizowała niewolnictwo. Niewolnicy nie mogli mieć włosów, ponieważ mogliby stać się nie do odróżnienia od zwykłych obywateli. Golono im zatem głowy w nienaturalny kwadrat, aby cały świat widział, kim są. Wtedy tworzyły się pierwsze zakony. Pierwsi zakonnicy przejęli zwyczaj golenia głów, aby pokazać, że postanowili sprowadzić się do najniższego stanu z możliwych, zostać niewolnikami Jezusa. Dziś niewielu o tym wie, a jeszcze mniej ludzi uważa tonsurę za to, czym się stała teraz, kiedy jej prawdziwe znaczenie zaginęło w historii. To maniera, nic więcej. Tak samo jak wasze rozwidlone brody. - Poczekał na reakcję ze strony Willa, a kiedy dostrzegł, że rycerz rozdziawia usta ze zdumienia, zmienił taktykę, a głos na głębszy i bardziej pojednawczy.

- Posłuchaj. Ustanowisz na Arran nową wspólnotę. Będzie miała nową kapitułę, nowych dowódców i nowe zasady, odpowiednie dla nowej rzeczywistości, którą tu napotkacie. Uwierz mi, w tym, co wyniknie z zakazania tonsur i rozwidlonych bród, nie będzie nic grzesznego czy leniwego. - Pochylił się jeszcze bardziej. - Ważna jest twoja wspólnota, sir Williamie, chodzi o wasze przetrwanie. Nie rozpadnie się ona dlatego, że jej członkom wyrosną włosy na czubkach głów. Omów to ze swoją kapitułą, jeśli chcesz, lecz pod warunkiem że wytłumaczysz braciom, jak ma się sprawa, a potem zaproponujesz im swoje rozwiązanie i wyjaśnisz, co ma ono na celu. Jestem pewien, że nie usłyszysz wielu skarg, a jeśli jakieś się pojawią, jestem równie pewien, że im podołasz. Jednak mnie i króla Roberta już dawno tu wtedy nie będzie, a potrzebujemy odpowiedzi przed wyjazdem. Co powiesz?

Will popatrzył najpierw na Moraya, potem na króla i pokręcił głową, wciąż czując się niepewnie po szokującej propozycji biskupa. Odezwał się Robert:

- Na leżącym w głębi wyspy wrzosowisku zwanym Machrie jest dobre pastwisko. Myślę, że twoje konie będą się tam świetnie czuły, bo jest dość miejsca, aby je rozdzielić i zbudować stajnie dość daleko od siebie. Na północ od Machrie jest las. Żaden z niego Ettrick, ale zapewni dość drewna, by pomóc wam w budowie. Wrzosowisko obfituje w torf, dobry na opał.

Will ledwie go słyszał, lecz dotarł do niego przyjazny ton słów monarchy.

- Ale nasz oręż... - zaczął. — Będziemy potrzebowali...

Biskup znów mu przerwał oschłym i rzeczowym tonem:

- Co z nim? Nie wspominałem o orężu. Powiedziałem, że powiniecie ukryć widoczne ślady tego, kim jesteście: białe peleryny i opończe serwientów, wszelkie odznaczenia związane z hierarchą Zakonu. Zamalujcie krzyże na tarczach i hełmach, sir Williamie, lecz nie ma potrzeby niszczyć ekwipunku. Schowajcie go, dopóki nie będziecie potrzebowali lub dopóki nie wrócicie do Francji. Wtedy twoi ludzie będą mogli ogolić głowy, a nawet ponownie ufryzować brody i pojechać do domu ze świeżo namalowanymi krzyżami.

Will w końcu dostrzegł możliwości związane z tym planem. W jego myślach pojawiła się wizja floty z wielką galerą de Berengera na czele, a potem kiwnął głową, nagle przekonany.

-Tak, potrafię to sobie wyobrazić. Schować się na widoku. To samo musimy zrobić z żaglami.

Bruce znów się odezwał, tym razem z uśmiechem:

- Angus Og ci pomoże. Nie pozwoli, aby na jakimkolwiek żaglu, pod którym płynie, znajdował się obcy emblemat. Bez obaw, zapewni wam nowe żagle. I to za darmo.

Will poczuł się tak, jakby z jego ramion zdjęto wielki ciężar.

- Niech będzie, Robercie, królu Szkotów. Tak zrobię. Księżę biskupie, nie wiem, jak ci dziękować. Sądzę, że twoje rozwiązanie jest idealne pod każdym względem, i mam u ciebie wielki, osobisty dług.

- Oto zatem mój królewski uścisk dłoni, jeśli się zgadzamy - rzekł Bruce, wstając i wyciągając rękę. Pozostali położyli na niej swoje dłonie i potrzęsnęli nią trzy razy. - Dokonało się! - powiedział król.

- Ano, ale jeszcze dużo do zrobienia. - Moray już odwracał się w stronę drzwi. - Musimy zorganizować przewóz pierwszej drużyny twoich ludzi, którzy dołączą do króla, kiedy będzie ich potrzebował. Trzeba też jeszcze porozmawiać o tobie i twoich galerach z MacDonaldem. Lepiej teraz o to zadbajmy. Chodź z nami, sir Williamie, a zawieziemy cię łodzią na spotkanie z Angusem Ogiem. Odeśle cię na ląd w ten sam sposób.

- Chętnie go poznam. Lecz muszę o coś zapytać: gdzie jest sir James? Wyszedł, na długo zanim się dziś obudziłem.

- Poluje - odpowiedział Bruce, kładąc dłoń na ramieniu Willa. - Zdaje się, że poluje na wiadomości, gdzieś na północnym skraju wyspy. Zanim wyjechał, jakoś w środku nocy, zostawił wiadomość de Hayowi. Podobno wspominał coś o mówiącym po francusku szpiegu, ale nie jednym z twoich ludzi. Ten, kimkolwiek był, należał do naszej drużyny. W każdym razie Jamie opowie nam wszystko, kiedy wróci. A teraz zobaczmy, co przywiózł nam Angus Og. - Już miał wychodzić, lecz się zawahał. — Chwila. Coś mi jeszcze przyszło do głowy. Nie będę miał okazji podziękować lady Randolph, baronowej Saint Valery. Kiedy przybędzie tu jutro rano, już dawno będę na morzu albo znów na lądzie. Czy możesz jej więc szczerze podziękować w moim imieniu? Nie musisz się bać, że będziesz zbyt wylewny. Nie da się wyolbrzymić mojej wdzięczności w tej kwestii. Zapewnij ją, że jestem jej osobistym dłużnikiem i czekam, aż będę mógł jej sam podziękować. - Zamyślił się na chwilę. - I poprosz ją, jeśli łaska, aby rozważyła powrót do swojego domu w Moray. Każę Douglasowi przygotować dla niej silną eskortę, mogliby więc zostawić skarb dla mnie po drodze, w Saint Andrews. A teraz, Davie, w drogę.

Zgromadzenie na Arran

1

Will siedział na skraju posłania, trąc oczy, kiedy Tam przyszedł go obudzić następnego ranka. W jednej ręce miał lichtarz z zapaloną świecą, w drugiej dzban ciepłej wody, a przez ramię przewieszony ręcznik. Mruknął coś na powitanie, zapalił swoją świecę knot drugiej, stojącej na stole, postawił dzban w glinianej misie do mycia, po czym ustawił świece po jej obu stronach, a obok rzucił ręcznik. Wypełniwszy swoje obowiązki, odwrócił się i wyszedł, świadom, jak bezużyteczne są próby rozmowy z Willem, zanim ten się pozbiera i obmyje oczy.

Jednak tego ranka Will był całkowicie przytomny; czekał go dzień pełen zajęć. Poprzedniego popołudnia poznał wodza MacDonaldów, Angusa Oga, na pokładzie jego galery, i poczynił z nim ustalenia konieczne do zdobycia pozwolenia na to, aby jego okręty mogły pływać bezpiecznie po okolicznych wodach, w zamian za pożyczkę - rzekomo dokonaną przez króla Roberta — pięciu galer. Następnie pożyczył od biskupa de Moraya przybory do pisania, po czym pożegnał się z królem Szkotów i wrócił na ląd. Tam spotkał się z ponurym człowiekiem z nizin, kwatermistrzem Douglasa, z którym ustalił, aby następnego ranka grupa kucharzy udała się do Lamlash i ugotowała nadciągającej flocie Zakonu prosty, gorący posiłek. Potem wrócił do swojej komnaty na półpiętrze i pracował samotnie do późna w nocy, zapisując wiele list rzeczy, które należało zrobić następnego dnia. Kiedy był już pewien, że o niczym nie zapomniał, wczółgał się na posłanie i spał zdrowo i spokojnie, nadrabiając straty z poprzedniej nocy.

Teraz, stojąc na dole w bocznej sali - otoczony zaspanymi mężczyznami nie zwracającymi w ogóle uwagi na jego rycerski płaszcz ani

L^L

widoczny pod spodem ciężki, srebrny łańcuch - wylał nieco koziego mleka do miski owsianki przygotowywanej codziennie przez garnizonowych kucharzy. Zjadł ją bez słowa, siedząc przy stole z grupą równie milczących górali. Kiedy skończył, znów podszedł do stołu z jedzeniem, odciął sobie plaster zimnego mięsa, oprószył go solą ze słoja i owinął pajdą jeszcze ciepłego chleba.

- Smacznie to wygląda - odezwał się za jego plecami Tam. - Też se trochę zjem. Masz, przyniosłem twoje rzeczy.

Will mu podziękował kiwnięciem głowy i odgryzł kęs chleba z mięsem, po czym odłożył go i wziął od Tama miecz oraz tarczę. Zdjąwszy pelerynę, przerzucił pas przez pierś, wygodnie układając długą, osłoniętą pochwą broń, i włożył płaszcz, podczas gdy Tam się posilał.

- Dobrze spałeś? - spytał krewnego Will, kiedy zmierzali w stronę drzwi.

- Ano, dość dobrze. Ciągle jestem rad, że mam pryczę, co się pode mną nie rusza. Dużo mamy dziś do roboty, co nie?

- Aż nadto. Kiedy dotrzemy nad wodę, sir Edward powinien już tam być. Miał wpłynąć wczoraj, pod osłoną nocy.

Gdy trafili na plażę, wciąż było ciemno, lecz łódź admirała już na nich czekała. Jej dziób spoczywał na żwirze, a dwaj Szkoci ledwie zdążyli usiąść, kiedy czterej wiosłarze wskoczyli do wody i ponownie zepchnęli łódź na fale. Dziesięć minut później wspięli się na pokład galery i powitał ich osobiście sir Edward de Berenger, który zaraz potem wydał rozkaz, aby okręt ruszył, kiedy tylko łódź zostanie wciągnięta na pokład. Gdy ruchy wiosła nabrały miarowego rytmu, Will w końcu ujrzał, że admirał się rozluźnia.

- A zatem, komturze - odezwał się de Berenger - jak udała się wizyta u króla Szkotów?

- Dość dobrze. Mamy pozwolenie na pozostanie tutaj, choć pod kilkoma warunkami. A jak z tobą? Miałeś jakieś problemy podczas podróży?

Światło stawało się coraz jaśniejsze, a de Berengera było widać wyraźnie, kiedy odwrócił się do Willa z grymasem, który natychmiast sprawił, że Sinclair zmarszczył czoło.

- Żadnych problemów z podróżą, lecz pewne trudności i tak się pojawiły. Zwrócono na nie moją uwagę i bardzo się ucieszyłem, że mogę zostawić je tobie.

- Co się stało?

- Niektórzy z twoich żołnierzy garnizonowych stwierdzili, że chcą zejść na ląd na cyplu za wyspą. Zignorowali sprzeciw kapitana okrętu, dobrego człowieka, lecz zwykłego serwienta, zastraszonego przez czterech kłótliwych rycerzy. Na szczęście miał dość rozsądku, aby zawiadomić de Narremata, który natychmiast wysłał za nimi de l'Armentiere'a. Ten złapał rycerzy w przesmyku między Sandą a cyplem i zagroził, że ich staranuje, jeśli nie zawrócą. Kiedy nie posłuchali, zatopił łódź tym swoim straszliwym taranem. Na szczęście nikt nie zginął, ponieważ byli wtedy na płyciźnie, a de l'Armentiere jest bardzo zręczny, lecz przemoczeni wściekle gardłowali, kiedy wciągnięto ich na pokład i zabrano na galerę de Narremata. Uwięził ich w kajdanach pod pokładem i wciąż tam siedzą, w swoich rdzewiejących kolczugach.

- Niech to diabli. Wiesz, kto to?

- Nie, nie przyszło mi do głowy, aby zapytać. Lecz to templariusze; zbyt długo tłoczyli się na morzu i nie podobało im się, że nie mogą mieć zdania co do własnych spraw. Może to szczęście, że na tamym pokładzie było ich tylko czterech. Wśród rycerzy na pozostałych okrętach nie zaszły inne incydenty.

- I odtąd nie zajdą, ponieważ mam zamiar przywołać ich wszystkich do porządku i przypomnieć im, kim są i jakie złożyli śluby. - Will sięgnął do sakwy i wyciągnął złożony fragment pergaminu, na którym poprzedniego wieczora zapisał swoje listy, i uniósł go de Berengerowi przed oczami. - Te aroganckie wygłupy owych czterech rycerzy lub coś im podobnego przewidział wczoraj biskup Moray, a ja zacząłem się zastanawiać, jak sobie z tym poradzić, zanim sytuacja stanie się poważna. Jak daleko mamy do pozostałych?

De Berenger zerknął w przód, gdzie widać już było flotę tłoczącą się na wodach zatoki Lamlash, gładkiej niczym lustro w słabym świetle poranka.

- Prawie jesteśmy na miejscu... Będziemy tam za kwadrans.

- I kazałeś im czekać na nasze przybycie, zanim zaczną schodzić na ląd?

- Tak. Popatrz! Co jest tam na wyspie? Jacyś ludzie. Kto to jest, u licha?

Will dostrzegł małą, może czterdziestoosobową grupę ludzi, którzy

wędrowali przez wzgórze w stronę Lamlash i ciągnęli chwiejące się, wyładowane wózki o wysokich kołach.

- Kucharze i robotnicy - powiedział. — Ludzie Douglasa, przyślemy przez jego kwatermistrza. Rozpalą ogniska i przygotowują dla nas posiłek, który zjemy po ceremoniach. - Na wzmiankę o ceremoniach de Berenger uniósł brew, lecz nic nie powiedział. — Przede wszystkim musimy znaleźć mego brata i wezwać go, aby do mnie dołączył. Chcę, aby stu jego ludzi zeszło na brzeg przed innymi. Możesz pod płynąć do jego okrętu tak blisko, abyśmy byli w zasięgu głosu?

Admirał się uśmiechnął.

- A nawet jeszcze więcej. Woda jest tak spokojna, że mogę ustawić nas równolegle do jego okrętu, a Kenneth zeskoczy na nasz pokład. Wiem, gdzie jest, nawet go stąd widzę. - Odwrócił się do stojącego za nim kapitana i wydał mu kilka cichych rozkazów, wskazując okręt, na którym był Kenneth; kapitan odszedł szybko i zaczął wydawać własne komendy.

- Dziękuję, Edwardzie — powiedział Will. -A teraz spójrz na to. - Pochylił głowę nad pergaminem i zaczął przesuwając palcem wzdłuż długiej listy spraw do załatwienia, zwracając uwagę de Berengera na to, co dotyczyło jego, i wyjaśniając, co należy zrobić i w jakiej kolejności.

W miarę jak stopniowo zbliżali się do reszty floty, sir Edwarda także pochłonęła doniosłość czekającego ich dnia. Jednak na początku zadał pytanie, którego Will oczekiwał z lekkim niepokojem:

- Co zrobisz z baronową?

- Co z nią zrobię? Nic z nią ani jej nie zrobię. Zostanie wraz ze służkami na pokładzie do chwili, kiedy zakończymy nasze sprawy na lądzie. Nie dbam, co zrobi potem... Jeśli sobie życzy, może zejść na ląd.

- Odmówisz jej przywileju uczestniczenia we mszy?

- W tym wypadku tak. Baronowa żyje wśród księży i jeśli chce, może poprosić któregoś z nich, aby odprawił dla niej mszę w kajucie. Ta dzisiejsza na wyspie będzie mszą naszej kapituły, pierwszą od czasu opuszczenia La Rochelle. Będzie to uroczysty rytuał odprawiony w zgodzie z regułą Zakonu, i obaj wiemy, że nie przewiduje on obecności kobiet. Jaśnie pani może się to nie spodobać, ale nie mamy wyboru. Zostanie na pokładzie, póki nie skończymy, i kropka. A teraz poszukajmy mego brata.

2

Sir Kenneth Sinclair trzymał się kurczowo liny na wypukłej burcie okrętu ustawionego równolegle do *galery* i z napiętą twarzą oceniał, który moment będzie odpowiedni na skok. Potem rzucił się do przodu między pionowymi wiosłami na lewej burcie galery, rozczapierzając palce obu dłoni w nadziei, że chwyci coś - cokolwiek - co zahamuje jego pęd. Było wystarczająco dużo rąk gotowych, aby go złapać, a on wylądował miękko na ugiętych kolanach, opuszczając z ulgą ramiona. Wypuścił powietrze ze świstem, wyprostował się i zbierał w sobie przez chwilę, zanim podszedł, aby objąć brata i złożyć wyrazy uszanowania admirałowi de Berengerowi. Kiedy tylko powitania dobiegły końca, Kenneth odwrócił się do Willa.

- Co się dzieje?

- Nic się nie dzieje. Czemu pytasz? Kenneth uniósł brwi z udawaną radością.

- Chcesz powiedzieć, że pokonałeś całą tę drogę, aby życzyć mi powodzenia, i złapałeś cumy naszego okrętu bosakami tylko po to, abym ryzykował życie, skacząc tutaj po uścisk? - Spoważniał, a jego głos ucichł nieco. - Coś wisi w powietrzu, bracie, i podejrzewam, że w jakiś sposób mnie dotyczy.

- To prawda. Masz rację. Lecz nie dzieje się nic złego; chciałem po prostu, żebyś załatwił dla mnie kilka ważnych spraw.

- Możesz na mnie liczyć. O co chodzi?

Will zerknął na de Berengera, a potem rozejrzał się, aby sprawdzić, czy ktoś słyszy ich rozmowę. W zasięgu głosu nie było nikogo, więc chwycił brata za łokieć i odwrócił go w stronę lądu ciągnącego się nad zatoką Lamlash.

- Chcę, żeby wszyscy twoi ludzie, co do jednego, w ciągu godziny znaleźli się na łądzie w pełnych zbrojach i opończach. Sir Edward zapewni wszystko, czego będzie wam do tego trzeba. Widzisz tamten występ tuż nad zatoką? Ciągnie się przez niemal pół mili i jest prawie płaski; na środku jest skalny pagórek z okrągłym wierzchem, niezbyt wysoki, lecz dla naszych celów wystarczający. Widzisz go?

Kenneth kiwnął głową.

- Będzie na nim nasz ołtarz. Zanim dotrzecie na plażę, pojawią się tam robotnicy z Brodick... To tam się zatrzymałem, w następnej zatoce na północ. Ich przywódca nazywa się Harkin i spodziewa się was. Będzie miał dla ciebie dodatkowy stół na kozłach, który posłuży za ołtarz. Ustaw go na tamtym pagórku. Wszystkie obrusy i naczynia znajdują się na pokładzie jednego z okrętów, zadba o nie biskup Formadiou. Będziesz jednak musiał znaleźć tuż za ołtarzem miejsce na dzwon. - Will odwrócił się do de Berengera. - Admirale, czy możesz dostarczyć cieślom okrętowym linę i drzewce do wzniesienia trójnogu na dzwon? Może to wystawić ich talenty na próbę, lecz dzwonnica musi być gotowa przed południem.

De Berenger kiwnął głową, a Will wydawał kolejne instrukcje Kennethowi:

- Chcę, żeby twoi ludzie ustawili się na obwodzie przestrzeni, która pomieści naszych porządnie ustawionych braci; mają mieć tyle miejsca, aby wygodnie im się stało, ale nie dość, żeby mogli się przemieszczać. Sam oblicz, jak duży będzie to teren, a potem wyznacz go z tyłu i po bokach. Od strony plaży niech będzie otwarty. Na każdym z trzech boków ustaw po dwudziestu swoich serwientów. Dwudziestu pozostałych i tyluż rycerzy będzie pomocnikami. Nie pozwolę nikomu zejść na ląd, dopóki nie wyznaczysz granic i nie obstawisz ich swoimi ludźmi, lecz nie marnuj czasu. Msza rozpocznie się w miarę możliwości jak najbliżej południa. Niech twoi ludzie porozstawiają pozostałych. - Opisał bratu, jak mają stać od strony ołtarza. -Zrozumiałeś?

- Tak. Co potem?

- Potem odprawimy pierwszą wspólną mszę od wielu tygodni, a ja wygłoszę mowę.

Kenneth, znów się uśmiechając, spoglądał na masywny medalion na szyi brata.

- Nigdy nie widziałem żadnego z nich na własne oczy, ale wiem, co oznacza. Czy nie powinieneś nosić go na pelerynie, a nie pod nią?

- Tak, i tak będzie. Być może widzisz go dziś po raz ostatni. A teraz idź i zrób, co ci kazałem. Chłopcy admirała wciągną cię z powrotem na okręt, a kiedy tylko trafisz na pokład, liczyć się będzie każda chwila.

Cumy i bosaki zaczęto odrzucać, jeszcze zanim Kenneth dostał się na swój okręt, a wioślarze z przodu prawej burty wytężyli mięśnie, aby odepchnąć dziób galery; między dwoma okrętami pojawiła się rosnąca przerwa. W normalnej sytuacji Will przyglądałby się temu gorliwie, ponieważ niezmiennie fascynował go talent marynarzy Zakonu, lecz teraz nie miał na to ani czasu, ani ochoty. Już ponownie badał wzrokiem swoje listy, decydując, jak ważny jest każdy ich element i do czego zabrać się w następnej kolejności.

W końcu zdał sobie sprawę, że wiosła znów pracują zgodnie, i podniósł na chwilę oczy, aby dostrzec, że zdążył się znaleźć wśród reszty floty: po obu jego stronach rozciągały się równe rzędy statków i galer. Jego uwagę przyciągnął odgłos liny przeciąganej z piskiem przez bloczek. Przyglądał się, jak wciągana jest na maszt sztywno obramowana bandera admirała z czaszką i skrzyżowanymi kośćmi na czarnym polu. Był to sygnał nakazujący zebranie się wszystkim kapitanom okrętów, którego najwyraźniej oczekiwano, ponieważ w ciągu kilku chwil w stronę galery zaczęły z każdej strony nadciągać łodzie.

Kiedy zebrali się już wszyscy dowódcy, pokład rufowy roił się od ludzi, a de Berenger wskoczył na reling, opierając się swobodnie o olinowanie, aby do nich przemówić. Poczekał, aż skupili na nim całą uwagę, po czym energicznie wydał ciąg zwięzłych rozkazów, od czasu do czasu zerkając na listę Willa i o niczym nie zapominając. Wymienił każdego kapitana, aby go zawiadomić, czego oczekuje od niego osobiście: jaki personel i ekwipunek ma wyładować i przewieźć na ląd. Określił też kolejność, w jakiej okręty mają wykonać te zadania. Podał nazwiska kilku starszych stopniem oficerów z każdej galery - żadnego z nich przy tym nie było - którzy mieli zostać oddelegowani przez kapitanów do nadzorowania schodzenia na ląd, i podkreślił, że po lądowaniu na pokładach powinna zostać tylko minimalna załoga. Gdy skończył, chciał się dowiedzieć, czy są jakieś pytania, i z ponurym zadowoleniem przyjął fakt, że nie padło ani

jedno. Odprawił wszystkich z powrotem, po czym w towarzystwie Willa poszedł do swojej kajuty.

Kiedy Will podążał za nim, zobaczył, że kilka łodzi z ludźmi Kennetha zbliża się już do plaży, podczas gdy nad nimi - na zboczu prowadzącym w ich stronę - wyraźnie było widać, jak oddział kucharzy i robotników zмага się z wózkami, które przyciągnęli ze sobą z siedziby Douglasa w Brodick.

Południe nadeszło i minęło, a mszy nie odprawiono, lecz przygotowania były już na tak zaawansowanym etapie, że Will zadowolił się czekaniem w zaciszu wielkiego namiotu i uważnym przyglądaniem się sytuacji przez przeznaczone do tego celu szpary.

Po ludziach sir Kennetha wylądowali bracia s'wieccy z La Rochelle i ciężko pracowali od chwili przybycia. Zaczęli od wzniesienia dwóch wielkich namiotów za wyznaczonym w środku kwadratem dla ludzi: jeden ustawiono frontem do plaży, po prawej od ołtarza, na użytek biskupów prowadzących ceremonię, a drugi, w którym chował się teraz Will - po przeciwnej stronie. Jako najstarszy stopniem obecny członek Zakonu sir William Sinclair miał go do dyspozycji na swoją wyłączność. Potem zbudowali w wyznaczonym miejscu ołtarz i wciąż przy nim coś poprawiali, a ustawione na jego blacie złote i srebrne naczynia oraz lichtarze kontrastowały z pokrywającym go śnieżnobiałym materiałem oraz naturalnymi kolorami porośniętego trawą występu górującego nad plażą. Mający za ołtarzem dzwon zawieszony na trójnogu nadawał całości jeszcze bardziej uroczystego charakteru.

Potężny dzwon z brązu, symbol Zakonu, był niemal tak stary jak sama organizacja; zdobyto go prawie dwa wieki wcześniej podczas potyczki z Turkami seldżuckimi i od tej pory używano do wzywania braci na zgromadzenia. Ostatnio użyto go na polu walki podczas oblężenia Akki, ponad dwadzieścia lat wcześniej, kiedy to każdego dnia porywał on szybko kurczący się garnizon skazanej na klęskę fortecy do stawienia czoła bezlitosnym atakom muzułmańskich hord. Wywieziono go stamtąd wraz ze skarbem Zakonu ledwie kilka dni przed upadkiem i utratą ostatniego bastionu templariuszy w Ziemi Świętej.

Od tamtej pory znajdował się w ukryciu, niemal zapomniany, aż wyszedł na światło dzienne podczas działań związanych z wywiezieniem skarbu Zakonu z lasu Fontainebleau, poprzedzającym wydarzenia trzynastego października. Teraz wisiał wysoko nad wodami otaczającymi szkocką wyspę, gotów ponownie poruszyć serca braci Zakonu.

Sześćdziesięciu rycerzy i serwientów Kennetha stało teraz wzdłuż trzech boków wyznaczonego dla ludzi kwadratu, a pozostała czterdziestka wychodziła na spotkanie przybywającym na ląd braciom i kierowała ich na odpowiednie miejsca dookoła ołtarza. Statki i galery kończyły już wyrzucać z siebie załogi i zgromadzenie można było uznać za niemal kompletne. Rycerze z różnych okrętów stali ramię w ramię w czterech szeregach, twarzami do ołtarza i plecami do morza, a za nimi ustawiono pozostałych członków garnizonu z La Rochelle. Po lewej, z boku za kordonem ludzi Kennetha, czekali zwróceniem twarzami do wewnątrz cywilni członkowie załóg statków handlowych, a naprzeciwko nich, po drugiej stronie zgromadzenia - marynarze z floty morskiej. Świeccy bracia z La Rochelle tworzyli czarno odziany blok po prawej i nieco za ołtarzem.

- Zbliżają się, Will.

William Sinclair mruknął, przyjmując to do wiadomości, a początkowe akordy śpiewanego przez braci świeckich chorału niemal zagłuszyły komentarz Tama i sprawiły, że stał się zbędny. Początek pieśni oznaczał, że w drodze była już ostatnia, wyładowana duchownymi łódź; miała ona trwać do chwili, aż trzech odziani w zielone szaty biskupi Zakonu - z Formadieu z La Rochelle na czele - zjedą na ląd i rozpoczną procesję do ołtarza w towarzystwie świty złożonej z kanoników, diakonów i subdiakonów.

Will odwrócił się i stał przez chwilę w milczeniu z opuszczoną głową, powtarzając w myślach to, co powie zebrany, kiedy nadejdzie jego kolej. Oczywiście msza miała pierwszeństwo, a duchowni, jak zawsze, mieli decydować o kolejności obrzędów, lecz Will wiedział, że kiedy przyjdzie czas na omówienie pilnych kwestii i faktów dotyczących tego, co czekało wykorzenioną wspólnotę, to jego słowa przykują największą uwagę i albo zostaną zignorowane, albo uznane za rozkaz. Zacisnął usta, z roztargnieniem ćwicząc przemówienie i bawiąc się ciężkim medalionem na piersi, zawieszonym na grubym łańcuchu z ręcznie robionych srebrnych ogniwi. Na tę niezwykle oficjalną okazję

zrezygnował z białej peleryny. Miał na sobie uroczyste regalia Rady Zakonu: czarną kolczugę przykrytą ceremonialną szatą o niewyobrażalnej wartości, wymyślnie haftowaną, heraldyczną opończą zwaną tabardem. Uszyta była ręcznie z wielu skrzących się, czarnych warstw - fragmentów wyszywanych paciorkami i kawałkami muszli o kontrastujących barwach i fakturach oraz również zdobionego paciorkami krótko przyciętego futra soboli i plecionki z poczernionego srebrnego drutu - a jej ciemną wspaniałość rozjaśniał równoramienny krzyż wyszyty na sercu maleńkimi białymi muszlami oraz ciężki łańcuch na szyi Willa, ozdobiony wisiosem z pokrytego białą i czerwoną emalią metalu. Na lewym ramieniu Sinclair miał potężną, czarną tarczę z białym krzyżem o rozszerzających się ramionach, a jego długi, oburęczny miecz zwieszał się z przerzuconego przez pierś pasa o czarnej klamrze, zrobionego z licowanej skóry.

Przezekał cierpliwie następne wydarzenia schowany w namiocie, nieświadomie marszcząc czoło; właściwie nie drgnął przez cały czas, który zajęło duchownym wylądowanie na plaży i dotarcie do ołtarza. Tam trzech biskupi natychmiast zaczęli wspólnie odprawiać sumę, której towarzyszył śpiew chóru braci świeckich wspierany przez głosy zakonników. Will nie był świadom, że podczas całej ceremonii poruszył się tylko trzy razy, rozprostowując palce prawej dłoni za każdym razem, kiedy inaczej chwycił wielki, czarny hełm, który opierał o prawe biodro.

W końcu obrzędy przy ołtarzu dobiegły końca, a kiedy biskupi i ich akolici odeszli, admirał de Berenger wystąpił naprzód, aby zwrócić się do zebranych. Will uniósł ramiona i wsunął hełm na głowę. Cisza, która powitała de Berengera, była całkowita i pełna szacunku, a sam admirał stał chwilę bez słowa, tocząc wzrokiem po tłumie. W końcu kiwnął głową i uniósł prawą dłoń.

- Bracia — rzekł - wiem, że czekacie na tę chwilę, więc nie będę jej odwlekał. Proszę o ciszę dla naszego przełożonego i jedyne przedstawiciela wielkiego mistrza oraz Rady Zakonu Świątyni Salomona.

Zrobił krok w tył i wyciągnął rękę w stronę namiotu, gdzie czekał Will, a wtedy Tam Sinclair pociągnął mocno za sznury przywiązane do klapy. Will wyszedł zamaszystym krokiem, wspiął się na pagórek i stanął w pełnym rynsztunku przed ołtarzem między dwoma wysokimi rangą rycerzami z kapituły La Rochelle. Dźwięk, który przywitał

Willa, najlepiej można byłoby opisać jako westchnienie, ponieważ niewielu z obecnych miało wcześniej okazję widzieć ceremonialne szaty członków Rady, a to lśniące, wystawne, czarne zjawisko przekraczało wszelkie wyobrażenia większości z nich. Jego sama obecność podkreślała - bardziej niż cokolwiek, co widzieli wcześniej w oficjalnym rynsztunku - potęgę, jaką dysponowała organizacja nadzorująca całe ich życie. Wielki, ozdobiony grzebieniem hełm z wypolerowanej czarnej stali z wysokim, czarno-białym pióropuszem maskował tożsamość człowieka kryjącego się pod szatami, lecz w tych początkowych chwilach dramatu, który miał się zaraz rozegrać, sam człowiek nie miał znaczenia; liczyło się przede wszystkim uosobienie władzy, jakim było czarne widmo z ozdobioną symbolem tarczą, ciężkim łańcuchem oznaczającym jego rangę i wymyślnie emaliowanym medalionem.

Will poczekał cierpliwie, aż wśród tłumu zapadła całkowita cisza, a potem, czując na sobie wzrok każdej pary oczu, opuścił tarczę i podniósł pięść do serca, oddając salut, a wszyscy zebrani stanęli na baczność i odpowiedzieli tym samym gestem, czemu towarzyszyła fala odgłosów metalu uderzającego o metal. Rycerz po lewej stronie Willa — weteran Reynald de Pairaud - zrobił krok do przodu i wziął od Sinclaira ciężką tarczę, a jego towarzysz po prawej, równie szpakowaty Raphael de Vitune, sięgnął po pas z mieczem i oręż, podczas gdy Will rozluźniał czarne klamry. Następnie pozbawiony obciążenia Sinclair podniósł wolno dłonie, odpiął sprzączkę pod brodą i zdjął hełm, po czym znów ułożył go w zgięciu prawego ramienia, opierając o biodro.

- Bądźcie pozdrowieni, bracia! - zawołał.

- Bądź pozdrowiony, bracie! — nadeszła odpowiedź.

Na to Will podniósł głos:

- W imieniu mistrza de Molaya wzywam was na **zgromadzenie** kapituły w tym pięknym miejscu.

- Niech tak się stanie!

Odpowiedź zabrzmiała głęboko i bez wahania, a kiedy znów zapadła cisza, Will odwrócił się i wskazał ręką ogromny dzwon z brązu wiszący za ołtarzem.

- Wszyscy znacie ten dzwon, lecz niewielu z was widziało go wcześniej. Od prawie dwustu lat jego bicie wzywa nasze bractwo na zgromadzenia w chwilach największej niedoli. Teraz zabrzmie ponownie,

na tej nowej ziemi, po raz pierwszy od czasu, kiedy **opuścił fortecę** w Akce, ponieważ nasz Zakon znów cierpi niedolę.

Kiwnął głową Kennethowi, który czekał na ten sygnał, a dwaj ludzie rozhuścili między sobą sporą kłodę, aż jej koniec uderzył w dzwon. Po zatoce poniósł się i odbił echem ogłuszający dźwięk, płosząc ptaki. Nikt się nie ruszył ani nie odezwał, dopóki jego ostatnie echa nie ucichły.

- Wyspa ta nazywa się Arran i na jakiś czas stanie się naszym do mem, tymczasową bazą dla naszych działań, udostępnioną nam dzięki łasce Roberta Bruce'a, króla Szkotów. Tutaj ponownie stworzymy wspólnotę na tak długo, jak będzie trzeba, dopóki nie zrobimy wszystkiego, co w naszej mocy, aby odkryć, co dzieje się z naszym Zakonem i braćmi we Francji oraz w innych miejscach. Do czasu, kiedy po znamy prawdę i to, jaki wpływ będzie ona miała na naszą przyszłość, będziemy się tu zachowywać dokładnie tak samo jak w La Rochelle... Poza tym, że musimy zbudować sobie dom, zanim będziemy mogli się nim cieszyć.

Potoczył wzrokiem po zebranych, aby sprawdzić, jak reagują, i ocenić ich nastrój. Dostrzegł, że większość jest spokojna, niemal zrezygnowana, i czeka na rozwój wydarzeń, lecz inni wyglądali na zagniewanych, a jeszcze inni sprawiali wrażenie zmieszanych. Will uniósł wysoko rękę i znów poczekał na ciszę.

- Wiem, że większość z was nie do końca zdaje sobie sprawę z tego, co stało się w naszej komturii w dniu, kiedy ją opuściliśmy, a na morzu nie było okazji, aby wam o tym opowiedzieć. Dlatego też nie byłście w stanie odróżnić prawdy od plotek i dzikich wymysłów. Teraz przedstawię wam to, co wiemy, lecz nawet my, wasi dowódcy, musimy uzupełnić te nieliczne informacje, które posiadamy, rozsądnymi opiniami i teoriami. Oto, jak na razie, istota naszej wiedzy...

W ciągu następnego kwadransa Will streścił całkowicie zaabsorbowanym słuchaczom wydarzenia z piątku trzynastego października, wspominając o tym, jak wielki mistrz wezwał go do Paryża, o wątpliwościach de Molaya w kwestii prawdziwości otrzymanego ostrzeżenia i o tym, jak zmagał się z własnym sumieniem, zastanawiając się, czy złamać ślub lojalności wobec papieża dla przyszłego dobra Zakonu. Jasno i otwarcie mówił też o własnej reakcji na wieści de Molaya, o niepewności, która nim targęła, mimo że wiedział, iż sam mistrz

działa wbrew swojemu instynktowi i wyłącznie w interesie Zakonu. Potem wspomniał o misji swojego brata, aby zebrać stu ludzi i z ich pomocą w wielkiej tajemnicy wydobyć skarb Zakonu z kryjówki w jaskiniach wielkiego lasu w Fontainebleau i zawieźć go na wybrzeże.

Jego słuchacze wiedzieli oczywiście, że ta misja się udała, ponieważ sami załadowali skarb na okręty, lecz Will uznał, że dobrze będzie ukazać ich udział w przygotowaniach mających na celu przetrwanie w obliczu obludy króla Francji; wiedział, że nie zaszkodzi, jeśli braciom Zakonu pozwoli się wierzyć, że każdy z nich — choćby nieświadomie - stanowił część operacji zapewniającej Zakonowi ocalenie.

Kiedy skończył, patrzył na nich przez chwilę, niemal oczekując, że ktoś odważy się zadać jakieś pytanie, lecz zakorzeniona od dwóch stuleci dyscyplina nie zawiodła i nikt się nie odezwał. W końcu Will kiwnął głową i zrobił krok w tył, wyciągając rękę w stronę stojącego za jego lewym ramieniem Tama, trzymającego w dłoniach paczkę. Will zważył ją w dłoniach, po czym chwycił mocniej i uniósł wysoko nad głowę. Był to duży, skórzany pokrowiec, najwyraźniej dość ciężki, długi i szeroki na niemal stopę, głęboki na pół; Sinclair potrząsnął nim i odwrócił się nieco w obie strony, aby każdy mógł go obejrzeć.

- Co teraz zrobimy? - rozległ się wyraźnie jego głos. - Każdy z was zadaje sobie teraz to pytanie. Co się stanie? Co poczniemy? — Wykrzykując kolejne pytania, znów się obrócił, wymachując paczką w powietrzu, aż wszyscy zebrani wlepiali w nią wzrok, a kiedy skończył, opuścił ręce i wsunął ją pod pachę.

- No cóż, teraz odpowiem wam na te pytania, a odpowiedź \na pierwsze brzmi: będziemy jeść! - Poczekał, aż wiwaty ucichną. - Jedzenie, którego zapach czujecie, gotują kucharze przysłani przez sir Jamesa Douglasa, protektora wyspy, pełnomocnika króla Roberta i naszego gospodarza.

Ludzie znów wzniesli wiwat, ponieważ po wielotygodniowej podróży perspektywa świeżo upieczonego mięsa była spełnieniem ich marzeń. Kiedy hałas zaczął słabnąć, Will ponownie uniósł rękę, mocno ściskając w niej paczkę. Idealnie wyczuł moment i tłum zamilkł, oczekując następnych słów.

- Jeśli chodzi o to, co się teraz stanie, tu mamy wskazówki. Pa trzcie no! - Opuścił ramię i poluźnił sprzączki pasków spinających pokrowiec, po czym wyciągnął z niego ciężkie zawiniątko. - Mam tu

plik dokumentów opatrzonych pieczęcią samego wielkiego mistrza, sir Jacques'a de Molaya. Wewnątrz są jego polecenia dotyczące tego, jak mamy postąpić; powierzył mi je jako waszemu przedstawicielowi podczas ostatniego spotkania. Wezwę teraz jednego z najwyższych rangą obecnych tu rycerzy, sir Reynalda de Pairauda z byłego garnizonu w La Rochelle, aby się przyjrzał i zaświadczył, że jest to pieczęć naszego wielkiego mistrza i że jest nienaruszona.

Will wyciągnął przed siebie trzymaną w obu rękach paczkę, a weteran zbadał pieczęć, obracając ją, a potem skinął poważnie głową i uklonił się w pas, oświadczając, że jest pewien, iż pieczęci nie ruszano. Dopiero wtedy Will oddał pokrowiec Tamowi i ponownie przemówił:

- A zatem przez resztę dnia będziemy świętować i dziękować za wybawienie, a jutro najwyżsi rangą bracia zgromadzą się na pierwsze spotkanie kapituły w naszym nowym domu. Wtedy też zbadają polecenia wielkiego mistrza i wspólnie zadecydują, co należy zrobić, aby postąpić zgodnie z wyrażonymi w nich życzeniami Rady. Tymczasem zaręczam wam, że reszta też będzie miała dużo pracy, ponieważ tu tutaj, na otwartej plaży, jesteśmy narażeni na atak. Idźcie zatem wszyscy w pokój i podejmijcie zadanie ponownego stania się pobożną wspólnotą po tak długiej przerwie w naszym zwyczajowym trybie życia. Nasi przyjaciele z Brodick wezwą was do stołów, kiedy nadejdzie pora jedzenia, i podejrzewam, że będziecie na to gotowi. Idźcie z Bogiem.

Kiedy zebrani zaczęli się rozpraszać, Will podziękował skinieniem głowy dwóm weteranom, którzy mu pomogli, i odwrócił się w stronę swego namiotu, świadom, że Tam - wciąż ściskający pokrowiec z opieczętowaną przesyłką - pilnie mu się przygląda.

- O co chodzi? - spytał Will, kiedy tylko znaleźli się w środku i opuścili za sobą klapę namiotu. — Zapomniałem o czymś?

- Tylko o kobietach - warknął Tam. - Zostawiłeś je na pokładzie, a wszystkim innym pozwoliłeś zejść na ląd. Mogę je teraz zaprosić na brzeg, aby coś zjadły, czy mam kazać im to wysłać?

- Niech to diabli, faktycznie o nich zapomniałem. — Will zmarszczył czoło, szybko odrzucając kuszącą alternatywę zostawienia ich na pokładzie. Mruknięcie, które z siebie wydał, wyrażało po części niesmak, a po części sprzeciw. - Ano, przywieź je na plażę. Właściwie

skończyliśmy już na dzisiaj. Ale zadbaj o to, aby usadzić je z dala od braci. Mam na głowie dość problemów z ludźmi, którzy od dawna nie zaznali dyscypliny zakonnej. Nie widzę powodu, aby pogarszać tę sytuację. Jeśli zobaczą kobiety, będą o nich rozmawiać. Lepiej więc niech się nie pokazują.

Podczas gdy na brzegu rozgrywały się rycerskie obrzędy, Jessie Randolph miała się całkiem dobrze. Właściwie to bardzo cieszyła ją możliwość porzucenia roli baronowej Saint Valery po raz pierwszy od chwili opuszczenia La Rochelle i oddania się dokładniejszej toalecie, niż wydawała się jej wcześniej możliwa na pokładzie galery Zakonu. Fakt, że w ogóle mogła ją wykonać, wynikał oczywiście z tego, że na czas odprawianych na plaży rytuałów każdy templariusz zniknął z zakotwiczonych w zatoce okrętów. Wydawało się, że wszyscy członkowie ekspedycji tłoczą się na brzegu; stali do niej plecami, pochłonęci tym, co działo się przed nimi. Jessie słyszała chór podniesionych głosów braci zakonnych, śpiewających rytualną pieśń, i wiedziała, że tego dnia nikt prędko nie wróci. Kiedy zdała sobie z tego sprawę, postanowiła wykorzystać okazję i podjęła decyzję, która niezwykle wstrząsnęłaby zgromadzonymi na brzegu braćmi, gdyby o niej wiedzieli.

Wezwała swoje służki i kazała powiedzieć tym kilku członkom załogi, którzy zostali na galerze, aby zagrzali dla niej wodę do kąpieli z pomocą palenisk w kuchni okrętowej. Potem, rozkoszując się niemal całkowitą nieobecnością mężczyzn, zajęła na własne potrzeby wielką kajutę i rozłożyła w niej całą swoją skromną garderobę, aby ją przejrzeć i dokonać koniecznych napraw. Podczas gdy na plaży toczyły się uroczyste i tajemne rytuały Zakonu, Jessie i jej służki, Marie i Janet-te, odprawiły z radością mniej uroczyste, lecz równie tajemne obrzędy kobiecości; kiedy więc pierwsi ludzie zaczęli zmierzać do ognisk w poszukiwaniu jedzenia, kobiety były gotowe, aby do nich dołączyć, odświeżone, uczesane, wypielęgnowane i wystrojone. Od początku tej wyprawy nie czuły się równie czysto i powabnie.

- Poczekaj! - krzyknęła Jessie do Tama, w chwilę po tym jak ich łódź dobiła do brzegu.

Tam stanął i odwrócił na nią wzrok, czekając. Wraz z dwoma wiosłarzami z łodzi, niosącymi teraz dobytek kobiet, prowadził je w stronę drugiego końca głównej grupy ludzi.

- Zatem my, kobiety, mamy siedzieć najdalej od wszystkiego, za klaunami i błaznami, za harfiarzami i żonglerami, nawet za markietanami i żebrakami, gdyby tu byli? Czy nakarmione będziemy ostatnie, zimnym jedzeniem? Gdzie jest sir William? Doprawdy muszę mu po dziękować za takie względy.

Tam znał już Jessie dość dobrze, aby zignorować ton jej głosu i odpowiedzieć tak, jakby uczyniła tę uwagę jedynie mimochodem.

-Jedzenie nie będzie zimne, pani. Sam o to zadbam. Kazałem przygotować je, odłożyć i przykryć, zanim po ciebie pojechałem. Nim powiesz coś jeszcze... poprosiłem, żeby poczekali z tym godzinę, więc teraz powinni się do tego zabierać. - Wskazał miejsce, do którego zmierzali. - Patrz, czeka tam na nas Mungo. Pewnie go jeszcze nie poznała, ale to dobry człek, rodem stąd. Jest ponury i niewiele gada, ale go polubisz. Pewnie zbudował już ognisko i nzbierał drewna, żeby do niego dokładać. Usiądziesz sobie wygodnie przy ogniu, a ja przyniosę ci jedzenie... Z tym żółtym winem z Andegawenii, które lubisz. A teraz chodź na miejsce, bo w końcu żadne z nas nie zje. Kiedy skończysz wiesz, czemu nie, możesz poszukać Willa Sinclaira i sama mu podziękować... pod warunkiem że mnie przy tym nie będzie.

Wkrótce potem Tam usadowił je tak wygodnie, jak to było możliwe na nieosłoniętym wrzosowisku nad plażą, podczas gdy małowówny Mungo szczerze karmił płomień ogniska dobrze wysuszonym drewnem, wyrzuconym przez morze na brzeg. Gdy obaj mieli już odejść, Jessie podziękowała im uprzejmie i odprowadziła ich wzrokiem, kiedy szybko znikali w tłumie.

Zanim Tam wrócił, do Jessie dotarły odgłosy jakiegoś zamieszania; podniosła się, aby zobaczyć, co się dzieje, ale nawet stojąc na palcach na najwyższym głazie, w pobliżu nie widziała nic poza rojącymi się przed nią ludźmi. Wysłała Janette na zwiady, a ta szybko wróciła, kręcąc głową.

- Nie wiem, co się stało, pani. Zdaje się, że z północy przybył jakiś okręt, lecz nikt nie wie, ani skąd dokładnie ani do kogo należy.

Chwilę potem na tle ciemniejącego listopadowego nieba pojawiły się sylwetki Tama, Mungo i jeszcze jednego mężczyzny, niosących przykryte paczki o płaskim dnie. Okazało się, że to drewniane tace z dostateczną ilością jedzenia i napitku dla całej szóstki, kobiet i mężczyzn. Były tam półmiski soczystych, grubych plastrów jagnięciny i koziego mięsa, misy pokrojonej rzepy z pikantnymi przyprawami oraz gotowanych, liściastych warzyw, a także świeżo upieczony chleb o chrupkiej skórce podany z dzikim miodem oraz niesłodzone ciastka owsiane z twardym kozim serem o ostrym smaku. Po tygodniach diety złożonej ze skąpych porcji niebudzącego zachwyty jedzenia - właściwej długim podróżom morskim - była to uczta istic królewska, a Jessie i służki oddały jej cześć, na jaką zasługiwała, jedząc równie łapczywie jak Tam i Mungo i nawet nie próbując rozmawiać przed zaspokojeniem głodu. W końcu jednak Jessie odepchnęła od siebie resztki i uniosła dłonie.

- To było nieprzyzwoicie dobre, Tam. Świetna robota.

Tam mruknął, wydlubał paznokciem odrobinę jedzenia spomiędzy zębów, po czym odrzekł:

- Mnie nie dziękuj, pani. Ja to ino przyniosłem. Przybywa z uszanowaniem od kwatermistrza tej wyspy, który podlega Douglasowi. Sir William ustalił to z nim wczoraj wieczorem, będąc wraz z garnizonem w Brodick, skąd przybył dzisiejszego ranka.

- A zatem podziękuję kwatermistrzowi, jeśli go kiedykolwiek spotkam. Lecz mówiąc o garnizonach, ktoś powiedział, że pojawił się nowy okręt. Wiesz coś o tym?

- Ano. — Tam zmiotł resztki ze swojego drewnianego talerza do ognia, a potem odłożył go na ziemię. - To była galera. Górale z północy. Mungo powiedział, że miała banderę MacDonalda. Sam nie widziałem. Lecz ktokolwiek to był, zszedł na ląd pod sztandarami... Były biało-niebieskie, więc może i był to sam Douglas.

- Może? Nie jesteś pewien?

Tam spojrzał na nią z przyganą.

- Nie, pani, nie jestem. Potrafię wymienić pięć możliwych rodów, których kolory to biel i błękit. Ród Douglasa to tylko jeden z nich, choć on najprawdopodobniej pojawiłby się tu osobiście, ponieważ z woli króla sprawuje władzę nad wyspą.

- Naprawdę? Co to znaczy? Kim jest ten człowiek?

- Rządzi na Arran. To osobisty przyjaciel króla. Podobno są ze sobą blisko.

- Zatem muszę go jak najszybciej poznać. On będzie wiedział, gdzie znaleźć króla.

Tam zawahał się i już miał powiedzieć baronowej, że król Robert wie o jej darze, lecz ugryzł się w język. Rozumiał, że to nie jego interes, i ani Will, ani baronowa nie będą zachwyceni, jeśli przyzna się, iż cokolwiek wie o całej sprawie. Skinął tylko głową.

- Oczywiście, pani - rzekł. - To nie powinno być trudne, o ile faktycznie to on przypląnął... Jak mówiłem, nie widziałem go. Lecz jeśli tu jest, bez wątpienia znajdziesz go u boku sir Williama.

- Niech tak będzie. Znajdźmy go więc u boku sir Williama. - Jes-sie podniosła się, wbijając wzrok zmrużonych oczu w miejsce, gdzie, jak jej się wydawało, będzie można spotkać sir Williama Sinclaira i jego czcigodnego gościa.

Zastąpiwszy oficjalne szaty swoją białą peleryną, Will zjadł już wieszczę i był pochłonięty rozmową z sir Reynaldem de Pairaudem, osobistością, z którą - jak wiedział — będzie się trzeba obchodzić niezwykle ostrożnie podczas pierwszych dni na Arran. Wszyscy wiedzieli (choć Will uznał, że słowo „przypuszczali" byłoby odpowiedniejsze), że de Pairaud ma wpływowe kontakty w hierarchii Zakonu. Jego brat, budzący respekt sir Hugh de Pairaud, był jednym z najwyższej postawionych członków Rady; zajmował zarówno pozycję skarbnika Zakonu, jak i wizytatora klasztorów we Francji, i prawdopodobnie został aresztowany w październiku wraz z resztą Rady.

Will zdawał sobie sprawę - i zakładał, iż Pairaud podziela tę świadomość - że wpływy, którymi weteran może i kiedyś się cieszył, przepadły wraz z zatrzymaniem jego brata. Pamiętał też jednak, że obraz Pairauda wśród pozostałych braci pozostał niezmienny i można byłoby go użyć do zmniejszenia oporu wobec zmian, które Will chciał zaproponować w najbliższych dniach. W naturze Pairauda leżało sprzeciwianie się jakimkolwiek zmianom i twierdzenie z upartą, bezmyślną zajadłością, że ciągłość równa się tradycji i niepodważalnej słuszności. Rozumiało się samo przez się, że będzie głośno i arogancko potępiał ów przełom, ponieważ dotyczył on niektórych z najbardziej umiłowanych znaków rozpoznawczych niezwykle konserwatywnej i nieustępliwej grupy zwanej knurami Zakonu, do której de Pairaud się zaliczał. Mimo to Will postanowił, że spróbuje złagodzić upór starszego mężczyzny zwykłą uprzejmością, i robił wszystko, aby zachowywać się przyjaźnie w obliczu ponuractwa rozmówcy.

Właśnie zamilkł po nieudanej próbie wciągnięcia sir Reynalda do

rozmowy na temat nowych początków i okazji do przeobrażenia, kiedy, podniósłszy wzrok, zobaczył, że otaczający go ludzie stoją na palcach, wyciągając szyje w stronę zatoki. Usłyszał też głosy: wszyscy się zastanawiali, na co patrzą i kim jest nowo przybyły. Will podniósł się szybko i zwinnie na nogi. Jednak nawet stojąc, nie widział nic, więc przecisnął się przez tłum na szczyt wzniesienia po swojej lewej ręce, warcząc do ludzi stojących tam przed nim, żeby zrobili mu miejsce.

Poniżej pędziła w stronę brzegu galera, której maszt i olinowanie rysowały się wyraźnie w promieniach zachodzącego szybko słońca; najwyraźniej zaraz czekało ją wbicie się w plażę, lecz właśnie kiedy Will ją dostrzegł i zaczął się dziwić samobójczej prędkości, jej wiosłarze jak jeden mąż podnieśli wiosła pionowo zgodnym ruchem, który zdradzał nieskończenie długą praktykę. Siłą rozpędu tego ostatniego, mocnego, idealnie wykonanego pociągnięcia, okręt zbliżył się gładko do brzegu, wytracając szybkość, a potem wsunął się na żwir nabrzeża i spoczął dokładnie tam, gdzie chciał kapitan: dość daleko na lądzie, aby pasażerowie mogli zeskoczyć z dziobu na plażę bezpiecznie i nie mocząc butów, lecz i na tyle głęboko w wodzie, aby wiosłarze byli w stanie bez większych trudności zepchnąć go z powrotem na fale. Był to znakomicie wykonany manewr, a Will jak zawsze w obliczu pokazu biegłości miał ochotę zaklaskać.

Zdążył już rozpoznać szczupłą sylwetkę sir Jamesa Douglasa, którego łatwo było zidentyfikować po jaskrawoniebieskiej szarfie w białe pasy, przecinającej jego pierś pod peleryną o bledszym odcieniu błękitu. Uzbrojony i zaopatrzony w hełm Douglas stał sam na dziobie nieruchomego już okrętu, choć otaczali go inni ludzie, a kiedy Will się przyglądał, pierwsi członkowie załogi zaczęli zeskakiwać na plażę, lądując miękko i zgodnie z przewidywaniami nie mocząc butów, po czym ustępowali następnym. Will naliczył trzech mężczyzn w białych tunikach z emblematem czarnej galery na piersi. Dwóch z nich niosło ukochane przez szkockich góralskie dudy, a trzeci - długą żerdź z tym samym symbolem, czarną galerą na białym tle: sztandar MacDonalda. Dudziarze natychmiast przygotowali swoje instrumenty i zaczęli grać, podczas gdy reszta drużyny zeskakiwała za nimi. Dwóch z ostatniej grupy schodzących na brzeg niosło biało-niebieski sztandar rodu Douglasów, a pozostałych ośmiu - zwykłych wojów - miało na sobie proste koczugi na pikowanych skórzanych tunikach. Sam Douglas

zeskoczył ostatni, a chorąży MacDonaldów w towarzystwie dudziarzy zaczął prowadzić go w górę plaży, gdzie czekał na nich sir William, który opuścił wzniesienie.

Ponieważ mężczyźni nie mieli szans usłyszeć siebie nawzajem z powodu hałaśliwej muzyki dud, tylko kiwnęli sobie głowami, a potem z uśmiechem czekali, aż melodia się skończy. Kiedy dziwne, zawodzące tony ucichły niespodziewanie wraz z ostatnim, przypominającym beczenie odgłosem, obaj zdali sobie sprawę, że otacza ich milczący tłum, czekający na ich słowa. Will ruszył się pierwszy, kłaniając się młodemu człowiekowi i witając go cicho po szkocku:

- Dzień dobry, sir Jamesie, choć wydaje się, że dzień już się skończył. Witaj w naszym tymczasowym obozie.

- Ano, dziękuję. - Douglas odpowiedział skinieniem głowy, uśmiechając się lekko, a potem zdjął ciężki metalowy hełm, rzucił go jednemu ze swoich ludzi i wyjął spod peleryny miękką czapkę z piórem cietrzewia. Nałożył ją na głowę i ułożył tak, żeby było mu wygodnie, po czym odwrócił się i spojrzał nad lewym ramieniem na flotę zakotwiczoną w zatoce.

- Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem. Wspominałeś nam, że masz ze sobą flotę, lecz nie wyobrażałem sobie czegoś równie wielkiego. Nadaje ci to pewnej... nazwijmy to godnością. - Znow się odwrócił i potoczył wzrokiem po otaczającym ich tłumie. - Admirala nie ma?

- Och, jest... po prostu nie ma go tutaj, jeśli mnie rozumiesz. Jadł ze mną, lecz jakiś czas temu odszedł porozmawiać ze swoimi kapitanami, skoro już napełnili brzuchy i potrafią mówić, nie prosząc o jedzenie. Chcesz z nim rozmawiać?

- Nie, byłem tylko ciekaw. A co z moimi ludźmi z Brodick? Czy jacyś są w twoim obozie?

Zaskoczony pytaniem Will pokręcił głową.

- Nie, nie ma ani jednego. Cały dzień zajmowaliśmy się swoimi sprawami. Zeszliśmy na ląd i przyzwyczajaliśmy do niego nogi. Po nownie poświęciliśmy się naszemu Zakonowi i wróciliśmy do starych zwyczajów. -Wzruszył ramionami. - Wiedziałem, że tak będzie, więc nie zapraszałem twoich kapitanów. Oczywiście wyjątek stanowią ludzie koło ognisk, kucharze i pomywacze, którzy przygotowali jedzenie. A skoro już o tym mowa, serdecznie dziękujemy ci za tę przysługę.

Will przeszedł gładko na francuski i podniósł głos na użytek stojących dookoła templariuszy.

- Bracia, oto sir James Douglas, protektor Arran z nadania Roberta, króla Szkotów. Sir James zapewnił nam jedzenie, które dziś spożyliśmy, oraz kucharzy, którzy je ugotowali, więc przystoi mu podziękować. - Jego ostatnie słowa zagłuszył zgodny ryk, a kiedy umilkł, Will podniósł rękę, aby zwrócić uwagę wszystkich. - Jeśli ktoś z was zna szkocką mowę, już słyszał, jak witam sir Jamesa w naszym tymczasowym obozie. Chciałbym mu teraz przyrzec, że kiedy znów nas odwiedzi, nie będzie musiał siedzieć na głazie, aby ze mną porozmawiać. - Na to gruchnął śmiech. - Jednak tymczasem mamy do omówienia dość delikatne kwestie, więc jeśli pozwolicie, zabiorę go do mojego namiotu i tam się z nim naradzę. Zostańcie tutaj i bawcie się dobrze. Potem udajcie się na spoczynek. Nasze nowe życie zacznie się właśnie na tej plaży, podczas następnej jutrzni, na wiele godzin zanim słońce znów zaświeci. Pójdź, sir Jamesie.

Zignorował chór jęków spowodowany ostatnią uwagą i odprowadził wodza Douglasów, za którym podążała jego eskorta. Poszli wzdłuż występu ciągnącego się nad plażą do wielkiego namiotu Willa. Milczeli, ponieważ musieli patrzeć pod nogi, idąc w ciemnościach po wyboistym terenie, a po drodze Will się zastanawiał, co sprowadza Douglasa o tej porze, i to na pokładzie galery.

Jasne było, że nawet w czasie nieobecności ktoś troszczył się o jego wygodę: Will już z daleka dostrzegł światło ognia rozpalonego w przenośnym palenisku na głazie ustawionym pośrodku namiotu.

- Miło będzie usiąść przy ogniu - zauważył Douglas, lecz wtedy Will się potknął, co pozbawiło go tchu, więc nie rozmawiali już do chwili, kiedy obaj znaleźli się bezpiecznie w namiocie.

Podali swoje ciężkie peleryny czekającemu bratu świeckiemu i od razu podeszli do ognia, wyciągając dłonie w stronę płomieni. Zbrojni Douglasa zniknęli cicho, kiedy grupa zbliżyła się do namiotu, i zostawili się na całym jego obwodzie; choć Will nie wspomniał o tym wtedy, na tyle rozbudziło to jego ciekawość, że teraz zapytał:

- Dlaczego akurat dzisiaj przybyłeś z eskortą tutaj, gdzie są wszyscy moi ludzie? - Uśmiechnął się szeroko, aby złagodzić swoje słowa. - Zapewniam, że gdybyśmy chcieli cię skrzywdzić, jest nas tu dość wielu, aby bez większych trudności pokonać twoich ośmiu strażników.

- Tak myślisz? Jest was tylko kilkuset, i w dodatku wszyscy jesteście Francuzami, więc nie bądź taki pewien. - Przerwał, a kiedy znów się odezwał, jego głos był już całkowicie poważny. - Strażnicy to eskorta, Will, na wszelki wypadek, i nie mają nic wspólnego z tobą czy twoimi ludźmi. Jestem tu, aby wręczyć ci podarunek.

Will zaskoczony spojrzął na młodego szkockiego wodza.

- Podarunki zawsze są mile widziane, przyjacielu, lecz jakie to wy padki sprawiają, że musisz mieć przy sobie strażników wśród własnego ludu?

Douglas wzruszył ramionami.

- Nieprzyjemne, choć rzadkie, i zawsze nieprzewidywalne. Przypłynąłem tutaj prosto z północnego krańca wyspy. Pamiętałem, że twoja flota miała się dzisiaj pojawić, więc pomyślałem, że cię wśród niej znajdę. Miałem rację, co mnie cieszy.

- Przypłynąłeś, by mnie szukać? Dlaczego?

- Aby podziękować za twój przenikliwy wzrok.

Will pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Może powinienem powiedzieć: twoją przenikliwość. Pamiętasz tego wścibskiego człowieka, co lubił podsłuchiwać toczony po francusku rozmowy? Otóż kazałem dwóm moim ludziom go pilnować: dość pospiesznie wyjechał tego samego dnia, lecz na szczęście nie zdawał sobie sprawy, że jest obserwowany. Jeden z moich ludzi go śledził, drugi czekał na mnie. Nasz człowiek udał się na północny wschód, przez wzgórza i górskie doliny, najwyraźniej zmierzając do Lochranzy, ponieważ nie ma tam nic innego. Trudno było za nim iść, nie demaskując się, bo nie ma się tam za czym schować, lecz mieliśmy dość solidną podstawę, aby podejrzewać go o niegodziwość, więc tego popołudnia zatrzymaliśmy go i zadaliśmy mu kilka pytań.

Will czekał, świadom eufemizmu, którego użył Douglas, lecz nie wyglądało na to, aby młodzieniec miał mówić dalej, więc spytał go otwarcie:

- I co? Czego się dowiedzieliście?

-Tego, że odkryłeś spisek... Wymierzony przeciwko królowi, jak wszystkie takie spiski.

- A ten człowiek był prowodyrem?

- Na krew Boga, nie! Był tylko posłańcem: obserwatorem i szpie-

giem. Właśnie zmierzał do swojego pana z wiadomością o tym, że na Arran przybyła duża grupa francuskich wojów.

- Dowiedzieliście się, kto był jego panem?

- MacDougall z Lorne. Syn starego wodza, Kulawy Jan we własnej osobie. Nic w tym dziwnego, biorąc pod uwagę, kim jest ta nikczemna kreatura, lecz zaskakująca była następna informacja, którą wyśpiewał nasz ptaszek na temat swojego ostatniego pracodawcy. Okazuje się, że sam Menteith, nasz ukochany i zaufany dziedziczny wódz Arran, zawarł pakt z MacDougalliem, pod warunkiem że otrzyma władzę zarówno nad Arran, jak i Kintyre, kiedy Bruce zginie, a parweniusze MacDonaldowie zostaną stłamszeni. Jest głupcem, jeśli uwierzył Kulawemu Janowi na słowo, lecz kości zostały rzucone, pakt zawarto, a teraz sam został zdradzony, co przypieczętowało jego los. Zapewniam cię, Menteith nie ma co liczyć na łaskę naszego króla za tę zdradę. Zbyt wiele już było podobnych spraw i zbyt wielu zdrajców uwolniono, aby mogli się znów zbuntować.

Will poczuł, jak ściska go w piersi z trwogi, kiedy myślał o drobnym wodzu z Menteith, który zrobił na nim wrażenie przyjaznego i skromnego. Zdał sobie sprawę, że jeśli ten niepozorny człowieczek jest zdrajcą, równie dobrze może być nim każdy. Mruknął pod nosem:

- Gdzie zatem jest teraz Menteith? Co z nim zrobiliście?

- Nic. Wciąż siedzi w Brodick, nie wiedząc, że już po wszystkim. Mówiłem ci, przybyłem tu prosto z północy. W zatoce pod zachodnim wrzosowiskiem stała na kotwicy galera MacDonaldów, z której mogliśmy skorzystać, ponieważ jej kapitan i tak był już w drodze tutaj z Brodick. Opłynęliśmy północne wybrzeże wyspy, szukając w zatokach i zatoczkach ukrywających się MacDougallów, a potem udaliśmy się od razu tutaj. Następnie wyruszamy do Brodick, gdzie pojmy Menteitha i będziemy go trzymać pod strażą, aż król się nim zajmie. Dlatego podróżuję dziś z eskortą. Nie wiedzieliśmy, gdzie znajdziemy Menteitha i kto może go bronić, kiedy będziemy go aresztować. Stąd moi zbrojni i stąd też mój dar dla ciebie, na który w pełni zasłużyłeś.

- Jaki dar?

- Lochranza, człowieku! Twierdza Menteitha. Czyż nie mówiłeś, że potrzebowałeś solidnej bazy na wyspie? No cóż, już ją masz. Od tąd Lochranza jest twoja, możesz korzystać z niej według własnego

uznania. Bóg jeden wie, że Menteithowi nie będzie już potrzebna. Zamek jest z kamienia i łatwo daje się bronić; jest tam najlepszy osłonięty port na całej wyspie oprócz tej zatoki. Twoje galery łatwo się tam ukryją: widać je będzie tylko z bardzo bliska, a w zamku i na ziemiach dookoła niego jest dość miejsca dla twoich ludzi. Co więcej, połowa twoich koni znajdzie pewnie dla siebie obfite i dobrze nawodnione pastwiska w dolinach. Za plecami będziesz miał wysokie góry, a u stóp morskie szlaki. Mógłbyś trafić znacznie gorzej. Z mojego punktu widzenia twierdza mogłaby być w znacznie gorszych rękach niż twoje. Pusta byłaby tylko obciążeniem i przekleństwem. Teraz będziesz jej używał do celów twojego Zakonu, a jednocześnie bronił jej w imieniu moim i króla, więc nie będę się musiał o nią martwić. *Quid pro quo*. Idealny układ.

Will — który słuchał z otwartymi ze zdumienia ustami - pomyślał dokładnie to samo, lecz nie zdążył tego powiedzieć, ponieważ na zewnątrz rozległy się kobiece głosy, po których jacyś mężczyźni wypowiedzieli głośno hasło i odzew. Następnie uchyliła się kłapa do głównej części namiotu i wszedł Tam Sinclair, sprawiając wrażenie urażonego.

- Sir Williamie - warknął, nie siląc się na uprzejmość czy przyjazny głos - baronowa Saint Valery chce z tobą rozmawiać, to ją przyprowadziłem. - Z tymi słowy odwrócił się na pięcie i wyszedł, pozwalając zasłonie opaść za sobą.

Will i Douglas gapili się na siebie, a za zasłoniętym kotarą przejściem zapadła nagle cisza. Żaden z nich się nie ruszył; obaj z różnych powodów zastanawiali się, co nastąpi. Potem usłyszeli dyskretne kasznięcie, a materiał poruszył się, kiedy ktoś go chwycił i odciągnął. Stała za nim samotnie Jessica Randolph, wlepiając wzrok w rycerzy. Odpowiedzieli ostrożnymi spojrzeniami.

— Lady... - przywitał ją Will, kiedy już przestał gapić się na nią niczym jakiś głupi chłystek, przez chwilę, która wydała mu się wiecznością. Wyprostował się jak struna, aż poczuł, że zachowuje się niepoważnie, i machnął słabo ręką w stronę młodego mężczyzny stojącego po drugiej stronie paleniska. - Sądzę, że nie poznałaś jeszcze sir Jamesa Douglasa...

Na twarzy Douglasa pojawił się pełen zachwyty uśmiech, kiedy zamasyście zdarł czapkę z głowy i skłonił się głęboko w dostojny spo-

sób, jakiego nauczył się podczas pobytu w Paryżu; dlatego też nie zauważył, jak Jessie wytrzeszcza oczy, słysząc nienaganną francuszczyznę, którą ją powitał.

- Madame la Baronne de Saint Valery - powiedział z opuszczoną głową, wysuwając przed siebie stopę i zamiatając ziemię piórem zdobiącym jego czapkę. - Jestem zaszczycony, mogąc cię poznać, ponieważ wiele słyszałem o tobie i twoim rodzie. - Wyprostował się i spojrzał jej w oczy. - Znałem ze słyszenia twojego brata, sir Tomasza, jak *wszyscy* Szkoci. Nigdy nie miałem przyjemności go spotkać, lecz mój ojciec niezwykle go szanował. Znam również nazwisko twojego świętej pamięci małżonka, barona Saint Valery, ponieważ wielką estymą darzył go William Lamberton, jego świątobliwość arcybiskup Saint Andrews, który był moim patronem i opiekunem podczas mego pobytu we Francji. Przy kilku okazjach słyszałem, jak arcybiskup z podziwem wypowiadał się o wyczynach twego męża jako przedstawiciela króla Filipa na angielskim dworze.

Jessie kiwnęła jedynie głową, dziękując mu za tę uprzejmość i dziwiąc się jego pewności siebie, niezwyklej u kogoś tak młodego, lecz wciąż nie spuszczała z niego oka, usiłując lepiej go wy badać. Douglas ciągnął:

- Wiem od sir Williama, iż od jakiegoś czasu nie byłeś w Szkocji, więc czy wolno mi będzie wyrazić zachwyt, iż to właśnie na Arran dane ci było wylądować, i ze swojej pozycji jako protektora wyspy ciepło i serdecznie przywitać cię w imieniu mego pana, Roberta, króla Szkotów?

Na krew Boga, czy on powiedział „protektora”? Pełnoprawnego protektora wyspy z królewskiego nadania? Toż to ledwie chłopiec.

Jessie poczuła, że marszczy zawzięcie brwi i mimo swojego wcześniejszego słusznego gniewu jest całkowicie zbита z tropu. Właściwie wepchnęła się siłą do namiotu, nękać bezlitośnie Tama, aż poddał się i jej ustąpił. Zawahała się tylko raz, na króciutką chwilę, zanim odciągnęła zasłonę między przedsionkiem a wnętrzem namiotu, gotowa przeciwstawić się srogiemu i nietolerancyjnemu sir Williamowi i zażądać uznania oraz względów, na które w swoim przekonaniu zasłużyła, ofiarowując królowi wspaniały, dobrowolny dar. Weszła na arenę w pełni przygotowana do bitwy, a jej myśli pełne były wizji tego, co sobie nawzajem powiedzą, kiedy wyładuje na nim swój gniew

spowodowany tym, jak traktuje się ją i jej służki. Absolutnie ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewała, była zabarwiona poczuciem winy i zażenowania nieśmiałość powitania Sinclaira, a nieprzewidziana obecność bardzo młodego i szarmanckiego możnego, który właśnie się do niej zwrócił, tylko zwiększyła jej zmieszanie i odebrała mowę.

Kim jest ten fanfaron i skąd się wziął? Jego nazwisko było dość powszechne w południowej Szkocji, lecz niewiele dla niej znaczyło. Przypomniała sobie, że na początku jej małżeństwa na tych terenach mieszkał osławiony Douglas, zapalczywy buntownik, którego uwięziono za jego występki w Anglii. Czy mógł to być jego krewny? Z pewnością jeśli ten młodzian jest tak ważny, jak się zdaje - a wnioskując z szacunku okazywanego mu przez Sinclaira, była gotowa w to uwierzyć — nie byłoby dobrze go urazić. Dlatego też Jessie powstrzymała się przed ciętą ripostą, którą miała na końcu języka, i skłoniła uprzejmie głowę, przywołując na twarz nieznacznym uśmiech i odpowiadając łagodnie i z godnością:

- Dziękuję, milordzie... Douglasie, czy tak? Jesteś niezwykle uprzejmy.

- Niektórych darzy się uprzejmością odruchowo, pani. - Młodzieniec uśmiechnął się i znów uklonił, choć już nie tak głęboko. - James Douglas z Douglasdale, lecz nie lord. Tytuł lorda miał mój świętej pamięci ojciec, sir William Douglas, a teraz jego terenów strzegą zazdrośnie Anglicy, twierdząc, że mój ojciec zmarł jako buntownik i zdrajca. Ja i reszta Szkotów nie zgadzamy się z tą opinią, lecz zamek Douglas, mój dom rodzinny, znajduje się obecnie wraz ze wszystkimi jego mieszkańcami w rękach Anglika, sir Williama Clifforda, jednego z tak zwanych namiestników Szkocji. - Wzruszył ramionami, wciąż lekko się uśmiechając. - Nie będzie tak zawsze, lecz na razie nic nie można na to poradzić.

Kiedy mówił, Jessie przyglądała mu się badawczo, chłonąc wszelkie dostrzegalne niuanse jego charakteru i osobowości. Jej początkowy gniew ustąpił i widziała teraz, że - przynajmniej pod względem powierzchowności - wiele przemawia na korzyść młodzieńca, począwszy od grzywy czarnych, starannie uczesanych i lśniących włosów, opadających aż na szerokie ramiona. Jego pociągłej, gładko ogolonej twarzy o szerokiej żuchwie nie można byłoby nazwać klasycznie przystojną, ponieważ oczy - głęboko osadzone pod czarnymi brwiami — leżały

nieco za blisko siebie. Mimo to były duże, o tęczęwkach tak ciemnych, że sprawiały wrażenie czarnych, oraz jasnych i zdrowych białkach o niemal błękitnym odcieniu. Jessie uznała, że byłyby one absolutnie piękne, gdyby między nimi a długim, kościstym nosem, który dominował nad resztą twarzy, było choć odrobinę więcej miejsca. Usta miał szerokie i wyraziste, a zęby - dzięki młodości i zdrowiu - równe i białe, co kontrastowało wyraźnie z jego smagłą skórą. Ubrany był w błękitną tunikę i wąskie spodnie o tym samym kolorze, lecz innym odcieniu, a ciężka biało-niebieska peleryna o zarzuconych na ramiona połach zwieszała się do kostek. Miał na sobie wysokie, solidne buty, a u przerzuconego przez pierś pasa widniał długi, solidny miecz. Jessie uznała, że ogólnie prezentuje się ujmująco: był młody, miły w obejściu i pełen entuzjazmu oraz energii, zdrowy, przyjacielski, otwarty, pewien siebie i pozbierany... W niedalekiej przyszłości będzie wspinałym i wartościowym towarzyszem jakiejś przedsiębiorczej młodej kobiety.

Poddawszy młodzieńca oględzinom w ciągu kilku chwil, Jessie obdarzyła go swoim najbardziej czarującym uśmiechem.

- Czyś zwykłym rycerzem, czy lordem, sir Jamesie, najwyraźniej jesteś wielce dystyngowanym człowiekiem i dziękuję ci za twą kurtuazję. - Potem przeniosła swą uwagę na Willa, który sterczał skrupawany na skraju jej pola widzenia. - Wybacz mi, że przerywam naradę, sir Williamie, lecz ponieważ od kilku dni nie miałam od ciebie żadnych wiadomości w sprawie mojego daru dla króla Szkotów... z pewnością miałeś inne sprawy na głowie od czasu przybycia na Arran... postanowiłam, że może przysłuży się to wszystkim zainteresowanym, jeśli czym prędzej zajmę się własnymi sprawami i zorganizuję przeprawę dla siebie, swoich dworaków i daru na ląd, gdzie z pewnością będę miała znacznie większą szansę na znalezienie króla Roberta, niż wydaje się to możliwe na tej wyspie.

Zakłopotany Will patrzył na nią przez chwilę bez wyrazu, a potem otworzył szerzej oczy i wyprostował się, urażony jej wyniosłością.

- Doprawdy, pani - rzekł głosem wyczerpanym z wszelkich śladów uprzejmości. - Poinstruj mnie więc, jeśli łaska. Jak dokładnie masz zamiar tego dokonać na tej wyspie i jakie podejmiesz kroki, aby ochronić siebie i swoje służki, nie wspominając nawet o skarbie? Gdzie znajdziesz godną zaufania świtę, wiedząc, że wszyscy moi ludzie związani są ślubami z Zakonem i nie mogą stąd wyjechać bez pozwolenia?

Jessie zirytowało to, jak nieostrożnie wspominał o skarbie, podczas gdy ona sama uważała, aby mówić wyłącznie o darze, a gniew ten dało się słyszeć w jej odpowiedzi.

- Myślałam, że może uznasz za stosowne zapewnić nam odpowiednią eskortę złożoną z twoich ludzi, panie. - Ona też mówiła zimnym i pogardliwym tonem, co tylko podsycało rozdrażnienie Willa.

- Ja też tak myślałem, pani - warknął - i to od chwili, kiedy opuściliśmy La Rochelle. Lecz wybór odpowiedniej chwili również należy do mnie i zależy ona od tego, czy wywiązałem się z moich obowiązków względem Zakonu. Niemożliwe jest, aby kryteria te ustąpiły wobec kaprysów kogokolwiek spoza Zakonu Świątyni.

Douglas przysłuchiwał się z rozdziawionymi ustami, skonsternowany wrogością Willa, szukając jej przyczyny. Po raz pierwszy podczas jego kontaktów z templariuszem zachowywał się on w sposób nieprzyjacielski i nieopanowany, choć Douglas nie wątpił, że sir William Sinclair potrafi być w razie potrzeby surowym dowódcą. Jednak w tym wypadku traktował tę Saint Valery grubiańsko. Douglas nie widział powodu dla takiej wojowniczości i przyglądał się to jej, to jemu, kiedy rozmawiali. Upłynęło jednak trochę czasu, zanim zdał sobie sprawę, że mimo całej napastliwości i urażonej dumy to Sinclair przegrywa tę konfrontację.

- Jeśli mogę coś zasugerować - powiedział Douglas z uśmiechem. - Może mam idealne rozwiązanie waszych problemów. - Oboje obrzucili go piorunującymi spojrzeniami, a on uśmiechnął się jeszcze szerzej i machnął ręką w stronę stojącego niedaleko stołu. - No już, jest zimny listopadowy wieczór, robi się coraz chłodniej, a przynajmniej dla mnie był to długi dzień. Pani, niedługo, a właściwie jutro, mam popłynąć do króla Roberta, który już wyraził chęć zobaczenia cię i po dziękowania za twój dar, który przybył w samą porę, w chwili wielkiej potrzeby. Nie byłoby nic prostszego nad to, abym zabrał cię, twoje damy i skarb ze sobą. Dlaczego zatem nie mielibyśmy usiąść zgodnie tu, przy ogniu... przyciągnę krzesła... i porozmawiać o tym, jak i kiedy moglibyśmy tego dokonać?

Jessie ledwo dosłyszała jego ostatnie słowa, ponieważ cała jej uwaga była skupiona na fragmencie o wdzięczności króla. Zmarszczyła czoło, ale kiedy przyszło jej do głowy jedyne wyjaśnienie tego, co powiedział, kiwnęła głową z ponurą miną. Powoli, sztywna z obu-

rzenia, spojrzała na Sinclaira i odezwała się ociekającym sarkazmem tonem:

- Król wyraził życzenie zobaczenia mnie i podziękowania za mój dar? Jak to możliwe, panie? Dopiero co przybyłam, więc skąd król może już wiedzieć o moim przyjeździe i darze, który wiozę? Któż mógł mu o tym powiedzieć?

Policzki sir Williama zalał rumieniec, kiedy rycerz zdał sobie sprawę, o co się go posądza. Zamachał ręką i spróbował się odezwać, lecz bez powodzenia, a wyraz czystej wdzięczności, który pojawił się na jego twarzy, kiedy Douglas interweniował, mógłby być przy innej okazji śmiechu wart.

- Pani - wtrącił się James, a Jessie niechętnie przeniosła na niego uwagę. - Pani, wybacz mi. Król Robert był już na Arran, kiedy przy był sir William. Jego Miłość został tu niecały dzień, ponieważ pewne pilne sprawy państwowe wymagały jego obecności gdzie indziej, lecz podczas tego pobytu znalazł czas na omówienie z sir Williamem przy czyn pojawienia się floty Zakonu w Szkocji. Byłem na tym spotkaniu i wiem, że podczas rozmowy wspomniano o twojej obecności wśród floty, twej ucieczce z Francji i szczodrym darze. Sir William opowiedział o nim w dobrej wierze, nieświadom, że zanim przyplynieś tu z Kintyre, król będzie musiał już wyjechać. Ruszył w drogę wczoraj wieczorem, a ty przybyłaś dziś rano. Lecz teraz, jak wspomniałem, mam natychmiast za nim podążyć, choć inną trasą, i z radością będę towarzyszył ci w drodze tam, gdzie zechcesz się znaleźć. - Zaśmiał się, machając beztrąsko ręką. - Oczywiście pod warunkiem, że będziemy trzymać się z daleka od Angoli, którzy mogą zechcieć wtrącić mnie do lochu za moje grzechy. Z wielką przyjemnością zawieziemy cię bezpiecznie do domu. Tymczasem jednak, pani, nie gniewaj się na sir Williama. Wyraźnie widzę twoje niezadowolenie, lecz William Sinclair nie zdradził twojego zaufania ani nie pomniejszył znaczenia twojego daru. Nie miał w tej sprawie wyboru i jak zawsze postąpił honorowo, bardzo dbając o twoje imię i reputację.

Takie wytłumaczenie nie mogło nie udobruchać Jessie, która spojrzała najpierw na Douglasa, a potem na stojącego obok niej Sinclaira. Przechyliła głowę, świadoma, że czeka on na jej odpowiedź, choć nie śmiała podnieść na nią oczu, i przytaknęła raz, a potem znów, wolniej.

- Niech zatem będzie. Przyjmuję twoje wytłumaczenie, sir Jamesie, i dziękuję ci za nie. Sir Williamie, obawiam się, że źle cię osądziłam, przynajmniej w tym względzie. - Potem, uznając, że rycerz zupełnie nie jest w stanie na nią spojrzeć, dźgnęła go delikatnie palcem w ramię. - Wybaczysz mi, sir Williamie?

Will stał nieruchomo jak kulek, walcząc z przemożną potrzebą nachylenia się w jej stronę, a poczucie bliskości było intensywniejsze niż wszystkie inne, które potrafił sobie przypomnieć. Bijące od niej ciepło było niemal namacalne i sprawiało, że miał ochotę wyciągnąć dłoń i dotknąć jej, a słodczy intensywnego zapachu ciała kobiety wypełniała jego nozdrza, a nawet usta, sprawiając, że kręciło mu się w głowie. Wiedział, że musi jej odpowiedzieć, i chciał zrobić to uprzejmie, lecz załała go zmysłowa, budząca poczucie winy przyjemność, i nie potrafił zebrać się w sobie, aby zwrócić się do niej bezpośrednio. Wkrótce cisza, choć na razie krótka, rozciągnęła się na tyle, że zdał sobie z niej sprawę nawet młody Douglas.

- Sir Williamie? — spytał, a Will wyprostował plecy, zbierając siły, aby wziąć się w garść.

- Wybacz mi, baronowo - mruknął pod nosem, zerkając z ukosa na Jessie i słysząc, jak niewyraźne są jego własne słowa. - Zadumałem się, moje myśli odpłynęły daleko... Proszę o wybaczenie. Coś, co powiedziałaś... nie pamiętam już co... przypomniało mi moją siostrę, Peggy... - Nabrał głęboko powietrza i przemówił pewniejszym tonem: - A jeśli chodzi o to, co mogłaś pomyśleć o moim zachowaniu, już o tym nie wspominajmy, ponieważ biorąc pod uwagę, co się stało, było to zrozumiałe. Żałuję tylko, że nie mogłem zaprowadzić cię przed oblicze króla Roberta, abyś mogła sama wręczyć mu swój dar. - Jakimś sposobem znalazł siłę, aby odwrócić głowę i spojrzeć jej w oczy. Mówił teraz z całkowitym przekonaniem. - Zaręczam jednak, że gdybyś była świadkiem tego, jak przyjmował wiadomość od ciebie, byłabyś niezwykle zadowolona. Był do głębi poruszony i wielce zaszczycony twoją decyzją, a także poświęceniem i lojalnością, z jaką wspierasz go tak otwarcie i szczerze. Słyszałem, jak mówił o tym w tych słowach, i nie wątpiłem w jego szczerość.

Jessie patrzyła na niego zdumiona, ponieważ była to najdłuższa wypowiedź, jaką słyszała z jego ust od czasu ich pierwszego spotkania w La Rochelle, kiedy to rozmawiał z równymi sobie przedstawicielami

Zakonu. Lecz nawet mimo swego zaskoczeniu zauważyła, że rycerz zaraz znów się od niej odwróci, zniecierpliwiony tym, że tak mu się przygląda, więc sama prędko zmieniła pozycję, zanim zdążył się ruszyć, i odezwała się do Douglasa:

-W takim razie, sir Jamesie, przyjmuję obie twoje propozycje... miejsce przy ogniu i bezpieczny przejazd. Przysuń krzesła, jeśli łaska, i porozmawiajmy o tym, co trzeba zrobić i jak.

W ciągu kolejnego kwadransa trójka rozmówców rozstrzygnęła wszystkie konieczne kwestie w sposób, który usatysfakcjonował każdą osobę. Will miał następnego dnia zorganizować przeładunek całego dobytku baronowej — włącznie ze skrzyniami, które miały trafić do królewskiego skarbcza - z galery admirała de Berengera na okręt dowodzony obecnie przez wiceadmirała de Narremata, na kolejny miesiąc oddany do dyspozycji sir Jamesa. Douglas podejrzewał, że proces ten będzie zarówno prosty, jak i skomplikowany, ponieważ obie wielkie galery będą musiały zostać po kolei podholowane na cumie do małej kei w zatoce leżącej poniżej zamku w Brodick. Cenny towar będzie trzeba wydobyć z ładowni pierwszego okrętu na nabrzeże, po czym bezpiecznie zasztauować go pod pokładem drugiego. Gdy baronowa zapytała, co w tym takiego trudnego, odpowiedział jej Will, zwracając uwagę na fakt, że sam ciężar skrzyń z kruszcem sprawia, iż próby przeniesienia ich z ładowni do ładowni na wodzie za pomocą lin i bloków byłyby zbyt niebezpieczne. Zaznaczył, że gdyby jedna z nich się wyślizgnęła, mogłoby to oznaczać jej utratę na zawsze, a także poważne uszkodzenie okrętu.

Podczas przeładunku Douglas miał z kolei oddelegować starannie wybraną drużynę najbardziej roztropnych i godnych zaufania ludzi, aby pełnili rolę towarzyszy i strażników Jessie i jej dworek do chwili, aż dotrą bezpiecznie w rodzinne strony, ponieważ po lądowaniu na wybrzeżu Szkocji on sam będzie musiał najprawdopodobniej pojechać swoją drogą. To miało oczywiście zależeć od tego, ilu i jak dobrze przygotowanych Anglików napotkają w okolicy miejsca, gdzie przybiją do brzegu.

Poza swoimi komentarzami na temat ciężaru skrzyń Will niezbyt przyczynił się do dyskusji. Chętnie zostawił dopracowanie szczegółów

pozostalej dwójce, która była bardziej zaangażowana w sprawę niż on. Przysłuchiwał się jedynie i potakiwał od czasu do czasu, patrząc w płomień - głównie po to, aby uniknąć spoglądania na Jessie, ponieważ choć do pewnego stopnia i powierzchownie uodpornił się na kontakty z baronową Saint Valery, jej niepokojące alter ego, nieprzewidywalna Jessie, zawstydzało go i sprawiało, że waliło mu serce, ścisnęło go w dołku, a pod żebrami trzepotały motyle.

Kiedy wszystko już ustalono i rozmowa w końcu ucichła, cała trójka siedziała przez chwilę w milczeniu, ciesząc się usypiającym żarem bijącym od paleniska, aż Jessie odwróciła się lekko i zwróciła do Sinclaira tonem, który on nazywał w myślach „tonem baronowej”.

- A ty, sir Williamie, jak będziesz spędzał czas w tym odosobnionym miejscu, kiedy już wyjedziemy i w końcu będziesz sam, wolny?

Pytanie to było tak śmiesznie banalne, że Will odpowiedział szczerze:

- Czas? Pytasz, jak będę spędzał mój czas? Ja nie mam czasu, pani. To znaczy nie mam wolnego czasu na nic poza celem, któremu się poświęciłem: dbaniem o Zakon w tych trudnych czasach.

- Ach! Oczywiście. Powinam była wiedzieć. - Jessie niemal się do niego uśmiechała: jej usta drgały w kącikach, a oczy miały psotny wyraz. - Te potężne, trudne obowiązki, do których jesteś zawsze uwiązany. Lecz z pewnością po kilku setkach lat twoi ludzie mają dość dobrze wykształcone nawyki, aby poradzić sobie w każdych okolicznościach. Skłonna byłabym uwierzyć, że znalazłszy się bezpiecznie w nowym miejscu, będą w stanie zorganizować się i na nowo narzucić sobie dyscyplinę bez konieczności bezpośredniego nadzoru. Czy mam rozumieć, że tak nie jest i na każdym etapie wymagają twojego surowego przywództwa?

Will wiedział, że usiłuje go sprowokować do gniewu, więc postanowił się nie odciąć i zmusił do milczenia, dobierając słowa właściwej odpowiedzi, takiej, której nie byłaby w stanie natychmiast przeinaczyć i wyśmiać. Douglas też siedział w milczeniu, obserwując oboje i czekając na rozwój wydarzeń.

W końcu Sinclair kiwnął głową.

- Po części masz rację, baronowo - odpowiedział, wciąż sztywno. - W normalnych okolicznościach stałoby się tak, jak mówisz. Lecz obecna sytuacja jest niezwykła i bezprecedensowa. Mogę o niej

z tobą rozmawiać, ponieważ zdajesz już sobie sprawę, co mam na myśli. Niedawne wydarzenia we Francji wprowadziły zamęt do naszego dotychczasowego postępowania. To ja muszę przyzwycząić się do tych zmian i poradzić sobie z ich efektami, ponieważ wygląda na to, że jestem tu najwyższym stopniem przedstawicielem Zakonu. Król Robert i sir James zawiadomili mnie, że w Szkocji nie ma dziś mistrza ani oficjalnej placówki Zakonu, ponieważ większość rycerzy szkockiego Zakonu stanowili tak naprawdę Anglicy, zwolennicy byłego króla Edwarda, którzy wrócili do Londynu podczas wojen. Zdaje się zatem, że ja sam odpowiadam tutaj za sprawy Zakonu.

Nieszczęsny człowieku, czy nie widzisz, jak beznadziejne jest twoje położenie? - pomyślała. Co zrobisz, kiedy odkryjesz, że jesteś nie tylko samotnym dowódcą, ale też ostatnim? Dokąd się zwrócisz? Nie pozwoliła, aby zmartwienie odmalowało się na jej twarzy, i pytała dalej z troską:

- Co to będzie za sobą pociągać? Wiem, że o wielu sprawach nie możesz mówić, lecz inne są bardziej jawne... sprawy, które nawet ja dostrzegam. Jakie zadania na Arran zajmą cały twój czas?

- Przede wszystkim, pani, zakwaterowanie i wykarmienie moich ludzi i żywego inwentarza, choć dzięki sir Jamesowi stało się to wiele łatwiejsze niż wcześniej.

Jessie odwróciła się do Douglasa.

- Co to znaczy? Co zrobiłeś? '

Młodzieniec błysnął białymi zębami w uśmiechu.

- Po prostu oddałem do dyspozycji sir Williama twierdzę na wy spies; utracił ją właśnie dziś jej właściciel, który knuł przeciwko królowi i został złapany. To ten drugi zamek, Lochranza, na północnym wybrzeżu, i zaspokoi on potrzeby sir Williama. Ma dobry, głęboki i bezpieczny port, a także obfite pastwiska dla zwierząt w górskich dolinach.

Jeśli jest taki wspomniała, dlaczego oddajesz go obcemu człowiekowi? - zauważyła w myślach. Spojrzała znów na Sinclaira.

- A jak będziecie się tam żywić?

- Przeżyjemy najbliższy miesiąc na przywiezionych tu racjach, a poza tym w okolicy są ryby, mnóstwo dzikiego ptactwa i pełno świeżej wody. Potem zapasów będą regularnie nam dostarczać nasze statki handlowe. Wyślemy kilka z nich naraz ze złotem i srebrem, aby zakupiły potrzebne rzeczy w Irlandii i Anglii, a także zbadały możli-

wości handlowe na przyszłość. Inne popłyną dalej: mają nabyć artykuły handlowe w angielskich portach, a potem sprzedać je zgodnie z prawem gdzie indziej.

- Gdzie indziej?

- Przede wszystkim we Francji. Tam ich głównym zadaniem będzie zebranie informacji, co dzieje się z tamtejszym Zakonem.

- Lecz ktoś z pewnością doniesie na załogę i zostanie ona wtrącona do lochów, kiedy tylko zaczną zadawać pytania.

Po raz pierwszy podczas ich miesięcznej znajomości Jessie zobaczyła, jak Will uśmiecha się swobodnie i spontanicznie - pewien siebie i swoich słów - a przemiana, jaką ten uśmiech wywołał, sprawiła, że Jessie niemal zakrzyknęła. Wydawało się, że cały aż zajaśniał, a jego zwykła surowość natychmiast zniknęła, odbierając mu dziesięć lat.

- Kto na nich doniesie, baronowo? I za co? Za ciekawość? Jak ich pytania się wyróżnią, kiedy cały kraj huczy od plotek o tym, co się stało? Weź pod uwagę, że w moich ludziach nie będzie się dało rozpoznać templariuszy. Ani właściwie nikogo innego, chyba że nowych w porcie marynarzy, którym pilno poznać najnowsze wieści.

- Ale... Wtedy miną już miesiące od tych wydarzeń. Opowieść ta będzie stara. Z pewnością ponowne wspomnianie o niej zwróci uwagę.

Sinclair wciąż się uśmiechał, zerkając na Douglasa i kręcąc głową.

- Ponowne wspomnianie? Baronowo, Zakon Świątyni jest jednym z filarów Francji: wspiera ją i wzmacnia od prawie dwustu lat. Poza Kościołem i Koroną jest najpotężniejszą instytucją w kraju. Zakon i jego wpływy pod postacią ziem, ośrodków handlowych, budynków, posiadłości, manufaktur, gospodarstw, sadów, ekwipunku i żywego inwentarza jest wszędzie, prosperując na terenach wiejskich w każdym księstwie, hrabstwie i okręgu. Nie wyobrażam sobie żadnej sytuacji, w jakiej mógłby nastąpić choćby schyłek Zakonu, nie wspominając nawet o całkowitym rozpadzie lub zniszczeniu, lub zniknięciu z ludzkiej pamięci w ciągu zaledwie kilku miesięcy. To po prostu nie mieści się w moim pojęciu.

Przerwał, czekając na jakiś komentarz, lecz Jessie milczała, więc ciągnął tym samym rzeczowym, pewnym tonem:

- To oznacza, że bez względu na to, co stało się z Zakonem i na szymi francuskimi braćmi, skala wydarzeń trzynastego października

i późniejszych na pewno jest dość znacząca, aby wciąż dominować w myślach Francuzów i być tematem do rozmów jeszcze przez długi czas. Nasi ludzie wylądują w portach zarówno na wybrzeżu Atlantyku, jak i Morza Śródziemnego, i będą postrzegani wyłącznie jako marynarze, zachowujący się tak, jak to marynarze mają w zwyczaju, chętni poznać wieści o tym, co się działo, kiedy byli na morzu.

Nie wspomniał o swoich planach wysłania gońców do Bractwa Syjonu, lecz zdążył omówić już tę sprawę z de Berengerem i kilkoma innymi członkami bractwa, którzy mu towarzyszyli. Prastare bractwo będzie funkcjonowało tak samo jak przez poprzednie tysiąc czterysta lat, nietykalne w swojej skrytości, a zmienne koleje losu Zakonu Świątyni i jego zwolenników stworzą mu jedynie niewielkie trudności. W rzeczy samej już zaczęło się przystosowywać do utraty publicznego oblicza zapewnianego mu przez znacznie młodszego Zakon i wracać do odpornego na próbę czasu systemu sprawnego funkcjonowania poza świadomością zwykłych ludzi. To wskazówek od Bractwa Syjonu Will potrzebował najpilniej.

Jessie obserwowała uważnie emocje przemykające po jego twarzy i kiwnęła głową powoli. Poczula, że w obliczu jego solennej szczerości traci całą ochotę na dokuczanie mu. Zamiast tego wielce zaskoczona zorientowała się, że patrzy na niego z nowym zainteresowaniem i przyjemnym poczuciem ciepła i sympatii, podobnym do reakcji, którą wyzwałał w niej jej szwagier Karol. Była jednak na tyle szczerą, aby od razu przyznać, że sympatia ta wzmocniona jest sporą dawką pociągu, którego Karol nigdy by w niej nie wzbudził; natychmiast się powściągnęła, unikając tej myśli, choć była przelotna.

- Widzę, że przemyślałeś tę kwestię. Jasne jest też, że myśli i ręce będziesz miał zajęte tu, na Arran, więc życzę ci z wszystkim tym powodzenia, sir Williamie, i zostawię cię twoim własnym sprawom. — Wstała z wdziękiem i kiwnęła głową najpierw Willowi, a potem Douglasowi. - Sir Jamesie, dziękuję za twą kurtuazję i szacunek. Jeśli jutro rano wyślesz po mnie kogoś, każę znieść mój dobytek na brzeg i oddam się do twojej dyspozycji, podczas gdy będziesz planował naszą podróż na ląd. A teraz życzę obu panom dobrej nocy.

Will wstał bez słowa; gdy patrzył, jak kobieta się odwraca, znów czuł się niczym wyrostek, który zapomniał języka w gębie. Kiedy jednak Douglas zaczął odprowadzać ją do wejścia wielkiego namiotu -

Will zdał sobie sprawę, że tę uprzejmość to on powinien był jej wyświadczyć - wziął się w garść i zatrzymał ją jednym, ostro wypowiedzianym słowem:

— Czekać!

Stała natychmiast i odwróciła się do niego z uniesioną brwią i nieodgadnionym wyrazem twarzy, a on poczuł, że oblewa się rumieńcem, zbulwersowany szaleństwem, który kazał mu zawołać ją tak grubiańsko. Ale już to zrobił, a teraz ona czekała, nieświadoma, że język stanął mu kołkiem. Potem obudziło się w nim wspomnienie, spłynęła na niego inspiracja i wskazał w stronę dalszej części namiotu za swymi plecami, starając się w ten sposób ukryć, że niemal chwieje się na nogach.

-Jest... - Odchrząknął, zmuszając się do mówienia spokojnym głosem. — Chcę... prosić cię... prosić cię o przysługę, gdybyś zaszczyliła mnie swoją łaskawością.

Widząc pełne powagi zakłopotanie na jego twarzy, Jessie musiała stłumić niepocziwą chęć wyszczerzenia zębów i zwiększenia jego skrępowania, ponieważ nie miała wątpliwości, jak wpłynąłby na jego surowe zachowanie jej niespodziewany uśmiech. Zamiast tego skłoniła skromnie głowę, zastanawiając się, o co chodzi.

- Z przyjemnością wyświadczę ci każdą przysługę, o którą poprosisz, sir Williamie. Czego sobie życzysz? - Masz i, jeśli łaska, zastanów się nad subtelnościami tego, Willu Sinclairze, kiedy będziesz leżał dziś w nocy na swojej drewnianej pryczy, dodała w myśli.

Lecz Will sprawiał wrażenie zupełnie nieświadomego subtelności i podtekstów. Stał przez chwilę, a potem kiwnął głową i odsunął się, prosząc ją o cierpliwość uniesieniem ręki.

Przyglądała się jego plecom, kiedy odszedł w stronę mrocznych tyłów wielkiego namiotu, gdzie zatrzymał się przy stoliku pod ścianą. Mimo słabego światła wydało jej się, że widzi, jak Will uchyla pokrywkę małego kufierka i nachyla się, aby w nim pogrzebać. Przyglądała się i czekała bez ruchu; doliczyła do szesnastu, zanim rycerz wyprostował się i wrócił do niej oraz Douglasa. Wiedziała, że Will ściska coś w dłoni i trudno jej było powściągnąć ciekawość, lecz zmusiła się do czekania z kamienną twarzą, aż podejdzie. Kiedy się zbliżył, całkowicie zignorował Douglasa, wlepiając wzrok w Jessie; wyciągnął niezdarnie rękę i rozchylił palce, aby pokazać jej, co trzyma. Był to

jakiś mały amulet, który sprawiał wrażenie zrobionego ze złota i bardzo starej, poźółkłej kości słoniowej. Leżał na długiej spirali złotego łańcuszka, owiniętego wokół jego palca.

-Jedziesz do Szkocji, baronowo, zobaczyć się z krewnymi, i przyszło mi do głowy, że może ujrzysz swoją bratową, moją siostrę, Peggy... Nie chcę ci się narzucać, lecz to jest... Kupiłem dla niej tę drobnostkę kilka lat temu w Nawarze. Napisała do mnie niewiele wcześniej a kiedy to zobaczyłem, pomyślałem, że może się jej spodoba... lecz potem wdaliśmy się tam w kampanię przeciwko Maurom, a po powrocie do Francji zapomniałem jej to wysłać. To tylko błyskotka, którą kupiłem wiedziony impulsem, i prawdę mówiąc, nie pamiętałem o niej, dopóki nie znalazłem jej niedawno podczas przygotowań do podróży. Sądzę, że jest arabska, lecz dobrze wykonana, a te kolory zawsze się Peggy podobały. Gdybyś przekazała jej ten podarunek ode mnie, byłbym ci bardzo zobowiązany.

Jessie się uśmiechnęła.

- Zrobię to z przyjemnością, sir Williamie. To żaden kłopot, a Peggy będzie zachwycona. - Wyciągnęła dłoń, a kiedy już Will miał wręczyć jej medalion, zawahał się, marszcząc czoło, a potem szybko sięgnął za pazuchę tuniki i wyciągnął złożony kwadrat materiału. Była to zwykła, czysta biała chustka, a on strzepnął ją, umieścił wisior w środku i zwinął ją w małą paczuszkę, którą podał Jessie. Wzięła ją, nie dotykając jego palców. Chustka była ciepła od jego ciała, a Jessie zacisnęła dłoń wokół niej. Już miała schować zawiniątko w ukrytej kieszonce, lecz nagle zmieniła zdanie i umieściła je między piersiami, świadoma, że obaj mężczyźni przyglądają się ruchom jej dłoni.

No, panie Sinclair! Mam cię przy piersi. Patrz, jak się rumienisz na samą myśl... Pamiętaj o tym, nieszczęsny mnichu, choćbyś miał przez to iść do spowiedzi. Znów się do niego uśmiechnęła, wiedząc, że widzi wąski dołeczek w jej lewym policzku. Skinęła mu głową i odeszła.

Douglas ruszył prędko, aby znów ją odprowadzić, a kiedy dotarli do wyjścia, wysłał dwóch strażników, aby odprowadzili damę i jej towarzyszkę na plażę, gdzie mogły znaleźć łódź, która zabierze je na galerę admirała.

Kiedy wrócił i zobaczył, jak Will stoi ze smutkiem przy ogniu, wyszczerzył zęby.

- Dobrze zbudowana kobieta, prawda? Wspaniała dama, choć bar-

dziej Francuzka niż Szkotka... Pewnie dlatego, że spędziła tyle czasu we Francji, jako żona Francuza. Nie sądzisz?

Jak zawsze podczas swoich przypadkowych kontaktów z baronową Saint Valery Will nie wiedział, co myśleć, więc tylko kiwnął głową i opadł na krzesło, czując, jakby czegoś mu brakowało, choć nie wiedział dlaczego.

- Wy pływasz zatem jutro?

- Tak, wraz z odpływem — odpowiedział Douglas. - Lecz dziś muszę zabrać Menteitha do aresztu, a już ciemno. Jeśli wybaczysz mi więc nieuprzejmość, opuszczę cię i ruszę łądem z moimi strażnikami. To tylko dwie mile stąd, a ludzi mi starczy na czekające mnie zadanie. Mogę tam dotrzeć i zakuć Menteitha w łańcuchy, zanim skończy wieczerzę. - Poprawił pas przy mieczu, naciągnął czapkę z piórem na czoło i strzepnął grube fałdy swojej peleryny, przygotowując się na wieczorny chłód. Skinął Sinclairowi głową, odwrócił się i ruszył do wyjścia, lecz po chwili się zatrzymał. — Baronowa miała rację - powiedział przez ramię. - Faktycznie będziesz tu miał wiele na głowie. Nie zanudzisz się. Dobrej nocy, sir Williamie, wrócę rano po moją galerę.

Następnego popołudnia Will przypomniał sobie te słowa pożegnania, przyglądając się, jak galera wiceadmirala wiezie Douglasa i baronową na wschód, przez wąskie wody Firth of Clyde, w stronę lądu i kontrolowanych przez Bruce'a terenów koło Ayr i Carrick: Faktycznie będziesz tu miał wiele na głowie. Nie zanudzisz się - przypomniał sobie słowa młodego Szkota.

Will wiedział, że Douglas się nie myli. Nie będzie miał czasu na nudę i w ogóle nie będzie go mógł marnować, a już na pewno myśląc o tej całej baronowej, która właśnie bezpiecznie i bezpowrotnie opuściła jego życie.

Posłuszeństwo

1

Niepokoje całkowicie zaskoczyły Willa, choć wspominając całą sytuację, dostrzegał, że zapowiadały je pewne znaki, lecz on po prostu postanowił ich wtedy nie zauważać. Niektórzy bracia szeptali potem o buncie lub rewolcie, lecz sam Will nie był pewien, jak nazwać ten incydent. Jeśli faktycznie była to rewolta, miała niewielki zasięg i została szybko stłumiona, lecz jej konsekwencje były głębokie, ponieważ klóciła się ona z wielowiekową tradycją braterstwa, tolerancji i posłuszeństwa wobec zwierzchników oraz dobitnie świadczyła, do jakiego stopnia dyscyplina podupadła w ciągu poprzednich lat. Samo to sprawiło, że wydarzenia z tego dnia - wigilii święta Trzech Króli — miały dostateczne znaczenie, aby spowodować ze strony sir Williama Sinclaira eksplozję irytacji, jakiej jego kapituła jeszcze wcześniej nie widziała.

Dosłownie wkroczył w bójkę, która zaczęła i skończyła całą tę sprawę, i przez chwilę stał bez ruchu, mrugając oniemiały i nie mogąc pogodzić się z tym, co widzi. Lecz potem spłynęła na niego świadomość, a wraz z nią gniew i zaskoczenie jednym i drugim natychmiast spowodowało, że ze stanu głębokiej koncentracji wpadł w zimną, nieubłaganą furię.

Nie spał od wczesnych godzin tego zimnego styczniowego poranka: na długo przed nieszporami obudzono go z wiadomością, że sir James Douglas, który dopiero co przybył ze stałego lądu w całkowitych ciemnościach i podczas szalejącego sztormu, chce się z nim pilnie zobaczyć. Te słowa natychmiast go ocuciły i w ciągu kwadransa wywołał poruszenie wśród braci służebnych, którzy uwijali się wszędzie, rozpalając świeże ognie i dokładając do starych, przygotowując

stoły, krzesła, świece i knoty, a także zapewniając wygłodzonym gościom gorące jedzenie i suche ubrania. Will dowiedział się, że wizyta Douglasa będzie krótka, ponieważ jego okręt nie przybył na Arran specjalnie w tym celu. Sir James był ze swoimi ludźmi w drodze do Irlandii z wieściami dla brata króla Roberta, Edwarda Bruce'a, który usiłował zbierać tam najemników i zawierać z irlandzkimi królami sojusze w imieniu swego brata. Jednak wkrótce po wypłynięciu z Loch Awe natknął się na flotę angielskich okrętów i choć wymknął się im bez większego problemu, manewry nocnego pościgu zostawiły go na łasce sztormu w Firth of Clyde. Nie mając raczej wyboru, musiał się schronić na Arran, którą miał zamiar odwiedzić dopiero w drodze powrotnej.

Ogólnie jednak Douglas przywiózł dobre wiadomości: podróż Bruce'a przez wyżyny jego kraju szła dobrze, a ród Comynów w końcu dostał za swoje. Dumni hrabiowie Buchan i Ross poddali się i zgięli kolano przed Bruce'em, doniósł Douglas, niemal piejąc z radości, a kipiąca gniewem zgraja Comynów - w tym buntowniczy MacDougalowie z Lorne i Argyll - nigdy już nie zagrożą królowi Robertowi.

Jednak sukcesy Bruce'a okupione były dużymi stratami. Król zatrzymał swój objazd, aby odświeżyć i uzupełnić swoje zastępy oraz zacząć działania mające na celu wprowadzenie jakiegoś porządku i śladów dobrobytu w znękanym królestwie. Wiadomości o jego sukcesach działy cuda wśród ludu, a do jego sił dołączało codziennie coraz więcej rekrutów. Douglas powiedział jednak, że król nie spocznie, dopóki nie będzie mógł zwołać parlamentu - pierwszego od ponad dekady - i ustanowić nowych praw, dzięki którym mógłby rządzić krajem i chronić swoich poddanych. Ponadto kończyła się pierwsza tura służby konnego oddziału Willa z Arran, a król Robert był z niego tak zadowolony, że miał nadzieję - i poprosił, aby Douglas to zasugerował - iż przy tej jednej okazji wymianę wojów będzie można nieco przyspieszyć, aby zapewnić mu wypoczętą, uzbrojoną konną eskortę na czas podróży po kraju, w którym teraz panował pokój.

Will uznał, że prośba króla Roberta jest rozsądna, i zarządził konieczne zmiany w rozkładzie; to nad tym się zastanawiał, schodząc po kręconych schodach z komnaty na wieży, w której siedział, rozmyślając, od czasu wyjazdu Douglasa. Świt wstał ponad dwie godziny wcześniej, a burza w końcu ucichła, choć z tego, co Will widział przez

wąskie okna nad schodami, słońce nie miało szans tego dnia przebić się przez chmury.

Dotarł na dół i wyszedł z wieży na powietrze, otulając się peleryną, aby uchronić się przed chłodem poranka. Usłyszał niedaleko brzęk stali i podniesione głosy, lecz nie zwrócił na nie uwagi, zakładając, że to odgłosy towarzyszące treningom, dobiegające z podwórca za bramą. Zadrżał i rozejrzał się z roztargnieniem, zauważając krople wody wiszące na kratkach ciężkiej żelaznej bramy służącej jako drzwi do wieży, a potem odwrócił się w lewo i obszedł budynek z zamiarem odwiedzenia latryn za bramą. Jednak w połowie drogi, na ścieżce u podnóża murów, natknął się na grupę szamoczących się ludzi na podwórku leżącym poniżej - a przynajmniej tak mu się wydawało. Lecz potem dostrzegł, że w pojedynku bierze udział tylko dwóch, a pozostali otoczyli ich hałaśliwym kręgiem, kibicując krzykami to jednemu, to drugiemu.

Will patrzył jeszcze przez chwilę, rozdziawiając usta z niedowierzania, a potem poczuł falę gniewu, ponieważ nie była to potyczka treningowa. Ci mężczyźni walczyli na śmierć i życie, a jeden z nich już krwawił z głębokiej rany na nodze. Siłowali się nos w nos, ze zgrzytem blokując sobie nawzajem skrzyżowane klingi; każdy próbował zatrzymać miecz przeciwnika i zyskać przewagę, lecz właśnie kiedy Will ruszył, impas się zakończył i walczący odskoczyli. Ranny, poruszając się mniej zwinnie, zahaczył o coś piętą na nierównej ziemi i zatoczył się do tyłu, wyrzucając ramiona w bok dla zachowania równowagi. Utrzymał miecz, lecz był on skierowany w dół i bezużyteczny przez decydującą chwilę potrzebną jego przeciwnikowi na zebranie się w sobie i rzucenie w jego stronę z mieczem, który już opadł łukiem w cięciu.

Żaden z nich nie słyszał krzyku, którym Will rozkazał im, aby przestali, i nawet gapie nie zdawali sobie sprawy z jego obecności, kiedy rzucił się z niskiego murku. Znajdował się mniej niż dwie stopy nad nimi, lecz to wystarczyło. Wylądował w zasięgu ciosu od atakującego rycerza i wykonał mocnego kopniaka, który wylądował wysoko na lewym biodrze niczego nie spodziewającego się mężczyzny i sprawił, że padł on na ziemię z chrzęstem zbroi. Gdy pierwsi obserwatorzy zaczęli się odwracać, aby zaprotestować przeciwko tej ingerencji, Will już ze zgrzytem wyciągał własny miecz z pochwy. Wszyscy zamarli

w bezruchu, oceniając zagrożenie, a kiedy rozpoznali Willa, pobledli, przyjmując zbiorowo zawstydzony wyraz twarzy złapanych na gorącym uczynku złoczyńców.

Leżący na ziemi człowiek zachował się inaczej. Wiedział tylko, że ktoś go przewrócił, i nie dbał, kto to zrobił. Podniósł się z rykiem i rzucił w stronę Willa, głodny krwi i zemsty; miecz miał podniesiony, a hełm nieco przekrzywiony, więc widać było, że szpary na oczy w jego przyłbicy znajdują się nie tam, gdzie trzeba. Ten detal ocalił mu potem życie, ponieważ podczas wynikłej z tego wydarzenia rozprawy jego obrońca mógł twierdzić, że nie wiedział on, kto go uderzył, i nie zdawał sobie sprawy, że atakuje przełożonego. Teraz jednak Will po prostu odrzucił miecz, odsunął się nieco i obrócił, chwytając szyję i łokieć atakującego, kiedy ten go mijał. Potem odchylił się do tyłu, sprawiając, że mężczyzna stracił równowagę, i kopnął go w tył kolana, ponownie rzucając na ziemię. Wreszcie schylił się po swój miecz.

Ogłuszony, lecz nieustępliwy przeciwnik uparcie usiłował się podnieść; za pierwszym razem mu się nie udało, ale potem zebrał siły i dopiął swego, choć chwiały się na nogach. Wciąż wściekły Will podszedł bliżej, zahaczył palce jednej ręki w wycięciu kirysu mężczyzny i pociągnął go gwałtownie w dół, na kolana, a potem na czworaki; dokończył sprawę, waląc w jego hełm ręką miecza i powalając go jak zarżniętego wołu.

Odsunął się i odwrócił twarzą do pozostałych, unosząc w ich stronę klingę i obnażając zęby w grymasie furii. Kiedy się odezwał, jego głos był niski, syczący i pełen pogardy.

— Czyście wszyscy poszaleli? Zwariowaliście? Zapomnieliście o swo

ich ślubach i dyscyplinie? A zatem, na Chrystusa żywego, przypomnę wam kary, które przysięgliście ponieść za rozprężenie i nieposłuszeństwo. - Wskazał czubkiem miecza jednego z mężczyzn, którego znał z widzenia. - Ty, Duplassy. Biegnij i znajdź sir Ryszarda de Montricharda. Znajdź go szybko, jeśli droga ci twoja skóra, i przyprowadź go tutaj. Nie dbam, co robi, przerwij mu, jeśli będzie trzeba, ale sprowadź go tu natychmiast. No już!

Kiedy błady Duplassy pobiegł, Will zwrócił się do kolejnego z obecnych:

- Talressin, znajdź Tama Sinclaira. Powiedz mu, że potrzebuję tu

oddziału jego najlepszych **ludzi, aby** pełnili **straż**, a potem wróc z nim i utaj. Pędem!

Zostało czterech byłych widzów i dwóch walczących; pierwszy / . nich już się podniósł i stał niedaleko, próbując brudną szmatą zata-
mować krew płynącą mu po nodze. Nie zbliżał się do towarzyszy i naj-
wyraźniej zdawał sobie sprawę, w jakich jest tarapatach. Will potoczył
wzrokiem po mężczyznach - jego piorunujące spojrzenie zagwaran-
towało, że nikt nie śmiał się odezwać - lecz w końcu schował miecz i
znów przemówił tym samym beznamiętnym, groźnym tonem:

- Rzućcie oręż u moich stóp. Niech jeden z was odbierze broń
temu nieprzytomnemu. - Poczekał, aż ostatni miecz opadł z brzę-
kiem na stertę, i kiwnął głową. - A teraz na kolana w rzędzie, twa
rzami do mnie, a więźnia podeprzyjcie między sobą. Zostaniecie tu,
w ciszy, aż odprowadzą was do lochów, gdzie poczekacie na roz-
prawę. W ciszy! - warknął, kiedy jeden z ludzi otworzył usta. - Zważ-
cie na moje słowa. Nie pogarszajcie swojej sytuacji dalszym nieposłu-
szeństwem.

Wciąż nie wiedział, kim jest nieprzytomny mężczyzna, który miał
na sobie hełm, lecz na tym etapie to go nie obchodziło. Jeśli, jak twier-
dzili starożytni, sprawiedliwość jest ślepa, Will - jako ten, kto miał ją
wymierzać w tej małej społeczności - był gotów nie poznawać jego
tożsamości.

Chwilę później usłyszał kroki nadchodzących ludzi: zza wieży
wyłonił się Tam w towarzystwie Talressina. Kiedy tylko znalazł się w
zasięgu wzroku, stanął jak wryty, obrzucając spojrzeniem klęczących i
stertę oręża u stóp Willa.

- Mam ich wtrącić do lochu, sir Williamie?

- Tak, skutych kajdanami w nadgarstkach i kostkach.

Tam kiwnął szybko głową z kamienną twarzą.

- Tak jest. Moi ludzie będą tu wkrótce i zabierzemy ich stąd. -
Odstąpił żwawo do tyłu, kiedy nadbiegł sir Ryszard de Montrichard
z dwoma swoimi oficerami; wszyscy trzej mieli gołe głowy i nowe,
krótko przycięte brody, symbolizujące nowy porządek. De Montri-
chard zatrzymał swoich towarzyszy gestem dłoni i sam podszedł pro-
sto do Willa, nie spuszczać wzroku z klęczących przed nim braci,
Człowiek w hełmie dochodził szybko do siebie, chwiejąc się niczym
pijak, choć wciąż podtrzymywali go jego towarzysze.

- Co tu się działo, sir Williamie? - zapytał de Montrichard kątem ust, wciąż patrząc na więźniów, a Will usłyszał z oddali odgłos bardzo szybkiego marszu nabijanych gwoźdźmi butów: zbliżali się pospiesznie wezwani strażnicy Tama.

- Złamanie dyscypliny - odparł Will monotonnym głosem. - Walczyli ze sobą na śmierć i życie. Jak widzisz, jeden z nich jest ranny. Jego przeciwnik zaatakował mnie, kiedy chciałem ich powstrzymać, i musiałem się z nim uporać.

De Montrichard aż się zachłysnął.

- Jesteś ranny?

- Nie, wszystko w porządku. Nie sprawił mi kłopotu.

- Każę go za to wychłostać. Kto to?

- Nie, sir Ryszardzie. - Will wziął de Montricharda za ramię i odprowadził go na stronę, aby inni nie mogli ich podsłuchać. - Nie ukazesz go i ja też tego nie zrobię. Ten występek wykracza daleko poza granice zwykłej kary dla szeregowego rycerza. Nastąpił tu atak na regułę, która wiąże nas wszystkich, i musimy zająć się tym oficjalnie, w obecności pełnej kapituły, tak szybko, jak to tylko możliwe. Bracia mogą po odpowiedniej rozprawie uznać, że należy go wychłostać, lecz ta decyzja nie należy do żadnego z nas.

De Montrichard zerknął na Willa z ukosa, skinął głową i odwrócił twarz ponownie do awanturników, zakładając dłonie na plecy; nadbiegli wartownicy, którym Tam rozkazał zabrać ośmiu więźniów do lochów. Jednak najpierw de Montrichard zbliżył się i powstrzymał ich gestem, po czym wskazał na rycerza w hełmie.

- Zdjąć mu hełm.

Jeden ze strażników rozwiązał paski pod brodą więźnia; ukazała się twarz z zaniedbaną, bujną brodą, która kryła się pod hełmem, mimo że Will niedawno rozkazał wszystkim, aby krótko przycięli lub całkiem zgolili zarost. Sinclair przyjrzał się mu dokładnie, lecz go nie poznał. Był to jeden z garnizonowych rycerzy z La Rochelle; większości z nich wciąż nie znał, choć od ponad miesiąca mieszkali wspólnie w ciasnych kwaterach.

De Montrichard natomiast najwyraźniej znał więźnia.

- Martelet - powiedział z niesmakiem. - Powiniennem był się do myślić. Reszta, pokazać twarze.

Ludzie otaczający Martelea zaczęli jeden po drugim poluzniać

sprzączki swoich hełmów i zsuwać je, ukazując brodate twarze. Wszyscy bez wyjątku niedawno przycięli krótko brody. De Montrichard kiwnął głową.

- Odprowadzić ich — rozkazał.

Tam wyrzucił z siebie ciąg komend, na który cała kolumna więźniów i strażników stanęła na baczność i wkrótce szła za nim w stronę budynku, gdzie znajdowały się klatki służące jako tymczasowe cele. Will patrzył, jak odchodzą, opierając łokieć na nadgarstku drugiej ręki i gładząc palcem dolną wargę.

- Co powinienem wiedzieć o tym Martelecie, sir Ryszardzie?

De Montrichard westchnął.

- Zapalczywy malkontent. Słyszałeś o tej aferze u wybrzeży Sandy, kiedy kilku rycerzy chciało zejść na ląd i trzeba było zatopić łódź, aby ich powstrzymać? - Will kiwnął głową. - To był właśnie Martelet, jak zawsze w roli prowodyra. Dobrze, że czeka go osąd kapituły. Może powaga tej rozprawy odniesie jakiś skutek.

Will wyprostował się, opuszczając dłoń.

- Wątpię. Robi na mnie wrażenie zbyt aroganckiego i zbyt już odalonego od reguły, aby zmienił swoje zachowanie bez... ponownego nakierowania. Może chłosta i miesiąc o chlebie i wodzie przywołają go do porządku, a może nie. A jeśli nie, co wtedy? Będziemy musieli załatwić sprawę zgodnie z regułą. Pamiętasz, kiedy ostatnio zamurowaliśmy żywcem jednego z braci? Ja nie. To musiało być co najmniej pięćdziesiąt lat temu, o ile wiem, za czasów walk w Ziemi Świętej. Lecz być może to nas czeka... - Urwał, zastanawiając się nad własnymi słowami, a potem kiwnął głową. - Dziękuję, że przyszedłeś, sir Ryszardzie. Żałuję, że musiałem cię wezwać, lecz myślałem, że jako preceptor powinienes się o tym dowiedzieć.

- I słusznie. Wspomniałeś o zebraniu kapituły. Kiedy się odbędzie?

- Pojutrze, w Brodick Hall, jeśli to ci odpowiada. Wiem, że masz prawo wybrać czas i miejsce, więc jeśli chcesz...

- Ależ nie. To ty jesteś tu najwyższy stopniem, a tak poważne zarzuty nie mogą czekać, aż będzie nam wygodnie. Jestem zadowolony z tego terminu.

- Dziękuję zatem. Dzisiaj poczynię wszelkie przygotowania i wyślę wiadomość do Brodick. My natomiast pomaszerujemy tam jutro o świcie. Będziesz gotów?

-Jestem gotów teraz, lecz jutro święto Trzech Króli. Biskupi nie będą zachwyceni rezygnacją z obrzędów.

- To godne ubolewania, ale nie mają wyboru. Ruszymy przed brząskiem, a jeśli los będzie nam sprzyjał, dotrzemy do Brodick Hall przed zmrokiem. Biskupi mogą odprawić obrzędy wtedy, przed zgromadzeniem kapituły. Dzień później, to fakt, lecz z równą szczerością... Bóg wie, jakim trudnościom stawiamy tu czoło. Nie wątpię, że zrozumie, iż robimy to, co konieczne, i potraktuje nas pobłażliwie.

De Montrichard kiwnął głową z poważnym wyrazem twarzy.

- Całkowicie się z tobą zgadzam. Niech tak się stanie. A teraz zostawię cię twoim sprawom... Chyba że mogę ci się jeszcze na coś przydać.

- Dziękuję, Ryszardzie. Nie zawaham się wezwać ciebie, jeśli będę cię potrzebował.

Will przyglądał się, kiedy mężczyzna dołączył do swoich oficerów i oddalił się. Sir Ryszard de Montrichard nominalnie nadzorował wszelkie sprawy związane z garnizonem, czego wymagał od niego stopień preceptora, lecz Will był nim bardzo rozczarowany, ponieważ okazało się, że pod presją de Montrichard jest jak chorągiewka na wietrze. Jako zastępca budzącego respekt Arnolda de Thierry, preceptora La Rochelle, miał wszelkie zadatki na świetnego dowódcę, lecz ostatecznie - czy to z powodu tragicznej śmierci jego przełożonego, czy niepokojących wydarzeń trzynastego października — zawiódł i jako dowódca był w dużej mierze nieskuteczny. Will nie potrafił znaleźć żadnego konkretnego powodu, który uzasadniłby zastąpienie go kimś innym, lecz mimo to czuł, że dla de Montricharda byłoby lepiej, gdyby został przeniesiony na mniej aktywną pozycję, a może wręcz zdegradowany; przysłużyłoby się to także wszystkim innym. Will rozważał ten problem od czasu przybycia na wyspę, lecz jak dotąd nie znalazł zadowalającego rozwiązania. W chwili obecnej nie było odpowiedniego kandydata na stanowisko de Montricharda, a przynajmniej nikogo, kto stanowiłby oczywisty wybór, i to go trapiło.

Teraz przyszło mu do głowy, że musi ponownie przemyśleć tę sprawę, ponieważ de Montrichard przejawiał więcej energii, inicjatywy i zaangażowania niż w ciągu poprzednich dziesięciu tygodni. Postanowił wziąć te oznaki za dobrą monetę i dalej obserwować sytuację; miał nadzieję, że być może preceptor zostawił swoje bezpieczne życie

za sobą. Jeśli tak było, nikt z większą radością i ulgą nie przywróciłby de Montrichardowi jego poprzedniego stanowiska niż sam William Sinclair.

Z zadumy wyrwał go odgłos zbliżających się kroków: wrócił Tam z pękiem ciężkich kluczy. Podniósł je, aby Will mógł się im przyjrzeć.

- Pomyślałem, że dobrze będzie porządnie ich strzec, jeśli widziałem tutaj to, co myślę. - Założył wielkie metalowe kółko na pas, tak że klucze dyndały mu przy biodrze, a Will uśmiechnął się ze znużeniem, jak zawsze rozbawiony i wzruszony troską, z jaką odnosił się do niego krewniak.

- A co myślisz, że widziałeś?

Tam mruknął wymownie i przeszedł na dialekt, którym on i Will rozmawiali w dzieciństwie.

- Ano, najpierw żem zobaczył, że się krzywisz jak szaleniec, i bar dziej jesteś rozeźlony niż od wielu miesięcy. Miałeś ten grymas, co mówi: „Nie waż się na mnie spojrzeć albo wytnę ci serce” i czasem pojawia ci się na twarzy. A potem był ten cały Martelet, wciąż z długą brodą, co mi powiedziało, że raczej nie ma zamiaru wierzyć ci na słowo, a ten mały bunt to był jego sposób na pokazanie tego, choć nie miał jaj, coby to zrobić otwarcie. Trza mu nosa utrzyć.

Will już miał odpowiedzieć, lecz zaczekał, bo dostrzegł, że Tam jeszcze nie skończył.

- No i nie podobało mi się, jak jego kompani czekali na wsparcie od niego, choć on go wcale dla nich nie miał. Ani trochę mi się to nie podobało... Każdy z tych bladych z trwogi typów to słabeusz bez jaj, a tamten zwerbował ich do tego, co knuje, cokolwiek to jest... No to pomyślałem se, że jeśli jemu podobnych jest więcej, usunę im sprzed nosa pokusę wypuszczenia go, i zatrzymałem klucze. To co, zwołasz kapitułę? A jeśli tak, gdzie i kiedy?

- Dlaczego myślisz, że to zrobię?

Tam spojrzął na niego niemal z irytacją.

- Bo jest zaległa. Jutro święto Trzech Króli, więc będzie pełna msza z całym obrzędkiem i wystrojonymi biskupami. To chyba chwila do bra jak każda inna, a nawet lepsza, jakeś tak wszystkich zagonił do roboty. A poza tym widzi mi się, żeś zapomniał o przesyłce mistrza de Molaya...

Will zmarszczył brwi.

- Nie zapomniałem, po prostu byłem zajęty. A o co chodzi z przesyłką?

- O datę na niej, Will. Ma być otwarta jutro, szóstego stycznia.

- Wiem, Tam. Naprawdę myślałeś, że zapomniałbym o czymś tak ważnym?

- Nie... ale miałeś dużo innych spraw na głowie. Co z nią zrobisz?

Pytanie to rozdrażniło Willa, ponieważ zmagał się z nim od tygodni. W rzeczy samej: co z nią zrobić? Wiedział, że w wyznaczony dzień trzeba będzie otworzyć i odczytać wiadomość od wielkiego mistrza; w tej kwestii nie miał wyboru. Lecz to konsekwencje wynikające z jej treści i spowodowane nią spekulacje spędzały mu sen z powiek. Szansa, że list będzie zawierał jakiegokolwiek dobre wiadomości, była niewielka. Napisano go kilka miesięcy wcześniej, przed wydarzeniami, które na pewno opisuje i które okazały się bardziej przerażające, niszczące i zakrojone na znacznie większą skalę, niż de Molay mógł sobie wyobrazić. Mimo to w ciągu tych miesięcy Willowi udało się zaprowadzić równowagę między swoimi podopiecznymi, koncentrując się na stworzeniu nowego bractwa i wspólnej potrzebie porządku. Teraz najbardziej bał się - choć ledwie przyznawał się do tego nawet przed sobą samym - że słowa mistrza de Molaya unieważnią wszystko, na co tak ciężko tu pracował. Miał koszmary senne o tym, że znajduje w liście polecenie, aby wraz z ludźmi i statkami wrócić do La Rochelle, polecenie napisane w całkowitej niewiedzy, że taki ruch oznaczałby samobójstwo po czterech miesiącach prześladowań i wygnania.

Zdał sobie sprawę, że Tam czeka na odpowiedź, i kiwnął głową szorstko.

- No cóż, przeczytam list jutro i jedyne, co możemy zrobić, to mieć nadzieję, iż jego treść nie straciła znaczenia z powodu tego, co stało się od czasu jego napisania. Postanowiłem to, kiedy zamykałem więźniów w lochach. Ich sprawa jest zbyt pilna, aby ją odwlekać, Tam. Trzeba ją załatwić tak szybko, jak to możliwe. Zwołam więc zgromadzenie kapituły pojutrze. W zależności od tego, jakie instrukcje zawiera przesyłka, może ułatwić mi zadanie.

Tam wzruszył ramionami.

-Ano, albo utrudnić. Nigdy nie wiadomo z przełożonymi... Jeśli wiesz, co mam na myśli.

ya

Will zignorował ten komentarz i towarzyszący mu psotny uśmiech i odpowiedział poważnie:

- No cóż, jeśli tak ma być... A teraz musisz dosiąść konia i zawieźć do Brodick te wieści. Zabierzesz ze sobą Mungo? Nie? To weź sobie trochę jedzenia i owsa z kuchni i bądź gotów w ciągu godziny. Zdamę napisać meldunki dla Kennetha i biskupa Formadieu, żebyś je odebrał przy wyjeździe.

Will wrócił szybko do swojej kwatery, świadom, że godzina, którą zarezerwował na pisanie, ledwie mu wystarczy na wszystko, co chciał zrobić.

W dniu wyjazdu baronowej - od tamtej pory Will prawie o niej nie myślał, a kiedy tak się działo, zdobywał się na mały uśmiech na jej wspomnienie, po czym z determinacją zajmował się czymś innym - wygłosił mowę do braci i wyraził swoje życzenia dotyczące tego, jak mają się od tej pory zachowywać. Nie próbował bagatelizować swoich trosk i jasno opisał zagrożenie, jakie stanowią dla monarchy, tylko dlatego że przebywają w jego królestwie. Bracia słuchali pilnie, w milczeniu, i nikt nie oponował, kiedy Will wydał komendę, aby krótko przyciąć każdą rozwidloną i przez to wyróżniającą ludzi jako templariuszy brodę, zamalować lub inaczej ukryć wszystkie symbole i herby Zakonu, a charakterystyczne uzbrojenie schować. Zwrócił uwagę, że na chroniącej ich wyspie nie grozi im żaden bój, więc zwykle uzbrojenie - kolczugi, getry i ochraniacze z utwardzanej skóry - całkowicie wystarczy. Jazda konno w formacjach była zakazana, a zwierzęta miały przebywać w stajniach najwyżej po osiem, na tyle daleko od ich sąsiadów, aby żaden ciekawski obcy nie mógł oszacować, ile ich jest ogółem i jakiej są rasy.

Potem wydzielił ze swojego zastępu - jego brat Kenneth wciąż dowodził własnym stuosobowym oddziałem rycerzy i serwientów - grupę, która miała zajmować wielki angielski zamek w Brodick; podczas jego obecności tam asystować mieli mu rycerz Reynald de Pairaud jako adiutant oraz sir Edward de Berenger jako doradca w sprawach floty. Zamek Brodick miał zostać kwaterą główną Zakonu na Arran, co oznaczało, że zamieszka tam biskup Formadieu wraz z duchownymi oraz braćmi świeckimi. Za zadanie mieli ustanowić wspólnotę, która umożliwiłaby rozwój Zakonu. Nieodległa zatoka Lamlash została wyznaczona na kotwicowisko dla ich statków handlowych,

a większość koni, szczególnie lżejszych ras, miała zostać rozmieszczona na wrzosowiskach niedaleko Brodick.

Resztę oddziału lądowego wojów - około stu dwudziestu ludzi - czekała przeprawa na północno-zachodnie wybrzeże wyspy, do Lochranzy, zamku poprzednio należącego do zhańbionego wodza Menteithów. Twierdza ta położona była wysoko nad bezpiecznym i łatwym do obrony portem, bazą dla floty galer, a trafić tam miał być garnizon z La Rochelle. Podobnie jak ponad połowa masywnych rumaków bojowych, które mogły paść się w porośniętych bujną trawą górskich dolinach otaczających zamek, ukryte przed wścibskimi oczami.

Omówił też inne detale; nie wszystkie spotkały się z przychylnym przyjęciem braci. W następnych dniach słyhać było w szeregach niezadowolone szemranie, lecz poza tym, że był wyczulony na sygnały prawdziwych kłopotów, w czym dyskretnie pomagali mu Tam i Mungo, Will zignorował utyskiwania, gotów czekać, aby czas i nawyk osłabiły sprzeciw wobec zmian. Najwyraźniej jednak przeoczył co najmniej jedno ognisko oporu i je właśnie miał zamiar stłumić.

Przy swoim stole szybko zanotował polecenia dla Kennetha względem wyżywienia i zakwaterowania garnizonu udającego się do Lochranzy. Po dwudziestomilowym marszu będą głodni i zmęczeni; Will ostrzegł brata, że być może bardziej niż zazwyczaj, ponieważ miał zamiar przy tej okazji zmusić ich do większego wysiłku. Chciał przez to sprawdzić ich wytrzymałość po raz pierwszy od chwili lądowania i przypomnieć im o dyscyplinie, którą mogli zechcieć zlekceważyć.

Drugą wiadomość napisał do biskupa Formadieu, zarządzając, aby natychmiast poczyniono przygotowania do zebrania kapituły, które miało się odbyć dzień po święcie Trzech Króli. Zgromadzenie to miało odbyć się w ciemnościach, jak zawsze, a także pod strażą, z dala od niewtajemniczonych oczu i uszu. Powinno zacząć się przed nieśporami i trwać dopóty, dopóki omówione zostaną wszystkie sprawy kapituły. Choć nie zdarzało się często, żeby zebrania ciągnęły się po świcie, bywało i tak, a przy tej okazji Will martwił się tym, ile mają do załatwienia podczas jednej sesji, nawet nie licząc dodatkowego dramatu w postaci rozprawy za nieposłuszeństwo, spisek, bunt i atak na przełożonego. Poleceniom dla biskupa poświęcił więcej uwagi niż tym dla swojego brata, ponieważ - choć wiedział, iż duchowny nie

potrzebuje instrukcji dotyczących szczegółów tego, czego oczekiwano podczas zebrania kapituły - chciał wyrazić się jak najdokładniej i nie życzył sobie, aby klerykalna część kapituły przesadziła, próbując zyskać zbyt wielki wpływ na przebieg całości. Will miał już dość tych bzdur, mimo że wiedział, iż się nie skończą, dopóki będzie na świecie ksiądz aspirujący do tego, aby któregoś dnia włożyć mitrę. Potrafił sobie jednak z łatwością poradzić z ambicjami biskupów, prałatów i innych duchownych. Ponieważ nie obawiał się ich pogróżek, nie byli w stanie go zastraszyć czy nim manipulować. Prawo Zakonu mówiło, że w kapitule głosy wszystkich są sobie równe; najmłodszy rycerz mógł podnieść głos podczas kłótni z najczcigodniejszym arcybiskupem, i to tej równości Will chciał najbardziej strzec.

Z tego punktu widzenia chciał na początku uporać się z rozprawą Marteleta i jego kompanów. Potem, kiedy już zostaną odprowadzeni, chciał odczytać list wielkiego mistrza, mając nadzieję, że jego treść dostarczy im instrukcji w tym jakże trudnym czasie. Następnie, po zatwierdzeniu wszelkich wyroków i wpisaniu poleceń mistrza do ksiąg kapituły, zbierze się zgromadzenie wszystkich braci, bez względu na stopień, podczas którego ogłoszone zostaną instrukcje mistrza i życzenia kapituły.

Kiedy Will skończył drugi list, podpisał i zapieczętował oba dokumenty, Tam już czekał, aby zabrać je ze sobą, po czym natychmiast wyszedł, chowając je skrzętnie w sakwie wiszącej u pasa. Will siedział przez chwilę, trąc oczy, a potem wstał i poszedł porozmawiać z biskupem Brunonem, wysokim rangą duchownym w Lochranzy, oraz sprawdzić stan ostatnich przygotowań dokonywanych przez dowódców de Montricharda w kwestii gromadzenia zastępów i żywego inwentarza na jutrzejszą podróż.

Od kiedy Will wstąpił do Zakonu, jednym z najprzyjemniejszych dla niego doświadczeń było słuchanie chorałów wykonywanych podczas spotkania kapituły. Głębokie brzmienie wielu męskich głosów śpiewających pod sklepieniem kościoła wypełnionego zapachem cennego kadzidła i rozświetlonego wyłącznie płomieniami świec podczas ciemnych godzin przed świtem było dla niego najbliższym mistycyzmowi doświadczeniem, jakiego zaznał. Połączenie pieśni, echa, kadzidła i migoczącego światła sprawiało, że wierzył — choć nieczęsto — iż Bóg gdzieś tam jest i patrzy na takie wydarzenia z dobrotliwą aprobatą.

Jednak w Brodick Hall nad ich głowami nie było sklepienia. Kapitułę zwołano w wielkiej południowej komnacie, a drzwi strzegli uzbrojeni wartownicy. Muzyka była dźwięczna jak zawsze, lecz wysoki sufit tłumił efekt, tak że ceremonia sprawiała wrażenie mniej znaczącej. Kiedy ucichły ostatnie nuty antyfony, zebrani rycerze zaczęli przebierać nogami i odchrząkiwać, lecz zanim ktokolwiek się odezwał, sir Reynald de Pairaud podniósł się i stanął na widoku, podnosząc dłoń w tradycyjnym geście prośby o głos. Weteran, z którego strony Will spodziewał się całkowitego sprzeciwu wobec zmian, okazał mu w rzeczywistości zaskakujące wsparcie, a według Kennetha spisywał się świetnie w roli jego adiutanta od czasu, kiedy Will miesiąc wcześniej wyjechał na północ.

Jako jedyny przedstawiciel Rady William Sinclair był najstarszym stopniem członkiem kapituły, postawionym wyżej nawet od preceptora, de Montricharda, który w normalnych okolicznościach zajmowałby tron na wschodzie. Will siedział zatem sam na podium ciemnej komnaty, preceptor na północnym podeście po jego prawej, a wicead-

mirał de Narremat, reprezentujący flotę pod nieobecność sir Edwarda de Berengera - na południu, po jego lewej. Biskup Formadiou, odziany w zieleń prałat Zakonu, zajmował miejsce naprzeciwko Willa, na podeście od zachodu, a za nim siedzieli duchowni skrybowie, których zadaniem było spisywanie każdego słowa zebrania. Bracia kapituły siedzieli na krzesłach po północnej i południowej stronie kwadratowej podłogi.

To Willowi, jako mistrzowi kapituły, przypadło zadanie udzielania głosu mówiącym. Rozejrzał się po komnacie, zwracając uwagę, gdzie — w kajdanach i pod strażą - stoi buntownik Martelet wraz ze współwinowajcami. Will nie widział jego twarzy, lecz jego długa broda, wyzywająco ułożona w rozwidlający się kształt, podkreślała upór oskarżonego. Will przeniósł wzrok na de Pairauda.

- Bracie Reynaldzie, brat preceptor zawiadomił mnie, że chcesz przemówić.

-Tak, bracie Williamie. - De Pairaud z rozmysłem spojrział na Marteleta, a potem znów zwrócił się do Willa. — Chodzi o list od naszego umiłowanego mistrza de Molaya, który ma być dzisiaj odczytany. Kiedy kwestia ta przyszła mi do głowy, zwróciłem na nią uwagę brata preceptora, a on, ustępując twojej wyższej randze, nalegał, abym poruszył ją tutaj. - Odchrząknął. - Podczas zebrań kapituły tradycyjnie najpierw rozważamy sprawy dyscyplinarne, a potem przechodzimy do rzeczy dotyczących całej społeczności. - Zawahał się, zerkając na swoje dłonie, po czym znów uniósł oczy na Willa. - Pomyślałem, i podkreślam, że jest to wyłącznie sugestia, iż być może w obecnej sytuacji warto byłoby teraz odczytać list wielkiego mistrza, w obecności oskarżonych złoczyńców. - W wielkim pomieszczeniu panowała całkowita cisza. Zebrani nie odrywali wzroku od podstarzałego rycerza, który podrapał się delikatnie w brodę i ciągnął: - Od czasu opuszczenia Francji nie mamy żadnych wskazówek od naszych przełożonych, a wydaje mi się jasne, że bardzo ich potrzebujemy. Wiem, że ów list nie do końca spełnia tę potrzebę, ponieważ napisano go przed wydarzeniami, które doprowadziły do naszego wyjazdu. Lecz jest to przynajmniej wiadomość od naszego mistrza, można więc założyć, iż została napisana w świetle dylematu, z którym zmagał się wtedy mistrz de Molay. - Znów urwał, jakby się spodziewał, że ktoś mu przerwie, ale nikt nie zakwestionował jego słów, i w końcu wzru-

szyl ramionami. - Po prostu serce podpowiada mi, że cała ósemka oskarżonych powinna posłuchać tego, co miał nam do powiedzenia mistrz, zanim rozpocznie się ich rozprawa. Być może zawarte w liście porady i wskazówki, przeznaczone dla nas wszystkich, wpłyną jakoś na nich oraz ich zachowanie. To tyle.

Will wiedział, co powie weteran, ponieważ poprzedniego wieczora omówił to z de Montrichardem, a teraz jedynie wyraził zgodę skinieniem głowy, po czym podniósł się i stanął za swoim ceremonialnym tronem.

- Niech tak się stanie. W uznaniu dla elokwencji i prośby sir Reynalda więźniowie otrzymają ów przywilej przy tej niezwyklej okazji. A jest ona niezwykła, bowiem więcej się nie powtórzy. - Podniósł ciężki skórzany pokrowiec z małego stolika ustawionego koło jego krzesła.

- Oto pierwsze zgromadzenie naszej wspólnoty w nowej krainie. Nie pierwsze spotkanie, ponieważ ono nastąpiło na plaży w Lamlash, lecz z pewnością pierwsze, które odbywamy jako odnawiająca się społeczność. Wiem, że nie muszę wam mówić, jak trudne zadanie nas czeka; musimy spróbować odrodzić się na Arran bez przewodnictwa, po raz pierwszy od dwustu lat rozwiązując nasze problemy bez pomocy annałów, zapisów i ksiąg. Lecz nie jesteśmy pozbawieni własnych źródeł. Może i nie mamy ze sobą kompletnych kronik, ale, dzięki niech będą wszechmocnemu Bogu, mamy pamięć, nabyte przez nas lekcje, świadomość tego, jak powinno się postępować zgodnie z regułą, której przysięgaliśmy wierność. To nam wystarczy, aby pracując razem zgodnie i z dobrą wolą, osiągnąć to co konieczne i zacząć od nowa, jeśli będzie trzeba.

Uwaga o zaczynaniu od nowa wzbudziła falę szeptów i spekulacji; Will uciszył ją gestem.

-Wiem, co myślicie, i wszystko to wyrażają moje ostatnie słowa: „jeśli będzie trzeba”. Być może nie będzie trzeba, lecz na razie tego nie wiemy. Na morzu są nasze okręty, wracają już z Francji. Jeśli Bóg da, przywiozą nam wieści o tym, jak wygląda tam sytuacja naszych braci. Lecz zanim przyplyną, nie poznamy prawdy, a wyjechaliśmy już trzy miesiące temu bez sześciu dni, posłuszni rozkazowi mistrza. Kazał mi on jednak zabrać ze sobą to i otworzyć dzisiaj... no cóż, właściwie wczoraj. Oto jest list, a ponieważ czcigodny brat Reynald czyta lepiej

niż większość z nas i ma głos czysty, donośny, zaproszę go tutaj, na wschód, aby przekazał wam wieści naszego mistrza. Bracie Reynald/ie, czy zechcesz podejść?

De Pairaud wstał i przeszedł przez komnatę, a Will, który tymczasem otworzył skórzany pokrowiec, podał mu zapakowany list.

- Sprawdź, czy pieczęć jest nienaruszona, jeśli łaska, a potem za wiadom wszystkim, aby nie było nieporozumień.

De Pairaud zerknął na inskrypcję, a później, nieco zbity z tropu, spojrzął spod krzaczastych, siwych brwi na Willa.

- Ależ on jest do ciebie, sir Williamie. Wyraźnie napisano tu twoje nazwisko.

- Zaadresowano go do mnie, ponieważ jestem pośrednikiem między mistrzem de Molayem a obecnymi tu braćmi. Otwórz go i odczytaj. Nie będzie tam nic, co byłoby przeznaczone tylko dla mnie.

Rycerz zajął się oglądaniem przesyłki. Uważnie i z bliska przyjrzał się pieczęci, a potem uniósł list wysoko.

- Bracia, jak widzicie, mam tu przesyłkę zaadresowaną do sir Williama Sinclaira, opatrzoną nienaruszoną pieczęcią mistrza de Molaya, i choć widnieje na niej jego nazwisko, sir William poprosił, abym przeczytał wam teraz jej treść z tronu wschodniego, co poświadczy ważność wieści, wskazówek i poleceń, które może ona zawierać. Jeśli dacie mi chwilę, spełnię jego życzenie.

Wsunął kciuk pod pieczęć, która rozprysła się w kawałki wosku. Rozwinął opakowanie i chwycił jego zawartość wolną ręką. Rozpadła się ona na trzy części: zwinięty i luźno związany rzemieniem list napisany na kilku ciężkich arkuszach ręcznie ciętego pergaminu, drugi, ciaśniej zwinięty list opatrzony osobistą pieczęcią mistrza, oraz prostokątny pakiecik, owinięty grubym woskowanym materiałem, również z nazwiskiem Willa, lecz wyraźnie oznaczony jako skierowany wyłącznie do niego. De Pairaud odłożył go bez słowa na stolik przy krześle Willa, gdzie przesyłka wylądowała z ciężkim odgłosem. Wyciągnął drugi, mniejszy list w stronę Willa, lecz ten wzruszył ramionami i nie sięgnął po niego. Weteran odpowiedział tym samym gestem i także odłożył pismo na stolik, po czym rozwinął główny list, odruchowo odchrząkując, gdy go podnosił i zwracał w stronę światła.

- Tu jest napisane... - Urwał, czując, jak banalnie brzmią jego słowa, i zaczął czytać donośnym, czystym głosem:

Dla naszego zacnego i wiernego Brata, Williama Sinclaira, czcigodnego członka Rady Zakonu Ubogich Rycerzy Chrystusa i Świętyni Salomona, pozdrowienia od Jacques'a de Molaya, mistrza

Drogi Bracie,

Dostarczywszy ci poleceń na temat spraw rozgrywających się obecnie w naszej ojczyźnie, Francji, w absolutnej wierze, iż w pełni się do nich zastosujesz, czuję potrzebę rozwinięcia mych myśli, przedstawionych Tobie podczas naszej ostatniej rozmowy, aby nikt, niezależnie od rangi czy pozycji, nie mógł zakwestionować niczego, co mógłbyś teraz przedsięwziąć w imieniu moim czy naszego świętego Zakonu.

W związku z tym postanowiłem zwierzyć Ci się szerzej, wyjaśniając pewne aspekty moich myśli i przekonań, których nie uznałem za stosowne wyjawiać moim towarzyszom z Rady z powodów, które później staną się jasne.

Z wielkimi oporami i pełnym frustracji niedowierzaniem doszedłem do przekonania, że ostrzeżenia, które otrzymałem, są pod każdym względem prawdziwe i że nasz święty Zakon — mimo potwierdzonej historii przykładowej służby i nieprzerwanego poparcia dla Kościoła i jego chrześcijańskich wierzeń oraz ideałów — stał się obiektem bezwzględnej kampanii oszczerstw i perfidnych kłamstw, które mają na celu zniszczenie naszej reputacji i wiarygodności, zdobytych podczas ponad dwustu lat wiernego pełnienia obowiązków.

Jestem równie przekonany, że źródłem tej obelżywej kampanii jest sam król Filip, czwarty tego imienia z rodu Kapetyngów, i po raz pierwszy od początku mojej obecności w Zakonie czuję strach i rozpacz, bowiem w nadciągającej godzinie potrzeby nie mamy dokąd się zwrócić po pomoc i wsparcie. Rozrzucone po całym świecie siły Zakonu na nic nam się zdadzą w tej krytycznej chwili, ponieważ nie mamy dość czasu, aby je zebrać i rozgłosić to, co wiemy, a nawet gdyby tak nie było, nie mamy żadnego dowodu na poparcie naszych podejrzeń: nie stało się jeszcze nic, co by je potwierdziło, a kiedy już coś takiego nastąpi, staniemy w obliczu fait accompli.

Moja rozpacz płynie z naszej lojalności względem papieża, namiestnika Chrystusa, i Stolicy Apostolskiej. Jako Zakon od swojego zarania

składamy święty ślub posłuszeństwa rządzącemu papieżowi i przez ponad sto pięćdziesiąt lat nasze Bractwo z oddaniem spełniało tę przysięgę i tworzyło stałą armię Kościoła, która egzekwowała i wspierała wolę Ojca Świętego. Lecz obawiam się, że teraz mamy papieża, który bardziej troszczy się o to, aby przypodobać się królowi Francji i zjednać go sobie, niż o zapewnienie dobrobytu Kościołowi i jego wiernym zwolennikom. Klemens V został stworzony przez Filipa i równie szybko może zostać zniszczony. Wszyscy ludzie sumienia wiedzą w głębi duszy, że poprzez machinacje swojego głównego doradcy, Wilhelma de Nogareta, Filip doprowadził już do pewnej śmierci jednego papieża, który nie spełniał jego wymagań, i podejrzewa się go też o otrucie jego następcy, co otworzyło Klemensowi drogę do tronu Piotrowego. Samemu Klemensowi nie trzeba o tym przypominać, więc ulegnie życzeniom swojego zachłannego pana. Słowa te mogę wyrzec jedynie Tobie, ponieważ z naszych rozmów dowiedziałem się, iż jesteś podobnego zdania. Co zatem możemy zrobić, my, ludzie związani ślubami i honorem, aby uciec przed wrogością, a nawet, jak w tym wypadku, obojętnością naszego tytularnego doczesnego pana, skoro postanawia on uznać argumenty przeciwko nam in absentiar"

W świetle tych okoliczności muszę założyć, iż wydarzenia zapowiedziane na piątek trzynastego października faktycznie nastąpią i że jeśli Bóg pozwoli, przeczytasz te słowa trzy miesiące później, w święto Trzech Króli następnego roku. W ciągu tych trzech miesięcy na pewno stała się jedna z dwóch rzeczy. Pierwsza, bardziej rozsądna i upragniona z nich, to ta, że król Francji przyzna, iż mylił się, podejrzewając nasz szlachetny Zakon o cokolwiek, co popchnęło go do owych czynów, i porozumie z przywódcami Rady Zakonu, aby poszukać rozwiązania całej tej sprawy, jedyną alternatywą jest to, iż Korona dopełni swoich knowań przeciwko Zakonowi, a inkwizycja będzie ścigać zwolenników Zakonu na każdym szczeblu francuskiego ludu, niezależnie od poziomu zaangażowania, a sprzymierzone z Kościołem państwo zacznie proces konfiskowania całego majątku i wszystkich nieruchomości Zakonu Świętyni we Francji.

Rozciąga się przed nami ponura perspektywa, drogi Bracie, lecz jeśli okaże się, że nastąpiło to pierwsze, a Zakon został prawnie i moralnie oczyszczony z zarzutów podżegania do buntu i zradzieckich zamiarów, nie byłoby od rzeczy uznać, że być może wiadomość o takim polubownym rozwiązaniu jeszcze do Ciebie nie dotarła. Dlatego też dla dobra wszystkich powinienes postarać się jak najszybciej wyprawić posłów z powrotem

do Francji, uważając, aby nie mieli ze sobą żadnego symbolu, insygniów czy wyznacznika rangi, który mógłby świadczyć o tym, iż należą do Zakonu, i tym samym postawić ich w niebezpiecznej sytuacji. Ludzie ci powinni zejść za ląd, zachowując się niczym zwykli kupcy, nie zainteresowani sprawami Francji, i osobiście dowiedzieć się, w jakim stanie jest Bractwo Zakonu w owym kraju.

Rozważanie drugiej alternatywy jest znacznie mniej przyjemne i będzie ona wymagała od Ciebie niezwyklego hartu ducha, ponieważ pociąga za sobą rzeczywistą zagładę Zakonu we Francji; a muszę dodać, że osobiście uważam, iż tak właśnie się stanie. Jestem przekonany, iż Filip ma zamiar zniszczyć Zakon. Być może dlatego, iż nie dopuściliśmy go do naszych szeregów, a jego duma nie mogła znieść tej potwarzy, lecz moim zdaniem to jedynie jeden z powodów. Filip, który jest moralnym i finansowym bankrutem, zazdrości nam bogactwa, a jego skarbiec świeci pustkami. Widzi, iż nagromadziliśmy wiele ziem i zasobów, że uprawiamy handel morski i lądowy, co jest dla niego całkowicie niedostępne bez zaciągania coraz większych długów, i nie może myśleć o tym, nie czując przemożnego pragnienia posiadania naszego majątku.

Jeśli tak się stanie, bracie Williamie, Zakon, którego jestem dwudziestym trzecim i należycie uświęconym mistrzem, najprawdopodobniej przestanie istnieć w tym kraju. A jeśli to jest grzech rozpaczy, nie wiem, jak go uniknąć, ponieważ stałem się cynikiem do tego stopnia, iż potrafię poznać innego cynika, i to o niewyobrażalnej potędze, w odległej, niedostępnej i nieludzkiej osobie naszego namaszczonego króla, Filipa IV Pięknego.

Mimo naszej potęgi i siły Filip wygra tę potyczkę, ponieważ Kościół i papież są na każde jego zawołanie. Z tym poparciem, uległością, a nawet współudziałem papieża stał się dla nas nie do pokonania. Choć jest potężny, tylko takie wsparcie ośmieliłoby go do podjęcia tak ewidentnie chciwego ataku na pierwszy, największy i najbardziej szanowany z zakonów walczących Kościoła. Filip zrobi wszystko, co najgorsze. Spodziewam się, że wykorzysta tortury i przymus, aby poznać nasze sekrety, splamić nasz honor i ustalić, że jesteśmy winni... choć dopiero zobaczymy, za co tak się stanie i w jakim celu. Stąd powód mojej niechęci do dzielenia się tymi myślami z kimkolwiek innym. Takie myśli są zdradzieckie. Lecz podczas tortur nikt nie może wyjawić czegoś, czego nie wie. Z tego powodu uznałem za stosowne powierzyć napisanie tego listu zaufanemu skry-

bie, wizytującemu bratu naszego Zakonu, który wróci do swojego domu na Cypr przed datą, o której mówimy, więc nie dotknie go to, co wydarzy się we Francji. Nie chciałem narażać na niebezpieczeństwo żadnego z moich duchownych, powierzając im tę wiedzę.

Sądzę, że będziemy mieli szczęście, jeśli uda nam się zachować jakąkolwiek część naszego materialnego majątku do końca tej czystki. Wszystko, co posiadamy, zniknie w skrzyniach Filipa i Watykanu, niekoniecznie równo podzielone. Potem, jeśli jacyś nasi bracia przeżyją, staną w obliczu powrotu do najwcześniejszych dni Zakonu, kiedy to każdy rycerz osobiście i z własnej woli porzucił zwykłe życie w poszukiwaniu duchowego spełnienia i zbawienia, składając trzy święte śluby i zgadzając się na całkowite ubóstwo, które zezwalało mu jedynie na posiadanie rzeczy wspólnych dla wszystkich braci: oręża, ubrań i koni. Dni naszej władzy i wpływów są — przynajmniej we Francji — policzone, lecz najbardziej boją się, że inni królowie świata chrześcijańskiego pójdą za przykładem Filipa, uwiedzeni perspektywą nieprzebranych, nie strzeżonych przez Kościół bogactw.

Te sprawy są poza moją gestią, bracie Williamie. Zapisuję je tutaj jedynie jako kwestie, które mnie martwią. Ja sam przetrwam lub przepadnę wraz z Zakonem we Francji, gdzie został założony, a ponieważ moje własne śluby uniemożliwiają mi podniesienie oręża przeciwko moim przełożonym, poddam się każdemu osądowi lub czynowi, który zostanie przeciwko mnie wymierzony, niezależnie od tego, jak będę oceniał jego moralną wartość.

Kiedy to piszę, jedna rzecz wciąż znajduje się pod moją kontrolą: kwestia przekazania władzy w Zakonie tak, jak sobie tego życzę. W tym celu załączam oficjalny list mianowania, należycie poświadczony przez najwyższych stopniem przedstawicieli Rady oraz podpisany i opieczętowany moją pieczęcią jako wielkiego mistrza Zakonu Świątyni. Nadaje on naszemu wiernemu poddanemu bratu Williamowi Sinclairowi, rycerzowi Zakonu Ubogich Rycerzy Chrystusa i Świątyni Salomona, tytuł mistrza owego Zakonu w Szkocji lub którymkolwiek kraju, gdzie ów William Sinclair znajdzie się pod koniec swoich podróży, o ile wciąż będą towarzyszyli mu rycerze i serwienci Zakonu, a on nadal będzie oddany zachowaniu prastarych sekretów i rytuałów Zakonu przekazanych mu przez jego kompanów, braci i towarzyszy z Zakonu.

Pismo to jest dołączone do listu. W odpowiedniej chwili odczytaj je

głośno na zebraniu kapituły i działaj dalej z moim całkowitym błogosławieństwem. Niech Bóg naszych ojców czuwa nad tobą i chroni Ciebie oraz Twoich ludzi.

*W duchu pokornego braterstwa,
siódmego dnia października, Anno Domini 1307
Jacques de Molay, rycerz i wielki mistrz*

Przez jakiś czas, po tym jak de Pairaud skończył, nikt się nie ruszał i panowała absolutna cisza. Lecz potem wśród ludzi po prawej od wschodniego podium rozległ się powolny, rytmiczny odgłos: ktoś zaczął uderzać dłonią o udo. Był to rzadko używany zwyczaj, który przez lata zaczęto nazywać aplauzem kapituły. Rytm, od razu podjęty przez innych, rozprzestrzenił się szybko, aż klaskali wszyscy, a dźwięk ich zbrojnych ramion walących o ciężkie kolczugi dodał owacji wyraźny, metaliczny pogłos.

Podczas wszystkich swoich lat w Zakonie Will spotkał się z tym wyrazem aprobaty jedynie dwukrotnie, a przy obu okazjach wyrażał nim poparcie dla innych. Teraz słyszał go po raz trzeci i poczuł, jak włosy na karku mu się jeżą, ponieważ rycerze nie oszczędzali się podczas tej owacji; taki zaszczyt oznaczał całkowite poparcie dla jakiegoś znamienitego wydarzenia lub czynu. Ściśle mówiąc, aplauz ten był wbrew regułom kapituły, ponieważ nie mógł przemówić nikt, komu nie udzielono głosu, lecz praktycznie rzecz biorąc, nikt się nie odezwał.

Will czuł, że rumieni się z zadowolenia. Trudno mu było zachować panowanie nad sobą i nie pozwolić, aby jego twarz wyraziła jakiegokolwiek uczucia; jednocześnie zastanawiał się, co zrobić. Choć aplauz mu pochlebiał, był bezprawny i trzeba go było przerwać, lecz Will nie miał ochoty ucinać go gwałtownie, ponieważ okoliczności tego zgromadzenia kapituły i tak były nietypowe. Zerknął z ukosa na skutego kajdanami Marteleta oraz jego towarzyszy i zwrócił uwagę na to, że prowodyr stoi sztywno i nieruchomo, patrząc pogardliwie spode łba.

Will znów odwrócił się w stronę zebranych braci i powoli uniósł dłonie, prosząc o spokój; z zadowoleniem usłyszał, jak miarowe uderzenia słabną, a potem cichną całkowicie. Dzięki temu cisza zapadła dobrowolnie, a nie na rozkaz. Stał, patrząc na nich, świadom, że oni

wpatrują się w niego i czekają, lecz przez długą chwilę żadne słowa nie przyszły mu do głowy. Potem nagle spłynęło na niego natchnienie i już wiedział, co powiedzieć; odchrząknął i przemówił wyraźnie:

-To zgromadzenie kapituły jest wyjątkowe, bracia, tak jak nasze dzisiejsze świętowanie. Unikatowe, nieporównane i bez precedensu. Zastanówcie się, co oznacza to słowo. Oznacza: pod każdym względem wyjątkowe. Oznacza: nowe i przełomowe. To odpowiednie słowo na opisanie tego spotkania. W historii naszego Zakonu jeszcze nigdy nie napisano listu podobnego do tego, który dziś wam tu odczytano, ani takiego, który równie jasno przedstawiałby osobiste wierzenia wielkiego mistrza dotyczące stanu i dobrobytu jego bractwa, którego bezpieczeństwo i przetrwanie mu powierzono. Samo to jest unikatowe. Od czasu, kiedy dwieście lat temu założono nasz Zakon, nawet podczas kipiących chaosem kampanii w Zamożu przeciwko Turkom seldżuckim i sułtanowi Saladynowi oraz jego muzułmańskim zastępom, nigdy nie zdarzyło się, żeby nowa siedziba Zakonu musiała zapuścić korzenie bez żadnych wskazówek ani wsparcia od Rady. Nasza kapituła jest tego pierwszym przykładem. A to jest wyjątkowe, choć smutniejsze i bardziej godne pożałowania, niż można sobie wyobrazić.

Rozejrzał się po twarzach zebranych braci, dając im czas na przyjęcie jego słów do wiadomości i widząc czoła zmarszczone z konsternacji.

-Jesteśmy tu sami, bracia, w sytuacji i miejscu, które pół roku temu byłyby nie do pomyślenia. Musimy więc sami sobą zarządzać i sami się kontrolować, bez nadziei na pomoc z zewnątrz. Najbliżsi nam sprzymierzeńcy, bracia Zakonu w Anglii, są od nas odcięci i nieświadomi naszej obecności. Obawiam się, że z powodu polityki oraz naszego zobowiązania wobec króla Roberta nie możemy ich o niej powiadomić. Musimy radzić sobie sami i zacząć teraz, dzisiaj, w tej chwili.

Ponownie przerwał i rzucił znaczące spojrzenie przyglądającym się mu więźniom; każdy z obecnych zrozumiał powagę tego gestu.

- Zanim jednak zaczniemy proces, musimy zająć się sprawą uroczystego nadania dokonanego przez mistrza, zawartego w drugim dokumencie towarzyszącym jego listowi. Bracie Reynaldzie, czy będziesz łaskaw złamać pieczęć mistrza i odczytać kapitule ogłoszenie?

De Pairaud był gotów i skinął głową, po czym chwycił drugi list, bez wahania łamiąc pieczęć, tak że słychać było wyraźnie odgłos spadających na drewnianą podłogę kawałków laku. Potem podniósł ciasno zwinięty pergamin do oczu, rozprostował go i przez chwilę przebiegał oczami jego treść, zanim mruknął i zaczął ponownie czytać.

*Do wszystkich Braci i zwolenników
Zakonu Ubogich Rycerzy Chrystusa i Świętyni Salomona,
a także do wszystkich ludzi, niezależnie od stopnia czy rangi*

Oświadczam, iż ja, Jacques de Molay, dwudziesty trzeci wielki mistrz wyżej wymienionego Zakonu, z pełnym poparciem Braci z Rady wspomnianego Zakonu, niniejszym ogłaszam mianowanie i wyniesienie naszego drogiego Brata, sir Williama Edwarda Aleksandra Sinclaira z Roslin w Królestwie Szkocji, do rangi mistrza Zakonu w Szkocji.

Niech będzie również wiadomym, że gdyby mnie, jako wielkiemu mistrzowi, oraz moim wysokim rangą Braciom z Zakonu we Francji śmierć lub uwięzienie uniemożliwiły wykonywanie obowiązków lub mianowanie odpowiednich następców na nasze stanowiska, ów wyżej wymieniony William Edward Aleksander Sinclair, mistrz w Szkocji, zostanie ipso facto wyniesiony do rangi wielkiego mistrza Zakonu i otrzyma jego obowiązki, stając się dwudziestym czwartym posiadaczem tego wysokiego tytułu.

Niech tak się stanie.

*Spisane moją ręką czwartego dnia października, Anno
Domini 1307
De Molay, wielki mistrz*

Sinclair był równie zdumiony jak wszyscy inni. Tytuł mistrza w Szkocji już wystarczająco go zaskoczył: nigdy, nawet przelotnie, nie śnił o takim zaszczycie. Lecz wyniesienie do rangi wielkiego mistrza było niewiarygodne. Kiedy jednak doszedł do siebie i jego myśli znów zaczęły pędzić, dostrzegł, czym naprawdę był ten awans: najpotężniejszym z możliwych gestem wsparcia ze strony de Molaya, który dobrze rozumiał zadanie stojące przed Willem.

Znów zaczęło się łomotanie dłoni, lecz tym razem Will szybko je uciął zdecydowanym gestem.

- Dziękuję wam za poparcie, bracia - rzekł - ale jest ono nieuzasadnione. Teraz nie ma czego popierać i módlmy się do Boga, aby tak pozostało. Z tego, co wiemy, mistrz de Molay ma się dobrze, jak i po zostali wysocy rangą bracia. Prawie miesiąc upłynął od czasu, kiedy wysłaliśmy cztery okręty w podróż handlową na wybrzeża Francji. Spodziewam się, że zaczną wracać w ciągu najbliższych dni, i już wkrótce możemy spodziewać się wieści. Dopiero wtedy, uzbrojeni w ugruntowaną wiedzę, będziemy mogli uczynić jakiś realistyczny wysiłek w kwestii sytuacji w naszej ojczyźnie. Na razie mamy aż nadto zajęć tutaj: musimy zbudować sobie dom, choć z nadzieją, że będzie tymczasowy. Więcej powiem o tym później, teraz trzeba rozważyć poważniejsze sprawy. - Wskazał grupkę więźniów stojącą po jego lewej, nie patrząc na nich. - Bunt i nieposłuszeństwo. - Słowa te odbiły się echem w ciszy, którą spowodowały. - Ośmiu ludzi, oskarżonych o oba te grzechy przeciwko najbardziej podstawowej zasadzie naszego Zakonu, stoi tu w kajdanach. Niektórzy mogliby twierdzić, że ich występki jest nieznaczny w perspektywie niedawnych wydarzeń. Tę decyzję pozostawiam wam, jako kapitule. Nie wezmę udziału w rozprawie. Przewodził jej będzie, jako preceptor, brat de Montrichard. Lecz biorąc pod uwagę poważną naturę oskarżeń, muszę rzec: wstępując do Zakonu, każdy z nas tu obecnych złożył potrójny ślub ubóstwa, czystości i bezwzględności posłuszeństwa przełożonym. Wśród nich najważniejszy jest ten ostatni, bowiem bez posłuszeństwa względem reguły i wyższych stopni jesteśmy jedynie motłochem, tłuszczą groźniejszą niż inne, ponieważ wyszkolono nas w walce i zabijaniu, i jako tłuszczą zagrażamy sobie i ludziom dookoła nas.

Odwrócił się z rozmysłem i potoczył absolutnie poważnym wzrokiem po szeregach ludzi po obu jego stronach.

- Zważcie na moje słowa. Mówię teraz jako człowiek, nie najstarszy tu stopniem, lecz jako brat wśród braci i weteran Zakonu, prosto z serca. Te ostatnie kilka miesięcy spędziliśmy zbyt daleko od codziennej dyscypliny; to proste stwierdzenie, z którym każdy z was się zgodzi. Ale prawda ma znacznie większy zasięg i jest znacznie bardziej niepokojąca. W ostatnich latach oddaliliśmy się od naszych początków. Wszyscy staliśmy się niedbali i leniwi, a mogę to powiedzieć głośno i otwarcie podczas zebrania tej kapituły, wiedząc, że słyszą tę prawdę jedynie nasze uszy. Po upadku Akki Zakon stał się pod wie-

loma względami pozbawionym steru okrętem, ponieważ jego *raison d'etre* przez ponad sto pięćdziesiąt lat była ochrona wiary i Kościoła w Ziemi Świętej. Tracąc tereny w Zamorzu, straciliśmy też naszą drogę i z żalem stwierdzam, że także szacunek wśród ludzi. Winę za upadek twierdzy w Akce, uznawanej za niemożliwą do zdobycia i niezniszczalną, zrzucano na nas. Czuwaliśmy nad interesami Kościoła w Zamorzu, a teraz uważa się, że zaniedbaliśmy te obowiązki. Jak każdy tu obecny wie, to nieprawda, lecz ludzie sądzą, że tak było, i nic na to teraz nie poradzimy. Upłynęło zbyt wiele lat. Nikt nie dba o listę zasłużonych, na którą zapracowaliśmy od zarania naszego Zakonu. Nikt nie pamięta o naszych sukcesach lub męstwie naszych dokonań z minionej epoki. Wszyscy dostrzegają jedynie klęskę i stratę Zamorza.

Następne słowa wykrzyczał, widząc, jak szeregi słuchających sztywnieją w efekcie tego niespodziewanego hałasu.

- A my temu sprzyjamy! Zakon temu sprzyja poprzez swoją politykę w latach minionych i w chwili obecnej! Ułatwiamy patrzącym na nas wilkiem wrogom nienawiść do nas. Zakon nigdzie nie płaci podatków, nie robią tego też jego zwolennicy: kupcy, lichwiarze i członkowie cechów, którzy kantują i kradną dla własnej korzyści, nazywając siebie templariuszami, choć nigdy nie mieli w ręku miecza i nie zadali nikomu ciosu w obronie czegokolwiek poza własną chciwością... To dotyczy też tak zwanych braci stowarzyszonych Zakonu, z których żaden nie służy tak jak my. Pomyślcie, jak to wygląda w oczach ludzi, którzy mieli mniejsze szczęście niż my. Uważają nas za posiadaczy niezliczonych przywilejów, wolnych od podatków i niewiarygodnie bogatych, podczas gdy oni codziennie walczą o przetrwanie. Widzą nasze imperium handlowe i nienawidzą go. Duchowni widzą nasze listy kaperskie i kredytowe, kruszec w skarbcach oraz opłaty, jakie pobieramy, i uznają nas za lichwiarzy. A wszyscy sądzą, i obawiam się, że słusznie, iż jesteśmy aroganckimi, nietolerancyjnymi tyranami, którzy paradują ze swoimi rozwidłonymi brodami w kosztownych szatach i na najświetniejszych koniach, zachowując się z odruchową wyższością wobec każdego, kogo uważamy za pośledniejszego od nas, czyli wszystkich ludzi, którzy nie są templariuszami.

Urwał, a jego głos ucichł równie szybko, jak wcześniej weszbrał. Potem Will podjął wątek cichszym, bardziej uroczystym tonem:

-Taka jest prawda. I to właśnie zniszczyło nas we Francji i być może w innych krajach. Ludzie mogą różnie to nazywać i znajdować inne powody tego, co się zdarzyło, lecz w gruncie rzeczy sami w ostatnich latach sprowadziliśmy na siebie te kłopoty, dając im powód do zazdrości, resentymetu i gniewu za to, kim według nich jesteśmy. Sądzę, że żaden z obecnych tu nie zaprzeczy, jeśli tylko pomyśli o tym chwilę uczciwie. Lecz teraz jesteśmy w Szkocji, gdzie Zakon wciąż jest bardzo szanowany dzięki wysiłkom naszych poprzedników w tej targanej konfliktami krainie. Mam zamiar utrzymać ten stan rzeczy podczas naszego pobytu tutaj. Wyjaśnię moje plany i wydam rozkazy jako mistrz Szkocji, kiedy wrócę, lecz tymczasem wycofam się i pozostawię kapitulę zadanie osądzenia tych ludzi. Mam tylko jedną radę: występki z przeszłości można wybaczyć z czystym sumieniem i dobrą wolą, lecz w tym wypadku przebaczenie, jeśli je wybierze, powinno zostać rozważone w obliczu perspektywy przyszłego zachowania. Nie powiem nic więcej. Wiecie, jak postępować i jakie czekają ich kary, jeśli wydacie nieprzychylny wyrok. Komturze de Montrichard, zechciej posłać po mnie, kiedy podejmiecie decyzję, a wtedy zakończę moją przemowę do kapituły. Tymczasem wschód należy do ciebie.

Will opuścił podium i wyszedł zwawym krokiem ze spotkania, po czym udał się prosto do swojej komnaty. Tam, który właśnie z niej wychodził z pustym koszem, uzupełniwszy zapas bierwion koło kominka, zatrzymał się i zaczął na Willa, zaciskając usta i mrużąc oczy w półmroku.

- I co, każą ich zamurować?

Will ledwie się zawahał.

- Dlaczego sądzisz, że mieliby to zrobić?

- Nie mnie gadać, ale myślę, że ktoś musiałby zrobić coś naprawdę nikczemnego, zanimbym go na to skazał. Zamknięcie w dziurze bez świeżego powietrza... to chyba najgorsza śmierć, no, poza byciem po grzebanym żywcuem w trumnie. Jak o tym pomyślę, to w sumie jedno i to samo, poza tym, że dajesz więźniowi chleb i wodę, kiedy czeka, aż się udusi. Tylko dlatego, że nie zgolił brody?

Will stanął jak wryty i przez chwilę się nie ruszał, po czym pokręcił głową i popatrzył na krewniaka.

- Nie. Nie, Tam, nie o to chodzi. Broda właściwie nie jest ważna. Ważny jest bunt; arogancja, duma, przykład, jaki dają innym,

popelniając występki z takim rozmysłem. To trzeba zdusić w zarodku, zanim się rozkrzewi. A poza tym w tej sprawie zamurowanie nie wchodzi w grę. To ostateczność. Ci ludzie dostaną pewnie miesiąc o chlebie i wodzie. Martelet może dwa, a nawet trzy. Ale nie zostanie zamurowany.

- Masz nadzieję - mruknął Tam. — Nawet cię tam nie ma, cobyś mógł pilnować rozprawy. A co, jeśli on im się postawi, a jakiś idiota straci głowę i go skąże? Dziwniejsze rzeczy się działy.

- Zawetuję karę. Lecz teraz, póki trwa proces, mam coś do napisania. Inkaust gotowy?

Tam zerknął na niego z ukosa, marszcząc brwi, i nawet nie zaszczyił odpowiedzią tak głupiego pytania; odszedł ze swoim pustym koszem.

Upłynęła niecała godzina, zanim wezwano Willa z powrotem na zgromadzenie. Wszedł do komnaty z arkuszem pergaminu: listą uwag, które chciał poczynić w odniesieniu do listu mistrza. Od razu dostrzegł, że więźniów wyprowadzono, a pozostali bracia czekają na bacność, lecz nie okazał zaciekawienia tym, co się wydarzyło. Zamiast tego skinął uprzejmie głową preceptorowi, który też stał, czekając, aby oddać Willowi miejsce na wschodnim podeście i kontrolę nad zgromadzeniem kapituły. Sinclair poprosił go, aby został na podium, u jego boku. Kiedy tylko de Montrichard usiadł, Will pozwolił to samo zrobić reszcie.

— Bracia, zajmę niewiele więcej waszego czasu, bowiem spotkanie to już się przedłużyło, lecz wysłuchajcie mych słów, wypowiedzianych z urzędu mistrza Zakonu w Szkocji, nadanego mi przez naszego wielkiego mistrza. Mówiłem już o moich życzeniach dotyczących naszego zachowania podczas pobytu tutaj. Powtórzę je teraz jako rozkazy, przy tej jednej okazji wyjaśniając, co mną kieruje, ponieważ niezmiernie ważne jest, abyście zrozumieli pewne rzeczy. Otrzymaliśmy azyl na tej wyspie z łaski jej monarchy, Roberta Bruce'a, a w zamian za przywilej zamieszkania tu przyjąłem w imieniu nas wszystkich wiążące, moralne zobowiązanie. - Przerwał, świadom, że wszyscy pilnie go słuchają. - W oczach papieża Klemensa i jego popleczników w Rzymie król Robert obłożony jest ekskomuniką. Mimo to niezachwianego poparcia udzielają mu najwyżsi rangą biskupi Kościoła szkockiego na czele z samym prymasem Szkocji, Williamem Lambertem, arcybiskupem Saint Andrews w Fife, oraz Williamem Wishartem, biskupem Glasgow. Takie wsparcie wbrew papieskiemu nakazowi ekskomuniki

nie ma precedensu w annałach Kościoła chrześcijańskiego i najbardziej zaskakujące jest to, że sami biskupi nie zostali za nie potępieni przez kurię w Awinionie. Powód jest prosty: za pośrednictwem szkockich biskupów król ma przyjaciół w kurii, a ekskomunikę załatwili jego wrogowie, prawdopodobnie dla własnych celów i z bardziej politycznych niż religijnych powodów. W związku z tym nakaz ten jest przedmiotem sporu, a biskup Wishart, który działa w imieniu uwięzionego w Anglii za popieranie Roberta arcybiskupa Lambertom, jest pewien, iż zgodnie z prawem kanonicznym ekskomunikę można anulować. Oto dylemat nasz i króla: ekskomunika monarchy stosuje się do wszystkich jego poddanych. Według prawa kanonicznego, którego zastosowanie odracza tutaj dobra wola biskupów, wszyscy Szkoci dzielą ów los króla dopóty, dopóki się go nie wyrzekną i nie zrzucą z tronu. Do tej chwili lud Szkocji nie może otrzymać żadnego sakramentu. Lecz król został należycie i uroczystie koronowany jako Robert Pierwszy, korona spoczęła na jego czole zgodnie z najstarszymi i najbardziej uświęconymi tradycjami tego królestwa, i prawnie uznają go za władcę prastare szkockie klany oraz szlacheckie rody normańskich Francuzów. Jedynie poprzez swoją obecność na wyspie kapituła ta stanowi większe niebezpieczeństwo dla ostatecznego rozwiązania kwestii ekskomuniki niż cokolwiek innego, ponieważ król Robert prawie już zawarł pokój ze swymi wrogami. My, niedobitki Zakonu Świątyni, możemy być dla króla i jego biskupów kłopotem i przeszkodą, ponieważ sami uciekamy przed papieskim gniewem. Nie wiemy jeszcze, do jakiego stopnia jesteśmy oficjalnie potępieni w oczach Kościoła, lecz wkrótce poznamy prawdę; wiemy natomiast na pewno, że Klemens stanął po stronie króla Filipa, aby doprowadzić do upadku Zakonu we Francji. Możemy więc być pewni tego, jak wielkie niebezpieczeństwo stanowimy dla Roberta. Jeśli stanie się wiadome, że jesteśmy na Arran, pod opieką króla Szkotów, jego wrogowie posłużą się tym, aby go pognębić i oczernić w oczach Kościoła. Stwierdzą, że otwarcie i z rozmysłem przeciwstawia się papieżowi oraz królowi Francji. Jak możemy temu zaprzeczyć, skoro przeżyliśmy bezpodstawną królewską czystkę i wynikające z niej, trzymiesięczne już wygnanie? Kiedy chodzi o sprawy państwa i nieprzebranego bogactwa, można spodziewać się, iż ludzie u władzy nagną swą wolę, aby nadużyć sprawiedliwości, prawdy i moralnej słuszności. A Robert Bruce przeciwstawia się po-

tężnym ludziom i w Anglii, i w samym rzymskim Kościele. Taka jest naga i prosta prawda, bracia.

Znów przerwał i zamilkł na tak długo, że ludzie zaczęli wiercić się na krzesłach, zerkając po sobie z minami tak różnymi jak same ich twarze. Patrząc na nich, Will zaczął się dziwić własnej umiejętności przemawiania w taki sposób, ponieważ uświadomił sobie, że powiedział więcej - i bardziej elokwentnie - niż potrafił sobie przypomnieć.

- Oto zatem moja decyzja jako mistrza; ogłaszam ją teraz kapitule jako uchwałę, której wspólnota ma przestrzegać. Już zaczęliśmy działania w tym kierunku, ale teraz ewidentnie istnieje potrzeba, abym zmienił wcześniej wyrażone życzenia na absolutny rozkaz, który wszyscy macie wypełnić, więc słuchajcie mnie uważnie. Od dzisiaj Zakon Ubogich Rycerzy Chrystusa i Świątyni Salomona zniknie z oczu ludziom na Arran. - Poczekał, aż jego szokujące słowa dotrą do ludzi, którzy muszą się z nimi oswoić. - Łatwo tego dokonać. Odtąd naszym zadaniem, a wręcz obowiązkiem, będzie ukrycie tego, że tu jesteśmy, co ochroni nas i naszą tożsamość, a jednocześnie zapewni bezpieczeństwo naszemu łaskawemu gospodarzowi... przynajmniej z naszej strony. Dlatego też kwestia bród od dzisiaj stanowi prawo. Reguła nie nakazuje nam nosić rozwidlonych bród. Ponadto wszyscy bracia, z wyłączeniem jedynie biskupów i ich akolitów, zrezygnują z mniszej tonsury i pozwolą włosom rosnać naturalnie. To kolejna maniera, pochodząca z wczesnych dni Kościoła, mająca wyróżnić braci jako niewolników Boga. Wiemy, kim jesteśmy, i znamy swoje powinności - to wystarczy. Wszystko inne, co mogłoby identyfikować nas jako templariuszy, schowamy przed ludźmi z zewnątrz. Będziemy mieli dość oręza, a nie mamy tu wrogów. Jeśli jacyś się pojawią, nie będzie brakowało nam możliwości, aby szybko się uzbroić i zwyciężyć, lecz zrobimy to jako wojowie broniący siebie i swojego majątku, a nie jako rycerze w zdyscyplinowanych francuskich oddziałach... choć i na to będzie czas, jeśli zajdzie potrzeba. Staniemy się niewidzialni, bracia. To prawda, że jest nas wielu i nie ma tu kobiet, ale to zauważą tylko najbardziej wścibscy, a z nimi sobie poradzimy. W Szkocji toczy się wojna. Arran to część osobistych ziem króla, bezpieczne miejsce na szkolenie nowych zastępów i kwaterowanie najemników. Być może rozniesie się wieść, że jesteśmy Francuzami, lecz uznają nas za wy-

jętych wojów, nie braci Zakonu. Podkreślę, bracia, że to, co powiedziałem, w żaden sposób nie wpłynie na ścisłe przestrzeganie reguły, która jest naszą drogą życiową. Wszelkie rytuały i obrządk, obowiązki i zadania pozostaną niezmienione, a wierność regule - uświęcona. Jeśli chodzi o nieprzerwaną gotowość do walki, musztra będzie trwać dalej, lecz w małych grupach, a najważniejsze ćwiczenia i manewry odbywać się będą regularnie w miejscach ukrytych przed wzrokiem nieprzyjaciół. Will wstał.

- Oto sedno sprawy, bracia. Skrybowie dopracują szczegóły i przed stawia je wam. Ja zaś muszę was poprosić o jeszcze jedną rzecz, która wynika bezpośrednio z tego, co powiedziałem. Sądzę, że konieczne jest podzielenie wspólnoty, aby nie trzeba było tyle podróżować licznymi oddziałami na północ i południe w celu wypełnienia naszych zadań, więc chciałbym ustanowić filię komturii na północy, w Lochranzy, z jej własną, należycie mianowaną kapitułą. - Spojrzał na drugą stronę pomieszczenia, na ubranych w zieleń biskupów dookoła zachodniego podium. - Bracie biskupie Formadieu, czy mogę prosić, abyś zajął się wypełnieniem tej misji? Zostawiam w twoich rękach zorganizowanie podziału sił i mianowanie preceptora i dowódców filii.

Biskup wstał i skłonił się, oficjalnie przyjmując zadanie, a Will rozejrzał się po zgromadzonych.

- Niech tak się stanie. A teraz, milordzie biskupie, jeśli będziesz łaskaw poprowadzić rytuały kończące, wszyscy będą mogli się rozejść i pomyśleć o tym, co tu powiedzieliśmy. Wysocy rangą dowódcy i bracia dołączą do mnie potem w mojej kwaterze.

Nigdy jeszcze nie słyszałem, żebyś powiedział tyle naraz, bracie, i przyznaję, wyrzekłeś to nadzwyczaj dobrze. Dałeś mnichom dość tematów do namysłu na wiele dni. Co pijemy?

Kenneth Sinclair przybył pierwszy; dołączył do Willa w jego komnacie chwilę po tym, jak ten sam do niej trafił. Will uśmiechnął się i machnął ręką w stronę stołu, gdzie Tam postawił kubki i dzbany wina.

- Zawsze byłem tym mądrym w rodzinie. Co się stało podczas rozprawy?

Kenneth zajął się nalewaniem wina i podał Willowi kubek właśnie w chwili, kiedy odgłos zbliżających się kroków zasygnalizował, że nadchodzą inni.

- Odosobnienie o chlebie i wodzie. Dwa miesiące dla Marteleta, który nie okazał nawet odrobiny skruchy, i miesiąc dla pozostałych, w tym dla tego rannego, Gilberta de Sangpura. Niektórzy sądzą, że wykręcili się sianem.

- Wejść! - krzyknął Will w odpowiedzi na pukanie do drzwi, a kiedy pojawili się w nich de Narremat, de Montrichard i kilku innych, ponownie zwrócił się do brata: - A ty jak myślisz?

- Zgadzam się, szczególnie w kwestii Marteleta. To czarna owca. Nie złamie się i trudno będzie go zmienić.

- Zmieni się, kiedy pojmie, że on jeden zachowuje się tak buntowniczo. Wspomnisz moje słowa. Panowie! Rozgośćcie się.

Will odsunął się, aby powitać przybyłych i nalać im wina; jego brat pomyślał, że prosta uprzejmość tego gestu zdradza wyjątkowy, niepowtarzalny charakter. Sam Will natomiast już żałował, że zapro-

sił gości, ciekaw trzeciej przesyłki od mistrza. Świadomość, że może będzie musiał czekać kilka godzin na otwarcie, wypełniła go nagłą niecierpliwością; postanowił ją zneutralizować, zachowując się usłużnie wobec swoich dowódców, którzy z kolei sprawiali wrażenie oniesmielonych. Wyraźnie nie byli pewni, czego od nich oczekuje i czego oni mogą spodziewać się po nim, biorąc pod uwagę jego dramatyczne wystąpienie na spotkaniu kapituły.

To preceptor, Ryszard de Montrichard, zadał pytanie, które - jak pomyślał potem gorzko Will - na pewno nurtowało zgromadzonych. Trzymali kubki z winem i zachowywali się swobodnie, rozmawiając o zgromadzeniu; część siedziała, część stała przy buzującym ogniu, a kilku opierało się niedbale o ściany i stoły. Will trzymał się nieco na uboczu, przyglądając się im i nie próbując zaznaczyć swojej obecności, kiedy zobaczył, że de Montrichard odwraca się i szuka go wzrokiem, po czym podnosi dłoń, sygnalizując, że chce się odezwać.

- Sir Williamie, mam pytanie, jeśli można.

- Nie musisz pytać o pozwolenie, sir Ryszardzie. Jesteśmy tu na razie w swobodnej atmosferze. Pytaj.

- No cóż, panie, chodzi o sprawę naszego przyodziewku... Will się uśmiechnął.

- Masz na myśli ubrania.

- Otóż to... Zgadza się ze wszystkim, co powiedziałeś na ten temat dziś rano. Ma to całkowity sens, zarówno dla obrony nas samych, jak i dla sprawy króla Roberta. Jak powiedziałeś, musimy zniknąć. Lecz... jeśli odłożymy nasze płaszcze i opończe, jak sugerujesz, a także kolczugi i zbroje z herbami, co będziemy nosić?

Will musiał stłumić wybuch śmiechu, przypominając sobie, że rozmawia z ludźmi, których każdym ruchem i zachowaniem — od świtu po zmierzch, przez każdy dzień ich życia - kierowała reguła. Nie mieli pojęcia o osobistej wolności w kwestii ubrania czy postępowania; przez całe życie nosili ubrania wydane im przez Zakon. W większości byli porządnymi, choć powściągliwymi ludźmi, którym brakowało fantazji, aby wyobrazić sobie coś innego niż to, co znali od zawsze. Kiwnął więc głową poważnie, przyjmując pytanie.

- No cóż, bracie Ryszardzie, to, co zawsze: proste tuniki i wygodne getry chroniące nas przed chłodem. Zrezygnujemy jedynie z wierzch nich okryć, zastępując je zwykłymi pelerynami z sukna lub woskowa-

nej wełny i innymi częściami garderoby noszonymi przez miejscowy lud: skórzanymi kaftanami i nabijanymi ćwiekami zbrojami z garbowanych, utwardzanych skór. Nie zamarzniemy, zaręczam ci. A jeśli chcesz zapytać, skąd weźmiemy te rzeczy, odpowiem ci, że już tu są. Na południowym wybrzeżu mieszka wielka rodzina tkaczy, która dostarcza ubrań na każdą pogodę miejscowym rybakom. A w zatoczce niedaleko Lochranzy są garbarze. Rozmawiałem z nimi, choć nie z tkaczami, i jestem pewien, że obie rodziny chętnie popracują, aby ubrać nas i wyposażyć w zamian za monety z czystego srebra... szczególnie jeśli dostarczymy im skór i przędzy, w które nasze okręty już zaopatrują się za granicą. Więc nie kłopotz się tym, bracie. - Zobaczył jednak, że na twarzy preceptora wciąż maluje się cień zmieszania. - Nie wyglądasz na przekonanego. Czy wyraziłem się niejasno?

- Nie, sir Williamie, absolutnie nie - zaprotestował de Montrichard niemal przepraszająco. - Zastanawiałem się jedynie, jak będzie my się rozróżniać... pod względem rangi.

Will uniósł brwi z zaskoczeniem.

- Dlaczego mielibyśmy mieć taką potrzebę? Jest nas tu naraz mniej niż dwustu. Czy jest w twojej komturii ktoś, kogo nazwiska i stopnia jeszcze nie znasz?

- Nie, oczywiście że nie.

- A czy którykolwiek z nich nie poznałby ciebie lub kogoś z tu obecnych?

De Montrichard zaczął wyglądać na nieco zawiedzionego, a wiceadmirał de Narremat pośpieszył mu na pomoc.

- Myślę, że brat preceptor odnosił się do postępowania w czasie potyczki lub bitwy, sir Williamie. Wyznaję, że to samo przyszło mi do głowy, ponieważ podczas akcji wszyscy wyglądają podobnie. Ludzie muszą potrafić rozpoznać zarówno swojego admirała, jak i dowódcę lądowego.

Will kiwnął głową.

- To słuszna uwaga, sam o tym myślałem. Lecz mówiliśmy tutaj o zwykłych, rutynowych czynnościach, a wtedy nie trzeba szczególnego rozpoznania. Mamy reżim codziennych modłów i rytuałów i samo to wystarczy, aby zachować dyscyplinę, skoro już ją na nowo ustanowiliśmy. Jednak jeśli na Arran dotrze wojna, będziemy się rozpoznać po barwnych łątach i prostych sztandarach. - Ponownie

zerknął na preceptora. - Już się tym zajęliśmy, sir Ryszardzie, przygotowania już trwają, i w ciągu miesiąca wszyscy poznają nasze kolory.

De Montrichard przytaknął, a rozmowa przeszła na bardziej ogólne tematy; pytania zadawali wszyscy, prosząc Willa o wyjaśnienia na temat poruszonych kwestii. W rezultacie godziny mijały szybko, a kiedy towarzysze w końcu zostawili Willa samego, poczuł wielkie zadowolenie. Osiągnął więcej, niż się spodziewał, i nie napotkał sprzeciwu nawet przy omawianiu kwestii, o których wiedział, że będą problematyczne.

Kiedy tylko wyszedł ostatni gość, pojawił się Tam, aby dołożyć do ognia; zerknął na nieotwartą przesyłkę, leżącą na stole, gdzie Will ją zostawił.

- Co to?

- Nie wiem. Nie otworzyłem jeszcze. To część listu od mistrza de Molaya, przeznaczona wyłącznie dla moich oczu.

- To kiedy ją otworzysz?

- Kiedy sobie pójdziesz. Mówiłem ci, jest tylko dla mnie.

- Hmm. Ciekawym, jak by to było być templariuszem bez tajemnic? Ty chyba nie możesz się doczekać, żeby się mnie pozbyć, boś średnio cierpliwy... Niech no tu dokończę i cię zostawiam. Aha, jaki był wyrok?

Will mu powiedział.

- Więc odtąd wszyscy będziemy się gładko golić?

- Nie. Wy, serwienci, wcale nie będziecie musieli zmieniać włosów ani bród, pozwolicie tylko zarosnąć tonsurom. Ale rycerze przytną swoje słynne rozwidłone brody. Będziemy musieli też schować wszelkie ślady świadczące o tym, że jesteście templariuszami.

Tam mruknął, wciskając ostatnie kłody do ognia ciężkim butem, i otrzepał dłonie.

- No, ciekawym, co to zmieni.

- To, kim jesteśmy, nie zmieni się prawie wcale, Tam. Ale powinno to z odległości oszukać oczy przygodnego gapia. Nie chcemy się schować, lecz chcemy schować swoją tożsamość, jak dobrze wiesz. A teraz zmykaj i zostaw mnie.

Tam skinął przyjaźnie głową, a wychodząc, zamknął za sobą dokładnie drzwi.

Will sięgnął po ciężką, owiniętą sukнем paczkę. Była śliska w do-

tyku, ponieważ całą zanurzono w laku, który utworzył gładką, twardą, lecz kruchą warstwę ochronną. Przez chwilę ważył ją w ręce, zastanawiając się, co zawiera, a potem wyjął sztylet i mocno uderzył ręką w lakową skorupę, która opadła w kawałkach na podłogę. Lak klei się jednak mocno do szorstkich materiałów, a Will musiał nieźle się nabiedzić, żeby wyciągnąć zawartość, w końcu przecinając lak sztyletem.

Na stół spadł zwykły, czarny żelazny klucz, a Will siedział przez chwilę nieruchomo, wlepiając w niego wzrok. Był on smuklejszy niż większość podobnych kluczy, niemal delikatny, długości jego dłoni; zdobiło go jedynie to, że jego rączka kończyła się krzyżem Zakonu. Will przyjrzał mu się ze zmarszczonymi brwiami, a potem zajrzał do zawiniątka i dostrzegł krawędź kawałka pergaminu. Wyciągnął go i rozłożył, a czytając, poczuł dreszcz.

Williamie,

Jeśli zostaniesz moim następcą, być może z jakiegoś powodu będziesz potrzebował dostępu do zawartości kufrów, które posiadasz. Jeden z nich jest mniejszy niż inne, okuty mosiądzem i z jedną zalakowaną kłódką.

Ten klucz jest do niej. Strzeż go dobrze. To skrzynia mistrza, zawiera klucze do wszystkich innych. Otwórz je sam, kiedy będziesz na to gotów, i zobacz potwierdzenie nauk prastarego Zakonu Syjonu, abyś wiedział, jak je chronić, razem czy z osobna, jeśli nadejdzie chwila wielkiej potrzeby. Niech Bóg zachowa Ciebie i nas wszystkich w bezpieczeństwie i zdrowiu.

D.M.

Will opadł ciężko na oparcie krzesła, dopiero teraz zdając sobie sprawę, że powinien był się tego spodziewać, ponieważ nie miało sensu pozwalać mu na przewożenie przesławnego skarbu Zakonu, nie dając mu możliwości otworzenia skrzyń. Lecz sama myśl o tym, że jest to już możliwe, że ma teraz prawo do otwarcia wielkich kufrów i spojżenia na ich legendarną, tak długo owianą tajemnicą zawartość, przyprawiła go o zawrót głowy.

Rozważając to, przypomniał sobie, że sam skarb wciąż znajduje się na pokładzie jednego z okrętów w zatoce Lamlash, czekając, aż znajdą dla niego bezpieczne miejsce. Przykryty płótnem żaglowym, nie był

nawet pod oficjalną strażą, a większość ludzi na pokładzie była tak zajęta, że zdążyła zapomnieć o jego istnieniu. Lecz minął ponad miesiąc i żaden z tych, którym wyznaczono owo zadanie, nie znalazł żadnej dobrej kryjówki. Will zrozumiał teraz z pełną jasnością, że to niedopuszczalne. Kiedy rozmyślał o tym problemie, niespodziewanie przyszła mu do głowy odpowiedź, tak trafna, że aż poczuł na ramionach gęsią skórę. Na Arran nie było dość bezpiecznego miejsca na skarb; z pewnością dało się tu znaleźć kilka wielkich jaskiń i pieczar, lecz były zbyt łatwo dostępne dla kogokolwiek zdecydowanego tam wejść.

Idealne miejsce - i jak Will instynktownie wierzył, jedyne miejsce stworzone dla ich potrzeb - leżało daleko od Arran, w Szkocji, na ziemiach jego ojca koło Roślin, między lesistymi wzgórzami na południowy zachód od Edynburga i daleko od morza. O ile Will wiedział, tylko on i jego bracia - trzech z nich nie widział od lat - świadomi byli istnienia tego miejsca: podziemnej pieczary o wysokim sklepieniu, w którym było jedyne do niej wejście, wąska szczelina odkryta zupełnym przypadkiem wiele lat wcześniej przez starszego brata Willa, Andrzeja, kiedy wpadł przez nią, szukając zabłąkanej strzały. Przez kilka kolejnych lat bracia używali tej wielkiej, ciemnej przestrzeni jako kryjówki, przysięgając trwożliwie, że nikomu o niej nie powiedzą. Will dawno już o niej zapomniał, ponieważ korzystał z niej tylko przez dwa chłopięce lata, i gotów był się założyć, że jego bracia też o niej nie pamiętają. Lecz teraz wyraźnie pojawiło się w jego myślach to jedyne, wąskie wejście, czarne rozcięcie w płaskiej ziemi u stóp wzgórza, niewidoczne pod bujną masą starych, ciernistych krzaków.

Wiedział, że wejście będzie trzeba powiększyć, ponieważ ledwie mieścili się w nim mali chłopcy; było to pęknięcie w litej skale, lecz nie poświęcił tej trudności wiele uwagi. Bracia Zakonu budowali fortece i budynki rozmiarów pałaców od ponad stu lat, używając matematycznych i geometrycznych metod odziedziczonych za pośrednictwem Bractwa Syjonu od architektów starożytnego Egiptu. W rezultacie kamieniarstwo - największa ze sztuk budowniczych, zarówno w przeszłości, jak i w czasach współczesnych - stało się zaszczytnym rzemiosłem wśród rycerzy Zakonu, którzy nazywali swoją wiedzę świętą geometrią. We własnym kręgu w Bractwie Will znał około dwudziestu mistrzów kamieniarstwa, a pięciu z nich znajdowało się

teraz pod jego dowództwem. Wiedział, że zadanie poszerzenia wejścia, a potem jego całkowitego ukrycia będzie dla nich proste.

Poczuł, że z podekscytowania przewraca mu się w brzuchu, ponieważ wiedział, iż jako kryjówka dla skarbu pieczara ta będzie idealna, bezpieczniejsza i bardziej ukryta nawet niż jaskinia w lesie w Fontainebleau, gdzie skrzynie leżały przez dziesiątki lat.

Postanowił, że teraz jego priorytetem musi być bezpieczne przewiezienie skarbu na ziemię ojca i jego właściwe ukrycie. Myśl o tym, że po tylu latach znów zobaczy Roślin i ukochane twarze ojca, rodzeństwa i gromadki ich dzieci, poderwała go na nogi; zaczął chodzić po komnacie, już układając w myśli listę tych, którzy z nim pojedą.

-Tam! - ryknął, a drzwi otworzyły się chwilę później, ukazując jego krewniaka, który przybiegł z obłędem w oczach na pilne wezwanie Willa.

— Co? Co się stało?

- Nic się nie stało, bracie serwencie! Uprzedzam cię jedynie z góry: oporządź się, spróbuj wyglądać przyzwoicie i zacznij ćwiczyć maniery. W ciągu tygodnia ruszamy do domu, do Roślin!

JN następne dni robiły wrażenie zbyt krótkich jak na wszystko, co trzeba było załatwić; jednym z priorytetów był transport z wyspy na stały ląd. Will miał do własnej dyspozycji galerę dowodzoną przez de Narremata, lecz postanowił wziąć ze sobą też statek towarowy, taki, na którym jeden z pokładów był podzielony przepierzeniami dla żywego inwentarza. Chciał wziąć ze sobą dwudziestu zaufanych ludzi, dziesięciu rycerzy i dziesięciu serwientów, a wszyscy oni potrzebowali koni. Ograniczył się do czterech zapasowych wierzchowców, lecz musiał też zabrać cztery konie pociągowe do wozu, którym mieli wieźć skarb, co oznaczało, że na statku zmodyfikowanym tak, aby mieścił trzydzieści sześć zwierząt, miało się ich znaleźć dwadzieścia osiem. Wolną przestrzeń postanowił oddać ludziom, ponieważ na galerze nie dałoby się z łatwością przewieźć zarówno ich wszystkich, jak i wielkich skrzyń, a Will nie chciał zostawiać skarbu na statku, gdzie byłby poza jego zasięgiem i kontrolą.

Drugiego dnia przygotowań odwiedziła Brodick jedna z galer, które użyczyli Angusowi Og MacDonaldowi; przepływała tamtędy podczas rutynowego patrolu jego wód, a Will wykorzystał tę okazję, aby przepytać kapitana na temat najbezpieczniejszej trasy z Arran do Edynburga. Kapitan - weteran o krzaczastej brodzie i brwiach oraz twarzy zniszczonej latami na morzu i porytej zmarszczkami — mówił po szkocku, gaelicku i znał nawet odrobinę francuskiego.

- Miniesz drogę, zielone miejsce - powiedział, a jego miękki akcent z wysp złagodził ostrość języka szkockiego. - Stąd prosto na północ, w górę Firth, a potem na północny wschód, wzdłuż doliny Clyde, tak daleko, aż zatrzymają cię płycizny. Stamtąd do Edynburga

to cztery, pięć dni podróży na solidnym koniu. Mówiłeś, że gdzie jedziesz?

- Do Roślin, do domu mojego ojca.

- Ano... Nigdy nie słyszałem o tym miejscu...

- Nic dziwnego, jest małe i leży daleko od wybrzeża. Ale sam wspomniawszy nazwę, która mi nic nie mówi. Co to za drogic, zielone miejsce? Gdzie jest?

- Och! - Kapitan roześmiał się ze szczerą przyjemnością. - Zapomniałem, żeś nie stąd. To miejsce założone wieki temu przez wielkiego świętego, Kentigerna. Ludzie ze stałego lądu nazywają go świętym Mungo, ale dla nas, wyspiarzy, to Kentigern, a jego miasto na drugim brzegu Firth to Glasgow. Nazwa ta jest gaelicka i składa się z dwóch słów: *glas* i *gow*, czyli drogi i zielony.

- Rozumiem. Czy stacjonują tam Anglicy?

- Nie wiem, unikam tego miejsca. Ale całkiem możliwe. To umocnione miasto z katedrą, więc pewnie uznają, że jest ważne. W każdym razie nie ryzykuj. Trzymaj się północnego brzegu Clyde i z dala od miasta. Dolina rzeki jest gęsto zalesiona i niewielu tam teraz ludzi. Wypuść jeno przed siebie wartę, a powinno być dobrze. Edynburg jest jakie dziewięćdziesiąt mil na wschód. Jeśli chodzi o to miejsce, którego szukasz, nie mogę ci pomóc.

Will podziękował mu i poszedł szukać Mungo MacDowala, któremu powtórzył słowa kapitana. Mungo kiwnął głową i powiedział, że zna tę trasę, ponieważ kilkakrotnie przemierzył ją jako chłopiec ze swoim ojcem.

Następnego dnia, godzinę przed zachodem słońca, wachta na szczycie Brodick Hall doniosła, że z południa zbliżają się żagle. Will poczekał na plaży w zapadającym mroku na dwa okręty wracające z francuskich portów, lecz usłyszał jedynie krótki i zniechęcający raport o tamtejszym stanie rzeczy; na pełną relację musiał poczekać do wieczora, kiedy skończą się wspólne modły i wieczerza. Zaraz po niej opuścił zebranych i zaprowadził kapitanów do swej komnaty.

Trebec - poza godzinami służby wesoły, przyjazny człowiek - pochodził z bretońskiego portu Brest, więc udał się do miast na południe od niego, aż do hiszpańskiej granicy, ponieważ była mniejsza szansa, że ktoś go tam rozpozna i przypomni sobie, iż jest kapitanem floty Zakonu. Drugi kapitan, Ramon Ortega - smagły młodzieniec

z Nawarry w Hiszpanii - odwiedził północne porty, począwszy od samego La Rochelle, gdzie nikt go nie znał, po Brest i Cherbourg aż do Dieppe. Zatrzymywał się w każdym z nich i wysyłał zaufanych ludzi na zwiady.

Obaj zdali raporty z poważnymi minami, a słuchając ich, Will chodził po pokoju, zbyt napięty, aby usiedzieć w miejscu. Zgodnie z pierwszym ostrzeżeniem, które otrzymał de Molay, wyglądało na to, że w wyznaczony dzień w październiku każdy wysoki stopniem przedstawiciel Zakonu został aresztowany i wtrącony do lochu, aby czekać na przesłuchanie przez inkwizycję, ponurych dominikanów, którzy sami siebie zwali *Domini canes*- psami Pańskimi. Ich całkowite oddanie absolutnej świętości chrześcijańskich dogmatów od stu lat szerzyło przerażenie wśród zwykłych chrześcijan i utrzymywało ich w stanie służalczego poddaństwa spowodowanego strachem przed śmiercią w ogniu czy podczas tortur. Obaj kapitanowie mogli potwierdzić, że inkwizytorzy brali udział w owych wydarzeniach; świadczyło o tym wiele źródeł. W tawernach na całym francuskim wybrzeżu rozmawiano wyłącznie o uwięzieniu templariuszy i spekulowano, co dzieje się z nimi za posępnymi murami królewskich więzień.

Will słuchał raportów z rosnącym gniewem i frustracją, marszcząc czoło coraz bardziej, aż nie mógł już tego ścierpieć i uniósł gwałtownie dłoń, uciszając obu mężczyzn.

- No dobrze - warknął. — Widać, że nie brak wiadomości. Ale gdzie ich sens? Gdzie sedno sprawy? Czym innym jest wykonać taki zamach, lecz czymś zupełnie innym jest utrzymywanie tej sytuacji bez solidnych dowodów. O co nasi ludzie są oskarżani? Tego mi nie powiedzieliście.

Kapitanowie zaczęli wiercić się na krzesłach, nie patrząc mu w oczy.

- No już, mówcie. Na pewno słyszeliście coś o zarzutach i mogę się założyć, że chodzi o jakiegoś rodzaju herezję. Co zatem? Apostazja? Lichwa? Obie te rzeczy by mnie nie zdziwiły, choć są niedorzeczne, a sama lichwa nie uzasadnia aż tak złej woli. Co jeszcze?

Trebec zerknął na Ortegę, który odwzajemnił spojrzenie i wzruszył ramionami, jakby bezradnie, a starszy mężczyzna nabrał głęboko tchu i wyprostował plecy, po czym spojrzał Willowi prosto w oczy.

- To nie koniec, sir Williamie.

- A zatem powiedz mi, kapitanie. Nie jestem wróżbitą.

Twarz marynarza była pozbawiona wyrazu, a jego głos monotony.

- Czarna magia i czczenie Szatana. Występki wobec Boga i Kościoła. Pederastia. Bluźniercze ceremonie wiążące się z obscenicznymi pocałunkami i aktami między mężczyznami, stanowiące część rytuałów oraz inicjacji zakonnej. Przysięgi przeciwko Bogu, potwierdzające dominację Szatana... Rada Zakonu i jego rycerze są oskarżani o kult bożka, z mumifikowanej głowy zwanej Baphometem, pomiotu Szatana, danej im, aby ją czcili na znak jego władzy i starannie przechowywanej w tajemnych kryptach Zakonu. Wszystko to i wiele innych rzeczy, o których nie mam ochoty wspominać. - Opuścił wzrok, patrząc w stół. - Okaleczenia i potworne grzechy wobec kobiet... Lu dożerze rytuały wiążące się z ofiarami z noworodków i jedzeniem ich ciał. - Nabrał tchu. - Zdaje się, sir Williamie, że nie ma ciężkiego lub śmiertelnego grzechu czy możliwej do wyobrażenia zbrodni, o którą by nas nie oskarżono. A inkwizytorzy nawet teraz wyciągają torturami zeznania z udręczonych ludzi w całej Francji.

Will stał jak rażony piorunem, blady, po czym na oślep sięgnął po swoje krzesło i opadł na nie, kręcąc głową, milcząco przecząc temu, co słyszał. Kapitanowie już się nie odezwali, tylko patrzyli na niego szeroko rozwartymi oczami i czekali, aż pozbiera myśli.

— Niech ich wszystkich Bóg pokarze - powiedział w końcu ledwie dosłyszalnym głosem. - To hańba wykraczająca poza zdolność pojmowania zwykłych ludzi. Niech Bóg ich ześle do najgłębszych, najciemniejszych kręgów piekieł. Niech Bóg przeklnie ich podłe, małostkowe, żalosne, zachłanne dusze... Chciwy król, słaby papież i bezmyślni, brutalni sługusi: solidni, modlący się chrześcijanie, co do jednego... - Znów zamilkł, jego twarz przybierała coraz chmurniejszy wyraz, a cisza przedłużała się, aż wyprostował plecy, pomrukując z gniewu i odrazy. - Pomyślę o tym i zdecyduję, co musimy zrobić... Lecz mimo to wciąż nie wiemy wszystkiego. Czekamy jeszcze na powrót dwóch okrętów z wybrzeża Morza Śródziemnego, choć wątpię, aby przywiozły lepsze wieści. Powiedzcie, czy wysadziliście Saint Thomasa i d'Umfraville'a bez trudności?

Trebec kiwnął głową.

-Tak, u wybrzeża Bordeaux. Mieli podążyć prosto do Aix-en-Provence, a potem na południe, do Marsylii, gdzie miał ich odebrać Charlot de Navarre. Czasu było dość, ponieważ pogoda była burzo-

wa, a de Navarre musiał pożeglować na południe i opłynąć Gibraltar, aby trafić do Marsylii. Wszystko powinno być w porządku.

Will kiwnął głową, zachowując swoje myśli dla siebie. Zarówno Marcel de Saint Thomas, jak i Aleksander d'Umfiraville należeli do Zakonu Syjonu i mieli przywieźć wiadomości oraz instrukcje z tajemnej siedziby bractwa w Aix; Will spodziewał się, że dostarczą mu dokładniejszego wglądu w sprawę niż zebrane wrażenia marynarzy. Drżał z niecierpliwości, aby je otrzymać.

- Jak myślicie, kiedy możemy się spodziewać pozostałych? Żaden ze mnie żeglarz, więc nie wiem nic o wiatrach i długościach podróży.

Ortega wzruszył ramieniem.

- Najszybciej za tydzień lub dziesięć dni... a pewnie i dwa razy później. Są na łasce wiatrów i pogody, które o tej porze roku im nie sprzyjają, szczególnie na południu Zatoki Biskajskiej. Oczekiwałbym ich za miesiąc.

- Tak późno? - Will nie krył rozczarowania, lecz postanowił obrać inną taktykę. - No cóż, kiedy o tym myślę, może to dobrze. Jutro wyjeżdżamy do Szkocji i nie będzie nas przez dwa, trzy tygodnie. W sam raz. - Chwycił oparcie swojego krzesła i podniósł się, kiwając głową obu kapitanom. - Dziękuję, bracia, za raporty. Dobrze się spisaliście. Teraz muszę prosić was, abyście zachowali tę wiedzę dla siebie, dopóki nie znajdę sposobu na przekazanie jej wszystkim braciom jednocześnie. Tymczasem jestem pewien, że macie własne sprawy, którymi musicie się zająć. Jesteście wolni.

Jaskinie Roślin

1

Jelenie zaczęły się pasć w sięgających kolan krzakach przed świtem, niepomne na szarość coraz silniejszego światła i nieustającą mżawkę, chłodny styczniowy deszczyk, który zdawał się sączyć z chmur wiszących tuż nad szczytami drzew. Za stadem trawiasta, usiana krzakami łąka opadała łagodnie w stronę wezbranego deszczem strumienia, a nad nim - niecałe dziesięć susów dalej - zbocze wzgórza porastał las, który kończył się prostą linią tworzącą granicę ich żerowiska. Nieruchome powietrze wypełniały odgłosy wody, bulgot strumyka mieszający się z bębnieniem deszczu o liście, a przyzwyczajone do spokoju stado pasło się z zadowoleniem, bezpieczne w czujnej obecności rogatego samca. Lecz potem rozległ się w oddali inny odgłos, a po nim łopot skrzydeł, kiedy stadko przestraszonych cietrzewi wystrzeliło w powietrze ze skraju lasu, a cała scena zmieniła się w mgnieniu oka. Samiec podniósł głowę, a jego niepokój przeniósł się na resztę małego stada, które też nastawiło uszu, po czym zamarło. Samiec stał bez ruchu, wlepiając wzrok w drzewa, a jego lęk zdradzały tylko drgające uszy. Odgłos się powtórzył, tym razem bliżej, a on odwrócił się i odbiegł z całą swoją rodziną, tak że w mgnieniu oka łąka opustoszała. Obce dźwięki zbliżały się, już rozpoznawalne - gdyby był tam ktoś, kto by je słyszał - jako metaliczny brzęk uprzęży, któremu towarzyszyło głucho dudnienie ciężkich kopyt po wilgotnej, miękkiej ziemi. Potem gałęzie na skraju lasu się poruszyły i pojawili się trzej ludzie na koniach, od stóp do głów owinięci ciężkimi pelerynami z mocno woskowanej, zielonkawo-brązowej wełny. Zatrzymali się zaraz za drzewami, przyglądając się łące, aż - na ustalony sygnał - jeden z nich wstał w strzemionach, wsunął dwa palce do ust, okręcił się

i gwizdnął krótko i głośno w stronę drzew. Jego towarzysze podeszli trochę do przodu, aby zrobić miejsce szeregowi ludzi i koni, który wyłonił się za nimi z lasu.

Kiedy wszyscy już się zebrali, Will Sinclair poprosił o uwagę.

- No cóż, bracia - zaczął. - Witajcie w Roślin. Słońce może nie świeci tu tak jasno jak we Francji, a powietrze jest znacznie zimniejsze, lecz miejsce to ma sporo zalet. Mieszkałem tu w dzieciństwie przez wiele lat wraz z moim obecnym tu bratem Kennethem i nie mogę wyrazić, jak miło jest znów je widzieć. Dom mego ojca leży niecałą milę stąd, na skalistym pagórku nad brzegiem tamtej rzeki. Jeszcze go nie widać, lecz zaręczam, jest tam i wszyscy będziecie w nim mile widziani, a dziś wieczorem czeka na was solidny dach nad głową, ciepłe posłanie i smaczna, gorąca strawa. Będzie to miła odmiana po wikcie i kwaterunku, których zazналиśmy przez te ostatnie dziewięć dni. Powiodłem was przez las, ponieważ znam tę trasę i wiedziałem, że gdyby w okolicy byli angielscy żołnierze, najprawdopodobniej rozbiliby obóz na łące. To jedyne miejsce w promieniu wielu mil, które się do tego nadaje.

Rozejrzył się, a potem ciągnął:

- Jest spokojnie; miałem nadzieję, że tak będzie. Muszę was jednak uprzedzić, abyście pamiętali, że jesteśmy na tajnej misji i trzeba trzymać języki za zębami. Nikt nie będzie was tu wypytywał, bo tu tejsi to zwykli wieśniacy. Ta dolina i lasy są ich całym światem i nie wiedzą o niczym, co dzieje się dalej niż dzień drogi od domu. Ale to ludzie, a zatem są ciekawscy i mogą zadawać jakieś pytania. Jeśli tak, odpowiadajcie prosto i nie mówcie nic, co sprowokowałoby kolejne pytania. Jesteśmy wojami z misją od króla Roberta, tutaj nie jesteśmy mnichami. Nie będzie wspólnych modłów ani mszy. Zrozumiano? — Potoczył po nich wzrokiem, czekając, aż każdy kiwnie głową, po czym sam przytaknął. - Niech tak się stanie.

Odwrócił się do Tama Sinclaira.

- Weź ośmiu ludzi i wracajcie do stodoły, w której ukryliśmy wóz, a potem przywieź go główną drogą do domu. Będziemy na was czekać. Reszta, za nami.

Znów podzielili się na dwie grupy: Tam zawiódł Mungo i siedmiu innych serwientów z powrotem do lasu, podczas gdy Will wraz z jedenastoma rycerzami - zaliczał się do nich Kenneth - pojechał w dół

łąki, skręcając nad brzegiem wezbranej, hałaśliwej rzeczki, szerokiej na niecałe piętnaście kroków, o wąskim, skalistym korycie. Kenneth i Will jechali na czele, reszta parami za nimi; Will gwizdał pod nosem, fałszując, a Kenneth rozglądał się, *chłonąc znajome szczegóły* wiejskiego otoczenia. Zbliżali się do domu. Kiedy byli mniej więcej w połowie drogi, przy zakręcie rzeki, który obaj pamiętali z dzieciństwa, Kenneth zerknął za siebie, aby się upewnić, że nikt ich nie podsłucha, i powiedział swobodnym tonem:

- Nie możesz mówić o tych dwóch listach, które dostałeś z Francji rankiem, kiedy wyjeżdżaliśmy, co? Szkoda.

Will spojrział na niego z zaskoczeniem.

- Dlaczego tak mówisz?

Jego brat wzruszył ramionami, szczerząc zęby.

- Boś zasepiony. Gwiżdżesz tak tylko wtedy, kiedy jesteś zły i zmieszany, kiedy rozmyślasz nad jakimś problemem. Robisz to od czasu, kiedy opuściliśmy Arran, więc na pewno to z powodu tych listów, bo przedtem wszystko było w porządku. Co powiesz ojcu?

- O sytuacji we Francji? Wszystko.

- Chyba wszystko, co możesz mu powiedzieć. Wspomnisz o skarbie?

- Ano, ale tylko jemu. Ojciec nikomu nic nie powie, lecz mam wątpliwości co do innych. Skarb to skarb, a ten, który mamy ze sobą, jest legendarny. Nie dałoby się powstrzymać ludzi od mówienia o nim. Poza tym gdyby nie wiedział, o co nam chodzi, mielibyśmy wielki problem z dokonaniem tego, co planujemy. Nie zapominaj, musimy otworzyć wejście do pieczary, a potem je szczelnie zamknąć. Bardzo nie chciałbym robić tego na jego ziemi bez jego wiedzy. W istocie sądzę, że nie moglibyśmy tego zrobić, nie budząc jego podejrzeń, a potem nastąpiłyby niezręczne pytania... Gwiżdżę, kiedy jestem zdenerwowany? Nie byłem tego świadom.

- Wiem. - Kenneth uśmiechnął się jeszcze szerzej. — Dlatego to robisz, i to od zawsze, nawet za naszych lat chłopięcych, i nigdy o tym nie wspomniałem, ponieważ czasem oszczędzało mi to lania... Myślisz, że Tam będzie w stanie przyjechać z wozem, nie prowokując pytań?

- Oczywiście, jeśli zrobi to otwarcie. Ludzie uznają, że na wozie jest nasz ekwipunek, co jest prawdą. Skrzynie są dobrze przykryte i przywiązane. Nikt nie zajrzy pod brezent, a jutro przeniesiemy skarb do kryjówki.

— Jeśli tak mówisz, bracie... Ty tu rządzisz. - Kenneth wstał w strzemiionach i zerknął w dal, gdzie ścieżka zakręcała wraz z rzeką. - Jesteśmy prawie na miejscu i znów czuję się jak mały chłopiec. Pojadę przodem i zawiadomię ich, że nadjeżdżamy. Ciekawe, czy Peggy jest w domu. Ojciec nie będzie się posiadał z radości. Przygotuję tam ludzi na to, żeby się wami zajęli.

Spiął konia i ruszył galopem, a Will z uśmiechem patrzył, jak znika za zakrętem, żałując jednocześnie, że nie może całkowicie wtajemniczyć ojca i brata. Jego ojciec o Zakonie Świątyni wiedział niewiele poza tym, że służą w nim dwaj jego synowie, i ani on, ani Kenneth nie mieli pojęcia o istnieniu innego, znacznie starszego Zakonu Syjonu.

Mruknął i odwrócił się w siodle, aby się upewnić, czy kolumna za nim jedzie we właściwym szyku, ponieważ za chwilę mieli się znaleźć w zasięgu wzroku od domu jego ojca. Wszystko było jak należy, ale i tak dał ręką sygnał, aby ludzie ustawili się ciasniej, po czym wrócił do rozmyślań na temat tego, co spowodowało, że gwizdał. Rankiem w dniu ich wyjazdu wrócił jeden z dwóch okrętów wysłanych na Morze Śródziemne; zostawił towarzysza, a sam pospieszył na Arran z wielką przesyłką zawierającą pisemne raporty dla Willa z siedziby Zakonu Syjonu w Aix-en-Provence. Podczas podróży do Szkocji i przy każdej okazji, jaka pojawiła się od chwili przybycia na miejsce, Will spędził wiele godzin zatopiony w lekturze tych dokumentów; wiadomości, które zawierały, były więcej niż niepokojące, choć i tak nie spodziewał się niczego dobrego.

Jacques'a de Molaya i kilku jego najbliższych doradców z Rady przetrzymywano w areszcie w Paryżu i poddano przesłuchaniom prowadzonym przez funkcjonariuszy inkwizycji, a w jednym z pism było związane doniesienie - zdobyte przez brata Zakonu Syjonu na paryskim dworze króla - że mistrz został postawiony w stan oskarżenia, podobno przyznawszy się do kilku głównych zarzutów i do swojej winy. Willa skręcało za każdym razem, kiedy o tym myślał, ponieważ mógł jedynie zgadywać, do jakich potworności i podłych tortur trzeba było się uciec, aby doprowadzić mistrza Zakonu do stanu, w którym przyznałby się do tak nieuzasadnionych zarzutów. W komentarzu do raportu seigneur Antoni de Saint Omer - seneszał Zakonu Syjonu i potomek w linii prostej Godfryda Saint Omera, jednego z siedmiu założycieli Zakonu Świątyni - zamieścił słowa pociechy, zauważając,

że nie narodził się jeszcze człowiek, który potrafiłby wytrzymać mę-
czarnie Świętej Inkwizycji, począwszy od przypalania rozżarzonymi
węglami, rozciągania na kole, aż pękały stawy, łamania kości, a koń-
cząc na zanurzaniu ludzi w kadziach z wodą do chwili, kiedy prawie się
już topili, po czym wyciąganiu ich i przywracaniu do zmysłów oraz
miażdżeniu kończyn śrubami; zabiegi te zmieniały się nieskończenie z
dnia na dzień. Takimi instrumentami posługiwali się inkwizytorzy,
narzędzia chrześcijańskiego Boga w walce z herezją. Przeczytawszy tę
litanie po raz pierwszy, Will zwymiotował, a od tej chwili nie opu-
szczała go chora fascynacja, jeśli bowiem można było takimi środkami
złamać potężnego człowieka w rodzaju de Molaya, jaką szansę na łaskę
czy wybawienie miała jakakolwiek inna nieszczęsna, oskarżona dusza?

Zobaczył dach domu ojca nad drzewami otaczającymi pagórek, na
którym został zbudowany, i otrząsnął się z obrazów tłoczących się w
jego głowie. Usłyszał przed sobą zgiełk podnieconych głosów, uniósł
pięść do góry i pognął cwałem.

Co masz zamiar teraz zrobić?

Sir Aleksander Sinclair z Roślin siedział w milczeniu przez ponad godzinę, kiedy jego synowie opowiadali mu o niedawnych wydarzeniach we Francji i na Arran, a teraz odezwał się do Willa. Było późno w nocy; po wspólnej wieczerzy zaprowadził ich prosto z głównej sali do komnaty sypialnej, którą dzielił z matką braci jeszcze przed ich narodzeniem. Było to wielkie pomieszczenie z wygodnymi krzesłami i potężnym kamiennym kominkiem. Płonący w nim ogień zdążył się prawie wypalić od chwili ich przybycia.

Will nie odpowiedział na pytanie, patrząc na ojca i oceniając zmiany, które w nim zaszły. W wieku sześćdziesięciu ośmiu lat sir Aleksander wciąż był potężnym mężczyzną, nadal szerokim w ramionach i wyprostowanym, lecz bardzo się postarzał: jego broda była siwa, a gęste, długie włosy tworzyły dookoła głowy szpakowaty nimb. Jego żona zmarła dziesięć lat wcześniej na nagłą chorobę, która odebrała ją mężowi, zanim zdążył przyzwyczać się do myśli, iż może umrzeć, a strata ta go zdruzgotała, pozbawiając jego rosłą posturę znacznej masy mięśni. Umysł jednak nie ucierpiał, a błękitne oczy były tak samo żywe, jak je Will zapamiętał.

Teraz pokręcił głową.

- Tego nie mogę rzec, ojcze.

- Dlaczego? Nie możesz czy nie chcesz powiedzieć? Niewielu z Zakonu zostało w kraju, poza twoimi ludźmi, lecz trochę ich jest... Na przykład sir Alan Moray, sir Robert Randolph i około dwudziestu innych. Być może zaniedbali wasze rytuały i zakonne ceremonie, ponieważ od ponad dziesięciu lat toczymy wojnę, a większość duchownych

Zakonu już dawno wróciła do Anglii. Lecz jeśli ich wezwiesz, połączą z tobą siły, ponieważ **nie** wiedzą nic na temat tego francuskiego bagna zdrady, a śmiem rzec, iż z chęcią przywitają prawdziwego przywódcę po tym, jak tak długo obywali się bez niego. A zatem, synu: nie możesz czy nie chcesz powiedzieć?

- Nie mogę, ponieważ po prostu nie wiem. Lecz potrzeba wiedzy trawi mnie bez przerwy.

- Ano, przynajmniej to jest jak należy. Reszta przyjdzie ci sama do głowy. Po tym, co mi powiedziałeś, nie dziwię się, że jesteś niezdecydowany: zewsząd otacza cię zdrada, ze strony każdego przełożonego, który powinien cię wspierać. Musisz wszystko przemyśleć, i to z punktu widzenia, którego mogłeś w ogóle nie brać pod uwagę, zanim to wszystko się wydarzyło... Niewiele wiem o Zakonie, lecz jeśli mogę jakoś pomóc, musisz tylko rzec słowo. Wiesz przecież.

- Wiem, i dziękuję ci za to. Lecz jest...

- Co stało się ze skarbem? - przerwał mu ojciec. - Mam nadzieję, że był dobrze ukryty, ponieważ myśl, że Filip mógłby go przejąć, nie jest miła. Znalazł go?

Will zerknął na brata, który wytrzeszczył oczy i rozdziawił usta ze zdumienia, i wbrew własnej woli musiał się uśmiechnąć.

-Właśnie miałem to powiedzieć, ojczu - odparł. - Skarb był dobrze schowany, a psy Filipa go nie znalazły. - Kiwnął głową w stronę brata. - Kenneth pierwszy dotarł do kryjówki głęboko w lesie Fontainebleau i bezpiecznie go stamtąd wywiózł. Jest teraz w twojej stodole.

Teraz to jego ojciec otworzył szeroko oczy.

- Skarb jest tutaj? Skarb Zakonu w Roślin? To niewiarygodne. Większość ludzi wątpi w samo jego istnienie.

- Istnieje on z całą pewnością, ojczu, wierz mi. Pokażę ci go jutro, lecz obawiam się, że tylko zamknięte skrzynie. Nigdy nie widziałem otwartych. Ich zawartość jest bezcenna, to najpilniej strzeżona tajemnica naszego Zakonu. Tylko wielki mistrz może wiedzieć, co to jest. Jego dwaj zastępcy mają dostęp do kluczy, lecz nawet im nie wolno zaglądać do kufrów, dopóki jeden z nich sam nie stanie się mistrzem.

- I zostawiłeś te skrzynie w stodole?

Will się roześmiał.

- Dlaczego nie? Nic się im tam nie stanie. Przez dziesięć lat leżały

bez opieki w pieczarze we Francji, a potem były bezpiecznie zasztutowane w ładowniach okrętów. Przetrwają noc w stodole, aż znajdziemy bezpieczne miejsce, w którym schowamy je na jakiś czas.

Sir Aleksander zdążył już wyjść z szoku i teraz na jego twarzy pojawiło się zamyślenie.

- Co planujesz z nim zrobić? Wiem, że chcesz go ukryć, lecz dlaczego w ogóle go tu przywiozłeś?

- Ponieważ chcemy go ukryć tutaj za twoją zgodą. - Nie zważając na uniesioną brew ojca, Will opowiedział mu szybko o jaskini, którą odkrył wraz z braćmi w dzieciństwie, a starszy mężczyzna zachichotał pod nosem z błyskiem w oku.

- Dobrze ją znam - rzekł. - Bawiłem się w niej z moimi braćmi i przyjaciółmi. Jest tam dość miejsca, aby ukryć spory skarb. Lecz jak wielkie są te skrzynie? Nie wsadzisz ich tam, jeśli są zbyt duże. - Sir Aleksander urwał z dziwnym wyrazem twarzy, a Will wiedział, że na jego własnej maluje się zaskoczenie, ponieważ ojciec znów się roześmiał. - Nie sądziłeś, że wiem o tym miejscu! Williamie, ta jaskinia jest tam od zarania czasu, od dni znacznie poprzedzających pojawienie się w Roślin pierwszych Sinclairów. Trzymałeś wiedzę o jej istnieniu w tajemnicy, sądząc, że jest wyłącznie wasza; lecz w swoim czasie i my tak myśleliśmy. Zdziwiłoby mnie, gdyby któreś pokolenie chłopców z rodu Sinclair uważało inaczej.

Siwy mężczyzna znów zachichotał, lecz tym razem cicho, jakby do siebie.

- W młodości wszyscy się łudzimy - ciągnął. - Tak samo jest z płodzeniem dzieci i radościami z nim związanymi... Każda młoda para sądzi, że odkryła ponadczasowy sekret, wyjawiony tylko jej. No cóż. Taki jest cud młodości i uczenia się.

Will siedział nieruchomo, mrugając tylko, i nie wiedział, jak zareagować na tą niespotykaną chwilę człowieczeństwa i omyłności jego szacownego przodka; nagle zrozumiał, że bez względu na to, czy będzie już siwy lub wysoko postawiony, sir Aleksander zawsze może mu pokazać, gdzie jest jego miejsce, i ponownie sprawić, że poczuje się jak dziecko. Wrażenie to narastało, aż zauważył pierwsze ślady paniki. Kaszlnął i spróbował się opanować, by wrócić do meritum.

-Ano... Oczywiście... Ale dlatego potrzebujemy twojego pozwolenia, ojczu, a także pomocy. Wielu ludzi, którzy są tu ze mną, to

utalentowani kamieniarze, a dwaj są architektami. Łatwo można powiększyć wejście i ponownie je zabezpieczyć, kiedy skarb znajdzie się już w środku. Będzie tam więcej niż bezpieczny, ponieważ w całej Szkocji tylko ty będziesz wiedział, gdzie jest schowany... Czyż nie? Tylko ty wiesz o jaskini?

Sinclair senior się uśmiechnął.

- Sądzę, że tak... Lecz za moich lat chłopięcych znało ją wielu. Gdyby jednak dzisiaj ktokolwiek wrócił, aby jej poszukać, po tym jak twoi ludzie skończą już pracę, nie zmartwi się, jeśli jej nie znajdzie... Ale nie wyjaśniłeś, dlaczego potrzebujesz mojej pomocy. Wydaje mi się, że tak nie jest.

- Och, ojcze, wręcz przeciwnie. Chcielibyśmy, abyś się upewnił, że nikt z twoich ludzi nie przyjdzie się przyglądać z próżnej ciekawości, chcąc się dowiedzieć, co też porabiamy w lesie.

- Ano. To proste. Nikt się do was nie zbliży; o to mogę zadbać. Kiedy tylko zacznie świtać, każ swoim ludziom wnieść tutaj skrzynie. Mogą stać w tamtym kącie i nikt nawet nie spojrzy. Czy mam zrobić coś jeszcze?

- Nie, ojcze, to wszystko.

- Dobrze, powiedz mi więc coś o tym naszym królu. Jak go odebrałeś? Kenneth, co o nim myślisz?

- Nie poznałem go, ojcze. To Will go spotkał i z nim rozmawiał.

Will wzruszył ramionami.

- Zrobił na mnie wrażenie... majestatycznego. W kontaktach ze mną zachowywał się szczerze, szlachetnie, wspaniałomyślnie i skromnie. Bardzo go polubiłem. - Sir Aleksander mruknął pod nosem, a Will zerknął na niego uważnie. - Zdaje się, że nie jesteś zachwycony, ojcze. Nie zgadzasz się z moją oceną? - Jego głos był cichy i wyrażał jedynie ciekawość, nie urazę.

- Nie, chłopcze. Wierzę ci, lecz dopóki nie usłyszałem twoich słów, byłem skłonny wątpić w takie rzeczy. Znałem go, gdy był młody, i nie podobało mi się jego zachowanie. Był wtedy fanfaronowatym lordziątkiem, faworytem Plantageneta, myślącym wyłącznie o szatach, polowaniach, hazardzie i kobietach... Nie uważałem go za dobry materiał na króla. Mój ojciec wspierał jego dziada, starego Roberta Bruce'a, więc i ja byłem uznawany za jego popiecznika, podobnie jak reszta

naszej rodziny. Lecz jego ojciec, Robert Bruce Starszy, był ponurym i nieprzyjaznym człowiekiem; nawet syn unikał jego towarzystwa, woląc spędzać czas z ludźmi Plantagenetów. Wyglądało na to, że ojciec nie ma nic przeciwko temu, myśląc pewnie, że chłopiec może i jest nicponiem, lecz przynajmniej ma dojście do angielskiego króla i jego patronat... O ile to było coś warte. Lecz z tego, co słyszałem i z twoich słów wynika, zdaje się, że lordziątko dobrze wyrosło, z hrabiego Carrick na króla Szkocji, i że ci, którzy go dziś znają, mają o nim dobre zdanie. Ufasz mu więc?

-Tak, ojczu. Nie musiał okazywać szczodrości nam, proszącym o pomoc w chwili, kiedy jego samego nękały różne kłopoty. Był ujmujący i ma w sobie wielką, lecz nienarzucającą się godność... Mówiłem, że jest majestatyczny, i mówiłem to poważnie. Robert jest królem nie tylko z nazwy.

- A zatem uwierzę ci na słowo i nie będę już o nim źle myślał. A skoro już o tym mowa, słyszałem, że zachorował i jego brat Edward... ten to jest zapalczywy... trzyma go pod strażą koło Inverurie. To tylko pogłoska, nie mam dowodów. Wiesz, jak ludzie gadają: nie mają pojęcia o niczym, lecz udają, że wszystkie rozumy pozjadali. - Sir Aleksander wstał i podszedł do kominka, gdzie podniósł długą, wąską kłodę i pogrzebał nią w węglach, po czym włożył ją w żar i dodał jeszcze kilka. Stał tak przez długą chwilę, plecami do synów, patrząc w płonący na nowo ogień, po czym odezwał się:

- Jak ochronisz swoją uciekającą gromadkę? I na jak długo?

Will ze zmartwieniem myślał o chorobie Bruce'a i zdał sobie sprawę, że zgubił wątek. Spojrzał na brata zdumionym wzrokiem, lecz Kenneth odwzajemnił się tym samym.

- Nie rozumiem, ojczu. Co masz na myśli?

Starzec odwrócił się do nich, zerkając to na jednego, to na drugiego, a potem rzekł do Willa:

- Mówisz, że zostałeś mistrzem w Szkocji... Mistrzem czego?

- Zakonu Świątyni, mówiłem...

- Wiem, co mówiłeś, Williamie, lecz teraz proszę cię, abyś pomyślał, co to za sobą pociąga. Jeśli ziszczą się twoje największe obawy, a wygląda na to, że tak się stanie, Zakon jest skończony w świetle chrześcijańskim. Głowy już nie ma, a bez głowy gęś pobiega chwilę dookoła, machając skrzydłami, a potem padnie.

Uniósł rękę, aby stłumić protesty, choć jego synowie nie odpowiedzieli.

- A zatem w całym świecie chrześcijańskim twoja tutejsza placówka, mały, dwuosobowy oddział, będzie jedynym archiwum historii i tradycji waszego Zakonu. Twoim obowiązkiem jako mistrza, Willia mie, i twoim, Kenneth, jako jego brata, jest chronić to i pielęgnować: rycerzy i serwientów, historię i tradycje, gotowość i siłę. Lecz jak długo możecie utrzymać Zakon przy życiu? Gdzie znajdziecie rekrutów, jeśli zostanie on zlikwidowany? Odtąd żadnego człowieka, którego stracie, nie będzie można zastąpić. Nawet gdybyście mieli czas, nie możecie spłodzić synów, aby uzupełnili wasze zastępy, ponieważ wszyscy jesteście mnichami. Myśleliście o tym?

Will wlepił wzrok w sir Aleksandra.

- Nie, ojczu. Ale masz rację, a myśl ta mnie przeraża. - Jeszcze przez chwilę siedział nieruchomo, patrząc ojcu w oczy, a potem dodał: - Chyba chcesz coś jeszcze powiedzieć na ten temat...

- Mam pomysł, pewną sugestię, nic więcej. Lecz może cię ona urazić. Jak wielką masz władzę jako mistrz?

Will był zdziwiony pytaniem.

- Tutaj, w Szkocji, całkowitą.

- Lecz decyzje twoje może uchylić rada, czyż nie?

- Zgadza się.

- A jeśli rada już nigdy nic nie uradzi? Jak sam przyznajesz, może się tak zdarzyć.

-Tak, może, lecz niech Bóg broni. Jednak jeśli się okaże, że tak będzie, mistrz de Molay już własną ręką spisał moje obowiązki. Stanę się wielkim mistrzem całego Zakonu... czyli, być może, tylko moich dwustu ludzi.

- A zatem zwolnij ich ze ślubów.

- Co? Nie mogę tego zrobić, ojczu. Sama myśl o tym jest niedorzeczna. Nie mam takiej władzy. A poza tym...

- Kto zatem ją ma? Papież?

- No cóż, tak.

-Ten sam papież, który kazał inkwizycji torturami wyciągnąć z waszego wielkiego mistrza fałszywe zeznania, aby zaspokoić chciwość sprzedajnego króla? Tego papieża masz na myśli? Tego, który nagradza wieki wybitnej służby oraz lojalności zdradą i podłymi kłamstwami?

Papieża, którego tchórzliwa natura zmienia go w obelgę przeciwko wszystkiemu, co powinien reprezentować, ponieważ brakuje mu odwagi, aby sprzeciwić się królowi i owej wielkiej krzywdzie, i okazuje swoją nieudolność, odwracając się plecami do samego Boga? Odwaga, Williamie: to wszystko, czego w tej sytuacji potrzebujesz, i jeśli tylko o tym pomyślisz, dostrzeżesz, że to prawda. Uwolnij swoich ludzi od ślubu czystości. Posłuszeństwo i ten trzeci możesz zostawić. Lecz daj im chociaż szansę na wzięcie sobie żon i spłodzenie dla was dzieci.

- To szaleństwo, ojcze. Ci ludzie to mnisi, którzy służą od lat. Ni gdy by się nie przyzwyczaili do takiej zmiany, uznaliby ją za grzech, za wyrok skazujący na potępienie.

Sir Aleksander kiwnął głową.

- Ano, niektórzy może tak... ci starsi. Lecz inni nie. Zmienił się cały ich świat, zapewne bezpowrotnie. Będą w Kościele *personae non gratae*, a jako uciekinierów, braci zakazanego Zakonu, może ich nawet czekać ekskomunika. Zwalniając ich ze ślubów, dajesz im przynajmniej szansę normalnego życia w nowym świecie, w którym się znaleźli. Jeśli choćby tylko dwudziestu spłodzi synów, mielibyście jakieś młode umysły, którym moglibyście wpoić swoje nauki...

Will milczał, osłupiał, dostrzegając wyłącznie skandaliczną arogancję i pychę sugestii jego ojca. Zupełnie nie wiedział, jak sobie z nią poradzić, ponieważ pochodziła od najbardziej honorowego, prawego i uczciwego człowieka, jakiego znał poza Zakonem Syjonu. Kenneth też się nie odzywał, nie patrząc na nich; sir Aleksander zamilkł, czekając, aż jego syn pozbiera myśli. W końcu przyszedł mu z pomocą:

- Zmieńmy temat... Masz giermka?

Will spojrział zaskoczony.

- Giermka? Nie. Miałem jednego do niedawna, lecz w lipcu zeszłego roku pasowano go na rycerza, a ja od tamtej pory podróżowałem. Dlaczego pytasz?

- Ponieważ masz bratanka, Henryka, syna twojego brata Andrzeja, który niedawno stracił swego pana, a także ojca. Tuż przed śmiercią Andrzej znalazł mu miejsce przy rycerzu, sir Gilles'u de Mar, zacnym człowieku, lecz odniósł on poważne rany w bitwie pod Metłwen, gdzie walczył po stronie Bruce'a, i nie doszedł już do siebie. Zmarł dwa miesiące temu, więc ćwiczenia młodego Henryka zostały przerwane. Potrzebuje nowego pana. Weźmiesz go?

- Chętnie bym to zrobił, lecz jak, ojcze, w takich okolicznościach?
- Okoliczności się zmieniają, przydatność nie. Nie wątpię, że twój brat zgodzi się ze mną, kiedy powiem, że jako mistrz Zakonu w kraju byłbyś idealnym panem dla tego chłopca. Ma czternaście lat i potrzebuje dyscypliny oraz zrozumienia, lecz przede wszystkim dobrego przykładu: prawości, siły i hartu ducha, a także wyważonego umiaru we wszystkim. Nie przychodzi mi do głowy nikt bardziej odpowiedni niż ty. Dzisiaj takie przymioty są rzadkie.

Will zerknął na Kennetha, który kiwał głową, całkowicie zgadzając się z ojcem, więc po bardzo krótkiej dyskusji ustalili, że weźmie odpowiedzialność za młodzieńca. Ale kiedy już się zgodził, zaczął myśleć o zmarłym bracie, Andrzeju, którego pamiętał jedynie jako starszego o sześć lat chłopaka.

- Co się stało Andrzejowi, ojcze? Jak zmarł i kiedy?

Sir Aleksander milczał przez długą chwilę, a potem wykrzywił twarz ze smutkiem.

- Zmarł... niesławnie, jak na rycerza tak obiecującego i pełnego zalet; niesławnie, lecz bardzo po ludzku. Zabił go zastój krwi, trzy lata temu, po wypadku podczas zimowego polowania, kiedy odłączył się od swoich towarzyszy. Jego koń potknął się w wezbranym po burzy strumieniu i zrzucił go na kamienie na dnie potoku. Zanim ludzie go znaleźli, leżał na wpół zanurzony w wodzie przez wiele godzin. Przywieźli go do domu, lecz się nie ocknął... Po prostu słabł, aż nie mógł już oddychać... i zmarł. Księża powiedzieli mi, że taka była wola Boga, lecz wysłałbym ich wszystkich do piekieł, żeby odzyskać syna.

- A co z matką chłopca?

- Zmarła dawno temu, kiedy był ledwie dziecięciem. Młody Henryk jej nie pamięta. - Starzec znów zamilkł, zamyślony, a potem nagle się wyprostował. - Czy była to wola Boga, czy nie, Andrzej odszedł, lecz jego syn został, a teraz wznowi ćwiczenia pod wprawnym okiem. Będzie dla ciebie dobrym giermkim, a kiedy przyjdzie czas, stanie się wartościowym rycerzem.

Potem rozmowa się nie kleiła, a wkrótce sir Aleksander stwierdził, że jest zmęczony i wszyscy trzej udali się na spoczynek, choć Will leżał jeszcze przez dobrą godzinę, myśląc o zdumiewającej i niepokojącej sugestii ojca. Kiedy tak rozmyślał o tym, co mogłaby znaczyć taka

decyzja, przyznał, że gdyby chciał i gdyby sytuacja we Francji była tak zła, że samo przetrwanie rycerzy Zakonu stanęłoby pod znakiem zapytania, mógłby podjąć ją bezkarnie. Usypiając, zaczął wspominać Jessie Randolph; widział, jak uśmiecha się do niego jakby z oddali, przez mgłę, i był zbyt nieprzytomny, aby zdać sobie sprawę, że jego ciało reaguje z przyjemnością na te niejasne fantazje i że sukub już kuca mu na brzuchu, czekając, aby go opętać, gdy będzie spał.

3

Było wczesne popołudnie; Will słyszał śpiew kosa w jednym z pięciu majestatycznych wiązów otaczających front wielkiego, umocnionego domostwa, jego domu rodzinnego, lecz w sypialni, w której się urodził, wyposażonej tylko w jedno - teraz otwarte - okno, było prawie ciemno. Pojedynczy strumień światła wpadający do środka oświetlał róg masywnego pulpitu jego ojca i ostre zarysy drewnianej podłogi, podkreślając ciemności zalegające w pozostałej części komnaty. Will przeciągnął się na krześle, masując kciukami pod żebrami, a potem gwałtownie wypuścił powietrze, patrząc na kufer stojący w rogu pulpitu.

Był on niezwykle stary, a nabył go w dalekiej przeszłości jeden z przodków Willa; rodzinna legenda mówiła, że mebel należał kiedyś do rzymskiego namiestnika Brytanii, który porzucił go, kiedy legiony opuszczały kraj ponad siedemset lat wcześniej. Stał zatem w owej komnacie, wielki i nieruchomy, ponieważ sam dom zbudowano przed ponad wiekiem. Wymyślnie rzeźbiona dębina poczerniała i pokryła się patyną niewyobrażalnej starości. Jednak w porównaniu z przedmiotami schowanymi za nim pulpit wykonano całkiem niedawno, i ta niespodziewana myśl sprawiła, że Will poczuł nagły dreszcz i wrócił myślami do skrzyni.

Jej mosiężne okucia sprawiały wrażenie, jakby jaśniały, oświetlając jego twarz odbitym światłem słońca, a Will czuł na szyi ciężar klucza do kłódki. Był on smukły, lecz zrobiony z litego żelaza i tylko Will wiedział, że skrzynia, którą otwierał, zawiera kolejne klucze: po jednym do każdego z trzech kufrów wyładowanych główną częścią skarbu Zakonu - ustawionych teraz pod ścianą z tyłu pulpitu - i dwa

do zamków w czwartym, mniejszym i zupełnie innym od pozostałych. Will wyprostował się i ponownie im się przyjrzał, wyciągając szyję, świadom, że jest jednym z niewielu ludzi, którzy widzą skrzynie, zanim znów popadną w zapomnienie, ponieważ następnego dnia miały zostać ukryte w pieczarze w okolicach Roślin. Znów westchnął, a potem skrzywił się i postukał paznokciem o zęby. Był teraz odpowiedzialny za skrzynie i od pół godziny wlepił w nie wzrok, walcząc z rosnącą pokusą otwarcia ich i obejrzenia zawartości.

Zdawał sobie sprawę, że ma do tego prawo, ponieważ powierzono mu klucze, lecz czy chciał to zrobić? Choć wiedział, co w nich jest -a może właśnie z tego powodu — czuł strach przed zbezczeszczeniem ich świętości. Lecz, jak pomyślał chwilę wcześniej, spoczywała na nim odpowiedzialność upewnienia się, czy nikt do nich nie zaglądał, czy ich zawartość jest nieuszkodzona i czy w ogóle się w nich znajduje. Od jutra, od chwili, kiedy skarb trafi do nowej kryjówki, to jego imię będzie z nim kojarzone i to jego honor zostanie zakwestionowany, jeśli ktoś kiedyś je otworzy i znajdzie tam tylko śmieci, ponieważ skarb zniknął.

Will zaklął i podniósł się, po czym podszedł do wejścia za swoimi plecami. Na zewnątrz, u szczytu schodów, stał Tam Sinclair, który odwrócił się do niego, gdy drzwi się otworzyły.

- Skończyłeś?

- Nawet jeszcze nie zacząłem. Wszystko w porządku? Tam wzruszył ramionami.

- W porządku. Co cię powstrzymuje?

- Nic... Nerwy... Dobra, zrobię to teraz. Jeśli ktokolwiek się zbliży, daj sygnał, a potem zatrzymaj go tutaj, aż zdążę pozamykać skrzynie.

Tam uniósł brwi.

- Kto miałby tu przyjść za dnia? Twój ojciec wyjechał, a w domu nie ma nikogo poza nami. Zrób no, co masz zrobić, i ruszajmy.

- Niech będzie.

Will wrócił do komnaty, zamknął za sobą drzwi i natychmiast ruszył otworzyć okutą mosiądzem skrzynię. Wyjął z niej klucze i zważył je w dłoni, zdumiony ich ciężarem i tym, że trudno mu było chwycić wszystkie naraz. Spojrzał na jedną ze skrzyń, która różniła się od innych; nazywał ją w myślach główną. Położył klucze na blacie, wybrał odpowiednią parę i zbliżył się do kufra. Jako jedyny miał on żelazne

pierścienie po bokach, ułatwiające przenoszenie, a na podłodze za nim leżały dwa długie, grube pręty. Wkładano je w pierścienie, kiedy przenoszono kufer, lecz Will dowiedział się też, że pasują do drugiego zestawu pierścieni, przymocowanego po bokach obiektu znajdującego się w skrzyni. Myśl o tym, co to może być, lekko go zaniepokoiła, a kiedy już sięgał po pierwszą kłódkę, poczuł się nieswojo i musiał się zatrzymać. Spróbował przełknąć ślinę, lecz nagle zaschło mu w ustach; poruszył językiem, aby je otworzyć. Oblizwał wargi i wziął się w garść, po czym wsunął klucz do zamka tylko po to, aby się zorientować, że wybrał niewłaściwą kłódkę. Chwilę później drugi zamek otworzył się z gładkim pstryknięciem, a Will sięgnął po klucz do pierwszej kłódki. Metalowe zawiasy wrzeczadźców zaskrzypiały cicho, kiedy je uchylił; ponownie przerwał, nabrał głęboko tchu i w końcu uniósł ciężką, wykładaną ołowiem pokrywą, ciągnąc najpierw ostrożnie, a potem mocniej, niż się spodziewał.

Zawartość kufra przykryto grubym, pikowanym kocem, który Will wyjął z łatwością i upuścił na podłogę, patrząc z otwartymi ustami na widoczny teraz, zadziwiający przedmiot. Ściśle pasował do wnętrza, wypełniając je niemal całkowicie, a jego krawędzie i rogi owinięto, aby nie ocierały się o ściany kufra. Złocisty blask, którym emanował, zdawał się wylewać na zewnątrz, choć Will wiedział, że to tylko złudzenie wywołane jasnością promienia światła oświetlającego pokrytą metalem powierzchnię obiektu. Jednak reakcja jego skóry - drżenie i gęsia skórka na karku - podpowiedziała Willowi ponad wszelką wątpliwość, że patrzy na najbardziej fascynujący przedmiot na świecie, absolutnie najcenniejszą relikwię na ziemi: pokrytą złotem skrzynię mieszczącą przymierze między Bogiem a Jego ludem wybranym, Arkę Przymierza z *sanctum sanctorum* Świątyni Salomona.

Stracił poczucie, jak długo tak stoi, patrząc na nią i radując się jej pięknem, lecz w pewnej chwili zorientował się, że wyciąga rękę, aby jej dotknąć; zbliżył dłoń na odległość kilku cali od pokrytego płatanami złota wieka arki, po czym zacisnął palce kurczowo i cofnął łokieć, nienaturalnie wyciągając przed siebie ramię. Według legend i nauk Zakonu Syjonu wolno było dotykać tego obiektu tylko kapłanom. Każdy inny, kto to zrobił, umierał straszliwą śmiercią, a prastare źródła podawały przykłady takich wykroczeń. Wypuścił powietrze z drżeniem i opuścił rękę, chowając ją za plecami, aby jej już nie ku-

siło. Potem pozwolił sobie na dokładniejsze przyjrzenie się dwóm złotym figurom górującymi nad pokrywą. Wiedział, że to anioły, serafiny, lecz miały w sobie niewiele anielskości czy spokoju. Ich postaci pełne były groźby i promieniowały czujnością oraz napięciem; górne końce ich skrzydeł niemal się dotykały, ponieważ anioły pochylały się do przodu, jakby unosząc się nad arką, chroniąc znajdujące się między nimi święte miejsce, z którego podobno głos samego Boga przemówił do kapłanów.

Idole - pomyślał Will i zaskoczyła go gwałtowność, z jaką zdał sobie sprawę z tej anomalii. Żydzi nienawidzili idoli, uważając je za przejaw bałwochwalstwa, lecz oto na samym pojemniku do przechowywania kamiennych tablic z prawem Bożym widać było przejaw całkowitego i kategorycznego lekceważenia ich pierwszego przykazania, ponieważ figury te wykonano z czystego złota. Jeśli prastare nauki były prawdziwe, znajdowała się tam też święta laska Aarona, która zmieniła się w węże i pożarła węże napuszczone na nią przez kapłanów i czarowników faraona. Will zmarszczył brwi, ponieważ zawsze wyobrażał sobie, że laska co najmniej dorównywała długością wzrostowi jej właściciela, lecz arka miała niecałe cztery stopy długości i mniej niż dwie szerokości, więc jeśli laska naprawdę tam spoczywała, musiała prezentować się znacznie mniej imponująco, niż sądził. Potem jednak nagle przypomniał sobie ciężką laskę urzędu, którą trzymał król Francji przy tej jednej okazji, kiedy Will go widział: była to gruba na dwa cale, kunsztownie rzeźbiona buława z hebanu, wymyślna, solidna i okazała — ucieleśnienie władzy królewskiej. To wspomnienie natychmiast go usatysfakcjonowało i przestał zastanawiać się nad rozmiarami laski Aarona. Mimo to wciąż patrzył na złotą skrzynię, a po głowie nadal płała mu się pokusa dotknięcia jej gołymi rękami.

Zatrząśł się i oderwał swój oniemiały umysł od tej przerażającej myśli, kiedy w głowie wybuchła mu wizja własnego końca: zobaczył i poczuł, jak pochłaniają go płomienie ognia niebieskiego i zanim się spostrzegł, pokrywa wielkiej drewnianej skrzyni zatrzęsnęła się pod jego dłońmi, a on przycisnął ją z całej siły, usiłując złapać powietrze ze zwieszoną głową i otwartymi ustami. Ruszając się niezgrabnie, zmusił się do odejścia od głównej skrzyni i przyjrzenia się pozostałym; niezwykle trudno było mu się skupić na nich i walczył z uporczywie powracającym wyobrażeniem arki i jej groźnych serafinów.

Nie udało mu się. Nabrał tchu, odwrócił się od skrzyń i poszedł sztywno w stronę najbliższego rogu pokoju, patrząc przed siebie, a potem okrążył resztę komnaty, wędrując od kąta do kąta. Powtórzył to trzy razy, po czym zatrzymał się w punkcie wyjścia i uznał, że jest już w stanie spojrzeć na pozostałe trzy kufry z czymś, co przypominało opanowanie. Wiedział, co zawierają: nauczono go tego ponad dwadzieścia lat wcześniej, lecz ponownie poinformowano o tym niedawno; tym razem - jako wysoki rangą przedstawiciel Zakonu Syjonu - dowiedział się więcej, teraz bowiem odpowiadał osobiście za bezpieczeństwo skarbu.

Wrócił do pulpitu swego ojca i wziął z niego pozostałe klucze, otwierając po kolei wszystkie kufry. Każdą ze skrzyń - solidnie wykonanych z twardego, ciężkiego drewna i wzmocnionych żelaznymi okuciami - szczelnie wypełniało ułożone w dwóch warstwach szesnaście identycznych słoików z grubej, czerwonej gliny. Wiele wieków temu wszystkie zapieczętowano naciągniętą, moką skórą, którą uwiązano mokrymi rzemieniami: po wyschnięciu zamknięcia te były absolutnie szczelne i twarde jak żelazo.

Will nie miał ochoty dotykać tych przedmiotów i nie był ciekaw, co zawierają. Był jedynie zadowolony, że są nienaruszone, a ich pieczęci nie złamano. Wiedział, co jest w środku, ponieważ kilka słoików było sfluczonych, kiedy dwieście lat wcześniej dziewięciu rycerzy, późniejszych założycieli Zakonu Świątyni, odkryło je w zrujnowanych podziemiach Wzgórza Świątynnego w Jerozolimie. Zawartość tych pojemników studiowali potem przez lata uczeni Bractwa Syjonu i potwierdziła ona starożytne nauki owego zakonu, który powstał w Judei tysiąc lat wcześniej, w pierwszym wieku, kiedy Rzymianie zniszczyli Jerozolimę. Will wiedział, że mimo znaczenia zwieńczonych figurami serafinów arki z głównej skrzyni te proste i zwyczajne słoje są prawdziwym skarbem templariuszy. Arka Przymierza symbolizowała religijną tradycję, podziw dla Boga i strach przed nim, ale rzeczy umieszczone w glinianych pojemnikach nie reprezentowały niczego nadprzyrodzonego. Samo ich istnienie było zdumiewające i rewolucyjne; były to ściśle zwinięte rolki papirusu, na których zapisano kroniki i historię pierwotnej wspólnoty esseńczyków z Qumran, której przewodził Jezus wraz ze swoim bratem, Jakubem Sprawiedliwym. Dowodziły one ponad wszelką wątpliwość, że Jezus z Qumran, teraz znany jako Jezus

z Nazaretu, był zwykłym człowiekiem, a nie - jak ogłosił święty Paweł — cudownie zmartwychwstałym synem Boga.

Will był doskonale świadom tego, że nie można przecenić zagrożenia, jakie te zwoje stanowiły dla Kościoła katolickiego. Nikt nie podejrzewał, że istnieją, lecz gdyby Rzym kiedykolwiek je odnalazł, natychmiast zostałyby zniszczone - je same, a także wszystkich, którzy o nich wiedzieli, strawiłyby płomienie. Poznał tę prawdę podczas swoich nauk w Zakonie Syjonu; cała struktura Kościoła oparta była na nieporozumieniu.

Wśród prastarych tajemnic, wyniesionych z czasów niewolnictwa w Egipcie i mocno zakorzenionych w odwiecznych rytuałach, które dominowały w ich kulcie przez wieki niewoli, kapłani Izraelitów zachowali ceremonię wiążącą się z symboliczną śmiercią i zmartwychwstaniem, oświeconym odrodzeniem i poszukiwaniem obcowania z samym Bogiem, przekazywaną z pokolenia na pokolenie i obecnie stanowiącą główny obrządek Zakonu Syjonu. Will został poddany temu rytuałowi podczas swojego wyniesienia do szeregów wiekowego bractwa. Sięgał on do najwcześniejszych dni Egiptu i kultu Ozyrysa, boga światła, i jego żony-siostry Izidy.

Zakon Syjonu wierzył, że Paweł dowiedział się o tej ceremonii - lub o rzekomej „śmierci” i „zmartwychwstaniu” Jezusa, które wydarzyły się dziesiątki lat wcześniej, przed narodzeniem Pawła - lecz nie będąc osobą wyznania mojżeszowego, a zatem z definicji niewtajemniczoną, nie wiedział nic o prawdziwej drodze esseńczyków i nie był w stanie zrozumieć prawdy, która była fundamentem jego odkrycia. W rezultacie zamienił ceremonialną „śmierć” w rytuale wyniesienia na prawdziwą śmierć Jezusa, wierząc, że ten w istocie powstał z grobu jako istota boska. Z tego nieporozumienia zrodził się Kościół katolicki.

- Will! Skończyłeś aby?

- Co? - Głos Tama wyrwał Willa z zamyślenia. - Tak, idę.

Szybko poprzekręcał klucze w zamkach kufrów, uniósł wieko głównej skrzyni i odłożył pikowany koc na miejsce, po czym dokładnie ją zamknął i włożył kłódki na miejsce we wrzeczadkach. Kiedy skończył, odłożył klucze do kuferka i też go zamknął, a potem postawił na jednej z wielkich skrzyń, zawiesił klucz na szyi i wsadził go za pazuchę. Otrzeptał dłonie z kurzu i rozejrzał się po pokoju, sprawdzając, czy wszystko jest jak należy, a potem podszedł zwawo do drzwi i dołączył do Tama.

Wraz z drużyną wrócił na Arran po trzech tygodniach od pojawienia się w Roślin, bez trudności przebywszy trzystumilową odległość. Jadąc tam i z powrotem, spotkali potencjalnie groźne bandy ludzi, lecz siła ich dwudziestoosobowej grupy uzbrojonych konnych wystarczyła, aby zniechęcić każdego, kto chciałby ich nękać. Tymczasem skarb ukryto w pieczarze blisko domu ojca Willa, a pracę związaną z zakopaniem go wykonano niezwykle fachowo. Wielki gąszcz ciernistych krzaków, który krył wcześniej wejście, dalej pełnił tę rolę: bardzo ostrożnie wyrwano je z korzeniami, a po zamknięciu wejścia ponownie zasadzono w pierwotnym miejscu.

Will z ulgą odkrył, że podczas ich nieobecności nie wydarzyło się nic nieprzewidzianego i że nowy program przydzielania pracy działa dobrze: wyglądało na to, że zorganizowana na nowo społeczność funkcjonuje gładko. Braci już prawie nie dało się odróżnić od zwykłych ludzi, których napotkał podczas podróży do Roślin i z powrotem. Ich ubrania były proste i mocne, brody przycięli tak, aby nie zwracały uwagi, a z tyłu głów odrastały im włosy.

Drugą kapitułę założono w Lochranzy ledwie kilka dni po wyjeździe Willa. Rolę tymczasowego kapelana pełnił tam wysoki rangą biskup Zakonu, Bruno z Arles, a preceptora - Reynald de Pairaud. To niezwykle ucieszyło Willa, ponieważ mimo całej jego drażliwości i mentalności knura Zakonu na weteranie można było całkowicie polegać. Podczas pierwszej wizyty w Lochranzy, odbytej cztery dni po powrocie na Arran, Will otwarcie i szczerze pochwalił to, co Pairaud zdążył już osiągnąć na swoim nowym stanowisku.

Jako zamek położona u stóp gór Lochranza była dobrze umiej-

scowiona - wzniesiono ją na wysokiej grani nad zatoką - i niezwykle łatwa do obrony, lecz jej główna zaleta znajdowała się w środku. Była to wielka, solidnie zbudowana sala, zabezpieczona przed przeciągami i dobrze oświetlona, co sprawiało, że była bardziej gościnna niż niemal wszystkie inne znane Willowi. De Pairaud już to wykorzystał, każąc utalentowanym cieślom oddzielić jedną trzecią potężnej komnaty, zostawiając dość miejsca na wszelkie codzienne sprawy garnizonu. Resztę pomieszczenia zmieniono w siedzibę kapituły Zakonu, wyposażoną w jedną parę wzmocnionych drzwi, obowiązkowe krzesła dla celebrantów na podwyższeniach na wschodzie, zachodzie, północy i południu oraz kwadratową podłogę wyłożoną szachownicą pomalowanych na biało i czarno desek, które potem grubo pokryto wieloma warstwami przezroczystej, twardej politurę. Tutaj, w otoczeniu znacznie bardziej wymyślnym i wystawnym niż to, którego używali ich bracia w Brodick, rycerze z Lochranzy mieli zbierać się w głębi nocy na spotkania kapituły i ceremonie oraz rytuały Zakonu.

Poza murami, w jednym z budynków gospodarczych zamku, założono kuźnię, a większość żywego inwentarza, rosłych wierzchowców rycerzy, sprowadzono z Brodick i podzielono na stadka po siedem lub dziesięć, z których każdym zajmowała się mała grupa ludzi. Wszystkie miały też przydzielone własne pastwiska wśród żyznych dolin przecinających wyżyny i łańcuchy górskie, które wznosiły się za zamkiem. Rybacy z wioski przy porcie uciekli po zjawieniu się obcych południowców - jak nazywali nowo przybyłych - i ogólnie uważano, że ukryli się między wysokimi wzgórzami raczej ze strachu spowodowanego zdradliwym zachowaniem ich byłego wodza, Menteitha, niż z obawy przed samymi przybyszami. De Pairaud twierdził, że któregoś dnia wrócą, jak tylko przekonają się, że nikt ich nieścigai nie prześladowuje, lecz tymczasem kilku serwientów wprowadziło się do małych kamiennych domków pozostawionych na brzegu morza. Przyczyniali się do urozmaicenia życia wspólnoty, udając się każdego dnia na łowy i zapewniając stołom zamkowym niewyczerpane i zróżnicowane dostawy świeżych ryb.

De Pairaud wyjaśnił, że w głębi lądu, na wrzosowiskach położonych wysoko za zamkiem i opadających w stronę zachodniego wybrzeża wyspy, inne grupy ludzi zbierają i suszą góry torfu, który będzie starannie przechowywany na czas nadchodzącej zimy. Jeszcze inni

zajmowali się ścinaniem pozostałości jedyne go rozległego obszaru leśnego na wyspie, bezlitośnie ograbionego przez angielski garnizon, który zbudował gmach w Brodick. Drużyna ludzi z obu kapituł odnowiła stare doły do cięcia desek używane przez angielskich żołnierzy, gdzie ciężko pracowali teraz tracze, tnąc zielone kłody na deski, klepki i belki na potrzeby robót w Brodick i Lochranzy. Je również trzeba było ułożyć i wysuszyć przed użyciem, lecz Will nie wierzył już w to, że pobyt jego ludzi na Arran będzie krótki, a nawet jeśli miałyby się tak okazać, zadanie cięcia i składowania paliwa oraz drewna było o tyle cenne, że dostarczało braciom zajęcia i nie pozwalało im się nudzić.

Zakończył swoją wizytę w Lochranzy, podążając na południowy zachód, na długi objazd po wysoko położonych wrzosowiskach w drodze powrotnej do Brodick; odwiedził różne miejsca, aby przywitać się z ludźmi osobiście, poddać inspekcji ich wysiłki, wyrazić swoją satysfakcję i dodać wszystkim otuchy. Jednak coraz bardziej martwił się pogłoskami o chorobie króla, ponieważ gdyby Bruce'a usunięto z tronu, on sam i jego ludzie byłiby w wielkim niebezpieczeństwie, a może nawet nie mogliby odzyskać swych galer od MacDonaldów. Myśl ta zmroziła mu krew i ciążyła na sercu od chwili, kiedy przysłała do głowy; wrócił do Brodick Hall w wietrzny dzień, w chłodnym deszczu, a jego posępny nastrój idealnie pasował do pogody.

Jego największe lęki okazały się nieuzasadnione. Kiedy Will był w Lochranzy, Brodick odwiedził sir James Douglas, zostawiając wiadomość, że Bruce ma się dobrze i wycofał się wraz z bratem i całą armią do Strathbogie nad brzegiem rzeki Deveron, koło Aberdeen, gdzie miejscowy wódz był jego zagorzałym zwolennikiem. Król odzyskiwał tam siły i przygotowywał się do wiosennej kampanii przeciwko przebywającym w okolicy siłom angielskim.

Douglas zostawił u sir Ryszarda de Montricharda przesyłkę dla Willa, który odebrał ją i miał zamiar przeczytać, kiedy Tam będzie nadzorował przygotowywanie gorącej kąpieli dla niego; był to nawyk - według wielu słabość - którego Will nabrał podczas wieloletnich podróży wśród Maurów w Hiszpanii. Kiedy tylko zdarzało mu się zmarznąć lub przemoczyć go zimny deszcz, nalegał na kąpiel w gorącej wodzie, a Tam już dawno przyzwyczaił się do tego dziwnego zachowania. Nie towarzyszył Willowi w Lochranzy; postanowił zamiast

tego zostać w Broditk i zająć się wznowieniem przerwanych nauk i ćwiczeń bratanka Willa, Henryka, który - jako giermek wojującego mnicha - musiał wiedzieć znacznie więcej niż giermkowie zwykłych rycerzy, a Will bez oporów zostawił ich samych.

Teraz przeciął skórzany pasek na przesyłce i wyciągnął dwa pisma. W jednym z nich, zapisanym na złożonym skrawku pergaminu s'miałym, pełnym pętli charakterem pisma, sir James zawiadamiał go o chorobie króla i o tym, że Bruce, już w znacznie lepszym stanie, jest bardzo zadowolony z lojalności ludzi z Arran, którzy mu towarzyszyli. Notkę kończył prosty, skreślony z rozmachem podpis: Douglas.

Drugi list był całkowicie inny, złożony w schludny prostokąt i opatrzony z tyłu nieznaną mu pieczęcią z laku. W prawym górnym rogu widniało jego nazwisko, napisane drobnymi, starannymi literami. Zaciekawiony złamał pieczęć i rozłożył list, czując pod palcami gładką fakturę trzech arkuszy giętkiego, pięknego pergaminu. Najpierw zerknął na koniec, szukając imienia nadawcy, i zaparło mu dech w piersi, kiedy zobaczył prosty podpis Jessiki Randolph de Saint Va-lery. Przez długą chwilę nie mógł się zmusić do żadnego ruchu, serce mu waliło, a myśli gnały, na próżno szukając powodów, dlaczego akurat ona miałaby do niego pisać. Lecz w końcu, zdając sobie sprawę z tego, jak bezcelowe są takie myśli, i z niezadowoleniem przyznając przed samym sobą, że czuje nierozsądne podniecenie, wrócił na pierwszą stronę i zaczął czytać delikatne andegaweńskie pismo, szepcząc słowa pod nosem w mowie swoich lat chłopięcych, z czasów, zanim francuski wyparł jego język ojczysty.

Sir Williamie,

Nie wątpię, że rozgniewa Cię, iż śmiem do Ciebie pisać, lecz mimo to zrozumiesz, że nie bez powodu posługuję się językiem Twych minionych lat. Jeśli ten list wpadnie w niepowołane ręce, chciałabym, aby pozostał niezrozumiały dla tych, którzy go znajdą.

Piszę do Ciebie z północnego wschodu Szkocji, gdzie przez dwa ostatnie miesiące miałam zaszczyt i przywilej brać udział w opiece nad naszym królem, który ciężko zapadł na zdrowiu, lecz teraz szybko dochodzi do siebie i nabiera sił, ku radości swoich towarzyszy i na szczęście dla tego kraju.

Wiem, że wieś trzęsie się od plotek na temat rychłej śmierci Jego Mi-

łości i że ludzie, którzy niewiele wiedzą o prawdziwej sytuacji, roznoszą wszelkiego rodzaju upiorne wieści o żałobie i nieszczęściu. Wiem też z doświadczenia, w jak niewygodnym położeniu jesteś na swej odległej wyspie, i martwiłam się, czy słysząc takie opowieści, nie zaczniesz obawiać się o dobrobyt swoich podopiecznych. Jeśli tak, uspokój swe myśli, panie rycerzu, i wiedz to: Jego Miłość jest zdrow. Kryzys dawno minął, a sam Bruce ma już dość sił, aby znów zachowywać się jak król i planować przyszłoroczne kampanie wraz ze swymi druhami i dowódcami.

To przywodzi mnie do głównego celu tego listu: poinformowania Cię o tych planach. Odwiedziła nas grupa wpływowych Francuzów. Nie wiemy, jak udało im się wyśledzić, gdzie znajduje się Jego Miłość — jest to ściśle strzeżona tajemnica — lecz przybyli w sekrecie i prawie natychmiast wrócili do Francji. Celem ich wizyty było poruszenie tematu przymierza między Jego Miłością a królem Francji, Filipem z Kapetyngów, w celu przeprowadzenia nowej krucjaty przeciwko Maurom w Hiszpanii. Jego Miłość przyjął ich uprzejmie, w towarzystwie wyłącznie kilku najbliższych doradców. Powiedział im, że rozważy tę kwestię i że skłania się ku zgodzie, lecz jego królestwo jest jeszcze zbyt słabe, aby mógł je opuścić. Kiedy tylko wyjechali, wezwał mnie na prywatną audiencję i opowiedział, co zaszło, prosząc, abym opisała Ci to w jego imieniu w Twojej ojczyźnej mowie, której nauczyłam się od rodziny mego świętej pamięci męża, oraz przedstawiła Ci jego myśli na ten temat, jednocześnie uspokajając cię, iż Ty i Twoi ludzie nie macie powodów do zmartwienia, ponieważ jest mało prawdopodobne, aby w tej sprawie zrobiono jakies postępy w najbliższych latach.

Z punktu widzenia dyplomacji ten rozwój wydarzeń ma wielką polityczną wartość - oznacza, że władzę królewską Jego Miłości otwarcie uznał najpotężniejszy monarcha w świecie chrześcijańskim. W przyszłości może to posłużyć jako argument przeciwko tym, którzy chcieliby sprawić, aby Jego Miłość ekskomunikowano już na stałe, ponieważ Kościół raczej nie mógłby potępić jednego z dowódców takiej krucjaty. Uwydatnia to jednak delikatność Twojej i Jego sytuacji w obliczu tego, że uciekłeś z Francji przed gniewem Filipa, ponieważ jeśli wiadomość ta miałaby się roznieść, zagroziłaby proponowanemu przymierz. Dlatego też Jego Miłość prosi o wzmożenie starań związanych z wypełnianiem Jego życzeń w kwestii ukrycia tożsamości Twoich ludzi na wyspie. Z pełnym przekonaniem złożyłam już w tej sprawie zapewnienie w Twoim imieniu. Nie wątpi, że

zastosujesz się do Jego próśb, chciał jedynie zwrócić Twoją uwagę na **ich** zwiększone znaczenie w obliczu propozycji ze strony Francji.

Darzę tego człowieka wielkim szacunkiem i sympatią. Jak być może już wiesz, poznałam go wkrótce po opuszczeniu Twojej wyspy, dzięki samemu sir Jamesowi, a Jego Miłość zaszczycił mnie wtedy prośbą o opiekę nad jego młodą bratanicą, Marjorie, nieślubną córką jego umiłowanego brata Nigela, który zginął z rąk angielskich oprawców. Dziewczynka jest jedną z jego niewielu krewniaczek, które wciąż są na wolności, i uznał, że będzie ze mną bezpieczna, ponieważ dopiero niedawno przybyłam z Francji i niewiele coś o mnie wie. Stała się zatem moją bratanicą, którą adoptowałam we Francji i przywozłam ze sobą w mojej świcie, a kiedy stąd wyjedziemy, uda się ze mną do mego domu rodzinnego w dolinie rzeki Nith, blisko Dumjries.

Mam się więc dobrze i z wielu powodów czuję wielki zaszczyt, a moje zadanie tu na północy niemal dobiegło końca. Ów list jest jednym z moich ostatnich podjętych dobrowolnie obowiązków. Sir James przybył tu do Jego Miłości na kilka dni i przyrzekł, że dostarczy Ci go, kiedy będzie w okolicy Twojego schronienia. Obiecuję, że kiedy wrócę do domu w Nithsdale, leżącego ledwie o dzień podróży od miejsca, gdzie jesteś, nie będę Cię już odrywać od Twojej niewesołej i pochłaniającej całą Twą uwagę służby. Lecz mam nadzieję, że być może, mimo całej Twej surowej niechęci i obowiązujących Cię restrykcji, będziesz mógł któregoś dnia pomyśleć o mnie jako o swojej przyjaciółce.

Jessica Randolph de Saint Yalery

Will starannie złożył list i poszedł zażyć kąpieli. Od pierwszych przeczytanych słów stracił świadomość, że napisała je kobieta, całkowicie skupiony na ich treści, a nie autorce. Wiadomość o propozycji francuskiego króla pod adresem Bruce'a zmartwiła go tylko na chwilę, a jego szczodra natura kazała mu uznać doniosłość tego gestu. Postanowił, że nie zaszkodzi wzmocnić poleceń na temat potrzeby zachowania anonimowości na Arran. Wiedział, że jest to winien Bruce'owi. Podjąwszy tę decyzję, ubrał się w czyste, suche ubrania i wezwał swoich dowódców na naradę. Nakreślił im, czego się dowiedział, i poprosił ich, aby zastanowili się nad jakimikolwiek trudnościami we wcieleniu jego wcześniejszych rozkazów w życie, które mogli prze-gapić. Zapytał, czy sądzą, że całkowicie udało im się ukryć wszelkie znaki, jakie mogłyby wskazać, iż ich ludzie są mnichami Zakonu.

Usłyszał, że jedynym problemem jest sprawa buntownika Marteleta, którego czekał jeszcze cały miesiąc w lochach. Podobno wciąż zachowywał się krnąbrnie i nie przyjmował do wiadomości, że zrobił cokolwiek złego.

Kiedy tylko spotkanie się skończyło, Will zszedł do lochów i stawiał czoło Marteletowi, który wyglądał tak, jak należało się tego spodziewać po kimś, kto przez miesiąc był zamknięty w małej celi i nie miał żadnej możliwości umycia się. Sinclair odprawił pełniącego straż serwienta i stanął przed kratami, przyglądając się więźniowi, który spojrzał na niego wilkiem. Will przez długą chwilę patrzył mu w oczy, lecz nie dostrzegł w nich żadnych śladów uległości, niezdecydowania czy żalu.

- Nie wyglądasz na zadowolonego, a odsiedziałeś zaledwie połowę

wyroku. Zadbam o to, by unikać oglądania cię pod koniec przyszłego miesiąca. - Odczekał, lecz Martelet nie zareagował. - Wiesz, głupiec z ciebie. Nikt nas tu nie podsłucha i mówię ci jak człowiek człowiekowi, że jesteś głupcem. Jesteś też buntowniczym, aroganckim niewdzięcznikiem i hańbą dla Zakonu.

Wtedy doczekał się odpowiedzi. Martelet wyprostował się i niemal na niego splunął.

- Nie miałbyś odwagi tak mówić, gdyby między nami nie było krat!

- Oto podwójnie okazałeś głupotę. Może przypomnisz sobie, że to ja cię za nie wsadziłem. Pokonałem cię na podwórku, kiedy byłeś uzbrojony i miałeś obnażony miecz w ręce. Nie muszę mieć na nic odwagi. Ty natomiast musisz mieć odwagę zmienić nastawienie. Nie było mnie przy tym, kiedy wydawano na ciebie wyrok, i nie miałem w nim żadnego głosu. Decyzję podjęli twoi bracia, których obraziłeś pyszałkowatym zachowaniem. Lecz posłuchaj mego głosu teraz: nie wygrasz. Wstępując do Zakonu, złożyłeś trzy śluby, a najważniejszym z nich było posłuszeństwo. Posłuszeństwo wobec swoich przełożonych i reguły, która narzuca każdemu z nas sposób postępowania. Złamanie tego ślubu sprawiło, że tu jesteś. Nieprzerwany bunt może mieć tylko jeden pewny rezultat, ponieważ twoi bracia nie będą go tolerować... dla dobra ogółu nie mogą go tolerować. A zatem jeśli będziesz trwał w swoim szaleństwie, zostaniesz zamurowany jak inni nieposłuszni ludzie przed tobą. Myślisz, że poczujesz satysfakcję, kiedy zostaniesz zamurowany żywcem i zostawimy cię na śmierć z pragnienia... z powodu głupiej dumy?

Począł na reakcję, lecz w gniewnych oczach rycerza zobaczył jedynie chwilowy błysk czegoś, co mogło być wahaniem lub strachem.

- Ocknij się, bracie, i użyj rozumu, który dał ci Bóg. Nie ma nas tu dość wielu, abyśmy mogli pozwolić sobie na tak niepotrzebną stratę jednego z braci, a rozgrzeszenie jest wciąż w twoim zasięgu. Popatrz na mnie. Nie mam krzyża na opończy, kolczugi, rozwidlonej brody ani tonsury. Lecz wciąż jestem tym samym człowiekiem, którym byłem miesiąc temu i przez całe życie. Jestem tu mistrzem... mistrzem Szkocji, sam słyszałeś, jak to ogłoszono. Za tymi drzwiami twoi bracia są wciąż tacy sami poza tym, że są uzbrojeni i ubrani jak ja, ich brody są krótsze, a tonsury zniknęły. To nie był nasz kaprys. Przed rozpra-

wą słyszałeś, jak ogłaszano powody takiego działania; są uzasadnione i konieczne dla naszego przetrwania. A ty wciąż jesteś nieugięty, więc za twój upór i pychę nazywam cię głupcem. Przerwał na chwilę, po czym ciągnął:

- Pomyśl o tym. Obiecuj mi, że nigdy więcej nie podniesiesz ręki na swoich braci zakonnych, że zgodzisz się na przycięcie brody i dołączysz do reszty na równych prawach, a wypuszczę cię w duchu do brej woli, kiedy tylko wezwiesz mnie i powiesz, że będziesz posłuszny i znów zastosujesz się do reguły. Lecz ostrzegam cię, Martelet, jeśli mnie nie usłuchasz, czeka cię pewna śmierć przez zamurowanie. Wezwij mnie, kiedy postanowisz zachować się rozsądnie. - Z tymi słowami odwrócił się na pięcie i wyszedł, dając sygnał czekającemu wartowni kowi, aby wrócił na stanowisko.

Dwa dni później - słonecznym, lecz zimnym popołudniem — otrzymał wezwanie, przyniesione mu przez Tama. Za Sinclairem podązał niczym uważne szczenię młody Henryk.

- Martelet o ciebie pyta. Pójdiesz?

Will odstawił miecz i oselkę pod ścianę przy stopniu, na którym siedział, i wstał.

- Gorącą kąpiel, Tam, jak najszybciej.

- Kąpiel? Kąpałeś się trzy dni temu!

- Nie dla mnie, człowieku, dla Marteleta. Jest obrzydliwie brudny, śmierdzi i roją się na nim pchły i wszy. Daj mu też jakieś czyste ubrania, a te, które z siebie zdejmie, spal razem z pchłami. Pospiesz się. Henryku, pomóż mu.

Chwilę później Will znów patrzył na Marteleta przez kraty jego celi. Twarz więźnia była teraz spokojna i nie było widać na niej ani śladu gniewu i goryczy, które szpeciły ją wcześniej. Will skinął mu głową.

- Zdecydowałeś się?

Martelet odpowiedział głosem tak spokojnym jak jego twarz:

- Tak. Wyznaję, że byłem arogancki, może nawet trochę obłąkany, a moje zachowanie niewybaczalne.

- Nie było niewybaczalne. Przebaczam ci.

- Dziękuję zatem. Chciałbym, abyś wiedział, że od teraz będę posłuszny.

- Niech tak się stanie. Strażnik! Wypuścić więźnia. Poczekam na

powietrzu. - Ostatnie zdanie skierował do Martcieta, który kiwnął tylko głową, czekając, aż wartownik otworzy celę i go rozkuje.

Wkrótce potem kulił się w jasnym świetle dnia, obiema rękami osłaniając oczy przed blaskiem, od którego się odzwyczaił. Will dał mu chwilę, a potem poprowadził do własnej kwatery, gdzie Tam i Henryk już do połowy wypełnili drewnianą balię gorącą wodą.

- Rzuć swoje ubrania tam, do kąta, a potem wymyj się dokładnie. Użyj mydła, ma właściwości lecznicze i zabije robactwo w twoich włosach, zarówno na głowie, jak i na ciele. I nie bój się, woda nie odbierze ci sił ani nie sprawi, że będziesz bardziej podatny na fortele Szatana. Na tamtym krześle są czyste ubrania, a te buty powinny na ciebie pasować. Na stole pod ścianą znajdziesz nożyce. Tam pomoże ci w stryżeniu, jeśli trzeba. Kiedy będziesz gotów, mój giermek zaprowadzi cię do mnie. Będę w kwaterze preceptora, w towarzystwie jego samego i biskupa Formadieu. Wyrazisz przed nimi skruchę, a oni anulują resztę twojej kary, ponieważ zostałeś skazany w obliczu prawa i według reguły, więc szukając łaski, musisz ich teraz przekonać, że szczerze żałujesz. Do zobaczenia zatem. Będziemy na ciebie czekać.

W godzinę było po wszystkim. Wyszorowany, z przystrzyżoną brodą i uczesanymi włosami oraz ubrany w prostą tunikę i getry Martelet zupełnie nie przypominał człowieka, którego wszyscy potępiali w ciągu ostatnich miesięcy, a trybunał najwyższych rangą braci wysłuchał bez emocji jego kajania się i pokornych prośb o przywrócenie mu miejsca w Zakonie. Trybunał miał do niego niewiele pytań i zadowolił się jedynie uświadomieniem mu, że żyje związany przysięgą i jest uzależniony od ich łaski.

Will z zadowoleniem dostrzegł, że i de Montrichard przeszedł jakiś rodzaj cichej przemiany. Zniknęła nieśmiałość i brak zdecydowania, które go wcześniej cechowały i bardzo martwiły Willa od czasu ich wyjazdu z La Rochelle; teraz był w każdym calu preceptorem Zakonu, energicznym, stanowczym i pełnym autorytetu, przemawiającym jak przystało na kogoś o jego randze. Przypomniał Marteletowi, że przez kolejny miesiąc będzie uważnie obserwowany, a jeśli okaże się, iż jego poprawa zostanie uznana za niewystarczającą, wróci do celi, z której go właśnie wypuszczono, z wyrokiem dwa razy dłuższym niż pierwotny. Ostrzegł go surowo o konieczności ścisłego przestrzegania reguły i go odprawił.

Martelet zawahał się na chwilę, najwyraźniej nie wierząc, że został ułaskawiony i wypuszczony na wolność, a potem skłonił się głęboko i podziękował trybunałowi za przychylność. Odwrócił się i odmaszerował żwawo. Dopiero wtedy Will pozwolił sobie na rozluźnienie: opadł na oparcie krzesła i westchnął głęboko. Z niechęcią wydałby wyrok śmierci na tego człowieka, lecz nie miałby wyboru, gdyby Martelet obstawał przy swoim.

Ledwie zauważył, jak inni zaczęli wstawać i się rozchodzić, a kiedy już się ocknął, jego umysł, uwolniony od troski o Marteleta, zdążył się już zająć innymi, mniej nieprzyjemnymi kwestiami. Chodziło między innymi o zbliżający się powrót okrętu z francuskiego wybrzeża Morza Śródziemnego, zmianę harmonogramu dla żołnierzy, którzy wkrótce mieli wrócić z królewskiej misji na lądzie, absurdalną możliwość zwolnienia braci ze ślubu czystości (myśl ta przychodziła mu od czasu do czasu do głowy, lecz nigdy nie brał jej poważnie pod uwagę), a także gnębiące rozważania, czy odpowiedzieć na list tej Randolph. Zadała sobie znaczny kłopot, aby uspokoić go w kwestii choroby króla, a Will czuł z tego powodu zarówno wdzięczność, jak i wyrzuty sumienia spowodowane przyjemnością, jaką dało mu czytanie listu. Lecz potem przypomniał sobie, że to Bruce rozkazał jej go napisać. Chwytając drewniane gałki na końcach poręczy krzesła i podnosząc się, aby pójść za innymi do refektarza, podjął decyzję, że nie odpisze. W drzwiach okazało się, że Ryszard de Montrichard zatrzymał się i czekał na niego.

- Czy mogę o coś zapytać? - zagadnął, jakby naprawdę spodziewał się, że Will zastanowi się przed udzieleniem odpowiedzi.

- Oczywiście. O co chodzi?

Preceptor odsunął się, aby dać Willowi przejść, a potem zrównał z nim krok.

- Mógłbyś pomyśleć, że o próżną ciekawość, ale tak nie jest. Jak sądzisz, ile czasu zajmie nam wcielenie w życie wszystkiego, co zaplanowałeś dla nas przed wyjazdem do Szkocji? Mogę ocenić, jak radzą sobie moi ludzie, lecz tylko ty znasz sytuację i na północy, i na południu, więc pomyślałem, że zapytam. Ja sam oceniam, że cztery miesiące.

Will spojrzął na niego.

- Na wszystko, włącznie z Lochranżą? Nie, sir Ryszardzie, oba wiam się, że jesteś zbyt optymistą. Aby zasiedlić wyspę w sposób,

który nas zadowoli, będzie trzeba, jak sędzę, co najmniej pół roku, więc skończylibyśmy późnym larem. Mamy wiele do zrobienia, a nie da się tego wszystkiego robić naraz. Musimy postawić domy i baraki, szopy i obory. Muszą być porządne; ich dachy i ściany powinny wytrzymać każdą pogodę. Zbudujemy je z torfu, więc będą solidne, lecz najpierw trzeba go wykopać. Konieczne jest też przygotowanie stanowisk na plażach, gdzie będzie można wyciągać na ląd galery i statki, aby zdrapać z ich brudnych kadłubów pąkle i skorupiaki. To będzie wymagało pracy. W okolicy jest dość odpowiednich miejsc, lecz nikt nigdy nie dostosowywał ich do takich celów, więc będziemy musieli zacząć od samych podstaw. O ścinaniu drzew wiesz, lecz to nie potrwa pół roku. Główny tracz de Pairauda powiedział mi, że zużyjemy wszystkie odpowiednie drzewa w trzy miesiące, więc potem będziemy się zajmować już tylko cięciem i układaniem pozostałych kłód. A ponadto są jeszcze nasze obowiązki jako wspólnoty i święte dni, a także bezustanna musztra, w tym ciągłe wymiany kolejnych grup wojów między Arran a Szkocją. Nie, przyjacielu, wierz mi: będziemy mieli zaiste szczęście, jeśli uda się nam to skończyć w sześć miesięcy.

Dotarli do drzwi refektarza, a kiedy weszli do środka, okazało się, że są spóźnieni - jeden z braci już czytał milczącemu zgromadzeniu lekcję na ten dzień. Dwaj najwyżsi rangą członkowie społeczności cicho udali się na miejsca.

Spis grzechów

1

Jessie Randolph siedziała na kamienistym wypiętrzeniu górującym nad Nith w miejscu, gdzie rzeka wiła się spokojnie od strony niskich wzgórz na północy, mijając jej dom, aż do Solway Firth i angielskiej granicy, biegnącej kilka mil dalej na południe. Nie ruszała się, chłonąc rozpościerającą się przed nią perspektywę i wsłuchując się w ciszę letniego popołudnia, przerywaną jedynie krzykami dzieci bawiących się za nią, na zboczu wzgórza, oraz nieprzerwaną pieśnią drozda przycupniętego na którymś z niskich budynków stojących jakieś dwieście kroków od niej, po lewej. Za jej plecami słońce już zachodziło, rzucając cienie wzgórz przed nią, w stronę rzeki, a Jessie ścisnęło w brzuchu z podniecenia, kiedy sięgnęła za wycięcie tuniki i wyciągnęła wiszącą między piersiami miękką sakiewkę z materiału, czując pod palcami schowany w niej ciasny rulonik pergaminu; zadrżała, kiedy na jej ramionach pojawiła się nagle gęsia skórka. W sakiewce był list, którego samo istnienie zdawało się szokujące i z każdą chwilą przybierało na znaczeniu. Jego treść oraz kusząca, prawdziwa możliwość wysłania go sprawiały, że serce trzepotało jej w sposób, jakiego nie doświadczyła od lat, od kiedy była dziewczyną marzącą o pierwszej miłości.

Obejrzała się za siebie, niemal śmiejąc się ze swojego niewyraźnego poczucia winy, a dostrzegłszy, że wciąż jest sama, poluzowała sznurek i wyciągnęła list, po czym rozwiązała jedwabną wstążkę, którą był owinięty. Napisała go na kilku arkuszach pięknego, niezwykle cennego pergaminu, uważnie przyciętych do tego samego rozmiaru. Pergamin ten był częścią zapasu wybląganego przez nią u Bernarda z Linton, opata Arbroath, który niewiele wcześniej został skrybą króla Roberta, a którego poznała i polubiła podczas swojego pobytu na północy,

kiedy zajmowała się chorym monarchą. Trzymała zwinięte arkusze w jednej dłoni, opierając łokieć na podniesionym kolanie i patrząc niewidzącym wzrokiem w stronę wody, całkowicie nieświadoma obrazka, który przedstawiała.

Trzydziestopięcioletnia Jessica Randolph, baronowa Saint Valery, była wspaniałą kobietą o szerokich biodrach i ramionach oraz wąskiej talii, długich, smukłych nogach i wysokich, dumnych piersiach, które podkreślał jej ubiór. Gdyby była tego świadoma, może by ją to rozśmieszyło, ponieważ włożyła tego dnia to, co nazywała swoim skandalicznym strojem: zgorszył on wszystkie kobiety w okolicy, kiedy pierwszy raz ją w nim zobaczyły. Często myślała, że najpewniej zgorszył też ich mężów, lecz żaden z nich nie miał odwagi go skomentować. Tak naprawdę miała na sobie przerobione na jej potrzeby męskie ubranie, które przywiozła ze sobą z Francji: długie bryczesy z giemy, ciasne na siedzeniu i rozszerzające się od kolan. To, że opinały jej ciało, ukrywała giemzowa, sięgająca kolan tunika, włożona na zwykły gorset o kwadratowym wycięciu, zrobiony z miękkiej, drobno tkanej wełny. W talii Jessie zacisnęła ciężki, znoszony i giętki skórzany pas, z którego zwisał długi sztylet w pochwie. Jej buty - zrobione przez mistrza szewskiego z majątku jej świętej pamięci męża - były z tej samej skóry, i choć miały ciężką podeszwę, stworzono je ponad wszelką wątpliwość na jej stopę i były miękkie jak rękawiczki.

Z daleka mogła uchodzić za mężczyznę, lecz z bliska nie można było przeoczyć jej uderzającej kobiecości. Włosy, lśniące na rudo w popołudniowym słońcu, sięgały za ramiona i związane były luźno rzemykiem. Twarz i ramiona miała opalone, tak że jej wielkie oczy sprawiały wrażenie, jakby się skrzyły, uwydatnione gładkością lekko piegowatej skóry na jej kościach policzkowych. Barwa jej oczu - jak słyszała na przestrzeni lat dość często, aby w to uwierzyć - była nie do opisanego przez większość mężczyzn. Dominowała szarość, choć w zależności od światła zmieniały kolor na błądy lub ciemny błękit, a czasami wyglądały raczej na zielone.

Jakiś ruch u jej stóp sprawił, że zerknęła w dół, aby zobaczyć, jak mija ją truchtem nornica; Jessie przyglądała się przyjaźnie, kiedy zwierzę umknęło w stronę podnóża jej siedziska i zniknęło gdzieś za kuszą i kołczanem bełtów, opartymi o głaz. Na widok oręża ponownie odwróciła głowę i zerknęła w stronę rozciągających się poniżej

i po prawej lasów Caim - jednego z niewielu zalesionych terenów w okolicy - gdzie poprzedniego dnia jeden z miejscowych widział niedźwiedzia. Nie spodziewała się, że go zobaczy, lecz szansa na to była dość duża, aby skłonić ją do zabrania ze sobą tego popołudnia kuszy. W dole jednak nic się nie ruszało, a ona uderzyła kilkakrotnie pergaminem o dłoń, jeszcze raz upewniła się, że w zasięgu wzroku nikogo nie ma, i zaczęła cicho czytać słowa, które tak starannie ułożyła w ciągu poprzednich kilku dni. Przeczytała sam początek, zawahała się, zaczęła jeszcze raz, a po dwóch czy trzech zdaniach urwała i machnęła listem z frustracją.

Mój Boże, Willu Sinclairze, masz pojęcie, w jakieś' mnie wpędził kłopoty? Jak mogę...? Nie, nie masz pojęcia, ty uparty, prawy, głupi człowieku. Skąd możesz je mieć? Jesteś daleko na swojej głupiej, małej wysepce, bawiąc się w świętoszkowatego mnicha, podczas gdy wszyscy twoi ciemni bracia we Francji gniją w lochach króla Filipa, torturowani przez tych samych ludzi, którzy... Ach! Boże, daj mi cierpliwość!

Wstała, ponownie ciasno rolując list i rozglądając się za wstążką, którą był obwiązany. Spadła poniżej miejsca, gdzie Jessie upuściła ją na ziemię, i utknęła głęboko w wąskiej szczelinie w skalistym podłożu. Jessie musiała oprzeć stopę na kamieniu, aby utrzymała jej ciężar, kiedy pochylała się po wstążkę. Odzyskała ją z pewną trudnością i w końcu wyprostowała się, zdmuchując kosmyk włosów z oczu, a wtedy zobaczyła kształt swojego wyciągniętego uda, opiętego skórzanymi bryczesami. Rozbawiło ją to.

Słodki Jezu, Will, gdybyś mnie zobaczył tak ubraną, nie mógłbyś się modlić przez dwa tygodnie. Taki widok wdarłby się w twoje najczystsze myśli i sprawił, że byś się nachmurzył jak chmura gradowa.

No cóż, panie rycerzu, wyślę ci ten list. Każę mojemu młodemu kuzynowi Hugonowi osobiście zawieźć go na Arran. Zbyt wiele czasu i pracy poświęciłam na jego napisanie, żeby miał się zmarnować. Poza tym dlaczego miałabym go nie wysłać? Dowiesz się z niego o swojej siostrze Peggy i o radości, jaką sprawił jej twój podarek, a także o królu i o tym, co usłyszał we Francji o twoim Zakonie. Jesteś w niełasce, Willu Sinclairze, wraz z całym swoim bractwem, bez względu na to, czy jest to uzasadnione. Czas zapomnieć o powrocie i znaleźć sobie nowe życie tu, w Szkocji. Prawdziwe życie, jako prawdziwy mężczyzna, z żoną, która dałaby ci szczęście. Dobry Boże, tylko mnie

posłuchaj! Rozmawiać o małżeństwie z mnichem! Chyba oszalałam...
Lecz przynajmniej, z chęcią znoszę to szaleństwo. A teraz...

Wysoki krzyk dobiegający zza jej pleców sprawił, że odwróciła się i podniosła wzrok, aby zobaczyć, jak dwunastoletnia Marjorie Bruce - jej przyszywana bratanica, tak naprawdę z rodziny króla Roberta - zostawiła swoich przyjaciół i biegła, nawołując, po zboczu wzgórze. Od czasu poznania dziewczynki Jessie mówiła do niej wyłącznie po francusku, ponieważ dla ich obecnych celów oraz dla bezpieczeństwa samej Marjorie miała ona być Francuzką. Obdarzona dobrym uchem do języków dziewczynka uczyła się szybko, więc teraz mówiła już bez wysiłku i bez śladu ojczystej mowy. Wciąż była zbyt daleko, aby Jessie mogła dosłyszeć, co krzyczy, lecz widać było, że to coś pilnego.

- Poczekaj tam! - krzyknęła Jessie. - Idę do ciebie!

Szybko chwyciła kuszę i kołczan, który zarzuciła na ramię, i zaczęła się wspinać po zboczu.

- O co chodzi, dziecko? - spytała, kiedy już się zbliżyła do Marjorie. - Co się stało?

- Nadjeżdżają jacyś ludzie, ciociu, stamtąd, zza wzgórze.

- Z zachodu? Z Annandale? Ilu?

- Nie wiem. Są za daleko, żeby policzyć, ale jadą tutaj.

- Pokaż mi.

Dziewczynka się odwróciła i ruszyła biegiem pod górę, a Jessie przyspieszyła kroku, aby za nią nadążyć, wspominając czasy, kiedy i ona mogła traktować strome zbocza jak płaską ziemię. Martwiła się jednak, kto mógłby zbliżyć się z zachodu. Ziemie Annan należały do ojca króla, Roberta Bruce'a z Annandale, lecz - tak samo jak jej Nithsdale - od zawsze leżały na głównej trasie inwazji z południa, a podczas wojen toczących się w kilku poprzednich latach bardzo się wyludniły, ponieważ miejscowi zaczęli uciekać przed wszechobecnymi Anglikami między wyższe wzgórze. Doliny Annan i Nith, a także resztę południa Szkocji wielokrotnie wypalono do gołej ziemi w ciągu ostatnich pięciu lat, aby armie króla Edwarda nie mogły zdobyć żadnego pożywienia.

W końcu dotarła na szczyt wzgórze, gdzie dzieci podskakiwały z ekscytacją, trajkocząc i pokazując palcami coś w oddali. Dysząc, Jessie osłoniła ręką oczy przed światłem zachodzącego słońca. Było ono intensywne, lecz jej wzrok szybko się przyzwyczaił i dostrzegła nie-

możliwe do pomylenia z innymi odbłyśki promieni odbijających się od oręża, zbroi i metalowych części rzędów końskich. Jessie uznała, że ludzie mają jeszcze do pokonania jakieś trzy mile, ponieważ nie minęli charakterystycznego skalistego pagórka zwanego wśród miejscowych Lampartem, które górowało dwie i pół mili od niej. Marjorie stała blisko niej na palcach, wyciągając szyję, aby dostrzec jak najwięcej.

- Masz lepsze oczy niż ja, dziecko. Widzisz, ilu ich jest?

- Nie, ciociu, ale dużo wśród nich niebieskiego.

Jessie nie widziała żadnego niebieskiego, lecz nie podała stwierdzenia dziewczynki w wątpliwość. Ludzie ci przybywali z Annanda-le, z ziem Bruce'a, a kolorami Jamesa Douglasa były biel i błękit - Douglasa, którego ledwie kilka miesięcy wcześniej sam król mianował namiestnikiem całego południa. Natychmiast zdała sobie sprawę z tego, w co jest ubrana. Jej skandaliczny strój nie był odpowiedni na powitanie młodego wysłannika królewskiego. Okręciła się nagle na pięcie, chwytając swoją podopieczną za ramię.

-To sir James Douglas, przybywa tu w sprawach króla. Muszę biec do zamku i przebrać się, aby go przyjąć. Zostawiam ci zebranie pozostałych i bezpieczne zaprowadzenie ich z powrotem. Możesz to zrobić?

- Oczywiście, ciociu. — Marjorie Bruce odwróciła się i zaczęła wołać inne dzieci, a Jessie już odchodziła, opierając kuszę na ramieniu. Jej długie nogi niosły ją bez wysiłku w dół zbocza, w stronę odległej o niecałe pół mili grupy budynków.

Była już na wpół rozebrana, kiedy weszła do własnego domu, lecz na szczęście dookoła nie było nikogo, kto mógłby ją zobaczyć w tym niezwykłym stanie. Wołając głośno swoją służkę, Marie, wyciągnęła zza dekoltu sakiewkę i rzuciła ją na stół ustawiony tuż za drzwiami jej komnaty, po czym połuźniła wiązania z przodu bryczesów i zsunęła je. Tunika opadła na ziemię obok nich, a Jessie chwyciła rąbek spodniej koszulki i ściągnęła ją szybko przez głowę. Potem - ubrana tylko w wysokie buty - podeszła do wielkiej francuskiej szafy, w której przechowywała większość swojej bardziej oficjalnej garderoby.

Ponieważ była prawie pusta, nie zastanawiała się długo i już wkrótce stała wyprostowana, niecierpliwie tupiąc stopą, kiedy Marie zmała się z wiązaniami gorsetu jej wystawnej, zielonej sukni. Była to wspaniała kreacja, wyróżniająca się wśród ubrań miejscowych kobiet

jak pyszniący się paw w stadzie gęsi, lecz cudownie podkreślała kolor jej oczu i włosów - jak mawiało już wielu żarliwych wielbicieli -i Jessie wiedziała, że wywrze odpowiednie wrażenie na młodym pełnomocniku króla.

- Twoje włosy, pani - powiedziała Marie z troską w głosie. - Trzeba im... czegoś.

-To zrób... coś. Byle szybko. Nasi goście mogą tu być za moment.

Podczas tych kilku chwil, których Marie potrzebowała na upięcie włosów Jessie w coś, co jej zdaniem przypominało fryzurę odpowiednią dla damy, sama baronowa przyglądała się sakiewce zawierającej list. Była to wyjątkowa torebka, choć nikt nigdy nie zwrócił na nią specjalnej uwagi. Należała jednak do Willa: uszyta była z chustki, którą wyciągnął zza tuniki, aby zawinąć w nią prezent dla siostry. Jessie pamiętała, jak brała ją od niego, pamiętała jej dotyk pod palcami, ponieważ była ciepła od jego ciała i, jak odkryła w chwilę po opuszczeniu namiotu, pachniała czystym, intymnym zapachem jego skóry. Dostarczyła podarek Peggy Sinclair i cieszyła się jej radością, lecz chustkę zatrzymała dla siebie, od czasu do czasu wachając ją czule -i głupio, jak czasem sobie mówiła - kiedy była sama, jeszcze długo po tym, jak delikatny aromat jego obecności osłabł i zniknął. Nie potrafiła się jednak z nią rozstać, więc uszyła z niej prostokątną torebkę, w której trzymała niezbędne jej każdego dnia drobiazgi: grzebień, saszetkę płatków róż i suszonej lawendy, igły i nić schowane starannie w małym etui z polerowanej kości słoniowej z jakiejś egzotycznej krainy, małe lustro z polerowanego srebra zawinięte w aksamit, a teraz śmiały list, którym złamała obietnicę nieprzeszkadzania mu po swoim powrocie do Nithsdale.

- Proszę, pani. Skończone. Nikt się nie pozna, że dopiero co ucze sane. Ale buty...

- Buty są bardzo wygodne. Nikt ich nie zobaczy.

Jessie wstała, biorąc od Marie metalowe lustro. Szybko sprawdziła w nim swoje odbicie i podziękowała kiwnięciem głowy.

- Jesteś cudowna, Marie. A teraz podaj mi ze stołu sakiewkę, jeśli łaska, i możemy powitać naszych gości.

2

Kiedy Jessie doszła do głównej bramy, na dziedziniec wjeżdżała właśnie ze stukotem kopyt pierwsza grupa miejscowych wojów, szkockich zbrojnych ze stanowiącego od dawna przedmiot sporu pogranicza między Szkocją i Anglią, dosiadających podobnych do kuców koni zwanych garronami. Nie miała problemu z przywołaniem na twarz uśmiechu na powitanie młodego, pełnego wigoru Jamesa Douglasa, który dostrzegł ją od razu po tym, jak dotarł galopem na podwórzec, i wyszczerzył zęby, zrywając z głowy czapkę z piórem i kłaniając się w siodle.

- Lady Jessico! - krzyknął. - Zmęczeni wędrowcy rzadko mogą ujrzeć tak wspaniały widok, jaki przedstawiasz w tych drzwiach. - Podjechał koniem tak blisko, jak tylko się dało, a potem ześlizgnął się z jego grzbietu i ujął jej wyciągniętą dłoń, pochylając się nad nią. - Pani, musisz wybaczyć mi tę niezapowiedzianą wizytę, nie miałem wyboru. Dwa dni temu natknęliśmy się na Angoli, a było ich dwa razy więcej niż nas, więc postanowiliśmy uciec i się schować. - Miał na twarzy uśmiech, lecz Jessie wiedziała, że mówi całkiem poważnie. Król Robert wyraźnie zakazał swoim dowódcom wdawania się w cokolwiek, co przypominało otwartą bitwę; rozkaz ten, choć logiczny i rozsądny, niezbyt spodobał się wielu jego podwładnym. Najzdolniej szym i najbardziej zapalczywym z nich był młody Douglas, więc Jessie mogła zgadnąć, ile kosztowała go „ucieczka”, jak to ujął.

Spojrzała mu w oczy i kiwnęła głową.

- A zatem jesteś tu mile widziany, milordzie. Są niedaleko za wami?

- Anglicy? - Roześmiał się. - Nie, pani, są mile stąd, szukają nas

w jakiejś odległej części Galloway. Wczoraj w nocy łatwo im umknęliśmy, kiedy brnęli przez bajora i bagniska na zachód, podczas gdy my zawróciliśmy i przybyliśmy tutaj. Nie przywiódłbym ich ze sobą, żeby cię trapiłi. Za to przywiódłem kogoś innego, żeby cię zabawił... Dołączył do mnie w zeszłym miesiącu.

Wskazał kciukiem za ramię, a Jessie zerknęła, aby sprawdzić, o co mu chodzi. Na dziedzińcu tłoczyło się teraz około czterdziestu ludzi, którzy schodzili z siodeł i zaczęli kręcić się po zamkniętej przestrzeni, lecz jeden z nich wyróżniał się spośród innych: wysoki mężczyzna w kolczudze i wypolerowanym, stalowym hełmie. Stał do niej plecami, wyglądając chyba poza budynki gospodarcze otaczające podwórzec.

- Jest nieśmiały - rzekł Jamie, a potem podniósł głos. - Tomaszu, nie przywitasz naszej gospodyni?

Wysoki mężczyzna zeszywniał, a potem odwrócił się powoli; nawet z daleka Jessie widziała rumieniec na jego policzkach, kiedy Douglas znów krzyknął:

- Chodź no tu, człowieku, i zachowaj się jak na uprzejmego dwo rzanina przystało.

Jessie poczuła, że rozdziawia usta, patrząc na nieznajomego, który dopiero teraz na nią spojrział wzrokiem pełnym czegoś, co mogła nazwać jedynie wstydem. Znała go, poznała go bez trudności, lecz jej umysł nie potrafił zaakceptować tego, że jest przy niej.

- Tomasz - powiedziała, a jej głos był niewiele głośniejszy niż szept. Potem rzekła głośniejszym głosem: - Tomaszu, czy to ty?

Ten skinął głową i podszedł wolno, a jasna skóra jego twarzy płonęła rumieńcem.

- Ciociu Jessie, wybac mi. Boję się, że może nie chcesz mnie pod swoim dachem.

Wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

- Moim dachem? O czym ty mówisz? To twój dach, Tomaszu. To twój dom. Ależ ty... Myślałam... Skąd się tu wzięłeś?

Sir Tomasz Randolph, syn jej najstarszego brata i siostrzeniec samego Bruce'a przez jego przyrodnią siostrę, podszedł bliżej. Wyglądał na nieszczęśliwego i zażenowanego.

- Myślałaś, że jestem w Anglii jako wasal Plantageneta, zdrajca mojego rodu i krewnych, czy tak?

Jessie aż się zachłysnęła, a potem nieco obruszyła.

- No cóż, i tak, i nie. Na pewno myślałam, że jesteś w Anglii jako więzień pojmany pod Methven. Lecz zdrajca? Nie. To nigdy nie przy szło mi do głowy. Nikt, kto nazywa się Tomasz Randolph, nie mógłby być zdrajcą. Skończ więc uzalać się nad sobą, nie pasuje to do ciebie. A teraz mów prawdę: skąd się tu wzięłeś?

Zanim młodzieniec zdążył odpowiedzieć, Jamie Douglas odsunął się i zaczął wydawać swoim ludziom szybkie komendy, każąc im się uspokoić i rozejść cicho, bez zamieszania, na co Jessie odwróciła się, aby mu przerwać.

- Ilu was jest, sir Jamesie?

- Czterdziestu czterech, pani, włącznie z nami... młodym Tomaszem i ze mną.

-A zatem możemy was wszystkich zakwaterować pod dachem. Za gospodarstwem są cztery chałupy, oddzielone od głównych budynków. W każdej zmieści się wygodnie dwunastu ludzi. Niech się w nich rozlokują, a za nimi ustawią paliki dla koni. Będą miały gdzie się paść, a ja każę moim ludziom... ludziom sir Tomasza... aby zaczęli przygotowywać stawę dla wszystkich. Cztery dni temu musieliśmy zabić wołu, który złamał nogę, więc mamy dość mięsa. Obawiałam się, że duża jego część się zmarnuje, lecz teraz zrobimy z niego dobry użytek. Myślę jednak, że zjemy dopiero dobrze po zmroku.

Gdy znów odwróciła się do swojego bratanka, zobaczyła, że rumieniec wstydu znikł już z jego twarzy i młodzieniec patrzy na nią z wdzięcznością i podziwem w oczach.

- No, będziesz tu stał całą noc, Tomaszu? Wejdz do środka. Pod twoją nieobecność pilnowałam, żeby w domu było czysto i ciepło, lecz teraz, kiedy wróciłeś, jestem twoim gościem.

Natychmiast uniósł rękę, a potem skłonił się w pas, uśmiechając się nagle, tak że wydawało się, iż samo słońce świeci w jego oczach.

-Nie, ciociu Jess. Nawet tak nie mów. Jestem... przejazdem. Nic ponadto. Ten dom jest twój tak długo, jak zechcesz. I jestem wdzięczny.

- Wdzięczny? Za co?

- Za twą wyrozumiałość i dobrą wolę. Sir James mówił mi, że jesteś blisko z królem. Pielęgnowałaś go, gdy był chory. Myślałam, że będziesz mi miała za złe, iż chwyciłem za broń przeciwko niemu.

-Ano... Cóż, myliłaś się. Rozmawiałam o tobie z królem, kiedy

dotarła do nas zeszłej zimy wieść, że dołączyłeś do Anglików. Nawet wtedy nie żywił do ciebie urazy, wiedząc, że jeszcze nie znasz realiów wojny, którą on dzisiaj toczy. Powiedział, że przypominasz mu jego samego w tym wieku, a życie jeszcze nie stłumiło twojej pogodnej wiary w ideały rycerskości i honoru. Obawiał się, że uważasz go za bandytę, który nie zasługuje na tytuł rycerza. Smuciło go to. Lecz o tym pomówimy później. Muszę dużo zdziałać, żeby nakarmić twoich towarzyszy, a już robi się późno. Przyjdź, kiedy zrobisz wszystko, co masz zrobić, i przyprowadź ze sobą sir Jamesa. Będę wtedy miała coś więcej niż wodę na zaspokojenie waszego pragnienia. Idź już.

Znów się zarumienił, choć teraz już nie wskutek zakłopotania, a ona poczuła, że po jej ustach przemyka uśmiech, ponieważ pomyślała, że jest to może najbardziej pociągający mężczyzna, jakiego widziała: wysoki, barczysty, o jasnych włosach i twarzy. Uznała, że ma najwyżej dwadzieścia lat - byłby więc od niej prawie dwa razy młodszy - i że odziedziczył po ojcu wyprostowaną, swobodną posturę, a po matce długie kończyny, złote włosy i jasnoniebieskie oczy. Odchodząc od niej, zdjął pas, na którym wisiał jego miecz, a ona podziwiała pewny gest, jakim rzucił oręż czekającemu siwobrodemu wojowi; potem przekroczył bramę i wyszedł na pola, w stronę chałup. Wtedy Jessie przypomniała sobie, co ma do zrobienia, i czym prędzej odwróciła się w stronę drzwi.

Od tej chwili do późna w nocy, po podaniu obfitej, lecz prostej wieczerzy - pieczonej wołowiny, świeżego owsianego chleba i gotowanej zieleniny z octem i masłem — Jessie prawie nie miała wolnej chwili, dotrzymując wszystkim towarzystwa, nadzorując przygotowanie posiłku oraz zakwaterowanie ponad czterdziestu niespodziewanych gości. Tak więc tuż przed północą z wielką ulgą opadła na solidne, tapicerowane krzesło, stojące przy ogniu w głównej komnacie gospodarstwa, zadowolona, że jej dwaj goście już tam na nią czekają, wygodnie usadowieni.

Douglas drzemał, kiedy weszła, lecz zerwał się równie szybko jak jej bratanek i zaprowadził ją w stronę głównego krzesła w pomieszczeniu, tuż przed rozpalony torfem ogień płonący w kamiennym palenisku. Podziękowała mu uśmiechem i cichym słowem, a potem pozwoliła sobie rozsiąść się na krześle i rozejrzeć po mrocznej, wygodnej komnacie. Choć spora, miała niski sufit z wzmocnionym żelazem

belkowaniem, aleumeblowana była wygodnie - czterema potężnymi fotelami i głębokim łóżem oraz ogromnym stołem z niezwykle starej, ręcznie rzeźbionej czarnej dębiny, otoczonym dwunastoma identycznymi krzesłami. Wszędzie pełno było świec, czy to w lichtarzach na ścianach, czy w pojedynczych świecznikach, a po dziesięć płonęło w dwóch kandelabrach na stole. Ich światło odbijało się we wszystkich pionowych powierzchniach i sprawiało, że w kątach pokoju zalegały ciemne, migoczące cienie. Jessie westchnęła z zadowoleniem i ruchem ręki odmówiła, kiedy bratanek wyciągnął w jej stronę kubek wina.

- Nie, Tomaszu. Zbyt już późno, a jutro musimy wstać o świcie. Siadaj więc i mów, co cię tu sprowadza tak niespodziewanie, ponieważ wciąż nie wiem.

Randolph wyszczerzył zęby. Przełał wino z kubka, który proponował Jessie, do własnego, a potem wskazał nim Douglasa, który zdążył już na powrót zapaść się w swoje krzesło.

- Sir James, mój porywacz, pomyślał, że powinniśmy cię odwiedzić.

Jessie zerknęła na drugiego mężczyznę.

- Twój porywacz?

- Nie inaczej. W zeszłym miesiącu, pod Peebles, odebrał mi miecz. Dałem mu słowo honoru, że nie będę próbował umknąć do Anglii.

Douglas pokręcił głową smętnie.

- Słuchasz pełnych poczucia winy bzdur, lady Jessico. To prawda, pojąłem go. Lecz potem zabrałem go prosto do króla, który wybaczył mu wszystkie szaleństwa i okazał swoją łaskę w zamian za ślub lojalności. Więc cała ta niewola to nonsens. Twój bratanek ocenia się surowiej niż ktokolwiek inny.

- Rozumiem... - Oczywiście nie rozumiała. — Dlaczego zatem jest tu z tobą?

Douglas wyprostował się i wyciągnął pusty kubek w stronę sir Tomasza, który zaniósł go do stołu i napenił winem ze srebrnego dzbana.

-Jestem jego pokutą, pani. Za swoje grzechy musi wytrwać ze mną i moimi rozbojami... aż nauczy się zasad wojny.

Jessie zmarszczyła brwi, jeszcze bardziej zmieszana.

- Rozbojami? Nie pojmuję...

- To milord mówi teraz bzdury, ciociu. - Tomasz odniósł kubek Douglasowi, a potem znów usiadł z chmurną miną.

- Chciałem osądzić mego wuja Roberta jako człowieka nie zasługującego na zaszczyt bycia rycerzem. Wiesz to już, lecz taka jest zwykła prawda. Kiedy pojmano mnie po bitwie pod Methven, zabrano do króla Edwarda, który okazał mi wielką dobroć i szczodrość. Przez kolejne miesiące wykorzystywał moją łatwowierność, moją... grzeszną arogancję. Usiłował mnie przekonać, i ze wstydem przyznaję, że mu się udało, iż prawdziwy król nie toczyłby wojny tak, jak chce zrobić to w Szkocji ten niewdzięczny pyszałek... tak nazywał króla Roberta... ignorując wszelkie reguły bitewne, paląc, grabiąc i mordując z ukrycia, a potem uciekając między wzgórza niczym dziki rozbójnik, który nie śmie walczyć jak człowiek honoru. Ku mojej wiecznej hańbie wierzyłem we wszystko, co mówił.

- Rozumiem... A co sprawiło, że ci się odmieniło?

- Widok lady Isobel MacDuff, hrabiny Fife i żony hrabiego Buchan, wiszącej nago w klatce na murach Berwick... - Słowa te zawisły w powietrzu na długą chwilę, zanim młody rycerz znów się odezwał. - Nie wierzyłem w to, dopóki nie zobaczyłem tego na własne oczy... rycerskości Edwarda Plantageneta. Anglicy niezwykle radowali się zemstą swojego króla na kobiecie, która wbrew niemu i całej swojej rodzinie koronowała króla Szkocji. Kiedy ją tam zobaczyłem, nie mogłem zaprzeczyć kolącej w oczy prawdzie, zacząłem kwestionować wszystko, co mi powiedziano. Co za człowiek, czy jest rycerzem, królem, czy jednym i drugim, splamiłby same podstawy honoru, zniżając się do takiego czynu? - Patrzył prosto na Jessie, nie unikając jej spojrzenia. - *Od* tej chwili zacząłem zwracać uwagę na to, co robiono moim rodakom w imię sprawiedliwości wymierzonej przez króla Anglii, i wkrótce zrozumiałem, czym ona jest: zachłanną, nieustępliwą żądzą władzy, płonąca w sercu niegdyś wielkiego, lecz teraz obłąkanego człowieka. Zacząłem więc myśleć o powrocie do domu, lecz mój wstyd był zbyt wielki... Mój wstyd i, obawiam się, moja zraniona duma. Kiedy jednak spotkałem sir Jamesa na polu bitwy, byłem już gotów rzucić miecz i stanąć w obliczu króla, którego zhańbiłem.

-Jak powiedziałem, tak też się stało - wtrącił Douglas. - Niezwykle elokwentnie opowiedział o swej utracie złudzeń. Król i ja mu uwierzyliśmy.

Jessie spojrzała na niego.

- Czemu więc jest z tobą teraz dla pokuty?

Młodzieniec uśmiechnął się do niej.

- Ponieważ i ja jestem kimś, kogo wcześniej uważał za rozbójnika. Towarzyszy mi teraz, aby dopełnić swojej edukacji i zobaczyć na własne oczy, co robię, aby oczyścić tę krainę z Angoli, a także tym wyraźniej zrozumieć, dlaczego jest to konieczne. Jego Miłość uznał, że ja lepiej niż on, nadaję się do nauczania młodego Tomasza, co po ciąga za sobą zaprowadzenie pokoju w tym smutnym królestwie. Nie możemy walczyć z Anglikami w otwartej bitwie; jest to kwestia siły, nie chęci czy zwykłej determinacji. Nasze oddziały są dziesięciokrotnie nie mniejsze, a zapasów mamy może jedną dwudziestą. Ich rezerwy w Anglii mają nad nami niewyobrażalną przewagę liczebną. A jednak musimy walczyć, wykorzystując wszystko i wszystkich, których mamy do dyspozycji. Jeśli tego nie zrobimy, zwyciężą. Nie możemy dać im czasu na zebranie sił czy szansy na umocnienie pozycji. A zatem nęka my ich niczym rozbójnicy, jak powiedział Edward. Stary Plantagenet już nie żyje, dzięki Bogu, więc presja jest mniejsza, lecz choć jego syn, Caernarvon, nigdy nie będzie człowiekiem tego samego formatu, baronowie są teraz potężniejsi niż kiedykolwiek przedtem i grożą, że zbuntują się przeciw niemu, wyczuwając jego słabość i potępiając pederastię. Lecz pragną też Szkocji, ponieważ dotarł do nich zapach krwi i władzy; chcą rozerwać nasze królestwo na kawałki i podzielić się nim. Baronowie Gloucester, Leicester, Northumberland i Hereford to jedynie przywódcy stada, a każdy z nich może w ciągu siedmiu dni wystawić więcej ludzi z samych swoich ziem, niż my moglibyśmy zebrać w całym kraju przez rok. Zatem sir Tomasz stał się moim uczniem i przyznam ci, że jest wielce obiecujący. Zrobimy jeszcze z twojego bratanka rozbójnika, pani, a Anglicy będą zważać na to, gdzie będzie się pojawiał. Wierz mi.

Jessie kiwnęła powoli głową.

- Wierzę ci, panie... Czy król jest zdrowy? Ma się dobrze?

- Tak, pani, z łaski Boga, a los znów się do nas uśmiecha. Kontroluje teraz cały północny wschód, ponieważ w zeszłym miesiącu ludzie w Aberdeen zbuntowali się i wyrzucili z miasta angielski garnizon, co oznacza, że po raz pierwszy mamy własny port. Jego brat, sir Edward, spędził ostatnie dwa miesiące, ujarzmiając MacDowalów i ich ośrodek w Galloway. Udało mu się. Z pomocą Angusa Oga i jego górali rozgromił MacDowalów i ich angielskich rekrutów pod komendą In-

grama d'Umfraville'a i Aymera Saint Johna, choć miał tylko pięćdziesięciu rycerzy. Dopiero co stamtąd przybywamy, wioząc meldunki od sir Edwarda dla króla, i musimy teraz udać się na północny zachód, ponieważ sam król szykuje się tam do potyczki z MacDougallami z Argyll.

Jessie zmarszczyła brwi.

- Obowiązuje zawieszenie broni z MacDougallami.

- Obowiązywało, pani. Skończyło się w zeszłym miesiącu, a syn starego wodza, Kulawy Jan z Lorne, spędził ten czas, zbierając zbrojnych, aby wznowić walkę o zdetronizowanie Jego Miłości. Lecz nawet wśród MacDougallów król ma ludzi, którzy teraz skłaniają się ku jego sprawie, więc jest doskonale świadom tego, co się dzieje. Chce więc zdeptać gadzinę, maszerując na Argyll przez przełęcz Brander. Tomasz i ja dołączymy do niego; mamy spotkać się z nim za dziesięć dni nad Loch Awe. Jeśli uda nam się w Argyll i Kulawy Jan przegra... a tak się stanie... na północy będzie sprzeciwiał się królowi już tylko hrabia Ross. A kiedy ten arcyintrygant ujrzy swój błąd i pokaja się, co na pewno nastąpi, Robert Bruce faktycznie zostanie królem całej Szkocji. Módl się, aby tak się stało, pani.

- Tak zrobię, bez obaw. A teraz powiedz mi, panie, czy masz jakieś wieści z Arran?

Douglas zmrużył oczy i powoli pokręcił głową.

- Nie, lady Jessico, nic nie słyszałem. Lecz to na pewno oznacza, że nie dzieje się tam nic złego. Złe wieści szybko się roznoszą, a gdyby była dla nich jakaś przyczyna, już byśmy je poznali. Wiem jednak, że pod koniec czerwca pojawiła się nowa grupa konnych z wyspy i jest ich teraz więcej. Król Robert jest bardzo zadowolony z niezachwianego poparcia, które otrzymał z Arran. - Zawahał się, po czym dodał: - I od sir Williama. - Znów urwał na chwilę. - Wybacz pytanie, pani, lecz czy jesteś w kontakcie z tamtejszym bractwem?

- Nie, panie, choć w przeszłości tak było, w imieniu króla Roberta. Dlaczego pytasz?

Douglas miał na tyle przyzwoitości, że wyglądał na zawstydzonego, lecz potem wzruszył ramionami.

- Ponieważ mam wieści, które mnisi z Arran powinni poznać. Król dowiedział się w tajemnicy od arcybiskupa Lambertona, że papież wysłał wiadomość dotyczącą Zakonu wszystkim królom i książętom

świata chrześcijańskiego. Sam król Robert jej nie otrzymał, bo jest obłożony ekskomuniką.

Jessie zabrakło tchu, ponieważ widziała po minie Douglasa, że wiadomość ta nie będzie pocieszeniem dla Willa i jego ludzi.

- Co zawierało to pismo?

Douglas odchrząknął.

- Miało tytuł *Pastoralis Praeeminentiae*. Papież prosił w nim adresatów, aby aresztowali wszystkich templariuszy przebywających w ich krajach i zrobili to rozważnie, dyskretnie i po kryjomu; słowa te król uznał za ważne. Następnie mieli skonfiskować wszelkie dobra Zakonu i przechować je dla Kościoła.

- Ależ to haniebne! Wszystkich templariuszy, w całym świecie chrześcijańskim?

- Tak jest, pani.

- Zatem sir William miał rację. Przewidział to... - Jessie urwała, rozmyślając intensywnie, a potem zerknęła na bratanka. - Wiedziałeś coś o tym, Tomaszu?

Randolph tylko na nią spojrział, zupełnie nie pojmując, o co jej chodzi, a ona zwróciła się znów do Douglasa:

- Kiedy to się stało?

- Arcybiskup pisał, iż na liście widniała data dwudziestego drugiego listopada zeszłego roku.

- Ledwie miesiąc po aresztowaniach we Francji. Z pewnością do tej pory nie zdążyliby udowodnić kłamstw de Nogareta.

- Na to by wyglądało, pani... Lecz nie wiem nic ponad to, co ci powiedziałem.

Jessie z całych sił próbowała zachować kamienną twarz, lecz po głowie kołatała się jej myśl, że list, któremu poświęciła tyle czasu i uwagi, jest już nieaktualny i trzeba napisać go na nowo.

W północnej komnacie twierdzy w Brodick Will odłożył pióro na długi stół, który służył mu za pulpit, i przeciągnął się, wyprężając plecy i trąc oczy; westchnął przy tym, gdyż wygięcie ramion i wyprostowanie kręgosłupa sprawiło mu niekłamaną przyjemność. Pracował bez wytchnienia od świtu, przekopując się przez stertę papieru i pergaminu, która czekała na niego po tygodniach zaniedbania spowodowanych innymi ważnymi sprawami. Większość tylko przeczytał i oznaczył swoim imieniem jako śladem, że je przejrzał, po czym odłożył na mniejszy stolik po lewej. Innym poświęcił więcej uwagi, robiąc od czasu do czasu notatki, aby zapamiętać ich treść i to, co osiągnięto w ostatnich miesiącach - te odkładał na prawą stronę.

Jego towarzysze i bracia osiągnęli bardzo wiele w krótkim czasie. Obydwie kapituły na Arran miały teraz swoje siedziby i zarządzały własnymi sprawami oraz zasobami, poczynając od ceremonii i rytuałów, a na stajniach, barakach, domach, prymitywnych zagrodach i magazynach kończąc. W obu siedzibach od dawna działał już program hodowli, ujeżdżania i opieki nad końmi, a wojskowa musztra -choć dyskretna - miała własne, niezwywalne miejsce w codziennych zajęciach. Ustanowiono też intensywny plan handlowy; ich okręty regularnie kursowały z Brodick i Lochranzy, głównie poruszając się po wodach Brytanii, lecz zapuszczając się też do Irlandii i Francji. Czasem, w letnich miesiącach, płynęły na wschód, do Norwegii, Danii i Niderlandów. Jedzenia było teraz dość, aby można było je przechowywać i swobodnie nim gospodarować, a nawet sprowadzono na ląd część żywego inwentarza - głównie świń, owiec i kóz, lecz także trochę bydła i wołów, oswojonych gęsi z podciętymi skrzydłami oraz

tlustych białych kaczek, których jaja stanowiły wystawny dodatek do wypiarńskiej diety, złożonej przede wszystkim /, ryb i owsa.

Na całej wyspie pojawiły się budynki mieszkalne, choć w większości zbudowano je tak, aby ukryć przed obcymi przyglądającymi się z daleka. Domy te były długie i niskie, ich ściany, a nawet dachy zrobiono z torfu i darni, a z klepisk często wykopywano budulec na ściany, więc choć dachy były poniżej poziomu głowy, w środku nawet najwyżsi mężczyźni mogli się bez problemu wyprostować. Pierwszy dom zaprojektował i zbudował brat o imieniu Anzelm, który w lepszych czasach był jednym z najbardziej utalentowanych architektów i budowniczych Zakonu, a kiedy Will, zaskoczony pozornym brakiem urody owej budowli, wezwał podstarzałego mnicha, aby go wypytać, Anzelm spojrział na niego z zaskoczeniem. Spytał, czy nie chodziło o to, aby ukryć ich obecność na wyspie, i czy nie jest też prawdą, że nie zostaną tu na zawsze. Kiedy Will potwierdził, mnich wzruszył wymownie ramionami i rozłożył dłonie. Powiedział, że to właśnie miał zamiar zrobić: schować ich przed obcymi i sprawić, że po powrocie do Francji zostawią po sobie jak najmniej śladów. Poza tym nie mieli dość drewna, aby z niego budować. Domy z torfu będzie można szybko zburzyć, kiedy nadejdzie czas wyjazdu, a w ciągu kilku lat ich ściany zrównają się z ziemią, z której powstały. Will nie mógł zaprzeczyć logice brata, więc dał projektowi swoje błogosławieństwo i zarządził, że od tej pory wszystkie ich tymczasowe budynki mają być wznoszone przy użyciu torfu.

Teraz doskwierało mu zmęczenie, lecz skończył swoją pracę i za dwa dni mógł na zebraniu kapituły przemówić pewnie i głośno, chwając tych, którzy według niego na to zasłużyli. Wezwał swojego sumiennego, ponurego pomocnika, brata Fernando, i polecił mu, co ma zrobić z poszczególnymi plikami dokumentów; potem siedział w zamyśleniu, a wychudzony duchowny krzątał się dookoła.

Kiedy tylko brat wyszedł z ciężkim koszem pełnym zwojów, Will pochylił się, wziął czysty arkusz pergaminu ze sterty leżącej z tyłu pulpitu i znów chwycił pióro, bawiąc się nim przez chwilę i zastanawiając się, co napisać w raporcie dla przełożonych w Aix-en-Provence. Wysłał już raporty w lutym, kwietniu i czerwcu, opisując w szczegółach postęp prac, które rozpoczął na Arran, i prosząc o wiadomości na temat sytuacji Zakonu we Francji. Ostatnie z pism, nad którym pra-

cował długo i ciężko, aby przedstawić czekający go być może dylemat związany ze zwolnieniem najmłodszych braci. ze ślubu czystości, ku jego wielkiemu niezadowoleniu na razie pozostało bez odpowiedzi; miał nadzieję, że otrzyma jakieś solidne wskazówki. Dwie odpowiedzi, które dostał na pierwsze raporty, były zwięzłe, mało konkretne i ogólnie zniechęcające.

Do tej pory nie opisał tego, co znalazł po otwarciu powierzonych mu skrzyń. W trzecim raporcie doniósł, że skarb jest bezpiecznie ukryty i załączył mapę do podziemnej pieczary na ziemiach jego ojca w Roślin, lecz nie wspomniał o tym, że otworzył kufry i obejrzał ich zawartość. Nie podpisał też miejsca wyrysowanego na mapie. Miał dostarczyć tę informację w następnym meldunku, po otrzymaniu potwierdzenia, że mapa dotarła bez przeszkód do Aix.

Jak już dawno przyznał przed samym sobą, nie opisał tego, co widział w skrzyniach, w dużej mierze bojąc się najprawdziej, że przelanie wiadomości na papier może oznaczać po prostu zdradzenie tajemnicy. Nieujawniona tajemnica była bezpieczna w jego głowie. Po jej zapisaniu powstałoby niebezpieczeństwo, że ktoś ją odkryje. Wiedział, że zawartość skrzyń nie jest obca najwyższym członkom wiekowej organizacji, ponieważ to oni, a właściwie ich przodkowie sprzed dwustu lat, zlecili Hugonowi de Paynsowi i jego małemu bractwu odnalezienie dokładnie opisanego w prastarych naukach Zakonu Syjonu skarbu. Wiedział też, że pewną jego część zabrano do Aix, aby go zbadać i potwierdzić prawdziwość zapisów Bractwa Syjonu, lecz nie miał pojęcia, dlaczego chciano wysłać skarb poza Francję.

Z pewnością ważne było utrzymanie go z daleka od króla Filipa i de Nogareta, lecz ci zdeprawowani ludzie nie mieli ani cienia podejrzenia, że istnieje coś takiego jak Zakon Syjonu, a z oczywistych i koniecznych powodów żaden wysoki rangą przedstawiciel Zakonu Syjonu nie miał jawnych kontaktów z Zakonem Świątyni. Nikt nie może wyjawić na torturach czegoś, czego nie wie, i nawet gdyby którykolwiek z niższych stopniem braci służących obydwu Zakonom wyjawiał coś pod przymusem, struktura Bractwa Syjonu była tak tajemna i skomplikowana, że niczego nie można byłoby dowieść ani się dowiedzieć. Główną gwarancją bezpieczeństwa Zakonu Syjonu było to, że inkwizytorom nigdy nawet nie przyszłoby do głowy, że u podstaw ich jedyne go celu, Zakonu Świątyni, leży jeszcze jedna, znacznie starsza,

tajemna i niechrześcijańska organizacja. Nie mogli pytać o coś, o istnieniu czego nie mieli pojęcia.

Świadomość tych faktów wystarczyła, aby Will miał poważne wątpliwości, czy powinien cokolwiek przelewać na papier.

Dobry Boże, jak mogę to opisać?

Zanim zdążył zamoczyć pióro w atramencie, przerwał mu odgłos kroków na korytarzu i ciche pukanie do drzwi. Do komnaty wsunął głowę Ewan Sinclair, opierając rękę na klamce.

- Przepraszam, sir Williamie. Mój ojciec prosi, żebyś przyszedł czym prędzej. Z północy płynie galera admirała.

- Co go sprowadza z powrotem tak prędko? Poczekaj chwilę, pójdziemy razem.

Odłożył arkusz pergaminu na miejsce, a pióro obok kałamarza, usiłując nie myśleć o tym, co może przynieść ta wizyta. Rozejrzał się po pulpicie, upewniając się, czy nie zostawił na wierzchu nic ważnego, a potem dołączył do Ewana. Przeszli razem przez pustą salę do drzwi prowadzących na zewnątrz, a Will zerknął w dół, aby przyjrzeć się, jak młodzieniec utyka.

- Jak noga? Wciąż ci doskwiera?

- Nie, panie, dobrze się goi. Zdaje się, że brat Antoni jest zadowolony, choć jak tylko widzi, że utykam, ostrzega mnie, cobym nie był dla siebie taki łagodny. Mówi, że im bardziej będę jej używał, tym bardziej się wzmocni. - Uśmiechnął się wesoło i zaraźliwie. - Pewnie łatwiej jest mówić innym, co robić, jak się samemu nie czuje bólu.

Will odpowiedział uśmiechem i oparł się pokusie zwolnienia kroku. Młody Ewan walczył w Szkocji u boku króla jako część ostatniej zmiany wojów, a pod koniec jego trzymiesięcznej służby, kiedy towarzyszył bratu króla w Galloway, wojownik MacDowalów poważnie zranił go ciężkim mieczem nad prawym kolaniem. Na szczęście natychmiast po potyczce umiejętnie zajął się nim jeden z ich ludzi, medyk weteran, który spędził wiele lat w Hiszpanii, zajmując się ranami templariuszy poniesionymi podczas walk z Maurami.

- A twój ojciec? Co ma do powiedzenia o twoich postępkach?

Chłopak znów się uśmiechnął, lecz tym razem odpowiedział w rodzinnej mowie, tak że Will musiał się uważnie przysłuchiwać, aby zrozumieć wartki potok jego słów.

- Znasz mojego ojca, wuju. Kiedy zem wrócił, a on mnie zo-

baczył, miał minę jak wściekły niedźwiedź... ale po to, żeby ukryć swoją troskę. Nie gniewał się na mnie. Ale nic więcej nie powiedział. Od tamtej pory nie wspomina o ranie... Nawet nie zapytał, jak to się stało. -A jak?

- Nie wiem... Nie pamiętam. To znaczy była potyczka... i wszędzie było pełno ludzi, krzyczących i walczących ze sobą. Pamiętam, że lało się dużo krwi, ale tak szczerze, to nie wiedziałem, kto jest kto, bo wszyscy wyglądali tak samo. Nie dało się odróżnić ludzi Bruce'a od MacDowalów. No to siedziałem na koniu, gapilem się dookoła i gotowy byłem zamachnąć się na każdego, kto by się zbliżył, ale na nikogo innego, bo się bałem, że zranię jednego z naszych. A potem poczułem cios w nogę, a jak spojrzałem, wystawał z niej duży miecz. Chyba nikt go nie trzymał, sterczał sam. - Wzruszył ramionami. - Chyba żem spadł z konia, bo potem nic nie pamiętam.

- Zemdlaleś. Nic dziwnego. Zabiłeś kogoś tam w Szkocji?

- Nie, wuju, nikogo.

Will zerknął na niego z ukosa.

- Czy kiedykolwiek kogoś zabiłeś?

- Nie, panie. Ale kiedyś to zrobię.

- Nie życz sobie tego, chłopcze. To nie tak ekscytujące, jak mogłoby się wydawać. Aha, szybko poszło. De Berenger nie traci czasu, więc coś się musiało stać.

Wielka galera admirała wciąż zbliżała się do nabrzeża pod twierdzą, lecz spuszczone z niej na fale łódź, która prawie już dopływała do brzegu. Na jej ławkach tłoczyli się ludzie; część z nich miała na sobie ubrania o jaskrawych kolorach, które wyróżniały ich jako obcych na Arran. Wśród tłumku ludzi na brzegu Will dostrzegł Tama, który czekał, aż będzie można wciągnąć łódź na plażę, i choć z tej odległości nie rozpoznał żadnego z nowo przybyłych, poczuł, że sprawa jest pilna, co sprawiło, że ruszył biegiem po schodach, aby czym prędzej ich spotkać.

Jednak w pół drogi zawahał się i zatrzymał z osłupieniem, kiedy rozpoznał najpierw jednego przybysza, a potem kolejnego. Na brzeg pierwszy zszedł - z pomocą samego Tama - zgarbiony starszy człowiek z grzywą siwych włosów. Podniósł wzrok, kiedy Tam puścił jego ramię, zobaczył stojącego na schodach Willa i pomachał mu.

- Zostań tutaj - powiedział Ewanowi Will i szybko pokonał resztę schodów, docierając do stromej ścieżki prowadzącej na plażę. W głowie miał zamęt.

Etienne Dutoit, baron St Julien w prowincji Aix-en-Provence, był jednym z najwyższych stopniem i najbardziej wpływowych braci Zakonu Syjonu, a także opiekunem Willa podczas jego wyniesienia. Następnie z łodzi wyszedł drugi opiekun Willa, Szymon de Montferrat, senior szlacheckiego klanu przodującego wśród związku prastarych rodów zwanych zaprzyjaźnionymi rodzinami, których przodkowie uciekli z Jerozolimy, zanim miasto zniszczyli Rzymianie. Dwaj mężczyźni byli potomkami w linii prostej założycieli bractwa, a znaczenie ich obecności na Arran było tak niewyobrażalne, że Willowi ledwie mieściło się w głowie, co może ona zwiastować.

Chwilę później był już przy nich i padł na kolano przed Etienne'em Dutoitem, lecz starzec nie chciał przyjąć pokłonu i chwycił go za ramiona, podnosząc z kolan i protestując, że nie ma potrzeby ani powodu, aby Will klękał. Obdarzył go natomiast mocnym uściskiem, mrucząc mu do ucha słowa powitania, po czym popchnął go w stronę swojego towarzysza, a de Montferrat przywitał go w taki sam sposób. Za nimi stali dwaj wysocy, wystawnie ubrani młodzieńcy, których piękny oręż i barczyste ramiona oznaczały, że są rycerzami, a wyraźna czujność - że to ochrona.

Will odsunął się od de Montferrata i przyjrzał byłym mentorom, kręcąc głową z niedowierzaniem. Lecz potem przypomniał sobie, kim i gdzie jest, i rozłożył ramiona z uśmiechem.

- Przyjaciele i bracia, jesteście tu mile widziani... nie mogę wyrazić jak bardzo. Lecz jak tu trafiliście? I dlaczego? Na galerze z północy? Zdaje się, że macie mi wiele do powiedzenia, ale to nieodpowiednie miejsce. Pójdźcie do twierdzy, gdzie możemy porozmawiać swobodnie. W niczym nie przypomina ona waszych wygodnych domów w Prowansji, lecz są tam obite krzesła i solidny dach, który chroni przed wiatrem i deszczem. - Przeniósł wzrok na młodych rycerzy o kamiennych twarzach. - Panowie, wy także witajcie. Zakładam, że bezpieczeństwo moich gości jest dla was najważniejsze. - Wyciągnął do nich po kolei dłoń. - Jestem William Sinclair.

Rycerze skłonili się i przedstawili, po czym Will poprowadził ich na górę, do sali, wołając do wciąż czekającego na schodach Ewana,

żeby pobiegł przed nimi i kazał przygotować strawę i napitek dla gości. Potem zerknął na nich.

- Przypuszczam, że macie bagaż.

- Wszystko jest w łodzi, sir Williamie - powiedział Tam. - Zająłem się nim. Kiedy tylko zostanie wyładowany, zadbam, aby bezpiecznie zanieśono go na górę.

- Dobrze. Dzięki, Tam. Zaprowadź ich do komnat nad główną salą.

Znów się zawahał, patrząc na nowo przybyłych. Żaden z nich nie był templariuszem, w odróżnieniu od całego otaczającego ich tłumu, i Will wiedział, że niedługo zaczną się spekulacje, kim są ci ludzie i dlaczego przybyli z Francji. Postanowił więc zdusić plotki w zarodku.

- Bracia! - krzyknął, widząc, że wszyscy zwracają na niego oczy. - Rycerze ci są mi bardzo drodzy; od lat są moimi przyjaciółmi i mentorami. Nie mogę wam dokładnie powiedzieć, dlaczego dziś tu przybyli, ponieważ jeszcze nie wiem, lecz podejrzewam, że przywożą nam wieści o losach Zakonu we Francji. - Spojrzał pytająco na Dutoita i de Montferrata, a kiedy obaj skłonili z powagą głowy, ponownie odwrócił się do swoich ludzi. - A zatem będziemy mieli informacje, którym możemy zaufać, a kiedy tylko je poznam, przekażę wam. Możecie wracać do swoich zajęć.

Kiedy mała procesja zaczęła się wspinać po schodach - prowadził Will, mając po obu stronach gości - baron St Julien odpowiedział na pierwsze z jego pytań tym samym wyważonym tonem, który Will pamiętał sprzed lat. Przez ten cały czas jego dźwięczny baryton się nie zmienił.

- Najpierw szukaliśmy cię na północy, w Lochranzy, lecz dowiedzieliśmy się, że już wróciłeś tutaj. Przyjął nas admirał de Berenger... mówił, że sam dopiero wrócił... i widząc nasze rozczerowanie spowodowane tym, że się minęliśmy, przywiózł nas na południe swoją galerią, znacznie szybciej, niż dokonałby tego nasz okręt. Wkrótce do nas dołączy.

Will nic nie powiedział. De Berenger także należał do Bractwa Syjonu i na pewno tak samo jak Willa interesowała go pilna sprawa, która zawiodła tych dwóch tak daleko od domu. Stopnie przed nimi były strome dla wiekowych gości, więc nie pytał już o nic, koncentrując się na pomaganiu im we wspięciu się na długą kondygnację. Kiedy się odświeżą i odzyskają oddech, będzie dość czasu na pytania i odpowiedzi.

W żelaznym palenisku rozprysnął się głośno pełen żywicy sęk drewna, a płonące szczapy się rozpadły, wzbudzając burzę iskier, które uniosły się, wirując, w górę komina. Jednak mała grupa ludzi siedzących przy kominku i z zamyśleniem patrzących w buzujący ogień nie zwróciła na to uwagi. Na zewnątrz, gdzie zapadała noc, powietrze wciąż jeszcze było rozgrzane od sierpniowego słońca, lecz w murach twierdzy temperatura przypominała zgromadzonemu, że są w Szkocji, a tu jego ciepło rzadko przenikało przez ściany z kamienia i belek.

Etienne Dutoit, baron St Julien, podniósł się i chwycił ciężki żelazny pogrzebacz, jeszcze bardziej rozkruszył kłody, rozgrzebując je, aby znów zapłonęły, wybrał kilka polan ze sterty leżącej w żelaznym koszu na drewno i wrzucił je na stos. Poprzemieszczał je pogrzebaczem, aż był pewien, że będą się dobrze paliły. Następnie odłożył pogrzebacz na miejsce i odwrócił się twarzą do przyglądających mu się mężczyzn.

- Żyjecie w zimnym kraju, przyjaciele - rzekł.

Edward de Berenger mruknął pod nosem i wyprostował się na krześle.

- Chodzi nie tyle o chłód, baronie, ile o wilgoć. Z chłodem moż na walczyć, cieplej się ubierając. Lecz tutejsza wilgoć atakuje od wewnątrz... Ziębi kości i w lecie, i w zimie. Można pokonać ją tylko od środka, pożywnym gorącym jedzeniem w brzuchu.

Dutoit się uśmiechnął.

- Ano, nikt nie mógłby zaprzeczyć, że tego mieliśmy dziś wieczorem dość. Tutejsi kucharze są nadzwyczajni. - Wyprostował się jak struna i potoczył wzrokiem po usadowionych na linii łuku mężczyznach. Jego towarzysz, de Montferrat, siedział po prawej, przeczesu-

jąc leniwie palcami swoją rzadką, siwą brodę, a obok niego zajmował miejsce biskup Formadieu. Po jego prawej siedział admirał de Berenger, a dalej - de Montrichard, preceptor. Sir Reynald de Pairaud, tymczasowy preceptor Lochranzy, który przybył z Willem do Brodick na zbliżające się zebranie kapituły, oraz Will - obok którego stało puste krzesło Dutoita - uzupełniali grupę.

- A zatem omówmy nasze sprawy i *to, co* nas tu sprowadza - zaczął baron. - Ani sir Szymon, ani ja nie mamy jawnego związku z waszym Zakonem, więc zajścia we Francji raczej nas nie dotknęły. Mówię, że nie dotknęły, lecz jednak nas poruszyły, i byłem szczęśliwy, kiedy mój drogi przyjaciel, sir William, uznał za stosowne napisać do mnie z prośbą o pomoc w zebraniu informacji o aktualnym stanie śledztwa prowadzonego przeciwko waszemu Zakonowi. - Przerwał, a kiedy nie usłyszał ani słowa protestu, uniósł brew i kiwnął krótko głową. - Niech tak będzie... Prośbę o zebranie informacji o stanie śledztwa. Nie będę wam ubliżał, wyrażając jakkolwiek opinię na temat tego, czy to śledztwo jest uzasadnione. Powiem jedynie, że ja sam, wraz z sir Szymonem i wieloma innymi prawymi i rozsądnymi ludźmi we Francji, potępiam działania naszego aroganckiego króla i sługusów, którymi się otacza. To, a także moja wieloletnia sympatia i podziw dla sir Williama Sinclaira i Zakonu, który reprezentuje, sprawiło, że zebranie wszelkich wiadomości dostępnych mnie i moim przyjaciółom w całym kraju było przyjemnością, a nie ciężarem.

Odwrócił się nieco, aby spojrzeć na Willa.

- Odkryłem jednak, i sir Szymon zgodził się ze mną, że choć twoje pytania były szczegółowe, sir Williamie, odpowiedzi na nie są jeszcze trudniejsze. Po kilkutygodniowych próbach właściwego spisania tego, czego się dowiedzieliśmy, wraz z wszelkimi sprzecznymi elementami towarzyszącymi temu plotek i domysłów, postanowiliśmy, że jedynym sposobem na przekazanie ci tych wiadomości będzie osobista wizyta, podczas której będziemy mogli wysłuchać twoich zastrzeżeń i odpowiedzieć na nie. - Ponownie się rozejrzył. - A zatem, zanim zacznę, czy ktoś ma jakieś pytanie lub chce zakwestionować moje prawo do mówienia na ten temat, jako że nie jestem templariuszem?

Biskup Formadieu odchrząknął.

- Przeciwnie, baronie Dutoit. To, co masz nam do powiedzenia, doda jasności zarówno temu, co wiemy, jak i temu, czego się oba-

wiamy, ponieważ ukazesz nam to z punktu widzenia bezstronnego obserwatora. Nie przychodzi mi do głowy żaden powód, dla którego moi bracia mieliby się temu sprzeciwić. - Rozejrzał się po swoich towarzyszach. - Czy ktoś się nie zgadza? Wszyscy milczeli. Odezwał się Will:

- Mów dalej, panie. Z niecierpliwością czekamy na twoje słowa.

Wyraz twarzy barona wciąż był poważny.

- Wasza niecierpliwość może nie przetrwać pierwszej rzeczy, którą muszę wam powiedzieć - rzekł ponuro, a potem wyciągnął z sakwy przy pasie ciasno zwinięte arkusze pergaminu. Połuźnił skórzane wiązanie, przejrzał pierwszą stronę i znów podniósł wzrok. - Zacznę od tego, jak sformułowano rozkaz króla na temat zatrzymania templariuszy w jego kraju. „Aby dokonać aresztowań wszystkich członków Zakonu Świątyni za potworne zbrodnie... odrażające czyny, wstrętą hańbę, rzecz niemal nieludzką, w istocie nie mającą nic wspólnego z człowieczeństwem”. — Popatrzył na zebranych. — Zauważyliście na pewno, że nie ma mowy o tym, o jaką tak zwaną potworność chodzi... Lecz podczas jednego październikowego dnia zatrzymano we Francji niemal piętnaście tysięcy braci Zakonu. Oczywiście byli wśród nich rycerze, ale też serwienci, kapelani, robotnicy i służący. Piętnaście tysięcy istnień w jeden krótki dzień.

- Czy komukolwiek ważnemu udało się umknąć? — spytał Reynald de Pairaud.

Baron Dutoit pokręcił głową.

- Z informacji, które udało mi się zebrać, wynika, że poza wami, o których nie udostępniono żadnych wiadomości, uciekło mniej niż dwudziestu rycerzy. Udało się to też dwóm preceptorom, lecz nikt nie wie, gdzie są.

- Którzy to?

- Preceptor Francji, de Villiers, oraz Imbert Blanę, preceptor Owernii.

- Kto jeszcze?

Dutoit ponownie zaprzeczył ruchem głowy.

- Znam z nazwiska jeszcze tylko jednego, a jemu się nie udało, rycerza Piotra z Boucle. Zgolił brodę i włożył zwykłe ubrania, lecz ktoś go rozpoznał i zdradził. On też skończył w lochu.

- Ale jakie postawiono zarzuty? - Głos Edwarda de Berengera był

pełen zimnego gniewu. - Sam zwróciłeś uwagę, że rozkazy Filipa są bezpodstawne. Ten człowiek, czy jest królem czy nie, ośmielił się położyć łapę na Zakonie, który nie jest mu winien lojalności i odpowiada wyłącznie przed papieżem. To świętokradztwo.

Baron zacisnął usta pod wąsem i pokiwał wolno głową.

- Masz rację, sir Edwardzie. Lecz posunął się jeszcze dalej. Stwierdził, że zrobił to po konsultacji z papieżem i po otrzymaniu jego pozwolenia. To było kłamstwo, które szybko zwróciło uwagę Klemensa.

- I co zrobił? Mam na myśli papieża - odezwał się Will.

- Napisał do króla list... O, tu mam jego kopię, dostarczoną mi przez drogiego przyjaciela z wielkim narażeniem bezpieczeństwa. Niech spojrzę... - Baron poprzekładał trzymane arkusze, a potem wyciągnął jeden na odległość ramienia i przeczytał głośno: — „Drogi synu, pod naszą nieobecność pogwałciłeś każdą zasadę i zawłaszczyłeś majątek templariuszy, a ich samych zatrzymałeś i, nad czym tym bardziej ubolewamy, nie potraktowałeś ich z należytą pobłażliwością... i do niewygód uwięzienia dodałeś jeszcze inną niedolę. Wystąpiłeś przeciwko osobom, które są pod bezpośrednią opieką Kościoła rzymskiego. Twoje pochopne zachowanie jest słusznie oceniane przez wszystkich jako akt pogardy wobec nas samych i Kościoła”.

- Przepraszam, baronie - powiedział biskup. - Byłbyś łaskaw przeczytać to jeszcze raz?

Dutoit powtórzył treść listu, a wszyscy obecni słuchali ze zmarszczonymi czołami. Kiedy skończył, biskup zwrócił się do niego:

- Jest tak, jak myślałem na początku. Papież potępia działanie króla, lecz bardziej martwi się lekceważeniem jego własnego autorytetu niż zamachem na nasz Zakon. Ale o jakiej to „innej niedoli” wspominał?

- O torturach.

Słowo to wybrzmiało w ciszy ciężko niczym spadający kamień.

- Wilhelm z Paryża - ciągnął Dutoit - główny inkwizytor Francji, jest spowiednikiem Filipa, więc raczej nie ma wątpliwości, iż był wtajemniczony w plany króla na długo przed faktem, ponieważ jego inkwizytorzy, dominikanie, stali ramię w ramię z dowódcami króla i wyjaśniali, co się stało, na publicznym zgromadzeniu w ogrodach królewskich dwa dni po aresztowaniach.

- O jakich... - Głos zawiódł Ryszarda de Monricharda, więc mu-

siał odchrząknąć, zanim spróbował ponownie przemówić. - O jakich... torturach mówimy? Co robią ci inkwizytorzy? Pierwszy odpowiedział biskup de Formadieu.

- Nic zbyt poważnego. Papież Innocenty Czwarty zezwolił na tortury w obronie doktryny Kościoła pięćdziesiąt lat temu. Inkwizytorzy nie mogą łamać kończyn ani rozlewać krwi... - Urwał, może chcąc powiedzieć coś jeszcze, lecz przerwał mu baron Dutoit.

- Tak jest w teorii, biskupie, lecz rzeczywistość jest znacznie okrutniejsza. Chodzi o tortury, nie współczucie. Wyjaśnienia podobne twoim wymagają wiary w ludzką i wrażliwą łaskę inkwizytorów. A oni są jej pozbawieni. Aby nie łamać zasad, łamią ofiary kołem i używają tortury zwanej wahadłem. Koło rozciąga kończyny, boleśnie i powoli, aż stawy rozłączają się i można je rozerwać. Nie są łamane, lecz rozrywane. Wahadło jest jeszcze skuteczniejsze... Wiąże się ręce człowieka za plecami, a potem unosi się go w powietrze na linie przytwierdzonej do wiązań w jego nadgarstkach. Bardzo szybko zacznie wtedy mówić, pod warunkiem że nie straci zmysłów i da się zrozumieć jego bełkot. Potem jest jeszcze, oczywiście, trzecia metoda skłaniania niechętnych do zeznań. Nie ma nazwy, lecz to prosty zabieg, podczas którego nie łamie się kości i nie przelewa krwi. Smaruje się stopy ofiary tłuszczem i zbliża je do ognia... - Wszyscy obecni wlepili w niego wzrok. Wzruszył ramionami i rozłożył ręce. - Bernard de Vado.

- Znam Bernarda de Vado - powiedział de Formadieu. —To jeden z naszych księży. Sam go wyświęciłem. Co o nim wiesz?

- Pochodził z Albi. Czy to ten sam?

- Tak, to Bernard.

- No cóż, przypiekli go. Za twoim przeproszeniem, biskupie, usmażyli jego stopy, aż kości wypadły. Świadkiem tego był człowiek, który doniósł o tym incydencie mojemu przyjacielowi w sądzie. Moi znajomi i ja zebraliśmy raporty o wielu zgonach... ich liczba waha się od dwudziestu pięciu do czterdziestu czterech... które nastąpiły wskutek tortur zadanych przez inkwizytorów, często z pomocą wojskowych króla.

-To... nieludzkie. Nie do przyjęcia dla Boga i ludzi. - Biskup był tak zszokowany, że jego głos stał się pozbawiony wyrazu. Sir Szymon de Montferrat odezwał się po raz pierwszy:

- W rzeczy samej, tak jak mówisz, biskupie, to nieludzkie. Lecz

dzieje się, i to za sprawą duchownych, w imię miłosiernego Boga. Nie mniej nieludzkie jest to, że więźniom nie pozwala się zasnąć i że są skuci kajdanami, żywieni wyłącznie chlebem i wodą. Tak osłabionych poddaje się tym potwornym torturom.

- Niech piekło pochłonie wszystkich duchownych i ich obłudne pozy! - Głos de Montricharda był ledwie słyszalny, lecz pełen zjadliwego gniewu, a Dutoit obejrzał się na niego. - Dlaczego ktokolwiek pozwala na tę bluźnierczą infamię, biorąc pod uwagę odrazę, jaką wyraża pod adresem tych wydarzeń papież?

Baron spojrział w oczy Willowi.

- Nareszcie właściwe pytanie — powiedział.

Will przechylił głowę.

- Co masz na myśli? - zapytał.

Baron zastanowił się przez chwilę, patrząc przed siebie pozornie niewidzącym wzrokiem, a potem odparł:

- Wysłuchajcie mnie. Oto, co wiemy na temat owych wczesnych oskarżeń o rzeczy, które nazwano „niemał nieludzkimi”. Twojemu Zakonowi i jego braciom zarzuca się oddawanie czci i służbę samemu Szatanowi. - Zignorował syk nabieranego nagle powietrza i ciągnął, a jego głos rozbrzmiewał wyraźnie w ciszy, która zapadła. - Mówią, że waszych rekrutów uczy się, iż Jezus Chrystus był fałszywym prorokiem, i każe im się poświadczyć to podczas swojej inicjacji. Potem każdy musi opluć, zdeptać lub oddać mocz na wizerunek Jezusa na krzyżu oraz ucałować templariusza, który wprowadził go do Zakonu, w usta, pępek, pośladek, nasadę kręgosłupa, a czasem w penisa. Ostatecznie, podczas końcowych ceremonii, nowo wtajemniczony dowiadyuje się, *in toto*, że może do woli uprawiać stosunki cielesne z braćmi i że jest to w gruncie rzeczy jego obowiązek, ponieważ w tym bractwie nie stanowi to grzechu.

Will mógł tylko wpatrywać się w niego bez słowa, a pełna oszołomienia cisza przeciągała się, aż baron dodał:

- De Molay się przyznał.

Chwilę trwało, zanim te słowa dotarły do zgromadzonych, lecz potem biskup spytał:

- Przyznał się? Do czego?

- Do wszystkiego, o czym wspomniałem. Poza sprawą pocałunków. Temu zaprzeczył.

Will w końcu odzyskał głos.

-To... to niemożliwe. Mistrz de Molay nigdy...

- W obliczu nieprzerwanych tortur i męczarni, jakie opisaliśmy, każdy przyzna się do wszystkiego, byleby przerwać zadawany mu ból i poczuć nieco ulgi. Jacques de Molay jest człowiekiem nadzwyczaj godnym podziwu, lecz jednak wciąż człowiekiem. Aresztowano go pierwszego dnia czystki i w ciągu dziesięciu następnych przyznał się do większości zarzutów... że wyparł się Jezusa i że podczas swojej inicjacji splunął na jego wizerunek...

- Wielki Boże w niebiosach! To hańba!

- Tak, a poza tym bluźnierstwo. Lecz choć to on przyznał się do bluźnierstwa, hańba nie spada na niego. Jego pierwszego poddali torturom, od chwili uwięzienia skupiając na nim całe swoje siły, i to, że wytrwał tak długo, przynosi mu chlubę.

- Nie mogę uwierzyć, że przyznał się do czegoś takiego - wyszeptał de Pairaud.

- Uwierz w to - powiedział Dutoit. - Złamali go. Potrafią złamać każdego. Wasz wielki mistrz przyznał się pierwszy, lecz bynajmniej nie ostatni. Mam wiarygodne wieści, iż ze stu trzydziestu ośmiu zatrzymanych w Paryżu templariuszy w ciągu trzech miesięcy stu trzydziestu czterech przyznało się do przynajmniej części stawianych im zarzutów. - Zawahał się, a potem odwrócił wzrok w stronę gapiącego się na niego z niedowierzaniem de Pairauda, który zaniemógł z oburzenia. - Sir Reynaldzie, twój brat Hugo wypowiadał się ze swoich grzechów dziewiątego listopada, mówiąc, że poza wieloma innymi występkami namawiał braci nękanych porywami natury, aby koili namiętności, dogadzając sobie z innymi mnichami. - Zignorował de Pairauda, który usiłował wstać w proteście, i mówił dalej, tym samym monotonnym głosem: - Zrobił to też sir Geoffrey de Charney, preceptor Normandii. Jan de la Tour, skarbnik Zakonu w Paryżu i były doradca finansowy króla Filipa, także poddał się rozpacz i skazał samego siebie... A wraz z tymi znakomitymi ludźmi pogrążyło się także wielu innych, zbyt wielu, aby ich wymieniać. To działo się w styczniu tego roku. Teraz mamy sierpień, a do tego czasu dużo się wydarzyło.

Zebrani byli tak zdumieni, że nikt nie śmiał go zapytać, co ma na myśli, lecz w końcu Will odkaszlnął.

- Od zaufanych i dobrze poinformowanych przyjaciół słyszeliśmy, że papież wysłał pismo do królów i książąt świata chrześcijańskiego, każąc im zatrzymać wszystkich templariuszy na ich ziemiach i skonfiskować ich majątek. Możesz nam coś o tym powiedzieć?

- Tak. *Pastoralis Praeeminentiae*. To niedawne posunięcie, obmyślane, aby podkreślić, że Klemens ma pod kontrolą sytuację, która już dawno wymknęła mu się z rąk. List został jednak wysłany i wielu zastosowało się do owych poleceń, a dobra Zakonu, przynajmniej poza Francją, są teraz pod jurysdykcją Kościoła... Co w tym przypadku niekoniecznie musi być złą wiadomością.

- Jak to? Jeśli zostały skonfiskowane, straciliśmy je.

- Niekoniecznie. Są pod jurysdykcją Kościoła, nie w jego kufrach. A właściwie powinienem powiedzieć: jeszcze nie. Wciąż jest nadzieja. Popatrzcie na siebie uważnie i spróbujcie sobie na chwilę wyobrazić, że jesteście zwykłymi francuskimi rycerzami, nie templariuszami. Myślicie, że tylko wy czujecie to oburzenie, to niedowierzenie, że coś takiego może się dziać w czasach pokoju? Sam papież nie może w to uwierzyć, nie wierzy w to. A co ważniejsze, nie wierzą w to też jego kardynałowie. Klemensowi daleko do skutecznego pełnienia jego funkcji, a to, że nie sprzeciwił się grabieży Filipa, sprawia mu wiele trudności, szczególnie ze strony kardynałów. Jak powiedziałem, do stycznia de Nogaret zebrał dość zeznań, aby Filip mógł ogłosić moralne zwycięstwo, jawiąc się jako obrońca wiary i orędownik żarliwego chrześcijaństwa. Klemens raczej nie mógł się nie zgodzić w obliczu wszystkich zeznań. Lecz usiłując wyrwać Filipowi kontrolę nad śledztwem, wysłał trzech kardynałów, aby sprawdzili odkrycia inkwizytorów, a kiedy ci sprowadzili de Molaya, cofnął zeznanie, zdjął ubranie i pokazał im wciąż niezabliźnione rany, które zadano mu podczas „przesłuchania” i które doprowadziły do „zeznań”. Zdaje się, że był bardzo wymowny. Kardynałowie mu uwierzyli. Uwierzyli też innym, którzy dokonali podobnych deklaracji; wśród nich był twój brat, sir Reynaldzie. To było wciąż na początku stycznia. Owi kardynałowie zalecili ułaskawienie i postanowili, że nie potwierdzą wyroków Kościoła. Przekonali także innych kardynałów. Aż dziesięciu z nich zagroziło, że zrezygnuje wiosną w proteście przeciwko tchórzostwu Klemensa, przejawiającemu się w braku potępienia dla działań króla, który ich zdaniem nie miał żadnego uzasadnionego powodu dla swojego oburzającego za-

chowania, a już na pewno nie dla szyderczej pogardy wobec Kościoła i jego instytucji, do których należy Zakon.

De Montferrat wyprostował się i odchrząknął, a Will od razu przeniósł na niego wzrok, wiedząc, że z jego dwóch mentorów to on mówi bardziej otwarcie. Zawsze można było liczyć na to, iż przejdzie do sedna spornej kwestii i nie przebierając w słowach, powie, co myśli.

- Chcesz coś dodać, sir Szymonie?

Podstarzały szlachcic mruknął pod nosem, lecz wstał i zaczął chodzić po komnacie z rękami splecionymi za plecami.

- Nie dodać - zaczął. - Raczej... wyjaśnić, jeśli już. - Wskazał wzrokiem swojego towarzysza podróży i wieloletniego przyjaciela, który właśnie wracał na miejsce, chętnie oddając mu głos. - Etienne ma tendencję do skupiania się na szczegółach. Teraz miał wam opowiedzieć, że w lutym papież Klemens wydał wyrok na korzyść Zakonu. Po naradzie z kardynałami ogłosił, iż jest przekonany, że zarzuty są nie do utrzymania i że woli umrzeć, niż skazać niewinnych ludzi. Rozkazał więc inkwizycji zawiesić postępowanie wobec templariuszy.

- Mój Boże! Więc już po wszystkim? - Głos biskupa Formadiu był pełen czci i radości, uczuć, które zaczęły się też budzić w Willu. Lecz zanim ktokolwiek zdążył powiedzieć coś jeszcze, bezceremonialny de Montferrat stłamsił ich nadzieje w zarodku.

- Otóż nie. Wierzcie mi, sprawa dopiero się zaczęła. Stawkę podniesiono już tyle razy, że pierwotne zarzuty wobec Zakonu zostały usunięte w cień.

- Jak, na święte imię Boga? Przez co?

- Przez realia polityki, biskupie. Wszystko to rozwinęło się w wojnę między Filipem i papieżem, a Klemens boi się, że zostanie usunięty... jeśli nie z tronu papieskiego, to na pewno z dominującej pozycji w umysłach ludzi. Pod względem moralnym kwestia konfliktu władzy nie powinna istnieć: do Filipa należy władza doczesna, do papieża duchowa. Podział powinien być jasny, i byłoby tak, gdyby rządził ktokolwiek poza Filipem z Kapetyngów. On jest jednak inny niż wszyscy: ambitny, chciwy i pełen pogardy dla opinii, których nie podziela. Jego zła wola nie ma granic. Dziesięć lat temu wysłał swojego sługusa de Nogareta, aby dziewięćset mil dalej, w Anagni we Włoszech, pojmał innego papieża, Bonifacego Ósmego, i nikt nie wątpi, że tym samym spowodował śmierć starca. Nigdy jednak nie wyraził ani cienia skru-

chy. De Nogaret wciąż jest obłożony ekskomuniką za ten akt przemocy, lecz jako główny doradca króla nie widzi w tym powodu do wstydu czy przeszkody dla swej arogancji. Tak samo zresztą jak jego pan. A zatem między tymi dwoma toczy się wojna: jeden posiada armie, ufortyfikowane twierdze, ministrów, którzy wypełnią jego rozkazy, nie kwestionując ich moralności czy sprawiedliwości, oraz historię nieubłaganej bezwzględności, a drugi, choć kontroluje cały majątek Kościoła, nie ma niczego poza moralną słuszością i tendencją do wahania się i zwlekania. Najsilniejszą bronią Filipa w tej potyczce jest potężny wpływ na ludzi. Twierdzi, że rządzi z Bożego nadania i odpowiada wyłącznie przed Bogiem. Co więcej, sądzi, że to prawda, co czyni go naprawdę przerażającym.

Przestał chodzić po pokoju i rozejrzał się po zgromadzonych.

- Wysłuchajcie mojej rady. Od dzisiaj zaczniście zabezpieczać swoje miejsce tutaj, ponieważ nigdy nie wrócicie do Francji jako templariusze. Już w chwili, kiedy Klemens zawieszał działania inkwizycji przeciwko wam, Filip czynił kroki, aby usunąć go z urzędu, grożąc, że oskarży go o te same grzechy co was, a także o herezję oraz wspieranie czcicieli Szatana. Nikt nie wątpił, że dopnie swego... nawet papież. Od tamtej pory sytuacja jeszcze się pogorszyła, a tortury wznowiono w kwietniu, kiedy to Klemens poddał się naciskom króla. Teraz codziennie pojawiają się oskarżenia i kontroskarżenia, spiski i podstępny, kłamstwa i złośliwe plotki. W całym kraju toczy się kampania mająca przekonać ludzi, że Filip, jego chrześcijańska wysokość, ma słuszość, a sami Francuzi są najzagorzalszymi obrońcami wiary. Templariusze właściwie zostali zapomniani, choć od czasu do czasu niektórych wywleka się na światło dzienne, aby przypomnieć światu, jacy byli perfidni. Lecz prawdziwa walka toczy się o majątek Zakonu. Na razie kontroluje go Kościół, ponieważ Filip niedawno zgiął kolano przed Klemensem, przynajmniej rytualnie, uznając jego papieski autorytet. Lecz choć papież i jego kardynałowie sprawują nominalną władzę nad uwięzionymi templariuszami, to Filip Piękny trzyma ich w swoich lochach. A król wygra tę wojnę. Zakon we Francji stanie się jedynie wspomnieniem, a nawet ono wyblaknie i zniknie. Zadbajcie więc o siebie. To najlepsza rada, jaką możemy wam dać.

Cisza trwała długo po tym, jak de Montferrat skończył, a atmosfera przygnębienia stała się niemal namacalna. Kilku templariuszy spoj-

rzało po sobie ze zmartwionymi minami, lecz wyglądało na to, że nikt nie ma ochoty się wypowiedzieć, aż biskup hormadieu mruknął:

- No cóż, oto moralna zagadka... - Na tym jednak zakończył i nikt nie spytał go, co ma na myśli, niewątpliwie dlatego, że każdy na swój sposób zdał sobie sprawę z tego samego. Rozgrywka dobiegła końca, a oni zostali pokonani.

To baron Dutoit zakończył spotkanie, przerywając długą, pełną gorzkości ciszę pytaniem skierowanym do Willa:

- Powiedz, sir Williamie, czy miałeś niedawno jakieś wieści od swojej wiekowej ciotki z Aix? - Wyrażenia „wiekowa ciotka” bracia Zakonu Syjonu używali powszechnie w obecności osób postronnych, a Will odparł bez mrugnienia okiem:

- Nie, baronie, od czasu opuszczenia Paryża nie. Wtedy była zdrowa, lecz jak my wszyscy codziennie się starzeje. Zanim zaczęliśmy rozmowę na inny temat, przyszło mi do głowy, że być może masz dla mnie o niej wieści. Widziałeś się z nią niedawno?

-Tak, ale... - Baron się zawahał. - Wiadomości, które mam, są dość osobistej i... delikatnej natury. - Odwrócił się do przysłuchującej się reszty. - Czy pogniewacie się, przyjaciele, jeśli poproszę o waszą pobłażliwość? Sądzę, że zakończyliśmy już swoje sprawy, a mam jeszcze do przekazania sir Williamowi na osobności kilka informacji dotyczących jego krewnych w Prowansji. Czy zechcielibyście nas zostawić? Spotkamy się ponownie jutro, jeśli sir William na to zezwoli, i wtedy możemy omówić to, co przyjdzie wam do głowy na temat sytuacji we Francji i nie tylko.

Kiedy tylko drzwi się zamknęły, Will spojrzął na barona Dutoita.

- Masz dla mnie jakieś rozwiązanie w kwestii zwolnienia ludzi z ich ślubów? Wskazówki, rady, opinie? Wszystko przyjmę z radością, ponieważ wyznaję, jestem w tej kwestii całkiem zagubiony.

- Słowa - odrzekł baron. - Mamy ni mniej, ni więcej, tylko słowa. Razem spełniają wszystkie twoje prośby, od wskazówek po opinie. Lecz decyzje możesz podjąć tylko ty sam. Być może jednak pocieszy cię wiedza, że nad twoim dylematem pracowali razem najbystrzejsi bracia naszego Zakonu, usiłując określić najlepszy sposób postępowania dla ciebie i twojej małej wyspiarskiej wspólnoty na wygnaniu. Szymon i ja braliśmy udział w tych dyskusjach i to przede wszystkim dlatego jesteśmy tu osobiście. Zdanie relacji z poprzedniego roku było z pewnością ważne. Lecz tak naprawdę jesteśmy tutaj, aby omówić to, co cię czeka na Arran i w Szkocji. Cały czas słyszymy o tym, jak wszystko się zmienia w tym naszym współczesnym świecie, i to prawda, zmiany są zauważalne. Lecz przemiana, której doświadczamy teraz, jest epokowa. Nasz świat... a szczególnie twój świat, jako templariusza... już nigdy nie będzie taki sam. Metamorfozy te są liczne, znaczne, powszechne i, jak sądzimy, trwałe. Na pewno tak jest we Francji, a reszta świata chrześcijańskiego z pewnością pójdzie jej śladem.

Zerknął na de Montferrata, który mruknął i gładko przejął głos.

-Jesteśmy tu, aby przypomnieć ci o twoich korzeniach, Will: o tym, skąd przybyłeś, kim naprawdę jesteś. Nie sądzimy, iż zapomniałeś, lecz po prostu od tak dawna poświęcasz całą energię dobrobytowi Zakonu i templariuszy, że być może straciłeś właściwy kontekst. Nie chcemy krytykować ciebie ani twojego zachowania, nie zrobiłeś nic

złego. Lecz chcemy przestawić twoje myślenie na inne tory... i zmienić twój punkt widzenia. - Urwał na chwilę. - Jesteś na to gotów?

Do tej pory Will siedział pochylony, słuchając uważnie, z brwiami lekko zmarszczonymi z koncentracji. Jego wzrok jednak spoczywał na długim stole przy drzwiach, gdzie, wchodząc, odłożył swój miecz, i teraz - zamiast od razu odpowiedzieć - wstał i podszedł do niego. Wyciągnął długi oręż z pochwy i zamachnął się nim kilka razy przesadnie powoli, badając wagę klingi i precyzję jej ruchów.

- Wiecie, ile czasu upłynęło od ostatniego razu, kiedy na poważnie chwyciłem za miecz? - Nie czekał na odpowiedź. - Nie jestem do końca pewien, co rozumiesz przez „zmienianie mojego punktu widzenia”, lecz perspektywa ta mnie nie trapi. Jestem gotów na wszystko.

- Dobrze. Etienne?

Baron Dutoit zbliżył się i wyciągnął rękę po miecz Willa; wykonał nim serię ćwiczeń, przestrzegając ustalonych zasad ataku i obrony w sposób świadczący o tym, że wciąż wie, jak się nim posługiwać. Ukończywszy podstawowy układ ruchów, podniósł klingę pionowo, patrząc na jej lśniący czubek, a potem obrócił ją z ręcznicą i chwycił obiema rękami odwrotnie, kierując klingę w dół i trzymając ją poniżej rękojeści, tak że przypominała krucyfik wyciągnięty między nim a Willem.

- Pamiętasz to? Ten symbol? Pamiętasz, czego się o nim nauczyłeś, kiedy dołączyłeś do naszego bractwa: że wtedy i teraz jest czymś innym, niż się wydaje? Pamiętasz nauki o twoich przodkach i miejscu, z którego przybyli? Pamiętasz, jak uczyłeś się i wierzyłeś, że krzyż czczony przez chrześcijan jest wymysłem, zawłaszczeniem krzyża światła, symbolu rzymskiego boga Mitry, przyjętym do użytku przez ludzi znających potęgę symboli i chcących nawrócić wyznawców Mitry, czyli właściwie każdego legionistę, na chrześcijaństwo? Pamiętasz, że samo chrześcijaństwo to uzurpacja i zniekształcenie drogi, którą podążali nasi przodkowie? Tej samej drogi, którą szedł człowiek Chrystus i jego brat Jakub, za której tajemnice zginęli? Że to uzurpacja, ponieważ zabrano te tajemnice Żydom, i zniekształcenie, ponieważ wyczyszczono je potem i uwolniono od wszelkich żydowskich śladów, które mogłyby nie spodobać się Rzymianom, włącznie z osobą i charakterem samego Jezusa? Pamiętasz to? Cokolwiek z tego?

Will, skonsternowany cichą zajadłością tego niespodziewanego katechizmu, mógł jedynie podnieść dłonie, jakby się poddawał.

- Oczywiście że tak. Pamiętam wszystko.

- A zatem nadszedł czas, abyś zaczął żyć swoim prawdziwym życiem jako jeden z nas, brat Zakonu Syjonu.

- Uważacie, że żyłem inaczej?

- Ależ nie. Lecz sądzimy, że powinieneś ujrzeć pewne rzeczy na nowo.

- Sądzimy? Masz na myśli siebie i sir Szymona?

- Nie. Mam na myśli nas i wszystkich twoich towarzyszy z bractwa. Oto wiadomość, jaką ci przywozimy: czas zastanowić się nad tym, co zostało tobie i twoim ludziom tutaj, na Arran.

- Z tego, co dzisiaj powiedzieliście, wynika, że została nam tylko nasza wolność i że zawdzięczamy ją jedynie szczęściu. Ale jaki użytek z wolności, jeśli nie można z niej korzystać?

- To prawda. W obecnej sytuacji wasza wolność jest ograniczona. Lecz to właśnie dlatego Szymon i ja tu jesteśmy. Jeśli nie poczynicie kroków, aby zmienić swój los, wolność przyda wam się jedynie do tego, abyście wymarli po kolei, aż zniknie ostatni z was. Wiesz to już. Byliśmy bardzo zadowoleni, widząc, że przed doniesieniem nam o swoich zmartwieniach dokładnie przemyślałeś tę kwestię, ponieważ masz rację, sądząc, że przynajmniej twoi młodszy ludzie powinni zostać zwolnieni ze ślubu czystości. Bez możliwości płodzenia potomków ty i twoi podopieczni wkrótce nie będziecie mieli komu przekazać swojego dziedzictwa.

Will jeszcze bardziej zmarszczył czoło.

- Co to za dziedzictwo?

-Wasze dziedzictwo jako templariuszy... ostatnich wolnych templariuszy. Czyż nie warto tego zachować po dwustu latach? Will podniósł ręce z rozdrażnieniem.

- Oczywiście że tak. Lecz właśnie powiedziałeś mi, że czas zostawić to za sobą.

-Tak powiedziałem? Nie. Powiedziałem, że czas, abyś od nowa zaczął żyć swoim prawdziwym życiem, jako jeden z braci Syjonu. Lecz to nie pociąga za sobą porzucenia żadnych obowiązków. Będzie trzeba je przemyśleć i ułożyć w nowej hierarchii, ale rezygnacja nie wchodzi w grę.

- Tak samo jak zwolnienie moich ludzi ze ślubów czystości i oczekiwanie, że zostaną na Arran.

Teraz to baron zmarszczył brwi, przechylając nieco głowę.

- Nie pojmuję.

- Nie dziwi mnie to, baronie. Na Arran nie ma żadnych kobiet. No, może bardzo nieliczne, żony mieszkańców, którzy w większości już dawno przenieśli się do Szkocji. Z pewnością nie ma żadnych młodych kobiet, które mogłyby rodzić dzieci. - Wzruszył ramionami. - Jeśli zatem zwolnimy ich z tego ślubu... nie wspominając nawet, że większość z nich się na to nie zgodzi, co jest tylko jednym z powodów, dla których ten pomysł to szaleństwo... będą musieli opuścić wyspę, aby znaleźć żony, co oszczupli nasze siły i przyspieszy nasz koniec.

Baron, najwyraźniej dalej nie rozumiejąc, zerknął na de Montferata, który rzekł:

- Kiedy mówisz „nasz”, masz na myśli tutejszych braci Zakonu Świątyni, czyż nie?

- Oczywiście.

- Lecz dla nas „my” to Bractwo Syjonu. Od swoich początków Zakon Świątyni był dla nas jedynie środkiem do pewnego celu... wygodnym sposobem na ukrycie nas samych i naszych przedsięwzięć. Pod tym względem nie czeka nas żaden koniec. Nikt spoza bractwa nie ma pojęcia o jego istnieniu, a nasza praca trwa nieprzerwanie. Dlatego tu jesteśmy: aby nakłonić cię do podjęcia właściwych kroków. Sama wasza obecność, rzekomo jako templariuszy, przedłuża istnienie naszego prawdziwego Zakonu w tym kraju, ponieważ poza tobą i innymi braćmi, którzy ci towarzyszą, w całej Szkocji jest mniej niż dwudziestu jego przedstawicieli. A jednak najcenniejsza rzecz, jaką posiadamy, przyczyna wszystkich naszych wysiłków, znajduje się teraz tutaj, pod twoją opieką.

- Skrzynie ze skarbem - mruknął Will i kiwnął głową. - Ano, jak na razie tu są.

- Oczywiście. Kiedy nadejdzie odpowiednia pora, wrócą do Francji, lecz w świetle obecnych wydarzeń szaleństwem byłoby podejmowanie ryzyka zawiezienia ich tam teraz. Więc i ty, mój młody przyjacielu, musisz tu zostać. To jest polecenie dla ciebie od braci z Zakonu Syjonu. A co ważniejsze, musisz tu prosperować. Bractwo potrzebuje

twojej obecności tutaj i tego, abyś zwiększał swoje wpływy u króla Szkocji i jego możnych oraz je wykorzystywał. Will pokręcił głową.

- Tylko co to ma wspólnego ze zwalnianiem braci ze ślubu czystości? Nie widzę związku.

De Montferrat mruknął pod nosem, a potem nabrał głęboko powietrza, najwyraźniej zmuszając się do cierpliwości.

- Templariusze składają trzy śluby. Który z nich jest najważniejszy?

- Posłuszeństwa.

- Otóż to. Jako mistrz w Szkocji sprawujesz niepodzielną władzę nad wszystkimi tutejszymi templariuszami. Znajdziemy odpowiedni sposób na wytłumaczenie im sytuacji i choć możesz mieć rację, mówiąc, że wielu nie wyprze się swej przysięgi, niektórzy to zrobią. Będą wciąż zobowiązani wypełniać twoje rozkazy jako mistrza, a ty rozkażesz im znaleźć żony, gdziekolwiek się da, a potem wrócić z nimi na Arran, bowiem wciąż będą stanowić część wspólnoty. Nie mówię, że łatwo będzie to osiągnąć. Mówię jednak, że to konieczne.

- Nie, na Boga! Zastanówcie się, co mówicie... Odbierając konieczność przestrzegania jednego ślubu, pomniejszamy znaczenie wszystkich trzech. Jak możemy z czystym sumieniem i przekonaniem powiedzieć, że jedna składana na całe życie przysięga jest mniej ważna niż inna, że odpuścimy im grzech krzywoprzysięstwa w jednym przypadku, lecz podtrzymamy świętość wszystkich pozostałych? To nie ma sensu. To nielogiczne.

- Zgadza się. Lecz ten brak logiki nie powstał za naszą sprawą. To logika świata, w którym postanowili żyć, uległa zachwianiu. Wszyscy grzeszymy, jako chrześcijanie to wiedzą. Lecz w obecnych okolicznościach ukarała ich i potępiła władza, której przez całe życie bronili: Kościół i społeczeństwo, w którym żyli, wiernie mu służąc. Ich księża, od tych najwyższych w hierarchii do najniższych, zdradzili ich bezlitośnie i bezdusznie, a ich król, któremu co prawda nie składali żadnej przysięgi wierności, uznał ich za zdrajców zasługujących wyłącznie na tortury i płomienie śmierci. Jeśli pozostało coś, na czym mogłoby im zależeć, musi to być los ich samych i przetrwanie ich ideałów. To wymaga dzieci, które podążą za nimi w nowe życie. Ci ludzie z ochotą zginęliby za swoje wierzenia, walcząc za chrześcijaństwo. A teraz są obłożeni klątwą przez ludzi rządzących światem chrześcijańskim

i pozbawieni kontroli nad własnym istnieniem. Wierz mi, wysłuchają i rozumieją. Jeśli jedna dziesiąta z nich przyjmie twoje rozgrzeszenie, powstanie w Szkocji dwadzieścia nowych rodzin, które będzie można nauczyć prawdy.

- Masz na myśli chrześcijańską prawdę?

-Tak. Nasza prawda nie jest chrześcijańska. Lecz templariusze w Szkocji muszą za wszelką cenę przeżyć.

- Ale to, co sugerujecie, wciąż wydaje mi się niemożliwe. Nigdy jeszcze niczego takiego nie zrobiono... nie anulowano zbiorowej przysięgi.

-To nie do końca prawda... Wprowadzano nawet większe zmiany. Być może pamiętasz, że przed założeniem Zakonu duchownym, księżom i mnichom, nie wolno było zabijać ludzi. Lecz kiedy nadszedł odpowiedni czas, a okoliczności wymagały drastycznych zmian, prawo to, obowiązujące od zarania Kościoła chrześcijańskiego, uległo przekształceniu, aby dostosować się do nowych warunków epoki. Mnisi i księża otrzymali dyspensę, która wręcz zachęcała ich do zabijania w imię Boga. Wymagało to daleko idących reform w Bożym przykazaniu, więc twój obecny dylemat sprawia w porównaniu z tym wrażenie mało znaczącego.

-Ano, jeśli tak to ująć, faktycznie. Musimy zatem... zniknąć. -Will uświadomił sobie, że obaj rozmówcy spojrzeli na niego, i wzruszył ramionami. — Powiedział mi coś takiego tutejszy duchowny. Wtedy się z tym zgodziłem. - Zamilkł, rozmyślając, a potem przyjrzał się po kolei swoim mentorom. - A zatem wy i wasza rada naprawdę sądzicie, że wszystko to jest wykonalne?

Odpowiedział mu Etienne Dutoit.

-Tak, na najbardziej fundamentalnym poziomie. Będziesz miał do dyspozycji wszelkie środki naszego bractwa.

- Aby ocalić resztki Zakonu Świątyni...

- Ocalić je i zachować. Przyślemy ci pomoc, bystrych młodych ludzi z Francji, śmietankę Zakonu Syjonu, żonatych i z dziećmi. Szkocja i Francja... Francja naszego bractwa... będą sprzymierzeńcami w tym odrodzeniu.

Will znów siedział bez słowa długą chwilę, lecz potem wyprostował plecy i skinął głową stanowczo.

- Doskonale. Nie będzie to łatwe, ale tego dokonamy. Niech tak się stanie.

Chyba po raz dziesiąty w ciągu czterech godzin Will obrócił w rękach starannie zapakowaną, podłużną przesyłkę. Z przodu widniało tylko jego nazwisko, skreślone charakterem pisma, który rozpoznał z mieszanymi uczuciami. Z tyłu była lakowa pieczęć z gładkim stemplem, a Will z całej siły walczył z pokusą złamania jej i przeczytania listu. Nie miał pojęcia, dlaczego go wysłano, i z jakiegoś powodu czuł opory przed otwarciem go. O kobiecie, która go napisała, myślał od miesięcy - coraz częściej i całkowicie wbrew swej woli. Jej twarz jawiła mu się przed oczami niespodziewanie, w najdziwniejszych chwilach, i kilka razy obudził się w środku nocy z niejasnymi wspomnieniami jej sylwetki i ciepła jej skóry. Teraz, wlepiając wzrok w list, przyznał przed samym sobą, że zaabsorbowanie myślami o niej, przed którym się bronił, zwiększyło się od dnia, w którym zwolnił tak wielu swoich braci ze ślubu czystości.

Mruknął z niesmakiem i ponownie odwrócił list, patrząc na własne nazwisko napisane dokładnie pośrodku nieskazitelnego fragmentu pergaminu. Przesyłkę dostarczył mu tego ranka młody człowiek, który przyплыnął na pokładzie galery de Berengera z wybrzeża w okolicach Galloway, gdzie admirał przez ostatni miesiąc przebywał z Edwardem Bruce'em i Douglasem. Will dowiedział się, że obaj dowódcy cały ten czas spędzili na północy, walcząc wraz z królem przeciwko MacDougallom z Argyll. Dotarł też tam de Berenger, aby krążyć po jeziorach i wspierać królewskie siły. Przywiózł wieści o ich niedawnym zwycięstwie pod wodzą samego Roberta, wspieranego przez swojego zapalczywego brata i Jamesa Douglasa, odniesionym na górskiej przełęczy zwanej Brander - podobno niemożliwej do zdobycia tylnej furtki na

ziemie Argyll. Zajęcie przełęczy, które w dużym stopniu zawdzięczali geniuszowi i umiejętności improwizacji Douglasa, doprowadziło do najazdu na samo Argyll oraz wielkiej konsternacji Kulawego Jana z Lorne, który był przekonany, że jego tyły są bezpieczne.

Owym wieściom towarzyszył ten list, dostarczony przez naiwnego, poważnego i bardzo młodego człowieka o nazwisku Randolph, kuzyna baronowej. Powiedział, że na prośbę kuzynki przybył z Nithsdale z dokładnymi instrukcjami, aby odszukać zastępcę armii Bruce'a na południu i zdobyć miejsce na najbliższym okręcie płynącym na Arran. Czekał na wybrzeżu dwa tygodnie, aż wróciła galera admirała, i to na niej przepłynął zatokę.

Will wstał, klnąc pod nosem, zostawił list na blacie i podszedł do wąskiego okna. Oparł się na parapecie, przyglądając się swoim ludziom, pracującym na dziedzińcu poniżej.

Od wizyty Dutoita i de Montferrata upłynął ponad miesiąc. *W* tym czasie - na zamkniętym spotkaniu obu kapituł Arran, zwołanym w trzydniowej przerwie między powrotem jednej drużyny wspierającej króla a wyjazdem następnej - Will nakreślił templariuszom swoje plany. Z pomocą de Berengera i kilku innych wysokich rangą członków wspólnoty powoli i cierpliwie, aby mógł go zrozumieć nawet najmniej lotny z braci, wyjaśnił obecną sytuację w ich ojczyźnie. Najsilniejszy i najbardziej szczegółowy nacisk położył na to, do jakiego stopnia wpływa ona na życie każdego templariusza na Arran. Tuż przed planowanym końcem spotkania ogłosił zamiar zwolnienia mnichów ze ślubu czystości.

Spodziewał się żywiołowego sprzeciwu z każdej strony, lecz szczególnie od trzech biskupów oraz knura de Pairauda i jego popleczników, więc dołożył starań, aby naradzić się najpierw z nimi, prosząc o radę na długo przed ogłoszeniem czegokolwiek kapitule. Ku jego bezgranicznemu zdumieniu żaden z nich nie zgłosił ani jednego zastrzeżenia. Zadawali dociekliwe i pełne troski pytania - szczególnie w kwestii teologicznego nieprawdopodobieństwa, jakim było wybieranie między już złożonymi ślubami, odrzucanie jednego z nich i jednoczesne nieprzerwane przestrzeganie pozostałych - lecz kiedy odpowiedział na nie wszystkie otwarcie, jak jeden mąż przychylni się do jego życzeń. Jeden z biskupów zwrócił uwagę, że przede wszystkim to nie oni postanowili uzurpować sobie boską wolę. Kościelny

zastępcą Boga uznał za stosowne zmienić zasady dotyczące oddawania czci Panu w niebiosach, a templariusze jedynie zareagowali rozsądnie, kierując się instynktem samozachowawczym.

Kiedy jednak przedstawił swą propozycję reszcie braci, wywołała ona spór, który potrwał do późnych godzin nocnych, zanim zyskała sobie przychylność. Znaczna większość zebranych była zbyt przyzwyczajona do swojego życia, aby z jakiegokolwiek powodu rezygnować z przysięgi, lecz pięćdziesięciu siedmiu młodszych braci wyraziło zgodę; część chętnie, część bez emocji, a większość z pewnymi oporami. Will nie był zdumiony, lecz wbrew wszystkiemu nieco zawiedziony, kiedy jako jeden z pierwszych zgłosił się były buntownik Martelet, choć nie dołączyli do niego niegdysiejsi towarzysze.

Następnego dnia Will ponownie zwołał kapitułę, aby - w pełnym rynsztunku mistrza Zakonu — błagać Boga Starego Testamentu o błogosławieństwo dla ich nowych działań i zachowania. Już nazajutrz rozpoczął się exodus: nowo wyzwoleni bracia odnowili śluby posłuszeństwa i bez wyjątku podjęli się przywiezienia żon na Arran, kiedy uda im się je znaleźć. Jednak z pięćdziesięciu siedmiu braci aż trzydziestu wchodziło w skład nowej zmiany pomocników króla Roberta w Szkocji, co oznaczało, że musieli albo doczekać do końca pobytu na stałym lądzie i dopiero potem zacząć szukać żon, albo rozglądać się za kandydatkami już podczas służby.

Dwaj delegaci z Aix-en-Provence, zadowoleni z obrotu spraw, wrócili wkrótce potem do domu, obiecując, że jak najszybciej przyślą na Arran młodych, żonatych braci Zakonu Syjonu. Ustalono, że przybędą oni jako sympatycy Zakonu Świątyni, chcący wesprzeć wyjętych spod prawa braci z Arran. Will nie przemyślał jeszcze, jak ich przywita ani jaki zrobi z nich użytek, lecz perspektywa ta go nie martwiła. Wiedział, że kiedy nadejdzie czas, znajdą się dla nich odpowiednie stanowiska.

Ponownie przeniósł wzrok na zapieczętowany list na stole, uznając, że jego opory nie mają żadnej logicznej podstawy. Doręczono go jawnie i niewinnie, więc Will wiedział, że nie zawiera nic prowokującego czy skandalicznego. Baronowa pisała do niego już wcześniej i w tej przesyłce zapewne poruszała podobne tematy, dostarczając prywatnych wieści o sprawach monarchy, które udawało jej się zebrać dzięki specjalnej pozycji osoby zaufanej. Tego się nie obawiał; obawiał się

wyłącznie swojej reakcji na odnowioną świadomość istnienia Jessie Randolph. Wspomnienia o niej - a co gorsza, fantazje - wielokrotnie zakłóciły jego sen, i dopiero od niedawna potrafił zapomnieć o niej na całe tygodnie. A teraz wróciła, skrobiąc w jego drzwi, jak by powiedzieli jego szkoccy druhowie.

Westchnął i pociągnął mocno nosem, już zdecydowany. Wrócił do stołu, usiadł i paznokciem kciuka złamał pieczęć listu. Starannie złożone pismo szczelnie wypełniało kopertę, a Will od razu zauważył, iż - tak jak poprzednie - skreślono je w mowie jego dzieciństwa, w języku andegaweńskim.

Sir Williamie,

Być może wiesz już więcej niż ja o tym, o czym chcę napisać, lecz pomówiwszy z SJD, który niedawno przejeżdżał przez Nithsdale, i dowiedziawszy się, iż miał zamiar Cię odwiedzić, lecz uniemożliwiły mu to ograniczenia narzucone przez jego kampanię w Galloway, pomyślałam, że być może nie jesteś jeszcze świadom, co dzieje się na północy.

Zawieszenie broni z MacDougallami z Lorne i Argyll dobiegło końca i jasne jest, że nieposłuszny Kulawy Jan spędził czas pokoju, wzmacniając swoją pozycję i siłę, co miało na celu zniszczenie Jego Miłości Roberta. Świadom tego król pomaszzerował na północ z armią, aby zaatakować ziemie Jana od tyłu przez naturalną bramę, przełęcz Brander, a SJD i jego oddział są teraz w drodze, aby dołączyć do królewskich zastępów. Możesz nie wiedzieć o tym przedsięwzięciu, lecz jego rezultat mocno wpłynie na Twoją sytuację, czy to na dobre czy na złe. Modłę się, aby stało się to pierwsze.

Twoje plany związane z zakorzeniem się na wyspie na pewno są już w znacznym stopniu, jeśli nie w całości, zrealizowane. Ufam, że Tobie i Twoim ludziom dobrze się powodzi w tym względzie. Ja sama wciąż cieszę się rolą honorowej ciotki, choć słowo „matka” mogłoby lepiej opisać tę relację, biorąc pod uwagę, jak jest wszechstronna. Niezależnie od nazwy sprawia mi ona wielką radość, a dziewczynka jest wspaniała, bardzo szybko uczy się języków. Już, po niecałym roku ćwiczeń, posługuje się Jrancuskim tak, jakby nigdy nie знаła innej mowy.

Mam nadzieję, że nie obdarzysz mnie zbyt niełaskawymi myślami za to, że po raz kolejny Ci się narzucam, lecz często o Tobie myślę, a jak mawiał mój ojciec, od urodzenia jestem zdecydowanie zbyt ciekawska,

żeby wyszło mi to na dobre. Peggy czuje się dobrze, a upływ lat sprzyja jej urodzie. Byłbyś dumny, gdybyś tylko mógł ją zobaczyć. Bezustannie nosi Twoją błyskotkę, a jej duma ze starszego brata jest oczywista.

Młodzieniec, który dostarczył Ci ten list, to mój kuzyn — znacznie młodszy, niż się wydaje — więc błagam, zignoruj jego prośby o możliwość zostania z Tobą i wyślij go z powrotem do domu. Będzie miał jeszcze dość czasu na wojowanie, kiedy do tego dorośnie.

*Twoja przyjaciółka
Jessie Randolpb*

Najazd na Argyll i Lorne zakończył się wielkim sukcesem, a Douglas odegrał znaczącą rolę w zajęciu podobno niemożliwej do zdobycia przełęczy - tego Will dowiedział się już od de Berengera, którego wiadomości były bardziej aktualne. Lecz musiał przyznać, że gdyby jej list przybył w inny sposób niż na galerze de Berengera, byłby za niego bardzo wdzięczny i zadowolony z jego otrzymania. Nie było winą baronowej, że czas i wydarzenia wyprzedziły jej wieści. Troska o jego dobrobyt - jego i jego ludzi, dodał pospiesznie - była szczerą, a on nie miał ochoty jej kwestionować. To z kolei sprawiło, że poczuł wyrzuty sumienia spowodowane tym, że planował nie odpowiedzieć na jej wiadomość. O ile pamiętał, nigdy w życiu nie wysłał listu do kobiety i nie pałał taką chęcią teraz. Nie reagował nawet na liściki Peggy, a była jego siostrą. Drżał na myśl o samej próbie napisania do Jessiki. Nie wiedziałby nawet, od czego zacząć. Postanowił, że lepiej zatem będzie postępować jak dotychczas, nie odpowiadając na umizgi baronowej i zapewniając sobie tym samym, że nie zrobi nic, czego mógłby żałować.

Przeczytał list jeszcze raz, potem złożył go starannie i umieścił w zamykanej na kłódkę skrzynce z drzewa sandałowego, na pierwszym liście Jessie, gdzie, jak wiedział, będzie bezpieczny.

DROGA

DO LEGENDY

Powrót

1

Tego wspaniałego czerwcowego poranka roku pańskiego 1312 William Sinclair zajmował się własnymi sprawami, którymi nie miał ochoty dzielić się z nikim. Jego mnisze życie było właściwie pozbawione intymności, a pozycja mistrza i komtura Zakonu na Arran tylko pogarszała sytuację. Zawsze ktoś chciał z nim porozmawiać, szukając jego aprobaty lub rady, a kiedy tylko znajdował się na widoku, okazywało się, że stanowi centrum tłumu. Samotność mógł znaleźć tylko podczas modlitw i medytacji, lecz i wtedy nie zawsze, ponieważ większość rytuałów templariuszy była zbiorowa. Jednak tego dnia Will postanowił być sam z powodu, który uznał za wystarczający.

Poprzedniego wieczora jeden ze starych marynarzy ze statku handlowego zakotwiczonego w zatoce w Lochranzy powiedział mu, że następnego dnia zapowiada się najpiękniejsza jak dotąd pogoda tego roku, a Will spontanicznie postanowił zrobić to, o czym myślał od ponad miesiąca. Odszukał Ryszarda de Montricharda, preceptora wyspy, i poinformował go, że wyjeżdża i wróci za dwa dni, ostatniego dnia czerwca. De Montrichard kiwnął tylko głową, nie okazując ani zdziwienia, ani ciekawości, lecz Will wiedział, że nawet jeśli preceptor nie dziwi, że mistrz znika bez najmniejszej eskorty, inni być może będą zaskoczeni, więc jedynie na ich użytek dodał, że ma wiele na głowie i potrzebuje nieco samotności, aby wszystko spokojnie przemyśleć. Potem zawiadomił Tama, że przez następne dwie noce będzie spał pod gwiazdami, i poprosił, aby przez ten czas krewniak znalazł jakieś zajęcia jego giermkowi, Henrykowi. Spodziewał się oporu, lecz Tam tylko wzruszył ramionami i życzył mu mile spędzonych samotnych chwil.

Następnie Will starannie spakował do juków wszystko, co mogło mu się przydać, przerzucił przez ramię gruby, zrolowany koc i zaszedł po drodze do kantyny, aby zabrać jedzenie na dwa dni. Przygotowania zakończył, wybierając ze stajni dobrego, solidnego górskiego konia, i zniknął między wzgórzami równo z zachodem słońca.

Kiedy oddalił się o dwie mile od Lochranzy, zerwał się mocny wiatr, lecz Will i tak spał smacznie na posłaniu z paproci w głębokiej, osłoniętej szczelinie przy górskim stawie, gdy wichura wyła i gwizdała nad nim, nie wyrządzając mu szkody, ponieważ był szczelnie okryty wełnianym kocem. Wiatr osłabł w ciągu nocy, a Will wstał na długo przed świtem. W ciemnościach zjadł śniadanie złożone z zimnego mięsa i owsianego suchara, zwinął obóz, po czym ruszył na południowy wschód, pod zboczami wielkich wzgórz górujących po jego prawej, aż ponownie dotarł do wybrzeża. Dotarł do celu późnym rankiem, kiedy słońce już mocno świeciło.

Stał plecami do morza, spoglądając na zbocza gór i szukając śladów ludzkiej obecności, choć żadnych się nie spodziewał. Był to jeden z najbardziej odizolowanych fragmentów wybrzeża na Arran, rzadko odwiedzany, ponieważ z przodu znajdowały się wysokie klify, a nie łagodne plaże, a z tyłu - potężne, niemożliwe do przebycia góry. Można było się tam dostać jedynie drogą, którą on przyjechał, a znalazł to miejsce przez przypadek, dwa lata wcześniej, kiedy ścigał postrzelonego jelenia.

Chwycił uzdę konia o szerokich kopytach i poprowadził go w stronę klifu, skąd zeszli do wąskiego wąwozu wyciętego wartko płynącym strumieniem i zniknęli poniżej poziomu ścieżki. Jednak to tam, w dole, znajdowała się prawdziwa perła. Piętnaście kroków poniżej skraju klifu wystawał w stronę morza szeroki skalny palec, całkowicie niewidzialny z łądu, tworzący jedną krawędź koryta strumienia i obrosnięty torfem i paprociami. Will rozsiadł konia i zostawił go, aby mógł się swobodnie paść. Potem - niosąc juki i cztery gałęzie młodej olszy, które wyciął w zagajniku o milę dalej na północ - podszedł do najdalszego punktu cypla i spojrzął w morze, leżące niecałe dziesięć kroków niżej.

Pogoda była całkowicie bezwietrzna, a morze to odzwierciedlało: tylko łagodne pojawianie się i znikanie pojedynczych podwodnych skał świadczyło, że biegną po nim fale o wysokości pięciu czy sześciu

stóp, jedyny znak, że ledwie kilka godzin wcześniej po okolicy szalała wichura. Mimo fal woda była teraz tak czysta i sprawiała wrażenie tak spokojnej, że Will widział wielkie ryby sunące pod jej powierzchnią. Odwrócił się i ponownie podniósł wzrok na klif. Nic się tam nie ruszało; był sam.

Odsunął się od krawędzi skały i zdjął pas przez głowę, upuszczając go na trawę wraz z mieczem, który był u niego przywieszony. To samo zrobił z drugim pasem, otaczającym jego talię i podtrzymującym sakwę oraz sztylet. Nie miał na sobie kolczugi ani zbroi, ponieważ na wyspie nie było takiej potrzeby. Ludzie ze stałego lądu oraz Kintyre może i nie wiedzieli dokładnie, kim są nieznajomi, którzy niedawno zajęli Arran, lecz wiedzieli, że jest ich wielu, nie mają ze sobą kobiet i są wojownikami, więc trzymali się z daleka.

Ruszając się teraz z pośpiechem, Will wziął gałęzie olszy i związał je rzemieniami, tworząc wysoki na cztery stopy trójnóg, a czwartą przytwierdził w poprzek do dwóch z nich. Potem zdjął zwykłą, brązową letnią opończę, złożył ją niedbale i rzucił na oręż. Rozpiął jeszcze jeden wąski pasek i ściągnął sięgającą kolan tunikę z szorstkiej wełny, obnażając tors i rozkładając ramiona, aby cieszyć się dotykiem powietrza na skórze. Chwilę później usiadł, rozsuł ciężkie buty do jazdy konnej i zsunął luźne wełniane bryczesy, aż został wyłącznie w bieliźnie.

Wychylił się w bok i przyciągnął do siebie juki, z których wyjął ciężką bryłkę ostrego, mocno pachnącego mydła z pralni kapituły oraz białe, starannie zrolowane i obwiązane zawiniątko, które rozwiązał i strzepnął. Była to gładka, miękka i elastyczna prostokątna płachta wybielonej skóry jagnięcej o szerokości dwa razy większej niż długość. Po wewnętrznej stronie wyszorowano ją do oślepiającej białości, a po zewnętrznej było bardzo krótko ostrzyżone runo. Długi rzemień z tej samej białej skóry był luźno przewleczony przez kilka pierwszych dziurek zrobionych na jednym końcu; na drugim widać było identyczne otworki. Will zostawił skórę leżącą runem w dół na krótkiej trawie, po czym podniósł się na kolana. Sięgnął do boku i pociągnął za rzemień, który podtrzymywał brudną, lecz poza tym identyczną skórę ciasno owiniętą dookoła jego talii, zakrywającą jego ciało od bioder do połowy uda. Rozwiązanie i poluznienie go zajęło mu trochę czasu, a kiedy spodnie odzienie opadło, podniósł je i nago podszedł do skraju cypla, gdzie przyjrzał się, jak strumień mknie swoim głębo-

kim koryrem do morza. Celując uważnie, rzucił skórę, a potem bryłę mydła w jeden punkt na drugim brzegu wąskiego wąwozu, gdzie starczyło na nie miejsca, a potem się odwrócił i podszedł żwawo do najdalej wysuniętego punktu cypla.

Decyzję, aby tu przybyć, wywołało niedawne spotkanie z giermkim Ryszarda de Montricharda, Garethem. Will i de Montrichard przyglądali się właśnie rozkładowi następnej zmiany wojów dla króla Roberta, kiedy wszedł giermek z wiadomością dla swojego pana, a kiedy minął Willa, ten musiał zamknąć oczy i wstrzymać oddech z powodu kwaśnego odoru odchodów, który od niego emanował. Will był właściwie uodporniony na zapachy ludzi, między którymi żył, lecz nawet wśród wspólnoty niemytych ciał ten młodzieniec śmierdział. Sinclair zmusił się, aby nie ruszać się i odetchnąć dopiero, kiedy drzwi zamknęły się za giermkim, a wtedy nabrał głęboko powietrza.

- Słodki Jezu, Ryszardzie, ten twój chłopiec cuchnie jak otwarta latryna. Gnijące zwłoki pachniałyby przyjemniej. Kiedy się ostatnio kąpał?

De Montrichard wyglądał na zdumionego.

- Nie wiem. Chyba na Wielkanoc, jak my wszyscy. Trzy miesiące temu. Powinienem kazać znów mu się wykapać?

Will miał zakrzyknąć „Tak!”, ale tylko wzruszył ramionami i machnął niezobowiązująco ręką, aby zbyć temat. Już postanowił, co zrobi w sprawie tego Garetha.

Kiedy tylko zakończył rozmowę z preceptorem, posłał na dziedzińiec, gdzie odbywała się musztra, po swojego giermka, aby stawił się w jego prywatnych kwaterach. Potem z jednej ze skrzyń ustawionych pod tylną ścianą pokoju, który służył mu za celę, wyciągnął kostkę mocnego mydła i zawinął ją we własny ręcznik. Kiedy młody Henryk się pojawił, Will kazał mu się zbliżyć, pochylił się w jego stronę i pociągnął nosem badawczo, po czym go zmarszczył.

- Kiedy się ostatnio kąpałeś?

- Dwa tygodnie temu, wuju. — Chłopiec odpowiedział bez mruknięcia okiem, ponieważ już dawno przyzwyczał się do dziwnego poszanowania względem czystości ciała, które przejawiał jego wuj. Reguła nie wymagała kąpieli, więc się nie kąpali. Uważano to za oznakę zniewieścienia i przywiązania do spraw cielesnych oraz oficjalnie potępiano.

- A zatem mam dla ciebie zadanie. Najwyższa pora, abyś poszedł popływać.

Henryk uśmiechnął się nieco niepewnie. Był jednym z może dziesięciu wśród czterdziestu giermków na wyspie, którzy potrafili pływać, i uwielbiał to robić przy niezwykle rzadkich okazjach, kiedy pozwalały mu na to jego obowiązki.

Will rzucił mu mydło i ręcznik, a chłopak je złapał.

-Weźmiesz ze sobą tych ze swoich przyjaciół, którzy potrafią pływać, i możecie spędzić to popołudnie wedle uznania. Ale mam warunek: weźmiesz też giermka preceptora de Montricharda. Potrzebuje kąpieli, a twoim zadaniem będzie pomóc mu jej zażyć. To, co trzymasz, to mydło. Wiesz, jak się go używa. Pokażesz to Garethowi, byle skutecznie. Czy wyrażam się jasno?

-Tak, wuju. Bardzo jasno. Ale...?

— Nie sugeruję, że masz zrzucić Garetha z klifu, rozumiesz? Nie potrafi pływać i może się utopić. Ale możesz go wciągnąć do wody z plaży i tam go wyszorować. A teraz w drogę.

Will pozwolił sobie teraz na chichot, kiedy wyobraził sobie scenę, którą spowodował, i Garetha zmuszonego do pokonania najwyraźniej wieloletniej niechęci do mydła i wody. Wyczekując przyjemności związanej z tym samym doznaniem, zatrzymał się na chwilę, patrząc w wodę poniżej, a potem rzucił się szczupakiem w dół.

Wiedział, że pod koniec czerwca morze jest dość ciepłe, lecz początkowy szok związany z zanurzeniem się w nim wystarczył, aby zabrakło mu tchu, a wypływając na powierzchnię, złapał się na myśli, że ma wielkie szczęście, ponieważ w odróżnieniu od większości ludzi nie czuje lęku przed pływaniem czy wodą. Inni uważali ją za obcy i przerażający żywioł, grożący śmiercią i niemożliwy do opanowania. Will nauczył się pływać we wczesnym dzieciństwie od jednego z ludzi jego ojca, który przez całe życie był rybakiem i kochał wodę. Will był pilnym uczniem i choć po ukończeniu osiemnastu lat nie miał zbyt wielu okazji, aby popływać - mógł je policzyć na palcach obu rąk - nigdy nie zapomniał radosnej wolności związanej z zanurzeniem się w głębokiej, czystej wodzie.

Pływał może przez kwadrans z poczuciem zarówno winy, jak i wyzwolenia, raz po raz nurkując do dna i wracając na powierzchnię. Na dnie dostrzegł uczipiony skał gąszcz wodorostów, a także pełno sko-

rupiaków, lecz od słonej wody szczypały go oczy i widział jak przez mgłę, a kiedy stało się to nieprzyjemne, został na powierzchni, unosząc się na plecach i patrząc na górujący nad nim cypel, od czasu do czasu kopiąc mocno nogami, aby prąd nie znosił go na południe, w stronę wybrzeża. Wyraźnie poczuł swoje genitalia, uwolnioną na-gos'ć, do której nie był przyzwyczajony. Ta świadomość przypomniła mu o celu, dla którego tam przybył, więc ruszył do brzegu i wpłynął pieskiem do zatoczki stworzonej przez potok spadający ze zbocza powyżej.

Słodka woda, rozpryskująca się ciężko na jego ciele, była znacznie zimniejsza niż morze, które właśnie opuścił. Wspiął się żwawo pod prąd, schylony, aż dotarł do kipieli pod wodospadem o wysokości sześciu stóp i wdrapał się na półkę skalną obok niego, gdzie wcześniej wrzucił skórę i mydło.

W wąwozie, osłoniętym przed słońcem wysokimi zboczami, było chłodno, więc Will ruszał się teraz pospiesznie, rozpościerając skórę na sporym kamieniu i szorując ją mydłem, aż wytworzyła się piana. Nie było to łatwe, ponieważ mydło było prymitywne, lecz nie ustępował i wkrótce mógł zacząć ugniatać runo, czując pod zziębniętymi palcami śliską, namydloną wełnę. Pracował bez wytchnienia, trąc i bijąc pięściami zimną skórę, aby usunąć nagromadzony brud; od czasu do czasu dodawał więcej mydła, a potem powtarzał cały proces do chwili, kiedy był pewien, że wyczyścił ją najdokładniej, jak się dało. Zebrał ją i wrócił do podnóża wodospadu. Rozłożył ją na innym, większym głazie o płaskiej powierzchni, tak aby spadał na nią grzmiący strumień wodospadu. Sam ciężar i ciśnienie wody wypłukały mydło ze skóry, aż w sadzawce pod głazem nie było widać ani śladu mydlin czy odbarwienia.

Will przemarzył już do kości i miał kłopot z wdrapaniem się w górę stromego koryta. Zaniósł przemoczoną skórę na ramieniu do najbliższego miejsca, gdzie mógł bezpiecznie wciągnąć się na nasłonecznioną powierzchnię skalistego występu. Wspaniale było poczuć promienie słońca na nagiej skórze, lecz Will wiedział, że trochę potrwa, zanim się rozgrzeje. Szybko rozpostarł ociekającą skórę na trójnogu i tak ją zostawił, a sam rozpoczął znajomą serię ćwiczeń, których celem było rozluźnienie kończyn i przyspieszenie bicia serca. Kiedy poczuł, że znów jest mu ciepło, padł bezwładnie na trawę, rozkoszując się słońcem, po czym zasnął.

Obudził się jakiś czas później, aby ujrzeć, że po jego torsie pełza wielki chrząszcz; to jego łaskoczące pazurki sprawiły, że się ocknął. Strącił go palcami, a owad wzleciał w powietrze, bzyząc nisko, kiedy zniknął w wąwozie. Will zerknął na trójnog i zobaczył, że ze skóry już nie kapie, choć wciąż wyglądała na przemoczoną. Mruknął i podniósł się zwinnie, chwycił skórę i wytrząsnął ją mocno, usiłując uderzyć końcami jeden o drugi, aby pozbyć się jak największej ilości wody. To także była ciężka praca, lecz nie przestawał, chwytając raz jeden koniec, raz drugi. Kiedy skończył, znów był mokry, lecz tym razem było mu też ciepło.

Białym rzemieniem odzienia przywiązał je mocno do trójnogu, rozciągając je i ułożywszy jeden z końców na poprzecznej gałęzi. Z zadowoleniem obrócił trójnog w stronę słońca, oceniając, że zbliża się południe. Był całkiem pewien, że do zmierzchu - od którego o tej porze roku dzieliło go co najmniej osiem godzin - skóra powinna wyschnąć całkowicie, a jeśli nie, to choć dostatecznie, aby można było ją bez przeszkód zwinąć i zapakować.

Podszedł do skraju skalnego występu i obrócił się dookoła własnej osi, tocząc wzrokiem po górujących nad nim klifach i pustym morzu, nie widząc ani śladu życia. Równie dobrze mógł być jedynym żyjącym człowiekiem na świecie, a ta myśl zachęciła go do wysikania się; z rozmysłem wycelował w stronę widocznej w oddali Szkocji i patrzył, jak łuk jego moczu wznosi się wysoko w powietrze, a następnie opada w fale. Lecz potem, nagle uświadomiwszy sobie swoją nagość, wrócił i chwycił czystą, białą skórę, którą przywiózł ze sobą. Nazywano ją fartuchem. Każdy mnich Zakonu otrzymywał go na znak przynależności podczas wstąpienia do bractwa, a żaden nie nosił go z łatwością, ponieważ miał on pełnić rolę bariery przeciwko cielesności, zabezpieczenia przed chucią, i trzeba było mieć go na sobie ciągle, w dzień i w nocy. Marszcząc bezwiednie nos, Will przyznał w myślach, że było to skuteczne, choćby dlatego, że większość braci Zakonu postanawiała interpretować tę zasadę dosłownie i nigdy nie zdejmowała raz włożonego fartucha. Sam smród gwarantował abstynencję cielesną. Mruknął pod nosem i zakończywszy przekładanie rzemienia przez dziurki, wsadził nogi w odpowiednie wycięcia i wciągnął obcisły fartuch na miejsce, po czym zawiązał go mocno, żegnając się z uczuciem wolności związanym z nagością. Potem sięgnął po oręż i wyciągnął zarówno-

no miecz, jak i sztylet z pochew, przyjrzał się krytycznie ich klingom i ponownie sięgnął do juków po małe zawiniątko z kamieniem szlifierskim i fiolką oleju, którego używał do chronienia broni przed rdzą. Przez krótką chwilę pracował z całkowitym skupieniem, polerując metal kamieniem wszędzie, gdzie wydawało mu się, że widzi plamkę lub choćby jej ślad; niezwykle starannie naostrzył krawędzie, po czym nałożył na obie klingi cienką warstewkę ochronnego oleju. Przez cały czas był świadom dobrze znajomego ograniczenia ruchów, które powodował świeży, ciasno zawiązany na biodrach fartuch.

Will wiedział, że prawdziwa tradycja, leżąca u podstaw używania fartucha, nie miała nic wspólnego z Zakonem Świątyni czy zaleceniami Kościoła chrześcijańskiego dotyczącymi cielesności. Owa część garderoby miała znacznie starsze korzenie i stanowiła symbol przynależności do Zakonu Syjonu, wzorowany na białym fartuchu z jagnięcej skóry noszonym przez egipskich kapłanów Izzydy i Ozyrysa w czasach niewoli Izraelitów. Później, kiedy Mojżesz wyprowadził Izraelitów z Egiptu, ich kapłani przejęli ten zwyczaj na znak duchowej czystości jako śludzy żyjącego Boga Jehowy, a pierwotna kasta kapłanów Świątyni w Jerozolimie robiła to samo na długo przed pojawieniem się faryzeuszy Heroda, którzy nie uważali noszenia ich za stosowne. Następnie zwyczaj używania fartucha wznowili esseńcyzy. Ruchowi temu przewodził Jezus i jego brat Jakub Sprawiedliwy.

Will uśmiechnął się teraz na wspomnienie opowieści o tym, jakim sposobem templariusze przejęli ową tradycję. Hugona de Paynsa i jednego z jego najbliższych przyjaciół, Payena Montdidiera, zaskoczyli kiedyś podczas kąpieli ich towarzysze rycerze. Zapytany o owe dziwne części garderoby Montdidier odpowiedział, że to pokuta, którą sami sobie narzucili podczas lat spędzonych na szukaniu skarbu Zakonu. Powiedział, że to forma przymusowej czystości, ponieważ fartuch jest zaszyty i nie da się go zdjąć; darzono go taką czcią, że wyjaśnienie to zostało natychmiast przyjęte i od tej pory w chwili wstąpienia do Zakonu każdy rycerz szedł w jego ślady.

Sinclair ponownie się uśmiechnął i po raz ostatni uważnie przetarł klingę miecza. Templariusze nosili fartuchy z jagnięcej skóry, lecz znacznie różniły się one od elastycznego fartucha o przyciętym runie braci Zakonu Syjonu: były one znacznie bardziej masywne i miały na sobie całe runo, grubością dorównujące niemal długości kciuka.

Podczas upałów było w nim niewyobrażalnie gorąco, lecz Will i jego towarzysze z Bractwa Syjonu nie cierpieli tych niewygód.

Zadowolony z ostrości kling Will schował je do pochew i zjadł prosty posiłek, złożony z suszonej ryby i świeżych sucharów, a potem skoczył do strumienia ugasić pragnienie. Kiedy wrócił na miejsce, sprawdził suchość wypranego runa, a potem położył się na swoich ubraniach, aby wygodnie pomyśleć, a może i znów pospać, ciesząc się luksusem, jakim była możliwość zrobienia tego w biały dzień. Był też świadom, że w dającej się przewidzieć przyszłości nie będzie miał wielu okazji, aby gdziekolwiek wygodnie się wyspać. Król Szkocji zwołał w zbliżających się tygodniach parlament w Ayr, samym sercu ziem Bruce'ów, po przeciwnej stronie zatoki Clyde niż Arran, a Will został zaproszony. Nie miał pojęcia dlaczego, lecz zawiadomiony o tym został za pośrednictwem listu, w którym wyczytał, że król Robert będzie bardzo zadowolony, jeśli William Sinclair się stawi. Samo pismo nadeszło od biskupa Moraya, a doręczył je osobiście benedyktyn, który dotarł z Edynburga na zachodnie wybrzeże pieszo i przebył Firth of Clyde na pokładzie jednej z galer MacDonalda. Will wiedział, że parlament to imponujące zgromadzenie najświetniejszych i najpotężniejszych ludzi w kraju, lecz nie żałował, że nie będzie mógł włożyć pełnego rynsztunku templariusza. Sir William Sinclair uda się na zwołane przez króla zebranie jako zwykły, dobrze uzbrojony i czysto pachnący rycerz; miał w tym celu opuścić Arran za trzy dni.

Wielki ptak morski przeleciał nisko nad wybrzeżem, a Will przyglądał mu się leniwie, kiedy z nagłą zmianą pozycji skrzydeł wzniósł się w powietrze, a potem zanurkował w morze tuż przed nim, aby chwilę później wyłonić się z rybą w dziobie. Jej waga sprawiła, że ponowne uniesienie się w powietrze kosztowało myśliwego wiele wysiłku. Sinclair uśmiechnął się lekko, podziwiając piękno manewru ptaka, to, jak zanurzył się w wodę pionowo, niemal jej nie rozpryskując. Kiedy już miał się znów położyć, jakaś na wpół rozpoznana anomalia na skraju pola widzenia — na południu - przyciągnęła jego uwagę, choć była niemal niewidoczna z powodu słońca odbijającego się od fal.

Usiadł z wyprostowanymi plecami, oceniając twarz ręką i mrużąc oczy, aż w końcu dojrzał zarys najwyraźniej unieruchomionego przez flautę okrętu, odległego o wiele mil; jego sylwetkę ledwie było widać na tle wzgórz Szkocji rysujących się za nim. Wyglądał na zniszczony

i stary i zdawało się, że nie stanowi zagrożenia. Lecz do kogo należał i dokąd zmierzał? Myśl ta nie była zatrwajająca, ale wystarczyła, aby odebrać Willowi z trudem zdobyty spokój ducha, więc rycerz ubrał się ponownie, zastanawiając się, ile jeszcze uda mu się wykraść godzin na osobności, zanim zostanie wezwany do powrotu i ponownego podjęcia swoich obowiązków.

Will potrafił poznać Dawida Moraya nawet z pokładu swojego okrętu, kiedy ten zbliżał się do małego, kamienistego pirsu w Ardrossan, jedynej wiosce rybackiej na szkockim wybrzeżu w okolicy Ayr, która posiadała taką konstrukcję. Zeskakując na nabrzeże, Will wciąż nie mógł się otrząsnąć z zaskoczenia, gdyż było wyraźnie widać, że biskup czeka na niego, spodziewając się jego przybycia. Moray zawołał go i pomachał, a potem wystąpił przed grupką ludzi, z którymi wcześniej rozmawiał, i podszedł żwawo do Willa z szerokim uśmiechem na twarzy. Nie wyglądał bardziej na biskupa niż podczas ich ostatniego spotkania.

- Sir Williamie! - zakrzyknął. - Witaj na ziemiach króla. Jego Miłość przesyła serdeczne pozdrowienia i wyraża nadzieję, że będziesz mógł choć na krótko dołączyć do niego, zanim zajmiemy się doniosłymi sprawami państwowymi. - Rozłożył ramiona, aby uściskać Willa, który niepewny, jak się zachować, rozważał ukłonienie i ucałowanie biskupiego pierścienia, jedynej oznaki kościelnego urzędu Moraya. Zamiast tego poddał się niedźwiedzemu uściskowi, jakim obdarzył go uzbrojony duchowny, a potem cofnął się o krok, szukając odpowiednich słów.

- Biskupie - udało mu się wykrztusić. - Jestem niezwykle zaskoczony, widząc cię tutaj, panie... i wielce zaszczycony. Skąd wiedziałeś, kiedy przybędę?

Biskup wyszczerzył zęby i machnął ręką w stronę nieba.

- Nie zapominaj o mojej pozycji, sir Williamie. Kościół wszędzie ma szpiegów i informatorów. Czyż to nie jeden z moich ludzi dostarczył ci zaproszenie? Wrócił i zawiadomił mnie o twoich planach. Sam

byłem blisko, w drodze do Ayr, więc zatrzymałem się, aby wyjść ci na spotkanie. Chodź no. Mam dla ciebie konia i dach, pod którym możesz się schronić dziś w nocy. Jest dużo do omówienia.

Will zerknął na Tama i młodego Henryka, którzy już pokrzykiwali na załogę okrętu z nabrzeża, przygotowując się do nadzorowania zejścia na ląd jego drużyny i dziesięciu koni, które przywieźli ze sobą z Ar ran.

- Pozwól mi zatem poinstruować o tym Tama. Gdzie się dziś zatrzymamy?

- Dwie mile stąd, przy drodze na południe. Jest tam kamienna wieża należąca do mojego kuzyna, Tomasza Moraya, z której możemy korzystać. Powiedz im, żeby tam do nas dołączyli. Nie przegapią jej, jest widoczna z drogi.

Will kiwnął głową i poszedł porozmawiać z Tamem. Jego drużyna liczyła dziesięciu ludzi: jego samego, Tama i Henryka, trzech rycerzy i czterech serwientów, choć teraz nikt, nawet gdyby miał najbardziej wprawne oko, nie znalazłby różnicy w wyglądzie ostatnich siedmiu. Podróżowali z małymi bagażami; każdy wioził własną pościel i prowiant, ponieważ nie oczekiwali trudności podczas tej wyprawy, lecz wszyscy dzierżyli oręż i mieli na sobie zbroje.

Kilka minut później Will został przedstawiony ludziom z drużyny biskupa i dosiadł pięknego gniadego wałacha, którego przyprowadził mu Moray. Pomachał Tamowi i swojemu giermkowi, po czym spał wierzchowca, wraz z innymi ruszając w głąb lądu.

Tam odwrócił się do Henryka.

- Zważ no na to. Nasz pan to jedyny templariusz w świecie chrześcijańskim, którego wita książę Kościoła. Nie chce ci się śmiać?

Chłopiec odprowadził odjeżdżającą grupę zaskoczonym wzrokiem.

- Książę...? To był biskup?

Tam zaśmiał się krótko.

-Tak, biskup. Ale nigdy nie znajdziesz takiego we Francji. To był Dawid Moray, choć naprawdę nazywa się Dawid Moravia. Dziki człowiek i wojownik, a jaja ma jak ogier. Jeden z najbardziej zagorzałych stronników Bruce'a. A teraz chodź no, trza wyładować ten statek.

Ruszył w stronę trapu, wykrzykując rozkazy dla ludzi na pokładzie, lecz Henryk nie ruszał się jeszcze przez chwilę, patrząc tam,

gdzie zniknął jego pan i drużyna szkockich rycerzy. Wojujący biskup w zbroi, i to zniszczonej, a nie w ornacie i mitrze! Henryk jeszcze nigdy nie widział czegoś podobnego.

Will myślał mniej więcej to samo, jadąc tuż za Dawidem Morayem. Biskup był jednym z trzech dostojników kościelnych, którzy umożliwili Robertowi Bruce'owi zostanie królem Szkocji, popierając go mimo ekskomuniki grożącej mu po morderstwie sir Johna Co-myna na ołtarzu katedry w Dumfries, dokonany w 1306 roku. Od tamtej pory miecz Moraya był nieustannie obnażony w imię króla i królestwa, a jego lojalność względem obu tych instytucji - niezachwiana i nienaganna. Will wiedział, że przy pewnych obrzędowych i rytualnych okazjach biskup wkłada ornat i mitrę - przypuszczał, że zbliżający się parlament może być jedną z nich - lecz zazwyczaj Mo-ray miał na sobie strój wojownika: zwykłą, brązową wełnianą koszulę i spodnie pod skórzanym kaftanem oraz mocno poobijany stalowy napierśnik z naramiennikami, uzupełniony czasem ciężkimi nogawicami z metalowych ogniw i solidnymi butami z umocnionymi palcami i okolicami kostek. Choć biskup nie był wyjątkowo wysoki, miał posturę i sylwetkę rycerza: szerokie ramiona i wąskie biodra. Zawsze też nosił na plecach miecz w pochwie, a z łęku jego siodła zwieszała się ciężka i powgniatana miejscami tarcza, którą dawno temu pomalowano w jego barwy herbowe, teraz już wyblakłe. Jakby świadom spojrzenia Willa, Moray odwrócił się w siodle, oglądając się przez ramię, i wezwał go ręką.

- Sir Williamie, jedź przy mnie przez chwilę. Chciałbym z tobą pomówić.

Will pogonił konia, aby zrównać się z biskupem, a inni członkowie drużyny, posłuszni niewypowiedzianemu rozkazowi dowódcy, zwolnili, aby dać dwóm ludziom na czele nieco prywatności. Moray jechał chwilę w milczeniu, słuchając cichnącego tętentu kopyt eskorty, a potem obejrzał się na Willa.

- Świetnie wyglądasz, człowieku. Nie widać po tobie śladu przynależności do Zakonu. Jestem pod wrażeniem. I muszę ci powiedzieć, że podobne wrażenie zrobiłeś na samym królu i tych z nas, którzy chcą go chronić i wskazywać mu drogę. Ty i twoi ludzie bardzo przyczyniście się do jego sprawy mimo ograniczeń, które obowiązują twój Zakon w kwestii służenia królom. Nie uszło to naszej uwagi. - Mówił

nienaganną, płynną, pozbawioną akcentu francuszczyzną, a Will za-
uważył, że nie ma w niej odrobiny szorstkiej swobody, z którą obnosił
się tak nonszalancko, kiedy mówił po szkocku. Oto, pomyślał, obyły
biskup, wyszkolony w dyplomacji i umiejętności rządzenia do tego
samego stopnia, co w procedurach i administracji kościelnej.

- Obaj wiemy, że twoje początkowe zobowiązanie wynikało z ko-
nieczności: w zamian za nie twoi ludzie mogli tu zostać. Poza tym
potrzebowałeś sposobu na utrzymanie gotowości bojowej dla ich wła-
snego dobra i zgodnie z zasadami waszego Zakonu. Nie powiem, że
była to jedynie konieczność, lecz obawiam się, że taka jest prawda.
Jako przedstawiciel Zakonu nie miałeś żadnych zobowiązań wobec
naszego króla, i to właściwy stan rzeczy, więc nikt nie próbował prze-
konać cię, że tak nie jest. A jednak ty sam z własnej woli zrobiłeś
więcej dla sprawy króla niż wielu znanych mi Szkotów. Wkład twój
i twoich ludzi jest bardzo cenny, i to dzięki niemu jesteś honorowym
gościem króla na parlamencie. - Zerknął na Willa. — Pierwszy raz
bierzesz w nim udział, jak sądzę?

Will się uśmiechnął.

-Tak, milordzie biskupie. Filip z Kapetyngów uważa, że rządzi z
Bożego nadania. Nie uważa angażowania w to swoich ludzi za sto-
sowne.

Moray mruknął pod nosem, a Will poczuł się zachęcony do zadania
pytania, które od jakiegoś czasu go dręczyło.

- Dlaczego Ayr, milordzie biskupie? Jako miejsce parlamentu. I dla
czego w środku lata?

Jego towarzysz przełożył lejce do lewej ręki i podrapał się w policzek.

- Po pierwsze, nie jestem twoim biskupem, dopóki nie zobaczysz
mnie w mitrze. Mów mi po prostu Davie. Tak nazywają mnie przy-
jaciele, a chciałbym, żebyś się do nich zaliczał. Po drugie, jedziemy
do Ayr, ponieważ król wybrał Ayr, do czego ma prawo. To dom króla
Roberta i jego ludzi, a w ostatnich latach byli źle traktowani, kiedy
armie przecinały ich ziemie, maszerując we wszystkich kierunkach.
A zatem król postanowił, że najwyższy czas, aby ludzie z Ayr i okolic
otrzymali przywilej zobaczenia, jak sprawuje władzę nad krajem. Król
Francji rządzi swoimi włościami jak osobistymi ziemiami lennymi
i, jak mówisz, nie widzi potrzeby zadawania się ze zwykłym ludem.
Lecz król Szkotów przewodzi ludziom, którzy potrzebują jego prze-

wodnictwa, a nie ziemi. Stąd nasze parlamenty: spotkania stanów królestwa, od czasów Wallace'a włączające w swe kręgi lud, aby zapewnić bezpieczeństwo i ochronę Szkotom w ogóle i w szczególności. - Przerwał na chwilę. - Na pewno wiesz, że Anglicy walczą teraz między sobą: Edward z Caernarvon i hrabia Pembroke przeciwko wielu innym zbuntowanym panom. Przewodzą im hrabiowie Warwick i Lancaster, którzy bardzo chętnie przejęliby kontrolę i nad Anglią, i nad Szkocją. I niech długo się spierają, ponieważ kiedy skaczą sobie do gardeł, mamy w Szkocji spokój i nie grozi nam inwazja, przynajmniej przez jakiś czas. To dobra okazja na spotkanie parlamentu. - Uniósł brew. - Pojmujesz, dlaczego wojują?

- Tak. Spowodowało to zabójstwo Piersa Gavestona, czyż nie?

- Zgadza się. Gaveston poddał się Pembroke'owi, ponieważ ten zagwarantował mu, że będzie bezpieczny, lecz w drodze na południe przechwycił go Warwick i natychmiast zgładził na rozkaz Lancastera. Zabójstwo to zbyt szlachetne słowo. To był mord, zwykły mord. Edward słusznie wpadł we wściekłość, tak samo jak Pembroke, którego honor i autorytet zakwestionowano. Jeśli chodzi o króla, nie mam cierpliwości do pederastii, i ostatnie, czego potrzebuje każdy kraj, to zniewieściały król, który lubi spać z mężczyznami, ale to nie ma znaczenia. Honor króla został splamiony, a jego potęgą, nieważne jak niewielką, wzgardzili chciwi, krnąbrni możni, którzy pragną władzy i bogactw. Dlatego też toczą wojnę, a my choć raz nie.

- Lecz w Szkocji wciąż są Anglicy pod bronią, prawda? Czy wycofano ich?

- Nie, wciąż tutaj są. Lecz to garnizony, nie armie. Jak na razie kontrolują nasze najsilniejsze twierdze, ale król Robert jest zdeterminowany, żeby ich wkrótce usunąć. Berwick, Dumfries, Caerlaverock, Buitle, Bothwell, Perth, Stirling i najsilniejszy Edynburg, wszystkie te forty niedługo zajmiemy, w to nie wątpię, lecz jak na razie król nie ma ani dość czasu, ani ludzi, aby przypuścić oblężenie.

- A jeśli chodzi o mnie i moich ludzi? Czy moja obecność tutaj ma jakiś cel, czy jestem rzeczywiście tylko czcigodnym gościem?

Teraz biskup odwrócił głowę, aby spojrzeć prosto na Willa, a dookoła jego oczu pojawiły się zmarszczki uśmiechu.

- Czyżbym słyszał cynizm, sir Williamie? Z pewnością nie podejrzewasz naszego króla czy jego przedstawicieli o ukryte motywy.

Will z łatwością odwzajemnił uśmiech.

- Oczywiście że nie... a przynajmniej nie takie, których celem byłoby skrzywdzenie nas. Ale te wynikające z troski o własne sprawy i dobrobyt królestwa? Byłbym głupcem, gdybym w to wątpił. Czego zatem oczekuje ode mnie król podczas mojego pobytu w Ayr?

Moray pokręcił krótko głową.

- Niczego poza tym, co mu już z własnej woli dałeś. Ciągłego poparcia dla jego walki i dalszych udanych wysiłków związanych z ukryciem waszej obecności w kraju. Tego przede wszystkim, z powodów, które już pojmujesz.

- Tak jest. A jak idą starania, aby papież Klemens zdjął ekskomunikę?

- Nie najlepiej. - Głos biskupa był pełen niesmaku. - Kiedy sprzedajni ludzie zajmują się sprawami Boga, zmiany stają się... trudne... a czasem prawie niemożliwe. Lecz nie ustępujemy. Nawet teraz mamy wysłanników na papieskim dworze, arcybiskup Lambertton zaś, choć w angielskiej niewoli, wciąż argumentuje na rzecz Bruce'a w listach do papieża i kardynałów, które są przemycane z jego lochu w największej tajemnicy.

-Jak to możliwe...? Jak może tego dokonać?

- Ponieważ Edward z Caernarvon nie jest tym, kim był jego ojciec. Oto przyczyna. Nowy król Anglii darzy naszego arcybiskupa pewną dozą sympatii i daje mu więcej prywatności i wolności, niż miał za życia starego króla. Lambertton wykorzystuje tę pobłażliwość, a jego głównym celem jest wspieranie naszego pana, króla Roberta, i zabezpieczenie go przeciwko fałszywym zarzutom morderstwa i zdrady, które stawiają mu pozbawieni skrupułów wrogowie.

Ponownie jechali chwilę w ciszy, lecz tym razem to Moray przerwał ją pytaniem:

- Powiedz, sir Williamie, jak przyjęto twą decyzję o zwolnieniu braci ze ślubu czystości? Jestem pewien, że nie było to łatwe.

-To prawda. Nie wszyscy zaakceptowali tę nową wolność, lecz kilkudziesięciu tak zrobiło, obiecując, że wrócą na Arran z żonami i rodzinami, kiedy je zdobędą.

-Ale... - Głos Moraya zamarł, a Will uśmiechnął się ze smutkiem.

- A co miałem zrobić, biskupie? Siedzieć i patrzeć, jak moi ludzie

po kolei wymierają, i tym samym nie spełnić obowiązku chronienia tradycji i nauk Zakonu? To byłby większy grzech niż każdy, który mógłbym popełnić, zwalniając ich z przysięgi w imię zachowania Zakonu przy życiu. Już dość spotkało mnie zdrad ze strony ludzi, wobec których byłem przez całe życie lojalny i których moi ludzie wiernie, szczerze i pracowicie wspierali. Nie zostało nam nic, panie, nie mamy nawet środków do przetrwania jako ludzie i mnisi. Spróbowałem to zmienić. Myślisz, że źle postąpiłem?

- Oto zamek. Już prawie jesteśmy.

Wieża znajdowała się poniżej, może dwie mile od miejsca, gdzie przekroczyli grzbiet, którym teraz jechali, na niskim pagórku dominującym nad okolicą; ochra gleby wyraźnie prześwitywała przez rzadką trawę porastającą ziemię. Nigdzie nie było drzew, jedynie całe połacie falujących traw. Willowi przyszło do głowy, że to ponure miejsce dostarczyło Morayowi wymówki do zignorowania jego pytania, lecz właśnie wtedy biskup znów się odezwał:

- Nie, sir Williamie, nie mógłbym rzec, że tak sądzę. Moja praktyka jako duchownego i biskupa cicho buntuje się przeciwko jakiegokolwiek uzurpacji prawa do darowania i anulowania przysięgi, które należy tylko do Boga i jego namaszczonego przedstawicieli. A jednak czuję w trzewiach, że postąpiłeś właściwie. Czy ktokolwiek z twoich ludzi już znalazł żonę?

- Tak. Ośmiu z nich mieszka teraz na Arran z rodzinami. Jest dwanaścioro dzieci w wieku od trzech miesięcy do trzech lat. Są naszą przyszłością, najcenniejszym skarbem, i dobrze się nimi zajmujemy, możesz mi wierzyć. - Uśmiechnął się szeroko. - Mają prawie dwustu wujów, z których każdy troszczy się o ich dobrobyt.

- Dobrze. Świetnie. Porozmawiamy o tym więcej dziś po wieczery, ponieważ mam inne powody, aby dowiedzieć się więcej na temat ciebie i twoich templariuszy. Jak na razie dosyć. Dojedźmy do celu i odpocznijmy.

Odwrócił się w siodle i machnął do ludzi jadących za nimi, mówiąc znów po szkocku:

- Torrance, MacNeil, do mnie.

Jeszcze raz skinął głową Willowi, który odwzajemnił gest i odsunął się, aby pozwolić nadjeżdżającym z tyłu zbliżyć się do dowódcy.

Wieczera zakończyła się późno w nocy. Biskup Moray rozkazał swojej drużynie udać się na spoczynek z uwagi na wczesną pobudkę następnego dnia, lecz poprosił Willa, aby został i poczekał na niego, aż znaleźli się sami przed kominkiem w pustej sali jadalnej. Biskup znany był ze wstrzemięźliwości, ale przy tej okazji sięgnął do skórzanej torby wiszącej na oparciu jego krzesła i wyciągnął glinianą flaszkę ognistego trunku, który jego rodacy destylowali z jęczmienia. Wlał nieco do dwóch kubków i podał jeden gościowi.

- Pochodzi z okolic moich ziem na północy- mruknął, podnosząc naczynie. - Jedna z lepszych rzeczy, którą dały nam ziemie Comynów. Nazywamy ją *uisquebaugh*, wodą życia. Wypijmy za króla.

Wysączywszy nieco napitku, Will walczył z chęcią głębokiego nabrania tchu.

- Woda życia - wychrypiał. - Przy pierwszym posmakowaniu ma moc podobną do śmierci.

- Przyzwyczaisz się. - Moray znów podniósł kubek. — Za króla.

- Ano tak. Za króla Roberta, niech długo panuje.

-Amen. - Moray upił łyk i umilkł na chwilę, a potem odstawił kubek na ziemię. - Chcę porozmawiać z tobą o templariuszach, Williamie. Naszych templariuszach.

- Naszych templariuszach... Nie rozumiem. Czyich?

- Naszych, szkockich. Król i ja chcemy, abyś z nimi porozmawiał.

- Ze szkockimi templariuszami? Powiedziałeś mi, że wszyscy wycofali się do Anglii z królem Edwardem.

- Nie, źle mnie zrozumiałeś. Templariusze, którzy wrócili do Anglii, większość rycerzy w Szkocji, byli normańskimi Francuzami, nie

Szkotami. Prawdziwi szkoccy rycerze zostali, pod przywództwem swego starego mistrza, de Soutara. Lecz kiedy pięć lat temu umarł, stracili cel; są, delikatnie mówiąc, zdeorganizowani. Teraz, słysząc wieści z Francji i Anglii, czują się zdradzeni, nawet przez Jego Miłość, ponieważ choć w odróżnieniu od swoich braci w innych krajach cieszą się tu wolnością, wiedzą, że są objęci papieską klątwą i nie mogą spodziewać się pomocy Kościoła. Niewielu ich zostało... mam na myśli rycerzy... góra czterdziestu, może sześćdziesięciu, i są rozproszeni po całym kraju. To cenni ludzie, nieugięci wojownicy i w większości zajadli sprzymierzeńcy, którzy od początku popierali króla Roberta. Teraz on chciałby bardziej zacieśnić z nimi więzy i poprosił mnie, abym poszukał u ciebie pomocy w tej kwestii.

Will ponownie uraczył się napitkiem, który zrobił na nim teraz wrażenie łagodniejszego.

- Dlaczego? - Oczywiście rozumiał powód, lecz postanowił, że po zwoli biskupowi udzielić pełnych wyjaśnień.

- Ponieważ porozmawiasz z nimi i powiesz im, kim jesteś.

Will nie potrafił ukryć uśmiechu, który wypełził mu na usta.

- Poczekaj no... Mam mówić z nimi otwarcie po latach ukrywania się i maskowania naszej obecności w Szkocji? Wybacz, ale wydaje mi się to nielogiczne.

- Tobie może tak, lecz z naszego punktu widzenia jest całkiem logiczne. Ci ludzie to templariusze, związani z Kościołem przysięgą, która niegdyś zabraniała im lojalności wobec wszystkich królów. Udzielili poparcia Robertowi dobrowolnie. Teraz są zagubieni i według nich samych brak im celu; porzucił ich papież, któremu ślubowali wierność, i nie mogą pełnić swoich ról jako mnisi i bracia Zakonu. Nie mają przewodnictwa, siedziby kapituły czy komturii. Nie odczuwają żadnego wsparcia ze strony króla, dla którego walczyli przez te długie lata, i, jak wiesz, z powodu papieskiej polityki my, duchowni, jawnie niewiele możemy zrobić, aby im pomóc.

- Zatem boicie się, że stracie ich lojalność, choć nie sprawiacie wrażenia skłonnych ich przyjąć... No dobrze, czego ode mnie oczekujecie?

- Zwołaj specjalne spotkanie wszystkich braci w Szkocji pod egidą wielkiej kapituły Francji.

- Ona już nie istnieje.

- Nie zgadzam się, chłopcze. Sam temu zaprzeczyłeś ledwie przed chwilą. Teraz to ty jesteś wielką kapitułą, a wszyscy jesteście Francuzami. Możecie nazywać się Andegaweńczykami, ludźmi z Poitou, Gaskończykami, Normanami, Bretończykami i wszystkimi innymi imionami, które sobie wymyśliliście, lecz wszyscy pochodzicie z tego samego kraju, a Filip Piękny uznał, że to Francja; wygląda na to, że nikt nie ma ochoty mu się sprzeciwić. A zatem twoja wspólnota na Arran to teraz, praktycznie rzecz biorąc, wielka kapituła Francji.

Will patrzył na niego przez chwilę zmrużonymi oczami. Potem uśmiechnął się i upił łyk.

- To wątpliwy i fałszywy argument, Davie, nawet jak na biskupa, lecz na razie go przyjmę. Co teraz? Gdzie szukać tych kilkudziesięciu rycerzy? Nie mam pojęcia, od czego zacząć.

- Nie szkodzi. Znam ich wszystkich i skontaktuję się z nimi... a przynajmniej z większością z nich.

- Niech tak będzie. Gdzie ma się odbyć nasze spotkanie?

- Czy to nie oczywiste? Musi odbyć się na Arran. Niech zobaczą, że jesteście tam zadomowieni i stworzycie wspólnotę templariuszy, że mogą do was dołączyć i odnowić swoje śluby oraz na nowo się zaangażować.

- Biskupie, słyszę dezaprobatę - powiedział Will z nieznacznym uśmiechem na ustach, a Moray wzruszył ramionami.

- Znów biskup się wtrąca. Kościół nie lubi tajemnych stowarzyszeń, a Zakon Świątyni jest najbardziej tajemnym z nich wszystkich...

- Poza samym Kościołem.

Moray zmrużył oczy na chwilę, a potem przytaknął; jak wydawało się Willowi, niechętnie.

-Jak uważasz. Lecz potrafię zaakceptować tę tajemniczość... tajemniczość twojego Zakonu... jeśli lojalność względem naszej sprawy jest szczerą.

- Czyż nie była zawsze szczerą? Służymy jako armia Kościoła od prawie dwustu lat i wszyscy nas doceniali do chwili, kiedy odezwała się chciwość francuskiego króla.

- Nie kwestionuję tego.

- Co masz nadzieję osiągnąć dzięki temu zgromadzeniu? Jak mówię, jest ich niewielu.

- Co najmniej pięćdziesięciu... może nawet osiemdziesięciu. Lecz

w swoich szeregach mają też serwientów, jak wy, więc razem to całkiem sporo wojów.

- A wy boicie się, że mogą poczuć rozczarowanie i stać się niesolidni.

- Nie chodzi o niesolidność, raczej o nieprzewidywalność... Co do kogoś, kto jest niesolidny, można mieć jakąś pewność, lecz w przypadku braku przewidywalności ta pewność znika.

- Ano, rozumiem. Kim są ci szkoccy templariusze? Są wśród nich górale?

- Masz na myśli Goidelów? Nie. Są w większości normańskimi Francuzami z pochodzenia, lecz wychowali się tutaj, w odróżnieniu od ludzi, którzy wrócili do Anglii Edwarda. To Randolphowie, Morayowie, Buchanowie, Boydowie, nawet kilku Comynów. Moi skrybowie znają wszystkie ich nazwiska, ja nie. Po prostu nie miałem jeszcze czasu ich wszystkich zebrać.

- Ich, czyli nazwisk. A co z samymi ludźmi? Jak ich zbierzesz?

- Okrężną drogą. Trzeba będzie się do nich zwrócić z pewną ostrożnością. Wszędzie pełno plotek o tym, co stało się we Francji, a potem wszędzie indziej, więc jakiegokolwiek wezwanie ode mnie jako przedstawiciela Kościoła wzbudzi podejrzenia i może nawet zostać zignorowane. Większość zawiadomią posłańcy króla z poleceniami od samego monarchy.

- Lecz mówiłeś, że część z nich to Comynowie i Buchanowie, a więc zaprzysięgli wrogowie Roberta. Nie usłuchają wezwania króla choćby przez strach o własne bezpieczeństwo.

- To prawda. I dlatego król ma nadzieję, że będziesz gotów skontaktować się z nimi sam... jako francuski templariusz, nie jako jego posłaniec. Liczy na to, że wystosujesz to wezwanie we własnym imieniu, z Zakonu, używając wszelkich sekretnych środków, jakie masz do dyspozycji, aby przekonać ich do przybycia.

- Rozumiem... I kiedy już zbiorę ich jako braci, a zewnętrzne konflikty zostaną zażegnane dzięki regule Zakonu, będę mógł wszystkim im, sprzymierzeńcom i wrogom Bruce'a, przypomnieć o ślubie posłuszeństwa względem ich mistrza i jego życzeń. Czyj to pomysł?

Między brwiami Moraya pojawiła się mała zmarszczka. •

— Co masz na myśli? Mówiłem ci, króla...

- Nie, Davie, nie. Za tym stoi cięższa głowa niż króla... podejrze-

wam, że tęsza nawet od twojej. Kiedy ostatnio widziałeś się z królem Robertem?

- Miesiąc temu. W Dunfermline.

- I wtedy to omówiliście? -

Tak.

- Jak długo tam byłeś?

- Trzy dni. Ale co to ma wspólnego...?

- Ma to wiele wspólnego ze wszystkim, biskupie, i dobrze o tym wiesz. Zadanie, którym chcecie mnie obarczyć, wprowadzi w grę moje najgłębsze zobowiązania wobec braci i Zakonu. A pomysł ten nie urodził się w całości w ciągu kilku dni, bez względu na to, jak głęboko mogliście nad tym dumać. Zapytam więc raz jeszcze, kto na to wpadł?

Moray patrzył na niego wilkiem przez chwilę, a potem mruknął pod nosem i uśmiechnął się niechętnie.

- Nie jesteś głupi, co? Odpowiem ci, lecz tylko jeśli przysięgniesz, iż nikomu o tym nie wspomnisz.

- Masz moje słowo.

Biskup skinął głową.

- Na pomysł ten wpadł i obmyślił całą rzecz prymas Szkocji.

Will uniósł brwi.

- Lambertton jest w Anglii, jako ściśle strzeżony jeńiec.

- Ano, a w Anglii toczy się wojna. Arcybiskup wykorzystał chaos i niedbalstwo króla. Na krótko wyrwał się z niewoli i pojechał do Szkocji na spotkanie z Bruce'em, aby zawiadomić go o wszystkim, co według jego wiedzy dzieje się w Anglii. Dlatego też nie możesz puścić pary z ust. Lambertton został tu niecały tydzień, doradzając królowi w wielu kwestiach, po czym wrócił. Zorganizowanie tego zgromadzenia i pozyskanie twojej pomocy było jego pomysłem. Co prawda z jednej strony wciąż uważa za nierozsądne oficjalne wspieranie Zakonu w Szkocji, ponieważ mogłoby to wielce zaszkodzić staraniom króla w kwestii zdjęcia ekskomuniki, lecz z drugiej strony dostrzeżę konieczność zachowania lojalności szkockich templariuszy, którzy opowiadają się za królem, i zabiegania o lojalność tych, którzy jeszcze tego nie robią. Wasza obecność na Arran, gdzie żyjecie zgodnie z regułą Zakonu, i ciepłe przyjęcie szkockich templariuszy zademonstruje dobrą wolę króla wobec waszego bractwa. Pokaże też, iż może ono

kwitnąć w jego królestwie, o ile zachowa dyskrecję. Ostatnim, lecz nie najmniej ważnym powodem jest to, że skłoni niektórych z najbardziej nieprzejednanych wrogów króla wśród jego własnych poddanych do posłuszeństwa wymogom Zakonu. Być może nie uda się to ze wszystkimi, lecz powinno dać im temat do namysłu, i jeśli którykolwiek z nich postanowi zmienić zdanie, król przyjmie go, nie stawiając żadnych żądań poza nieustającą od tej pory lojalnością.

- Hmmm... - Ognisty napitek wzbudził w Willu łagodne, pełne tolerancji dobre samopoczucie. Rycerz pokiwał głową. - Twój arcybiskup to mądry człowiek. Zrobił na mnie wielkie wrażenie, nawet w kwestii przerwanej niewoli... No dobrze. Zwołam kapitułę, lecz nie stanie się to szybko. Będzie wymagało długiego planowania oraz współpracy między tobą, jako przedstawicielem króla, i mną. Twoje życie jest znacznie bardziej wymagające od mojego, skoro jeździsz bez przerwy po całej Szkocji. Kto zatem będzie między nami pośredniczył?

- Bardzo bystry młody duchowny z opactwa Arbroath, Bernard de Linton. Ma wpływy u króla i absolutne zaufanie arcybiskupa Lambertona oraz moje. Ustali rozkład posłańców, którzy będą bezustannie krążyć między tobą a nim. Co przypomina mi, że kiedy ostatnio go widziałem, eskortował go twój brat Kenneth. Jesteście blisko?

Will się uśmiechnął.

-Tak, lecz przez to nie przyda się podczas misji zwracania się do waszych wrogów, o których mówiłeś, Buchanów, Comynów i im podobnych. Walczył z nimi, więc mogą w nim rozpoznać człowieka króla. Ludzie, których do nich wyślę, muszą być im obcy, więc wybiorę ich spośród braci mieszkających na stałe na Arran, którzy nie towarzyszyli Bruce'owi... - Umilkł.

- O co chodzi? Coś przyszło ci do głowy. Widziałem to w twoich oczach.

- To prawda. - Will namyślił się, a potem mruknął i spojrzał na pokryte odciskami dłonie. — Myślę, że mam dobre wieści zarówno dla ciebie, jak i dla Lambertona.

- Tak? W jakiej sprawie?

- Naszej obecności na Arran i ambarasu, jaki mogłaby wam sprawić. Któregoś dnia zabiorę stamtąd moich ludzi.

- Zabierzesz? Dokąd? Nie ma dla was bezpieczniejszego miejsca w całym świecie chrześcijańskim.

Will pomyślał jeszcze przez chwilę, a potem rozsiadł się wygodniej z uśmiechem, podjąwszy decyzję.

- Do miejsca daleko poza światem chrześcijańskim. — Patrzył z rozbawieniem, jak po twarzy biskupa przemyka ciąg kilku różnych emocji, który zakończył się czystym brakiem zrozumienia.

- Daleko poza światem chrześcijańskim...? To może oznaczać jedynie Ziemię Świętą, ponieważ nawet Hiszpania, choć roi się od Maurów, leży w jego granicach. Lecz to byłoby samobójstwo. Bylibyście tam zupełnie sami, między nieprzelicznymi tysiącami wrogów. Zostalibyście zgładzeni tuż po przybyciu.

- Tak, ale nie tam chciałbym się udać... - Spojrzał uważnie na de Moraya, którego twarz była teraz głęboko zatroskana. - Davie, ledwie chwilę temu złożyłem ci przysięgę milczenia w kwestii niewoli arcybiskupa, i przyjąłeś ją. Teraz proszę cię o to samo, a jeśli również uroczyste przyrzekniesz zachować tajemnicę, opowiem ci historię, w którą trudno będzie uwierzyć, choć każde jej słowo to prawda.

Moray wytrzeszczył oczy z zaskoczeniem, lecz zgodził się bez wahania.

- Przysięgam. Opowiedz mi ją.

- A zatem nalej mi jeszcze z tej butelki, bo będzie mi się chciało pić. I sam też się napij.

Podjąwszy nieprzewidzianą decyzję o zwierzeniu się biskupowi, Will zbierał przez chwilę myśli, przyglądając się, jak Moray dolewa do kubków. Kiedy skończył i schował flaszkę do sakwy, Will ponownie wyjął nieco *uisquebaugh* i od razu zaczął opowieść o admirałce Saint Valerym i o tym, jak zapragnął wziąć ludzi oraz okręty i poszukać legendarnej krainy wymienionej w naukach templariuszy, Meryki leżącej za Morzem Zachodnim.

Przez cały ten czas de Moray słuchał jak urzeczony, od czasu do czasu podnosząc jedynie kubek do ust, a kiedy Will skończył słowami o tym, jak po raz ostatni widział okręty admirała na zachodnim horyzoncie, pociągnął nosem i siedział chwilę w milczeniu, drapiąc się w dolną wargę.

- Mówisz, że to było pięć lat temu? - spytał w końcu. - I nie wiedziałeś go od tej pory?

- Nie. Lecz cztery dni temu, tuż przed przybyciem tutaj, otrzymałem wieści o nim.

- Skąd?

- Z miejsca, którego szukał.

Biskup wyprostował czujnie plecy.

- Admirał nie żyje - ciągnął Will - lecz jego misja się udała. Znalazł swoją Merykę... lub jakiś inny, nieznany ląd, choć sądzę, że to Meryka... osiem tygodni po wypłynięciu. On i jego ludzie spędzili tam potwornie ciężką zimę, na bezludziu, w zasypanym śniegiem, prastarym lesie, szczęściem obfitującym w życie i dziczyznę: potężne jelenie niepodobne do tych, które widział ktokolwiek w świecie chrześcijańskim. Na wiosnę znów wypłynęli, tym razem na południe, wzdłuż niekończącego się wybrzeża, aż dotarli do cieplejszych okolic. Założyli osadę wśród ciemnoskórych ludzi, których tam znaleźli. Zdaje się, iż to szlachetny, stoicki lud o wielkim wdzięku, bardzo serdeczny. Żyli tam przez dwa lata i ogólnie dobrze im się wiodło, aż w zeszłym roku admirał zginął, uderzony drzewem powalonym podczas straszliwej burzy. Przed jego śmiercią odnowili jeden z czterech okrętów, aby wrócić na nim do domu z wieściami o swoim odkryciu. Po znoonej i trudnej podróży okręt ów odnalazł nas na Arran. Ponad połowa załogi zginęła po drodze w sztormach i z powodu chorób, lecz reszta bezpiecznie dotarła do brzegu.

- Spodziewałeś się ich?

- Nie. Po latach ciszy myślałem, że wszyscy już dawno pomarli. Lecz myliłem się. Znaleźli nową krainę, schronienie daleko od świata chrześcijańskiego i jego szaleństw.

- Dlaczego więc wrócili, skoro było ich tak niewielu?

- Właśnie dlatego. Wrócili po posiłki i świeżą krew, która pomoże im przetrwać w nowej ojczyźnie.

- Są teraz na Arran?

- Tak, odzyskują zdrowie i siły po podróży.

- Znaleźli nową ziemię... Dobry Boże, sir Williamie, wiesz, co to znaczy?

-Tak, i to w pełni, biskupie. Znaczy to, że nasz Zakon znalazł prawdziwy azyl, z dala od polityki i złoczyńców tego żalostnego świata. Znaczy to, że mam gdzie zabrać moich podwładnych; będą tam mogli bezpiecznie żyć i oddawać cześć Bogu bez zagrożenia ze strony ma-

łodusznym księżom i dostojnikom chrześcijaństwa, które, co bolesne, zagubiło przesłanie Chrystusa.

- Mówiłeś, że tam są ludzie. Bez wątpienia dzicy i bezbożni, gotowi na zbawienie w postaci Kościoła.

- Twoje myśli widać w oczach, Davie, i są to oczy biskupa. Lecz pomyśl o dwóch rzeczach: wiąże cię w tej sprawie przysięga milczenia, a poza tym my, którzy udamy się do tego nowego świata, jesteśmy chrześcijańskimi duchownymi... biskupami, księżmi i mnichami, którzy świetnie nadają się do głoszenia Słowa Bożego wśród miejscowych. Kiedy ucywilizujemy ten świat z Bożą pomocą, nadejdzie czas na powrót i ogłoszenie jego istnienia tutaj. Jak na razie uważam, że zwrócenie uwagi drapieżników grasujących po krainach chrześcijańskich na tę nową, nieznaną ziemię byłoby zwykłym szaleństwem. Bóg ukazał to miejsce nam, jego wiernym sługom w Zakonie Świątyni, z własnych powodów. Z Jego woli należy ono teraz do nas. Jest naszym schronieniem i zbawieniem... jedyną nadzieją w tej ponurej i niezasłużonej nocy, która nas otacza. A zatem będziemy strzec tej tajemnicy naszym życiem tak długo, jak będzie trzeba, a na pewno jak na razie, aż nastąpi odpowiednia chwila, aby ją ogłosić. Ta kraina tam jest, Davie. Nie zniknie.

- I powiadasz, że jest wielka...

- Tak wielka, że Saint Valery mógł płynąć wzdłuż jej wschodniego wybrzeża miesiącami, z jednego klimatu do kolejnego. To oznaczałoby, że dorównuje rozmiarem całemu światu chrześcijańskiemu...

Moray patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem.

- Cały nowy łąd - wyszeptał. - Gdyby wieść o tym się rozniosła, każdy król i baron świata kazałby swojej flocie go odnaleźć i pozyskać dla niego.

- Nie inaczej. Zatem wieść nie może się roznieść... dopóty, dopóki my go nie zajmiemy.

- W którym imieniu? Króla Francji?

Will się zaśmiał.

- Masz nas za szaleńców? Ani w imieniu papieża, ponieważ Kle mens nie potrafi rządzić własną Stolicą Apostolską, nie wspominając o nowym, niezbadanym łądzie. Zajmiemy go w imieniu Zakonu, a jeśli tutejsza władza kiedykolwiek szczerze oczyści nas z winy i umożliwi nam powrót, w dobrej wierze oddamy go temu, kto będzie

wtedy naszym panem. Może jakimś innemu papieżowi, lecz nie zwykłemu królowi.

- A co z królem Szkotów?

Will wypuścił raptownie powietrze i zmarszczył brwi.

- Dlaczego naweifo tym myślisz? Król Szkotów ledwie panuje nad Szkocją. Jak mógłby objąć władzę nad nowym lądem?

- Równie chętnie jak każdy inny król i sędzę, że jest lepszym człowiekiem niż wszyscy oni razem wzięci. Wasza nowa ziemia będzie kiedyś potrzebowała władcy.

- Możliwe. Lecz jeśli tak, może do tej pory zdążymy sobie jakiegoś wykształcić... pełnoprawnego chrześcijańskiego króla, nieskażonego smrodem polityki czy korupcji.

Nie mogąc się już dłużej powstrzymać, biskup Moray poderwał się na nogi i podszedł do kominka, gdzie zagapił się w dogasające płomienie na tak długo, że Will zaczął się zastanawiać, co też tam widzi. Kiedy w końcu się odwrócił, jego oczy były spokojne i poważne.

- Myślę, że masz rację, Williamie, więc na razie nikomu o tym nie powiem. Nawet królowi. Lecz oczekuję, że zawiadomisz mnie o wszystkim, czego dowiesz się o tym nowym lądzie. Kiedy wyjeżdżasz?

Will wyszczerzył zęby, czując ulgę na myśl o tym, że ma w tym człowieku sprzymierzeńca.

- Jeszcze nie teraz i na pewno nie przed tym zgromadzeniem, o które mnie prosiłeś. Mamy okręty, lecz trzeba je będzie przerobić na tak długą podróż, ich załogi na nowo wyszkolić, a lekcje o przeprawach w obie strony przyswoić sobie i opanować. Sędzę, że najprędzej za dwa lata, może trzy... ale i cztery by mnie nie zdziwiły. Wytrzymasz z nami jeszcze cztery lata, biskupie?

-Tak, i to z radością, a Jego Miłość bardzo polega na waszym zbrojnym wsparciu, więc o to się nie musisz obawiać. A teraz udajmy się na spoczynek, choć Bóg jeden wie, czy dziś zasną. Pewnie już świta, a dzień będzie długi, bo w przyszłym tygodniu parlament, no i głowę będę miał pełną rozmyślań o tej twojej nowej, obcej krainie...

Biorąc pod uwagę całe podniecenie Willa związane z odkryciami za Morzem Zachodnim i wciąż rosnącymi możliwościami i wyzwaniem, które za sobą pociągały, parlament w Ayr nieco go rozczarował. Wiele słyszał o wspaniałym i ekscytującym parlamencie w Saint Andrews, który odbył się trzy lata wcześniej. Tamto zgromadzenie, zwołane w kościelnym centrum królestwa, było pierwszym za rządów króla Roberta, jak i pierwszym oficjalnym parlamentem w Szkocji od ponad dziesięciu lat. Ten, odbywający się w czerwcu 1312 roku, był znacznie skromniejszy - choć przybyli na niego wszyscy lojalni parowie, biskupi, opaci i dowódcy w królestwie - ponieważ nie świętowano na nim wstąpienia króla na tron, lecz rozważano szereg spraw państwowych, a całość przyćmiewały przygotowania do śmiałej kampanii, której celem było przeniesienie wojny Bruce'a na północne granice Anglii.

Sam król nalegał na natychmiastowe przeprowadzenie szybkiego ataku na zamożne doliny północnej Anglii, skoro tamtejsi baronowie i możni byli zajęci własną wojną na południu. Podkreślał, że są tam bogate klasztory, takie jak Lanercost i Hexham, a także miasta w rodzaju Carlisle oraz Durham i Hartlepool na wschodzie, które wzbogaciły się kosztem Szkocji, ponieważ pełniły rolę przystanków i punktów zbiorczych dla angielskiej armii, zanim przekroczyła ona granicę ze Szkocją. Według niego miejsca takie dojrzały do kary i złupienia, a skarbiec Szkocji był pusty. Jego sugestie spotkały się z żywiołowym entuzjazmem zebranych, których uradowała myśl o zemście i przejęciu inicjatywy; sprawa wkrótce została ustalona. Edward Bruce, brat króla i najsprawniejszy dowódca jazdy w królestwie, miał poprowadzić ostry, szybki atak przeciwko angielskim twierdzom i miastom

na północnym zachodzie, poczynając od (Iarlisle, a sam Bruce - podobny najazd na hrabstwa Westmoreland, Coupland i Cumberland.

Will wiele słyszał o zdolnościach i wyczynach Edwarda, ponieważ oddziały kawalerii z Arran służyły mu przez ponad dwa lata, a teraz w pełni wykorzystał szansę na przyjrzenie mu się z daleka. Pamiętał nachmurzonego, czarnobrodego mężczyznę, którego poznał tego samego dnia co króla. Edward był zdecydowanie większym raptusem niż Robert; wyraźnie było to widać w jego zachowaniu i sposobie traktowania innych. Nowy hrabia Carrick był imponującym, lecz ponurym człowiekiem, smagłym i zawsze patrzącym wilkiem. Ten poważny, niecierpliwy mężczyzna - całkiem niepodobny pod tymi względami do swojego starszego brata - znany był z porywczosci i braku tolerancji dla wszystkich form dyplomacji; wierzył bezgranicznie w wyższość prawa siły, co często irytowało Roberta. Lecz jego niewątpliwy talent jako dowódcy kawalerii pozwalał mu wielokrotnie uniknąć gniewu brata. Żądał niewiele od Francuzów - jak sam lekceważąco nazywał służących mu templariuszy - poza bezustanną gotowością wypełniania jego poleceń.

Mimo to Edward był z natury tyranem i samowładcą, a przyglądając mu się, Will widział, jak musi dręczyć go ustawiczna kontrola ze strony starszego brata, dysponującego rozumem znacznie bardziej odpowiednim dla pełnienia roli króla niż chwiejny, wojowniczy Edward. Niemożność zachowywania się tak, jak by chciał, na pewno w znacznym stopniu powodowała niezadowolenie tak często błyskające w jego ciemnych oczach.

Willa ucieszyła też możliwość odświeżenia znajomości z sir Jamesem Douglasem, ponieważ nie widzieli się od dwóch lat. Z zaintrygowaniem poznał bliskiego przyjaciela Douglasa, osławionego sir Tomasza Randolpha, bratanka zarówno Jessie Randolph, jak i samego króla. Były zdradziecki poplecznik Anglii po powrocie i ścisłej niewoli diametralnie zmienił stronę, przysięgając wierność królowi, swemu krewniakowi. Od tamtej pory odznaczył się w służbie Bruce'a, szybko stając się jednym z najlepszych dowódców w królestwie. Will poznał również kanclerza Szkocji, Lorda Wielkiego Konstabla, oraz kilku hrabiów i wodzów klanów z gór, o których wcześniej słyszał, lecz nie miał okazji spotkać; wszyscy oni powitali go z pełnym godności szacunkiem i uprzejmą tolerancją względem jego pozycji osoby z ze-

wnątrz, gościa króla Roberta. Znali jego imię i wiedzieli, że cieszy się estymą króla i jego bliskich sprzymierzeńców, lecz przy kilku okazjach Will uśmiechnął się w duchu, zastanawiając się, jak by zareagowali, gdyby choć podejrzewali, że jest najwyżej postawionym templariuszem przebywającym na wolności w świecie chrześcijańskim.

Krótki czas trwania parlamentu - ledwie trzy dni - podyktowała konieczność pilnego zorganizowania najazdu na Anglię i pod koniec ostatniego dnia zebrani czmychali z Ayr z ulgą, że już po wszystkim, podczas gdy setki duchownych roły się niczym mrówki, rozdzielając góry dokumentów do przepisania. Will, jako zwykły obserwator, stał sam przy drzwiach po zakończeniu obrad, patrząc, jak możni i prości ludzie się rozchodzą. Zastanawiał się, czy czegoś się od niego oczekuje, czy może już wrócić na Arran. Zanim jednak zdążył coś zdecydować, usłyszał, że ktoś go woła i odwrócił się, aby ujrzeć, że kroczy w jego stronę sir James Douglas i macha ręką, chcąc przyciągnąć jego uwagę.

- Dziwi mnie, że wciąż tu jesteś, sir Jamesie - powiedział Will, kiedy się spotkali. - Czy nie czeka cię jakaś bitwa?

Douglas wyszczerzył zęby.

- Tak, w odpowiedniej chwili, lecz na razie zostaję tutaj. Król chce z tobą pomówić.

- Teraz?

- Tak, jeśli masz czas.

Teraz to Will się uśmiechnął.

-Albo ochotę, aby zignorować królewski rozkaz? Natychmiast przerwę wszelkie moje ważne czynności i pójdę z tobą. Prowadź.

Douglas powiódł go przez salę obrad i tylne drzwi do kwadratowego dziedzińca, osłoniętego wysoką, ostro zakończoną palisadą, na którym rozbito dla drużyny króla mały obóz. Will zerknął na niespodziewane umocnienia i liczną straż, lecz nie powiedział nic i po chwili dotarli do namiotu króla, gdzie wejścia strzegli dwaj czujni wartownicy. Znali Douglasa z widzenia i rozstąpili się bez słowa, aby pozwolić jemu i jego towarzyszowi przejść, a Douglas uniósł kłapę wielkiego pawilonu, aby przepuścić Willa.

W porównaniu z jasnym światłem czerwcowego słońca wewnątrz potężnego namiotu sprawiało wrażenie mrocznego; Will bez zaskoczenia dostrzegł, że jest pełne mniejszych lub większych grup ludzi,

głównie możnych i wysoko postawionych. Rozejrzał się za królem, lustrując grupki po kolei, lecz go nie znalazł. Był tam jego brat Edward, a także sir Tomasz Randolph, który rozmawiał z trzema najstarszymi i najbardziej zaufanymi przyjaciółmi monarchy, sir Robertem Boydem z Noddsdale, sir Gilbertem de Hay, panem Erroll, i sir Neilem Campbellem z Lochawe. Za nimi stali w ciasnej grupie mamroczący do siebie z powagą dostojnicy kościelni w mitrach, z których Will rozpoznał tylko jednego: Mikołaja Balmyle'a, biskupa Dunblane, uczonego, ascetycznego z wyglądu człowieka, który latami pełnił funkcję kanclerza Szkocji i musiał mieć teraz z osiemdziesiąt lat, choć wciąż był w pełni władz umysłowych i, jak słyszał Will, zachował swój błyskotliwy, cięty dowcip. Will nigdy go nie poznał, lecz wiedział, że jest on jednym z najlepszych i najbardziej szanowanych doradców króla Roberta.

Tłum poruszył się i rozstąpił, kiedy między zebranymi przeszła procesja sług z tacami słodyczy, a Will dostrzegł króla, siedzącego przy stole na tyłach pawilonu i pogrążonego w poważnej rozmowie z biskupem Morayem. Serce mu zamarło, gdy zobaczył ich rozmawiających na osobności, ponieważ od razu przyszło mu do głowy, że Moray mówi monarsze o odkryciu nowego lądu na zachodzie. Natychmiast odrzucił tę myśl jako niegodną i ruszył za Douglasem, który już zmierzał w stronę stołu, nakazując mu gestem, aby poszedł za nim.

Kiedy Douglas dotarł na miejsce, kłaniając się lekko, król podniósł oczy. Miał nieco zmarszczone czoło, zirytowany, że mu przerywano, lecz poznawszy Douglasa, natychmiast się rozpozgodził, a potem od razu spojrzął na Willa, stojącego tuż za sir Jamesem.

- Sir Williamie... Witaj, przyjacielu. - Poderwał się z krzesła i obszedł stół, wyciągając dłoń, lecz kiedy Will już miał się nad nią pochylić, odsunął ją raptownie. - Chcę, żebyś ją uściskał jak druh, Williamie, nie ucałował. Nie jesteś mi winien hołdów lennych, a ja ich nie oczekuję. Przyjaźń i poparcie, którego nam z własnej woli udzielasz, to więcej, niż mógłbym się spodziewać, więc chwyć mą dłoń jak towarzysz i brat. - Potrząsnął ręką Willa i uściskał go, w czym tylko trochę przeszkodziły pancerze, które obaj mieli na sobie. Will był świadom, że patrzy na to każdy człowiek w namiocie, i zastanawiał się, czy ktoś może go znienawidzić, uważając to, jak jest przyjmowany, za zagrożenie dla własnej pozycji.

-A zatem, sir Williamie, podobało ci się nasze zgromadzenie? Zaręczam ci, te szkockie kruki i pawie zdecydowanie za rzadko spotykają się w jednym miejscu poza naszymi parlamentami. Ufam, że byłeś pod wrażeniem.

-Tak, Wasza Miłość. Nieczęsto widuję, żeby tyle osiągnięto tak sprawnie w tak krótkim czasie.

- Ano, myślę, że dobrze poszło. Teraz musimy się rozproszyć i zadbać o to, aby wszystko, co postanowiliśmy, zostało też wykonane, i to szybko. Moi ludzie już się zbierają i wyruszą, kiedy tylko będę mógł do nich dołączyć... to dlatego po ciebie posłałem. Chciałbyś pojechać z nami?

- Do Anglii, Wasza Miłość?

- Mam tam opata czy dwóch, których chcę przycisnąć o fundusze... na sprawy dobroczynne, odbudowanie naszego królestwa po grabieżach dokonanych tu przez Anglików. Dołączysz do nas?

-Tak, Wasza Miłość, z chęcią. Lecz mam ze sobą ledwie kilku ludzi: giermka i czteroosobową eskortę. Obawiam się, że nie wzmocnimy za bardzo twoich sił.

Bruce się zaśmiał.

- Nie potrzebuję twoich umiejętności bojowych, Williamie. Chcę twój towarzystwa... rozmów na cywilizowane tematy, które nie mają nic wspólnego z nieszczęściami dręczącymi moje królestwo. Lecz zważ, że jeśli faktycznie dojdzie do walki, pięć dodatkowych mieczy będzie mile widziane. Co powiesz?

- Będę gotów do wyjazdu wraz z tobą, Wasza Miłość, ale muszę uprzedzić swoich ludzi, aby zwinęli obóz i się przygotowali.

- Ano, idź zatem i zrób to szybko, spotkamy się na dziedzińcu.

Przebyli płycizny zatoki Solway kilka dni po opuszczeniu Ayr i najpierw zaatakowali zamożne opactwo Lanercost w pobliżu ogrodzonego murem miasta Carlisle. Bruce czerpał wielką satysfakcję z przejęcia opactwa, które tak długo wspierało króla Anglii i w którym kilka lat wcześniej sam nieomal zginął z ręki Edwarda Plantageneta. Opat pożegnał się z ogromną sumą w złotych i srebrnych monetach, aby uniknąć płomieni gniewu i zemsty Bruce'a, a ten zarządził, aby skrzynie przewieźć do Szkocji i powierzyć je opiece Balmyle'a w Saint Andrews. Za wozy i skarb odpowiadał młody rycerz, sir Malcolm Seton, siostrzeniec króla, syn jego siostry Christiny, hrabiny Mar. Giermek sir Malcolma był rówieśnikiem młodego Henryka Sinclaira, więc szybko się zaprzyjaźnili w drodze na południe. Kiedy zatem Henryk poprosił o pozwolenie na odprowadzenie przyjaciela, który odjeżdżał, Will zgodził się, a potem pod wpływem kaprysu postanowił, że skoro nie ma na razie nic innego do roboty, potowarzyszy młodzieńcowi.

Henryk niezwykle się zmienił przez te cztery lata, rosnąc i tężejąc; nie przypominał już drobnego, naiwnego chłopca, którym był na początku. Teraz był wysoki i uderzająco przystojny: miał szerokie ramiona, wąską talię, mocne, zgrabne nogi i otwartą, szczerą twarz o pełnych ustach, długim, prostym nosie i błyszczących oczach koloru dzwonek, kwiatów, które pokrywały tu ziemię każdej wiosny. Wyrósł na wspaniałego młodego mężczyznę, a Will nie wątpił, że za dwa lata zacznie wypełniać obowiązki rycerza równie dobrze jak inni.

W to jasne, letnie popołudnie Will i Henryk - szczęśliwi, że akurat nie mają żadnych obowiązków - popędzili, galopując od czasu do czasu, aby dać się rozruszać koniom, na szczyt zalesionego grzbietu

górującego nad drogą, którą miała jechać drużyna towarzysząca skarbowi. Will pomyślał o tym, jakie musieli przedstawiać widowisko, galopując pod górę jak para szaleńców, lecz szybko uznał, że tego dnia nie obchodzi go, jak może zagrozić jego godności wyprawianie konno harców z młodym giermkim. Jego godność i tak zaczęła go ostatnimi czasy mierzić. Podjąwszy się tak niespodziewanie wyprawy przez granicę do Anglii, postanowił, że wykorzysta ją jak najbardziej, boleśnie świadom, że od czterech lat nie wyciągnął miecza przeciwko wrogowi. Lecz w ciągu dziesięciu dni najazdów nie znalazł ani jednego Anglika, z którym mógłby się wdać w potyczkę, i pogodził się z tym, że może już żadnego nie znajdzie. Wśród drzew za plecami jeźdźców kłaskała makolągwa, a daleko poniżej — choć nie tak daleko, aby niemożliwe było rozpoznanie się i pomachanie sobie na do widzenia - awangarda drużyny strażników prowadziła pierwszy z trzech wyładowanych wozów wijącą się stromo w górę drogą, oddalając się od szkockiego obozu.

Will poczuł falę zadowolenia spowodowanego tym, że żyje i jest wolny w tak piękny letni dzień. Słońce późnego poranka grzało w uzbrojone plecy, a jego uwagę przyciągnęło na chwilę brzęczenie tłustego trzmiela. Kiedy młody Henryk pogonił swojego konia wyżej, na skalisty pagórek u szczytu skarpy, Will uświadomił sobie, że makolągwa przestała śpiewać. Nie zwrócił jednak na to uwagi, dźgnął własnego wierzchowca ostrogami, a potem pociągnął mocno lejce i obrócił stającego dęba konia dookoła wyłącznie dlatego, że chciał zrobić coś, co dałoby upust jego świetnemu humorowi. Nie usłyszał ani nie poczuł uderzenia belta, który uderzył w tył jego kirysu. Pocisk odbił się od zakrzywionej powierzchni stalowej osłony jego pleców, ryjąc w nim głęboką rysę i spychając Willa z siodła. Spadł bez zmysłów na ziemię.

Doszedł do siebie chwilę później i otworzył oczy, lecz z powodu upadku nie był w stanie nabrać tchu, więc jedynie "charczał i kaszłał boleśnie, na próżno usiłując precyzyjnie przecisnąć powietrze przez spłaszczone drogi oddechowe. Mimo wszystko oczy miał równie bystre jak zawsze i dostrzegł każdą cechę czterech nadbiegających w jego stronę z wyciągniętym orężem ludzi. Byli nieuzbrojeni i biednie ubrani, a Will od razu uznał, że to miejscowi chłopcy, którzy postanowili wykorzystać okazję do zaatakowania i okradzenia samotnego rycerza. Jeden z nich

niósł kuszę, bezużyteczną po wystrzeleniu bełtu, lecz dwaj inni mieli sztylety, a ostatni - długi, jednosieczny dirk, który trzymał jak miecz. Will usiłował wyciągnąć własną broń, lecz choć trzymał rękojeść w dłoni, pochwa utknęła mu między nogami, co uniemożliwiło wydobycie klingi.

Zdał sobie potem sprawę, że miał wrażenie, jakby czas się zatrzymał, lecz w tej chwili usłyszał tętent kopyt, a atakujący wierzchowiec uderzył w biegnących, odrzucając trzech z nich. Henryk w ogóle nie miał broni, ponieważ giermkom nie wolno było nosić oręża przed pasowaniem na rycerza, lecz wdał się w potyczkę, jakby był w pełni uzbrojony. Po zderzeniu z biegnącymi jego koń parsknął i stanął dęba, a człowiek z kuszą machnął nią jak pałką i uderzył młodego giermka w udo, wywołując okrzyk bólu. Odrzucił broń i chwycił Henryka za piętę, wyrwijąc jego stopę ze strzemienia i pchając do góry, przez co wysadził go z siodła; chłopiec spadł ciężko po drugiej stronie konia, a potem wszystko zaczęło się dziać zdecydowanie zbyt szybko jak na gust Willa. Dopiero zaczął odzyskiwać dech. Obezwładniający ból w piersi osłabł, udało mu się odzyskać panowanie nad nogami i wydobyć spomiędzy nich miecz, lecz wciąż nie miał sił, aby wstać, choć usiłował to zrobić, opierając ręce na rękojeści i używając miecza jako laski, dzięki której chciał się wyprostować. Trzej powaleni mężczyźni szybko się pozbiali, nie ucierpiawszy zbyt wiele. Dwaj z nich rzucili się w stronę leżącego Henryka, a dwaj zaatakowali Willa z przeciwnych stron, jak szczury dopadające ranną wiewiórkę.

Wciąż się zachłystując, Will w końcu stanął na nogi i wyprostował się tak bardzo, jak tylko mógł, po czym ściągnął pochwę z miecza i odrzucił ją; choć chwiał się i wyraźnie był słaby, widok długiej, śmiercionośnej klingi wystarczył, aby powstrzymać atakujących. Zerknęli po sobie niepewnie, a Will podziękował za to w duchu, ponieważ czuł, że z każdą chwilą odzyskuje siły, gdy jego oddech wracał do normy. Patrząc na przeciwników po kolei, przesuwał czubek miecza równo ze swoim spojrzeniem, cały czas czekając, aż rytm jego oddechu całkiem się uspokoi, lecz usiłując nie okazać, że dochodzi do siebie. Dwaj napastnicy stali niepewnie w miejscu, coraz bardziej zaniepokojeni. Wtedy to Will zobaczył, że dwaj pozostali biegną w stronę Henryka z podniesionymi sztyletami.

Ruszył do boju, rzucając się w stronę człowieka po prawej i po-

walając go jednym wściekłym ciosem znad głowy, po czym skierował się, ponownie unosząc miecz, w stronę jego towarzysza. Kiedy ten odwrócił się, aby uciec, osłaniając głowę rękami, Will ciachnął w dół, przecinając ścięgna za kolanem biegnącego, który padł jak powalony wół. Następnie skoczył w kierunku pozostałych dwóch ludzi i swojego nieruchomego giermka.

Jeden z przeciwników usłyszał, że nadbiega, i odwrócił się do niego twarzą, prostując plecy, lecz w tej samej chwili rozległ się dźwięk, jakby rozrywało się powietrze, i trzy strzały trafiły go jednocześnie w tors, a ich połączona siła przewróciła go na ziemię. Will znów nie zwrócił uwagi na to: całym sobą skupiony był na tym, co dzieje się z Henrykiem. Oprych trzymał chłopca za włosy, a druga ręka, ściskająca sztylet, opadła w tej samej chwili, w której Will rzucił się do przodu z desperackim rykiem i wbił miecz głęboko w plecy mordercy. Szalejąc z gniewu i niedowierzania wyrwał klingę i uderzył jeszcze raz, tym razem w szyję, a kiedy odcięta głowa opadła w dół zbocza, odepchnął tors brutalnym kopniakiem i padł na kolana koło giermka, który uratował mu życie.

Słyszał tętent zbliżających się galopem koni, lecz nie potrafił oderwać wzroku od Henryka, którego twarz miała kolor serwatki, a policzek zniekształcało zakrwawione ostrze sztyletu, wystające z wycięcia kolczugi na szyi chłopca. Will poczuł, że czyjeś ręce chwytają go i odciągają, i zobaczył, że ktoś zajmuje jego miejsce, klęka nad nieruchomym ciałem i przecina ostrym nożem rzemienie podtrzymujące kolczugę Henryka od szyi do pasa, po czym zdejmuje ją i nacina szorstką koszulę pod spodem. Ukazała się biała skóra chłopca i długą jak kciuk dziurę, w której tkwił sztylet. W ranie wezbrała gęsta krew i wylała się powoli na klatkę piersiową martwego młodzieńca, pokrywając jego skórę i wsiąkając w kłęb materiału pod pachą.

- Moja wina, moja wina. — Will słyszał głos powtarzający te słowa i wiedział, że należy on do niego, lecz nie potrafił przestać. - Moja wina, moja wina.

Trzymające go dłonie chwyciły mocniej i poczuł, że odwracają go tak, że stanął twarzą do człowieka, który do niego przemówił. Był to siostrzeniec króla, sir Malcolm Seton, a jego twarz była ułożona w grymas troski.

- Sir Williamie, jesteś ranny? Cały jesteś we krwi.

- Zabiłem go.
- Zabiłeś dwóch, a jednego oszczędziłeś, żeby zawisł.
- Nie, młodego Henryka. Zabiłem go. Przywiodłem go tu na ślepo.
- Sir Williamie, chłopak żyje. Odnosił ciężką ranę, lecz jeszcze nie zmarł. Popatrz na niego. Martwi nie krwawią.

Słowa te przedarły się przez szum w jego głowie. Zmarszczył brwi, odwrócił się i zerknął na giermka, widząc wciąż wzbierającą krew. Jej widok sprawił, że natychmiast oprzytomniał, a dziwne uczucie opadło jak odrzucona peleryna.

- Słodki Jezu, żyje. - Rozejrzał się gorączkowo po zboczu poniżej. Wozy ze skarbem zatrzymały się na drodze, a strzegła ich mniej więcej połowa drużyny; reszta popędziła w górę wzgórza, kiedy tylko dostrzegła, co się dzieje. — Muszę zawieźć go w bezpieczne miejsce, gdzie będzie można się nim zająć. Zaniosę go.

- Nie trzeba. Zrobimy nosze. - Seton wskazał dwóch stojących najbliżej mężczyzn. - Wy dwaj, szybko, użyjcie włóczni i pasów. Przywiążcie je w poprzek drzewc... macie i mój... i połóżcie na nich pelerynę, żeby owinąć chłopca. Nie! - Odwrócił się do jednego z ludzi klęczących nad nieruchomym giermkiem, trzymającego mocno rękęjęc sztyletu. Ten zawahał się, powstrzymany natarczym okrzykiem rycerza, a młody Seton opadł obok niego na kolano i złapał go za nadgarstek. - Zostaw, Robbie. Jeśli wyciągniesz sztylet, chłopak się wykrwawi na śmierć. Niech zajmie się tym ktoś, kto wie, co robi. Pospieszcie się z tymi noszami.

Chwilę później Will stał u boku Setona, patrząc, jak czterech ludzi niesie chłopca ostrożnie, ruszając się wolno i dokładając wszelkich starań, aby utrzymać nosze poziomo na stromym zboczu. Will się nie odzywał od chwili, kiedy młody rycerz przejął kontrolę nad sytuacją, lecz teraz sapnął przez nos.

- Dziękuję za pomoc, sir Malcolmie.
- Nie dziękuj mnie, sir Williamie. Podziękowania jesteś winien bystrym oczom mojego giermka, który patrzył na was, kiedy to się zaczęło. Nawet nie wiedziałem, że tu jesteście, lecz Donald zobaczył, jak spadasz z konia, i podniósł alarm.
- Gdzie zatem jest teraz? Chciałbym mu podziękować.
- Wciąż jest na dole. Kazałem mu zostać. Zobaczy dość wielu

martwych przyjaciół, kiedy już zostanie rycerzem, .I wątpię, że ty i twój giermek będziecie jeszcze żyli, kiedy do was dotrzemy. Chciałem oszczędzić mu tego widoku.

- Zatem jesteś dobrym panem i prawdziwym rycerzem. Wyraży mojej najgłębszej wdzięczności, sir Malcolmie.

Seton przechylił głowę i przyjrzał się Willowi z troską.

- Czy ty sam czujesz się dobrze? Jesteś pewien? Wszędzie pełno krwi.

Will spojrzął na siebie i pokręcił głową.

- Nie jest moja, choć tak powinno być. Powinienem zostać wychłostany za zaniedbanie; przyjechałem tutaj jak głupiec i nie poświęciłem chwili na sprawdzenie, czy w lesie jest wróg.

- To niefortunne, lecz zrozumiałe. Nie byli to żołnierze.

- Nie, lecz mimo to wrogowie. Powinienem był...

- Przepraszam na chwilę. - Odwrócił się w stronę, gdzie jego ludzie zwiążali dłonie jeńca z przodu i podtrzymywali go za pomocą włóczni wsuniętej za jego łokcie, w poprzek pleców. Nikt nawet nie próbował zatamować krwawienia z rany na jego nodze. Sir Malcolm obrzucił go uważnym spojrzeniem. - Będziemy mieli straszną robotę ze sprowadzeniem cię do obozu w tym stanie i możesz umrzeć, zanim do niego dotrzemy. Z drugiej strony na pewno zawiśniesz, jeśli do niego trafisz, i to z dobrych powodów. Jesteś winien rozboju i próby morderstwa gościa Roberta, króla Szkotów, którego giermek wciąż może umrzeć. - Zwrócił się do dwóch ludzi stojących po bokach jeńca. - Zabrać go do lasu i znaleźć dość mocne drzewo, żeby na nim zawisł. Szybko.

Seton zauważył wyraz twarzy Willa.

- Sprzeciwiasz się temu, sir Williamie?

Will spojrzął na więźnia, który pobladł, słysząc wyrok śmierci. Nie zaczął jeszcze protestować, lecz wkrótce mógł to zrobić, a teraz utkwiał w Willu błagalny wzrok, czując, że jego niedoszła ofiara może mu ocalić życie. Will jednak nie był w nastroju na wybaczenie. Spojrzął na niego i ponownie zobaczył zakrwawione ciało swego giermka; wiedział, że człowiek i tak zawiśnie.

- Wątpię, żeby było tam dość duże drzewo. To przede wszystkim głóg i małe drzewka. Sądzę, że masz rację, mógłby umrzeć, gdybyśmy podjęli próbę sprowadzenia go ze wzgórza, tylko po to, aby tak czy

owak zawisł. Moglibyśmy go tu zostawić, żeby umarł z głodu, ponieważ nie może chodzić, lecz to nieludzkie. - Przerwał, a potem zwrócił się prosto do więźnia. — Nic nie mogę dla ciebie zrobić. Skazałeś sam siebie w chwili, kiedy postanowiłeś zamordować nas z ukrycia, strzelając mi w plecy i atakując mojego nieuzbrojonego giermka. Niezależnie od tego, jak potoczą się sprawy, jesteś martwy. Niech Bóg ma litość nad twoją duszą, bo ja nie mam dla ciebie żadnej. - Przeniósł wzrok na wyższego stopniem strażnika. - Wypełnijcie rozkaz dowódcy. Powieście go, a jeśli nie znajdziecie odpowiedniego drzewa, zetnijcie mu głowę.

Kobieta w oborze

1

Jessie Randolph była wzburzona. Wcześniej usnęła na sofie w swoim pokoju, w środku dnia, co było rzadkością spowodowaną tym, że od świtu pracowała w ogrodzie, atakując chwasty, które groziły jej starannie pielęgnowanej rabatce ziół i warzyw. W ciągu ostatnich tygodni bardzo zaniedbała ogród; do zignorowania własnych spraw zmusiła ją epidemia gorączki, która ogarnęła okolicę, grożąc życiu starców i dzieci. Choroba nie była na tyle zjadliwa, aby zasłużyć na miano zarazy, lecz mimo to okazała się poważnym zagrożeniem dla wielu lenników Jessie, więc podróżowała po terenach wiejskich ze swoimi służkami, robiąc, co tylko mogła, dla rodzin po jej opiece. Większość z nich straciła mężczyzn z powodu ostatniego, pilnego wezwania króla do inwazji na północne hrabstwa Anglii.

Choroba zaniknęła w ciągu ostatnich dziesięciu dni, odebrawszy życie tylko jednej starszej kobiecie, dla której już nic nie można było zrobić, a Jessie mogła w końcu wrócić do domu, gdzie spędziła dzień, wypoczywając i odzyskując siły, zanim uległa pokusie wyjścia na zewnątrz i poddania swojego majątku inspekcji. Jej poranna praca w ogródku przeciągnęła się do popołudnia, a Jessie była tak wyczerpana, że - usiadłszy na łożu, a potem położywszy się, aby zamknąć na chwilę oczy i odpocząć - usnęła głęboko.

Miała wrażenie, że niemal natychmiast obudziła ją jej podopieczna, Marjorie, która zdążyła wyrosnąć na uderzająco piękną młodą kobietę, teraz niemal szesnastoletnią; przynosiła wieści, że z południa ktoś nadjeżdża. Ocknąwszy się, Jessie dostrzegła najpierw z zaskoczeniem, a potem z przerażeniem, że jej włosy są zaniedbane, ręce brudne, a paznokcie czarne od ziemi, ale szybko stłumiła pokusę, by uciec

i doprowadzić się do ładu, i poszła z Marjorie prosto na dach. Kilku jej służących już zgromadziło się na ufortyfikowanej wieży, aby przyjrzeć się nadciągającym nieznajomym.

Natychmiast poznała Willa Sinclaira, nawet z odległości mili. Jego drużyna - naliczyła sześciu, włącznie z nim — ruszała się wolno, stępa, towarzysząc nisko zawieszonemu wozowi ciągniętemu przez parę krępych, nizinnych koni. Jessie oceniła szybko, że jeśli się pospieszy, będzie miała dość czasu, aby przygotować się do ich przybycia, lecz właśnie kiedy miała już pobiec z powrotem do domu, zdała sobie sprawę, że w tej małej grupce jest coś dziwnego, jakaś atmosfera przygnębienia, której nigdy nie skojarzyłaby z Willem. Przyglądała im się jeszcze przez chwilę, a potem weszła szybko do środka, zeszła po schodach wieży i dotarła do wielkich drewnianych drzwi, które otworzyła szeroko, przecięła dziedziniec do wysokiej bramy w zewnętrznych murach, a wszelkie troski o własny wygląd przegnało zmartwienie o to, co też się stało. Brama była otwarta, a Jessie wyszła na drogę i stanęła z rękami na biodrach, czekając, aż przybysze dotrą na miejsce. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że Marjorie poszła za nią. Odesłała dziewczynę do środka, mówiąc jej, że chce być sama, i choć było jasne, że Marjorie jest rozczarowana, usłuchała, a Jessie ponownie zwróciła oczy w stronę drogi.

Will zobaczył ją wcześniej niż reszta jego towarzyszy, a Jessie dostrzegła, że odwraca się w siodle i mówi coś do swojego krewniaka Tama, którego teraz też rozpoznała. Potem dźgnął konia ostrogami i przygalopował do niej, ściągając lejce tuż przed nią. Podniosła na niego wzrok bez słowa, a on skinął głową i ściągnął czarną czapkę.

- Baronowo - powiedział ze zmarszczonymi brwiami, lecz ona znała go już dość dobrze, aby wiedzieć, iż ten konkretny grymas to nie jego zwykły wyraz dezaprobaty. - Błagam o wybaczenie za tak niespodziewane zakłócenie twojego spokoju. Nie zrobiłbym tego bez wielkiej potrzeby.

- Sir Williamie. Wiem to. O co chodzi?

- O mojego giermka, pani. Henryka Sinclaira, mojego bratanka. Jest ranny i potrzebuje opieki. Byliśmy w Anglii z królem Robertem, blisko Carlisle, gdzie niemal zabito chłopca... z mojej winy, przez moje zaniedbanie. Sam król wysłał mnie tutaj, abym cię odnalazł i poprosił o pomoc.

- Nie potrzebowałeś poparcia króla, abym ci pomogła, Willu Sinclairze. Jak poważnie jest ranny?

Will nie zareagował na to, że użyła jego imienia, i tylko machnął ręką za ramię.

- Dość poważnie. Trzeba mu odpoczynku i schronienia. Bardzo go boli. Zrobiliśmy dla niego posłanie w wozie, lecz przy każdym ruchu pojazdu krzyczy z bólu, choćby nie wiadomo jak się powstrzymywał. Dogląda go medyk, brat Mateusz, użyczony nam przez samego króla, lecz jego medykamenty nie pomogą na nierówne drogi.

- Dość. Kiedy przyjadą, każ wejść im do środka i podprowadź wóz tak blisko bramy, jak się da. Widzę, że jest z tobą Tam. Niech on i jego towarzysze będą gotowi do wyciągnięcia chłopca z wozu. Tuż za bramą mamy nosze. Przyślę z nimi Hektora, a potem ulóżcie na nich ostrożnie chłopca. Będzie już czekało na niego łóżko na parterze.

Zostawiła Sinclaira i wróciła do domu, gdzie kazała dwóm sługom szybko znieść pryczę z piętra. Potem posłała swoje służki po czystą pościel, którą miały przynieść do głównej komnaty domu. W jednym jej rogu, między wielkim kominkiem a wyposażonym w okiennice oknem, miało stanąć łóżko dla młodzieńca. Jessie i Marjorie zajęły się natomiast robieniem miejsca na pryczę i organizowaniem tymczasowego pokoju rannego, oddzielonego jaskrawo pomalowanymi, składanymi parawanami od reszty długiego pomieszczenia o niskim suficie.

Wszystko było gotowe w ciągu kwadransa, a Tam, Mungo MacDowal i dwaj inni mężczyźni wnieśli nieprzytomnego Henryka i ułożyli go na pryczy. Medyk, młody mnich o pocziwym wejrzeniu, zadbał, aby chłopcu było wygodnie, a potem poprosił Jessie o gorącą wodę i czysty materiał, z pomocą których chciał obmyć i opatrzyć rany; Jessie wysłała Marjorie do kuchni. Potem wyciągnęła rękę i dotknęła ramienia mnicha.

- Bracie Mateuszu, chcę z tobą pomówić. - Odwróciła się do Willa i jego ludzi, którzy przyglądali się wszystkiemu w towarzystwie Hektora. - Przyjaciele - powiedziała cicho - widzę, że dołożyliście wszelkich starań, aby zadbać o tego młodzieńca, lecz jest już bezpieczny. Pójdźcie za Hektorem, a pokaże wam, gdzie możecie się odświeżyć po podróży, nakarmi was i napoi. Sir Williamie, porozmawiamy dłużej potem... Hektorze, zatroszczysz się o naszych gości?

Kiedy tylko mężczyźni wyszli, Jessie ponownie zwróciła się do mnicha.

- A teraz, bracie Mateuszu, opowiedz mi, co się stało i jak poważna jest naprawdę ta rana. Przeżyje czy przywiozłeś go tutaj, aby umarł?

Mnich, wciąż dość młody, aby obecność baronowej napawała go nabożną czcią, pokręcił głową.

- Nie, nie, pani. Teraz, kiedy może już wypocząć, powinien dojść do siebie. Rana nie była śmiertelna, choć powinna była być. Dźgnął go sztyletem klęczący nad nim człowiek. Morderca uderzył jednak pospiesznie... zdaje się, iż sobie uświadomił, że naciera na niego sir William... a ostrze odbiło się od tej kości. - Dotknął własnego obojczyka, a potem wsadził za niego palec. - Odbita klinga ześliznęła się w dół i w *ty*, przecinając mięśnie ramienia i przesuwając się po jego łopatce. Było to paskudne cięcie, głębokie i poszarpane, i obficie krwawiło, lecz Bogu dzięki, nigdy nie groziło jego życiu. - Uśmiechnął się niepewnie. - Największym zagrożeniem było przywiezienie go tu wozem, ponieważ każde uderzenie kół o kamień i nierówność na drodze z Lanercost tutaj drogo go kosztowało, boleśnie otwierając na nowo rany, zanim mogły się zacząć goić.

- Ale dlaczego nie zajęto się nim w Lanercost?

- Zajęliśmy się nim, jak tylko się dało, lecz nie było czasu, pani. Armia króla atakowała Durham, a on sam nie śmiał czekać, aby wieść o jego najeździe go nie wyprzedziła. Nie chciał też zostawić młodzieńca w tyle, wśród Anglików.

- Hmm. Rozumiem... Przybyliście więc prosto tutaj?

- Tak, pani, na rozkaz króla. Jego Miłość powiedział, że to najbezpieczniejsze, najbliższe miejsce. Droga była ciężka, nawet kiedy już dotarliśmy do trasy na północ, i zajęła nam trzy dni. Dlatego też chłopiec jest wyczerpany i udręczony, poza tym stracił dużo krwi. Lecz dzięki dobrej strawie i wygodnemu, stabilnemu łożu powinien szybko dojść do siebie.

- Jak myślisz, ile to potrwa?

Brat Mateusz wydał wargi.

- Nie odpowiem na to, pani. To w rękach Boga. Może miesiąc. Może więcej. Po prostu nie wiem. Lecz wyzdrowieje. Rany robią wrażenie płytkich, lecz dopiero czas pokaże, czy tak jest naprawdę. Powinien odzyskać władzę nad barkiem i ramieniem... ale może nie

odzyska. Jak rzekłem, to w rękach Boga, lecz sądzę, że będzie dobrze. Mój nauczyciel studiował metody starożytnych, szczególnie wielkiego uzdrowiciela Galena, który wierzył, iż głównym zagrożeniem dla życia w takich wypadkach nie są same rany... chyba, oczywiście, że są śmiertelne... lecz zapalenia i zakażenia, które aż nazbyt często się wdają. Nalegał więc na utrzymywanie rany w czystości i suchości, aby uniknąć zagrożeń związanych z ropieniem i skażeniem niezdrowymi humorami. - Spojrzał na giermka z łagodnym uśmiechem. - Na pewno myślisz, że jest w niebie; jest mu ciepło w miękkim, nieruchomym łożu po tak długiej i bolesnej podróży. Sen to błogosławiony lek Boga na wiele dolegliwości. Módlmy się, że i na tę pomoże. Zostawmy go, niech śpi.

- Dziękuję, bracie Mateuszu. Marjorie, zaprowadź brata do innych i wróć tutaj.

Jessie patrzyła na śpiącego młodzieńca przez jakiś czas po tym, jak dziewczyna i mnich wyszli. A więc, młody człowieku, kolejny Sinclair? Wyglądasz chyba trochę jak twój wuj, choć tak naprawdę trudno to dojrzeć pod całym tym brudem. Ale masz jego ramiona i włosy. Może jego oczy też, kiedy już je otworzysz, lecz teraz są zapadnięte i podbite, a twoja twarz zbyt blada i wymizerowana... Już są na niej zmarszczki bólu, choć jesteś na to zbyt młody...

Przerwał jej powrót bratanicy; Jessie wskazała jej krzesło przy ogniu.

- Chcę, żebyś tu została i pilnowała tego młodzieńca pod moją nieobecność. Raczej się nie obudzi, lecz jeśli to zrobi, każ mu leżeć nieruchomo, powiedz mu, gdzie jest, a potem natychmiast po mnie przyjdź. Popatrz no tylko na mnie. - Wyciągnęła dłonie, rozczapierzając palce, aby pokazać czarną ziemię nagromadzoną pod paznokciami. - Muszę doprowadzić się do porządku. Nie potrwa to długo, ale chcę, żebyś przez ten czas tu była.

- Oczywiście, ciciu. - Dziewczyna na nią nie spojrzała; jej całą uwagę pochłaniał blady chłopak śpiący na pryczy.

Kiedy Jessie wkroczyła z powrotem do głównej komnaty, odświeżona i wyglądająca w każdym calu jak pani wspaniałego domu, uśmiechnęła się w duchu na myśl, że żaden z jej gości - czekali na nią tylko Will i Tam Sinclairowie - nie sprawia wrażenia, jakby zdawał sobie sprawę z jej przemiany. Poplamioną i znoszoną zieloną suknię, którą włożyła do ogrodu, zastąpiła swoją najświetniejszą, ręcznie utkaną z miękkiej, kosztownej wełny w odcieniu błękitu, przypominającym barwę nocnego nieba, bliższym czerni niż niebieskiemu, a z jej starannie uczesanych i upiętych włosów wymykało się tylko kilka kosmyków, które wiły się dookoła jej uszu. Ręce, nadgarstki i przedramiona, wyszorowane prawie do czerwoności, wygładziła słodko pachnącą, przywiezioną z Francji maścią, i wciąż czuła ślad zapachu olejku z goździków i cynamonu, który wtarła w szyję przed opuszczeniem swoich komnat.

Przywitała obu mężczyzn wesoło, a potem od razu poszła zajrzeć za parawan kryjący pryczę Henryka. Nie było widać śladu po Marjorie, co nieco zaskoczyło Jessie, ponieważ dziewczyna po nią nie przyszła. Młodzieniec wciąż spał; jego twarz była spokojna, a wryte na niej bólem bruzdy już się zmniejszyły. Zasunęła parawan i wróciła do gości, którzy wciąż byli pogrążeni w cichej, lecz pełnej napięcia rozmowie, stojąc tak blisko siebie, że niemal stykali się głowami.

- Spodziewałam się zastać tu moją bratanicę, Marjorie. Czy któryś z was ją widział?

- Tak, pani, była tu, kiedy weszliśmy przed chwilą. Poszła po piwo dla nas, bo dzban na stole był pusty - odpowiedział Tam.

- Ach, to wszystko wyjaśnia. Dziękuję, Tam. - Uśmiechnęła się do

niego. - Nie usiądziecie? Zbliża się wieczór i wkrótce zrobi się chłodno. Każe Hektorowi rozpalić ogień.

- Dzięki, pani, ale nie mogę zostać. Łyk piwa dla zwilżenia gardła i w drogę.

- O tej porze? Gdzie pojedziesz? - Zobaczyła, że sir William unosi brwi, i mówiła dalej, zanim którykolwiek z nich odpowiedział. - Wybaczcie, wiem, że to nie moja sprawa. Przemawiała przeze mnie zwykła ciekawość. - Och, Will, wciąż tak samo zajadły i pełen dezaprobaty. Miałam nadzieję, że chociaż z tego trochę cię wyleczyłam, dodała w duchu. — Jeśli wyjedziesz w ciągu godziny, wciąż będziesz miał na podróż trzy dobre godziny światła dziennego.

- Tak, pani. Dotrę na miejsce w godzinę po zmroku.

A dokąd to zmierzasz? Dlaczego w takim pośpiechu?

Will zaskoczył ją, przerywając ciszę.

- Ma do załatwienia pewną sprawę dla mnie, baronowo... i dla Jego Miłości. Król Robert polecił mi...

Zamilkł, kiedy do pokoju weszła Marjorie, ściskając w obu dłoniach masywny drewniany dzban piwa, najwyraźniej czując się niepewnie z takim ciężarem.

Tam szybko do niej podszedł.

- No, dziewczuszko, daj mi to. Dziękujemy za twoją dobroć. - Uśmiechnął się szeroko. - Mogłaś wziąć mniejszy dzbanek albo mniej nalać do tego... nie zmęczyłabyś się tak.

Dziewczyna odwzajemniła uśmiech i dygnęła, podtrzymując delikatnie spódnice.

- Nie śmiałybym, panie — odparła po szkocku. — Ale więcej nie mogłam przynieść. Goście w tym domu nigdy nie odczuwają pragnienia.

- Ano, i nigdy nie są też głodni. - Tam zaniósł dzban do stołu i zajął się nalewaniem napitku do glinianych kubków, po czym zwrócił się do Jessie. - Pani, napijesz się?

Zerknęła na Willa.

- Omówiliście już wszystko czy mamy was zostawić, abyście mogli spokojnie dokończyć rozmowę?

Will pokręcił głową, a wyraz twarzy miał miły i otwarty.

- Nie, pani, nasze sprawy są zakończone.

- Świetnie. A zatem będę wdzięczna za nieco piwa, Tam. - Odwró-

ciła się do Marjoric, która przyglądała się jej z lekkim uśmiechem na ustach. - Lecz ty, młoda damo, masz pewne sprawy, którymi musisz się zająć. Sir William będzie z nami dzisiaj wieszerał, więc chcę, żebyś wyglądała tak, jak powinnaś: jak przyzwoita młoda kobieta. Marie czeka na ciebie na górze i pomoże ci się przygotować, idź już zatem, a po drodze przyślij tu Hektora.

Marjorie znów dygnęła i udało się jej skierować uśmiech do całej trójki dorosłych, a potem opuściła pokój bez słowa. Will spojrział pytająco na Jessie.

- To jest dziecko, o którym pisałaś? Bratanica? - Jessie przytaknęła. - Jestem pod wrażeniem. To młoda kobieta. Spodziewałem się raczej dziewczynki.

- Była nią, kiedy do mnie trafiła, ale minęło już pięć lat, a czas na nas wszystkich wpływa tak samo. Chodźcie, panowie, siadajcie. - Urwała, zaskoczona nagłą myślą. - Czy wiecie, co stało się z bratem Mateuszem?

Will Sinclair ni mniej, ni więcej, tylko się uśmiechnął, a Jessie musiała się pohamować przed uczynieniem jakiejś uwagi, gdy machnął ręką w stronę parawanów za jej plecami.

- Nie mam pojęcia, lecz spodziewam się, że jest tam i śpi jak jego podopieczny, wyczerpany podróżą. Spał nawet mniej niż Henryk, czuwając całą drogę z Lanercost, więc zasłużył na odpoczynek. Ale pozwól mi dokończyć to, co mówiłem, kiedy weszła twoja bratanica. - Zerknął na Tama, który pilnie przyglądał się brzegowi swojego kubka, ponownie unosząc go do ust. - Król Robert poprosił, abym odwiedził Saint Andrews i pomówił z jego przyjacielem oraz doradcą, mistrzem Mikołajem Balmyle'em.

- Och, dobrze go znam. Jesteśmy przyjaciółmi. Spotkałeś go już kiedyś? - Will pokręcił głową. - No cóż, myślę, że go polubisz. Jest bardzo stary, pełen godności i niezwykle szanowany, lecz ma w sobie wspaniałe ciepło i poczucie humoru i jak na duchownego jest wyjątkowo miłym człowiekiem. Nie boi się mówić, co myśli. Król przywiązuje wielkie znaczenie do jego rad.

- Tak, wspominał mi o tym. Lecz problem polega na tym, że mistrz Mikołaj nie zostanie długo w Saint Andrews. Ma pojechać stamtąd w dość pilnej sprawie do Arbroath, na spotkanie z tamtejszym opatem, Bernardem de Lintonem. Chcę zatem wysłać Tama i Mungo

przede mną, aby zawiadomili go o moim przybyciu i życzeniach króla. Wyjeżdżają jak najprędzej... - Urwał, marszcząc czoło.

- Wyglądasz, jakbyś nie był czegoś pewien.

- Tak jest, pani. Muszę spytać, czy masz coś przeciwko temu, abym obarczył cię opieką nad moim młodym giermkim, kiedy pojedę dalej. To wielkie nadużycie twojej uprzejmości.

-Alternatywa jest nie do pomyślenia. Zostawisz go tutaj, a my chętnie się nim zajmiemy, choćby tylko z obowiązku względem króla Roberta. Możesz wrócić po niego, kiedy wydobrzeje lub kiedy załatwisz wszystko z Balmyle'em. No, sprawa zamknięta.

Rozległo się dyskretne pukanie i otworzyły się drzwi. Hektor, gospodarz, wsunął głowę do pokoju.

- Posyłałaś po mnie, pani. Czy mam rozpalić ogień? - Jessie kiwnęła głową bez słowa, a Hektor otworzył szeroko drzwi, aby wpuścić dwóch mężczyzn, z których jeden niósł grubą, płonąca świecę w lich tarzu, a drugi ciężkie miechy.

Tam wychylił piwo i wstał, po czym poprosił Willa o pozwolenie na wyjazd. Otrzymawszy je, skłonił się głęboko Jessie, podziękował jej za gościnę i wyraził nadzieję, że wkrótce znów ją ujrzy. Kiwnął serdecznie głową Willowi i poszedł po swojego towarzysza podróży, Mungo.

Ani Jessie, ani Will nie wstali, kiedy Tam wychodził, i patrzyli w milczeniu, jak ludzie Hektora zajmowali się ogniem. Podeszli oni szybko do wielkiego kamiennego kominka, a pierwszy z nich zdążył już podpalić długim, cienkim drewnianym podpałkę ułożoną w palenisku, garbiąc się, aby podmuchać delikatnie na gniazdo małych, żarzących się patyczków, aż wybuchnęły łagodnym płomieniem. Tymczasem drugi mężczyzna odłożył miechy na ziemię i stał obok, trzymając większe patyki, przyglądając się uważnie i czekając, aż płomień będzie na tyle duży, aby mógł dodać do nich większe kawałki wysuszonego drewna. Ułożył je starannie, pozwalając na obieg powietrza między nimi, a kiedy się zajęły, zaczął się niezwykle umiejętnie posługiwać miechami, pompując nimi tylko na tyle, aby podsyć głodne płomień, lecz nie wzbudzić strumienia iskier i popiołu.

- Wystarczy - powiedział Hektor, kiedy był pewien, że ogień nie zgaśnie. - Dobra robota. Teraz dołóżcie kłody i możecie iść. Życzysz sobie czegoś jeszcze, pani?

Jessie pokręciła głową i odprowadziła wzrokiem dwóch służących i gospodarza, znikających w głębi domu. Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, odwróciła się ponownie do Willa.

- Pójdź, robi się chłodno. Przysuń krzesło do ognia, a ja do ciebie dołączę. Mamy wiele do omówienia. - Właściwie spodziewała się, że rycerz zareaguje gniewnie na te słowa, lecz znów ją zaskoczył, robiąc po prostu to, o co prosiła. Podniósł się i postawił ciężkie krzesło przed kominkiem, a potem przyniósł jeszcze jedno dla niej; w tym czasie ona napełniła jego kubek piwem, dolewając nieco także sobie. Will wziął od niej naczynie i skinął uprzejmie głową, usiadł i upił łyk.

- Smaczne. Masz wśród lenników piwowara?

- Tak, jest nim mój gospodarz, Hektor. To tylko jeden z jego talentów. Choć tak naprawdę jest tutaj po prostu gospodarzem, wcale nie moim. Służy mojemu bratankowi, sir Tomaszowi Randolphowi, do którego należy ten dom. Mieszkam tu i opiekuję się gospodarstwem z jego łaski.

Will kiwnął przyjaźnie głową. Przez chwilę myślała, że znów się uśmiechnie, lecz drgnienie kąta jego ust zniknęło, zanim zdążyło się przerodzić w uśmiech, choć w jego oczach było więcej zrozumienia, niż kiedykolwiek widziała.

- Powiedz mi zatem, jeśli łaska, co mamy do omówienia.

Odwróciła się na krzesło, aby dokładnie obrzucić go wzrokiem, i odpowiedziała cicho:

- Kilka rzeczy. Zwłaszcza twoje samopoczucie. Wyglądasz na wymizerowanego, Willu Sinclairze; wymizerowanego i stroskanego. Kiedy się dziś spotkaliśmy, powiedziałeś mi, że chłopiec odniósł ranę przez ciebie, i jasne jest, że wierzysz, iż tak naprawdę się stało. Cśś!

Wstała pospiesznie, odstawiając kubek na siedzenie krzesła, a potem niemal przechyliła się na bok, nasłuchując ciszy dobiegającej zza parawanów. Will nic nie usłyszał, ale też nie zwracał wcześniej szczególnej uwagi na dźwięki. Dała mu ostrzegawczy znak palcem i zniknęła za najbliższym parawanem. Wyłoniła się chwilę później, opuszczając za sobą starannie materiał.

- Śpi zdrowo. Wydawało mi się, że słyszę, jak się rusza, ale jeśli tak było, zrobił to nieświadomie. - Podniosła kubek i obejmując go dłońmi, znów usiadła. - Powiedz mi zatem, co zrobiłeś, aby narazić chłopca na niebezpieczeństwo i niemal doprowadzić do jego śmierci?

Nabrał głęboko powietrza i bez wstępów opowiedział jej całą historię. Kiedy zamilkł, najwyraźniej nie mając już nic do dodania, Jessie przechyliła głowę, nie rozumiejąc.

- Dlaczego miałoby ci przyjść do głowy, aby sprawdzić tamtejszy las? Powiedziałaś, że był rzadki.

- Tak, lecz nie bardzo. I rósł na terenach nieprzyjaciela. Ukrywali się tam ludzie, wrogowie.

- Ale nie żołnierze.

- Nie, chłopci. Ale źle nam życzyli.

- A dlaczego miałoby chcieć zaatakować nieuzbrojonego chłopca?

- Nie chcieli. Chcieli mnie. Samotnego rycerza o skąpym uzbrojeniu, wartego, aby go zabić i obrabować.

- A gdybyś ich wcześniej poszukał, myślisz, że byś ich znalazł?

Pokręcił głową.

- Być może nie. Byli pieszo i pewnie by się ukryli, kiedy by mnie zauważyli.

- A zatem mogliby cię zabić z ukrycia?

- Zgadza się.

- A gdyby to zrobili, zabiliby też Henryka, prawda? Tym bardziej że nie był uzbrojony.

- Zapewne.

- Dlaczego więc sobie wymyślasz? Jesteście obaj tutaj, żywi, właśnie dlatego, że nie przeszukałeś tego lasu. A Henryk żyje, ponieważ mogłeś go uratować, po tym jak on uratował ciebie. Dlatego też mnie, zwykłej kobiecie, wydaje się, że obaj macie powody do wdzięczności wobec siebie za to, jak wszystko się potoczyło, i żadnego powodu, aby uzalać się nad sobą i pławić w wyrzutach sumienia. Chłopiec jest silny, ty w dobrym zdrowiu, może poza tym, że wyglądasz, jakbyś bardzo potrzebował snu. - Urwała na chwilę, a potem zakończyła: - Przekonałam cię już, że to twoje poczucie winy jest głupie?

Słodki Jezu, on się uśmiecha. Uśmiecha się! Pierwszy prawdziwy uśmiech, jaki widzę na jego twarzy... I jakże on go wspaniale zmienia, nawet przy tej bladości i brzdach wrytych przez troskę na jego twarzy. Dlaczego, dobry Boże, dlaczego nie pozwalasz mu się częściej uśmiechać? Potrafiłby przegnać burzę, odepchnąć chmury i ponownie sprowadzić słońce.

Pokręcił łagodnie głową.

- Może i tak - powiedział. - Zobaczymy... A teraz, co jeszcze mamy do omówienia?

- Nic poważnego. Chciałam ci zadać kilka pytań. Czy irytuje cię to?

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Dzisiaj nie. Wątpię, czy mogłabyś spytać mnie dziś o cokolwiek, co by mnie zirytowało. Sprawiała to ochota, z jaką bez pytania podjęłaś się opieki nad moim bratankiem. Pytaj.

Jessie zacisnęła usta, po czym zagryzła dolną wargę, namyślając się dokładnie.

- No dobrze. Słyszałam... nieważne od kogo, nie wyjawię jego imienia... że zwolniłeś braci ze ślubu czystości. - Zobaczyła, jak Will unosi brew, i przygotowała się na to, że szorstko opędzi się od jej niewypowiedzianego pytania, lecz on tylko zerknął na nią z ukosa i kiwnął głową.

-Tak. Wielu z nich, głównie starszych, nie chciało być zwolnionych, więc ich sytuacja się nie zmieniła. Inni skorzystali z dyspensy.

Spojrzała na niego z zaskoczeniem i uniosła dłonie.

- Dlaczego? Dlaczego miałbyś zrobić coś takiego ty, najbardziej pobożny i oddany obowiązkom człowiek? Dlaczego? Po całym życiu absolutnego posłuszeństwa służbie i Bogu?

- Może dlatego, że mój Bóg jest inny od twojego. — Słowa te wypowiedział tak cicho i niewyraźnie, że była pewna, iż źle dosłyszała, ponieważ nie miały dla niej żadnego sensu. Miała jednak dość rozsądku, aby milczeć, w niewyjaśniony sposób świadoma, że William być może zaraz wypowie się dłużej i bardziej treściwie, niż kiedykolwiek miała okazję słyszeć, i to bez wrogości. Jednak zamiast kontynuować, wlepił w nią dziwnie odległy wzrok, jakby nie zdawał sobie sprawy z jej obecności i patrzył na co innego.

Och, Willu Sinclairze, nie mam pojęcia, o czym myślisz, lecz podziękuję dziś wieczorem Bogu za to, że twoja twarz nie jest pochmurzona, za uśmiechy, które mi pokazałeś, i za blask w twoich oczach. Bo wiem tylko On może wiedzieć, skąd ten blask się wziął i dlaczego zniknęły chmury. Nie obeszłoby mnie, gdybyś aż do wieczora miał się już nie odezwać, jeśli twoja twarz pozostanie tak otwarta i wolna od arogancji i dezaprobaty jak teraz.

Patrzył na nią - i przez nią - tak długo, że zaczęła podejrzewać, iż

faktycznie nic więcej nie powie, lecz kiedy właśnie nabierała tchu, on odezwał się we francuskiej mowie z Andegawenii, skupiając już wzrok na Jessie:

- Wiesz, kiedy cię poznałem, nie ufałem ci. - Machnął ręką, aby powstrzymać ją, nim zdążyła zareagować. - Nie, wybacz mi. To nie prawda. Nigdy nie było tak, że ci nie ufałem. To złe słowo... i pewien unik. Sądzę... sądzę, że się ciebie bałem. Taka jest prawda, i teraz, kiedy ją wypowiedziałem, uznaję, że to fakt. Tak, bałem się ciebie. Obawiałem się tego, kim byłaś i co według mnie reprezentowałaś... groźbę dla moich świętych ślubów. A nawet to było oszukiwaniem siebie, choć nie mogę powiedzieć ci jak czy dlaczego. Wiem to, lecz nie jestem w stanie tego wyjaśnić bez narażania spraw, które są dla mnie święte. Nieważne: przerażałaś mnie, ponieważ byłaś dla mnie... pociągająca. A to przeczyło i groziło wszystkiemu, czemu poświęciłem całe życie.

Oto znów ten uśmiech, lecz szybko stłumiony, jakbyś chciał się sam z siebie zaśmiać. Ach, Will, nie wierzę, że to słyszę. Wydawałam ci się pociągająca! Czy wciąż tak o mnie myślisz? - pytała w myśli.

- A czy wciąż się mnie obawiasz, sir Williamie?

W jej tonie był ślad filuternego humoru, lecz Will go zignorował i odparł szczerze:

- Nie, Jessie, ani trochę. Prawdę mówiąc, nigdy tak nie było. To siebie się bałem... siebie i własnych słabości, które, jak myślałem, mogły sprowadzić mnie na drogę grzechu.

- Z mojego powodu?

Jessie była już ledwie świadoma, co mówi, ponieważ szok wywołany jego wyznaniem zwiększyła radosna niespodzianka, fakt, że po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu. Lecz jej przyjemność zwiększyła się dziesięciokrotnie, kiedy spojrzał na nią, unosząc brew.

- Z twojego powodu... Ano, dlaczego nie? W końcu jestem mąż czynną, a ty jesteś... sobą. Sama myśl o tobie budzi pokusę, a podobno grzechy umysłu są równie potężne i niszczące co grzechy ciała.

Jego wyznanie zdumiało ją i odebrało jej mowę.

- Nazwałaś się kiedyś moją przyjaciółką, w pierwszym liście, który od ciebie dostałem. Jestem zaszczycony twoją przyjaźnią, choć na początku na nią nie zasługiwałem. Lecz wtedy byłem rycerzem Zakonu, poświęconym bractwu, które uważałem za niezmiennie i święte; już

drugi raz w tej godzinie używam tego słowa, choć ostatnio uznałem, że nie zasługuje ono na oddech, z którym wypowiada je większość ludzi. A jednak w to właśnie wierzyłem, kiedy się poznaliśmy, głęboko i szczerze. Jak wiedział kiedyś cały świat, rycerzom Zakonu nie wolno było zadawać się z kobietami, nawet własnymi matkami i siostrami, ponieważ byli mnichami, zaprzysięgłymi Zakonowi, choć może i rzadkomieszkali w jego murach. Byłem więc oburzony... - Prychnął powstrzymany, pogardliwym śmiechem, kręcąc głową na wspomnienie własnej głupoty. - Oburzony i urażony tym, że musiałem przebywać w twoim towarzystwie, bez względu na niebezpieczeństwo, które ci groziło, czy twe pokrewieństwo z admirałem de Saint Valerym, więc postanowiłem chronić własne przekonania, unikając cię ignorując, kiedy tylko było to możliwe. Nigdy nie uważałem tego za tchórzostwo... wtedy nie, choć teraz tak o tym myślę... lecz wkrótce odkryłem, że to, co chciałem osiągnąć, jest niemożliwe.

- Ignorowanie i unikanie mnie? - Jessie uśmiechała się łagodnie, a on odwzajemnił jej uśmiech drwiąco.

- Tak. Niełatwo cię zignorować, a wydarzenia potoczyły się tak, że i unikać cię było równie trudno. Lecz obawiam się, że źle cię traktowałem, ponieważ byłaś po prostu niewinnie sobą.

- A co to zmieniło? Czy mogę spytać?

- Czas. Czas i ambicje bezbożnych ludzi Boga... A to ostatnie doprowadziło do tego, iż jako mistrz Zakonu w Szkocji podjąłem decyzję o uwolnieniu tych moich ludzi, którzy tego chcieli, ze ślubu czystości.

Jessie patrzyła na niego przez długą chwilę, po czym powiedziała: -

To... to zdumiewająca zmiana. Nigdy nie słyszałam o czymś takim.

- Nigdy, od zarania naszego Zakonu, nie zdarzyło się nic takiego. Ale było to konieczne.

- Po co, Will? Usiłuję zrozumieć, co chcesz powiedzieć, lecz nawet nie wiem, od czego zacząć. Co sprawiło, że zacząłeś tak myśleć? Nie mogła to być szybka decyzja.

- Nie, nie była. Wymagała długich badań mojej duszy i sumienia. Ale podjąłem właściwą decyzję, a wydarzenia ostatnich tygodni to potwierdziły. Jessie... brat twojego męża, admirał de Saint Valery, nie żyje.

-Wiem to. Wiem od lat. Drogi Karol. Przez jakiś rok miałam nadzieję, że być może wróci skądkolwiek, dokąd zapłynął, lecz kiedy upłynęły dwa lata, potem trzy, stało się jasne, że gdzieś zginął... - Urwała, marszcząc czoło. - Ale skąd możesz to wiedzieć z taką pewnością, jaką właśnie usłyszałam w twoim głosie? Wiesz to ponad wszelką wątpliwość, prawda? - Kiwnął głową, a ona zapatrzyła się na niego ze zmieszaniem. -Jedyny sposób to...

- Gdyby ktoś, w czyje słowa nie można byłoby wątpić, przywiózłby te wieści. - Zawahał się nieco, a potem podjął decyzję i ciągnął pewniejszym tonem: - Jessie, mówiłem wcześniej o ufności. Teraz zaufam ci jeszcze bardziej i powierzę tajemnicę znaną bardzo niewielu ludziom... tajemnicę, która mogłaby być bardzo niebezpieczna, gdyby ją wyjawić. Pamiętasz, dlaczego admirał nas opuścił?

- Oczywiście. Popłynął szukać jakiejś legendarnej krainy za Morzem Zachodnim, zwanej...

- Jej nazwa nie ma znaczenia - odparł cicho Will. - Lecz istnieje. Admirał znalazł ją w miesiąc po wyruszeniu. Zmarł tam w zeszłym roku. Większość jego drużyny została i żyje wśród miejscowych, ale część wróciła, szukając ludzi, którzy by do nich dołączyli. Ich okręt pojawił się na Arran niecałe trzy tygodnie temu.

-Wrócił... — Usłyszała tępe niezrozumienie we własnym głosie, lecz myśl, którą Will się z nią podzielił, przeczyła logicznemu rozumowaniu. Odchrząknęła, nagle czując się niepewnie. - Ten ląd... nie jest znany w świecie chrześcijańskim? - Patrzyła, jak rycerz kiwa głową. - Gdzie więc jest?

-Tam, gdzie miał być, za Morzem Zachodnim.

Potrząsnęła głową, usiłując pojąć taką ewentualność.

- Czy jest duży?

-Według tego, co mi powiedziano, ogromny. Może to być całkiem nowy świat, tak duży jak nasz.

- Lecz to jest... To byłoby... Dlatego powiedziałaś, że owa tajemnica jest tak niebezpieczna. Kto o tym wie?

-Ty. Ja. Załoga, która wróciła. Moi ludzie na Arran. Nikt więcej.

- Sądzisz, że sekret jest bezpieczny? Twoja wspólnota liczy wielu braci.

- Tak, ale potrafi dochować tajemnicy. Wszyscy jesteśmy templariuszami, zobowiązanymi do skrytości, milczenia i posłuszeństwa...

i do przetrwania. Gdyby wieść ta się rozniosła, cały świat chrześcijański, wraz ze swoimi prześladowaniami i szaleństwami, przybyłby tłumnie do nowych brzegów.

- Co pozbawiłoby cię nadziei na znalezienie nowego życia.
- Masz rację. Byłby to azył nie znany nikomu poza nami, a my go bardzo potrzebujemy.
- Ślub czystości. Dlatego to zrobiłeś... aby bracia spłodzili synów.
- Synów i córki, tak.
- Ponieważ mnisi tacy jak wy nie mogą mieć kobiet, więc są skazani na wymarcie, a Zakon na zniknięcie ze świata.
- To się dzieje wszędzie poza Szkocją. We Francji nie ma już Zakonu, a teraz inni królowie w świecie chrześcijańskim grają w grę Filipa, dokładnie tak, jak obawiał się mistrz de Molay. Wygląda na to, że wspólnota na Arran to ostatni przyczółek. Dlatego zwolniłem braci ze ślubu. Dałem im wolność, aby się ożenili i założyli rodziny, jeśli przysięgną, że wrócą z nimi na wyspę.

- Lecz to nie jest... - Jessica nie mogła wydusić z siebie nic więcej, wciąż zmagając się z tą myślą, i siedzieli przez chwilę w milczeniu. Kiedy znów się odezwała, na jej ustach widniał półuśmiech. - A ty, Willu Sinclairze, uwolniłeś się od swojej przysięgi?

Spojrzał prosto na nią, a wyraz jego twarzy był równie niezgłębiony co ton głosu, którym odpowiedział:

-Nie. Jestem zbyt... przyzwyczajony do nawyków swojego życia. - Jego prawy policzek drgnął; mógł to być zaczątek uśmiechu. - Choć z powodów, które wymieniłem, zrobienie tego nie sprawiłoby mi żadnego problemu. Lecz złożyłem jeszcze jeden ślub, i jest on zdecydowanie bardziej kłopotliwy niż ślub czystości.

- Co to za ślub?
- Posłuszeństwa. Kiedy wstąpiłem do Zakonu, ślubowałem je papieżowi, a zarazem - Kościołowi. Komu mam teraz być posłuszny? Papieżowi i Kościołowi, który wyparł się Zakonu i go poniżył wyłącznie dla własnej korzyści i z namowy chciwego despoty, który nazywa się królem Francji? Co za aroganckie bzdury! Co to za Francja, o której mówi? To małe terytorium na północy ziem, które kiedyś były Galią. Lecz jego złudzenia każą mu myśleć, że to jakaś wielka kraina, i chce potwierdzić swoje szalone pomysły, przejmując kontrolę nad Flandrią, Normandią, Bretanią, Andegawenią, Poitou, Burgundią

i Akwitania. Wraz z tymi chełpliwymi roszczeniami do wielkości przekupił papieża i nagiął wolę Kościoła do swoich skrzywionych ambicji. - Uniósł dłoń, podkreślając następne słowa. - Księża powiedzą ci, że ślub to ślub. Dlatego też, kierując się posłuszeństwem, powinienem wydać siebie i moich braci na łaskę inkwizycji... Jessie, przysięgam ci na życie, że wolę płonąć w piekle za to, co nazywają moją grzeszną dumą, niż poddać się tym ludziom, których uważam za plugawych. Jestem więc skazany na potępienie przez własną dumę i upór, sam na sam ze swoim honorem. Utrata czystości nie przysporzyłaby mi ani chwili zmartwienia, gdybym tylko był nią zainteresowany.

Jessie usłyszała jego ostatnią wzmiankę o czystości, lecz choć wydała się jej ona zdumiewająca i cyniczna, zdała sobie sprawę, że to nic w porównaniu z innymi, bardziej zasadniczymi zmianami, które dostrzegała w siedzącym przy niej mężczyźnie.

-Wielce się zmieniłeś od naszej ostatniej rozmowy, sir Williamie. - Dotarło do niej, jak oficjalnie się do niego zwróciła, lecz on sprawiał wrażenie, jakby nie był tego świadom: patrzył zmrużonymi oczami w buzujący ogień. — Ledwie mogę...

- Wielce się zmieniłem? - Głęboko z jego gardła wydostał się stłumiony odgłos gorzkiej kpiny z samego siebie. - Wielce się zmienię... Ano, zapewne musi ci się tak wydawać, upłynęło tyle czasu. Mam wrażenie, że lata lecą ostatnio szybciej, lecz efekty ich przemijania zostają z nami. - Wstał raptownie i podszedł do ognia, opierając się o gzyms nad kominkiem na wyciągniętej ręce i mówiąc do płomieni. - Wcale się nie zmieniłem, Jessie, ani odrobinę, ale cały świat, w którym żyłem, zmienił się dookoła mnie i czuję się wykorzeniony. Mam swoje obowiązki i wypełniam je najlepiej jak potrafię. Mam swój honor i wierzenia i jestem im wierny. Lecz wszelkie powinności, które kiedyś były moje, skurczyły się do jednej małej sfery: chronienia bractwa na Arran.

Ponownie się do niej odwrócił, z krzywym, niechętnym uśmiechem na twarzy, choć natychmiast dostrzegła, jak smutne są jego oczy.

— Zmiany, o których mówiłaś, wymusił świat, a dokładnie sposób, w jaki potraktował mnie i moich ludzi. To zmiany w moim sposobie myślenia i postrzegania rzeczy, których nie mogę zlekceważyć. Zmiany w tym, co myślę o zachłannych królach i sprzedajnych księżach, a także co myślę o tym, do czego popycha ich

niezmierzona żądza władzy, czy to nad duszami ludzi, czy nad samymi poddanymi i ich majątkiem. Lecz jeszcze większe, jak myślę, są przemiany, które zauważam w sposobie, w jaki ludzie narzucają moralność i rozrządzają nią, grożąc niezadowolaniem Boga, tak aby pasowała ona do ich podłych kaprysów... nie myśląc wcale o Bogu, w którego imię tak się

hańbią. Wyrzekłem się więc ich wszystkich i wszystkiego, co reprezentują. - Wzruszył ramionami, wykrzywiając usta. - Jeśli to właśnie starożytni nazywali hybris, grzechem pychy, niech tak będzie. Lecz ja wiem, w co wierzę, i nie przyjmuję do wiadomości, że Bóg dostrzeże w moich wierzeniach czy zachowaniu wiele złego. Jeśli chodzi o resztę... żaden grzeszny ksiądz nigdy już nie będzie miał prawa tłumaczyć mi, czym jest grzech. - Wyszczrzył zęby. - Jedyne wyjątki zrobię dla księży w Szkocji, którzy balansują na granicy potępienia wraz ze swoim królem, ludzi takich, jak Davie Moray, którego mimo jego stanowiska nie uważam za księdza.

Jessie nie odpowiedziała, pogrążona w myślach, siedząc ze spuszczoną głową. Will przyglądał się jej, prostej linii przedziałka przebiegającej przez jej włosy, a kiedy nie ruszyła się, aby podnieść na niego wzrok, odchrząknął.

- O czym myślisz? Westchnęła i wyprostowała się.

- O twojej obcej, nowej krainie. Kiedy się tam udasz?

Nabrał głęboko powietrza.

- Nie tak szybko, jak bym chciał. Mam przedtem dużo pracy.

Teraz spojrzała na niego.

- Jakiej pracy?

- Budowania i napraw okrętów. Ten, który wrócił, był zniszczony ponad wszelkie granice. Zanim ruszył w drogę powrotną na Arran, podreperowano go, jak to było tylko możliwe bez odpowiednich narzędzi. Mieszkańcy tamtego łądu nie potrafią budować okrętów. Boją się morza. Pływają jedynie w wydrążonych kłodach, po wodach śródlądowych. To nieporęczne i niebezpieczne łodzie. Bez stali, żelaza i umiejętności kucia metalu miejscowi nie mogą ścinać drzew, lecz muszą czekać, aż przewrócą się one same. Nie potrafią też rozcinać kłód ani robić desek, nie mają więc okrętów. Wśród naszych ludzi byli tacy budowniczowie, ale nie było możliwości wytworzenia nowych narzędzi, a zatem nie mogli nauczyć innych, jak używać tych

niewielu, które mieli ze sobą. Całe wysiłki skupili więc na naprawie jedyne go okrętu, który wciąż był zdalny do żeglugi, z nadzieją, że dopłyną nim do domu. Przetrwał, ale z ledwością. Opowieści, które sły szałem o napotkanych przez nich sztormach, sprawiały wrażenie niewiarygodnych, lecz zobaczyłem, jakie poczyniły szkody. - Pokręcił głową na to wspomnienie. - Potrzebujemy więc nowych okrętów, na tyle mocnych, aby przetrwały burze na oceanie. To potrwa latami i będzie wymagało większej ilości materiałów, niż mamy. Na Arran nie rosną dęby.

- Co zatem zrobicie?

Will uśmiechnął się niewesoło.

- Chyba znajdziemy je gdzie indziej. Nie przemyślałem tego jeszcze... Tak naprawdę nie miałem czasu, aby przyjąć do wiadomości ogrom tej myśli.

- A jeśli znajdziecie takie drzewa, masz ludzi, którzy potrafią zbudować okręty?

- Tak, przynajmniej ich mamy dość, a ci wyszkolą następnych. Lecz to potrwa.

- Jak długo?

- Tak długo, jak długi jest kawałek liny. - Uśmiechnął się na widok jej zmarszczonego czoła. - Nie potrafię ci tego powiedzieć, pani... trzy, może cztery lata, jeśli będziemy mieli szczęście.

- Jessie. Nazywaj mnie Jessie. Jestem twoją przyjaciółką, Will, nie panią. Nie możesz po prostu kupić nowych okrętów? Nie brak wam pieniędzy, prawda?

- Nie, nie brak. Ale to nie... - Urwał, przechylając głowę i myśląc o jej słowach. Zauważyła, jak jego twarz zmienia wyraz. — Już miałem z ciebie zakpić, lecz to świetny pomysł. Nie przyszedł mi do głowy. Kupić nowe okręty... Musielibyśmy udać się do Genui.

- Do Genui! Dlaczego tam?

Will znów się uśmiechnął, nagle ożywiony, a Jessie ten nowy widok sprawił wiele przyjemności.

- Ponieważ budują tam najlepsze okręty na całym świecie, i to od czasów rzymskich. Do niedawna budowali wszystkie okręty templariuszy, zarówno galery, jak i statki handlowe. Może nawet mają jakieś, które czekają na sprzedaż, skoro Zakon już ich nie potrzebuje... tyle że właśnie ich potrzebuje, tu i teraz. - Twarz mu pociemniała. - Lecz to

może nas kosztować całe złoto, jakie mamy, a nawet więcej. Nie mam pojęcia, ile kosztuje taki okręt, lecz suma ta na pewno jest ogromna.

- Kto mógłby to wiedzieć?

- Hmm. Seneszał Zakonu lub główny sukiennik. Wszystkie takie koszta muszą być... musiały być... kierowane przez ich urzędy i zatwierdzone przez nich. Lecz seneszał tkwi w jednym z więzień Filipa, a sukiennik, sir Filip Estinguay, podobno zmarł wskutek tortur zadanych mu przez księży. Może wiedzą ich podwładni, lecz wszyscy się rozproszyli i zniknęli jak dym na wietrze. A zatem będę musiał dowiedzieć się tego sam. Jedno jest pewne: jeśli stać nas na nie, zapłacimy nawet wszystkie nasze pieniądze, ponieważ nie będziemy ich potrzebowali w nowej krainie.

Ktoś' zapukał, a Will machnął ręką, nakazując tym gestem ciszę; drzwi uchyliły się, ukazując brata Mateusza z twarzą zapuchniętą od snu. Zamrugał na Willa i zwrócił się do Jessie:

- Pani, czy chłopiec wciąż śpi?

Jakby w odpowiedzi na to pytanie zza parawanu rozległo się stłumione stęknienie, które oznaczało, że młody Henryk się ocknął, a dotychczasowy spokój panujący w komnacie zniknął na chwilę, kiedy wszyscy poszli go doglądać.

Następnego ranka, przed s'witem, z braku lepszego zajęcia, które pozwoliłoby mu nie myśleć o stanie zdrowia Henryka, Will chwycił łuk, włócznię oraz kołczan pełen strzał i poszedł polować w towarzystwie dwóch serwientów. Poprzedniego dnia wieczerał z Jessie, lecz nie mieli już okazji na chwilę samotności, ponieważ otaczali ich inni. Mówili więc o zwykłych rzeczach, biorąc udział w rozmowach i śmiechu towarzyszy. Tylko raz, na początku kolacji, nachyliła się do niego i powiedziała, że żałuje, iż przerwano im wcześniejszą rozmowę, i że chce ją kontynuować.

Will z radością i zaskoczeniem odkrył, że przyjemnie spędził wieczór i że do pewnego stopnia przyjemna była też nowość w postaci towarzystwa kobiet - w sumie ośmiu - po tylu latach spędzonych wyłącznie wśród mężczyzn. Cztery z nich były żonami lenników Jessie, pospolitymi, lecz miłymi chłopkami, które baronowa zaprosiła do domu wraz z ich mężami pod wpływem figlarnego kaprysu. Will złapał ją na tym, że mu się przygląda i uśmiecha ukradkiem, kiedy któraś z kobiet się do niego zwracała, i w pewnej chwili zaczął podejrzewać, czego wypatruje. Ta świadomość nie zirytowała go, jak stałoby się ledwie kilka miesięcy temu, lecz tylko rozbawiła, i wczuł się w nastrój wesołości, której dostarczało jej ewidentnie obserwowanie go. Jednak mimo postanowienia, że będzie mniej surowy, trudno mu było porzucić długie lata nawyków, a jego dezaprobata dla kobiecego towarzystwa była zbyt głęboko zakorzeniona, aby mógł się jej łatwo pozbyć. Konwersacja kobiet zrobiła na nim wrażenie czerzej, trywialnej i często nieprzyjemnie dociekliwej i osobistej; przerywały ją również dość niepokojące wybuchy spontanicznego śmiechu. Mimo wszystko

Will wytrwał, choć policzki bolały go czasem od uśmiechów, a kiedy było już po wszystkim, z chęcią poszedł za Hektorem, który pokazał mu, gdzie może udać się na spoczynek.

Spał smacznie, lecz obudził się w zupełnych ciemnościach ze wspomnieniem tego, jak Jessie mówiła mu, że jej ludzie nie mogą ostatnio polować z powodu choroby, która szerzyła się po jej ziemiach, więc prawie nie mieli już świeżego mięsa. Postanowił więc udać się na polowanie.

Kiedy nadszedł późny ranek, jeden z serwientów, małomówny Burgundczyk Bernet, zdążył już zabić pięknego, młodego jelenia długim strzałem z kuszy, któremu - jak wiedział Will - nie sposób byłoby dorównać. Wkrótce potem, kiedy nieśli oprawione zwierzę z powrotem do miejsca, gdzie uwiązali konie, natknęli się na ryjącego dzika, który natychmiast ich zaatakował bez żadnych wstępów. Bernet i jego towarzysze nieśli tuszę jelenia i nie zdążyli zrobić nic poza upuszczeniem ścierwa i próbą wyciągnięcia mieczy, a wściekłe zwierzę dopadło ich, zanim byli gotowi na starcie. Will niósł wszystkie trzy włócznie i ledwie miał czas oraz przytomność umysłu, aby puścić dwie z nich, a trzecią chwycić mocno obiema rękami, opaść na kolano i wbić nasadę włóczni w ziemię, trzymając ją w miejscu jedną ręką, a drugą nakierowując grot na atakującą bestię, krzycząc, aby przyciągnąć uwagę dzika. Ten nie zwrócił na Willa uwagi, pędząc prosto na Berneta i trzymając się z daleka od zasięgu włóczni, lecz z jakiegoś niezgłębionego powodu postanowił po drodze zatrzymać się i dorwać do zakrwawionego jelenia, dając Bernetowi czas na odskoczenie i wyrwanie z pochwy miecza, podczas gdy Will zerwał się na nogi i cisnął ciężką włócznią. Nie miał czasu, aby starannie wycelować, lecz dzik był dość wielki, a Will dość blisko, aby nie chybić. Wyposażone w zadziory ostrze wbiło się głęboko w bok dzika, sprawiając, że na mgnienie oka stracił równowagę, po czym jego świńskie oczka utkwiły w Willu jako przyczynie bólu; rzucił się w jego stronę, ciągnąc za sobą ciężką włócznią, jakby nic nie ważyła. Will zdążył już jednak wtedy chwycić drugą włócznią i właściwie ją ustawić, a rozwścieczona bestia ruszyła prosto na nią, kłapiąc szczęką w stronę szerokiego grotu, nadziewając się nań otwartą paszczą z całym impetem i przebijając ostrze przez własny kręgosłup.

Kiedy trzech mężczyzn odzyskali dech, uznali, że mają dość polowa-

nia jak na jeden dzień; serwienci zajęli się sprawianiem dzika, a Will poszedł po konie, aby objuczyć je świeżym mięsem.

Wrócili przed południem i zanieśli mięso prosto do kuchni, gdzie zastali wizytującego księdza siedzącego przy kominku i pałaszującego gulasz, który został z poprzedniego wieczora. Widząc Willa, ksiądz odstawił miskę i wstał, pytając go, czy jest rycerzem Williamem Sinclairem. Ten potwierdził, a duchowny powiedział mu, że Balmyle czeka na niego w Saint Andrews, lecz prosi, aby sir William udał się tam bezzwłocznie, ponieważ sprawy króla są niezwykle pilne, a Balmyle musi jak najszybciej wyjechać na spotkanie z opatem Arbroath.

Will wysłuchał go z grymasem na twarzy, myśląc, że gdyby tylko wiedział, iż posłaniec nadjeżdża, zostawiłby przy sobie Tama i Mungo. Musieli się minąć. Teraz czekała go podróż przez nieznane ziemie ledwie z dwoma ludźmi, podczas gdy byłiby znacznie bezpieczniejsi w pięciu. Podziękował księdzu za dostarczenie wezwania i szybko sam zjadł miskę gulaszu, ponieważ od wielu godzin nie miał nic w ustach, po czym zostawił serwientów z wdzięcznym kucharzem, każąc im przygotować jego konia i siebie samych w ciągu godziny. Poszedł szukać Jessie i dowiedzieć się czegoś o zdrowiu Henryka.

Jak powiedział mu troskliwy brat Mateusz - którego Will znalazł w pokoju chorego po krótkich, nieudanych poszukiwaniach Jessie - Henryk miał się dobrze. Mnich wziął go na stronę i powiedział cicho, najwyraźniej aby nie przeszkadzać śpiącemu podopiecznemu, że chłopiec smacznie przespał noc. Oczyszczono jego ranę i zmieniono opatrunek poprzedniego wieczora i tego ranka, kiedy się obudził, a brat Mateusz był zadowolony, ponieważ na bandażach nie było ropy. Rana wciąż krwawiła, lecz tylko lekko, a zaczerwienienie dookoła niej widocznie zmalało, co znaczyło, że zagrożenie zakażeniem i chorobą znacznie się zmniejszyło.

- Dalej śpi po przespanej nocy - mruknął Will do mnicha. - Czy to nie dziwne?

- Nie w tym przypadku. To oznacza, że zdrowieje. Gdyby było inaczej, oznaczałoby to, że rana sprawia mu ból, a on jeszcze nie dochodzi do siebie. - Mnich uśmiechnął się krzywo. - Jak powiedziałem wczoraj baronowej, sen jest największym uzdrowicielem.

Will kiwnął głową.

- Niech tak zatem będzie. Uwierzę ci na słowo i zaoferuję w za-

mian moją wdzięczność. - Wyciągnął /, sakwy mały woreczek monet i rzucił go mnichowi, który złapał go zręcznie i zważył nieznacznie w dłoni, uśmiechając się w podzięce. - A teraz muszę ruszać. Wiesz może, gdzie znajdę baronową?

Brat Mateusz uniósł wysoko brwi i pokręcił głową.

- Nie, sir Williamie, nie wiem. Widziałem ją wcześniej. Ona też przyszła zapytać o zdrowie chłopca, lecz nie mam pojęcia, gdzie poszła potem.

- No cóż, muszę się z nią pożegnać. Powiedz chłopcu, jeśli się kiedykolwiek obudzi, że ma tu zostać i odzyskać siły. Wróć po niego, kiedy wyzdrowieje. *Adieu, monfrere.*

Usłyszał, że Jessie go woła, kiedy tylko wyszedł na dziedziniec, i zobaczył, jak przygląda mu się z pobliza bramy; towarzyszyły jej dwie służki i bratanica. Jak i one opierała o biodro wielki wiklinowy kosz, podtrzymując go wyprostowaną ręką.

- Słyszałam, że jestem twoją dłużniczką, sir Williamie - zawołała - ponieważ uzupełniłeś nasze zapasy. Przejdziesz się z nami?

Podszedł do niej szybko i skłonił się wszystkim czterem kobietom, po czym odparł:

- Obawiam się, że nie mogę, pani. Wezwano mnie, abym pospieszył do Saint Andrews, gdzie czeka na mnie mistrz Balmyle. Muszę ruszać w ciągu godziny.

- Tak szybko? Jaka szkoda. - Przechyliła głowę. - Zakładam, że odwiedziłeś młodego Henryka? Brat Mateusz mówi, że ma się dobrze.

- Tak, dzięki Bogu, na to wygląda.

- Chcę ci coś pokazać. Możesz poświęcić mi chwilę? To nie potrwa długo. - Will znów się skłonił, a ona odstawiła kosz, wypychając go biodrem i pozwalając mu opaść ciężko na ziemię, po czym zwróciła się do pozostałych:

- Zaczynicie beze mnie. Wkrótce przyjdę.

Pokiwała na Willa palcem, a on poszedł za nią do długiego, niskiego budynku o grubych ścianach z kamienia, który wyglądał i pachniał jak przystało na jego funkcję: była to obora. Wchodząc, Will musiał pochylić głowę, aby się nie uderzyć, lecz za drzwiami miał już dość miejsca na wyprostowanie się. Przegrody były puste; bydło już dawno wyprowadzono na pola, a wąski rynsztok biegnący pośrodku niedaw-

no wyczyszczono. Kamienną podłogę także zamieciono i przykryto świeżą słomą, a w prawym rogu widniało porządne drewniane podwyższenie, zastawione po krokwie schludnymi belami siana. Przez otwarte drzwi na drugim końcu obory wpadało oślepiające światło letniego słońca, zatapiając boczne przegrody w cieniu. Will mrugał, aż przywykły do skrzącego się od pyłków światła i ciemności, a potem spojrział w bok, na Jessie.

- Przeprowadziłaś mnie, abym to zobaczył? - Jego ton był żartobliwy. - To obora. W Andegawenii też je mamy.

- Chodź. - Nie zareagowała na jego kpinę, lecz poprowadziła w stronę beli siana w rogu, a on poszedł posłusznie za nią, wskazując zwinnie na podwyższenie. Wskazała palcem bele. - Możesz je przesunąć? Nie wszystkie, te w środku. Tam są widły.

Will był zadowolony, lecz bez słowa podniósł ciężkie widły i wbił je w górną belę.

- Gdzie mam ją dać?

- Na podłogę. Potem ułożymy je z powrotem.

Przez kilka chwil pracował ciężko i w milczeniu, a potem dostrzegł, czego szukali. Pod sianem była długa, wąska skrzynia z drewna, którą od razu poznał.

-Wyciągnij ją, ale ostrożnie. Wpychaliśmy ją na miejsce we czworo.

Will kucnął i złapał obiema rękami uchwyt z grubej liny zamocowany na jednym końcu skrzyni. Wziął kilka głębokich oddechów, a później pociągnął miarowo, pracując mięśniami ud i trzymając plecy prosto. Uniósł z ziemi przednią krawędź i powłókł skrzynię w swoją stronę; ruszyła się opornie, szorując po podłodze, aż mógł ją znów położyć.

Wyprostował się powoli, dysząc ciężko i ocierając wierzchem dłoni pot z czoła.

- Ciężkie, pani.... Nawet nie muszę pytać, co zawiera... Część skarbu, który przywiozłaś królowi Robertowi?

-Tak, moja część. Pomyślałam, że ją ukryję. Przyda się w razie jakiejś nagłej potrzeby. Król ma całą resztę. Otwórz ją.

- Nie muszę. Zawiera sakwy złotych monet. Sądząc po jej ciężarze, to oczywiste.

- Jak myślisz ile?

Spojrzał na kufer, szturchając go butem. Był szeroki na pięćdziesiąt cali, a Will ocenił, że jego ścianki mają po pół cala. Wysoki był na półtorej tej miary, a długi na trzy. Podrapał się w brodę, usiłując wyobrazić sobie rozmiar i ciężar sakw, które mogły się w nim zmieścić. W końcu kiwnął głową.

- Cztery sakwy, każda szeroka na pół stopy... Cztery ciężkie sakwy.

- Otwórz ją więc. Oto klucz.

Naoliwiona kłódka otworzyła się z łatwością, a podniósłszy pokrywę, Will nabrał głęboko powietrza i znieruchomiał, oniemiały.

- Widzisz? Pomyliłeś się o cztery.

- Dobry Boże! Nic dziwnego, że była taka ciężka.

W skrzyni nie było sakw. Wypakowano ją po brzegi warstwami starannie owiniętych w materiał tub, zapieczętowanych na obu końcach lakiem. Jedną z tub na wierzchu ktoś naciął wzdłuż ostrą klingą, a przez szparę widać było przytłumiony blask złota. Will kucnął obok, podtrzymując pokrywę i usiłując oszacować zawartość skrzyni.

- Złote bezanty - szepnęła Jessie, nachylając się blisko, aby przyręczyć się wraz z nim. - Pięćdziesiąt bezantów w każdej tubie, piętnaście tub w każdej warstwie, pięć warstw. Nie liczyłam ich, lecz mam sumę w piśmie autorstwa Żyda Jeszui Bar Symeona z Beziers. Był uczciwym i skrupulatnym człowiekiem. Etienne nie mógł znaleźć lepszego i bardziej godnego zaufania współnika... I pomyśleć, że nikt nie wiedział o ich interesach, choć tak dobrze im się powodziło...

Will wciąż gapił się do wnętrza skrzyni.

- Słyszałem te liczby, lecz ile wynosi suma? To zbyt wiele jak na moją prostą głowę.

-Trzy tysiące siedemset pięćdziesiąt bezantów.

- Trzy tysiące... Wielki Boże w niebiosach... Ile są warte? Co najmniej pięć srebrnych szkockich marek za jeden.

- Raczej dziesięć, a może i więcej.

-A było jeszcze pięć takich skrzyń... Te, które dałaś królowi...

1 pięć srebra.

- Prawda, lecz te pięć nie było tak wypakowanych jak ta i nie było to samo złoto. Co najmniej trzy zawierały srebrne monety przemieszane ze złotymi, a we dwóch były srebrne sztaby. Ostatnia i największa zawierała złoto i srebro w sakwach.

Odwrócił na nią wzrok.

- Dlaczego zatrzymałaś właśnie tę?

Uniosła dłonie niemal bezbronnym gestem.

- Ponieważ należała do Bar Symeona. Była jego, nie związana z jego przedsięwzięciem z Etienne'em. Nie miał rodziny, a wiedząc, że umiera, uporządkował swoje sprawy i zostawił tę skrzynię Etienne'owi, któremu niezmiernie ufał. Mam list, który do niej dołączył, znaleziony wśród dokumentów przekazanych mi przez sir Karola. Wydaje mi się zatem, że w jakiś sposób miała ona bardziej osobiste znaczenie: był to przedśmiertny dar starego człowieka dla biednego Etienne'a, który już nie żył... Więc ją zatrzymałam. Pomyślałam, że jeśli król otrzyma dziesięć części skarbu, nie pożałuje mi jedenastej, a to, że ważyła więcej niż inne, było zbiegiem okoliczności... Wtedy nie wiedziałam, co zawiera. Odkryłam to dopiero później, kiedy przeczytałam wszystkie dokumenty. Poza tym nie miałam wtedy pomysłu, co z nią zrobić. Mogłabym ją przechować na wypadek kolejnej potrzeby... króla, oczywiście. Pieniądze, które ma się pod ręką, zazwyczaj od razu się wydaje. Uznałam, że może nadejść czas, kiedy dodatkowe fundusze mogą się przydać.

- Przydać? - Will pokręcił głową z niedowierzaniem. - Jessie, ta skrzynia mogłaby wykupić całe królestwo. Zawiera więcej kruszcu, niż wywiozłem z La Rochelle... znacznie więcej.

Uśmiechnęła się, błyskając mocnymi, białymi zębami.

- Może i tak. Może faktycznie, jeśli tak mówisz, można byłoby za to wykupić królestwo. Lecz skoro król jest w Anglii i zbiera fundusze w angielskich miastach i opactwach, królestwo nie powinno tego kruszcu potrzebować. A ja go potrzebuję.

Spojrzał zdziwiony.

- Tak? A do czego? - Odwzajemnił jej uśmiech, klękając na jedno kolano, aby było mu wygodniej. - Masz zamiar kupić sobie własne królestwo? Zostać królową?

- Nie, nie królestwo. Mamy ich dość w świecie chrześcijańskim. Lecz może mogłabym kupić taki okręt, o jakim wczoraj mówiłeś, z Genui. A może i dwa, w zależności od ceny.

- Mogłabyś kupić całą flotę za ten kufer... ale z Genui? Po co ci genueński okręt?

Znów wyszczerzyła zęby, a w jej oczach pojawił się błysk najczystszej figlarności.

- Mogę zrobić to, co zrobił mój świętej pamięci mąż, i pohandlować trochę. Mogłabym też popłynąć w poszukiwaniu jakiegoś nowego ładu za Morzem Zachodnim. - Zobaczyła w jego oczach nagłą konsternację. Szybko zeszywniał, a ona roześmiała się głośno. - Och, Will, potrafisz być czasem taki tępy i przewidywalny. Chciałam kupić okręt dla ciebie... lub flotę, jeśli by się dało.

Rozdziawił usta, a jego rozluźnione palce puściły pokrywę skrzyni, która opadła z hukiem.

-Jesteś zbyt łaskawa, baronowo. Nie mógłbym przyjąć takiego daru. Jest zbyt hojny.

- Bzdury. Oczywiście że mógłbyś i tak zrobisz. Sam powiedziałeś wczoraj wieczorem, że nie będziesz potrzebował pieniędzy tam, gdzie jedziesz. A zatem skrzynia nie przedstawia wartości poza tym, że pozwala na dotarcie do celu... A poza tym to nie dar, to zapłata.

Zmarszczył brwi, nagle podejrzliwy.

- Za co?

- Za to, że zabierzesz mnie i moich ludzi ze sobą do tej nowej krainy.

Znów opadła mu szczęka.

- Jesteś szalona - szepnął.

- Dlaczego? Sądzę, że zachowuję się racjonalnie.

- To nie miejsce dla kobiet, na święty łokieć Boga, nie dla dobrze urodzonej damy.

- Willu Sinclairze, to chyba najgłupsza rzecz, jaką usłyszałam z twoich ust. Weźmiesz ze sobą kobiety, żony twoich podwładnych. Czyż to nie sedno całej wyprawy?

-Tak, ale...

- Żadnych ale, Will. Chcę popłynąć z tobą. Leżałam wczoraj w nocy, godzinami myśląc o całej sprawie, i podjęłam decyzję. Kupię ci flotę lub jej część, jeśli ten kruszec nie wystarczy. W zamian za to zabierzesz mnie do tej Meryki. Przypomniałam sobie nazwę.

Will ruszał ustami, lecz przez chwilę nie wydobył z siebie żadnego dźwięku, aż sfrustrowany ponad wszelką wytrzymałość przeszedł z francuskiego na szkocki.

-Ale... ale, Jessie, jak możesz nawet myśleć o tym, żeby udać się sama do nieznanego świata? Lud jest tam dziki. Nie noszą nawet ubrań, na pewno nie takich jak ty. Nie mają na sobie nic poza skórą i futrami zwierząt.

- Nie tak dawno Duńczycy i Anglicy też je nosili. Odwiedziłeś tutejsze wyżyny? Ludzie biegają tam czasem nago... właściwie to często, a przynajmniej tak słyszałam. Mężczyźni walczą nago i nie cierpią z tego powodu.

- Ale ci ludzie tam, za morzem, są dzicy, nie słyszałaś? To barbarzyńcy... bezbożni.

- Bezbożni barbarzyńcy? Czyli jak szlachetny król Francji, który zabił mojego męża ze zwykłej chciwości, a potem wysłał de Nogareta, aby zabił i mnie z tego samego powodu. Ten sam król, który uważa się za namaszczonego przez Boga, a wygnał was z ojczyzny, żeby zaspokoić swoją żądzę władzy, i którego sługusi teraz torturują, dręczą i zabijają twoich braci. A może masz na myśli angielskiego króla, tego starego, który wieszał wysoko urodzone kobiety nago w klatkach na murach miasta tylko po to, żeby dać upust swojej goryczy? Czyż to nie barbarzyńskie? - Urwała, a potem dodała stanowczo: - A poza tym nie będę sama.

- Czyli ze swoimi kobietami? Ano, ja też to mam na myśli. Kto was tam ochroni, ciebie i twoje służki? Nie masz mężczyzny, Jessie, a potrzebowałabyś silnego i walecznego.

- Będę miała mężczyznę, i to silnego, Willu Sinclairze. Ty nim będziesz.

Wzdrygnął się, jakby go spoliczkowała, i na kilka chwil wlepił w nią oszalały wzrok, po czym złapał się za głowę obiema rękami, zerwał na równe nogi i odwrócił od niej.

- Na imię Chrystusa, kobieto! - ryknął. - Całkiem żeś postradała zmysły? - Lecz potem się zatrzymał, z dłońmi wciąż przyciśniętymi do skroni, a ona zobaczyła, jak uchodzi z niego napięcie, kiedy ponownie okręcił się w jej stronę. Czekala w milczeniu, a on pokręcił głową i pozwoli opuścić dłonie. - Krzyknąłem na ciebie, i to w imię Chrystusa.

- Wiem. - Niemal się uśmiechała. - Słyszałam. Czy to jakiś wyjątkowy rodzaj grzechu dla ciebie?

- Nie... nie, ale... Dzięki temu widzę, jak pochopny i nieszczerzy wobec siebie może być człowiek, kiedy jest zirytowany.

- Nie rozumiem.

- Wiem. Nie możesz rozumieć. Ale to dużo dla mnie znaczy. Myślisz, że ktoś nas słyszał? — Rozejrzał się, jakby spodziewając się wszędzie ujrzyć podsłuchujących, a potem ponownie pokręcił gło-

wą. - Nie mam na to czasu. Powinienem być już daleko stąd. - Westchnął głęboko, a potem znów spojrzął na nią i s'ciszył głos. - Słuchaj no, dziewczyno, zaopiekowałbym się tobą. Nie mam co do tego wątpliwości, gdyby nie mój ślub. Ale to jest po prostu zbyt niebezpieczne, bo niczego tam nie znamy. Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby miało ci się coś stać...

Kiedy znów się odezwała, przemówiła po francusku, a jej głos był tak spokojny jak teraz jego.

- A co, jeśli chodzi o Szkocję? Jak byś się czuł, gdyby coś przydarzyło mi się tutaj? Trwa wojna, a ten dom zbudowano przy drodze z Anglii do Szkocji. Mogę w każdej chwili zginąć we własnym łóżku, zgwałcona i zamordowana przez maszerujących żołnierzy z którejkolwiek strony. Myślisz, że jeśli mnie tu zostawisz i odpłyniesz beze mnie, będę bezpieczna?

- Bez ciebie? Nie myślałem o nas w taki sposób ani razu, zanim o tym wspomniałaś!

-jeśli to prawda, jesteś głupcem, Will. Dobrym człowiekiem, ale jednak głupcem. Spójrz na siebie. Stałeś się okrętem bez żagla, instrumentem bez celu, zdradzonym i oszukanym na każdym kroku przez ludzi, którzy niegodni są spojrzeć ci w oczy. Ale zwolniłeś swoich braci ze ślubu, kiedy przemyślałeś sprawę i uznałeś za uzasadnione. To wymagało umiejętności dowodzenia, zdecydowania. A teraz zawiedziesz ich do innej krainy, innego życia, w poszukiwaniu nowego przeznaczenia. Masz zatem teraz nowy cel. Lecz niepełny, dopóki nie zmienisz samego siebie... Popatrz i posłuchaj mnie, ponieważ wiem, że musisz już jechać.

Nabrała głęboko tchu i wyprostowała się, patrząc mu w oczy.

- Dużo tu dziś powiedzieliśmy, może za dużo, choć w to wątpię. Oto sedno: chcę pomóc ci kupić flotę, a fundusze są tutaj, u twoich stóp. Przemyśl to... Zajmie to wiele czasu i będzie wymagało długich planów. Będziesz potrzebował przedstawiciela w Genui. Moray może ci pomóc, ma wszędzie wiele kontaktów. Tymczasem zastanów się nad tym: zapłacę za tyle okrętów, na ile mi wystarczy. Potem z własnych funduszy załadujesz je i wyposażysz we wszystko, czego będziesz potrzebował w nowej krainie... między innymi w materiał na ubrania.

I zastanów się też nad moją propozycją, Will... mojego towarzystwa i oddania. Nie składam jej lekkomyślnie. Wiem, że trudno będzie ci

o niej nawet myśleć. Lecz spróbuj, Will. Spróbuj dostrzec, co mogłoby się zdarzyć... - Uśmiechnęła się jeszcze raz, łagodnie. - Zrobisz to dla mnie, panie rycerzu?

Gapił się na nią z zasznurowanymi ustami, ściskając prawą dłonią rękojeść swojego miecza. Potem kiwnął głową.

- Ano, zastanowię się nad tym. I jeszcze porozmawiamy... Ale teraz lepiej, żebym ukrył tę skrzynię i odjechał. Jest tu bezpieczna?

— Tak bezpieczna, jak byłaby wszędzie, może poza twoim skarbcem

na Arran. Poczeka tu na ciebie. A teraz spiesz się i jedź. - Odwróciła się, aby odejść, lecz zawahała się i obejrzała na niego. - A kiedy będziesz nad tym rozmyślał, pomyśl też o mnie... ale przychylnie, Willu Sinclairze.

Mruknął, nie mogąc znaleźć na to odpowiedzi, a ona zostawiła go, aby ponownie zagrzebał skrzynię pod sianem.

Biskupi i kardynałowie

Will nigdy wcześniej nie widział Saint Andrews; kiedy wjeżdżał, był pod znacznym wrażeniem, ponieważ nad miastem górowała wielka, nieukończona katedra, w budowie od ponad stu pięćdziesięciu lat. Wiedział, że prace zbliżają się już ku końcowi, a bryła budowli, posadowiona nieopodal brzegu morza, zdawała się dominować nawet nad wielką wieżą św. Regulusa, która położona była blisko i wznosiła się ponad jej iglice. Miasto było główną siedzibą Kościoła katolickiego w Szkocji i można było odnieść wrażenie, że wypełniają je księża wszelkiego autoramentu. Byli tam oczywiście żołnierze, a także mieszczanie, kupcy i ich rodziny, handlarze i zwykli próżniacy, których można było znaleźć w każdym zakątku, lecz głównie rzucała się w oczy obfitość duchownych. Wszędzie kręcili się mnisi i bracia zakonni, księża, opaci i biskupi, zazwyczaj niosąc zwoje pergaminu i przybory do pisania. Will kilkakrotnie nabrał głęboko powietrza, spodziewając się, że poczuje aromat kadzidła.

Dotarcie z Nithsdale zajęło jemu i dwóm serwientom cztery dni ostrej jazdy przy podłej pogodzie; pojechali na północ wzdłuż zachodniego skraju lasu Ettrick do Lanark, a stamtąd do Stirling, gdzie przeprawili się przez rzekę Forth, po czym skręcili na wschód. Słońce ponownie świeciło na wschodnim wybrzeżu, a perspektywa spędzenia nocy w ciepłym łóżku pod szczelnym dachem cieszyła go. Musieli jeszcze tylko znaleźć znośny zajazd.

Znaleźli robiącą wrażenie dostatniej gospodę na szerokiej głównej ulicy przy zachodniej pierzei kościoła św. Regulusa, a Will wprowadził swoich ludzi do środka i załatwił nocleg dla całej trójki oraz miejsce w stajni dla koni. Zapewnił im pobyt, ofiarowując gospodarzowi

srebrną monetę, a potem zdjął kirys i kolczugę, które wraz z tarczą, włócznią oraz hełmem zostawił w komnacie, wiedząc, że będą bezpieczne pod opieką jego dwóch towarzyszy. Mieli oni zająć się końmi, a potem rozgościć we wspólnej kwaterze. Następnie ruszył, aby znaleźć Mikołaja Balmyle'a, ciesząc się tym, że może iść po ulicy nieskrępowany zbroją, choć wciąż miał na sobie pas z orężem.

Skonsternowany rozmiarem i gwarem miasta, a także jednolitymi szeregami wspaniałych budynków z szarego kamienia, szybko zdał sobie sprawę, że nie ma pojęcia, gdzie zacząć poszukiwania; jednak odpowiedź przyniosło pierwsze pytanie, które zadał przechodzącemu zbrojnemu. Ten skierował go do pobliskiej nowej katedry. Na widok jej wielkiej bramy i odzianych w imponujące liberie wartowników od razu pomyślał, że może jest nieodpowiednio ubrany, lecz potem przypomniał sobie strój Daviego Moraya i uznał, że Balmyle nie będzie miał dość czasu, aby zwracać uwagę na to, co ma na sobie wezwany w pośpiechu człowiek.

Przedstawił się strażnikom i spytał, gdzie może znaleźć biskupa, a oni uprzejmie skierowali go do miejsca, gdzie mógł się zgłosić do jednego z duchownych urzędników katedry. Tak też zrobił, a mnich w czarnej szacie poprowadził go szybko przez wiele identycznych korytarzy. W końcu zatrzymali się przed wspaniałymi drzwiami, dwa razy wyższymi niż Will; jego przewodnik zapukał dwukrotnie i otworzył jedno skrzydło, aby Will mógł wejść.

Wielka, przepyszna komnata miała wysokie sklepienie i oświetlona była sięgającymi od podłogi do sufitu przezroczystymi witrażowymi oknami. Podłogę zrobiono z szerokich dębowych klepek, zabójcowanych na czarno, a pośrodku stał potężny stół z tego samego drewna z pulpitem na jednym końcu. Otaczały go identyczne krzesła. Willa natychmiast uderzył chłód panujący w środku; pomieszczenie robiło wrażenie opuszczonego, lecz potem zerknął w prawo i dostrzegł trzech mężczyzn rozmawiających przed wielkim ogniskiem płonącym w kamiennym kominku, który pomieściłby niemały dom. Cała trójka odwróciła się do niego w milczeniu, a on ujrzał ich tylko jako odległe sylwetki, rysujące się na tle płomieni. Zaczął iść w ich stronę. Miał wrażenie, że stoją bardzo daleko i przy każdym kroku go oceniają. Potem jeden z nich ruszył w jego kierunku, wykrzykując słowa powitania, a Will uśmiechnął się z ulgą, poznając Dawida Moraya.

Kiedy Will poczuł rękę Daviego na plecach, jego obawa zniknęła i teraz to on oceniał pozostałych, w miarę jak się do nich zbliżali. Byłego kanclerza nie można było pomylić z nikim innym, a poza tym Will widział go już — choć wtedy się nie poznali — na parlamencie w Ayr, ledwie kilka tygodni wcześniej. Mistrz Balmyle nosił bujną, śnieżno-białą brodę i długie do ramion włosy tego samego koloru, lecz tylko to przełamywało jednolitą czerń jego szat. Miał na sobie długą pelerynę i sutannę przepasaną wstęgą z lśniącego materiału; na jego piersi wisiał na czarnym sznurze krzyż z wypolerowanego, czystego gagatu. Jego towarzysz, choć ubrany znacznie skromniej, jakimś sposobem bez wysiłku promieniował takim samym majestatem. Też odziany był w czerń, lecz jego poplamioną sutannę uszyto z szorstkiej wełny, a rąbek miała podarty. Nie nosił peleryny ani krzyża, więc Will uznał go za zwykłego księdza, choć bez wątplenia wpływowego, skoro obracał się w takim towarzystwie. Robił imponujące wrażenie: był wysoki i wyprostowany, a jego krótko przycięte, siwiejące włosy przerzedzały się na skroniach. Był gładko ogolony i miał przykuwające uwagę, szaroniebieskie oczy, głęboko osadzone po obu stronach ogromnego, kościstego nosa, który przypominał dziób.

Zbliżając się, Will kiwnął mu przyjaźnie głową, po czym skłonił się głęboko Balmyle'owi, któremu należał się szacunek choćby z racji wieku i reputacji.

- Mistrzu Balmyle - powiedział - jestem Will Sinclair. Wybacz moje opóźnienie, lecz przybyłem tak szybko, jak było to możliwe. Mam nadzieję, że mój posłaniec przybył przede mną.

Starzec uśmiechnął się na powitanie i chwycił dłoń Willa obiema rękami.

- Tak - odparł głębokim, dźwięcznym głosem, który zadawał kłam jego podeszłemu wiekowi. - On i jego towarzysz przywieźli wczoraj wieczorem wieść, że jedziesz za nimi, lecz nie spodziewaliśmy się ciebie przed jutrem. Witaj, witaj.

- Przyjechałibyśmy jutro, gdyby nie to, że twój ksiądz odnalazł mnie w Nithsdale i poprosił, abym się pospieszył. Wyruszyłem więc natychmiast i szybko dotarłem.

- Jak ma się twój młody giermek?

- Coraz lepiej, milordzie kanclerzu. Zostawiłem go pod opieką baronowej Saint Valery.

- Ach, wspaniała kobieta. Lecz nie jestem już kanclerzem, i to od wielu lat. Jedynym moim tytułem jest teraz zwykły mistrz Mikołaj. - Odwrócił się do chudego księdza w brudnej sutannie. - To ów rycerz, o którym tyle słyszałeś, panie, i cieszę się, że jesteś tu i możesz go poznać.

Panie...? Zanim Will zdążył powściągnąć zaskoczenie, Balmyle znów się odezwał:

- Sir Williamie Sinclairze, pozwól, że przedstawię cię Jego Eks celencji Williamowi Lamberttonowi, arcybiskupowi Saint Andrews i prymasowi królestwa.

Znów! Znów uciekł z niewoli!

Lamberton się uśmiechnął, a jego surowa, szczupła twarz wypiękniała i rozjaśniła się, kiedy wyciągnął do Willa rękę. Sinclair był tak zaskoczony, że złapał się na tym, iż już się pochyla, aby ucałować biskupi pierścień. Zawahał się, dziwiąc się samemu sobie, ponieważ nigdy wcześniej z własnej woli nie ucałował pierścienia żadnego biskupa, lecz widząc ten promienny uśmiech na udręczonej twarzy, pochylił się i zrobił to mimo wszystko, bardziej oddając cześć człowiekowi niż jego pozycji.

Arcybiskup chwycił go ciepło za rękę i uściskał ją, a potem odezwał się w płynnej mowie z Andegawenii, byłego domu Willa:

- Dziękuję za troskę. - Wciąż się uśmiechał.

- Troskę, panie?

Jaśniejący uśmiech jeszcze się poszerzył.

- O moją nieśmiertelną duszę, w kwestii tego, że wyrwałem się z więzienia.

Will poczuł, że zalewa się rumieńcem.

- Panie, nie miałem...

- Zobaczyłem to w twoich oczach, synu. - Lambertton spoważniał. - Musiałem zbadać wagę moich grzechów i przeciwstawić tymczasowe opuszczenie niewoli zaniedbaniu obowiązków wobec Kościoła, króla i królestwa. Wyjazd okazał się wtedy drobnym kłamstwem, wybaczalnym grzechem, z którym potrafię żyć. Alternatywa była znacznie poważniejsza. Znalazłem się więc tutaj, aby się z tobą spotkać.

- Spotkać się ze mną? - Zmieszanie sprawiło, że Will mówił bardziej szczerze niż zazwyczaj. - Dlaczego miałbyś chcieć się ze mną

spotkać? Oczywiście jestem zaszczycony, będąc tutaj, lecz w jakim celu? Jestem zwykłym rycerzem. Żyję w zapomnieniu i nie mam ochoty mieszać się w sprawy państwowe. W rzeczy samej, nie mogę tego zrobić, ponieważ złożyłem ślub, iż nigdy nie ugnę kolan przed żadnym królem.

Lamberton znów się uśmiechnął, zerkając tym razem na Balmyle'a i Moraya.

- Właśnie dlatego chciałem cię poznać - rzekł. - Z powodu tego, kim jesteś. Oto zatem jesteśmy, stojąc, choć moglibyśmy siedzieć, i poszcząc, choć moglibyśmy się posilić. Davie, możesz posłać jednego z braci po napitek i strawę dla nas? Usiądziemy po tej stronie stołu, najbliżej ognia. Pójdź, sir Williamie.

Kiedy Will rozpiął pas i odłożył go wraz z zawieszonym u niego orężem na drugim końcu stołu, arcybiskup zapytał go:

- Czy miałbyś coś przeciwko temu, abym nazywał cię Willem, sir Williamie?

- Nie, panie, oczywiście że nie.

- Dobrze, tak zatem zrobię. To dobre imię: było moim własnym, zanim rozwinęto je do „Williamia”, a potem do „arcybiskupa” i „pana”. W zamian za to ty możesz mówić mi po imieniu.

Will uśmiechnął się nieznacznie.

- To nie będzie łatwe, panie. Twoja sława i reputacja to utrudnia. Równie dobrze mógłbym mówić do Jego Miłości „Rob”.

Prymas uniósł brwi.

- Dlaczego miałbyś tego nie robić? Nie obraziłby się. Dowiodłeś, że jesteś zbyt dobrym przyjacielem i człowiekiem zbyt godnym szacunku, aby miał źle przyjąć taki drobiazg. Nazywaj mnie zatem Williamem.

- A mnie Mikołajem - powiedział Balmyle, zajmując miejsce naprzeciwko Willa. - Zasłużyłeś na to prawo; kiedy już we czterech opuścimy to miejsce, może będziesz miał dla nas bardziej srogie imiona.

- Tak? Dlaczego? - Will zmrużył oczy.

Wrócił Moray, wydawszy rozkazy, i przeniósł wzrok z Willa na swoich towarzyszy.

- Coś mnie ominęło? Wszyscy wyglądacie na niezmiernie ponurych.

- Młody Will słusznie martwi się, czego możemy od niego oczeki-

wać - rzekł Balmyle - ponieważ nie słyszał jeszcze o żadnych powo-
dach, dla których go wezwaliśmy. Właśnie mieliśmy o tym pomówić,
kiedy wróciłeś.

- Aha! No cóż, to mówcie, zanim przyniosą nam jedzenie. Będę
tylko słuchał i pomrukiwał od czasu do czasu, żebyście wiedzieli, że
nie śpię. Obaj znacie moje zdanie na ten temat. - Skrzyżował ramiona
na piersi i zapadł się w krzesło, moszcząc się w nim, aż zrobiło mu się
możliwie najwygodniej.

Pierwszy raz Will widział de Moraya w szatach biskupich, bez
oreża. Ze zdumieniem spostrzegł, że biskup jest mniej korpulentny, niż
mu się wcześniej wydawało. Miał potężne ramiona, płaski brzuch i
mocny tors. Wyglądało na to, że jest w szczytowej formie.

- A zatem - powiedział cicho arcybiskup - zaczniemy?

Jednak kiedy tylko zadał to pytanie, otworzyły się drzwi i do kom-
naty weszła kolumna służących z ciężkimi tacami jadła i napitkiem.

- Szybko poszło - zauważył Balmyle.

Jedzenie było obfite i gorące - mimo popołudniowej pory podano
pełną wieczerzę; chleb był świeżo upieczony i miał chrupiącą skórkę, a
piwo uwarzone w podziemiach samej katedry, których używano od
dziesięcioleci w oczekiwaniu na zakończenie budowy dachu i fasady.
Will poczęstował się pieczoną wieprzowiną z chrupiącą, aromatyczną
skórką, a potem świeżymi malinami i jeżynami oraz mocno
pachnącym, tłustym serem. Pochłonął swój posiłek, świadom, że jego
współbiedniacy jedzą z równym zapałem. Lamberton także wybrał
wieprzowinę, a de Moray pożarł pieczoną kaczkę faszerowaną jabłka-
mi, okruchami chleba i siekanymi jagodami. Balmyle - może z racji
podeszłego wieku - jadł skromnie, ograniczając się do jagód, chleba i
sera; pił też przyniesione specjalnie dla niego mleko, a nie piwo, jak
reszta.

Arcybiskup jadł najwolniej, lecz w końcu odepchnął drewniany
półmisek, zauważył, że inni skończyli, i wezwał gospodarza, aby
uprzątnął po posiłku. Ten dał znak swoim podwładnym, którzy zniknęli
już po chwili, jak wydawało się Willowi, a on sam wytarł stół czystą
szmatką i wyszedł, zostawiając czterech mężczyzn z ich napitkiem.

Kiedy za mnichami zamknęły się drzwi, przez chwilę jeszcze pa-
nowała cisza, arcybiskup Lamberton zaś rozparł się z zadowoleniem

w krześle, podnosząc kufel do ust, choć nie upił z niego wiele. Odstawił naczynie na stół i spojrzął na Willa.

- Zaczniemy więc. Powiedziałeś, że ślubowałeś, iż nigdy nie klękiesz przed żadnym królem, czy tak?

Will zmarszczył brwi, zastanawiając się, do czego to prowadzi.

- Zgadza się.

- A komu złożyłeś tę przysięgę?

- Naszemu wielkiemu mistrzowi. Miałem osiemnaście lat i kieruję się nią od ponad czterdziestu.

Arcybiskup pokiwał głową.

- Wybacz mi pytania, które muszę zadać, ponieważ nie ma w nich ani śladu osądu czy potępienia. W czyje imię złożyłeś przysięgę?

- W imię Boga.

- Ale poza tym, bowiem każda przysięga składana jest Bogu. W czyje doczesne imię ją złożyłeś?

- W imię mistrza naszego Zakonu.

- Tak. A przez niego papieżowi, czyż nie?

Will kiwnął jedynie głową.

- Czy kiedykolwiek się spodziewałeś, co nastąpi? Że twój Zakon zostanie postawiony w stan oskarżenia, a bracia obłożeni ekskomuniką? - Podniósł oczy, aby zobaczyć reakcję Willa.

- Nie, panie - powiedział Will, walcząc o zachowanie kamiennej twarzy. - Taka myśl nigdy nawet nie przeszła mi przez głowę.

- Dlaczego nie?

Will odpowiedział powoli, spokojnie, wbijając paznokcie w skórę zaciśniętych pod stołem pięści:

- Ponieważ zanim ten bluźnierczy, haniebny pomysł wylał się ze ścieków, które mają zamiast umysłów służalczy zauszniczy króla Francji, nic takiego nie byłoby możliwe. Zakon przez prawie dwieście lat pełnił rolę orędownika Kościoła i głównej chrześcijańskiej siły w Ziemi Świętej, która nigdy nie zawiodła pod względem swojego oddania. Jego historia była bez zarzutu, a reputacja i prawość nieposzlakowane. Lecz stał się zbyt potężny, zbyt bogaty, był zbyt wielkim celem, aby zachłanny sęp, taki jak Filip, mógł się oprzeć... - Urwał, zastanawiając się, czy nie posunął się za daleko, lecz pozostała trójka nie próbowała mu przerywać, więc mówił dalej: - Usiłował nas początkowo przekonać próbami wstąpienia do bractwa, myśląc, że w ten sposób zyska

dostęp do naszego skarbcza. Wiecie, co oznacza w głosowaniu czarna kula?

Lamberton pokiwał głową.

- W tajnych głosowaniach każdy musi włożyć do worka jedną z kul. Biała oznacza głos za, czarna to głos przeciw. Nawet pojedyncza czarna kula oznacza ogólny sprzeciw.

- Dokładnie tak, panie. Filip został poddany takiemu samemu ścisłemu zbadaniu jego charakteru i moralności, jak każdy inny kandydat do Bractwa. Byłem wśród głosującej rady. Ośmiu z jedenastu głosowało przeciwko niemu. - Wykrzywił twarz w grymasie. — Znam mądrą kobietę, która usłyszawszy tę historię, uznała, że w momencie tego głosowania zaczął się upadek Zakonu. Powiedziała, że Zakon zniszczyło osiem czarnych kul...

- Może i ma rację - powiedział Balmyle. - Co to była za kobieta?

- Baronowa Saint Valery, której mąż zginął przez chciwość i zdradę Filipa.

Arcybiskup Lambertton odchrząknął.

- A zatem sądzisz, że głównym złoczyńcą jest tu król Francji? A co z papieżem?

Teraz się obrażą, pomyślał Will i wyprostował ramiona.

- Z nim? Co mogę powiedzieć wam, księżętom Kościoła, aby wyrazić moją nienawiść i pogardę dla człowieka, który ugina tchórzliwie kolano przed samowolą postępującego nie po chrześcijańsku króla i pozwala mu na popełnienie tak oburzającej zbrodni? Błogosławiony Klemens waha się niczym nadmuchany pęcherz na wietrze. Zmienia zdanie co godzinę. A poza tym poszczuł inkwizycją nasz Zakon, aby uzasadnić bezpodstawne zarzuty, którymi obciąża nas de Noga-ret, morderca papieży. Co z papieżem, pytasz? Przynosi wstyd swojej wierze i powołaniu, jest słabym rajfurem dla ambitnego potwora, ponieważ boi się, że ten zwróci się przeciwko niemu i go rozszarpie, jeśli będzie niezadowolony... i ma pod tym względem rację. Filip spowodował już śmierć jednego papieża, z którego nie był zadowolony, może dwóch. Nie zawaha się trzeci raz, jeśli uzna, że uzasadnia to jego nadane mu przez Boga prawo.

- Nie będę się w tej sprawie spierał - powiedział arcybiskup - lecz Filip nie stanowi dla nas teraz najpoważniejszego zmartwienia. Na razie zostanmy przy kwestii przysięgi, twojej i innych. Podobno zwol-

nię swoich ludzi ze ślubu czystości. - Will kiwnął głową, a Lambertton wlepił w niego wzrok, okręcając pierścień na palcu. - Z czyjego upoważnienia to zrobiłeś?

- Własnego, jako wyświęconego mistrza Zakonu.

- Twoja władza jest tak wielka?

- Oczywiście że tak. Pełnię obowiązki mistrza i do chwili, kiedy nasz wielki mistrz de Molay odzyska wolność i wróci na stanowisko, w pełni odpowiadam za podlegających mi braci. Nie podjąłem tej decyzji lekkomyślnie czy nagle.

- Nie posądzałem cię o to, lecz czy możesz mi powiedzieć, dlaczego to zrobiłeś? Wydaje mi się, że zwolnienie całego Zakonu ze świętej przysięgi to mało powściągliwy czyn.

- Wybacz, że ci się sprzeciwię, panie, lecz mówimy o ostatnich niedobitkach potężnego niegdyś bractwa. Odpuszczając przysięgę braciom w wieku odpowiednim do ślubu, stworzyłem możliwość, a chociaż nadzieję, że nasz Zakon być może przetrwa ich śmierć.

- Czy to nie zbyt daleko posunięty wniosek? - spytał Balmyle.

Dawid Moray słuchał ich rozmowy, przenosząc wzrok z twarzy na twarz.

Will obejrzał się na byłego kanclerza i kiwnął lekko głową.

- Może i tak, mistrzu Mikołaju, lecz alternatywa, czyli bezczynność, to wyrok pewnej śmierci dla Zakonu. Postanowiłem więc spróbować stawić jej czoło.

- Rozumiem. Zatem teraz na Arran są kobiety? Mężatki?

- Kilka, a także dzieci.

- Powiedz mi - wtrącił Lambertton - komu teraz jesteś wierny?

- Nie papieżowi Klemensowi. Służę mistrzowi de Molayowi, choć gnije w jakimś bezimiennym lochu. Poza nim darzę lojalnością jedynie mojego Boga.

Arcybiskup Lambertton położył łokieć na oparciu krzesła i ścisnął palcami nasadę wielkiego, kościstego nosa. Lecz potem się wyprostował.

- Podobno na Arran są francuscy najemnicy. Sir Edward Bruce wielce na nich polega.

- Zaiste? No cóż, panie, prędzej czy później musiało to wyjść na światło dzienne.

- Tak, musiało, ale jestem zadowolony, że trwało to aż tak długo... Jestem jednak nawet jeszcze bardziej zdumiony, że nie słyszałem ani

jednego doniesienia ani szeptu o templariuszach na Arran. Od nikogo. Mam nadzieję, że przyjmiesz za to wyrazy mojego najgłębszego uznania.

- Tak, Ekscelencjo. Upłynęło niemal pięć lat od chwili, kiedy ktokolwiek mógłby rozpoznać w nas templariuszy. Teraz jesteśmy po prostu wyspiarzami, francuskimi najemnikami, trzymanymi dość blisko, abyśmy byli użyteczni, lecz nie aż tak, abyśmy zagrażali uczciwym Szkotom. - Urwał, uderzony myślą, o której powinien był wspomnieć wcześniej. - Czy biskup Moray mówił o zgromadzeniu, które ma się tam wkrótce odbyć?

- Oczywiście że tak, dlatego tu jestem. Musimy to we czterech starannie zaplanować, ponieważ może mieć ono dużo większe znaczenie, niż Davie mógł przypuszczać, kiedy organizował je dzięki twojej dobrej woli.

Will obrócił się bokiem na krześle, aby spojrzeć na Moraya, lecz biskup tylko wzruszył ramionami i machnął ręką, jakby chciał powiedzieć: „Skąd miałem wiedzieć?”; na to Will ponownie przeniósł wzrok na arcybiskupa.

- Jak może mieć większe znaczenie? Zrozumiałem, jak pilne i ważne jest to, o co nas proszono. Potrzeba króla jest najważniejsza.

Lamberton skłonił głowę.

- I tak było, lecz ostatnio sprawa ta stała się znacznie bardziej do niosła. - Poprawił się na krześle i wygładził sutannę, po czym spojrzał Willowi prosto w oczy. - To Davie powiedział mi wszystko, co o tobie wiem, sir Williamie Sinclairze, i choć podobało mi się, co usłyszałem, czułem, że muszę zobaczyć cię na własne oczy, samemu cię ocenić.

Will wpatrywał się w kamienną twarz arcybiskupa, niepewny, jak zareagować, lecz w końcu kiwnął głową.

- Czy zyskałem sobie twoje uznanie, Ekscelencjo?

Znów został obdarzony tym zdumiewającym, jaśniejącym uśmiechem.

- Nikt tutaj by nie zagłosował na ciebie czarną kulą, jeśli nad tym się zastanawiasz.

- A zatem... - Will podrapał się w szczeciniasty policzek. - Powiesz mi teraz, o co chodzi?

Promienny uśmiech zastąpiła powaga.

- Tak, chętnie, bez dalszych wstępów. Chodzi o politykę i walkę o dusze ludzi oraz wolność... o ważne kwestie, Will. Kiedy przybyłeś do Szkocji, nie istniała możliwość, abyśmy odmówili ci azylu. Lecz biskup Moray powiedział ci o naszych troskach co do waszej obecności w królestwie, trudnościach związanych z ekskomuniką króla Roberta i zagrożeniu, że dowie się o waszym pobycie tutaj król Francji, a przez niego papież. Poradziłeś sobie z tym w sposób wielce zadowolający dla wszystkich, a zatem więcej nie musimy o tym mówić. Wysłuchałem twej opinii na temat Ojca Świętego i szczerze mówiąc, twoje zmartwienia są identyczne z moimi, poza jedną kwestią... jedną bardzo różniącą nas kwestią. Jako prymas Szkocji mam największe zobowiązania wobec ludności tej krainy. Gdy król Szkotów jest obłożony ekskomuniką, to samo odnosi się do całego kraju, jeśli ten wyrok się potwierdzi, Szkocję wraz z nim spotka potępienie. Nie będzie można udzielić żadnych sakramentów nikomu, kto natychmiast nie wyrzeknie się Roberta jako króla, a wielu to zrobi: część ze strachu o swoje nieśmiertelne dusze, część przez zazdrość i zawiść, dla własnych celów. A jeśli to się stanie, Szkocja przepadnie. - Jego głos przycichł. - To nie do pomyślenia, lecz zagrożenie jest bardzo realne i zwiększa się z dnia na dzień.

Will siedział ze zmarszczonym czołem, bowiem słyszał to wszystko już wcześniej, lecz nigdy nie ujęto tego w tak bezpośrednie i pełne pasji słowa. Uniósł dłoń.

-Wybacz, Ekscelencjo, ale czy klątwa nie została już rzucona? Wiem, że jej status jest nierozstrzygnięty, ale czy nie jest już faktem?

Lamberton nabrał głęboko tchu. Will spostrzegł się, że robi to samo, czekając na jego odpowiedź.

— Jest faktem, tak, lecz nie jest nierozstrzygnięta... W sprawie tej toczy się kanoniczna dyskusja, z inspiracji mojej i wysokich rangą prałatów Szkocji, między innymi Wisharta z Glasgow, który, jak ja, jest teraz więźniem Anglików. Lecz Robert Wishart jest bardzo starym, chorym człowiekiem i raczej długo nie pożyje... — Przeżegnał się. - Lecz dysputa ta zbliża się do rozwiązania. Mistrz Mikołaj może ci więcej o tym powiedzieć, ponieważ obecnie to on głównie nadzoruje tok naszej sprawy przeciwko papieżowi i kurii; ja nie mogę już zajmować się nią osobiście. On i mistrz Linton z Arbroath prowadzą ją razem. Mikołaju?

Były kanclerz mruknął pod nosem i podjął wątek tam, gdzie skończył Lamberton; jego dźwięczny głos był poważny, a słowa wyraźne i dokładne.

- Pierwotna ekskomunika była karą za grzech morderstwa, tym poważniejszego, że popełnionego w kościele, na samych stopniach ołtarza. Lecz od początku istniała kwestia zamiaru i winy. Zarzuty pochodziły od wrogów Bruce'a, krewnych człowieka, którego podobno zabił, Jana Comyna, pana Badenoch. Jak wiesz, sir Williamie, ród Comyn był sześć lat temu bardzo potężny, znacznie potężniejszy niż odłam popierający Bruce'ów, a także miał świetne koneksje. Należało do niego kilku biskupów, którzy dodawali swoje oficjalne głosy do skarg wysyłanych do Rzymu. Działali szybko, składając zażalenia wtedy, kiedy całe zamieszanie było tu jeszcze nierozstrzygnięte. Uznali, że Bruce buntuje się przeciw prawdziwemu królowi, Janowi Balliolowi. Były to całkowite bzdury, ponieważ Balliol zdążył już wtedy abdykować i przenieść się do Francji pod skrzydła króla Filipa, a prawda była taka, że Comynowie mieli mniej więcej takie prawo do tronu jak Bruce. W każdym razie papież ich posłuchał. Wydano wyrok, który natychmiast oprotestowaliśmy. My też nie byliśmy pozbawieni własnych wpływów. Nas także wysłuchano; nawet jeśli nie zrobił tego papież, zdobyła się na to przynajmniej część jego najpotężniejszych kardynałów. Od tamtej pory trwa spór, co umożliwia Kościołowi Szkocji dalsze wykonywanie swojej misji.

-Wybacz mi zatem, mistrzu Mikołaju, jeśli wydam się ignorantem, lecz wszystko to zdarzyło się przed moim przybyciem do Szkocji. Na jakiej podstawie możecie zgodnie z prawem zakwestionować werdykt papieża?

Balmyle znów mruknął, niemal z uśmiechem.

- Masz głowę do zadawania dobrych pytań, sir Williamie. Przed wszystkim na podstawie moralności i prawa zwyczajowego. Wchodzi w grę teologia, lecz większość jej argumentów jest pełna moralizowania, niejasna i mało zrozumiała dla zwykłych ludzi. Od początku postanowiliśmy, że na naszą obronę obierzemy prawo zwyczajowe. Williamie?

Lamberton był gotów.

- Zamiar i вина w sprawie śmierci Rudego Jana Comyna. Zbudowaliśmy obronę króla na tych elementach i wątpliwościach im towa-

rzyszających. Mord z pewnością nastąpił. Lecz dość niepewne jest, czy to król Robert go dokonał... - Urwał na chwilę. - Nie poznałeś nigdy Jana Comyna, co? - Will pokręcił głową. - Tak myślałem. Gdybyś spotkał go choć raz, nie musiałbym ci tego mówić. Był pod każdym względem... trudnym człowiekiem; trudno go było lubić i radzić sobie z nim. Był arogancki. Fakt: kto wśród możliwych taki nie jest? Lecz on był też uparty i pełen wścieklej dumy oraz pewności siebie, niezwykle ambitny. Wierzył twardo, że powinien być królem Szkotów. Pod koniec jego życia okazało się też, że ma skłonności do zdrady, przez co Edward, król Anglii, omal nie zgładził Bruce'a. Angielski przyjaciel przestrzegł Roberta, a on ledwie uszedł z życiem z opactwa Lanercost, gdzie chciał go dopaść Edward. Wyprzedził swoich katów o włos i przekroczył granicę na południe od Dumfries, gdzie skonfrontował Jana Comyna z dowodem jego perfidii. Znasz tę opowieść?

- Nie, nie słyszałem jej.

- No cóż, jak wiesz, byli wtedy we dwóch lordami protektorami królestwa. Zawarli na piśmie pakt, aby bronić Szkocji przed zakusami Edwarda. Istniały tylko dwa egzemplarze dokumentu: każdy miał po jednym, podpisanym przez tego drugiego. Lecz kiedy wezwano Bruce'a do Lanercost, ostrzeżono go, że Edward ma podpisany przez niego egzemplarz. Mógł pochodzić tylko od Comyna, który w ten sposób chciał doprowadzić do śmierci Bruce'a, znając temperament Plantageneta. W każdym razie protektorowie spotkali się w Dumfries, obaj gniewni i przestraszeni tym, co się stało, i poszli razem do kościoła, aby porozmawiać na osobności... Nigdy nie dowiemy się, co tak naprawdę się stało, bowiem nie było świadków, lecz poniosło ich, wymienili ciosy i wzburzony Bruce wyszedł, chwając się, z kościoła i dołączył do swoich towarzyszy. Są świadkowie, według których powiedział, że obawia się, iż może zabił Comyna. Obawia się, że może go zabił. Wtedy jeden z jego stronników krzyknął coś w rodzaju: „Może? Upewnijmy się więc!”, i wbiegł do kościoła z obnażonym mieczem. A kiedy dołączyli do niego pozostali, znaleźli go nad ciałem Comyna, z zakrwawionym mieczem.

Arcybiskup znów umilkł, a jego wzrok był zamglony; potem potrząsnął głową, jakby chciał odpędzić swe myśli.

- Dobrze wiadomo, co stało się potem. Bruce'a odprowadzili po spiesznie jego ludzie, a kiedy się pozbierał, zrozumiał, że kości zosta-

ły rzucone. Przejął zamek w Dumfries, wygnał Comynów z miasta i zażądał korony. Biskup Wishart i ja usłyszeliśmy o tym niedługo po fakcie i jasne było, co musimy zrobić, choć nie było to przyjemne. Jako wysokim rangą biskupom szkockiego Kościoła przypadło nam w udziale dokładne zbadanie sprawy, określenie, co naprawdę się stało, i szybko wyszło na jaw, że można mieć uzasadnione wątpliwości co do winy hrabiego Carrick w kwestii morderstwa. Był to czas zamętu, los samego królestwa był niepewny, ponieważ wiedzieliśmy, że Edward Plantagenet najedzie Szkocję, kiedy tylko dowie się o całej sprawie, i ogłosi, że ponieważ do Korony nie ma pretendentów, przejmie ją jako suzeren. To wtedy postanowiliśmy, że jedynym wyjściem, jedynym właściwym sposobem postępowania będzie popieranie hrabiego Carrick i dopilnowanie, aby został królem, namaszczone błogosławieństwem Kościoła. Ledwie się to dokonało, wydano wyrok w sprawie ekskomuniki, lecz do tej pory zdążyliśmy już wszcząć retorsję, i tak oto zaczęła się debata.

- A teraz?

- No właśnie, teraz... W ciągu ostatnich trzech miesięcy nasza sprawa cieszyła się dużym poparciem w Rzymie. Nasi biskupi, między innymi twój wuj William Sinclair, biskup Dunkeld, oczyścili nieco bagno pozwów i roszczeń, bezczelnych kłamstw i ukrywanych prawd otaczających tę aferę i ufają, że w ciągu kilku miesięcy otrzymamy korzystny wyrok.

-To wspaniale - powiedział Will, zerkając z ukosa na nieodgadniony wyraz twarzy biskupa Moraya, po czym ponownie zwrócił się do Lambertona: - Ale co to ma wspólnego ze mną i moimi templariuszami?

- Pozornie nic, ale mamy własnych templariuszy w Szkocji, a oni nie wiedzą o waszej obecności tutaj.

- Chcesz powiedzieć, że są dla was problemem jak my.

- Potencjalnie tak, ponieważ, jak wiesz, Klemens wezwał do aresztowania wszystkich templariuszy.

- Tego się należało spodziewać.

- Wiem. Lecz niekoniecznie spodziewano się upartego oporu Roberta i tego, że odmówi wyrzeczenia się szkockiego Zakonu. Nie ustępuje i choć rozumiem, dlaczego przyjął takie stanowisko, zwiększa ono obawy o powodzenie naszego sporu z papieżem. Jeśli Klemens,

a wraz z nim lilip, zacznie podejrzewać króla o krnąbrność w kwestii templariuszy, nie będzie skłonny do miłosierdzia, jeśli chodzi o ekskomunikę.

- Król z pewnością dostrzeże to niebezpieczeństwo.

-Tak. Ale otrzymał lojalne wsparcie od szkockich templariuszy i choć jest ich niewielu... a przynajmniej jeśli mówimy o walczących rycerzach... nie chce się ich wyprzeć. To, że karą grożą mu ludzie, którzy nic nie wiedzą o sprawach Szkocji, tylko zwiększa jego opór. Jak mawiamy w tym kraju, nie zdzierzy tego.

- Ach... w tym leży problem. - Will wstał od stołu i wygiął się do tyłu, ponieważ strzykało mu w krzyżu. - Wybaczcie mi. Siodło mogę wytrzymać, lecz drewniane krzesło to zupełnie inna sprawa... Biskupie Moray, nie powiedziałeś jeszcze ani słowa.

Moray podniósł na niego wzrok i uśmiechnął się szeroko.

- Będę miał dosyć do powiedzenia, kiedy skończycie. Nie zapomnij, że wiem o tym od lat. Moi towarzysze nie znają ciebie i twojego zdania na ten temat, więc chętnie poczekam i oddam się własnym myślom.

- Ano, nie wątpię. To sprowadza nas z powrotem do tego, co powiedziałeś, arcybiskupie: że ta sprawa ma teraz większe znaczenie niż przedtem. Rozumiem dlaczego, lecz nie widzę sposobu, aby coś na to poradzić. Co mam zrobić?

Wypalone kłody w wielkim kominku za Willem zapadły się i zamieniły w stos żaru, wypuszczając w powietrze iskry i kłęby dymu, a Lambertona odwrócił głowę, aby na nie spojrzeć.

- To - powiedział, wskazując na palenisko.

Will się obejrzał, podążając wzrokiem za jego palcem.

- Co takiego?

- Kiedy wszedłeś, te polana były z twardej olszy. Teraz to żarzące się popioły. - Uśmiechnął się. - Zrobiłeś to samo ze swoimi ludźmi na Arran.

Will przeniósł wzrok z Lambertona na Balmyle'a.

- Wybacz, panie, lecz wciąż nie wiem, do czego zmierzasz.

- To bardzo proste, Will. Chcemy twojej pomocy w tym, żeby szkoccy templariusze zniknęli, tak jak bracia na Arran. My sami nie możemy tego zrobić, ponieważ nie mamy władzy, którą posiadasz tu wyłącznie ty, jako mistrz. Oto znaczenie zebrania, które ma się odbyć.

Pierwotnie miało ono wskrzesić poczucie wspólnoty pośród szkockich rycerzy, zapewnić ich, że nie są sami. Lecz teraz może od tego zależeć los króla i jego kraju.

- Hmm. Ilu z waszych templariuszy nosi brodę i tonsurę?

- Wszyscy. Jeżdżą wyzywająco pod czarno-białymi proporcami, wiedząc, że są sami... myśląc, że tak jest. Obnoszą się z równoramiennym krzyżem, a także z emblematami Zakonu, które nazywają klejnotami. Nie noszą już czerwonego krzyża kampanii w Ziemi Świętej, lecz są dumni z tego, że pokazują, kim są.

- A tego nie możecie tolerować. Rozumiem... -Will zastanowił się przez chwilę. - Powiedźcie mi zatem, gdybyście mogli osiągnąć w tej sprawie cel, co stałoby się ze szkockimi rycerzami?

Teraz to Lamberton zmarszczył brwi, zerkając na dwóch towarzyszy.

- Co stałoby się z nimi? Nic. Żyliby tak jak dotychczas, lecz niewidziani... a przynajmniej nierozpoznani. Tylko tyle.

- Lecz ludzie już wiedzą, że są templariuszami.

- Tak, ale szybko zapominają. W rok od zmiany ich powierzchowności nikt nie będzie już dbał o to, kim kiedyś byli, ani o tym pamiętał. Oni sami nie będą o tym mówić, prawda?

Will uśmiechnął się ponuro.

- Nie, nie będą. Tego możecie być pewni. Są templariuszami, podwójnie związanymi tajemnicą i posłuszeństwem.

- A zatem pomożesz nam? Powiększy to twoją wspólnotę, być może dość znacząco... A my będziemy mieli wobec ciebie wielki dług.

- Nie interesuje mnie ściąganie długów ani nie mam potrzeby powiększać bractwa. - Will jakby zapadł się na swoim krześle, głęboko zamyślony. Inni czekali, przyglądając mu się uważnie, aż się wyprostował i uniósł palec. - Choć być może uda nam się uzgodnić jakieś *quidpro quo*.

- W jakiej kwestii? - Pytanie zadał mistrz Mikołaj, a Will odpowiedział mu natychmiast:

- Pomocy dla mnie w zamian za pomoc dla was. - Will prawie nie wierzył, że zaraz wyrazi swoje myśli, ponieważ decyzja ta przyszła mu do głowy w pełni gotowa, oparta na nagłym wspomnieniu słów Jessie o tym, że de Moray może mu pomóc. - Czy któryś z was ma jakieś kontakty w okolicach Genui?

Nastąpiła chwila ciszy, a potem Lamberton odparł:

- Mam przyjaciela w Genui, tamtejszego kardynała, Giacoma Beliniego. Byliśmy razem w seminarium w Rzymie i mimo dzielącej nas odległości wciąż jesteśmy blisko. To jeden z naszych najsilniejszych sprzymierzeńców w kurii. Jaką masz sprawę w Genui?

- Są tam najświetniejsze stocznie na świecie, panie, i do niedawna budowano w nich większość floty Zakonu. Potrzebuję teraz okrętów, lecz nie wiem nic o kupowaniu. Muszę więc znaleźć tam przedstawiciela, i to rzetelnego, czego trudno dokonać z daleka. Pomyślałem, że bylibyście mi w stanie pomóc, biorąc pod uwagę wasze kontakty w świecie chrześcijańskim.

Lamberton zacisnął usta, najwyraźniej nie rozumiejąc.

- Potrzebujesz galer?

- Nie, statków handlowych. Solidnych okrętów o mocnych kadłubach, najlepszych, jakie istnieją, najszybciej, jak to możliwe. Może się okazać, że genueńczycy będą musieli je zbudować, co wymaga czasu, a ja nie mogę go marnować. Może jednak mają już gotowe statki, czekające na zakup ze strony Zakonu, który już nie istnieje. Muszę się tego dowiedzieć. - Will rozejrzał się dookoła stołu. - Wkrótce opuszczę Arran wraz z moimi ludźmi i zabiorę ich w bezpieczne miejsce, co powinno was uspokoić w kwestii tego, że ktoś może nas tam odkryć.

- Opuścisz Arran? - Lamberton sprawiał wrażenie zbulwersowanego. - Ależ jesteś tam bezpieczny, sir Williamie.

- Wiem, panie, lecz będąc tam, stanowimy ryzyko dla ciebie i króla Roberta. Popłyniemy zatem gdzie indziej.

- Ale nie ma gdzie... Nie ma dla was bezpiecznego miejsca w świecie chrześcijańskim.

-To prawda. A jednak mam na myśli pewne miejsce, gdzie nikt nas nie tknie i będziemy mogli żyć z honorem. - Zerknął na de Mo-raya, który wlepił w niego wzrok, unosząc brew z zaskoczeniem. -Biskup Moray wie, o czym mówię. Rozmawialiśmy o tym. Lecz nie może wam o tym opowiedzieć. Przysiągł, że zachowa to w tajemnicy.

Arcybiskup potarł swój orli nos palcem i przyjrzał się Willowi zmrużonymi oczami.

- A gdybym miał złożyć identyczną przysięgę tajemnicy spowiedzi, powierzyłbyś mi ten sekret?

Will kiwnął głową.

- Z chęcią, i mistrzowi Mikołajowi też, jeśli przysięgnie to samo.
- A zatem przysięgam z radością, czemu mogą poświadczyć moi obecni bracia.

-Ja również - dodał Balmyle. - Choć nie pojmuję, gdzie miałyby znajdować się azyl, o którym mówisz.

Will ponownie zmierzył ich wzrokiem, a potem opowiedział historię o Meryce i o tym, jak admirał udał się na jej poszukiwanie. Chłonęli jego słowa, gdy relacjonował to, co opowiedzieli mu marynarze po powrocie. Kiedy skończył, nikt się nie odezwał; wszyscy byli zatopieni we własnych myślach. Jak zwykle to Lambertton przemówił pierwszy.

- Mądrze zrobiłeś, że kazałeś nam przysiąc milczenie. To miejsce, ta wielka kraina o tak długim wybrzeżu i różnych klimatach, może być całym nowym światem. Gdyby wieść o tym się rozeszła, zaczęłaby się o nią krwawa wojna. - Znów urwał, a potem dodał: - Lecz jak masz zamiar utrzymać to w tajemnicy, kiedy już wypłyniecie?

Na twarzy Willa pojawił się łagodny uśmiech.

- Nie zostawimy nikogo, kto mógłby o tym mówić. Nasza wspólnota zabierze ten sekret ze sobą. Ludzie może będą się zastanawiać, gdzie jesteśmy, lecz nikt nie będzie wiedział, poza wami trzema.

- A co z królem?

- Król musi zadbać o wiele rzeczy przy budowie stabilnego królestwa i nie musi o tym wiedzieć. Kiedy znikniemy, możecie mu powiedzieć, jeśli uznacie to za stosowne. Wtedy nikt już nie będzie mógł nas znaleźć. Lecz będzie to tajemnicą nie mniejszą niż teraz. Wiedza o tej krainie wciąż może spowodować pęd do znalezienia jej i wojny, o której mówiłeś.

- Hmm. Sądzisz, że kiedyś wrócicie?

Will kiwnął głową.

- Prawie na pewno. Nasi ludzie już tam byli i wrócili po pomoc. Nie wątpię, że w przyszłości znów tak postąpimy.

- Czy wrócicie tutaj?

- Do Szkocji? Na pewno. - Will uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Myślisz, że moglibyśmy wrócić do Francji Filipa, aby znów rozbudzić jego chciwość? - Pokręcił głową. - Przybędziemy tutaj, po wieści o losie naszego Zakonu. Wtedy, o ile Bóg się do nas uśmiechnie, panowanie króla Roberta może być już pewne, więc będzie mógł ofi-

ćjalnie wysłać z nami nowych ludzi. **Kto** może to przewidzieć? Lecz jeśli tak się stanie, my będziemy już zadowoleni w naszej nowej ojczyźnie.

- Kiedy wypływacie?

Był to pierwszy przyczynek biskupa Moraya do tej rozmowy, a Will wzruszył ramionami.

- Kiedy tylko zdobędziemy statki. Te, które mamy, są zbyt stare i zniszczone na taką podróż. Okręt, który wrócił, ledwie przetrwał sztormy na oceanie. Nie chcę podejmować takiego ryzyka.

Balmyle odchrząknął.

- Masz fundusze na zakup nowych jednostek?

- Tak, nasz majątek wywieziony z La Rochelle, aby nie trafił w zachłanne łapy Filipa. Mamy dość. - Postanowił nie wspominać o ofercie Jessie.

Lamberton siedział w zamyśleniu, kiwając łagodnie głową. W końcu przytaknął zdecydowanie.

- Mogę natychmiast wysłać gońca do kardynała Belliniego, lecz musimy wiedzieć, ilu statków potrzebujesz.

- Co najmniej czterech; sześciu, jeśli będzie nas stać. W tym leży problem. Nie mam pojęcia o kosztach. Dlatego też pierwszą rzeczą, jakiej muszę się dowiedzieć, jest cena nowego okrętu najwyższej jakości i, jaki mamy wybór. Kiedy będę to wiedział, podzielimy nasz skarbiec.

- To może sprawić, że zostaniecie bez grosza.

- Może. - Will znów się uśmiechnął, przypominając sobie, jak Jessie nazwała to miejsce. - Lecz w naszej nowej, dzikiej krainie nie będziemy potrzebowali pieniędzy. Podobno ludzie, którzy tam mieszkają, w ogóle ich nie używają. Prowadzą handel wymienny, aby dostać to, czego potrzebują, a złota i srebra nie znają. Popłyniemy więc bez grosza.

- Nie możesz kupić statków tutaj, w Szkocji? Mamy w Aberdeen dobrych cieślów, którzy budują wielkie, świetne okręty.

- To prawda, mistrzu Balmyle, ale na miejscowe wody. Potrzebuję statków, które popłyną tam, gdzie dotychczas dotarły tylko cztery. Genuńczycy wytwarzają statki, których potrzebuję, od ponad stu lat, od pierwszych handlowych wypraw templariuszy.

- Niech tak zatem będzie. - Ton Lambertona był zdecydowa-

ny. - Napiszę dziś do Giacoma i wyślę pismo szybkim statkiem z Leith. Mój goniec poczeka na odpowiedź i od razu przywiezie ją z powrotem. Powinno się to dać załatwić w ciągu miesiąca, więc będziesz miał podstawowe informacje. - Kiwnął głową, kończąc temat. - A teraz wróćmy do naszych szkockich templariuszy. Masz dla nas jakieś rady?

- Wiele. - Will zamyślił się, świadom, że wszyscy trzej mężczyźni mu się przyglądają. - Jest dużo do zrobienia, lecz nie powinno to być trudne. Będzie wymagało jedynie czasu, a ten zacznie się wraz ze zgromadzeniem na Arran. Pod pewnymi względami mamy szczęście. Bracia, których zaprosimy na wyspę, już wiedzą, że są wyjęci spod prawa. Nie będą się spodziewali, że znajdą własną, ugruntowaną społeczność. Kiedy już zobaczą zmiany, jakie osiągnęliśmy, zniknięcie wyróżniających nas bród i wszystkich innych znaków, dołączą do nas, choćby przez wzgląd na posłuszeństwo wobec mojej woli jako mistrza. To mnie nie martwi. Wszystko, czego od nich oczekujecie, uda się osiągnąć, kiedy tylko spotkamy się w kapitule. Od tej pory proces ostatecznego zniknięcia templariuszy ze Szkocji będzie prosty i nieprzerwany...

- Mimo to w twoim głosie pobrzmiwa troska - powiedział Lambertom - Dlaczego?

- Ponieważ jestem zatroskany, i to poważnie, o ich przyszłość. Kiedy opuścimy Arran, ci rycerze znów zostaną sami. Nie mogą jednak ich zabrać, jest ich zbyt wielu. Zbyt wiele spotka ich też tutaj przeciwności, chyba że udzielicie mi wsparcia, o które proszę. Przede wszystkim dlaczego król Robert tak się o nich martwi?

- Ponieważ czuje, że ma wobec nich zobowiązania, na które zasłużyli. Lojalnie go popierali, a on nie ma ochoty nagradzać ich za to wyrokiem banicji, nie mówiąc nawet o aresztowaniu ich na żądanie ludzi z zewnątrz, bez względu na to, czy są to duchowni czy nie.

- I wszyscy oni są stronnikami Bruce'a?

- Tak. Ci, którzy opowiadali się za Comynem, wyjechali do Anglii wraz z innymi rycerzami, kiedy zamknięto tutejszą gałąź Zakonu. Reszta jest po stronie króla, on o tym wie.

Will kiwnął głową.

- A co potem, kiedy wojny się zakończą, o ile kiedykolwiek to się stanie? Co wtedy z nimi będzie? Złożyli ślub ubóstwa, będąc pod

opieką Zakonu, lecz ich Zakon przestał istnieć, co sprawia, że nie będą w stanie się utrzymać jako rycerze i wojownicy. Lamberton uniósł rękę.

- Jak dotąd sobie radzą. Dlaczego miałyby się to zmienić?

- Ponieważ czasy się zmieniają, Ekscelencjo. Mają oni zbroje, konie i oręż, lecz wszystko zapewnił im Zakon. Co się stanie, kiedy konie zdechną, zbroja zardzewieje, a oręż będzie trzeba wymienić? Komturii, które im tego dostarczały, już nie ma, a jest to zbyt drogie dla nędzarzy. My na Arran możemy przetrwać, ponieważ przywieźliśmy ze sobą majątek Zakonu z La Rochelle. Ci wasi szkoccy templariusze pomrą z głodu bez stałej pomocy. Rozumiecie już moje troski?

- Tak, gdy ujmiesz to w ten sposób, oczywiście że tak. Co zatem proponujesz?

- Rozwiązanie, ale jak mówiłem wcześniej, chciałbym waszego wsparcia. Jako mistrz w Szkocji mogę zwolnić szkockich rycerzy z ich ślubów, zarówno czystości, jak i ubóstwa, z wystarczającego powodu, jakim jest konieczność i moralna potrzeba. Lecz mogą nie przyjąć z łatwością tak radykalnej zmiany, więc proszę was o wsparcie przy uspokojeniu ich myśli i załagodzeniu wyrzutów sumienia.

Lamberton zerknął na Balmyle'a, a potem siedział przez chwilę w milczeniu, marszcząc brwi.

- Nie wiem, czy mogę to zrobić, Will - powiedział w końcu. - Wątpię, by moja władza sięgała tak daleko. Jak sam zauważyłeś, templariusze składają przysięgę posłuszeństwa wielkiemu mistrzowi, a przez niego papieżowi, a nie prawdopodobnie heretyckiemu arcybiskupowi.

- Wybacz, panie, że się nie zgodzę. Jesteś prymasem Szkocji, a to szkocka sprawa. Chodzi o Szkotów, a ty masz na celu umożliwienie im ukrycia się przed oczami obcych, którzy mogliby użyć wiedzy o ich wolności, aby przyczynić się do niedoli króla. Już ugruntowałeś swą władzę i duchowe przywództwo w kraju, walcząc po stronie Jego Miłości w obliczu sprzeciwu ze strony samego papieża. Dlaczego więc w tej sprawie miałbyś być bezsilny? Wątpisz w jej moralność?

Kiedy Will mówił, arcybiskup patrzył na niego spokojnie, a teraz pokręcił wolno głową.

- Nie, Will, nie wątpię. Czego ode mnie oczekujesz?

- Listu, napisanego przez ciebie jako prymasa, a może nawet wy-

ślannika, który przemówiłby w twoim imieniu na zgromadzeniu, wyrażając zrozumienie i współczucie w kwestii anulowania ślubów, twoją oficjalną deklarację, że w pewnych okolicznościach trzeba podjąć drastyczne kroki, aby naprawić wielkie krzywdy. Samo to, wiedza, że będą w stanie się po wszystkim utrzymać, sprawiłoby, że twoi templariusze lepiej przyjmą zmiany, które zarządzą. Nie będą potem o tym mówić... w końcu są templariuszami... więc nie musisz się obawiać późniejszego wstydu.

- Wysłannik zatem potrzebny, ponieważ będę już z powrotem w Anglii. Mikołaju, zrobisz to w moim imieniu?

- Z przyjemnością, Ekscelencjo. Chodzi o słuszną sprawę. Dam im wyraźnie do zrozumienia, że ma ona twoją szczerą aprobatę.

- Dziękuję, stary druhu. A zatem ustalone. Kiedy odbędzie się zgromadzenie?

- Jak najszybciej - odparł Will. — Ile zajmie ci porozumienie się z ludźmi króla? Daj mi listę tych, z którymi mam się skontaktować, a zajmę się tym tuż po powrocie na Arran. Davie, poczyniłeś jakieś postępy w tej kwestii?

- Ano. Wszystko może być gotowe za miesiąc, włączając w to twoją rolę. Mam gotową listę: około dwudziestu ludzi. Przyjadą z własnymi serwientami. Zwołamy więc zgromadzenie za miesiąc?

- Za miesiąc od dziś. W Brodick Hall. Niech będzie.

Lamberton klasnął w ręce.

- Świetnie! Dobrze się spisaliśmy, przyjaciele, i wyczekuję jaśniejszej przyszłości. Zakończyliśmy zatem rozmowy? Biedny Mikołaj ma długą drogę przed snem.

Moray się wtrącił:

- Mam kilka pytań do Willa, jeśli mamy jeszcze chwilę.

- Pytaj śmiało - odparł Will.

- Twój przyjaciel de Berenger, admirał... jest wciąż na Arran?

- Przez większość czasu tak. Teraz przebywa we Francji, w Aix-en-Provence, gdzie zbiera informacje, ale wkrótce powinien wrócić.

- Ufasz mu?

- Bez zastrzeżeń.

- Jako admirał pewnie zna swój fach.

- Bezsprzecznie. Nikt inny nie zna go lepiej. Czemu pytasz?

- Poczekaj no chwilę. Masz też okręty na Arran, prawda?

- Niekiedy. Nasze statki są na morzu, prowadzą handel i od czasu do czasu wracają. Jak wiesz, mamy też galery.

- Wiem, lecz chodzi o twoje okręty. Rozmawiając z arcybiskupem Lambertonem o liście do kardynała Belliniego, wspomniałeś, że nie masz czasu do stracenia. Czekanie na odpowiedź zajmie miesiąc, a potem będziesz musiał tu przyjechać i ją odebrać, i postanowić, co dalej. - Rozłożył szeroko ręce. - Sam zabierz list do Genui, na jednym z twoich okrętów, z własnym admirałem, i osobiście pomów z kardynałem. Sam zobacz, ile będzie trzeba, aby kupić nową flotę, a potem każ de Berengerowi, jako marynarzowi, dokonać zakupu. Oszczędzisz całe miesiące.

Will obrócił się bokiem na krześle, wlepiając wzrok w Moraya, i zaśmiał się.

- Davie, toż to natchniony pomysł! Oczywiście że tak zrobimy. Możemy tak zrobić, Ekscelencjo? Napiszesz list, abym zawiózł go osobiście?

- Naturalnie. Zrobię to teraz, kiedy tylko zakończymy spotkanie. Dostaniesz go rankiem. A teraz, jak sądzę, załatwiliśmy już wszystko i mamy w związku z tym dużo do zrobienia.

Will wrócił na noc do gospody, uprzedzając przy okazji swoich ludzi, aby byli gotowi do wyjazdu o świcie. Mieli wrócić do Nithsdale, sprawdzić, jak miewa się Henryk, i zabrać go na Arran, jeśli będzie się czuł już dość dobrze, a także opowiedzieć Jessie o ustaleniach dotyczących zakupu okrętów. Will zauważył, że po raz pierwszy cieszy się na spotkanie z nią.

To dało mu powód do zastanowienia, a przyjemność, jaką odczuwał, nawet go trochę zaskoczyła. Długo nie mógł zasnąć. Co takiego się zmieniło? Natychmiast przyszła mu do głowy odpowiedź, że to sama Jessie doprowadziła do tego. Z miejsca założyła, że zechce wziąć ją ze sobą do nowej krainy. Nie myślała o niebezpieczeństwach i ryzyku związanym z wyprawą przez nieznany ocean, lecz prostolinijnie przyjmowała rzeczywistość: to, że on popłynie i zabierze ją ze sobą. Rozmowa w oborze, wtedy tak zdumiewająca, rzuciła potem na niego jakiś urok, ponieważ nie potrafił przestać o niej myśleć; nawet, jak przyznał przed samym sobą, kiedy nie był świadom, że o niej myśli.

Leżąc tak w ciemnościach, zdał sobie sprawę, że uśmiecha się na myśl o bezczelności jej żądania, aż uświadomił sobie, że wcale nie było bezczelne. Wyznał sam sobie, nieco smętnie, że owa bezczelność była po prostu kolejną manifestacją bezpośredniej i bezkompromisowej szczerości, która fascynowała go od czasu, kiedy lata wcześniej poznał tę kobietę w La Rochelle.

Pamiętał też poczucie winy, które targało nim wtedy z powodu uświadomienia sobie jej kobiecości; teraz nazywał to wprost, jej urodą. Przypomniał sobie, jak wdychał niepokojącą woń subtelnego pachnidła, którego użyła tej nocy, oszłamiający aromat przywodzący na myśl ciepło ciała i kobiecą intymność, oraz jak obserwował - choć usiłował się na tym nie skupiać - sposób, w jaki ubrania otulały jej ciało. Dopiero teraz jednak był gotów zaakceptować fakt, że próby ignorowania jej obecności były podobne do czynu legendarnego duńskiego króla, który rozkazał przyływowi się cofnąć.

Kiedy tak czuwał w mroku, powód tej zmiany dopadł go jak jedna z owych nadciągających fal, a jego prosta prawda była tak niezaprzeczalna, że Will zdziwił się, iż wcześniej jej nie dostrzegał. Poczucie winy, które dręczyło go od początku kontaktów z tą kobietą, było fałszywe i nieuzasadnione. Było chrześcijańskie, a przecież on nigdy nie był chrześcijaninem; przyszła mu ochota, aby zaśmiać się i krzyczeć z radości. Choć z pozoru należał do Zakonu Świątyni, głębszą wierność przysięgał Bractwu Syjonu, które - założone ledwie kilka dziesięcioleci po śmierci Jezusa i jego brata Jakuba - nigdy nie było chrześcijańskie. Jego korzenie, prastare rytuały, nauki oraz wierzenia pochodziły od żydowskiej sekty, do której należeli Jezus i Jakub, zwanej czasami nazarejczykami, lecz w Bractwie Syjonu znanej jako esseńczycy, szukający drogi do poznania i obecności Boga, tak często opisywanej, lecz nigdy nie wyjaśnionej w chrześcijańskiej ewangelii.

Will mruknął coś nagle i usiadł prosto, próbując przebić wzrokiem otaczające go ciemności, z zamętem w głowie. Wstępując do Zakonu Syjonu, złożył jedynie dwa uroczyste śluby: o nieposiadaniu żadnych osobistych dóbr, lecz dzieleniu się wszystkim po równo z braćmi, oraz o życiu w zgodzie z rozkazami jego przełożonych w Zakonie. Przysięgi te były zasadniczo takie same jak chrześcijańskie śluby ubóstwa i posłuszeństwa. Trzeci ślub zakonny - czystości - złożył dopiero, gdy dołączył do braci Zakonu Świątyni, i wte-

dy nie kosztował go on nawet chwili zastanowienia, ponieważ asceza i celibat były zakorzenione w nim z wyboru i powołania, bez względu na to, że Zakon Syjonu nie oczekiwał od swoich przedstawicieli wstrzemięźliwości.

Poczuł się tak, jakby spadł mu z serca potężny kamień. Mógł się przyznać do pociągu do Jessie i dążyć do jego spełnienia, być może nie bez swej zwykłej niezręczności, zrodzonej z wielu lat unikania tej sfery życia, lecz z pewnością bez wyrzutów sumienia. Wiedział już, że nie ma żadnej przeszkody - czy to moralnej, czy jakiegokolwiek innej - aby mógł przyjąć propozycję, którą mu uczyniła.

Rozmowa w Nithsdale 1

Pojechali z powrotem wzdłuż rzeki Nith kilka dni później, a Will czuł się zaskakująco beztrosko, biorąc pod uwagę wszystko, co go czekało w nadchodzących tygodniach. Podróż z Saint Andrews, znacznie spokojniejsza i dłuższa o cały dzień niż trasa w przeciwną stronę, odbyła się bez incydentów, co nie było zaskakujące: pięciu uzbrojonych konnych, promieniujących taką pewnością siebie jak ta grupa, mogło się spodziewać, że nikt nie rzuci im wyzwania na otwartej drodze. Jechali swobodnie brzegiem rzeki wśród śpiewu ptaków pod słonecznym, popołudniowym niebem późnego lipca, przez trawę sięgającą pęcin ich koni, rozmawiając leniwie i zerkając od czasu do czasu na zachodni skraj wielkiego lasu Ettrick, który zaczynał się na przeciwnym brzegu i rozciągał stamtąd na wiele mil. Drzewa, które widzieli, jadąc zachodnim brzegiem rzeki, były małe - głównie młode olsze, głogi i wiązy - ponieważ las wciąż się rozrastał i giganty w rodzaju dębów czy dojrzałych wiązów były bardziej na wschód. Podążyli za biegiem rzeki, kiedy skręciła ostro w prawo, a porośnięte trawą zbocze po ich prawej zwiększyło się nagle, wyrzucając tuż przed nimi w niebo kamienną pięść, przez którą wznosząca się stromo ścieżka zwięzła się tak, że musieli jechać gęsiego. Will przewodził małej kolumnie, sam i głęboko zamyślony, za nim podążał Tam i dwaj serwienci, a tyłów pilnował Mungo MacDowal.

Chwilę później, blisko szczytu ścieżki, Will obrócił się w siodle i obrzucił wzrokiem drogę, którą przybyli. Pamiętał ją dobrze, ponieważ to tutaj, niecałe dwie mile od miejsca, z którego ruszyli, spadły z chmur, które pojawiły się tego ranka, pierwsze ciężkie krople deszczu. Burza trwała od tamtej pory nieprzerwanie, tak że jechali prze-

moczeni i zziębnięci przez cztery okropne dni; zbroje i kolczugi, a nawet pikowane tuniki pod nimi boleśnie ocierały gołą skórę. Było to jak czyścić. Co wieczór zasypiali otepiali i wyczerpani, bliscy zamrznięcia, gdzie tylko mogli znaleźć jakiegokolwiek schronienie.

Teraz, zbliżając się do szczytu i wiedząc, że cel jest blisko, Will poczuł drobny dreszcz zadowolenia i popędził swojego konia kłusem, nie dbając o to, czy ludzie jadący za nim nadążają. Za grzbietem wzgórz i łagodnym, małym zagłębieniem teren znów się wznosił - choć nie tak stromo jak wcześniej - przez kolejną milę, aż do następnego zbocza, z którego widać już było dom Randolphów. Will pilnował się, aby nie myśleć konkretnie o Jessie, ponieważ na wspomnienie tego, co będzie musiał jej powiedzieć, budziła się w nim panika, lecz poczucie wyczekiwania nie zmałało, a on nie próbował ściągnąć lejców konia, pozwalając mu od razu ruszyć w dół zagłębienia. Po jego lewej, zaledwie krok od ścieżki, trawiaste wzgórze opadało stromo w stronę rzeki Nith, płynącej prędko w głębokim korycie jakieś czterdzieści czy pięćdziesiąt stóp poniżej. Koń Willa ruszył znów pod górę, a rycerz dźgnął go ostrogami, świadom, że utworzył odstęp między sobą a pozostałymi, lecz zakładał, że go dogonią. Poczul w piersi kolejne dziwne uczucie; uznał, że jest podobne do radości i że ma ochotę wykrzyknąć je głośno.

Nie trwało ono jednak długo, ponieważ kiedy tylko jego koń pokonał zbocze, Will zobaczył w oddali, gdzie był dom Randolphów, czarny dym; był żołnierzem od dość dawna, żeby na pierwszy rzut oka pojąć, że to, co widzi, nie może mieć pokojowej przyczyny.

- Tam, do mnie! - Odwrócił się w siodle w porę, aby zobaczyć, jak jego krewniak podrywa głowę, a chwilę później pozostali dogonili go z tętentem kopyt.

Bez słowa rzucili się przed siebie. Opadając do doliny Nith, ścieżka rozszerzyła się. Will wciąż gnał na czele, lecz inni pędzili teraz tuż za nim ciasną grupą, rozjeżdżając się nieco na boki, kiedy zrobiło się więcej miejsca, aż mogli pokonać zbocze pełnym galopem. Odległość zmniejszała się szybko i w końcu mogli dostrzec to, co się działo dookoła domu.

Wyglądało na to, że pali się w jednym z budynków gospodarczych, i Will pomyślał, że zapewne chodzi o stodoły ze stryżkami na siano, lecz gorączkowa krzątanka przed domem nie miała nic wspólnego

z gaszeniem ognia. Will zobaczył, jak od zataczającego łuk miecza, a może ostrza siekiery, odbija się słońce, i w tej samej chwili usłyszał pierwsze słabe, dobiegające z daleka krzyki ws'ciekłych ludzi.

- Bramy są wciąż otwarte. Wjeżdżamy? - Tam jechał teraz równo z Willem, patrząc na niego i czekając na instrukcje, a Will kiwnął głową, unosząc głos tak, aby usłyszeli go wszyscy.

- Tak, wjeżdżamy prosto przez bramę! Nie zauważyli nas jeszcze, więc może zdążymy, zanim ją zamkną. Ilu naliczyłeś?

- Chyba mniej niż dwudziestu, po trzech, czterech na jednego.

- No to do dzieła. - Ponownie podniósł głos. - Kiedy tylko przejedziemy przez bramę, rozdzielić się! Mungo, ty i Tam na prawo. Inni ze mną, w lewo. Nie cackać się z nimi. Sinclair! - Ostatnie słowo było okrzykiem bojowym, który towarzyszył im, kiedy przejeżdżali z łoskotem przez bramę i znaleźli stojących do nich plecami przeciwników.

Nikt nie spostrzegł, że nadciągają, i najbliżsi im napastnicy polegli, zanim ktokolwiek się zorientował, co się dzieje. Wszyscy atakujący dom byli pieszo, a z ich wyglądu Will od razu wywnioskował, że to bandyci, lecz byli dobrze uzbrojeni i mimo zaskoczenia nie okazali strachu. Choć mieli przewagę liczebną nad drużyną Willa, templariusze byli konno i mieli po swojej stronie wagę i szybkość wierzchowców.

Will stratował dwóch ludzi stojących naprzeciwko niego: jednego zabił cięciem miecza w szyję, a potem pochylił się do przodu i wbił czubek miecza drugiemu w usta. Ciosowi dodał siły rozpęd galopującego konia. Potem, ponieważ w zasięgu jego oręża nie było już nikogo, Will ściągnął lejce i rozejrzał się dookoła. Kilku napastników układało gorliwie chrust u szczytu kamiennych schodów, pod nabijanymi żelazem głównymi drzwiami; ze sterty już unosił się dym, ponieważ gałęzie zaczynały zajmować się ogniem. Pracowało nad tym trzech ludzi, tak pochłoniętych swoim zadaniem, że dobiegające zza nich odgłosy ataku dopiero do nich docierały.

Will mocno dźgnął konia ostrogami, ruszył: z miejsca, przełożył lewą nogę nad łękiem siodła, a prawą zaparł się w strzemieniu, po czym rzucił się na schody, lądując między napastnikami, zanim zdążyli choćby chwycić za oręż. Złapał pierwszego i kopnął go mocno z tyłu prawego kolana, po czym wykorzystując jego własny ciężar, zepchnął go bokiem ze schodów, aż ten spadł głową w dół na bruk, niemal pod

kopytami konia Willa. Drugiego powalił cięciem zza głowy w szyję i odwrócił się, aby wbić miecz w trzeciego, lecz ten zeskoczył z górnego stopnia, ledwie unikając długiej klingi, i umknął.

Will pozwolił mu uciec, schował miecz i zaczął odrzucać płonący stos chrustu spod drzwi, krzycząc do obrońców w środku, aby otworzyli drzwi i go wpuścili. Usłyszał, że ktoś go woła, i obejrzał się, dostrzegając, że Mungo macha do niego gorączkowo z prawego rogu budynku. Zobaczył, że jeden z napastników biegnie w stronę odwróconego do niego plecami MacDowala, lecz zanim nawet zdążył nabrać tchu, aby wykrzyknąć ostrzeżenie, biegnący padł bezwładnie na plecy. Białe pióra beltu wystawały z jego piersi jak nagle zakwitły kwiat.

Will wiedział, że belt mógł nadlecieć tylko z dachu, więc zeskoczył ze schodów i pobiegł do miejsca, skąd można było dojrzeć szczyt wieżyczki zbudowanej w rogu domu. Stała tam Jessie z czterema mężczyznami, uzbrojonymi w kusze i strzelającymi do kilku pozostałych na dziedzińcu bandytów. Właśnie w chwili, kiedy ich dostrzegł, usłyszał brzęk stali na kamieniach: najpierw jeden, a potem kolejni napastnicy zaczęli odrzucać oręż. Odwrócił wzrok od Jessie i pomachał do Tama, który stał gdzieś po prawej, nakazując mu zebrać żyjących bandytów, po czym ponownie spojrzał na wieżę.

- Witaj, sir Williamie! - krzyknęła do niego Jessie. - Nie mogłeś przybyć w lepszej chwili.

- Cieszę się, żeś w dobrym zdrowiu, pani! — odkrzyknął. - Mam nadzieję, żeś cała.

- Tak, już jestem bezpieczna, dzięki tobie.

- A reszta gospodarstwa?

-Też. Dzięki Bogu, dostrzegliśmy, że bandyci się zbliżają, i ukryliśmy wszystkich naszych ludzi w środku. Próbowali wdrzeć się tylną bramą, ale ona jest równie mocna jak ta. - Spojrzała za plecy Willa, gdzie Tam i inni zaganiali więźniów na jedno miejsce. - Tam! Na tyłach jest obora z solidnymi drzwiami i łańcuchem. Wsadź ich na razie do niej. Sir Williamie, wejdź do środka. Hektor powinien już tam być.

Kiedy wołała, Will zobaczył, że ciężkie główne drzwi się uchylają i wystawia przez nie głowę gospodarz, rozglądając się po dziedzińcu i widząc rozrzucone ciała.

- Wchodź no - powiedział Willowi Tam. - Zajmę się tymi typa-

mi i dopilnuję, żeby usunęli ciała, zanim ich zamknę, bo my ich nie tkniemy. Mamy ich skuć?

Willowi łatwo było się uśmiechnąć teraz, kiedy niebezpieczeństwo już minęło.

- Tylko żywych, Tam. Pozostali daleko nie ujdą, choć będzie trzeba ich pogrzebać, więc zwróć uwagę, żebyś nie skrepował więźniów zbyt mocno. Muszą być w stanie kopać.

Zostawił pozostałych przy ich zadaniach i zdjął ciężki hełm oraz zbrojne rękawice, które wrzucił do odwróconego hełmu. Ułożył go w zgięciu łokcia i wszedł do domu, a mijając Hektora, przywitał go. Pojawił się w środku w samą porę, aby spotkać Jessie, która właśnie wpadła do korytarza u stóp schodów prowadzących z dachu, a Will z aprobatą zauważył, że poza mocnym rumieńcem na policzkach nie było po niej widać śladów podekscytowania wydarzeniami ostatniej godziny. Zwrócił na to uwagę niemal z roztargnieniem, a serce zabiło mu szybciej, kiedy uśmiechnęła się do niego i wezwała gestem do głównej komnaty.

Pierwszą rzeczą, jaką zauważył, był brak pryczy, na której wcześniej leżał Henryk. Miejsce, które zajmowała przy wielkim kominku, było puste, a parawany wróciły na drugi koniec długiego pomieszczenia. W ogromnym palenisku leżała świeża podpałka, a po obu stronach kominka — dwie sterty polan. Jessie, wciąż bez słowa, wskazała mu ręką jedno z dwóch dużych, tapicerowanych krzeseł, a on zawahał się, po czym usiadł i odłożył hełm i rękawice ostrożnie na mały stolik. Potem ponownie zerknął na puste miejsce pod ścianą.

- Gdzie umieściłaś chłopca? - Bez zastanowienia odezwał się po francusku, lecz ona odpowiedziała mu w szkockiej mowie:

- Och, ma się znacznie lepiej, więc przenieśliśmy go do jednej z małych komnat na górze. Jest mu tam teraz wygodnie. Wciąż leży w łóżku, lecz siada już i rozgląda się dookoła. To wspaniały młody mężczyzna.

- Młody mężczyzna? - Willowi wydało się to dziwne. - Ano, pewnie tak.

- I ma dużo szczęścia. Brat Mateusz sądzi teraz, że w pełni odzyska władzę nad barkiem i ramieniem. Zważ, nie dziś i nie jutro, lecz rana dobrze się goi, a kiedy tylko się zasklepi, Henryk będzie mógł zacząć wzmacniać mięśnie.

Will ledwie słuchał, patrząc w wysokie, wąskie okna, a kiedy skończyła, zaciągnął do jednego z nich drewniane krzesło, aby móc się na nie wspiąć i wyjrzeć na podwórzec, gdzie Mungo i jakiś nieznany mu człowiek odciągali martwego mężczyznę za kostki.

- Będziemy musieli pozbyć się ciał - powiedział przez ramię. — Gdzie chcesz ich pochować?

- Pochować? - Było jasne, że w ogóle o tym nie myślała, lecz mimo to przemówiła zdecydowanie: - Sądzę, że jak najdalej od domu, ale będę musiała się jeszcze nad tym zastanowić. Nie jest to coś, co musimy robić co tydzień.

- Nie, z pewnością nie. Lecz chyba nie jest to pierwszy taki atak?

- Na pewno pierwszy, od kiedy tu jestem. Może wcześniej były inne. Niestety drogą tą podróżuje wielu wojowniczych ludzi. Jeśli jednak nie są pierwszymi, których tu pogrzebano, Hektor będzie wiedział, gdzie należy to zrobić. Na pewno jest takie miejsce. Spytam go.

Odwrócił się i spojrział na nią, dostrzegając jasne, szerokie ramiona nad okrągłym wycięciem sukni i światło, które oświetlało pod kątem jej wysokie kości policzkowe i podkreślało zdumiewającą jasność oczu. Potem, zanim mogła go przyłapać na gapieniu się, zeskoczył lekko z krzesła.

- Wiesz, co to byli za ludzie?

- Nie mam pojęcia. Lecz teraz już są niegroźni i nie mamy powodu, aby po nich płakać czy ich żałować, ponieważ sami ściągnęli na siebie śmierć, atakując prawych ludzi. Siadaj więc i rozgość się. Jeśli chcesz, każę rozpalić ogień.

Will zignorował sugestię.

- Nie są więc z tych stron? Nie rozpoznałaś żadnego z nich?

- Nie, a znam z widzenia każdego człowieka w promieniu wielu mil. Tamci nie są z tych dolin, lecz wiem równie dobrze jak ty, z której strony przybyli. Jedyne, co zauważyłam z dachu, to że są głodni i zdesperowani i że jest ich zbyt wielu, abyśmy mogli dać im odpór. Musieli nas wcześniej szpiegować, bo zakradli się potajemnie. Nie widzieliśmy nic, dopóki jeden z nich nie pokazał się przez przypadek; zauważył go jeden z naszych ludzi. W przeciwnym razie zaskoczyliby nas i bez problemu przejęli dom... Jednak udało się podnieść alarm i mieliśmy czas, aby wprowadzić wszystkich do środka i zabarykadować drzwi, lecz nie mogliśmy zrobić wiele więcej. Zawdzięczamy

w*łm Z3.tcm życie wJ dybyście się nie pojawili, może po powrocie nie zastalibyście na miejscu nikogo i nic.

- No cóż, wróciliśmy, więc dziękujemy Bogu. To ja jestem wdzięczny. Nie usiądziesz?

Przechyliła głowę, uśmiechając się do niego.

- Usiądę, jeśli ty to zrobisz. Ale nawet nie zapytałeś mnie, czy twój skarb jest bezpieczny.

Will odpowiedział uśmiechem.

-To twój skarb, a poza tym nie muszę pytać. Na pewno jest bezpieczny, skoro powiedziałaś Tamowi, aby ulokował więźniów w oborze.

- Nie są w tamtej oborze. Na tyłach jest jeszcze jedna.

- Mimo to jestem pewien, że złoto jest bezpieczne. Twój goście nie mieli czasu, aby się tu włamać, nie wspominając nawet o buszowaniu po oborach w poszukiwaniu ukrytych skarbów, więc twoja skrzynia z pewnością jest tam, gdzie ją zostawiliśmy. - Usadowił się na sporym, miękkim krześle, a Jessie usiadła naprzeciwko, podkulając pod siebie skromnie nogi, choć po obfitej sukni ledwie było to widać. Will wlepił wzrok w lekko napięty materiał na jej kolanach, a potem zdał sobie sprawę z tego, co robi, i poczuł, że się rumieni, podnosząc na nią oczy.

- A zatem - powiedziała, sprawiając wrażenie nieświadomej - czy twoja podróż była warta zachodu? Muszę przyznać, że jestem ciekawa, ponieważ Mikołaj Balmyle jest człowiekiem wielkiej renomy i podejrzewam, że niewielu wzywa do siebie osobiście, chyba że w sprawach króla. Możesz mi coś powiedzieć o swojej wizycie?

Will z lekkim zaskoczeniem odkrył, że może, i to bez wahania, choć jeszcze niedawno wzbraniałby się i z wielką niechęcią wyznałby cokolwiek na temat Zakonu Jessie czy każdej innej kobiecie. Teraz spostrzegł się, że odpowiada swobodnie, i zrelacjonował jej to, czego dowiedział się w Saint Andrews o wahaniach papieża, o tym, jak podpisał, a potem anulował ułaskawienie, o lojalności szkockich templariuszy i prośbie, którą wystosowano pod jego adresem, aby wziął ich pod skrzydła swej władzy.

- A zatem czego chce od ciebie Balmyle?

Choć Will zobaczył oczami duszy twarz nie Mikołaja, lecz Williama Lambertona, odpowiedział jej od razu, przypisując życzenie arcybiskupa byłemu kanclerzowi.

- Chce, abym wsparł szkockich braci i dodał im odwagi.
- Możesz to zrobić? To znaczy wiem, że możesz, lecz jak to zrobisz, nie łamiąc przysięgi o zachowaniu waszej obecności w tajemnicy?

Will wyjaśnił wtedy plan zgromadzenia szkockich templariuszy na Arran, zwolnienia ich ze ślubów czystości i ubóstwa oraz usunięcia wszelkich oznak ich przynależności do Zakonu, identycznego jak w przypadku jego własnych ludzi.

- A co potem? - spytała Jessie. - Kiedy ty i inni popłyniecie do Meryki... jak będą mogli dalej odprawiać swoje rytuały? A może nie będą już tego robili?

-Wrócą do Szkocji i otworzymy tam nową kapitułę... może niejedną. Odkryję odpowiedź na tę zagadkę, kiedy tylko poznam strukturę i rozmieszczenie bractwa. A zatem na razie jedna kapituła i jedna loża. Więcej w razie potrzeby.

Zmarszczyła brwi.

- Lecz jak to zrobisz, nie wyjawiając ich istnienia? Dlaczego zmieniać ich powierzchownie, aby stali się niewidzialni, skoro wzywasz ich jawnie jako templariuszy?

- I serwientów. Nie zapominaj o serwientach. Przecież nie powiedziałem nic o jawności. Nasz Zakon jest zamknięty i pełen tajemnic. Nikt nie będzie wiedział, że istnieje, choć będzie działał niemal całkowicie na widoku. Ludzie widzą to, co spodziewają się ujrzeć, pani.

-Jessie. Proszę, nie mów do mnie „pani”.

- Dobrze, Jessie. Jeśli zobaczą zgromadzenie mężczyzn z rozwidłonymi brodami i równoramiennymi krzyżami, uznają, że to spotkanie templariuszy. Jeśli zobaczą chłopów, uznają, że to spotkanie targowe. W naszym wypadku zobaczą jedynie rycerzy i wojów zbierających się otwarcie po to, po co zazwyczaj spotykają się rycerze... a w kraju toczy się wojna, więc nikt się nie będzie nad tym zastanawiał. Nowi templariusze Szkocji będą załatwiać swoje sprawy pod ową przykrywką zwyczajności, jak zawsze w tajemnicy. Wierz mi, to zadziała.

Milczała przez chwilę, analizując informacje, a potem kiwnęła głową.

- Wierzę w to. Jeśli ktokolwiek potrafi tego dokonać, to tylko ty. Czy zatem zgromadzenie odbędzie się w ciągu najbliższego miesiąca?

-Tak.

- A potem? Pytałeś o przedstawiciela w Genui?

- Pytałem i dostałem niespodziewaną odpowiedź. - Znów zmarszczyła brwi, a on się uśmiechnął. — Doradzono mi, abym wraz z admi-
rałem de Berengerem sam pojechał do Genui, żeby dokonać negocjacji i zakupu, korzystając z jego dogłębnej wiedzy.

Jessie uniosła brwi.

- To wspaniały pomysł. Balmyle'a?

- No cóż, biskup Moray wspomniał o tym pierwszy, a wszyscy uznali, że to najrozsądniejsze wyjście. Zawiozę listy polecające kardynałowi Belliniemu, który od lat jest przyjacielem arcybiskupa Lambertona i popiera sprawę Szkocji na dworze papieskim, a jego pomoc powinna zapewnić mi dostęp do najlepszych ludzi dla moich celów.

- Kiedy wyjeżdżasz?

-Jak najszybciej. Spodziewam się, że natychmiast po zgromadzeniu na Arran.

- A jak długo cię nie będzie?

Will opuścił kąciki ust.

- Tak długo, jak będzie trzeba, lecz wątpię, aby potrwało to dłużej niż miesiąc... Z pewnością nie dwa, chyba że coś pójdzie bardzo źle. Może natychmiast znajdziemy to, czego szukamy, a statki będą na nas czekały, lecz może to tylko pobożne życzenia. Bardziej prawdopodobne jest, że będziemy musieli zamówić jeden... albo więcej, w zależności od tego, na co nas będzie stać... aby zbudowano go od podstaw. Jeśli tak będzie, zostawię tam de Berengera, aby nadzorował budowę i wyposażenie statku, a sam wrócę na Arran i wyślę marynarzy na próbne rejsy. Dzięki temu zdążą się do nich przyzwyczaić, zanim wrócą do domu. Przed opuszczeniem Arran będzie trzeba rozważyć mnóstwo szczegółów, lecz dzięki Bogu większość z nich przypadnie w udziale de Berengerowi. Oczywiście sam też będę miał wiele do zrobienia.

- Oczywiście. - Jessie niemal się uśmiechała. - Zatem wypłyniesz za mniej więcej dwa miesiące, a potem przez kilka cię nie będzie. Wyjedziesz we wrześniu i może wrócisz w listopadzie.

- Zgadza się. Czemu jesteś tego tak ciekawa?

- Ponieważ listopad to ponury miesiąc, a ty będziesz przeprowadzał się przez Morze Północne, najbardziej niespokojne w całym świecie chrześcijańskim. Może nie zdążysz wrócić.

- Jakoś wrócę, wierz mi. Lecz jeśli faktycznie okaże się to niemoż-

liwc, przezimuję w Genui i wrócę na wiosnę. Sądzę, że Henrykowi spodobałaby się Genua w zimie.

- Henryk? Henryk nie jedzie z tobą.

Will przechylił głowę.

- Nie? To mnie zaskakuje; jest moim giermkim. Dlaczego nie jedzie ze mną?

Machnęła na niego rękami, jakby był naprzykrzającym się jej szczeniakiem.

- Ależ, człowieku! Ponieważ nie jest jeszcze dość zdrowy, aby po dróżować, daleko mu do tego. Nie chcę o tym słyszeć.

-Ale... przecież nie mogę go po prostu zostawić tu z tobą, Jessie. To byłoby niestosowne...

- Niestosowne? - Spojrzenie, które rzuciła mu spod uniesionej brwi, było pełne miażdżącej pogardy. - Co byłoby niestosowne, Wil-lu Sinclairze? Sam powiedziałeś, że jest jeszcze ledwie chłopcem. Zakładam, że chodzi ci o to, iż nie *jest jeszcze* bykiem rozplodowym. Myślisz, że mogę go uwieść pod twoją nieobecność?

- Jessie!

Uniosła głowę, patrząc na niego z wysoka.

- Jessie! - przedrzeźniała go. - Za kogo mnie masz, panie?

Will, który nigdy nie uchylił się przed uzbrojonym napastnikiem, zadrżał pod jej potępieniem, a ona natychmiast się nad nim zlitowała, a jej głos złagodniał.

- Ten chłopak jest zbyt słaby na podróż, zostanie więc tutaj i koniec sprawy. Masz zbyt wiele na głowie, zbyt dużo innych spraw, o które musisz się troszczyć, żebym mogła się zgodzić na powierzenie ci jeszcze jego zdrowia. Będzie bezpieczny. Dzisiejszy atak był pierwszym tego rodzaju, od kiedy tu jestem; rozpowiem o nim innym ludziom z dolin i będziemy gotowi, jeśli jeszcze kiedyś coś takiego nastąpi. Zaufaj mi.

- Ufam ci, lecz nie wierzę, że to się już nie zdarzy. Przynajmniej Anglicy wrócą, raczej wcześniej niż później. Doprowadzi do tego zachłanność ich baronów, nawet gdyby Edward Bruce nie rzucił ich królowi otwartego wyzwania.

- Co masz na myśli? Nie wiem nic o żadnym wyzwaniu rzuconym angielskiemu królowi, a Robert krótko trzyma swojego zapalczywego brata.

- Nie dość krótko - prychnął Will. - Dowiedziałem się tego w Arbroath. Mówi się o tym w tamtejszych gospodach. Kilka miesięcy temu król obarczył Edwarda misją okupowania Stirling, chcąc zająć go przejmowaniem kontroli nad jednym z dwóch ostatnich szkockich zamków, które wciąż są w rękach Anglików. Lecz zamiast zrobić, jak mu kazano, i umocnić oblężenie, waleczny hrabia Carrick się znudził i jak zwykle zaczął się bawić w upartego, bezmyślnego głupca. Wybrał drogę rycerskości, nie biorąc pod uwagę tego, że jego brat od ośmiu lat toczy walkę podstępem, od angielskiego kodeksu rycerskiego i otwartych bitew woląc brutalny i skuteczny styl świętej pamięci Williama Wallace'a.

- Na Boga, co zrobił?

- Wynegocjował rozejm z Moubrayem, angielskim namiestnikiem zamku w Stirling, a jego warunki będą niczym policzek żelazną rękawicą w twarz Anglii. Robert jest wściekły, lecz nic nie może poradzić. Dokonało się.

- Jakie postawił warunki?

- Rok rozejmu zakończony poddaniem się zamku w następnym dniu świętego Jana, w razie jeśli nie zostanie oswobodzony.

-W razie...? Dobry Boże w niebiosach! Ten człowiek jest chyba szalony.

- Szalony jak zając w marcu.

- Dał Anglii rok na zebranie armii.

- Gorzej. Dał Edwardowi powód do zwołania swoich zbuntowanych baronów i zakończenia wojny domowej, która sprawiała, że był bezsilny. Obraził honor każdego Anglika, który uważa się za lepszego od Szkotów. Edward Bruce zagwarantował nową inwazję, a twój dom znajduje się dokładnie przy jedynej trasie na zachód Szkocji.

Jessie długo milczała, lecz kiedy Will patrzył na nią, wyprostowała ramiona i w końcu szarpnęła głową.

- Ano, może i tak - powiedziała wyzywająco. - Ale to kolejny świetny powód, dla którego powinienesz zabrać mnie ze sobą, kiedy popłyniesz do twojej nowej ziemi.

W jej spojrzeniu był ślad uśmiechu mimo powagi zagrożenia, o którym wspomniał, lecz jej śmiałość znów zapała mu dech w piersiach, odbierając sens jego postanowieniu, że w przyszłości zaakceptuje jej bezpośredniość. Potrafił się tylko na nią zagapić, świadom, że rozdzia-

wia usta, ale nie może nic na to poradzić, aż parsknęła nieeleganckim śmiechem.

— Twój rozum, Will! Rusz nim, bo obawiam się, że działa bardzo wolno. To żart. Dworowałam sobie tylko z siebie.

Przełknął ślinę.

— Dziwna pora na żarty - wymamrotał. - I jeszcze dziwniejszy ich temat. Wybacz, pani, jak wiesz, nie jestem przyzwyczajony do kobiet i ich poczucia humoru, więc masz nade mną przewagę... Do tego stopnia, że zastanawiam się, jak często dworowałaś sobie ze mnie wcześniej, bez mojej wiedzy.

-Więc znów jestem „panią”, tak? - Pokręciła głową zirytowana. - Och, Will, nie żartowałamby sobie z ciebie niezycliwe. Oczywiście wieści są ponure, lecz czasem musimy śmiać się z siebie i losu, albo oszalejemy. Przepraszam. Po prostu chodzi o to, że potrafisz być czasem tak... tak przewidywalny, iż nie potrafię oprzeć się pokusie sprawienia, abyś wytrzeszczył oczy w ten sposób. - Wstała i spojrzała w stronę drzwi. - Ciekawe, czy w domu wszystko wraca do normy. Jeśli wybaczysz mi na chwilę, zaraz wrócę.

Kiedy wyszła, Will wstał i rozprostował ramiona, po czym rozejrzał się po komnacie, zdając sobie nagle sprawę z tego, jak ciemno się w niej zrobiło i jak chłodne jest powietrze, choć zewnętrzna część domu wciąż była skąpana w ciepłym, popołudniowym świetle lipcowego słońca.

Jessie wróciła do komnaty i na swoje krzesło, gestem zapraszając Willa, aby usiadł.

— Hektor ześle za chwilę coś do jedzenia, a tymczasem wciąż masz na sobie zbroję. - Uśmiechnęła się do niego. - Wiem, że jesteś przyzwyczajony do noszenia jej bez przerwy, lecz robi mi się duszno od samego patrzenia na ciebie.

Will zmarszczył brwi i spojrzawszy po sobie, od razu dostrzegł, co Jessie ma na myśli; sam przyznał, być może po raz pierwszy, że nie pasuje do tej wygodnie umeblowanej, ewidentnie kobiecej komnaty. Miał na sobie pełną zbroję z wyłączeniem jedynie hełmu i nagle, niewytłumaczalnie dla siebie samego, poczuł zapach potu - własnego i końskiego - a jego solidnie obute i uzbrojone stopy zrobiły na nim wrażenie ciężkich jak ołów, kiedy zaszurał nimi niezręcznie. Był ubrany w kolczugę z kapturem, zrobioną z potężnych, wypolerowanych

ogniw, sięgającą kostek i zapiętą z przodu rzemieniami, a także szeroki skórzany pas z mieczem na pełnym, stalowym kirysie. Kolczuga była z tyłu rozcięta od pasa w dół, aby było wygodnie podczas jazdy konnej. Pod kirys Will włożył gruby skórzany kaftan z podszewką z pikowanego barchanu, a także koszulę z misternie tkanej wełny, jego jedyne ustępstwo na rzecz własnej wygody, dokonane jedynie dlatego, że nie znosił dotyku szorstkiego barchanu na gołej skórze. Pod ciężkimi nogawicami z metalowych ogniw miał lekkie getry w stylu saksońskim, wepchnięte w wysokie skórzane buty. Po raz pierwszy w swoim dorosłym życiu poczuł się nie na miejscu, niezgrabnie i nieco śmiesznie, a nawet groteskowo. Jessie wciąż się do niego uśmiechała.

- Mam nadzieję, że to cię nie urazi, lecz wiedząc, iż podczas podróży nie wozisz ze sobą wielu ubrań, pozwoliłam sobie wyłożyć ubrania mojego świętej pamięci męża na pryczy w komnacie położonej obok tej, którą zajmowałeś ostatnio. Etienne, niech Bóg czuwa nad jego duszą, był chyba podobnych rozmiarów co ty... może nieco węższy w klatce piersiowej i ramionach. Powinieneś się bez kłopotu w nie zmieścić, a obiecuję, że będą bardziej miękkie i znacznie cieplejsze niż ta kolczuga. - Poczekała na jego reakcję, a skoro jej nie było, Jessie do dała, szczerząc zęby psotnie: - Zaręczam ci, możesz spokojnie chodzić po tym domu bez zbroi. Jest małe prawdopodobieństwo, że znów zo staniemy zaatakowani. Drugi najazd w ciągu tego samego dnia byłby nieuprzejmy i nie do przyjęcia.

Will zapomniał języka w gębie. Wiedział, że Jessie żartuje sobie z niego, lecz wciąż był zbyt niepewny siebie w tej nowej relacji i nie potrafił sformułować właściwej odpowiedzi; bał się, że zrobi z siebie idiotę, mówiąc coś niedorzecznego, lub zrobi złe wrażenie, kiedy palnie coś, co zabrzmiałoby obcesowo i ponuro. Jednak śmiech skrzący się w jej oczach był wyraźny, a on poczuł, że bardzo chce odwzajemnić się podobną ripostą. Zmusił się do uśmiechu.

- Widzę, że znów się ze mną droczysz, pani - udało mu się w końcu powiedzieć łagodnym tonem. — Lecz czuję, że nie masz na myśli nic złego, więc w dowód tego przyjmę twoją uprzejmość i spróbuję zmieścić się w ubrania, które dla mnie zostawiłaś. Mówisz, że są w komnacie obok tej, w której zatrzymałem się poprzednim razem?

- Tak - powiedziała, a w jej głosie i oczach nie było już śladu figlar-

ności; został tylko ciepły uśmiech. - Możesz wybrać z trzech kompletów. Mam wysłać na górę któregoś z twoich ludzi, aby ci pomógł? Udało mu się unieść brew z kpina.

- Nie, pani - odparł oficjalnie. - W ciągu wieloletniej służby jako mnich i rycerz nauczyłem się dość dobrze ubierać i rozbierać, a nawet zbroić i rozbijać, bez niczyjej pomocy. Wybaczysz mi więc na chwilę?

- Poczekaj, będziesz potrzebował światła. Na górze jest ciemno. Weź jedną z tamtych świec... I przymierz zielone ubrania. Myślę, że będzie ci dobrze w tym kolorze.

Skłonił się jej bez słowa i podszedł do palącej się na stole długiej łożówki, ustawionej obok innych świec. Wybrał jedną i zapalił ją, a potem wyszedł z pokoju, osłaniając płomyk dłonią, bez przerwy czując na sobie wzrok Jessie.

Wielki Boże w niebiosach - pomyślała Jessie, kiedy wyszedł. Oto prawdziwa zmiana. Któż mógłby w nią uwierzyć? I skąd się wzięła? Wielki William Sinclair rumieni się i wytrzeszcza oczy niczym skarcony ministrant. Niemal trudno dać wiarę, lecz dziękuję niebiosom, że tak się stało, i modlę się, aby nie zmienił zdania i nastroju. Wracaj szybko, Will, wracaj szybko.

Na górze Will ściągnął zbroję, pikowaną tunikę i getry, aż został tylko w białym fartuchu z jagnięcej skóry, a potem spędził niestosownie, jak mu się wydawało, długą chwilę pochylony nad łóżkiem, przyglądając się uważnie trzem stertom ubrań i dotykając palcami różnych tkanin. Były piękne, miękkie i dostarczały jego zmysłom wspaniałych wrażeń; w końcu zdecydował się na zieleń, ponieważ nawet w świetle świecy barwa ta robiła na nim wrażenie jaskrawszej, a on czuł niezgłębioną ochotę na włożenie czegoś kolorowego.

Dopiero kiedy podniósł delikatną koszulę o kwadratowym wycięciu, zrobioną z cienkiej, bladozielonej wełny, zastanawiając się, czy faktycznie się w nią zmieści, zauważył misę do mycia i dzban czystej wody na wąskim stole w nogach łóżka. Podszedł do niego ostrożnie i zobaczył, że po obu stronach misy leży ręcznik z tłoczonego materiału nazywanego, jak wiedział, egipską bawełną, oraz mniejszy, złożony kwadrat tej samej tkaniny - podobny do tego, którego jego siostra Peggy używała do mycia twarzy - i mała kostka kosztownego, pięknie pachnącego mydła, z pewnością nie wytworzonego w Szkocji. Dotknął mydła z wahaniem, dziwiąc się jego kremowej konsystencji,

i pod wpływem impulsu postanowił go użyć. Nappełnił misę wodą, namoczył szmatkę do mycia i potarł ją mydłem, wdychając głęboko wyzwolony przez nie przyjemny aromat, który niemal zawrócił mu w głowie. Kiedy już zaczął, nie tracąc czasu wyszorował cały tułów, pocierając szmatką skórę pod pachami i ciesząc się chłodem wody na rozgrzanym ciele. Wysuszył się kosztownym ręcznikiem, wylał nieco wody na głowę, pomasował i wytarł włosy, aż były prawie suche, po czym przeczesał je palcami. Następnie - niewiarygodnie odświeżony i ożywiony - rozpoczął próbę połapania się w ubraniach, które musiał włożyć.

Naciągnął parę najdelikatniejszych bryczesów, jakie kiedykolwiek miał na sobie, układając je niemal wygodnie na fartuchu i czując, że choć są luźne, opinają jego muskularne uda i łydki. Zawiązał dokładnie sznurek, który miały w talii, po czym włożył pasującą do nich koszulę, która otuliła jego ciało i rozciągnęła się bez problemu dookoła jego klatki piersiowej. Zawiązując jedyne zapięcie przy szyi, spojrzął na pozostałą odzież leżącą na łóżku. Były tam pończochy z wiązaniami w kolanach i Will od razu pojął, że powinny być pod bryczesami, więc zdjął je i włożył bladezielone pończochy, które tak się naciągnęły na jego łydkach, że nie musiał ich wiązać. Potem ponownie włożył spodnie. Następnie wsunął na nogi sięgające łydek buty z elastycznej, ciemnozielonej skóry zwanej giemzą, cienkiej jak pergamin i wypolerowanej do jedwabistego połysku: pasowały na niego jak ulał. Sukces z butami dodał mu odwagi, więc narzucił szybko luźną koszulę z szerokim, głębokim wycięciem, o kilka odcieni ciemniejszą niż spodnia koszula, a przemiany dopełniła wierzchnia część garderoby przypominająca otwartą z przodu oponczę z rękawami, której jedną połę założył na drugą, a całość przewiązał długim, plecionym pasem z tego samego materiału. Nie mógł zobaczyć swojego odbicia, lecz jeszcze nigdy nie czuł się równie swobodnie. Zebrał ostrożnie swoje ubrania i zbroję, zarzucając pas z mieczem na ramię, a potem zataszczył ciężką i nieporęczną stertę do sąsiedniego pokoju, gdzie rzucił ją na prycę; idąc, zdał sobie w pełni sprawę, że pożyczone szaty budzą w nim dziwną nieśmiałość.

U szczytu schodów usłyszał śmiech dobiegający zza otwartych drzwi na drugim końcu korytarza, a kiedy podszedł i wsunął głowę do jasno oświetlonej komnaty, znalazł w niej Henryka, siedzącego

w łóżku i karmionego zupą przez jedną ze służek Jessie, tę o imieniu Marie. Obok niej, na krześle stojącym bliżej nóg łóżka, siedziała Marjorie, szczebiocząc wesoło i patrząc w kolorowy haft, nad którym, zdaje się, właśnie pracowała. Na oczach Willa podniosła rozbawiony wzrok na Henryka i dodała jakiś żarcik, który rozśmieszył chłopca właśnie w chwili, kiedy zauważył swojego pana i mentora. Śmiech umilkł szybko, a Henryk spróbował podciągnąć się na łóżku, sycząc z bólu, gdy napiął mięśnie ramienia, lecz Will powstrzymał go wyciągniętą ręką i kazał mu się nie ruszać. Nagła cisza miała w sobie coś dziwnego, jakby wszyscy troje skamieniali w pół ruchu: Marie z wyciągniętą łyżką, Marjorie zawieszona w zaskoczeniu, z uśmiechem wciąż na twarzy, a sam Henryk w pozie, jakby zaraz miał się przewrócić na bok. Will skinął przyjaźnie głową i powitał obie panie po kolei, a potem zamienił z chłopcem kilka słów, dowiadując się o jego zdrowie i zawstydzając go pytaniem, czy jest zadowolony z uwagi, którą się mu poświęca.

Will uznał, że młodzieniec wygląda dobrze: był wciąż blady jak воск, a pod oczami miał purpurowe sińce, lecz jego wejrzenie było pogodne, a włosy czyste i lśniące zdrowiem. Choć wciąż spowijały go bandaże, wyglądało na to, że jego bark jest w naturalnej pozycji, a ramiona spoczywają swobodnie na łóżku. Will porozmawiał z nimi jeszcze chwilę, usiłując sprawić, żeby się trochę rozluźnili, choć poczuł, że nie idzie mu najlepiej, a potem ich opuścił. Schodząc zdecydowanie po schodach, czuł głęboką ulgę na myśl o tym, że jego giermek ma się coraz lepiej.

Siedząc przed ogniem, który teraz buzował w kominku, Jessie pochylała głowę i udawała, że jest pochłonięta cerowaniem kawałka materiału, który leżał na jej kolanach, lecz musiała walczyć z impulsem ochoczego podniesienia wzroku, kiedy Will zapukał i wszedł.

A teraz wejdź, Willu Sinclairze, i zajmij właściwe ci miejsce, nie kwestionując każdego swojego odruchu. Na Boga, bądź mężczyzną, nie mnichem, wojownikiem, lecz nie rycerzem. Przywołaj tę swoją słynną odwagę i pozwól jej wzmocnić cię, abys zobaczył mnie jako kobietę i przyjaciółkę, a nie zagrożenie. A kiedy w końcu podniosę na ciebie wzrok, Boże dopomóż, niech zobaczę w człowieku zmianę dorównującą zmianie odzienia, prosiła w duchu.

Will stał w milczeniu tuż za progiem i wlepił w nią oczy, wstrzymując oddech i czekając, aż na niego spojrzy.

- Chodź, siadaj - powiedziała cicho, nie zmieniając pozycji. - Jeśli okażesz mi cierpliwość, za chwilę skończę.

Podszedł do krzesła naprzeciwko niej i stanął tam, czując się niewytłumaczalnie niezręcznie bez ochrony, którą dawała mu zbroja, lecz kiedy Jessie nie zareagowała na jego bliskość, usiadł powoli, przyglądając się jej palcom. W końcu zaczął się odprężyć, ukojony spokojną koncentracją, którą promieniowała, i cieszyć się bijącym z ognia ciepłem. Jessie wciąż cerowała. Miała gołą głowę, a jej włosy rozdzielone były prostym przedziałkiem i zaplecione w idealne warkocze, zwinięte w spirale i upięte tak, że przykrywały jej uszy. W bezruchu komnaty, przerywanym jedynie migotaniem płomieni i cieni oraz zręcznymi, szybkimi ruchami palców Jessie, Will wyobrażał sobie, że czuje jej zapach, napływającą ku niemu świadomość ciepła i słodkiej czystości;

kiedy tak patrzył, uświadomił sobie, że cała sztywność i napięcie, które utrzymywało go w stanie zawieszenia, opuszcza go wraz z każdym oddechem.

Jessie musiała walczyć ze sobą, aby nie oderwać wzroku od szycia, lecz kątem oka widziała jego stopy i kostki w przepysznych, zielonych butach oraz to, jak krzyżują się i rozkrzyżowują, a w końcu spoczywają wygodnie: jedna płasko na ziemi, druga przechylona w bok, oparta swobodnie na pięcie. Od tej chwili niemal mogła poczuć, jak Will się rozluźnia, a wtedy radość zapłonęła w niej jaśniej. Jednak wciąż pochylała się nad robótką, mając nadzieję, iż Sinclair wie dość mało o posługiwaniu się igłą, aby nie dostrzec, że to, co ona robi, do niczego nie prowadzi.

Na szczęście Will nie miał pojęcia o szyciu. Lecz wiedział, że dzieje się coś dziwnego, a także, że cokolwiek to jest, on się na to godzi z powodów, których nie chciałoby mu się nazywać. Patrząc na Jessie, był niejasno świadom drobnego, subtelnego drgnienia gdzieś z tyłu jego umysłu, które drażniło się z głęboko zakorzenionymi konceptami lojalności i konfliktu, ale zignorował je rozmyślnie, zadowolając się jak na razie ufaniem swoim instynktom, jak to robił zawsze wcześniej, spoglądaniem na to, co jest przed jego oczami, i wiarą, że wszystko jest tak, jak powinno.

Ocknął się dopiero, kiedy Jessie podniosła nagle głowę i uśmiechnęła się do niego, zdumiony, że prawie się zdrzemnął; uspiło go ciepło bijące od ognia i dobre samopoczucie. Wyprostował się z poczuciem winy, rozglądając się dookoła i po raz pierwszy zdając sobie sprawę, że są sami w wygodnej, oświetlonej płomieniami komnacie, w sytuacji, którą można było nazwać jedynie intymną. Zawstydzony, że dał się tak zaskoczyć, i wielce skrępowany, niemal spojrzął wilkiem na swoją gospodynię.

- Gdzie są wszyscy?

Jessie tylko zamruwała oczami ze skromnym i nieco zdumionym wyrazem twarzy.

- Wszyscy? Ach, masz na myśli Tama. Powiedziałam mu, żeby spędził wieczór wedle swojego uznania.

Wstała, wciąż ściskając robótkę, i podeszła do wielkiego stołu pod ścianą koło kominka. Kiedy Will dostrzegł, w jaki sposób jej suknia rusza się dookoła niej, z zaskoczeniem stwierdził, że mimo nagłego zażenowania dopiero teraz zwraca uwagę na jej ciało.

Jessie, która nie widziała jego twarzy, wciąż mówiła, zwracając się do niego przez ramię i przyglądając się blatowi stołu.

- Wiesz, ten biedny człowiek w ogóle nie ma własnego życia. Spędza zdecydowanie zbyt wiele czasu z tobą, spełniając każde twoje życzenie i kaprys. Uwolniłam go więc na dzisiejszy wieczór w nagrodę za uratowanie nas. Zapewne dobrze się teraz bawi w towarzystwie Mungo i innych, ponieważ jestem pewna, że Hektor dostarczył im wiele jedzenia i napitku, o ile sam do nich nie dołączył.

Will odchrząknął, a potem wyrzucił z siebie to, co chodziło mu po głowie:

- Nie chodziło mi o Tama, lady Jessico. Myślałem o twoich... towarzyszkach, twej podopiecznej i dwóch służkach. Czy nie powinny być z nami?

- A dlaczego moje służki powinny tu być? - Odwróciła się do niego, a on nie potrafił odczytać wyrazu jej twarzy i oczu, ponieważ nie dała mu na to czasu. - Aby zapewnić przyzwoitość? Martwisz się o swoje bezpieczeństwo sam na sam ze mną?

- Nie, nie to miałem na myśli. - Wyrzucił w górę dłonie, a potem pozwolił im opaść i potrząsnął głową. — Oczywiście, że nie to miałem na myśli. Lecz nigdy nie widziałem, żeby nie towarzyszyły ci przez tak długi czas. Marjorie prawie cię nie opuszcza, a z kobiet zawsze choć jedna jest w pobliżu.

- Od czasu przybycia twojego młodego giermka sytuacja się zmieniła i przyzwyczaiłam się już do tego, że jestem zaniedbywana i to jego potrzeby są na pierwszym miejscu. Wiesz, oczarował Marjorie. Mia nowała się jego opiekunką i rozporządza nami wszystkimi jak tyran, abyśmy robili dla niego wszystko, co trzeba. A zatem kobiety w tym gospodarstwie usługują Henrykowi, zabawiają Henryka i bezustannie się dookoła niego kręcą... przez większość czasu robię to też ja. - Czułość w jej oczach eliminowała z jej głosu wszelką uszczypliwość. - Oto, gdzie są wszyscy... Zajmują się Henrykiem, podczas gdy ja podobno zajmuję się tobą. Lecz obawiam się, że cię zaniebdywałam.

Odwróciła się, odłożyła robótkę i zdjęła serwety przykrywające poczęstunek ułożony na stoliku.

- Na pewno jesteś głodny. - Wskazała dłonią na jedzenie, a Will poczuł, jak ślina napływa mu do ust. - To zimna sarnina we wspa nialej skórce, przygotowana przez Hektora, a tutaj łosoś, upieczony

i oskórowany dla ciebie, również dzieło Hektora, bez którego umarłabym z głodu i w biedzie. Lecz jeśli te dania cię nie zadowolają, jest tu jeszcze gorące pieczone prosię, a obok jego skóra, nienaruszona i soczysta, pokryta mąką i solą, przypieczona do chrupkości, która według Hektora sprawiłaby, że martwy zacząłby się ślinić. - Uniosła krawędzie śnieżnobiałej serwetki przykrywającej trzy małe, gliniane naczynia. - Nasz własny ser, słodkie jabłka z naszych drzew i świeży chleb, chrupki i ciepły, prosto z pieca. Do picia mamy resztkę wina przywiezionego dwa lata temu z Bordeaux, zarówno czerwonego, jak i złotego.

Will wstał, mrugając oczami, oszołomiony obfitością i całkowicie rozbrojony tym, jaką przyjemność sprawia jej jego towarzystwo. Pokiwał wolno głową i podszedł do stołu, gdzie stała Jessie, wyciągając w jego stronę drewniany półmisek.

- Prosię jest pyszne. Spróbowałam trochę skórki, kiedy Henryk je przyniósł, a ty byłeś na gorze. - Uśmiechała się szeroko, najwyraźniej wielce z czegoś zadowolona, choć nie miał pojęcia, co mogłoby to być. Pokiwał tylko głową i wziął od niej półmisek. — Pozwól, że ukroję ci trochę.

Postukała mocno skórkę ciężkim nożem, krusząc ją na kilka kawałków, po czym przeniosła dwa z nich na jego talerz, do tego odcięła pajdę chleba oraz dwa grube na palec plastry mięsiwa, pokroiła w ósemki czerwone jabłko i połowę z nich położyła obok mięsa. Wciąż nieco przytłoczony tym wszystkim Will podziękował jej gestem, kiedy zaproponowała, żeby poczęstował się jeszcze czymś, a potem rozejrzał się dookoła.

- Usiądź przy tym stole. Jest nakryty dla dwojga, z nożami, łyżką mi i solą. Jakie wino byś wolał?

Wybrał złote, a potem usiadł, podczas gdy ona nalała trunek i przyniosła mu go we wspaniałym, kryształowym kielichu. Wróciła do zastawionego stołu, aby nałożyć sobie kawałek zimnej sarniny oraz łososia, którego okrasila sporą porcją kremowego, złocistego sosu - kolejnej, jak powiedziała Willowi, tajemnicy Hektora - zrobionego z jajek, śmietany i ziół. W końcu usiadła naprzeciwko Sinclaira, pobłogosławiła posiłek i zabrała się do jedzenia z apetytem dwunastoletniego chłopca. Patrząc, jak zajada, Will zdał sobie sprawę, że umiera z głodu, ponieważ od świtu miał w ustach tylko garść owsa

i suszonych owoców. Jedli w niekrępującej ciszy, niemal z czcią oddając hołd mistrzowskiej kuchni Hektora, aż ich półmiski i kielichy opustoszały.

Kiedy Will rozsiadł się na krześle i odsunął talerz, Jessie przechyliła głowę, ponownie się do niego uśmiechając, a dowodem na to, jak bardzo zaczął ufać jej i samemu sobie, było to, że tylko odwzajemnił jej spojrzenie, nieco zaciekawiony, unosząc pytająco brew.

- Cieszę się, że wybrałeś zieleń - powiedziała. - Miałam rację, do brze ci w niej. A same ubrania wyglądają, jakby uszyto je na miarę.

Poczuł, że się rumieni, ale był to rumieniec zadowolenia, i udało mu się uprzejmie odpowiedzieć:

-Jestem twoim dłużnikiem... - Ugryzł się w język, zanim powiedział słowo „pani”, a potem się zawahał, zastanawiając się, czym powinien je zastąpić; uznał, że wciąż nie czuje się swobodnie, używając jej imienia. Zanim jednak zdążyła się wtrącić, słowa przyszły mu do głowy i uśmiechnął się z wdzięcznością. - Pokazałaś mi tu, tego wieczora, świat zwykłych, zadowolonych ludzi, którzy wiodą swój codzienny żywot nie ograniczeni bezustannymi obowiązkami i ścisłymi regułami zachowania.

Schyliła lekko głowę, przyjmując jego słowa.

- Zwykli, zadowoleni ludzie... Zastanawiam się, czy takie stworzenia naprawdę żyją na tym naszym świecie. Zwykłość jest bardziej zwykła, niż mogłoby się wydawać, a ty daleki jesteś od niej... Wiesz, bardzo się zmieniłeś od naszego pierwszego spotkania. Rok temu na pewno nie powiedziałbyś czegoś takiego, nigdy byś o tym nie pomyślał. Lecz szczerze mówiąc, jeszcze ledwie miesiąc temu nie uwierzyłabym, że będziemy mogli siedzieć tak długo i swobodnie razem. Po nury templariusz sir William Sinclair nigdy by na to nie pozwolił, aby nie znaleźć w tym przyjemności. — Uśmiechnęła się nagle, a jej oczy rozjarzyły się szelmowsko. - Cieszę się, że zamiast niego pojawił się tu dziś mój przyjaciel Will. Jest znacznie bardziej... ludzki... znacznie mniej przewidywalny i chmurny. - Jej uśmiech zniknął, kiedy wyprostowała się i zerknęła w wysoko położone okna. - Straciłam poczucie czasu, lecz wciąż widzę tam błękit, więc słońce jeszcze nie zaszło, a jeśli tak, nie nadszedł jeszcze zmierzch. - Wstała. — Chodź zatem. Jeśli się najadłeś, pójdz ze mną do obory, aby sprawdzić, czy nasza skrzynia ze skarbem jest bezpieczna, ponieważ wyznaję, że nie myśla-

łam o niej od czasu twojego przybycia, nie upewniałam się nawet, czy nasi goście jej nie naruszyli. Każę komuś sprzątnąć po posiłku.

- Ale nie wino.

Zerknęła na niego zaskoczona, zdumiona śladem bez troski w jego głosie.

- Nie, nie wino. Zachowamy je. I każę też dołożyć do ognia.

Stali razem w gęstniejącym mroku obory przed wiązkami siana kryjącymi skrzynię złotych monet, przyglądając się ich niezakłóconej symetrii. Na zewnątrz, wśród zapadającego zmierzchu, powracające bydło stukało kopytami po wyłożonym kocimi łbami dziedzińcu na tyłach obory. Żłoby po obu stronach Willa i Jessie były pełne świeżej paszy na nadchodzącą noc, lecz siano na podwyższeniu, gdzie ukryta była skrzynia, wyglądało na nietknięte.

- Myślisz, że jest dość bezpieczna, czy powinniśmy ją odkopać, żeby się upewnić?

Will odpowiedział, kręcąc lekko głową, ponieważ myślami był gdzie indziej. Kilku ludzi widziało jego i Jessie, kiedy tu szli, i choć wyglądało na to, że nikt nie zwrócił na nich większej uwagi, przyszła mu do głowy dręcząca myśl, że fakt, iż przebywają razem poza domem, wywoła podejrzenia o niewłaściwe zachowanie. Wzbudziła w nim niejasne poczucie zarówno nielojalności, jak i konsternacji, ponieważ gospodyni nie dała mu nawet najmniejszego powodu do zmartwień dotyczących moralności i wydawało mu się, że samo zastanawianie się nad tym poniża ich oboje. Usiłował przestać, lecz im bardziej się starał, z tym większym uporem ta myśl powracała; spekulował, co ludzie Jessie mogą teraz o niej sądzić, skoro spędza tyle czasu sam na sam z mężczyzną, który nie jest jej krewnym.

- O czym tak myślisz, panie rycerzu, z tak chmurnym czołem?

Will zebrał się w sobie z wysiłkiem i zbył jej pytanie ruchem ręki, mamrocząc w odpowiedzi coś niezrozumiałego i podchodząc do siana, na którym położył dłonie. Jednocześnie jednak zdał sobie sprawę, że ma na sobie czyste, zielone buty i że znajduje się w oborze. Rynsz-

tok biegnący pośrodku dawno już wyczyszczono i był suchy, lecz Will widział za niskimi drzwiami sylwetki zbliżających się zwierząt i natychmiast wydało mu się, że czuje kwaśny smród płynnego obornika zmieszanego z moczem. Uświadomił sobie, jak będzie wyglądać podłoga w chwilę po powrocie mieszkańców obory, i szybko się cofnął, podnosząc stopy z przesadną starannością. Kiedy jednak odwrócił się z powrotem do Jessie, zdążył odzyskać głos.

- Wybacz, baronowo, zamyśliłem się. Nawet w ciemnościach wyraźnie widać, że nikt tu niczego nie ruszał, a teraz twoi ludzie wrócili do domu. Pójdziemy?

Niebo pociemniało do koloru głębokiego fioletu, a ostatnie promienie niewidocznego już słońca rozjarzały chmury na zachodzie świetlistymi, ognistymi barwami oranżu, złota i czerwieni. Jessie zatrzymała się i podniosła wzrok na ten spektakl.

- Jak można patrzeć na coś takiego i nie wierzyć w Boga? Wygląda inaczej każdego dnia i zmienia się w każdej godzinie, i nigdy nie jest brzydkie. Nawet przy najpodlejszej pogodzie niebo jest zawsze nieziemsko piękne. Lecz wszystko się zmienia, gdzie tylko spojrzymy. - Zerknęła na niego z ukosa; stał w milczeniu obok niej, również obserwując zachód słońca. - Przyznam jednak, panie rycerzu, że zmiany, które dostrzegłam w tobie w ciągu ostatnich kilku tygodni, mnie zadziwiły. Uważam je za część życia, nieuniknioną jak to, że noc następuje po dniu, lecz mimo to zdumiewasz mnie.

- Zdumiewiam cię? Jak to, pani?

- Zobaczymy... Na wiele sposobów, i muszę rzec, że trudno byłoby mi wymienić tylko jeden... Lecz nie, to nieprawda. Jest jeden. Nauczyłeś się słuchać.

Na jego twarzy powoli pojawił się uśmiech.

- Zapewniam cię, baronowo...

-Jessie.

-Tak, Jessie... Zapewniam cię, Jessie, że nigdy **nie miałem** problemów ze słuchem.

- Nie twierdzę, że tak było. Powiedziałam, że nauczyłeś się słuchać, nie słyszeć. Słyszenie to umiejętność, lecz słuchanie to talent. Znam niewielu mężczyzn, którzy naprawdę słuchają kogokolwiek, nie wspominając już o kobietach. Twój przyjaciel Tam jest jednym z nich.

-Tam...? Mam nadzieję, że mi to wyjaśnisz.

Teraz to Jessie błysnęła zębami w uśmiechu, a Will poczuł, jak rośnie mu serce na widok tej żwawej radości.

- Tak, i to wolno, przez wzgląd na twoje męskie uszy. Lecz czy możemy się ruszyć? Robi się chłodno.

Zamilkła, kiedy ponownie zaczęli spacerować, a zanim zdążyła znów się odezwać, Will odwrócił głowę w stronę bramy, zwabiony dobiegającymi stamtąd głosami.

- Czy nie mówiłaś, że dałaś Tamowi wolny wieczór?

Zerknęła na niego szybko, a on roześmiał się głośno i ponownie odwrócił, nie zauważywszy wyrazu jej twarzy, i krzyknął z radością:

- No cóż, wygląda na to, że cię nie posłuchał! Tam! Sinclair! Do mnie!

Wielka grupa ludzi, niewyraźna w szybko zapadających ciemnościach do tego stopnia, że widać było tylko czarny zarys męskich sylwetek, weszła właśnie do zagrody; część trzymała łopaty o długich trzonkach. Nie można było jednak pomylić wyprostowanej sylwetki Tama idącego na czele czy towarzyszącego mu potężnego Mungo MacDowala z nikim innym. Zatrzymali się jednocześnie, a Will usłyszał, że Tam mówi coś do pozostałych. Podchodząc, chwiał się nieco, lecz daleko mu było do całkowitego upojenia. Kiedy znalazł się dość blisko, aby widzieć ich wyraźnie, zatrzymał się jak wryty, wytrzeszczając oczy i rozdziawiając usta na widok, jaki przedstawiał jego krewniak ubrany w wystawne szaty francuskiego możnego.

- Na Boga - wymamrotał, bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego. - Co...?

- Dobry wieczór, Tam. - Jessie wtrąciła się, zanim zdążył wybąkać cokolwiek, a on odwrócił się do niej, mrugając powoli powiekami.

- Ano, dobry, baronowo - mruknął, a jego szkocka mowa była jeszcze bardziej niewyraźna pod wpływem napitku. - Pikną noc.

Odwrócił głowę zadziornie w stronę Willa.

- Co tam robiliście o tak późnej porze?

- Tak późnej porze? Cały dzień żeśmy tam byli. Co myślisz, żeśmy robili? Grzebaliśmy trupy. Może pamiętasz, trochę ich tu leżało.

- Pamiętam. - Will odprowadził wzrokiem ostatnią część grupy, która zniknęła za rogiem głównego budynku. - Ilu was było?

- Sześciu do kopania... więźniów... i nas ośmiu do pilnowania. Czterech naszych i czterech od lady Jessie.

- A ile ciał?
 - Dziewięć, a każdy z nich ciężki sukinsyn... Wybacz, baronowo. Will kiwnął głową.
 - Dobra robota. Lecz baronowa właśnie mówiła mi, że dała ci dziś wolny wieczór.
 - Tak było. — Tam zmarszczył brwi. - Chcesz powiedzieć, że coś nie tak?
 - Nie, zastanawiałem się po prostu, dlaczego jej nie posłuchał?
 - Tak zrobiłem i żem jej za to podziękował. Co nie, baronowo?
- Ano. Tej nocy mam zamiar się schlać. Mamy w oborze napitek i strawę, żeby miał gdzie wsiąknąć, dzięki gospodarzowi Hektorowi Mac-Beanowi. Więc jeśli pozwolisz... — Znów urwał, powoli i badawczo przyglądając się krewnemu od stóp do głów, nie przegapiając żadnego szczegółu, a potem zwrócił się do Jessie, wskazując Willa kciukiem. - Widzi mi się, że to twoja robota. - Jessie uśmiechnęła się słabo, lecz nic nie powiedziała, a on pokręcił głową. - Nigdy żem nie widział nic podobnego. Nie dałbym wiary, jakbym sam tego nie zobaczył. Zielone buty! Zielone buty i żadnej zbroi... Nawet sztyletu. - Ponownie zerknął na Jessie, a potem wyprostował się jak struna, głośno odchrząkując. - No, pysznie wyglądasz, Willu Sinclairze. Pysznie i piknie i... nie tylko inaczej, ale też... akuratnie, rozumiesz? Zawsze powinienes nosić zielony. - Uśmiechnął się szelmowsko. - Pasuje ci. - Z tymi słowami odwrócił się i odszedł.
- Will nigdy się nie dowiedział, jak długo stał w miejscu bez słowa, lecz potem usłyszał, jak obok niego Jessie tłumi nagły dreszcz i zobaczył, jak obejmuje się ramionami.
- Zimno - szepnęła. — Chcę wrócić już do środka.
- Tym razem szybko przecięli dziedziniec, kierując się w stronę domu, a kiedy dotarli do głównej komnaty, drżeli już oboje; natychmiast podszli jak najbliżej do buzującego ognia. Stali obok siebie zamyśleni, patrząc w płomienie, aż Jessie przerwała ciszę cichym śmiechem.
- Widzisz? Tam pochwalił mój wybór. Zdziwiło cię to?
 - Od tamtej pory nie mam słów.
- Oboje odwrócili się do siebie, aby dodać coś jeszcze, i nagle ich twarze znalazły się ledwie o piędź od siebie. Przez chwilę milczeli, aż Jessie podniosła rękę do ust w zadziwieniu.
- Nigdy wcześniej nie słyszałam twojego śmiechu. Wiesz?

Will się odsunął i usiadł w jednym z wielkich krzesel, które pod ich nieobecność ustawiono przodem do ognia, a Jessie zajęła drugi.

- Nigdy? Trudno w to uwierzyć - powiedział, walcząc z pokusą zwrócenia się do niej po imieniu. - Jak długo się już znamy? Kiedyś z pewnością musiałaś słyszeć, jak się śmieję.

- Sześć lat upłynęło od czasu naszego spotkania tamtej nocy w La Rochelle. I nie zaśmiałaś się ani razu. Nie w mojej obecności. Aż do dzisiaj.

-To niepoważne - obruszył się. — Robisz ze mnie... mówisz tak, jakbym był... Ba! - Wyrzucił ręce w górę.

- Mówię, jakbyś był ponurym i nietolerancyjnym rycerzem, którego kiedyś znałam, templariuszem o nazwisku Guillaume de Saint-Clair... człowiekiem, który nigdy się przy mnie nie uśmiechał, nie wspominając nawet o śmianiu się. No, mów szczerze. Kiedy się ostatnio śmiałaś, tak naprawdę, aż bolały cię żebra? Pamiętasz?

Zamyślił się i spoważniał, kiedy cisza trwała coraz dłużej, lecz potem oczy mu się rozjarzyły i uderzył dłonią w poręcz krzesła.

- Tak! To było wtedy, kiedy Tam wpadł do rzeki w pełnej zbroi i nie potrafił się wyczołgać. Wypadłem z siodła ze śmiechu, a im bardziej był zły, tym śmieszniejsze mi się to wydawało. - Znów zaśmiał się cicho na to wspomnienie. -Tego dnia mocno padało... nieubłagane strugi deszczu... i brzeg rzeki rozmókł. Tam się poślizgnął i upuścił miecz w błoto... nie pamiętam, czemu go dobył i był pieszo... ale był na siebie wściekły i poszedł umyć go w rzece. Schylał się i wyciągał, aż stracił równowagę i wylądował na siedzeniu. Potem się okręcił, aż pa trzył na mnie z dzikim oburzeniem na twarzy... i ześlizgnął się powoli do tyłu z nogami w powietrzu, usiłując chwycić się błota, aż dotarł do wody. Jak już wpadł w pełnej zbroi, nie potrafił się wydostać. - Will śmiał się teraz do rozpuku, ściskając nasadę nosa palcami i parszcząc z radości, a oczy zaszyły mu łzami. - Nie było tam głęboko, ale za to ślisko. Powiadam ci, Jessie, był z gniewu, i była to najśmieszniejsza rzecz, jaką w życiu widziałem. - Opanował się, kręcąc głową i mru gając. - Długo trwało, zanim nam wybaczył, ale w końcu to zrobił. Słodki Jezu, ależ to było śmieszne.

Jessie uśmiechała się wraz z nim, a kiedy jego śmiech umilkł, odezwała się:

- Cieszę się, że cię o to zapytałam. Kiedy to się stało? Już na Arran?

Posmutniał, a jego głos przycichł trochę.

- Nie. W Langwedocji, blisko Pirenejów, kiedy jechaliśmy do Nawarry walczyć z Maurami. To było... piętnaście lat temu.

Jessie oniemiała, ponieważ wydawało się jej, że nie potrafi powiedzieć niczego, co nie zabrzmiałoby małostkowo, lecz po chwili nabrała tchu i rzekła radośnie:

- No cóż! Cieszymy się, że to się stało, ponieważ po tylu latach przywróciło ci śmiech, ku mojej radości.

-Ano, może i tak, Jessie. - Jego głos ledwie dało się dosłyszeć. — Ale miałaś rację. Wątpię, żebym od tamtego popołudnia często się śmiał, ponieważ w walkach, które potem nastąpiły, straciliśmy ponad połowę ludzi. Piętnaście lat!

Potem zapadła cisza, a Jessie przyglądała się Willowi. Ach, ty drogi, drogi mężczyzno, rzekła w duchu, jakżebym chciała ci pokazać, jak śmiech działa na twoją twarz i całą resztę ciebie... Odbiera ci wielu, wielu lat i pokazuje, że w środku dalej jesteś chłopcem...

Jedno z polan trzasnęło w płomieniach, które nieco osłabły, a w górę komina uniosła się chmura iskier i wirującego dymu.

- O czym tak rozmyślasz?

Pytanie zaskoczyło ją i odpowiedziała bez zastanowienia:

- Przyglądałam się tobie, myśląc, że powinieneś się częściej śmiać... cały czas... i życząc sobie, abym mogła ci pokazać, jak się zmieniasz, kiedy się śmiejesz...

Na jego ustach pojawił się drobny uśmiech. -To byłoby sprytne...

Gdzieś za drzwiami rozległ się wybuch dziewczęcego śmiechu, wyrywając ich oboje z nastroju, który dzielili.

- Marjorie! To dziecko jest... - Jessie zerwała się nieświadomie, a teraz patrzyła na niego wilkiem, kiedy oboje słuchali tupotu biegnących stóp, a w jej oczach błyszczało uczucie, którego nie potrafił nazwać. - Przysięgam, od kiedy ten chłopiec się tu znajduje, wszelka przyzwoitość poszła w kąt. A Marie i Janette są nie lepsze. Poczekaj tu na mnie, jeśli łaska. Muszę pójść i nieco zaznaczyć swą władzę.

Will patrzył szeroko rozwartymi oczami, jak wychodzi, zamiatając suknią, i wciąż nie był pewien, czy widział na jej twarzy gniew czy pełne zakłopotania rozbawienie. Zostawiła otwarte drzwi, a on słyszał, jak wchodzi po schodach, podnosząc z irytacją głos, którego

wkrótce nie było już słycać. Dopiero wtedy, kiedy Willa otaczała już tylko cisza, rozsiadł się wygodniej na krześle, ściskając poręczę i rozglądając się dookoła nieobecnym wzrokiem, jednocześnie usiłując zastanowić się nad tym niezwykłym dniem. Przyszło mu do głowy, że „niezwykły” nie jest właściwie odpowiednim słowem; ten dzień był niewyobrażalny. Oto była jej komnata, pokój Jessie Randolph, mimo wszelkich praw, które miał do niej jej brat. Jej wpływ, oznaki jej obecności i władzę nad gospodarstwem widać było wszędzie: w kolorach tej komnaty, przemyślnie ułożonych rzędach świec, szalach i poduszkach na meblach oraz dzbanach ciętych kwiatów na niemal każdej poziomej powierzchni. Pośród tego wszystkiego siedział on, zastanawiając się, co tam robi... Jak do tego doszło i co się z nim działo?

Pomyślał, że kiedyś mógłby uwierzyć, iż ta kobieta rzuciła na niego czar, po czym przyznał, że faktycznie go oczarowała, powoli i bezpowrotnie. Lecz podczas gdy wcześniej pobiegłby w zmieszaniu do jakiegoś księdza, teraz zadowolili się czekaniem na rozwój wypadków. Stał się tego dnia innym człowiekiem, niż był poprzedniego roku czy nawet poprzedniego miesiąca, i był doskonale świadom tego, że surowy, nieustępliwy templariusz poprzednich dekad dawno już zmarł. Ale do tej konkretnej śmierci wielce przyczynili się ludzie, ci sami, którym poświęcił życie, przysięgając, że będzie służył, oddawał im cześć i wypełniał ich polecenia. W tym nie było czarów... Może egzorcyzmy, pod tym względem, że duch, który opętał go za młodu, już został na zawsze wypędzony. Lecz nie stało się to z winy czy pod wpływem Jessie. Ona jedynie przestraszyła go lubieżnymi myślami i snami, zjawiskami, które - o czym zapomniał przez swe zdeterminowane poświęcenie Zakonowi - były nieszkodliwe z punktu widzenia jego prawdziwego zakonu, Bractwa Syjonu. Wszystko, czego się dowiedział w ciągu ostatnich kilku tygodni, połączyło się z jego decyzjami z kilku poprzednich lat, aby stworzyć nowego sir Williama Sinclaira: dojrzałego w latach i zahartowanego w boju, lecz targanego wszelkimi obawami właściwymi nieświatowemu prawiczkowi.

Dobiegające z daleka wycie wilka, napływające przez pozbawione szyb okno wysoko nad jego głową, rozbrzmiało głośno w ciszy; po nim

dotarł do niego odgłos maszerujących stóp i głośna wymiana hasła i odzewu, która oznaczała nocną zmianę warty. Ogień w kominku znów płonął równo, a Will zauważył, że kilka świec na stole i niskim kredensie migocze i jest bliskich wypalenia. Stracił poczucie, jak długo Jessie już nie ma, lecz z całkowitą swobodą wstał i poszedł zgasić świece, ściskając ich płomyki między poślinionymi palcami i czując zapach spalonego knota, kiedy potem zdrapywał zaschnięty wosk z kciuka. Wypaliło się tylko kilka, więc Will zostawił resztę i poszedł dołożyć do ognia, układając nowe kłody; w ostatniej chwili przypomniał sobie, żeby nie wpychać ich głębiej w płomień swoimi nowymi, nieskazitelnymi butami. Przez chwilę patrzył w ogień, marszcząc lekko brwi, a potem ponownie usiadł, skubiąc dolną wargę, i pozwolił myślom błądzić bez celu, mając na uwadze jedynie to, że nigdy nie miał problemów z podejmowaniem decyzji, i teraz musi zachowywać się konstruktywnie i stanowczo.

Był głęboko zamyślony, kiedy Jessie wróciła do komnaty i zatrzymała się przy drzwiach, patrząc na niego. Jednak gdy się odezwała, natychmiast się do niej odwrócił, nie okazując ani śladu zaskoczenia.

- Wciąż tu jesteś! Myślałam, że znudzisz się samotnością i pójdziesz spać.

- Ależ nie. Siedziałem tu sobie i myślałem o wielu rzeczach: o tym, co trzeba zrobić, o decyzjach, które trzeba będzie podjąć. Udajesz się już na spoczynek?

- Nie, jeszcze nie, chyba że życzysz sobie zostać sam.

- Nie, niekoniecznie. Chodź i siadaj zatem, jeśli masz ochotę pobyć ze mną przy ogniu. - Przyglądał się jej, kiedy podeszła i znów usiadła naprzeciwko niego, a gdy wyciągnęła dłonie w stronę płomieni, uśmiechnął się. — Udało ci się stłumić bunt na górze?

- Och, tak, już dawno. Dobry humor to dar Boży, lecz od czasu do czasu trzeba go ukrócić. Marjorie i Henryk leżą już w łózkach, a Marie i Janette wypełniają swoje obowiązki, przygotowują się na jutro i tkają przędzę. Wolno mi spytać, o czym myślałeś?

- We własnym domu możesz pytać o co chcesz, Jessie... — Zawahał się. - Myślałem głównie o sobie: moim życiu i tym, co z nim zrobić. Możesz sobie wyobrazić, że to pierwszy raz? Oto już się starzeję, a przez całe życie mówiono mi, co i kiedy mam robić, więc zastanawianie się nad własnymi planami jest dla mnie nowe... bardzo nowe...

i dziwne. Lecz wspomniałaś wcześniej o zmianach, i to dało mi do myślenia. Od czasu, kiedy sześć lat temu opuściłem mistrza de Mo-laya w Paryżu, zmieniło się całe moje życie. Bóg jeden wie, że wciąż mam obowiązki i podejmuję decyzje, które wpływają na innych ludzi, nie tylko na mnie samego. Ale teraz myślę sam dla siebie i dowodzę innymi, aby spełniali moje rozkazy i życzenia.

Zagryzł wewnątrz policzka z chmurną miną, a potem spojrzał prosto na nią.

- Myślałem też o tobie. O tym twoim życzeniu, aby popłynąć z nami. Jak ci to przyszło do głowy?

Patrzyła na niego przez długą chwilę.

- Nie z wami, Will. Z tobą.

Zamrugła.

- Musisz się stąd wyprowadzić, w to nie wątpię, lecz towarzyszenie nam to nonsens. Miejsce, do którego się udajemy, jest nieznanne, Jessie, jest...

- Jakie? Niebezpieczne? Dzikie? Pełne zagrożeń i niepewności oraz brutalnych barbarzyńców, którzy chcą pustoszyć, kraść, plądrować, zabijać i niszczyć? To wcale nie będzie przypominało spokojnej krainy, w której mieszkamy teraz, prawda? Naszej cywilizowanej Szkocji. To chciałaś powiedzieć?

- Nie, nie to...

- Dobrze, ponieważ wolałabym żyć bez pewności w twojej nieznannej Meryce niż tutaj, gdzie wiem na pewno, że mnie zabiją, i mogę jedynie żywić głupią, beznadziejną nadzieję, że moja śmierć, kiedy w końcu nadejdzie, będzie szybka i bezbolesna. - Nabrała głęboko tchu. - Na Boga, Will, gdzie pójdę, jeśli wyjadę stąd, a nie będę mogła pojechać z tobą do Meryki?

- Na Arran. Mamy tam dla ciebie miejsce. Ty i twoi ludzie będziecie bezpieczni w Lochranzy.

- W Lochranzy - niemal wypluła te słowa. - A kiedy odpłyniesz, co wtedy? Panem tam jest Menteith.

- Już nie. Popadł w niełaskę.

- On może i tak, lecz to jego lenno i nie będę tam bezpieczna. Zabierz mnie ze sobą, Will.

- Nie mogę.

- Dlaczego nie, na Boga? Weźmiesz ze sobą księżę?

Wybałuszył oczy.

- Nie planowałem tego. To nie będzie miejsce dla duchownych. Choć wszystkim naszym księżom grozi ekskomunika, tak jak reszcie. Lecz... byłoby to paru dobrych ludzi, rozsądnych i sprawnych, darzonych zaufaniem braci. Ano, weźmiemy kilku z tych, którzy kiedyś byli księżmi.

- Dobrze. Zatem jeden z nich może udzielić nam ślubu.

- Ślubu? Ja... - Zagapił się na nią, a potem mocno przesunął dłonią po twarzy, jakby chciał wygładzić zmarszczki.

Przyglądała mu się z napięciem, kiedy odwrócił od niej twarz, zaciskając powieki; jego ramiona zeszytywniały jak z oburzenia. Lecz potem zgarbił się i ponownie na nią spojrzał.

- Już miałem ci powiedzieć, że jestem mnichem — wyznał spokojnie - lecz to kolejna bzdura. Nie jestem już mnichem. Ukradli mi tę rolę, kiedy napluli na moje życie. Jestem teraz ni mniej, ni więcej, tylko człowiekiem.

- Jesteś rycerzem. Tego nikt ci nie może odebrać.

- Prawda to, dziewczyno, jestem tego świadom. Lecz pozostaję człowiekiem. Bóg jeden wie, że człowiekiem, który ma właściwie niewiele do zaoferowania komukolwiek. Ale jeśli chodzi o bycie mężem... - Nabrał wielki haust powietrza. - Czy byś... Naprawdę proponujesz, że weźmiesz ze mną ślub... i będziesz moją żoną?

Zobaczył, że Jessie się rumieni.

- Żoną, pomocnicą, towarzyszką, nałożnicą... cokolwiek ześle nam Bóg. Tak, Will, z radością. — Podniosła rękę i uśmiechnęła się szeroko. - Nawet doradczynią, jeśli zajdzie taka potrzeba w twojej nowej krainie i jeśli przyda ci się kobiecie zdrowy rozsądek.

Zapadła uroczysta cisza, kiedy rozsiedli się swobodniej, patrząc na siebie w blasku dogasających polan, które płonęły jeszcze tak niedawno.

- Doradczynią... - Jessie jeszcze nigdy nie widziała u Willa tak radosnego uśmiechu. - Oto nowość. Kobieta doradza templariuszowi, a przez niego wspólnocie rycerzy Zakonu. Zmiany w rzeczy samej!

- Tylko wtedy, kiedy uznasz, że to konieczne.

- Oczywiście... Lecz niech cię sprawdzę jako kobietę i doradczynię. Poradz mi coś.

- Teraz? W jakiej sprawie?

- Powiedziałaś dzisiaj, że nauczyłem się słuchać. No cóż, teraz słucham, a mój szacunek do ciebie jest dość duży, abym nie wątpił, że masz swoje zdanie w pewnych sprawach, których powinienem dopilnować. A zatem z całego serca proszę cię o radę.

Znów zamilkli, mierząc się wzrokiem.

Właśnie porozmawiał ze mną otwarcie o małżeństwie. Byłabym głupia, gdybym zaryzykowała to, mówiąc coś, co uznałby za nierozsądne. I co właściwie miałabym mu powiedzieć?

Czekał cierpliwie, a ona uznała to za kolejną znaczącą zmianę, która w nim zaszła. Lecz kiedy uniósł pytająco brew, odpowiedziała, zaskakując samą siebie.

- Chodzi o Genuę. Masz zamiar jechać, ale czy to konieczne?

Cofnął głowę i opuścił podbródek, a ją na chwilę rozproszył widok silnej kolumny jego szyi; kiedy spojrzała mu w oczy, już marszczył brwi.

- Czy to konieczne? Oczywiście że tak. Mam tam sprawy, muszę dokonać zakupu.

- Wiem, ale czy musisz robić to ty? Czy sir Edward nie mógłby zrobić tego sam? List polecający arcybiskupa równie łatwo byłoby wypisać na jego nazwisko jak na twoje, prawda?

-Tak, ale...

- Powiedz mi zatem, czy kupując okręty, będziesz podejmował decyzje na temat ich projektu, rozmiaru i budowy, czy będziesz radził się sir Edwarda?

- Oczywiście, że radziłbym się jego.

- Naturalnie. Czy zaufałyś mu na śmierć i życie?

- De Berengerowi? Bez wahania. Już to zrobiłem, powierzyłem mu życie nas wszystkich, włącznie z twoim. Jest moim admirałem.

- Strażnikiem, opiekunem, pasterzem i kapitanem twojej floty. Dlaczego więc nie miałbyś powierzyć mu misji w Genui? Masz aż nadto spraw na Arran, a okręty to całe życie Edwarda. Zna je i wszystkie ich potrzeby tak, jak ty znasz i kochasz to, co sprawia, że jesteście sobą: dowodzenie jazdą, szkolenie ludzi, zarządzanie braćmi, planowanie kampanii. Sam przyznajesz, że podróż do Genui zajmie wiele miesięcy, może nawet pół roku, w zależności od pogody. Co zrobisz, jeśli Edward, król Anglii, zaatakuje, zanim zdążysz zrealizować swoje plany na Arran?

Zamilkła, a on opadł bokiem na oparcie krzesła z łokciem na poręcz, w pozycji, która - jak już dawno nauczyła się Jessie - oznaczała, że zgłębia właśnie jakiś problem; jego podbródek spoczywał na kciuku, a palec wskazujący na górnej wardze. Nie spuszczał z niej przenikliwego wzroku. Zaczęła liczyć w duchu, odpowiadając mu spojrzeniem i zmuszając się, aby jej twarz była równie nieprzenikniona jak jego, lecz straciła rachubę przy drugiej setce, rozproszona jakąś przypadkową myślą, a on wciąż na nią patrzył. Nie zdawała sobie wcześniej sprawy z tego, jak jest rostry. Zawsze sprawiał takie wrażenie, zakuty w ciężką stal, która miała swoje rozmiary, lecz teraz, kiedy zdjął zbroję i przebrał się w odzienie jej męża, Jessie dostrzegła, jak szerokie są jego ramiona i klatka piersiowa, jak solidną ma szyję; zauważyła zbłąkany kosmyk włosów wijący się przy wycięciu koszuli. Wlepiła wzrok w jego tors, nie śmiąc spojrzeć na uda.

- Powiniennem być zacząć cię słuchać lata temu, Jess.

Zadrżała, kiedy użył tego imienia, i poczuła, że wali jej serce.

- Masz rację - ciągnął, a ona odniosła wrażenie, że mówi bardziej do siebie niż do niej. - Głupi jestem, że nawet się zastanawiam nad podróżą do Genui, skoro de Berenger może wszystko *sam załatwić*. Nie potrzebuje mnie. Moje miejsce jest na Arran, co do tego nie ma wątpliwości. Muszę tam wracać, i to szybko. De Berenger lepiej niż ja wie, czego nam trzeba. I może lepiej niż my oboje zna wartość twojego złota. - Spojrzał jej teraz prosto w oczy. - A skoro już o tym mówimy: ta skrzynia jest zbyt nieporęczna, aby ją łatwo ukryć. Zwraca na siebie uwagę i jest zdecydowanie zbyt ciężka. Przyciągnie zainteresowanie ludzi jak róża pszczoły, a to ostatnie, czego nam trzeba. Jutro podzielimy więc złoto na mniejsze części, które łatwiej będzie nosić i ukryć. Masz skórzane torby?

- Małe, na monety? Nie... - Pokręciła głową, a potem się rozpodziła. - Ale w jednej z obór mamy trzy stare skórzane namioty. Używaliśmy ich kiedyś do przykrywania klepiska i są nieco spleśniałe, lecz dość solidne, aby je pociąć i zrobić z nich mocne sakwy. Mogę jutro kazać komuś się do tego zabrać.

- Komuś, komu ufasz, i tak, żeby nikt tego nie widział. Bądź ostrożna, Jessie. Nagłe wyrabianie skórzanych sakw, szczególnie małych, może zwrócić czyjąś uwagę, ponieważ nie nadają się do niczego innego poza przenoszeniem w nich monet.

- Zrobi to Hektor.
- Aż tak mu ufasz?
- I jeszcze bardziej. Jak myślisz, skąd skrzynia się wzięła w swojej kryjówce? Hektor pomógł mi ją tam umieścić i zamaskować.
- Dobrze. Niech tak będzie. - Poderwał się nagle i zaczął chodzić po pokoju, zacierając ręce, a potem zatrzymał się, plecami do ognia i twarzą do niej. - A w kwestii małżeństwa. Jesteś zdecydowana?
- Całkowicie.
- Hmm. - Jego usta drgnęły. - A gdybym miał poprosić cię w tej kwestii o radę, czego wcale nie robię, poradziłabyś mi, abym to zrobił?
Uśmiechnęła się. -
Tak.
- No dobrze, zastanowię się nad tym, choć myślę, że jesteś szalona. Mam jednak pewien warunek, na który musimy zgodzić się tu i teraz. Chłopiec nie może jeszcze podróżować, co do tego jesteśmy zgodni. Lecz to wyłącznie z jego powodu wróciłem dziś tutaj, aby go zabrać. Jak myślisz, ile jeszcze potrwa, zanim będzie mógł wrócić na Ar ran?
- Przynajmniej miesiąc, najwyżej trzy.
- To za długo; zbyt niebezpiecznie. Za dwa miesiące, w trzecim tygodniu września, pošlę po ciebie, Henryka, twoje dwie służki i kogokolwiek jeszcze będziesz chciała wziąć ze sobą.
- A Marjorie?
Will spojrzał na nią z zaskoczeniem.
- Twoja podopieczna jest bratanicą króla, Jessie.
- Ale jest nieślubnym dzieckiem.
- To nieważne, nosi nazwisko Bruce i splodził ją ukochany brat Roberta. Nie możesz jej po prostu wywieźć bez zgody króla. To byłoby porwanie. A bratanica króla nie ma głosu w takich sprawach. Należy do królestwa, jest częścią majątku, którą trzeba wydać za mąż, jeśli zajdzie potrzeba, dla dobra państwa. To poza twoim i moim wpływem.
Jessie nie traciła czasu na protesty. Wiedziała, że Will ma rację, i tylko kiwnęła głową.
- A zatem muszę tymczasem sama odszukać króla i poprosić o jego pozwolenie.

- Na wywiezienie stąd dziewczyny w stronę nieznanego lądu, być może na śmierć? Nigdy się na to nie zgodzi.

- Może i nie. Ale muszę spróbować.

- No dobrze. Lecz czy będziesz we wrześniu gotowa do drogi na Arran?

- Będę gotowa, a jeszcze bardziej gotowa na podróż do Meryki.

Wyślij swoich handlarzy po materiał.

- Materiał? Jaki materiał?

- Jakikolwiek, i tyle, ile uda im się znaleźć. W Meryce nie będzie krawców, lecz wszyscy, którzy tam pojadą, będą potrzebowali ochrony przed żywiołami.

Kiwnął głową.

- Zajmę się tym. Czy przychodzi ci do głowy coś jeszcze?

- Nie, lecz z czasem może przyjdzie. Czeka! Kołowrotki i **krosna**. Ile będzie z nami kobiet?

- Nie mam pojęcia.

- Zatem lepiej się dowiedz i jak najszybciej mnie zawiadom. Będziemy musieli zaplanować dla nich wiele rzeczy, a jeśli dowiem się, ile ich będzie, mogę zacząć je organizować tuż po przybyciu na Arran.

- Jesteś niezwykle pewna, że wezmę cię za żonę, kobieto - powiedział Will z małym, choć niewymuszonym uśmiechem. - Lecz jeszcze się nie zgodziłem.

Spojrzała na niego i odpowiedziała uśmiechem.

- Zgodzisz się. No dobrze, kiedy stąd wyjeżdżasz?

Wzruszył ramionami.

- Pojutrze. Jedna z naszych galer będzie czekać u brzegu przy Gal-loway. Nie mam czasu do stracenia.

- Więc powinieneś się przespać, ponieważ przegadaliśmy już cały dzień i pół nocy. Idź na górę i odpocznij. Zgaszę świece i ogień, zanim sama pójde do łóżka.

- Ano... - Nie ruszył się jeszcze, przygryzając górną wargę. - To był dziwny i cudowny dzień, Jessie, pełen rzeczy, których nie potrafiłbym sobie wyobrazić, gdy wyjeżdżałem stąd tydzień temu do Arbroath. Dużo razem osiągnęliśmy... Jesteś pewna, że pod każdym względem się zgadzamy?

Podeszła do niego szybko i położyła dłoń na jego policzku, po raz

pierwszy dotykając go w taki sposób, a on przykrył jej dłoń ręką, tuląc ją do swej twarzy.

- Tak, Will, nawet jeśli ty nie jesteś.

Zachwiał się w jej stronę, rozchylając lekko usta, a ona wiedziała, co stałoby się, gdyby ją tam pocałował, więc nabrała głęboko tchu i poklepała go mocno po policzku.

- A teraz idź do łóżka - powiedziała cicho. - Masz jutro dużo do zrobienia.

Budził się powoli i bardzo niechętnie, nie mając ochoty rezygnować ze zmysłowej przyjemności snu o całującej go kobiecie; czuł, że niemal traci zmysły z rozdzierającej rozkoszy. Lecz kiedy otworzył w końcu oczy i zorientował się, że usta nie zniknęły, że wciąż go całują, i uniósł rękę, która natrafiła na nagą, ciepłą skórę, wzdrygnął się i natychmiast ocknął, i krzyknąłby, gdyby czyjaś dłoń nie przykryła mu mocno ust, a kobiecy głos nie wysyczał mu do ucha:

- Cicho, Will, cicho! Zbudzisz cały dom i wydasz nas oboje.

Zamarł, podpierając się na łokciach i mrugając szybko powiekami w ciemnościach; był świadom, że ktoś nachyla się nad jego wąską pryczą. Dostał gęsiej skórki z przesadnego przerażenia, aż usłyszał, jak postać chichocze, i poczuł jej oddech przy uchu.

- To ja, nie chciałam cię przestraszyć. Przyszłam tylko pocałować cię na dobranoc. Posuń no się i wpuść mnie.

Wciąż oszołomiony Will, który zaczynał już pojmować, co się dzieje, przesunął się na łóżku.

- Jessie? Co się dzieje? Coś się stało?

Znów zachichotała cicho, ponownie powodując falę dreszczy.

- Oczywiście, że coś się stało, ty wielki tępaku. Jest strasznie zimno, a twoje łóżko już się nagrzało. Podnieś pościel i wpuść mnie. Posuń się!

Zrobił, jak mu kazała, przenosząc ciężar ciała na jeden łokieć i podnosząc narzutę. Poczul, jak wspina się do łóżka obok niego, gładka i ciepła, i przytula się mocno, wplatając palce we włosy z tyłu jego głowy i przyciągając jego twarz do swojej. Potem Will na długą chwilę zatonął w wirze nieznanym mu smaków, dotyków i zapachów,

aż znów znieruchomiał, orientując się, że w jakiś sposób zmienił pozycję i teraz podpira się na łóżku na wyprostowanych rękach, twarzą w dół, a pod sobą czuje jej ciało i ściskające go kurczowo jej palce.

- Czyż mnie nie pragniesz, Will? Pójdź, człowieku, bądź moim mężem.

Jej uporczywe palce pociągnęły go i powiodły, a Will zamknął oczy, westchnął, drżąc, i wszedł do tego nowego świata.

Ze śmierci w śmierć

1

Jessie miała wrażenie, że cały świat przybył na Arran w pierwszym tygodniu maja roku Pańskiego 1314. W porcie na północnym zachodzie, Lochranzy, tłoczyło się tyle galer, że stała się rzecz nie do pomyślenia i port zamknięto, ponieważ nie zmieściłby się w nim już ani jeden okręt. Stały tam na kotwicy cztery z ośmiu pozostałych galer Zakonu, lecz nie dało się ich odróżnić od statków gości z wysp i z północnych jezior; na żaglach wielu z nich widniało godło MacDonalda, nowego pana na wyspach. Na kotwiczowisku pod klifami były jednak nie tylko jego okręty; Jessie dostrzegła też herby Campbellów, MacRuary'ów oraz MacNeilów, a także kilka nieznanych jej, które -jak dowiedziała się od Willa - przybyły z wysp położonych daleko na północy. Wypełniły one port, który nigdy wcześniej nie robił wrażenia małego, zajmując każdą piędź nabrzeży, a w pewnych *miejscach stało* ich przy sobie tyle, że wyglądały, jakby tworzyły ciąg pływających mostów na wodzie. Jessie spoglądała na nie z murów zamku dokładnie nad nimi.

Przebywała w Lochranzy prawie od półtora roku. Czas zleciał tak szybko, że niemal tego nie zauważyła, a jako pani na zamku była przyzwyczajona do tętniącego życiem portu pod murami i bezustannego ciągu napływających i odpływających statków oraz galer, lecz nigdy nie widziała czegoś podobnego do tego, co działo się teraz. Wąski pas lądu między brzegiem a zamkiem roił się od ludzi, uwijających się niczym mrówki, a Jessie wiedziała, że to jeszcze nic; poza zasięgiem jej wzroku, za krzywizną ciągnących się w obie strony murów, dziedzińce i budynki zamkowe były jeszcze bardziej zatłoczone, a tłuszcza wylewała się poza tylną bramę, aby wypełnić rozciągającą się za zamkiem łakę.

Lekko się uśmiechnęła, kiedy przyszło jej do głowy słowo „tłuszcza”, ponieważ choć ludzie ci w ogóle nie przypominali żołnierzy, których znała przez większość życia w Szkocji, Francji i Anglii, nazywanie ich tłuszcza było nieodpowiednie. Choć wśród miejscowych nie istniał nawet cień jednorodności i nie znali oni ograniczeń narzucanych przez kodeks rycerski, każdy z nich był samodzielnie wyposażonym i niezależnym wojownikiem, z własnej woli udzielającym poparcia swojemu wodzowi, a gdyby życzenia jego naczelnika zbiegły się z postanowieniami innego, każdy mógłby decydować na własną rękę, czy podtrzymać owo poparcie czy też nie. Doskonale zdawała sobie sprawę, że żadna z nich niezorganizowana hołota. Słyszała dość z wielu źródeł, aby wiedzieć, że ci zajadle broniący swojej wolności ludzie, pozornie niezdiscyplinowani, to dzicy i nieustępliwi wojowie, którzy z łatwością potrafili przełamywać konwencjonalne szyki bojowe i przejmować panowanie nad umocnieniami, w razie potrzeby narzucając sobie własną formę dyscypliny. Ci wyspiarze i górale żyli według własnych norm i nikomu nie byli nic winni.

Dwa piętra poniżej miejsca, gdzie stała, toczyło się właśnie spotkanie między ich dowódcami a przedstawicielami króla Roberta, sir Robertem Keithem, marszałkiem Szkocji, i sir Jamesem Douglasem, który wyglądał na znacznie starszego i bardziej ponurego niż wtedy, kiedy Jessie go poznała, ledwie pięć lat wcześniej. W skład królewskiej delegacji wchodził też dwaj wybitni szkoccy duchowni: William Sinclair, biskup Dunkeld i wuj jej Willa, oraz budzący respekt biskup Dawid Moray, jak zawsze ubrany w kolczugę i stalowy kirys rycerza. Z tymi czterema spotkali się: Angus Og MacDonald, obecnie samozwańczy pan na wyspach, Fergus MacNeil, władca Barry, MacGrogan z Glenorchy, wódz klanu Alpine, oraz dwaj małomówni wodzowie z wysp Lewis i Uist, których imion nie znała, lecz podejrzewała, że są krewniakami MacNeila. Toczyli dyskusje już od trzech dni, zajmując główną salę na drugim piętrze zamku i na ten czas wyrzuciwszy z niej Jessie, która w rezultacie spędzała teraz większość czasu w swoich komnatach wraz ze służkami i młodą Marjorie lub - kiedy pozwalała na to nieprzewidywalna wiosenna pogoda - tutaj, na blankach z widokiem na port.

Owinięta grubym płaszczem z miękkiego futra foki Jessie nie martwiła się utratą swojej domeny; z zadowoleniem oddała ją do dyspo-

zycji gościom. Rozumiała, że zgromadzenie jest pilne, więc po prostu pozwoliła im zająć się ich sprawami, pewna, że wierny Hektor i jego podwładni z Nithsdale zapewnią im jedzenie i napitek. Sama miała na głowie inne, ważniejsze sprawy.

Will, jej Will, którego teraz z dumą nazywała swoim mężczyzną, głęboko zaangażował się w organizowanie innego, zupełnie odmiennego w charakterze spotkania w zamku Brodick. I tam, w niedalekiej zatoce Lamlash - po zawietrznej od świętej wyspy, Eilean Molaise -na pewno było pełno okrętów, ponieważ za cztery dni miało rozpocząć się tam ostatnie oficjalne spotkanie kapituły rycerzy i serwientów szkockiego Zakonu Świątyni, a bracia już zaczęli nadciągać, jawnie lub w tajemnicy, z całego królestwa Roberta. Po zakończeniu konwentu bracia z Arran mieli się rozproszyć: część na misję do nowej krainy, inni na ochotniczą służbę u króla Roberta, podczas której mieli stacjonować w siedzibach bractwa założonych w ciągu poprzednich kilku miesięcy w Szkocji. Było ich niewiele, lecz były już ukończone; rozmieszczono je w całym królestwie i odtąd miały nosić nazwę łóż, nie komturii. Miały jednak pełnić rolę punktów zbiorczych i schronień dla tych, którzy chcieli w przyszłości zachować tożsamość przedstawicieli Zakonu, a król miał milcząco akceptować ich istnienie. Bazujący w nich ludzie, nie do odróżnienia już od zwykłych rycerzy, wciąż funkcjonowałyby jak templariusze, lecz w głębokiej tajemnicy, głębszej niż każda, którą znali lub której potrzebowali w przeszłości. Mieli dopełniać rytuałów, pielęgnować tajemnice oraz symbole ich niegdyś potężnego Zakonu i przekazać je któregoś dnia innym, młodszym mężczyznom.

Oczywiście królewskie pozwolenie Roberta na to, aby szkoccy templariusze udali się na zebranie kapituły, zostało udzielone pod pewnymi warunkami, a Will omówił je z Jessie, prosząc ją o radę. Król wiedział o zasobach, którymi Will dysponował na Arran, a także o posiadanych przez niego licznych koniach, szczególnie tych z ciężkich ras. W całej Szkocji Bruce'a było mniej niż czterdzieści rumaków, potężnych wierzchowców bojowych, dzięki którym kawaleria Anglii i Francji była tak potężna, a każdy z nich miał niewyobrażalną wartość. Mały konny oddział, który Szkocja była w stanie wystawić, rzadko liczył więcej niż pięćset osób i był wyłącznie lekką jazdą: należeli do niego zwiadowcy, rycerze specjalizujący się w potyczkach, dosia-

dający koni zbrojni oraz łucznicy, co wystarczało do manewrów dywersyjnych i nękania przeciwnika, lecz było całkowicie bezskuteczne przeciwko strasznej, przytłaczającej potędze zmasowanej angielskiej jazdy. Dlatego też było naturalne, że król Robert bardzo chciał przejąć rumaki Zakonu, a znając jego potrzeby i niebezpieczeństwa grożące królestwu, Will bez oporów zgodził się na ich dostarczenie. W końcu - jak powiedział Jessie - nie mogli zabrać ich do Meryki. Na Arran było teraz ponad siedemdziesiąt tych wielkich stworzeń i trudno byłoby je przewieźć nawet na drugą stronę wąskiego kanału do Szkocji, ponieważ okręty, na których przyplęły z Francji, dawno już przerobiono na użytek innych rodzajów ładunku.

Jessie zgodziła się z Willem i doradziła, aby natychmiast zaczął ponownie przerabiać ładownie okrętów, żeby pomieścić w nich ciężki żywy inwentarz. Lecz potem zapytała go o zbroje rycerzy. Zwróciła uwagę, że król Robert przydzieli rumaki swoim ludziom, ale czy będą mieli oni zbroje wystarczająco ciężkie i mocne na zadania, które czekają ich na grzbietach nowych, potężnych wierzchowców? Zasugerowała, że będzie je miało bardzo niewiele, ponieważ szkoccy rycerze - mniej zamożni od angielskich - od dawna nie mogli sobie pozwolić na tak wielkie wierzchowce, więc masywne, specjalnie wzmocnione zbroje na nic by się im nie przydały. Potrzebowali lżejszego uzbrojenia, kolczug, które były bardziej elastyczne i mniej krępowały ruchy niż solidne, sztywne zbroje płytowe używane przez Anglików. Oprócz tego - dodała - czy Will pomyślał o tym, ilu wśród jego templariuszy będzie chciało się zgłosić do służby w Szkocji?

To zaskoczyło Willa, ponieważ wcale o tym nie pomyślał. W ostatnich miesiącach martwił się głównie składem grupy, która wyruszy na morze, do nowego lądu; chciał mieć pewność, że będzie się ona składała tylko z najlepszych, najbardziej wszechstronnych i odpornych ludzi z bractwa. De Berenger dopłynął bezpiecznie do Genui pod koniec lipca zeszłego roku, omijając angielską blokadę wybrzeża Morza Północnego, i udało mu się już kupić dwa zupełnie nowe statki, oba zamówione i częściowo opłacone przez Zakon przed jego rozwiązaniem, oraz dwa podobne okręty, które w chwili jego przyjazdu były nieukończone, ponieważ ich budowę zawieszono z powodu braku kupca. Doniósł, że wszystkie cztery są odpowiednie na ich ekspedycję, a właściwie nawet lepsze, niż się spodziewał. Obiecał, że przyplynie z ni-

mi na Arran w połowie czerwca i wszystkie wysiłki Willa koncentrowały się na tym, aby wtedy wszystko było już gotowe do wyjazdu.

W rezultacie wśród zamieszania spowodowanego niekończącą się krzątaniną Will zrobił podstawowy błąd w obliczeniach. Od ponad pięciu lat zmieniające się po kolei drużyny uzbrojonych konnych z Arran służyły w armii Bruce'a, a Will uznał za pewnik, że po przeniesieniu się do Szkocji będą robiły to dalej. Lecz bracia ci, zarówno rycerze, jak i serwienci, korzystali z mniejszych, lżejszych koni i kolczug, które łatwiej było przewieźć przez kanał. Nie wziął pod uwagę potężnych rumaków bojowych ani tego, że wielu z jego ludzi - a z pewnością francuscy rycerze - będzie chciało wyposażyć się na nowo we własne wielkie rumaki i zbroje płytowe, kiedy tylko będzie to możliwe. Teraz musiał zaplanować ofiarowanie królowi Robertowi nie tylko koni, lecz także uzbrojonych rycerzy, którzy jeździliby na nich. Niezadowolony na początku, że przeoczył tak pozornie oczywisty rozwój wydarzeń, wkrótce jednak znalazł w sobie dość godności i dobrego humoru, aby ponownie przyznać, jak wartościowa jest jego nowa towarzyszką w roli doradczynie. Natychmiast wydał rozkazy, aby wynieść całe ciężkie uzbrojenie i oręż templariuszy z magazynu i odnowić je na czas zbliżającej się inwazji na Anglię.

I tak oto tuż po zakończeniu spotkania kapituły miało rozpocząć się przewożenie koni, zbroi i oręża do Szkocji, ponieważ nie było czasu do stracenia. Sama Jessie powinna już być w Brodick, organizując trzydzieści kobiet, które miały popłynąć wraz z nią na wyprawę do Meryki, gdyby nie to, że Will poprosił ją, aby została w Lochranzy i pełniła rolę gospodyni zgromadzenia. Choć Jessie milczała, według niej była to strata czasu, ponieważ jedyną rzeczą, którą mogła zaferować, była jej obecność, i tak w dużej mierze ignorowana - czego się spodziewała.

Jej uwagę przyciągnął nagły hałas z dołu. Klębiący się pozornie bez celu tłum zmienił charakter od chwili, kiedy patrzyła na niego ostatnio, i teraz ludzie ruszali się zdecydowanie, wchodząc na pokłady galer, przelewając się z jednej na drugą w poszukiwaniu swoich koi.

Za nią rozległo się dyskretne kasznięcie; odwróciła się i zobaczyła, że Hektor właśnie otworzył drzwi wieży sir Jamesowi Douglasowi, który garbił się w progu, uśmiechając się do niej.

- Sir Jamesie! Czy coś się stało? Potrzebujesz czegoś? Ja...

Douglas zerwał z głowy czapkę z piórem i uklonił się nisko w sposób, który już z nim kojarzyła, lecz uśmiech nie zniknął z jego smagłej, dziwnie pociągającej twarzy.

- Nie, baronowo, nic się nie stało. Zakończyliśmy pracę i nie potrzebuję niczego... poza czasem; może kilka dodatkowych miesięcy między dzisiejszym dniem a nadchodzącym tygodniem, gdybyś mogła to załatwić?

Roześmiała się.

- Sir Jamesie, wyjeżdżasz?

- Tak, razem z przyprawami, jeśli zdążymy na czas wejść na pokład i wypłynąć poza falochron. Bardzo tam ciasno. - Podeszedł do niej i stali chwilę razem, przyglądając się coraz zwaśniej krzątaniu w porcie. - MacNeil, tam z tyłu, wypłynie pierwszy - powiedział jej Douglas - i dzięki temu zwolni się ujście portu. Kiedy tylko inni będą mieli miejsce, aby rozłożyć wiosła, popłyną za nim. Choć wydaje się to niemożliwe, śmiem twierdzić, że twój port opustoszeje w ciągu godziny. Te dzikusy znają się na rzeczy.

Spojrzał na nią ponownie i odsunął się o krok, skłaniając głowę.

- Przyszedłem ci podziękować, baronowo, w imieniu nas wszystkich, którzy zgromadzili się tutaj przez te ostatnie dni, odbierając ci dom. Jesteśmy ci bardzo wdzięczni za gościnę i wyrozumiałość; osiągnęliśmy wszystko, co mieliśmy nadzieję osiągnąć. Wyspiarze z zachodu wesprą Jego Miłość, kiedy Anglia zaskrobie do naszych drzwi, a te wieści znacznie przyczynią się do ukojenia trosk szlachetnego Roberta. Lecz teraz muszę czym prędzej go o tym zawiadomić, ponieważ już jedzie do Stirling, aby zebrać nasze zastępy, jakie by one tam były. A zatem jeśli pozwolisz mi odejść tak bezceremonialnie, będę musiał się natychmiast oddalić. Pozostali na mnie czekają.

- Idź zatem, sir Jamesie, i niech cię Bóg strzeże. Zanieś moje błogosławieństwo i życzenia powodzenia królowi i powiedz mu, że będę się opiekowała jego bratanicą.

- Tak zrobię. *Adieu*, baronowo. - Ponownie się skłonił, zamiatając ziemię piórem przy swej czapce, a potem odszedł; tupot jego butów ucichł szybko na wąskich, kręconych schodach.

Jessie stała nieruchomo, wlepiając wzrok w drzwi, za którymi zniknęła, mrużąc oczy w zamyśleniu. Nie powiedziała królowi całej prawdy na temat jego bratanicy; nie wspomniała o tym, że weźmie ją ze sobą

za morze, i do teraz nie była pewna, co zrobi, kiedy przyjdzie czas na decyzję. Wszystko zależało od wydarzeń najbliższych tygodni i miesięcy; jeśli uzna, że Marjorie będzie bezpieczniejsza w nowej krainie, miała zamiar zabrać ją ze sobą bez chwili wahania.

To, że Szkocję czeka inwazja, było pewne. Zagwarantował to Edward Bruce, zawierając poprzedniego lata głupi rozejm z angielskim namiestnikiem Stirling. Król Anglii spędził ten rok, rozstrzygając wewnętrzne konflikty ze swoimi baronami i wpędzając ich w amok chciwości oraz urażonej rycerskiej dumy, grając na ich żądzy posiadania szkockich ziem i bogactw. Pozostawała jedynie kwestia dokładnej daty i siły najazdu, a nawet to było do pewnego stopnia określone. Dzień św. Jana, data rozejmu w Stirling, wypadł dwudziestego czwartego czerwca. Anglia miała czas do tego dnia, odległego teraz o sześć tygodni, aby oswobodzić Stirling lub stracić Szkocję.

Edward zaczął wzywać swoich hrabiów i baronów kilka miesięcy wcześniej, tuż przed Bożym Narodzeniem. Wkrótce dowiedział się o tym Bruce, przez co tak pilnie zorganizowano owo zgromadzenie Szkotów i Goidelów w Lochranzy, podczas którego Robert zawarł przymierze z opornymi, niezależnymi wyspiarzami i góralami, ponieważ gdyby Szkocja dostała się w ręce Anglików, to samo stałoby się z zachodnimi wyspami i wyżynami.

Fala krzyków i sygnałów wydawanych przez rogi dobiegająca z dołu sprawiła, że Jessie wróciła myślami do chwili obecnej i wyjrzała poza blanki. Ku jej zdumieniu port faktycznie szybko pustoszał, a morze w oddali było usiane odpływającymi galerami, posługującymi się żaglami i wiosłami, aby jak najszybciej trafić do celu. Dotarł do niej kolejny ryk aprobaty i zerknęła prosto w dół, rozpoznając Douglasa i jego trzech towarzyszy, kiedy pospiesznie wchodzili wraz ze świtą na pokład ich własnego okrętu, potężnej galery użyczonej królowi przez templariuszy z Arran.

Nie potrafiłaby określić, jak długo patrzyła na okręt króla, kiedy przeciągano go na cumach przed wypłynięciem na morze, ponieważ jej myśli pełne były innego rodzaju trosk: zastanawiała się, co teraz robi jej mężczyzna. Powiedział jej, że zostanie na Arran, aby dopełnić swojej pracy, że sprawy Szkocji są sprawami Szkocji, że wciąż będzie wspierał króla Roberta za pomocą ludzi, koni i oręża, lecz że jego główne obowiązki wiążą się z własnymi ludźmi i podróżą do nowego

lądu. Wtedy mu uwierzyła, **ale** to było ponad miesiąc wcześniej i teraz nie była już tego taka pewna. Sir William Sinclair nie należał do ludzi, którzy odwróciliby się plecami od przyjaciela w potrzebie, a Robert Bruce i jego najbliżsi stronnicy stali się jego przyjaciółmi. Wiedziała też w głębi serca, że podczas gdy groźba inwazji stawała się coraz bardziej aktualna, jej mężczyznę na pewno dręczy konflikt lojalności.

Postąpi właściwie. Jessie w to nie wątpiła. Lecz niepokój spowodowany rozważaniami o tej decyzji spędzał jej sen z powiek co noc od czasu, kiedy Will wyjechał do Brodick. Czekwała na niego zdecydowanie zbyt długo, a teraz, kiedy w końcu byli razem, ledwie mogła znieść myśl, że może straci go w błocie jakiegoś pola bitwy, gdzie zginie, ponieważ jego honor i sumienie nie pozwolą mu się odsunąć i zadbać o własne sprawy.

Wciąż tam stała, patrząc niewidzącym wzrokiem na morze i obejmując się ramionami pod swoim futrzanym płaszczem, kiedy poczuła dłoń Willa na barkach. Od razu poznała jego dotyk i odwróciła się pospiesznie, tuląc go mocno i całując zapamiętale. Poczowała, że zeszywniał na początku, zaskoczony jej niespodziewaną żarliwością, lecz potem objął ją, przygarniając do siebie i odwzajemniając pocałunek.

W końcu, po chwili, która wydała się jej aż nazbyt krótka, Will odsunął ją nieco i odwrócił tyłem do siebie, lecz zdążyła dostrzec zmarszczki na jego twarzy i głęboką troskę w oczach. Poczowała w sercu falę obawy, wiedząc, że nie powinno go tu być.

- A zatem odpłynęli - wyszeptał jej do ucha, trzymając ją mocno i patrząc na oddalające się okręty. - Osiągnęli porozumienie?

Pytanie było retoryczne, lecz i tak na nie odpowiedziała.

- Tak, odpłynęli. Sir James powiedział mi, że ludzie z zachodu staną po stronie króla, kiedy nadejdzie czas.

- Nie wątpiłem w to. Nie mają wyboru.

Jego głos był cichy, niewiele głośniejszy od pomruku, lecz Jessie wyplątała się z jego uścisku.

- Co się stało, Will? Dlaczego tu jesteś?

Przesunął wzrokiem po jej twarzy, a potem wzruszył ramionami i mruknął cicho, uśmiechając się ze smutkiem.

-Jestem tu, żeby cię zobaczyć, Jess. Zobaczyć cię i poczuć, jaka jesteś ciepła i gładka... i pomówić z tobą... podzielić się pewnymi wieściami.

- Złymi wieściami.

Zawahał się, mrużąc oczy, a potem kiwnął głową.

- Ano. Nie mogłyby być gorsze.

- Chodź zatem, to nie miejsce na taką rozmowę.

Wzięła go za rękę i zesziła razem z dachu, a potem powiodła go w dół wąskich, krętych schodów do swojej sypialni. Była tam Marjo-rie; siedziała przy ogniu wraz z Marie i Janette i wszystkie trzy podniosły oczy z zaskoczeniem, kiedy weszła Jessie, wciąż trzymając Willa za rękę. Kazała im wyjść i pomóc Hektorowi oraz jego ludziom przy sprzątanii i szykowaniu wielkiej sali; miały nie wracać, dopóki ich ponownie nie wezwie. Kiedy ich opuściły, odwróciła się do Willa, dotykając jego twarzy, pokrytego zarostem policzka.

- Pragnę cię, tu i teraz, lecz ty bardziej potrzebujesz rozmowy niż amorów. Widzę to w twoich oczach.

Odsunęła się, machając ręką w stronę krzesła stojącego po prawej stronie wielkiego kominka.

- Siadaj zatem i mów, a kiedy powiesz mi już raz, nieważne, jak złe będą to wieści, możesz mi je powtórzyć w łóżku. Obiecuję, że za każdym razem będę uważnie słuchała. A potem powiem ci, co o tym sądzę.

Zajął posłusznie miejsce, a ona usadowiła się naprzeciwko niego, patrząc mu w oczy i czekając, aż usiądzie wygodnie.

- No, mów.

Kiwnął głową dość ugodowo, lecz się nie odezwał, tylko patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem, szukając słów. Czekala, a on po chwili zamrugał, jakby się budził, i opuścił dłoń do rękajeści sztyletu wiszącego u pasa.

- Właśnie otrzymałem wiadomości z Francji - powiedział mar twym głosem. - Jacques de Molay zmarł po siedmiu latach w lochu. Miałby teraz siedemdziesiąt dwa lata, może siedemdziesiąt trzy. Był starym, skończonym człowiekiem, zniszczonym przez siedem lat po tworności i tortur. Wysłali trzech kardynałów, aby jeszcze raz osądzili jego i trzech pozostałych przy życiu towarzyszy, lecz zakwestionował ich władzę. Powiedział, że będzie rozmawiał tylko z Klemensem, i to osobiście, zgodnie ze ślubem, który złożył dawno temu. Lecz znów skłócony z Filipem papież był w Awinionie i nie chciał przyjechać do Paryża, więc de Molay jeszcze raz wyparł się zeznań. Ogłosił, że

wyciągnięto je z niego torturami, i oskarżył Filipa o to, że jest chciwym złodziejem... - Głębokie westchnienie Willa było nieco drżące. - Filip był w Paryżu i zareagował błyskawicznie. Tej samej nocy starzec spłonął na stosie na wyspie pośrodku Sekwany, przy katedrze Notre Dame. Stało się to osiemnastego marca. Wśród setek świadków był mój stary przyjaciel, Antoni Saint Omer. Powiedział, że mistrz umarł chwalebnie, przeklinając papieża i króla spomiędzy płomieni i dymu i wzywając Boga, aby dostrzegł, że on i cały jego Zakon nie jest winien stawianych im zarzutów.

Jessie wstała, podeszła do niego i przytuliła jego głowę do piersi, milcząc. Siedział nieruchomo przez chwilę, a potem odepchnął ją łagodnie.

- Oto się dokonało, Jess. Wspaniałego starego człowieka i wszystko, co sobą reprezentował, ostatecznie zdradził papież, któremu wiernie służył, i król, któremu nie służył nigdy. Jednak nie zmarł sam. Obok niego spłonął komtur Normandii, Godfryd z Charney. Nie zmarł też niewysłuchany, bowiem w ostatnich słowach, które wykrzyczał, wezwał papieża i króla na spotkanie z nim przed boskim tronem w ciągu roku. Wspomniał o tym stary Saint Omer, a nie skłamałby na ten temat.

- Och, mój drogi, tak mi przykro. — Spojrzał na nią i wykrzywił usta, przyjmując jej słowa skinięciem głowy, a ona spytała: — Jak przyjęli te wieści twoi bracia w Brodick?

- Nikt jeszcze nie wie. To złe wieści, kochana, i nadeszły w możliwie najgorszej chwili. Postanowiłem więc poczekać, aż nadejdzie odpowiedni moment na ich wyjawienie... choć Bóg jeden wie, że on nigdy nie nadejdzie.

- Rozumiem... Co zatem stanie się teraz?

Wypuścił powietrze powoli, z udręką.

- Teraz, Jess? Teraz muszę powiedzieć braciom zgromadzonym w Brodick. Teraz naprawdę jestem wielkim mistrzem, choć niech mi Bóg dopomoże, nie mam czego być mistrzem. I muszę mianować mistrza Szkocji, aby przewodził braciom, którzy tu zostaną po naszym wyjeździe. Czy wszystko to wydaje ci się tak jak mnie równie płonne?

- No już, cicho. Chodź.

Chwyliła go za rękę i zaprowadziła do łóża.

Potem, kiedy spał u jej boku, Jessie przemyślała to, co mógłby zrobić, i podjęła decyzję. Było to poważne postanowienie, którego na początku nie miała ochoty rozważać, lecz wiedziała, że nie ma wyboru, choć mogło się to skończyć jej śmiercią.

Usiadła i obróciła się, aby go obudzić, a on zrobił skruszoną minę, kiedy zdał sobie sprawę, że sturlał się z niej na plecy, a potem natychmiast zasnął, ale ona tylko uśmiechnęła się do niego i leciutko przesunęła palcem wzdłuż linii miękkich włosów biegnącej od jego klatki piersiowej do pępka. Potem klepnęła jego płaski brzuch i kazała mu wstać i się ubrać.

Kiedy już był ubrany i usiadł przy ogniu, Jessie zwinęła się w krzesło naprzeciwko niego.

- A teraz powiedz mi: co z Anglikami? Słyszałeś coś nowego?

-Tak, wciąż napływają nowe wieści, od kiedy Edward wezwał do Berwick ośmiu hrabiów i osiemdziesięciu siedmiu baronów wraz z ich siłami. Wyznaczył datę dziesiątego czerwca, lecz do marca zdążyło się tam pojawić już dwa i pół tysiąca ciężkozbrojnych konnych, a każdy z nich przywiózł ze sobą dwóch lub trzech wojowników, aby go wspierali. Do marca, Jess, z dwoma miesiącami zapasu! Angielskie kruki są głodne szkockiego mięsa... W tym samym miesiącu w liście przeszmyglowanym z więzienia w Anglii Lambertona zawiadomił, że Edward zwiększył swój pobór. Powołał dodatkowe piętnaście tysięcy piechoty z północnej i środkowej Anglii oraz trzy tysiące łuczników z Walii, a także zarekwirował ponad dwieście ciężkich wozów dla swojego taboru. Kiedy cztery dni temu wyjeżdżałem do Brodick, Douglas osobiście powiedział mi, że ostatnie liczby wskazują na to, iż w Berwick jest ponad dwadzieścia tysięcy ludzi, a każdy z nich jest dobrze wyposażony i płonie żądzą zwycięstwa oraz łupów.

- Aż dwadzieścia tysięcy?

- Ano, dziewczyno, tak powiedziałem. Dwadzieścia tysięcy. W całej Szkocji Bruce'a, nawet gdyby powołał każdego zdrowego mężczyznę w królestwie, zebrałaby się ledwie połowa, może nawet ćwiartka tej liczby.

Oboje wpatrywali się w dogasający ogień, aż Jessie zapytała:

- Chcesz, żebym ci coś poradziła?

Will niemal się uśmiechnął.

- Nawet na ten temat? Tak. Jeszcze mnie nie zawiodłaś.

- I teraz też cię nie zawiodę, ponieważ kocham cię nad życie i z tego powodu powiem ci, co mam na myśli. - Spojrzała na swoje dłonie, którymi zaplatała materiał sukni w fałdy. - Od dawna głęboko się nad tym zastanawiam, Will, i sądzę, że wiem, co powinieneś... co musisz zrobić. Wysłuchaj mnie więc uważnie, miły, ponieważ być może później zmienię zdanie i będę próbowała ci powiedzieć, że się myliłam. Lecz w tej chwili wiem, że mam rację.

Wielka sala w Brodick, którą bracia zwali teraz siedzibą kapituły, była pełna; ludzie siedzieli ramię w ramię nawet na czarno-białej szachownicy namalowanej pośrodku podłogi. Tylko cztery oddzielone linami i tworzące krzyż przejścia pozwalały na dostęp do podiów rozmieszczonych według czterech stron świata. Największe widniało na wschodzie: ustawiono na nim tron wielkiego mistrza i to tam skupiał się wzrok wszystkich zebranych.

Rytuały dla rycerzy zdążyły się już zakończyć - zgodnie z regułą przeprowadzono je w nocy - a teraz, z nadejściem świtu, na czas mniej oficjalnej części ceremonii pojawili się też serwienci. W sali panowała głęboka, niemal namacalna atmosfera powagi, ponieważ wszyscy wiedzieli, że to ostatnie zgromadzenie przedstawicieli Zakonu Świątyni na Arran, może ostatnie na całym świecie. Każde następne posiedzenie musiało być potajemne i ukradkowe i ta świadomość dodawała bolesnego wymiaru głosom wspólnie śpiewającym kanony.

Will stał wysoko nad zebranymi, spoglądając w dół przez wyposażone w zasłonę okno w rzeźbionej, drewnianej ścianie kryjącej jego pokoje; czekał, aż skończy się ostatnia pieśń. Starannie zaplanował całe wydarzenie, pamiętając o wszystkim, co powiedziała mu Jessie, i wciąż był zdumiony wykazaniem przez nią zrozumieniem wydarzeń, o których mogła nic nie wiedzieć. Przewidziała, jaki nastrój będzie panował wśród braci, i wzięła pod uwagę kwestie, które jemu nawet nie przysłyby do głowy.

Pieśń dotarła do momentu, na który czekał - słyszał ją przez lata tysiące razy - a on odwrócił się i kiwnął do ludzi ustawionych po jego prawej ręce, po czym patrzył za nimi, kiedy jednocześnie ruszyli

w stronę drzwi prowadzących do szerokich schodów, które ciągnęły się wzdłuż wschodniej ściany do obrzędowej, zdobionej szachownicą podłogi. Wszyscy czterej mieli na sobie śnieżnobiałe wełniane szaty z symbolami swoich urzędów. Po dotarciu do drzwi pukali w nie głośno po kolei, na co otwierał im wartownik. Ten, który zapukał, pochylał się i podawał hasło tak, aby słyszał je tylko strażnik, po czym przechodził, zamykając za sobą drzwi.

Will odprowadził ich wszystkich wzrokiem, czując, jak wzbiera w nim oddanie i podziw dla nich. Ryszard de Montrichard, preceptor, poszedł pierwszy. Siedział na tronie od północy i nikt wśród zgromadzonych poniżej nie mógłby tego zakwestionować. De Montrichard dobrze pełnił swą rolę, a Will poczuł znajome ukłucie zażenowania, przypominając sobie własne wątpliwości co do tego, czy się nadaje. Na stanowisku de Montrichard rozkwitł i od początku dowodził pewną ręką. Po nim zapukał i opuścił pokój kapitan galery, de l'Armentiere, na którego czekał południowy tron; zastępował admirała de Berenge-ra, wciąż przebywającego w Genui. Za nim poszli dwaj ostatni mężczyźni, kierujący się w stronę zachodniego tronu. Pierwszym był Formadieu, najwyższy rangą biskup na Arran, któremu słusznie należało się to miejsce. On jednak zrezygnował z niego ponad rok wcześniej, twierdząc, że nie zasługuje na reprezentowanie bractwa, skoro nie udało mu się wywrzeć wpływu na decyzję Kościoła w kwestii tego, co stało się z Zakonem. Nikt z braci nie chciał, aby Formadieu wyrzekł się swojego miejsca, i nikt nie wierzył, aby ponosił choćby odrobinę winy, lecz starzec był nieugięty; Will niechętnie przychylił się do jego życzenia, stawiając jednak stanowczy warunek, że biskup ma zostać na zachodnim podium, stojąc tuż za swoim następcą. Oczywiście wybrał go Will: mianował Reynalda de Pairauda, teraz zasuszonego staruszka, w uznaniu za jego zagorzałe i niespodziewane poparcie.

Dźwięk zamykających się za Pairaudem drzwi uświadomił Willowi, że teraz jego kolej, aby prosić o wpuszczenie na dół. Obrzucił wzrokiem samego siebie i czarną, skórzaną torbę na swoim ramieniu, upewniając się, że wszystko jest tak, jak ma być, a potem podszedł do drzwi i zapukał; natychmiast się otworzyły. Wyszeptał hasło do ucha wartownikowi i przestąpił przez próg, gdzie na wąskim podeście u szczytu stromych, drewnianych schodów czekała na niego pozostała czwórka, ustawiona już w odpowiedniej kolejności. Poniżej rozległa

się i ucichła ostatnia, długa nuta wyśpiewanego głębokimi głosami kanonu, właśnie wtedy, kiedy Will mruknął do odzianych w biel braci, że czas ruszać. Sam ubrany był w czarny habit zebrzącego zakonnika, uszyty jednak z kosztownej, grubej wełny, pozbawiony ozdób i przepasany sznurem z zafarbowanych na czarno, lśniących włókien lnianych. Poczekał, aż inni zaczęli schodzić po schodach, potem poprawił torbę i podążył za nimi, zauważając teraz nieme, uniesione ku niemu twarze i pełną wyczekiwania ciszę.

Zatrzymał się na chwilę na dole ostatniej kondygnacji, a potem od razu podszedł do tronu mistrza na wschodnim podium, odległym od niego tylko o krok. Jego czterej towarzysze poczekali na niego, a potem poszli do miejsca, gdzie krzyżowały się przejścia, i de l'Armentiere skreślił w lewo, a de Montrichard w prawo - na południe i północ. De Pairaud i Formadieu razem udali się na zachodni podest. Kiedy wszyscy już siedli, Will rozejrzał się po zgromadzonych, czując, że cisza staje się jeszcze głębsza, jakby wszyscy wstrzymywali oddech.

Zmusił się do powolnego policzenia w myślach do dziesięciu, przeciągając ciszę, a potem położył torbę na stojącym przed nim stole i rozpiął jej sprzączkę. Następnie podniósł głowę i zaczął mówić, starannie dobierając tonację głosu, tak aby rozbrzmiewał głośno w zatłoczonej sali, i powoli, wyraźnie wypowiadając słowa.

- Bracia, zebraliśmy się tutaj, aby upamiętnić doniosłą okazję, której żaden z nas nawet nie mógłby sobie wyobrazić, kiedy siedem lat temu opuszczaliśmy La Rochelle. Od tamtej pory zbudowaliśmy sobie życie na tej małej wyspie i pilnie staraliśmy się przestrzegać reguły Zakonu, zachować nasze zwyczaje i obowiązki, w razie gdyby nadszedł dzień, w którego pewne nadejście wszyscy wierzyliśmy... Dzień, kiedy zostaniemy zbawieni i wrócimy do Francji, kiedy naszym imionom i Zakonowi zwrócony zostanie honor, a fałszywe zarzuty przeciwko nam w końcu zostaną wycofane. Mieszkaliśmy tu w nadziei i braterstwie, a w ostatnim roku dołączyli do naszych szeregów i wzmocnili nas szkoccy bracia. Lecz w ciągu tych siedmiu lat nasze nadzieje na sprawiedliwość i odzyskanie honoru przez Zakon stłamszono; miarowo słabły one w obliczu wciąż napływających wiadomości o kolejnych zmartwieniach i katastrofach, zdradach i złej woli króla Francji. - Urwał, dając słuchaczom czas na przyswojenie jego słów, i kiedy tylko zobaczył, że zaczynają kiwać głowami, ciągnął tym samym

głosem: - Dlatego też wprowadziliśmy zmiany: skrajne, lecz konieczne w szybko przeobrażającym się świecie. - Nabrał głośno i głęboko tchu. - Niedawno dowiedziałem się o kolejnej... ostatniej, potwornej zmianie, która czyni z nas wszystkich wygnańców na zawsze... -W pomieszczeniu panowała absolutna cisza, a Will rozejrzał się, zaglądając w oczy możliwie najliczniejszym braciom; na każdej twarzy widział to samo napięcie, niepewność i strach. - Osiemnastego marca tego roku, roku Pańskiego tysiąc trzysta czternastego, nasz ukochany mistrz, sir Jacques de Molay, został spalony żywcem w Paryżu. To morderstwo... bowiem nie było to nic innego... przeprowadzono jako publiczne przedstawienie na bezpośredni rozkaz Filipa z Kapetyngów. Straszliwy gest okrucieństwa potraktowano jak święto.

Można było odnieść wrażenie, że po sali przemknęła bezgłośnie wicher, której siła widocznie wstrząsnęła zebrany tłum, lecz zanim zdążył on w pełni zareagować, Will powtórzył opowieść Saint Omera, nie pomijając niczego i kończąc wyzwaniem - a właściwie klątwą - którą de Molay wykrzyczał pomiędzy płomieni. Kiedy skończył, uniosł dłoń.

- Oto, co się stało. Nasz szlachetny Zakon przestał istnieć poza Szkocją. Zmarł wraz ze śmiercią jego czcigodnego mistrza i równoczesnym unicestwieniem honoru, sprawiedliwości i prawości w naszym smutnym kraju. A wraz z jego śmiercią na jego własny pisemny rozkaz stałem się wielkim mistrzem tego, co pozostało. - Potoczył wzrokiem po tłumie. - Lecz cóż to jest? Co pozostało, co mogło pozostać po takiej hańbie i niebywalej krzywdzie? Bracia, zostaje to, co znajduje się tu, teraz, w tej siedzibie kapituły. To nasz nieugięty duch, honor i ideały, nie splamione sprzedajnością czy zawiścią, rozumienie naszych obowiązków jako rycerzy i ludzi, odpowiedzialność względem nas samych i tych, którzy nas popierają. Chronimy te zasady w duszach, nie zszargane i nie pomniejszone przez zdrady, których dopuścił się Kościół i król oraz przez potworności, jakie rozpętała przeciwko naszym niewinnym braciom inkwizycja. W oczach świata zatem Zakon jest martwy, lecz my wszyscy wiemy, że to nieprawda. Przetrwa, dopóki będzie żył choć jeden z nas, aby pielęgnować pamięć o nim i wypełniać jego cele, i to właśnie staje się moją najważniejszą powinnością w roli mistrza: ochrona i pielęgnowanie tego, co pozostało. Musimy się przystosować i całkowicie zreformować. Już do-

głębnie się zmieniliśmy, lecz nie dość. Wkrótce znikniemy całkowicie z oczu zwykłych ludzi. Staniemy się podobni duchom i zjawom. Ale wciąż będziemy celebrować rytuały, aby zachować nasze wierzenia i współlistnieć jako bracia, równi w oczach wszytkowidzącego Boga. Od tej chwili czeka nas realizowanie celów oraz marzeń w całkowitej tajemnicy; nasza prawdziwa tożsamość pozostanie nieznaną. Oto składam wam przysięgę: przetrwamy i będziemy prosperować, choć niewidoczni dla innych, aż nadejdzie dzień, kiedy ten Zakon znów się podniesie, aby uhonorować pamięć o ostatnim, prawdziwym wielkim mistrzu, który w marcu zmarł na wyspie na Sekwanie. Dlatego też sądzę, że właściwą częścią na zakończenie naszego ostatniego zgromadzenia będzie odśpiewanie *Dies irae*, aby upamiętnić odejście wielkiego i szlachetnego człowieka.

Naprzeciwko Willa, na zachodnim podium, biskup Formadieu postąpił do przodu i zaczął śpiewać pierwszy wers uroczystego, donośnego hymnu żałobnego, a pod koniec pierwszej frazy dołączyły do niego głosy zebranych, w których brzmiała żarliwość i powaga, jakiej Will jeszcze nigdy nie słyszał. Wyteżał uszy, nie czując potrzeby przyłączenia się, choć włosy na karku stanęły mu dęba, kiedy fale dźwięku wezbrały i go obmyły. Zawsze wolał słuchać muzyki, niż kaleczyć ją własnym niemelodyjnym udziałem, i właśnie wyobrażał sobie zmarłego takiego, jakiego widział go po raz ostatni: był wtedy poważny, pełen godności i do głębi zatroskany pozornie absurdalnymi ostrzeżeniami, które otrzymał. Przypominając sobie niechętnie postanowienie mistrza, aby na nie zareagować, Will zdał sobie sprawę, jak bardzo pasują do tej sytuacji słowa pieśni żałobnej: *Dzień ów gniewu się nachyla, gdy w proch wieki zmiecie chwila, świadkiem Dawid i Sybila**.

Will przyciągnął do siebie torbę i położył na niej dłonie.

- Nie byłby to szczęśliwy dzień nawet bez tej strasznej wieści, lecz nie zakończy się on rozpaczą. Podejrzewam, że niewielu z was kiedykolwiek widziało mistrza de Molaya, ponieważ przez większość życia mieszkał z dala od Francji, za morzem, pracując bez wytchnienia dla dobra naszego Zakonu. Lecz wiem, że każdy z was zdaje sobie sprawę, jakim szacunkiem, a nawet czcią darzyli go wszyscy, którzy go znali. Był niezrównanym rycerzem i, niestety, przeznaczona mu była

* Przeł. Anna Kamieńska.

śmierć na stanowisku, jako ostatniemu w nieprzerwanej linii dwudziestu trzech wielkich mistrzów naszego Zakonu, która zaczęła się od Hugona de Paynsa w tysiąc sto osiemnastym roku. Dwudziestu trzech ludzi, bracia, sto dziewięćdziesiąt sześć lat prawości i poświęcenia; wszystko to zniszczone przez jednego chciwego króla, Filipa zwanego Pięknym. Takie piękno przywodzi na myśl obłudę biblijnych faryzeuszy... Lecz nie mówmy o nim więcej, nie jest wart waszego czasu ani uwagi. Przez resztę dnia myślcie zamiast tego o Jacques'u de Molayu, kiedy będziecie zajmowali się przydzielonymi wam zadaniami. Zanim jednak zakończymy, jest kilka rzeczy... dość osobistych... które chcę wam powiedzieć jako mistrz. Nie zatrzymam was na długo, ponieważ większość naszych przygotowań na dzisiaj jest już zakończona. - Mówiąc, rozejrzał się ponownie po twarzach zebranych, nie pierwszy raz zauważając, że niewielu z nich można byłoby opisać jako młodych. - Kiedy opuścimy dziś tę salę, zaczniemy ostatni etap przygotowań do wyjazdu stąd. Konie, zbroje, oręż i zapasy, a także większość waszych osobistych rzeczy... jeśli je posiadacie... są już na miejscu, na plażach, a okręty czekają na załadunek. Wszyscy wiecie, co robić, i wiecie, że nie mamy czasu do stracenia. Jeśli pozwolicie, chcę jeszcze o czymś przypomnieć. Kiedy tu dotarliśmy, byliśmy bezdomnymi uciekinierami, którzy wciąż nie potrafili uwierzyć w to, co się stało naszemu uporządkowanemu światu. Byliśmy zdezorientowani, nie wiedzieliśmy, co myśleć, i czekaliśmy, ślepi i głusi, aż dotrą do nas wieści, że wszystko to było pomyłką i mamy wrócić do domu. Wieści te jednak nie nadeszły, a świat, który znaliśmy, popadł w ruinę. Mimo to jesteśmy bezpieczni tutaj, na tej wyspie, gdzie przed chaosem ochroniła nas dobra wola jednego człowieka, Roberta, króla Szkocji, i jego przyjaciół. Oczywiście mogliśmy mu się odwzajemnić, wspierając go, choć nasze siły były ograniczone. A kiedy dziś stąd odpłyniemy, większość z was dalej będzie mu pomagać ze swoich nowych siedzib w lożach, które założyliśmy w Szkocji, a wasza potęga pokrzepi go w chwili potrzeby tak, jak jego zrozumienie pokrzepiło nas w ciężkich czasach. - Uderzył pięścią we wnętrze drugiej dłoni. - Lecz teraz król Szkocji stoi w obliczu największego wyzwania. Anglia planuje całkowicie go zniszczyć, a także wszystkich, którzy go popierają. Wiem, że jesteście tego świadomi; to nic nowego. Anglia od lat próbuje zgładzić Szkotów, którzy mimo to jeszcze się nie ugięli. Wiem też, że słyszeliście o nowej inwazji, do

której się teraz przygotowuje. Ciekawe jednak, czy zdajecie sobie sprawę, jak przedstawia się jej prawdziwa skala. Edward z Caernarvon zebrał w Berwick ponad dwa i pół tysiąca ciężkozbrojnej jazdy. Dwa i pół tysiąca uzbrojonych rycerzy, z których każdego wspierają konni pomocnicy. Ma cztery tysiące łuczników i piętnaście tysięcy piechoty. Ma setki wozów, które tylko czekają na rozkaz, aby ruszyć na północ. Flota jego okrętów już płynie wzdłuż wybrzeża w stronę rzeki Forth, gdzie będą czekać ze świeżymi zapasami, aż dotrą tam jego armie. Skromnie licząc, dwadzieścia tysięcy ludzi jest gotowych zaatakować Szkocję. Król Robert stawia im czoło w pobliżu Stirling, przy najważniejszym odcinku trasy inwazji i być może w jedynym miejscu, gdzie da się ich powstrzymać. Armia Anglii będzie miała przewagę liczebną nad siłami Bruce'a co najmniej czterokrotną.

Will przyciągnął do siebie czarną torbę, jedną ręką uniósł klapę, a drugą wyciągnął ze środka wielki, lśniący klejnot z krytego czerwona i białą emalią metalu, przedstawiający wszechwidzące oko na szczycie piramidy, który symbolizował jego członkostwo w Radzie Zakonu i zawieszony był na ciężkim srebrnym łańcuchu. Podniósł go wysoko.

- Wczoraj w nocy, podczas zgromadzenia kapituły, odłożyłem ten medalion po raz ostatni, rezygnując ze swojego stanowiska jako członka Rady Zakonu. Nie założę go już, ponieważ Rada przestała istnieć, a ja nie widzę powodu, aby tworzyć ją od nowa, skoro jest nas tak niewielu. A zatem mówię do was teraz jako William Sinclair, jeden z was i wam równy. Z pomocą doradców wykonałem mój obowiązek jak należało i poczyniono już wszystkie przygotowania związane z naszym rozproszeniem się, które nastąpi dla dobra wszystkich. Lecz teraz pojmuję, że jako człowiek jestem daleki od szczęścia, a nawet od zadowolenia. Tak naprawdę czuję przygnębienie. Zmieniliśmy swoją powierzchowność, ukrywając, kim jesteśmy. W milczeniu i bez wyraźnych protestów zaakceptowaliśmy to, co nam uczyniono. Zachowaliśmy się potulnie i nadstawiliśmy drugi policzek, przyjęliśmy niezасłużony wstyd i poniżenie z rąk tych, dla których służba była kiedyś zaszczytem... No cóż, ja mam tego dość! Mówią nam, że duma to grzech. Ale ci sami ludzie, którzy to mówią, kierowani arogancją, pychą i chciwością, odebrali nam wszystko, dzięki czemu byliśmy ludźmi i sumiennymi mnichami. Zatem jeśli duma jest grzechem, wolę umrzeć w grzechu, niż żyć w hańbie.

Kiedy znów pochylił się nad torbą, usłyszał, że wśród braci wzbiera szum rozmów, szokująco głośny w tej komnacie, w której cisza była nienaruszalną regułą, lecz zignorował to. Wyciągnął złożony kwadrat materiału, strzepnął go i uniósł w powietrze.

- Wątpię, że rozpoznacie ten przedmiot, więc powiem wam, co to jest. - Uniósł go jeszcze wyżej, nad głowę, rozciągając materiał, aby było go wyraźnie widać. Górna połowa chusty była czarna, a dolna śnieżnobiała. - To nasz pierwszy sztandar, używany przez Zakon w najwcześniejszych dniach, zanim przyjęliśmy za symbol równoramienny krzyż. Przedstawiał on wybory i zmiany, których dokonaliśmy, wstępując do bractwa: czerń wcześniejszej ignorancji zastąpiona bielą oświecenia. Reprezentuje wszystko, czym byliśmy, i pokazuje postęp, jaki poczyniliśmy, przyjmując obowiązki Zakonu; z mroku w jasność, z rozpacz w nadzieję, z hańby w honor. Jest prosty, lecz zawiera więcej treści, niż potrafilibyśmy wyrazić.

Opuścił ramiona i przez chwilę patrzył na sztandar, a potem ponownie go uniósł.

- Dostałem go od samego mistrza de Molaya: ostatnia taka chorażka od ostatniego takiego człowieka. Dał mi ją podczas naszego ostatniego spotkania, siedem lat temu, każąc mi dobrze się nią opiekować i wszędzie ze sobą wozic. Dobrze się jej przypatrzcie, bo może więcej jej nie zobaczycie. Biorę ją do Stirling, aby podnieść ją podczas walki za sprawę Roberta Bruce'a. Udam się tam jako templariusz, w pełni uzbrojony i z prawdziwymi emblematami: bielą wiedzy i czarnym równoramiennym krzyżem chwały mojego Zakonu. Dość mam krycia się i udawania! Dość przemykania się z pochyłą głową! Król Szkocji ma zamiar po raz ostatni dzielnie stawic opór, a ja będę przy nim, na przekór papieżowi, Kościołowi i królom Francji!

Ryk aprobaty zaczął się, zanim Will skończył mówic, i zagłuszył jego podniesiony głos. Sinclair czekał bez ruchu, z podniesionymi ramionami, aż wrzawa ucichła.

- Pójdziecie ze mną?

Tym razem rozpętało się pandemonium, a tłum zaczął się chwiać, kiedy ludzie jęli odwracać się do sąsiadów i okładać nawzajem pięściami, wyjąc z entuzjazmem. Will czekał z uśmiechem, a bracia w końcu znów się uspokoili, wlepiając w niego wzrok.

- Zatem niech tak się stanie. Lecz wysłuchajcie mnie! Żadnych czerwonych krzyży, bo to nie krucjata. - Opuścił ręce, składając sztandar starannie i kładąc go sobie na lewym barku. - Pojedziemy jako templariusze, rycerze i serwienci, w czerni i bieli, ten jeden ostatni raz. Dumnie pokażemy, kim jesteśmy. Rycerze włożą białe płaszcze i czarne zbroje, a serwienci czarne opończe z białym krzyżem. Wszystkie tarcze będą takie same: biały krzyż na czarnym tle. To samo odnosi się do rzędów końskich. Znajdziecie wszystko w dwóch kamiennych budynkach na tyłach tego domu, a także białą i czarną farbę do waszej dyspozycji. - Przyjrzał się tłumowi, który niecierpliwiał się niczym ogary na smyczy.

Odpowiadając na kilka pytań, Will był świadom, że oficjalne zgromadzenie zmieniło się w przydługą naradę wojenną. Szybko poradził sobie z rozplanowaniem kwestii w czasie: był już trzeci tydzień maja, a trudny dzień św. Jana był odległy zaledwie o kilka tygodni. Lecz wszystko zdążyło się zmienić. Zamiast wspierać Bruce'a niewielkimi drużynami konnych, mieli teraz dołączyć do niego jako potężny, jednolity oddział ciężkiej jazdy, wzmocniony zdyscyplinowaną lekką jazdą. Z miesiąca, który dzielił ich od dnia św. Jana, dwa tygodnie mieli spędzić na intensywnej musztrze na Arran, aby odzyskać umiejętność działania w bitwie jako jedna, spójna całość. Na początku drugiego tygodnia czerwca zaplanowany był transport jednostek - pod wodzą de l'Armentiere'a jako wiceadmirala - z Arran do Szkocji. Dwudniowa przeprawa morska miała zakończyć się w ujściu rzeki Clyde, w Dumbarton, gdzie mieli zejść na ląd i pomaszerować trzydzieści mil na wschód do Stirling, starając się, aby nie wytopiły ich angielskie siły stacjonujące w okolicy. Dwa dni na morzu i cztery dni marszu po trudnym terenie; dość czasu, aby dotarli do króla Roberta przed Anglikami.

Will uniósł ręce.

- Zatem, bracia, postanowione. Ostatni raz powalczymy jako templariusze ku czci prastarej chwały Zakonu i wyraźnie zaznaczymy naszą obecność, aby wesprzeć jedyne go króla, który potraktował nas z honorem i współczuciem, Roberta Bruce'a. A jeśli zginiemy, jakie to ma znaczenie? Zakon już jest martwy, więc pojedziemy jedynie ze śmierci w śmierć. Idźcie zatem i przygotujcie się.

Mówił po francusku, a kiedy umilkł, pojedynczy głos, którego

właściciela nie było widać wśród tłumu, podjął jego słowa i zaczął powtarzać je miarowo:

- Ze śmierci w śmierć!

Dołączyli do niego kolejni, aż wykrzykiwali je wszyscy obecni.

- Idźcie więc! - Will się odwrócił i podszedł do schodów przy tylnej ścianie, nie oglądając się za siebie, a idąc, słyszał szuranie stóp, kiedy zgromadzeni zaczęli się rozchodzić, a skandowanie w końcu ucichło. Nie miał pojęcia, że właśnie był świadkiem - co więcej, inicjatorem — narodzin legendy, która będzie powtarzana wielokrotnie przez następne lata: opowieści o tym, jak grupa nieznanymi rycerzami podobnymi *deus ex machina* z jakiejś nieprawdopodobnej greckiej tragedii przybyła w chwili największej potrzeby Szkocji, aby przemienić najważniejszą bitwę króla Roberta Bruce'a z klęski w chwalebne zwycięstwo. Zamiast tego, wspinając się po schodach na półpiętro, myślał o tym, że ponownie włoży swą zbroję, i zamierzał wysłać Tama do Lochranzy, aby przywiózł mu Jessie.

Epilog

1

Zamek w Stirling spoczywał na ogromnej skalistej grani, górując nad otaczającymi go nizinami, po których - wśród rozległych, zdradliwych bagnisk Carse of Stirling - wiła się wielkimi pętłami rzeka Firth. Podczas pogodnych nocy, szczególnie przy pełni księżyca, wartownicy na wysokich murach mogliby, gdyby postanowili spojrzeć w tamtą stronę, dostrzec czarny zarys odległego lasu Tor; wiedzieliby, że za nim leży wciąż zdeptana ziemia ciągnąca się wzdłuż Bannock-burn, a jeśli w ogóle mieli wyobraźnię, przypomnieliby sobie chaos i rzeź, które rozegrały się tam ledwie kilka miesięcy wcześniej, kiedy to król Robert zasiał spustoszenie wśród cieszących się potężną przewagą liczebną Anglików. Myśleli o tym nie raz i szczegółowo to omawiali — jak wszyscy inni Szkoci - ciesząc się, lecz wciąż nie mogąc uwierzyć w cud, który wydarzył się na brzegu strumienia Bannock w tamten dzień św. Jana, kiedy wydawało się, że szkoccy wojowie, wyposażeni w piki i ustawieni w formacjach zwanych *schiltroms*, nie będą w stanie powstrzymać nieubłaganej fali angielskiego ataku; kiedy wyzwany na pojedynek król Robert otarł się o śmierć, a uratował go tylko jego talent bojowy i nieomylny, potężny cios berdysza, jego jedynej broni. Wspominali też nagle, nieprzewidziane pojawienie się nowych szkockich oddziałów, które przybyły ze wschodu z ciężką kawalerią na czele: niepokonaną szarżę uzbrojonych po zęby templariuszy - liczniejszych, niż kiedykolwiek wcześniej widziano w Szkocji — którzy tego dnia przeważyli szalę i wywołali u gęsto upakowanych Anglików niszczącą panikę. Zarówno rycerze, jak i zwykli wojownicy angielscy zaczęli się nawzajem trącać i przeszkadzać sobie podczas desperackiej próby znalezienia schronienia i utrzymania równowagi

na śliskim, zdradliwym podłożu bagien leżących między Bannock-burn a brzegiem Firth. Tam ugrzęźli, tysiącami tonąc i ginąc, miażdżąc się nawzajem w panice i oddając Bruce'owi i jego ludziom zwycięstwo.

Lecz to stało się w lecie, kilka miesięcy wcześniej, kiedy owo niebywałe zwycięstwo rysowało się na świeżo w myślach każdego Szkota i wydawało się, że złote światło radości nigdy nie zgaśnie. Tej nocy jednak nie było na to nadziei. Rzeczywistość mroźnej zimy sprawiała, że ludzie nie pamiętali o takich rzeczach. Chmury wisiały tak nisko, że zaczęły wkradać się między blanki jako wirujące kłęby lodowatej mgły, nie ustępującej mimo wiatru i deszczu, które siekły ją i uderzały o palisadę zamku. Nieszczęśni wartownicy garbili się wszędzie, gdzie tylko udało im się znaleźć schronienie przed deszczem na murach ciągnących się wzdłuż niemal pionowej, potężnej grani. Każdy z nich odliczał wolno płynące chwile do końca jego warty, kiedy to będzie mógł zdjąć przemoczoną pelerynę i uciec brutalnym żywiołom wyjąłym nad wielomilowymi równinami znad Firth of Forth i leżącego aż nazbyt blisko zimnego Morza Północnego.

Jednak za kamiennymi murami stołpu nikt nie dbał o pogodę. Tej nocy wewnątrz zamku w Stirling było cieplejsze i jaśniejsze, atmosfera zaś bardziej radosna i beztronna niż kiedykolwiek za pamięci obecnych. Na ścianach migotały pochodnie, oświetlając wszystkie wejścia, korytarze i klatki schodowe, a w ogromnych komnatach na parterze ciemność odpędzały liczne szeregi świec oraz kagańce na ścianach i płomienie buzujące w każdym kominku. Wszędzie tłoczyli się ludzie, wystrojeni w najświetniejsze szaty — nie widać było prawie wcale zbroi - a z każdej strony dobiegała muzyka, czasem dzika i wojownicza, czasem wesoła. Jeszcze gdzie indziej różne melodie nakładały się na siebie w rozprasający sposób.

Działo się to między innymi w szerokim, wyłożonym kamiennymi płytami korytarzu, prowadzącym z kilku mniejszych komnat na tyłach do grubych, wzmocnianych żelazem drzwi do sali królewskiej, największego i najkunsztowniej zdobionego pomieszczenia w zamku. Will Sinclair poszedł odebrać Jessie z jednej z komnat przeznaczonych dla dam, a szczególnie dla służek i dzieci owych dam, nianiek i niemowląt. Grał tam harfista, uspokajając dzieci łagodną muzyką, lecz kiedy Will i Jessie szli w stronę głównej sali, dźwięki harfy szybko

zagłuszył przenikliwy pisk szaleńczej miejscowej muzyki, wylewającej się przez szparę w lekko uchylonych odrzwiach.

Byli sami w korytarzu, idąc swobodnie - Will opasywał talię Jessie opiekuńczym i zaborczym ramieniem - kiedy wielkie drzwi, do których się zbliżali, otworzono szeroko, a fala zawodzącej muzyki wdarła się dalej, spowijając ich dwoje. Zaskoczony Will zatrzymał się w pół kroku, otwierając szeroko oczy ze zdziwienia, po czym chwycił Jessie łagodnie za ramię i odciągnął ją na bok, aby stanęła z nim pod ścianą, skąd mogli dostrzec, co się dzieje.

Otwarte drzwi wypełniała teraz spora drużyna kolorowo ubranych Goidelów, stojących w pięciosobowych rzędach; na ich czele wyróżniała się wysoka sylwetka mężczyzny ubranego w szaty koloru szafranu i szkarłatu. Wszyscy dęli mocno w dudy, które stanowiły wielką część ich prastarego, tradycyjnego stylu życia. Will nie widział, ilu przedstawicieli klanów tłoczy się za pierwszym rzędem, lecz dostrzegał nad ich głowami kłęby dymu wydobywające się z palenisk wielkiej sali za ich plecami i miał wrażenie, że z tyłu są całe masy ludzi, śmiejących się i pokrzykujących z radości.

Człowiek na czele zaczął maszerować w miejscu, wysoko unosząc prawe kolano i wybijając jedną stopą rytm, kiedy grana przez dudziarzy melodia się zmieniła. Uderzył stopą w ziemię sześć razy, a potem ruszył przed siebie, wydymając policzki z wysiłkiem, którego wymagało bezustanne utrzymanie powietrza w worku instrumentu. Marszczył w skupieniu brwi, przebiegając palcami po otworkach w długiej piszczalce, z której wydobywały się dźwięki. Kiedy minął Willa i Jessie, Sinclair ze zdumieniem usłyszał, że każdy mężczyzna idący za nim gra tę samą melodię, doskonale utrzymując tempo. Naliczył dwudziestu ludzi kroczących w uroczystej falandze, a kiedy ostatni szereg znalazł się już za nim i Jessie, Sinclair odprowadził ich wzrokiem, świadom, że z tyłu tłum wylewa się przez drzwi, krzycząc, wznosząc wiwaty i gwizdząc.

Kiedy dźwięk dud umilkł, Jessie uśmiechnęła się do niego.

- Nigdy nie potrafiłam przekonać Francuzów, że odgłos, który wydają dudy, to muzyka - powiedziała. - Kim byli ci ludzie? Najwyraźniej ćwiczyli takie wspólne granie. Moi strażnicy we Francji tego nie potrafili.

Wyszczerył do niej zęby, ścisząc głos tak, aby słyszała go tylko ona.

- Twoi strażnicy we Francji mieli inne rzeczy na głowie, kochana. Ale masz rację. Nie wiedziałem, że tak można. Dwudziestu mężczyzn grających zgodnie razem! Nie sądziłem, że to kiedyś usłyszę. Ale też podobno Rzymianie grywali na dudach, tylko mniejszych. Okazuje się, że używali ich, aby dodać swoim ludziom sił podczas długich marszów, więc domyślam się, że na pewno wiedzieli, jak grać uniso-no. - Wyprostował się i rozejrzał po tłumie, z którego nie znał wielu twarzy. - W każdym razie byli z klanu MacDonald. Ten rosły człek na czele to Calum MacDonald z wyspy Skye, a jest on prawą ręką An-gusa Oga, co oznacza, że sam Angus na pewno jest w środku, z królem. - Ujął jej rękę i ułożył ją sobie na przedramieniu. - Wejdziemy zatem, żono?

Lady Jessica Sinclair nie dostrzegła w swoim małżonku ani śladu ponurego i niedostępnego templariusza, którego poznała owego - odległego już teraz - dnia w La Rochelle. William Sinclair, którzy szedł teraz przy niej, był całkowicie innym człowiekiem, i choć tak samo wysoki i imponujący, ubrany był obecnie w tunikę i obcisłe spodnie w najnowszym francuskim stylu, uszyte przez nią z bładoniebieskiego-ego aksamitu pochodzącego z jej własnych zapasów. Dzięki karczkowi tuniki i poduszkom na ramionach był niezwykle szeroki w barach, a tunika błyszczała od srebrnych ćwieków, naszytych na romby z satyny ciemniejszej zaledwie o odcień od aksamitu. Z ramion spływała mu wspaniała tunika z jasnoniebieskiego, lśniącego jedwabiu; Jessie kupiła go lata wcześniej od kupca, który zjeździł całą Azję i przywiózł z niej najcudowniejsze materiały, jakie w życiu widziała. Zdawała sobie sprawę, że dorównuje mu splendorem, ponieważ wciąż miała na sobie suknię, w której wcześniej tego dnia wzięła ślub: ciemnoniebieską, z głębokim dekoltem, o mankietach i gorsecie obszytym delikatną francuską koronką. Z tej samej koronki zrobiony był uniesiony teraz welon zdobiący jej wysokie przybranie głowy.

Will z kolei był do głębi świadom obecności Jessie u swego boku, a także nie do końca jeszcze pojmował, że jest teraz jego żoną. Kiedy szli w stronę drzwi, dokładniej przykrył wolną dłonią jej dłoń, a ludzie rozstąpili się przed nimi; wielu przyglądało się im z ciekawością. Will nie znał ich, lecz przypisywał owo zaciekawienie temu, że wiedzieli o nim wyłącznie, iż w jakiś sposób nagle pojawił się jako stary przyjaciel króla Roberta, tak dalece przezeń szanowany, aby

jego ślub odprawiono w zamku w Stirling, w obecności samego monarchy.

Will i Jessie zatrzymali się tuż za progiem, rozglądając się po wielkim, tłoczonym pomieszczeniu. Z miejsca, gdzie stali, do drugiego końca komnaty, gdzie niska kondygnacja schodów prowadziła do szerokiej platformy, rozciągało się wydzielone linami przejście. Nad ich głowami ledwie było widać wysokie, wzmocnione belkami sklepienie, spowite mrokiem i migoczącymi, mglistymi cieniami rzucanymi na kłęby dymu przez światła poniżej. Lecz to odległe podium przykuło ich uwagę, ponieważ to tam, nad tłumem, stał Robert I, z łaski Bożej król Szkotów, w towarzystwie grupki usługujących mu ludzi i rzędu bacznych heroldów.

Will widział króla tego dnia po raz pierwszy od czasu bitwy pod Bannockburn; nawet wtedy, ponieważ w następstwie cudownego zwycięstwa Robert musiał zająć się tysiącami szczegółów, miał czas tylko na mocny uścisk dłoni, uśmiech podziękui, kilka słów wdzięczności i obietnicę, że porozmawiają później, gdy będzie więcej czasu. Od tamtej pory minęły ponad cztery miesiące, a obecne zgromadzenie w Stirling — pierwsza prawdziwie radosna okazja za panowania króla - odprawiono dla uczczenia powrotu królowej Elżbiety, niewiele wcześniej uwolnionej z angielskiego lochu, w którym spędziła osiem lat. Jessie powiedziała Willowi, że królowa przeżyła wszystkie te lata bez szwanku wyłącznie dzięki swojemu pochodzeniu: jej mąż był wprawdzie z punktu widzenia bezlitosnego porywacza, Edwarda Plantageneta, zdraździeckim i buntowniczym łajdakiem, i samo to mogło stanowić dla niej wyrok, tak jak w przypadku braci Bruce'a, lecz jej ojcem był Ryszard de Burgh, hrabia Ulsteru, jeden z najpotężniejszych możnych w Anglii i najstarszy, najbardziej oddany przyjaciel Edwarda. Teraz wysoka, rudowłosa królowa Elżbieta stała obok swego męża i nieco za nim: przedstawiała majestatyczne ucieleśnienie królewskiej godności, w ciemnozielonej sukni haftowanej złotą nicią i perłami, których lśnienie widział ze swojego miejsca nawet Will. Prymas Szkocji, arcybiskup Lamberton z Saint Andrews, stał po lewej ręce Bruce'a, a obok niego widać było kolejne znajome twarze, między innymi Dawida Moraya i Angusa Og MacDonalda. Will poszukał na zatłoczonym podeście Douglasa, lecz nie było tam ani jego, ani sir Tomasza Randolpha.

Zawahał się, a potem mocniej chwycił palce Jessie i ruszył długim przejściem na drugi koniec sali, a kiedy tylko zaczął iść, dostrzegł, że król patrzy na niego i unosi ramię, aby go zatrzymać. Sinclair stanął tak gwałtownie, że niemal stracił równowagę, i poczuł, że Jessie jest równie zmieszana, ponieważ nagle chwyciła go mocniej za ramię, również się zatrzymując. Czy król zmarszczył niespodziewanie brwi z ich powodu? Zerknął na nią pośpiesznie i okazało się, że i ona patrzy na niego niepewnie, a potem oboje ponownie zwrócili wzrok w stronę podestu, gdzie grupa otaczająca króla rozproszyła się w przyływie krzątania. Pojawili się dwaj ludzie niosący tabard, masywny, sztywny strój króla używany podczas rytuałów i ceremonii, heraldyczny symbol jego urzędu i obecności. Will dostrzegł, że niewielu uczujących zauważyło w ogóle, że król Robert rozłożył ramiona i nałożył imponujący tabard, ozdobiony karmazynowym, wyszywanym złotem lwem, wspinającym się na tylnych łapach na tle w kolorze najczystszej żółci i haftowany tak gęsto, tyloma odcieniami barwionych drutów, że sprawiał wrażenie zrobionego całkowicie z metalu. Wszyscy jednak zamarli w bezruchu, kiedy heroldowie stojący pod ścianą podeszli do przodu, jednocześnie unieśli fanfary i zadęli w nie, wygrywając nuty przenikliwego sygnału.

Kiedy ostatnie dźwięki ucichły, a heroldowie wrócili żwawo do szeregu na tyłach podestu, w sali panowała absolutna cisza, a każda para oczu zwrócona była na miejsce, gdzie stał ubrany w ceremonialny kaftan monarcha, trzymając za rękę królową i patrząc na zebrany tłum, otoczony najbardziej wpływowymi dostojnikami swego kraju. Podniósł wysoko prawą rękę, unosząc z nią dłoń Elżbiety.

- Przyjaciele - zaczął, a jego głęboki, donośny głos wypełnił całą salę - wysłuchajcie mnie i zważcie na moje słowa. Dzisiejszy dzień jest radosną okazją dla naszego królestwa, pierwszym nie zagrożonym niczym świętem od czasu, kiedy przejąłem władzę w tej smutnej krainie i postanowiłem wygnać Anglików z naszych dolin. Lecz dziś nasz kraj nie jest już smutny... bowiem jesteśmy wolni!

Tłum ryknął z aprobatą, a Bruce ponownie uniósł dłoń.

-Jesteśmy tu dzisiejszego wieczora, w atmosferze pokoju i zjednoczenia, aby dziękować Bogu i sobie nawzajem za siłę, którą odnaleźliśmy i której użyliśmy z taką mocą, aby oczyścić nasze ziemie z plugastwa inwazji i obcego obłężenia.

Ktoś gwizdnął głośno i zaczął klaskać, lecz jasne było, że król jeszcze nie skończył, więc owacja szybko ucichła.

- Owa siła, zmasowana determinacja szkockiej wspólnoty, reprezentowana przez was wszystkich, możliwych, duchownych, mieszczan i zwykłych ludzi, sprawiła, że to święto stało się możliwe. Jest tu dziś nasza królowa, z Bożej łaski zaszczycając swą obecnością te obchody, a także moja ukochana córka, Marjory, uwięziona przez te długie lata w angielskim zakonie za grzechy swojego ojca. A oto nasi wielce czcigodni biskupi z Saint Andrews i Glasgow, wypróbowani i lojalni przyjaciele, tak niedawno wypuszczeni z angielskich lochów.

Tym razem nie próbował stłumić aplauzu i krzyków aprobaty, a królowa, arcybiskup Lamberton i kilku nieznanym Willowi ludzi przyjęło te wiwaty, uśmiechając się i machając do tłumu. Kiedy tylko owacja zaczęła cichnąć, monarcha uniósł w powietrze obie dłonie, po czym odezwał się bardziej miarowym, mniej oficjalnym tonem:

- Lecz dziś wieczór świętujemy coś jeszcze, wydarzenie, które już się zaczęło, lecz jeszcze nie skończyło. Niektórzy z was już wiedzą, że mieliśmy tu dziś ślub. Planowano go od miesiący i miał się on odbyć daleko stąd, lecz poprosiłem oboje małżonków, jako moich bliskich i zaufanych przyjaciół... co, jak musicie wiedzieć, znaczy, że są bliskimi i zaufanymi przyjaciółmi tego kraju... aby opóźnili swe zaślubiny i dołączyli do nas w Stirling na szczęśliwą, długo oczekiwaną okazję złączenia ich węzłem małżeńskim.

Will poczuł, że Jessie zaciska rękę na jego ramieniu. Ich ślub odbył się w niewielkim gronie bliskich: udzielił go sam arcybiskup Lamberton, zaś asystował mu biskup William Sinclair i barwny Dawid Moray, choć raz ubrany w szaty swojego urzędu. Poza imponującą grupą celebriansów obecna była wyłącznie najbliższa rodzina pary i grupa królewska, Robert, Elżbieta oraz ich najbardziej zaufani przyjaciele i doradcy, między innymi sir James Douglas, sir Tomasz Randolph, szacowny mistrz Mikołaj Balmyle oraz Angus Og MacDonald, pan na wyspach. Will odwzajemnił uścisk jej dłoni, z ulgą zaczynając pojmować, dlaczego król zatrzymał ich w miejscu. Widział teraz, że ludzie stojący przed nim rozglądają się po swoich sąsiadach, zastanawiając się, o czym król mówi i o kogo chodzi. Nikt nie spojrział na drugi koniec sali.

- Lata temu, tuż po mojej koronacji, kiedy musiałem uciekać mię-

dzy wzgórze po bitwie pod Methven, w czasie, **który teraz** jawi mi się jako najbardziej ponury i najcięższy etap naszej walki, przybyła do mnie z Francji pewna dama, przywożąc wielkie bogactwa z własnego skarbcza, aby ofiarować mi je na rzecz Szkocji. Były to wspaniałe dary, które wtedy wydały mi się cudem, skrzynie pełne królewskich skarbów w chwili, gdy nasze były puste: monety i sztaby ze złota i srebra, które pozwoliły przetrwać mnie i nam wszystkim w tych mrocznych dniach. - Uniósł palec. - Niewielu z was ją zna, lecz dziś jest panną młodą i zasługuje na całą naszą dobrą wolę oraz wdzięczność. - Rozkazującym gestem stłumił narastający pomruk komentarzy i zaciekawionych uwag, a kiedy zebrani znów zwrócili na niego uwagę, ciągnął: - Jej mąż, pobłogosławiony i połączony z nią dzisiaj węzłem małżeńskim przez naszego zacnego arcybiskupa, dorównuje jej pod względem naszej estymy i też nie jest większości z was znany. Lecz wiercie mi, kiedy mówię, że jest on jednym z prawdziwych bohaterów Ban-nockburn, jeśli nie największym, ponieważ to on poprowadził tego dnia ową niespodziewaną szarżę jazdy, która przebyła wzgórze Coxet i wpędziła Anglików w panikę i zmieszanie, ponieważ myśleli, że muszą stawić czoło drugiej, nowej armii szkockiej.

Król poczekał, aż szmer ucichnie, i mówił dalej, a rytmiczny potok jego słów oczarował słuchających.

- Gdyby nie ten człowiek i jego towarzysze, gdyby nie idealne wyczucie czasu i element zaskoczenia ich ataku na czele nowej armii, która przecież nie istniała, być może ponieśliśmy klęskę pod Bannockburn. Lecz on przybył, a my wygraliśmy, rozpętując nad Anglikami burzę, której szybko nie zapomną, i odsyłając ich do domu z podkulonymi ogonami. Stracili kwiat swojego wychwalanego rycerstwa i zostawili nam dość jeńców, abyśmy mogli dzięki okupom żyć dostatnio i w pokoju przez wiele lat. I on towarzyszy nam dziś tutaj. Jest z Francji, lecz to szkocki rycerz, imiennik i bratanek naszego umiowanego Williama Sinclaira, biskupa Dunkeld.

Zrobił dramatyczną przerwę, gestem wezwał do siebie Willa i Jessie, po czym podniósł głos niemal do krzyku.

- Szkocjo! Powitaj wraz ze mną naszą najwspanialszą parę nowożeńców. Sir William i lady Jessica Sinclair z Roślin!

Tłum wznosił falę burzliwych wiwatów, a coraz więcej ludzi zaczęło się odwracać, kiedy stało się jasne, że Will i Jessie nadchodzą

od strony drzwi, przez środek sali. Kiedy Will poczuł paznokcie żony wbijające się w zgięcie jego łokcia i podszedł do królewskiego podium oraz klaszczących życzliwie ludzi, którzy na nim stali, wrócił myślami do wszystkich uroczystych okazji, w których uczestniczył od czasu swojego pasowania na rycerza, i nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek czuł się tak dumny lub wdzięczny za swój los.

Sporo godzin później, po długim i wspaniałym wieczorze, z którego Will pamiętał niewiele poza niebywałą radością spowodowaną obecnością tam i doświadczaniem wszystkiego w charakterze żonatego mężczyzny, siedział swobodnie przed buzującym ogniem w małej, obwieszanej gobelinami komnacie wraz z królem Szkocji i kilkoma z jego najbliższych przyjaciół. Nikt nie pił, ponieważ znajdowali się tam rzekomo po to, aby omówić sprawy państwowe. Królowa wraz ze wszystkimi damami udała się na spoczynek, a Jessie poszła z nimi, uprzednio potrząsnąwszy ostrzegawczo nadgarstkiem męża i szepnąwszy mu do ucha, że choć wie, iż musi on porozmawiać z królem, lepiej, aby nie zapomniał, że to jego noc poślubna, ponieważ będzie niecierpliwie na niego czekała.

Will uśmiechnął się z zadowoleniem, świadom, że na sąsiednim krześle siedzi król, patrząc w ogień i opierając podbródek na pięści. Po drugiej ręce Willa rozmawiali cicho Douglas i Randolph; za królem zaś Lamberton, Angus Og i jeszcze jeden z goidelskich wodzów - chyba MacNeil - sprawiali wrażenie zatopionych w poważnej dyskusji na temat możliwości założenia nowego biskupstwa na wyspach. Balmyle z racji swego wieku już dawno poszedł spać, a dwaj pozostali biskupi, Moray i Dunkeld, zajmowali się jakąś sprawą na polecenie króla.

Will wyprostował plecy, a wtedy Bruce odezwał się do niego:

- Cały wieczór chciałem cię zapytać, jak udało ci się tamtego popołudnia tak dokładnie wyliczyć chwilę natarcia.

- Wyliczyć ją? - Willowi łatwo było uśmiechnąć się i zachowywać naturalnie w towarzystwie Bruce'a od czasu ich pierwszego spotkania na Arran. Człowiek, z którym rozmawiał, może i był przerażającym,

osławionym królem Szkocji, niemal legendą, lecz przy osobistym spotkaniu wciąż był tym samym elokwentnym, miłym, lecz przenikliwym mężczyzną z tamtego spotkania. — Wylizyć ją... tak... - Wyszczrzył zęby jeszcze bardziej. - No cóż, Wasza Wysokość, wypada, abym...

- Wasza Wysokość? - Bruce przechylił głowę, aby spojrzeć prosto na Willa, unosząc brew. - Nazwałeś mnie tak tylko raz, na samym początku. Skąd się to teraz wzięło?

Will się zawahał, zaskoczony.

-No cóż, to... - Nabrał haust powietrza. - Wybacz mi, Wasza Miłość. W przeszłości nie mogłem tego zrobić, dopóki... dopóki przestrzegałem moich ślubów zakonnych. Lecz Zakon już nie istnieje, więc mogę dowolnie wybrać tego, komu chcę być wierny.

- Nie prosz mnie o wybaczenie, Williamie. Nie ma czego wybaczać. A zatem teraz z wolnej woli oddajesz mi hołd?

- Tak, panie, z ochotą.

- Przyjmuję go zatem, choć nigdy nie wątpiłem w twoją lojalność. Przyszło mi do głowy, że dobry byłby z ciebie baron Roślin. Co na to powiesz, arcybiskupie? Czyż nasz wierny przyjaciel nie powinien otrzymać za swoją służbę majątku i tytułu barona?

Arcybiskup, któremu przerwano rozmowę, pochylił się i spojrzał na Willa z kąciem ust uniesionym w lekkim uśmiechu.

- Sądząc po jego reakcji, raczej nie.

Król, który nie patrzył na Willa, teraz odwrócił się do niego.

- O co chodzi, człowieku? Bładyś jak duch. Uraziłem cię?

Will zdołał pokręcić głową, unosząc dłoń i milcząco prosząc o cierpliwość. Spodziewał się, że Bruce się rozgniewa, lecz król okazał wyjątkowo dobry humor, uśmiechając się z niedowierzaniem.

- No, to o co chodzi?

-Wybacz... przepraszam, panie, twoja propozycja mnie zaskoczyła, lecz nie chcę być baronem. Jeśli chcesz nadać ten tytuł, należy się on mojemu bratankowi, młodemu Henrykowi.

Król się zaśmiał, uderzając dłonią w kolano z radości.

- Chcesz odrzucić tytuł barona i dać go komuś innemu? Kim jest ten ideał i czemu go nie znam?

Will poczuł, że się rumieni.

- Znasz go, Wasza Miłość. To mój giermek.

- Twój giermek? Ten, który był ranny? Toż to jeszcze chłopiec. Nie mogę nadać tego tytułu giermkowi, Will.

- Wiem, panie, lecz to on powinien być baronem Roślin, z racji jego urodzenia. Już niedługo czeka go pasowanie na rycerza, na co całkowicie zasłużył.

- A zatem osobiście to zrobię, skoro dajesz za niego słowo. Przeprowadź go do mnie jutro i poczynimy wszelkie przygotowania. Jest jednak zdecydowanie zbyt młody na tytuł barona.

- Zdaję sobie z tego sprawę, panie. Lecz szybko dorosnie. Chłopiec, który wypływa ze mną do nowego kraju, wróci do ciebie jako mężczyzna, bez wątplenia wart tego zaszczytu.

- Wciąż więc masz zamiar szukać tego nowego, legendarnego kraju?

- Nie legendarnego, Wasza Wysokość. Wiemy już, że istnieje. Tak, mam zamiar, jeśli udzielisz mi pozwolenia.

- Udzielam, choć bardziej przydałbyś mi się w Szkocji. Jak się tam dostaniesz? Masz okręty?

- Tak, Wasza Wysokość. Cztery nowe okręty, zbudowane w Genui.

- A co z twoją nową małżonką? Zostawisz ją?

Will uśmiechnął się szeroko.

- Dopiero kiedy umrę, Wasza Miłość. Jessie popłynie wraz ze mną i ponad dwudziestoma innymi kobietami, żonami i matkami moich ludzi.

- Hmm... Wygląda na to, że też z moją bratanicą, młodą Marjo-rie. Przyszła dziś do mnie i niemal rzuciła mi się do stóp, błagając, abym pozwolił jej towarzyszyć twojej żonie podczas tej ekspedycji. Co o tym myślisz?

Beztróski nastrój Willa natychmiast zniknął, zastąpiony zmarszczeniem brwi.

- Wybacz, Wasza Wysokość. Nic o tym nie wiedziałem. Już kilka razy ostrzegałem lady Jessicę, aby nie podsyciała nadziei dziewczyny. Są blisko, właściwie jak matka i córka, lecz wydawało mi się, że wyraźnie dałem Jess do zrozumienia, iż ta młoda kobieta jest tu królową i ma swoje obowiązki. Kiedy udam się do moich komnat, ponownie z nią o tym porozmawiam.

- Nic podobnego. Nie będę powodem sporu między wami podczas

nocy poślubnej, więc wyrażam stanowcze życzenie, abyś nie wspominał o tym swej żonie. Zrozumiano?

- Tak jest, Wasza Wysokość.

- Dobrze. - Król się rozejrzał i nachylił nieco bliżej, po czym odezwał się ściszym głosem: - W zwyczajnych okolicznościach twoje rozumowanie byłoby całkowicie właściwe. Lecz to nie są normalne czasy. Niewiele rzeczy jest takich, jakimi było dziesięć lat temu. To dziecko nie jest tak naprawdę szkocką królewną. Jest nieślubną córką mojego ukochanego brata Nigela, równie mi drogą jak niegdyś jej ojciec, lecz w obecnych okolicznościach jej obecność to niejaki kłopot.

Zdumienie Willa musiało być widać na jego twarzy, ponieważ monarcha nachylił się jeszcze bliżej i wyjaśnił:

- Szkocja ma już królewnę Marjory, Will, moją własną córkę, i nęka ją ilość problemów, która przerosłaby dojrzałego mężczyznę, a co dopiero taką dziewczeczkę. Sześć lat trzymali ją w zakonie, odciętą od wszelkiej dobroci i towarzystwa, od czasu, kiedy ledwie mogła pojąć, co zrobiłem. Ukarali ją, niewinną, za to, że jest moją córką, i serce mi się kraje, kiedy widzę, że niemal udało im się złamać jej umysł. Prawie nie mówi; od czasu, kiedy wróciła do domu, nie odezwała się do mnie słowem. Jednak Elżbieta wierzy, że z czasem odzyska zmysły, jeśli okazemy jej wszyscy cierpliwość i wyrozumiałość. Lambertton natomiast zgadza się z królową, lecz uważa, że obecność innej Marjory Bruce, jej rówieśnicy, lecz o zupełnie innym temperamencie, beztrojskiej, roześmianej i lubianej, może... choć jest to jedynie spekulacja... źle wpływać na powrót mej córki do zdrowia. Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

-Tak, Wasza Miłość...

- Powiedz mi zatem: wiesz, dlaczego mogę w taki sposób z tobą rozmawiać?

- W taki sposób? - Will pokręcił głową i wytrzeszczył oczy, nie pojmując, o co chodzi. - Nie, panie.

- Ponieważ jesteś jedynym człowiekiem, który niczego ode mnie nie chce. Ani awansu, ani nagrody, korzyści, poparcia czy przysług. A ponadto nigdy nie mówisz mi o polityce, sprawach kraju czy moich przeklętych królewskich obowiązkach. Niczego ode mnie nie chcesz, sir Williamie, i to sprawia, że jesteś według mnie wyjątkowy, a także wyjątkowo godny zaufania. - Rozsiadł się wygodniej na krześle. - Po-

sy.ukujesz zatem nowego kraju. Nieznanego życia w nieznanym miejscu. I weźmiesz ze sobą swoją żonę. To godne podziwu, Will... oraz odważne. — Urwał na chwilę. - Mówiłeś wcześniej, że twój giermek wróci jako mężczyzna. Czy on w ogóle wróci?

Will kiwnął głową, zastanawiając się, do czego prowadzi ta rozmowa.

- Z pewnością, Wasza Miłość. Będziemy przysyłać z powrotem posłańców oraz, od czasu do czasu, jeśli wszystko pójdzie po naszej myśli, ludzi, którzy będą werbować kolejnych.

- I naprawdę nie boisz się o to, co stanie się tam z twoją żoną?

Uśmiech powrócił na twarz Willa.

- Nie bardziej, niż bałbym się o nią tutaj, Wasza Wysokość. Nieznane brzegi mogą być niebezpieczne, lecz to samo można powiedzieć o dobrze znanych. Moja Jess przeżyła prawdziwie groźne czasy i okoliczności i zaznała swojej porcji gróźb. Życie, które tam znajdziemy, może i nie będzie łatwe, lecz będzie inne i ekscytujące, a ona i ja zadbamy tam o siebie nawzajem równie dobrze jak gdziekolwiek indziej, nieważne, co się stanie. Najważniejsze, żebyśmy byli razem.

- Gdybyś miał wziąć ze sobą moją bratanicę, mógłbyś któregoś dnia mi ją odesłać?

Will odwrócił wzrok i zerknął w płomienie, czując na sobie spojrzenie monarchy. Siedzieli sami i można było odnieść wrażenie, że stanowią wyspę ciszy pośród szumiących dookoła nich rozmów. Pytanie, choć tak prosto postawione, miało warstwy złożoności, które mnożyły się i rosły, gdy Will nad nim myślał. W końcu mruknął pod nosem:

- Nie ma na to prostej odpowiedzi, Wasza Miłość.

- Zapomnij zatem o mojej miłości i odpowiedz jak przyjaciel. Tak czy nie?

- Wiem, że chętnie ją ze sobą zabierzemy, szczególnie Jess, ale nie, nie mogę ci obiecać, że przywieziemy ją z powrotem. Po pierwsze, nie jest już dzieckiem, a kiedy się tam osiedlimy, na długo zanim zaczniemy myśleć o powrocie, stanie się kobietą, z umysłem i wolą kobiety. Mógłbym powiedzieć, że tak, i spróbować kiedyś ją odesłać, lecz może wtedy nie będzie chciała wrócić. Będziemy w nowym, obcym świecie, bez zasad i zwyczajów, które rządzą ludźmi tutaj.

- Lecz wziąłbyś ją i dbał o nią jak o własną córkę.

- Oczywiście że tak, z radością. Lecz tylko tyle mogę rzec na pewno. Może zachorować lub...

- Wyrosnąć na kobietę. No tak. A kiedy tak się stanie, co wtedy? Będiesz miał kawalera z podobnego jej stanu, który będzie mógł ją poślubić?

Will ponownie się uśmiechnął, mimo poważnego wydzwiku tej rozmowy.

- Tam może nie być stanów w tym sensie, w jakim ty je rozumiesz, panie. Będzie dla mnie jak córka, więc będzie dzielić wszelkie przywileje, które przypadną nam, lecz więcej nie mogę powiedzieć. Jeśli chodzi o odpowiednich mężczyzn, znajdują się. Jessie mówi, że młody Henryk już teraz chętnie oddałby za nią życie. To tylko szczenięca miłość, naiwna i płocha, lecz wkrótce Henryk wejdzie w wiek męski i będzie przez ciebie pasowany. Mogę za niego ręczyć. Ma wszelkie zadatki na świetnego, szlachetnego i honorowego rycerza.

Król zamyslił się nad słowami Willa, skubiąc dolną wargę, a potem kiwnął głową.

- Niech będzie. Masz moje zaufanie i przyjaźń. Powiem młodej Marjorie, że może płynąć z tobą, i jeśli jesteś na to gotów, mianuję ciebie i lady Jessicę jej opiekunami. - Podniósł nieco głos. - Miałeś mi powiedzieć, jak wymierzyłeś czas twojej szarży pod Bannockburn. Powiedz no teraz i wyjaśnij, dlaczego się uśmiechnąłeś, kiedy cię o to spytałem.

Nieco zmieszany nagłą zmianą tematu Will szybko wyczuł, że ktoś stanął tuż za ich plecami. Podniósł oczy i dostrzegł, że dołączył do nich jego wuj, biskup Sinclair z Dunkeld, który właśnie kiwał uprzejmie głową, podczas gdy Robert nakazywał mu gestem, aby usiadł.

Will wzruszył ramionami, postanawiając, że będzie mówił szczerze.

- Uśmiechnąłem się z powodu tego, jak dobrałeś słowa, Wasza Wysokość. Tak jak mówisz, przybyliśmy w samą porę, lecz stało się to zupełnym przypadkiem; obawiam się, że w grę nie wchodził żaden mój taktyczny geniusz.

Król znów uniósł brwi, a potem zerknął na biskupa pytająco.

- Doprawdy? Opowiedz mi zatem o tym przypadku, jeśli łaska.

Will ponownie wzruszył ramionami, świadom, że teraz przysłu chuje się też cała reszta.

- Mieliśmy być na miejscu wcześniej. Przybyliśmy jednak później, niż planowaliśmy.

- Co spowodowało to opóźnienie?

- Anglicy. Po drodze spotkaliśmy oddział piechoty, może sześciuset, w towarzystwie konnych rycerzy. Wspięliśmy się na szczyt wzgórza, a oni byli poniżej nas, na zboczu.

- Nie mieliście żadnych zwiadowców?

- Mieliśmy, panie, lecz oni ich nie dostrzegli. Kiedy przejeżdżali, Anglicy byli w głębokim wąwozie o stromych zboczach i dlatego nie mógł zobaczyć ich nikt, kto nie znajdował się bezpośrednio nad nimi.

- A więc walczyliście i najwyraźniej zwyciężyliście. Mam nadzieję, że rozmówiłeś się potem ze swoimi zwiadowcami?

- Nie, panie, obaj zginęli w potyczce. Straciliśmy pięciu ludzi, między nimi ich dwóch. Lecz wycięliśmy piechotę wroga i tak długo nękałiśmy tych, którzy przeżyli, że nie byli w stanie się przegrupować, do tego stopnia się rozproszyli.

- Hmm. A co z rycerzami, którzy nimi dowodzili?

- Było ich pięciu, Wasza Miłość, a czterech z nich zabiliśmy. Piąty uciekł tam, skąd przybyli. Potyczka nie była trudna, lecz kosztowała nas w sumie pół dnia.

- I uniemożliwiła sześciuset wypoczętym Anglikom zaatakowanie naszych flank od zachodu. Ilu miałeś ludzi?

- Czterdziestu rycerzy, Wasza Wysokość, i o połowę więcej lekkiej kawalerii.

Z tyłu komnaty rozległo się skrzypienie drzwi. Wszyscy się odwrócili, aby ujrzeć, jak wchodzi biskup Moray, ściskając w dłoni jakiś dokument. Skinął głową królowi i - mamrocząc przeprosiny - uniósł pismo w stronę arcybiskupa Lambertona, wzywając go gestem. Arcybiskup też poprosił cicho o wybaczenie, wstał i poszedł za Mora-yem na drugi koniec komnaty, gdzie stanęli razem, rozmawiając szeptem.

Król Robert ponownie spojrzał na Willa.

- A więc stu ludzi przeciwko sześciuset.

Will pokręcił głową, a jego usta drgnęły lekko.

- Stu jadących konno templariuszy, Wasza Miłość. Mieli niewielką przewagę.

- Hmm. To prawda. Ale myślałem bardziej o szarzy, którą poprowadziłeś później. Skąd wzięła się tamta armia? Wiem, kim byli, lecz skąd ich zaciągnąłeś do służby?

Will uśmiechnął się jeszcze raz, tym razem szerzej.

- Z twojego własnego obozu, Wasza Wysokość. Byli to stajenni i woźnice, giermkowie, kucharze i ich pomocnicy, nawet kobiety... lecz nikomu nie brakowało odwagi. Kiedy przybyliśmy, myśleli na początku, że jesteśmy Anglikami, i mimo pewności, że w walce z taką siłą wszyscy by zginęli, chcieli stawić nam czoło, aby chronić twoje tyły. Potem, kiedy powiedzieliśmy im, że jesteśmy templariuszami i mamy walczyć u twego boku, zawiadomili nas, że bitwa już się zaczęła za wzgórzem, które ich chroniło, wzdłuż głównej drogi do Stirling i doliny strumienia Bannock. Słyszac to, jeden z moich ludzi, mój krewniak, Tam Sinclair, wpadł na pomysł, abyśmy użyli ich w takiej roli, jaką najpierw chcieli odegrać wobec nas: wojowników. Szybko ustawiliśmy ich w szyku, ukradliśmy kilka twoich sztandarów z taboru, daliśmy im kilka naszych, a potem kazaliśmy im maszerować za nami, kiedy wspinaliśmy się na szczyt wzgórza.

- Ano. Wszyscy zauważyliśmy wasze przybycie, w to nie wątp. Może i chwila była przypadkowa, lecz niebiosy was nam zesłały. Kiedy nadszła ta masa kawalerii ubranej w biel i czerń, armią templariuszy, w chwili kiedy żadnych templariuszy nie powinno tam być, wyglądaliście jak... co też powiedział arcybiskup? Jak zastęp aniołów zemsty. Oto, co było: boska interwencja. Dodała naszym ludziom odwagi, a odebrała ją Anglikom. Bóg jeden wie, że byli już wtedy w strasznych tarapatach, taplając się w tym zabójczym bagnisku, lecz widok nacierającej nowej armii wpędził ich w całkowitą panikę i się załamali. Kiedy przyprowadzisz do mnie jutro giermka, pamiętaj, żeby zabrać też tego krewnego, Tama Sinclaira. Zdaje się, że Szkocja wiele zawdzięcza jego umiejętności szybkiego myślenia. Myślisz, że byłby zadowolony z tytułu rycerza?

- Czy byłby zadowolony? Tam? Panie, towarzyszy mi od lat chłopięcych i jest honorowym, wartościowym rycerzem pod każdym względem poza tytułem. Lecz Tam nie jest szlachetnie urodzony.

- To nic już nie znaczy. Williama Wallace'a pasowano przez wzgląd na jego zasługi, a nie pochodzenie. Dlaczego nie miałoby się tak stać z nim? Jeśli wpadł na pomysł, aby powołać do armii ludzi ciągnących

za nią, ma tyle inicjatywy i intuicji, ile potrzeba rycerzowi. Czy i on popłynie z tobą do owej obcej krainy?

Myśli Willa gnały jak oszalałe, kiedy zastanawiał się, jak ten niespodziewany honor wpłynie na jego skromnego krewnego.

- O tak, Wasza Miłość - odparł, wiedząc, że mówi teraz do wszystkich obecnych. - On i prawie dwustu innych. Lecz jeśli mogę coś dodać na ten temat, Wasza Wysokość, żaden z nas nie ma co do tego przedsięwzięcia najmniejszych wątpliwości. Wiemy, że ta kraina tam jest. Znalazł ją admirał Saint Valery, niech Bóg świeci nad jego duszą, i wysłał nam wiadomość. Tym razem, kiedy tam przybędziemy, będą na nas czekali przyjaciele, aby nas powitać. Wykorzystamy to, co tam znajdziemy, najlepiej, jak będzie to możliwe, i napiszemy wam o wszystkim. Stanie się to wtedy, kiedy młody sir Henryk Sinclair wróci w tryumfie jako mój posłaniec do ciebie, aby odebrać z twoich rąk tytuł barona i przygotować kolejną, większą ekspedycję.

Król przesunął dłońmi po twarzy, aż czubki jego palców spoczęły na wysokości nosa.

- Niech tak będzie. Nie mogę zrobić nic, aby przekonać cię, żebyś tu został. Twoi ludzie są Francuzami i są wolni. Kiedy wypływacie?

- Kiedy tylko ucichną zimowe sztormy, Wasza Miłość. W kwietniu, może na początku maja.

- Będziecie wtedy gotowi?

- Już jesteśmy, panie.

- Hm... Powinieneś się tam udać jako baron. Mówisz, że mieszkają tam jacyś ludzie poza twoimi? Jeśli tak, na pewno będą mieli swoich królów.

- Nie mają królów, Wasza Miłość. A przynajmniej nie znaleźli ich nasi ludzie.

Robert Bruce spojrział teraz na Willa ze znużeniem, wykrzywiając twarz.

-Byłeś kiedyś templariuszem, Will; powinieneś wiedzieć lepiej. Tam, gdzie gromadzą się ludzie, zawsze będą królowie i ci, którzy chcą nimi zostać. Taka jest ludzka natura. Ludzie rodzą królów, nieważne, jaką mają dla nich nazwę. Bądź więc ostrożny w tej nowej krainie... Jakże też ona się nazywa?

- Meryka, Wasza Miłość.

- Ano, Meryka. Dziwna nazwa, brzmi jak bardzo stara, wcale nie

nowa. - Król wyprostował się i poruszył ramionami. - Długi dzień... dzień twojego ślubu. Powinieneś już być w łożu, trzymając w ramionach swą żonę, jak i ja. Lecz ty możesz to teraz zrobić, podczas gdy ja wciąż mam tu pracę. Zatem dobrej nocy, sir Williamie, i niech ci się powodzi we wszystkim, co przedsięweźmiesz. - Uśmiechnął się i wyciągnął rękę. - To królestwo jest twoim dłużnikiem, przyjacielu, czy przez przypadek czy nie. Idź więc. Porozmawiamy jutro.

- Wasza Wysokość, jeśli można... - Arcybiskup Lamberton zbliżył się ponownie do ognia i uniósł dłoń, jakby chcąc zatrzymać Willa. - Muszę powiedzieć jeszcze jedną rzecz o twojej szarzy, sir Williamie.

Will pokręcił głową.

- Nie, biskupie, nie musisz, ponieważ wiem, co chcesz powiedzieć. Atak pod Bannockburn był naszym ostatnim aktem dumy z tego, kim kiedyś byliśmy, więc zakładam, że powiesz mi, iż oficjalnie zaprzeczy cię, jakoby templariusze wzięli jakikolwiek udział w bitwie.

Arcybiskup się uśmiechnął.

- Nie, sir Williamie, nie. Nikt nie będzie niczemu przeczył. Jak moglibyśmy temu zaprzeczyć? Ludzie widzieli, co widzieli, a było tam ich wielu owego dnia. Może jednak w przyszłości pominiemy waszą obecność w naszych kronikach, twierdząc, że na wzgórzu Coxet pojawił się, jak mówiłeś, oddział złożony z pomocników armii. Będzie to zatem pominięcie uczynione ze względów politycznych, lecz nie zaprzeczenie. Po prostu chciałem uspokoić cię i pocieszyć nieco, zawiadamiając, że ludzie, których tu zostawiasz, nie zaznają podczas twej nieobecności trudów ani przeszkód, ponieważ Szkocja wiele im zawdzięcza. Będą mogli tu żyć jak wcześniej, przestrzegając rytuałów i odprawiając ceremonie, które będą chcieli zachować w tajemnicy. Mogę cię o tym zapewnić i dać ci słowo jako prymas kraju. — Przerwał na chwilę. - Zabierzesz ze sobą przedstawicieli Kościoła, czyż nie?

Will spojrział mu prosto w oczy, czując, że zaciska zęby, i kiwnął głową.

- Tak, panie. Popłyną z nami biskupi i bracia duchowni, gotowi troszczyć się o nasze dusze i zanieść słowo Boże ludziom, których tam znajdziemy.

Nie podobało mu się, że kłamie duchownemu, nawet przez udzielenie wymijającej odpowiedzi, lecz nie mógł zdradzić, że słowo Boże, które jego ludzie zanoszą do nowego świata, będzie się różnić od krze-

wionego przez Kościół katolicki. Duchowni, o których mówił, należeli do Zakonu Syjonu, a na nowym lądzie mieli rozpowszechniać prawdę owego prastarego Bractwa: prawdę o drodze do obcowania z Bogiem, jaką podążał Jezus i jego towarzysze z Jerozolimy.

Arcybiskup Lambertson kiwnął głową, zerknął na króla i podniósł dokument otrzymany od Moraya, który przysłuchiwał się, siedząc w kącie.

- Wasza Miłość, to pismo zawiera wieści, które, jak uznałem, sir William może chcieć poznać, zanim uda się na spoczynek.

Bruce kiwnął poważnie głową, a arcybiskup powtórzył ten gest, po czym opuścił wzrok na list i westchnął głęboko.

- Sir Williamie - powiedział - znajduję tu potwierdzenie, że twój wielki mistrz, Jacques de Molay, zmarł potworną i niehumanitarną śmiercią...

- Słyszałem o tym - odparł Will.

- Dokument ten mówi, iż mistrz de Molay skarcił swoich prześladowców... niektórzy mówią, że ich przeklął, lecz ja wolę tamto słowo... wzywając króla Filipa i papieża Klemensa, aby dołączyli do niego przed sądem niebieskim w ciągu roku. Wiedziałeś o tym, sir Williamie?

Will kiwnął głową, marszcząc czoło.

- A zatem wiedz też, niejako w zadośćuczynieniu za ból, który musiało ci to sprawić, że wygląda na to, iż twój wielki mistrz potężniej ich skarcił, niż oni potrafili zniszczyć pamięć o nim i jego samego. - Chwytał pergamin obiema rękami i popatrzył na niego w milczeniu, podczas gdy wszyscy wyczekiwali jego następnych słów. - Mam tu wieści o tym, że papież Klemens zmarł w Awinionie. - Słuchacze jednocześnie się zachłysłeni. Lambertson znów ciągnął, przemawiając w pełnej osłupienia ciszy: - Lecząc tę wiadomość, choć poważną, przyćmiła późniejsze doniesienie, iż król Francji również zmarł, całkiem niedawno... dokładniej trzy tygodnie temu. Obaj zmarli, zgodnie z nakazem twego szlachetnego wielkiego mistrza, w ciągu roku.

Słowa te wryły się w umysł Willa, a arcybiskup mówił dalej:

- A zatem obaj twoi prześladowcy odeszli, wezwani przez Boga, w którego imieniu śmieli popełniać ohydne grzechy. - Uniósł dokument, aby każdy go widział. - Nikt nie wie, kim będą ich następcy, lecz świat, który znamy, zmienił się, i tylko czas może pokazać, co

stanie się teraz. Jednak jeszcze jedno jest pewne. Skoro król Filip nie żyje, zdaje się, że de Nogaret nie przetrwa długo we Francji... nie wtedy, kiedy tylu go nienawdzi. - Wyciągnął pismo do króla, lecz nie spuścił wzroku z Willa. - Pomyślałem, że ucieszysz się z tych wieści, zanim opuścisz tę komnatę. - Począł chwilę, a kiedy Will nie odpowiedział, kiwnął łagodnie głową. - Idź zatem w pokój, sir Williamie, i z naszym błogosławieństwem.

Will był do pewnego stopnia świadom reakcji innych na słowa arcybiskupa i wiedział, że zachował się właściwie, życząc wszystkim dobrej nocy w zgodzie z manierami. Jednak kiedy szedł korytarzami w stronę swej kwatery, mijając wszędzie nieruchomych wartowników, czuł niemal zawrót głowy, myśląc o tym, czego się dowiedział i co będzie mógł powiedzieć swoim braciom: Filip z Kapetyngów i Klemens smażą się w piekle, ich własny mistrz został więc pomszczony, a na świecie wkrótce nastanie nowy porządek.

Dotarł do swojej komnaty; płonęła tam niewielkim płomieniem tylko jedna lampa, a jej knot nieco kopczył. Zgasił ją i szybko się rozebrał, czując chłód ciemności, kiedy po omacku podnosił pościel, aby wsunąć się nago w miłe ciepło promieniujące z ciała jego żony. Odwróciła się, na wpół śpiąc, przyciągnęła go do siebie i objęła ramionami; jego nowa żona; nowe życie i nadzieja nowego ładu.

Podziękowania

Dziękowanie za pomoc i dobrą wolę wszystkim, którzy przyczynili się do powstania jakiegokolwiek fikcyjnej książki historycznej, zawsze jest trudne i budzi obawy, że urazi się kogoś przez pominięcie, z tego prostego powodu, że współpracowników - dostarczających czy to osobistej wiedzy i rezultatów badań, czy uwag i zachęt - jest bardzo wielu. Każdą książkę zaczynam pełen dobrych zamiarów, zdecydowany odnotować każdego, komu powinienem być wdzięczny, lecz w ferworze pisania niezmiennie odkładam to na później i zawsze kończy się na tym, że zastanawiam się, kogo pominąłem.

Są jednak ludzie, których pomoc jest nieoceniona; większość z nich to pisarze i naukowcy, których działania zainspirowały mnie i legły u podłoża moich wysiłków związanych z oddzielaniem faktu od fantazji i ekstrapolowaniem mojej własnej opowieści wraz z wszystkimi jej spekulacjami, interpretacjami i zwykłymi wybrykami pisarskiej wyobraźni. Nie wątpię, że wiele ze swobody, z jaką konstruuje opowieści, drażni niektórych z ludzi, którzy pierwotnie nakierowali moje myśli na ich obecne ścieżki, lecz popełnione w tym tomie błędy i zaniedbania należą wyłącznie do mnie. Wiele czytałem podczas lat spędzonych na przygotowywaniu oraz pisaniu tej trylogii i szczerze dziękuję wybitnym pisarzom, którzy zmusili mnie do zastanawiania się, do porównywania wydarzeń i opinii, a ostatecznie - do podążenia w fikcyjnych kierunkach, które mi wskazali, najczęściej nieumyślnie. Najważniejszymi wśród nich są Pierś Paul Read (*Templariusze*, Poznań 2003), Barbara W. Tuchman (*Bibie and Sword*) oraz Malcolm Barber (*Templariusze*, Warszawa 2000).

Z wdzięcznością chciałbym też odnotować nieocenioną współpra-

cę i pomoc moich doświadczonych redaktorów, Catherine Marjoribanks i Shauna Oakleya, których umiejętności - po latach wspólnych przedsięwzięć - wciąż zadziwiają mnie i mi imponują. Składam serdeczne podziękowania im dwojgu oraz wszystkim innym Pingwinom w Penguin Group Canada.